

JACQUELINE
SuSANN

Bez
zobowiązań

Prolog

Maszyna do Kochania

Człowiek stworzył Maszynę.

Maszyna nie czuje miłości, nienawiści ani lęku; nie dokuczają jej wrzody, nie grożą ataki serca ani zakłócenia emocjonalne.

Jedyną, być może, szansą przetrwania człowieka jest przemiana w maszynę.

Niektórym ludziom już się to udało.

Maszyna, która udaje człowieka, często włada narodami — dyktator jest w swoim kraju maszyną do sprawowania władzy. Zniewolony przez swój talent artysta może się przemienić w maszynę do produkowania sztuki.

Czasem ewolucja taka dokonuje się bez wiedzy zainteresowanego.

Może zaczyna się wówczas, kiedy stwierdza on: „Zostałem zraniony”, a jego podświadomość dopowiada: „Jeśli wyeliminuję z życia wszelkie uczucia, nie będzie można mnie zranić!”

Amanda wybuchłaby śmiechem, gdyby coś takiego powiedziano jej o Robinie Stone, ponieważ go kochała.

Robin Stone był przystojnym mężczyzną.

Miał usta, które potrafiły się uśmiechać.

Potrafił myśleć bez emocji.

Potrafił kochać ją swym ciałem.

Robin Stone był Maszyną do Kochania.

Część pierwsza

Amanda



Rozdział pierwszy

Poniedziałek, marzec 1960

O dziesiątej rano drząc w lnianej sukience, stała na schodach przed hotelem Płaza. Jedna z agrałek spinających sukienkę na plecach upadła z lekkim stuknięciem na ziemię. Kiedy garderobiana pospiesznie wpinała inną, fotograf korzystając z chwili przerwy założył do aparatu nową rolkę filmu. Fryzjer przywołał sprayem do porządku kilka zbuntowanych kosmyków włosów i sesję zdjęciową wznowiono. Tłumek ciekawskich gapił się z satysfakcją, jak rozchwytywana modelka, należąca do uprzywilejowanego klanu Pięknych Ludzi, stawia czoło w swej cieniutkiej letniej sukience przenikliwie zimnym marcowym wiatrom. Nierealność sceny zwiększały jeszcze zasypane śniegiem, pozostałe po niedawnej zamieci na wzgórzach Central Parku. Gapie, przyjemnie wtuleni w ciepłe zimowe płaszcze, nagle przestali zazdrościć tej roziskrzzonej istocie, która w jeden poranek zarabiała więcej, niż oni w ciągu całego tygodnia.

Amanda marzyła, ale nie było tego po niej widać. Myślała o Robinie Stonie, a to czasem pomagało, szczególnie wówczas, gdy mieli za sobą cudowną noc.

Tym razem jednak myśli nie były pocieszające; nie spędziła z Robinem cudownej nocy. Nawet się do niej nie odezwał. Miał dwa zaplanowane wystąpienia: w Baltimore w sobotę i w Filadelfii, na jakimś uroczystym obiedzie, w niedzielę.

— O siódmej odwalę swoją mówkę i o dziesiątej będę z powrotem w Nowym Jorku — obiecał. — Potem skoczmy do Lancer Bar i zjemy po hamburgerze.

W pełnym makijażu siedziała do drugiej nad ranem i nie doczekała się nawet telefonu.

Fotograf skończył, z płaszczem i kubkiem kawy podbiegł koordynator sesji. Weszła do hotelu i osunawszy się w ogromny fotel, piła gorący napój. Kryształki lodu w jej żyłach poczęły tajać. Jakoś przeżyje. Dzięki Bogu, że reszta zdjęć jest we wnętrzach.

Skończywszy kawę powędrowała na górę do wynajętego na czas sesji apartamentu, gdzie w schludnym rzędzie wisiały rozmaite kreacje. Z pomocą garderobianej wysunęła się z Inianej sukienki i założyła letnie „domowe” spodnie. Poprawiła poduszeczki w staniku i sprawdziła makijaż. Kiedy przeczesywała grzebieniem swą gęstą grzywę o barwie miodu, rozlegały się cichutkie trzaski wyładowań elektrycznych. Sama wczoraj umyła włosy i rozpuściła je w taki sposób, jaki lubił Robin. Prawdopodobnie będzie musiała zmienić fryzurę; dziś po południu ma trzygodzinną sesję zdjęć dla Alwayso Cosmetics, a Jerry Moss woli ją uczesaną do góry, bo sądzi, że dodaje to produktowi klasy.

O jedenastej, zamknięta w łazience, przebierała się we własne ciuchy. Otworzyła swoją dużą torbę i wyjęła pojemnik zawierający pastę do zębów i szczoteczkę. Wyczyściła zęby seria energicznych ruchów pionowych i poziomych. Dziś miała robić dla Alwayso letnie odcienie szminek. Dzięki Bogu za moje zęby, pomyślała, dzięki Bogu za włosy. I twarz. Miała również doskonałe nogi, smukłe biodra, była wysoka. Bóg okazał się bardzo szczodry i dał plamę tylko w jednym punkcie. Popatrzyła smętnie na poduszeczki w swym staniku. Pomyślała o wszystkich kobietach, które kiedykolwiek oglądały ją na zdjęciach i pokazach: pracujących dziewczynach, gospodyniach domowych, kobietach szczupłych, tęgich i grubonogich — one wszystkie miały piersi. Piersi, które uważały za coś najzupełniej naturalnego. A ona była płaska jak chłopak.

Rzecz osobliwa, dla doskonałej modelki stanowiło to zaletę. Lecz na pewno nie było plusem w życiu osobistym. Przypomniała sobie trwogę, jakiej doświadczyła w szkole, kiedy wszystkim jej dwunastoletnim rówieśnikom zaczęły pączkować piersi. Pobiegła do ciotki Rose, a ona powiedziała ze śmiechem: — Wyrosną, kochanie, i miejmy nadzieję, że nie takie olbrzymie, jak u twojej ciotki.

Nie wyrosły jednak. Kiedy miała czternaście lat, ciotka Rose stwierdziła: — Kochanie, nasz dobry Bóg dał ci piękną buzię i przytomną głowę. Poza tym jest dużo ważniejsze, aby mężczyzna kochał cię za to, jaka jesteś, nie zaś za twoje ciało i twarz.

Ta prosta logika brzmiała doskonale w kuchni, podczas rozmów z ciotką Rose, kiedy jeszcze żadnej z nich nie mogło przyjść do głowy, że wyładuje kiedykolwiek w Nowym Jorku i pozna takich ludzi, wśród jakich teraz się obracała.

Na przykład piosenkarz — nigdy w myślach nie nazywała Billy'ego inaczej. Kiedy się poznali, miała osiemnaście lat i zaczynała dopiero pracować jako modelka. W ogólniaku słuchała jego płyt. Wcześniej, jako dwunastolatka, stała przez dwie godziny w kolejce, kiedy miał wystąpić na żywo w budynku lokalnego kina. Osobiste spotkanie na przyjęciu miało w sobie coś ze snu, a już zupełnie nierealny był fakt, że to na nią właśnie zwrócił uwagę. „Romans od pierwszego spojrzenia!” — skomentował to Billy na użytek pewnego dziurzysty. Od tego wieczoru przyłączyła się do jego orszaku. Nigdy dotąd nie zetknęła się z takim trybem życia — nocne kluby, pozostająca do dyspozycji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę limuzyna z szoferem, wszechobecna eskorta kompozytorów, agentów, aranżerów, speców od reklamy. Ci ludzie, choć zobaczyli ją po raz pierwszy w życiu, zaakceptowali w niej bezzwłocznie członka rodziny. Zdumiewała ją chaotyczna etykieta dworska i nieustanna czujność mediów. Przy wtórce strzelających aparatów fotograficznych trzymała ją za rękę i całował w policzek, i dopiero piątej nocy znaleźli się wreszcie sam na sam w jego apartamencie hotelowym.

Mieszkała jeszcze w hotelu dla kobiet Barbizon i nie miała najmniejszego pojęcia, jak wygląda od środka apartament w Waldorf Towers. Stała na środku pokoju, gapiąc się na niezliczone bukiety kwiatów i butelki alkoholu. Pocałował ją, rozluźnił krawat i ukazał gestem sypialnię. Pokornie podreptała w ślad za nim. Zdjął koszulę i bez żenady rozpiął suwak spodni.

— Okay, aniołku, wyskakuj z opakowania — powiedziała.

Ogarnięta paniką, powoli zdjęła wszystko, prócz majtek i stanika. Podszedł do niej, a kiedy całował usta, szyję i ramiona, jego palce manipulowały przy zapięciu stanika, który wreszcie osunął się na podłogę. Billy, rozczarowany, odstąpił o krok.

— Jezu, maleńka, załóż to z powrotem. — Opuścił wzrok na własne ciało i roześmiał się. — Mój Charlie zwinął się ze zgrozy.

Z powrotem założyła stanik. Założyła resztę ciuchów i wybiegła z hotelu. Nazajutrz posłał jej kwiaty, urządził telefoniczne oblężenie, nie dawał chwili spokoju. Uległa i spędzili ze sobą trzy cudowne tygodnie. Sypiała z nim, ale w łóżku nie zdejmowała stanika.

Po trzech tygodniach piosenkarz wrócił na Wybrzeże. Nigdy więcej do niej nie zadzwonił. Uspokoił swoje sumienie, wręczając jej na pożegnanie futro z norek. Wciąż pamiętała zdumienie, jakie odmalowało się na jego twarzy, kiedy stwierdził, że była dziewicą.

Rozgłos prasowy stał się przyczyną telefonu z agencji Nicka Longwortha. Podpisała kontrakt i tak zaczęła się jej kariera modelki. Na początek dostała dwadzieścia pięć dolarów na godzinę; teraz, pięć lat później, była jedną z dzie-

sięciu najbardziej wziętych modelek w kraju. Nick Longworth kazał jej studiować magazyny mody, uczyć się ubierać i chodzić. Przeniosła się z Barbizon do przyjemnego mieszkanca na East Side, gdzie większość wieczorów spędzała samotnie. Kupiła telewizor i kota syjamskiego. Skoncentrowała się na pracy i lekturze magazynów...

Robin Stone wpadł w jej życie jak bomba. Na balu dobroczynnym, który odbywał się w Astorii, jednym z punktów programu był pokaz mody; miała w nim uczestniczyć wspólnie z pięcioma innymi czołowymi modelkami. Karty wstępu sprzedawano po sto dolarów. Przybyła cała śmietanka; w Wielkiej Sali Balowej jak zwykle tańczono i oglądano występy artystyczne, jeden wszakże fakt odróżniał tę imprezę od pozostałych dobroczynnych targowisk próżności. Oto przewodniczącą komitetu organizacyjnego była pani Judith Austin, dzięki czemu bal nie tylko został obszernie zrelacjonowany w prasie, lecz również należycie nagłośniony przez lokalną stację telewizyjną IBC. Bo właściwie czemu miałyby być inaczej? Sieć IBC należała do pana Austina.

Wielka Sala Balowa była nabita. Amandę i inne modelki traktowano z honorami należnymi „płatnym gościom”, skoro oddawały swój czas. Siedziały w szóstkę przy stole, skubiąc kolację, eskortowane przez sześciu przydzielonych im przez IBC do towarzystwa niższych urzędników. Mężczyźni byli przystojni i bezbarwni. Z początku usiłowali podtrzymać rozmowę ogólną, lecz rychło zdrzyfowali na interesującą tylko ich samych tematykę oglądalności programów i zwolnień pracowników IBC. Amanda prawie ich nie słuchała, ukradkiem spoglądając w kierunku stołu, gdzie w towarzystwie przyjaciół zasiadała pani Austin. Rozpoznała Judith Austin ze zdjęć w prasie i stwierdziła z cichą dumą, że małżonka właściciela IBC farbuję włosy na taki sam kolor, jaki jej dała natura. Judith Austin liczyła, zdaniem Amandy, około czterdziestu lat, ale była bardzo piękna — drobna, elegancka i doskonale zakomponowana. To właśnie takie kobiety, jak pani Austin, usiłowata w pierwszym okresie swej edukacji naśladować Amanda — oczywiście, wciąż nie było jej stać na dokładnie takie same ubrania, mogła jednak kupować kopie.

Po kolacji przeszła do garderoby, by przygotować się do pokazu. Ustawiano kamery; spektakl miał być transmitowany na żywo dla Wiadomości IBC o dwudziestej trzeciej.

Amanda siedziała z innymi modelkami, gdy rozległo się lekkie pukanie do drzwi i wszedł Robin Stone.

Dziewczyny podały mu nazwiska. Kiedy powiedziała po prostu „Amanda”, popatrzył na nią z wyczekiwaniem. Uśmiechnęła się. — Tylko Amanda... i nic więcej — dodała. Ich oczy spotkały się i Robin odwzajemnił uśmiech.

Nie spuszczała zeń wzroku, kiedy obchodząc pokój zapisywał dane pozostałych modelek. Był bardzo wysoki i poruszał się z naturalnym wdziękiem. Tak to przynajmniej oeniła. Widziała go kilka razy w wiadomościach lokalnych, które zwykle oglądała przed nocnym filmem na kanale CBS. Coś jej chodziło po głowie, że jeszcze jako dziennikarz prasowy zdobył Nagrodę Pulitzera... Na ekranie prezentował się znacznie gorzej niż w rzeczywistości; miał gęste ciemne włosy z pierwszymi smużkami siwizny, ale najważniejsze były oczy, patrzyły na nią prawie taksująco... Potem Robin Stone posłał wszystkim dziewczynom niewymuszony uśmiech i wyszedł z pokoju.

Uznała, że jest prawdopodobnie żonaty z kimś, kto przypomina panią Austin. Jeszcze przed zakończeniem pokazu Amanda wyobraziła sobie dwoje zupełnie doń podobnych dzieci.

Była całkowicie ubrana, kiedy zapukał do drzwi.

— Cześć, pani Jednoimienna — powiedział z uśmiechem. — Czy w domu czeka na ciebie jakiś pan Jednoimienny, czy też możesz swobodnie skończyć ze mną na piwo?

Poszła z nim do „P.J.” i sącząc colę patrzyła w oszołomieniu, jak pochłania pięć wódek pod rząd i mimo to jest ciągle idealnie trzeźwy. Bez jednego słowa czy jakiegokolwiek sugestii z jego strony podążyła za nim do mieszkania. Wystarczyło przesłanie, które przekazywała jej uścisk jego dłoni.

Zachowywała się tak, jakby uległa hipnozie. Nie doświadczając krztyny niepokoju, weszła do środka, stanęła przed nim i zaczęła się rozbierać. Gdy zawahała się przy staniku, podszedł do niej i zdjął go własnoręcznie.

— Jesteś rozczarowany? — zapytała.

Cisnął przez pokój biustonosz z podkładkami.

— Wymiona są potrzebne tylko krowom! — Otoczył ją ramionami, pochylił głowę i zaczął całować piersi. Był jedynym mężczyzną, który to kiedykolwiek robił. Tuliła jego głowę i drżała...

Tej pierwszej nocy wziął ją delikatnie i bez słowa; potem, kiedy ich ciała były mokre z wyczerpania, przygarnął ją do siebie i zapytał: — Chcesz być moją dziewczyną?

Odpowiedzią, bezgłośnie w mroku, była jeszcze większa siła, z jaką do niego przywarła. Wysunął się z jej ramion i poszukał spojrzeniem twarzy. Jego usta uśmiechały się, ale niebieskie oczy były poważne

— Tylko żadnych więzów, żadnych obietnic i żadnych pytań, z obu stron. Dobra?

Bezradnie skinęła głową. Wówczas wyciągnął do niej ramiona i zaczął znowu kochać z oszpeconą mieszanką brutalności i delikatności. Na koniec, kiedy wyczerpani i spełnieni odłączyli się od siebie, Amanda zerknęła na budzik,

stojący na stoliku nocnym. Trzecia nad ranem! Wysunęła się z łóżka, ale uchwycił ją za nadgarstek.

— Dokąd idziesz?

— Do domu...

Wykręcił jej rękę aż krzyknęła z bólu. — Kiedy ze mną sypiasz, zostajesz tutaj! Nigdzie nie wychodzisz!

— Ależ muszę. Mam tylko wieczorową sukienkę!

Bez słowa puścił jej ramię, wstał i zaczął się ubierać.

— Więc zostanę na noc u ciebie.

Uśmiechnęła się. — Boisz się sypiać samotnie?

Jego oczy pomroczyły. — Nigdy nie mów czegoś takiego! Sypiam samotnie. Ale kiedy idę do łóżka z dziewczyną, sypiam z nią!

Poszli do jej mieszkania i znów się kochali. Kiedy zasypiała w jego ramionach, przepełniało ją szczęście tak dojmujące, że współczuła każdej kobiecie, która nigdy nie pozna Robina Stone'a.

Teraz, po trzech miesiącach, nawet jej syjamski kot Leser zaakceptował Robina i nocą związał się w kłębek u jego stóp.

Robin nie zarabiał dużo i podczas wielu weekendów wyjeżdżał z odczytami, żeby poprawić swe dochody. Amanda nie przejmowała się, że nie bywają w Colony czy „21”. Polubiła stałe mety Robina — „P.J.”, Lancer Bar, Piccolo Italia. Uwielbiała podwójne seanse w kinie i rozpaczliwie usiłowała pojąć, na czym polega różnica pomiędzy demokratami a republikanami. Niekiedy godzinami przesiadywała w Lancer Bar, przysłuchując się, jak Robin dyskutuje o polityce z Jerryem Mossem. Jerry mieszkał w Greenwich, a jego agencja prowadziła reklamę Alwayso Cosmetics. To przyjaźń Robina z Jerryem załatwiła jej kolorowy kontrakt z Alwayso.

Stojąc przed łazienkowym lustrem założyła wełnianą sukienkę, a potem wyszła do saloniku apartamentu.

Fotograf składał już swój sprzęt; nazywał się Ivan Greenberg i był wspólnym kolegą. Pożegnała go skinięciem głowy, pomachała ręką ludziom pakującym kreacje, a potem wyszła z apartamentu i jak złociste długowłose zjawisko pobiegła korytarzem.

Z holo zadzwoniła do centrali w swoim domu: wciąż ani słowa od Robina. Wykręciła numer jego mieszkania — odpowiedział jej tylko bezbarwny, monotony sygnał. Odłożyła słuchawkę."

Zbliżało się południe. Gdzież on jest, na miłość Boską?!

Rozdział drugi

Był w apartamencie filadelfijskiego hotelu Bellevue Stratford.

Budził się powoli, z uczuciem, że poranek już prawie się skończył. Słyszał gołąbnie, gruchające na parapecie okna. Otworzył oczy i natychmiast przypomniał sobie, gdzie się znajduje; czasem, kiedy budził się w motelu, wcale nie był tego pewien. Wszystkie pokoje we wszystkich motelach wyglądały podobnie: niekiedy musiał sobie przez dłuższy czas przypominać nawet nazwę miasta i imię śpiącej u jego boku dziewczyny. Tym jednak razem był samotny i nie przebywał w motelu. Poczciwi filadelfijczycy i ich kolacja na cześć Człowieka Roku... Szarpnęli się na najprawdziwszy apartament.

Sięgnął po leżące na nocnym stoliku papierosy. Pudełko było puste. W popielniczce nie znalazł żadnego większego niedopałka. Potem zobaczył popielniczkę po drugiej stronie łóżka — były w niej długie niedopałki, zabarwione na końcach ustników pomarańczową szminką.

Sięgnął po telefon, zamówił podwójny sok pomarańczowy, kawę i dwie paczki papierosów. Potem wygrzebał ze swojej popielniczki najmniej skatowanego peta, wykruszył spopielony tytoń i zapalił. Zlekceważył długie niedopałki zabarwione szminką; wziął do ręki wypełnioną nimi popielniczkę, wstał i wypróżnił ją do muszli klozetowej. Patrząc jak niedopałki spływają z wodą, doznawał uczucia, że egzorcyzmuje dziewczynę. Niech to diabli, dałby sobie rękę uciąć, że była niezamężna. Bo mężatki szukające na boku emocji rozpoznawał zwykle od pierwszego spojrzenia. Cóż, wszystkie były epizodami jednej nocy. Niech się martwią mężowie. Uśmiechnął się i popatrzył na zegarek — dochodziło południe. Złapie pociąg do Nowego Jorku o drugiej.

Dziś wieczorem będą z Amandą świętować i wznosić toasty na cześć Gregory'ego Austina, człowieka, który wyciągał go z tego szamba. Wciąż nie mógł w to uwierzyć, rzecz była tak samo nierealna, jak osobisty telefon od Austina w sobotę o pierwszej po południu. Zrazu Robin wziął to za dowcip — prezes zarządu IBC dzwoniący osobiście do lokalnego żurnalisty! Gregory roześmiał się i kazał mu oddzwonić na numer IBC. Robin postąpił w taki właśnie sposób i Austin odebrał po pierwszym sygnale. Czy Robin Stone mógłby natychmiast przyjść do jego biura? Dziesięć minut później Robin był w gabinecie Austina — z walizką w rękę. Musiał złapać południowy pociąg do Baltimore.

Austin, siedzący samotnie w swoim olbrzymim gabinecie, bezzwłocznie przeszedł do rzeczy. Czy Robin miałby ochotę zostać Dyrektorem Programów Informatycznych Sieci? Mile widziane będą również pomysły Robina dotyczą-

ce rozbudowy działu, jak też utworzenie przezeń własnej ekipy dla obsługi mających się odbyć latem konwencji. Robin miał wielką ochotę. Ale „Dyrektor Programów Informacyjnych Sieci”? Tytuł brzmiał enigmatycznie. Morgan White był prezesem PIS, Randolph Lester — wiceprezesem. Cóż zatem — spytał Robin — oznacza stanowisko dyrektora PIS? Cóż, oznacza pięćdziesiąt tysięcy rocznie, czyli dwukrotnie więcej, niż zarabia dotąd. No i, jak to ujął Austin, „powinniśmy od czegoś zacząć, nieprawdaż?”

Był to początek jak cholera. Kiedy zaś Austin dowiedział się, że Robina jeszcze przez rok wiąże kontrakt z agencją odczytów, po prostu wykonał dwa telefony: jeden do samej agencji, drugi natomiast — do swojego adwokata, któremu polecił wykupić kontrakt Robina. Proste zatem, lecz jednocześnie tajemnicze. Oto bowiem Robin miał się przez tydzień trzymać z dala od IBC i nie puszczać pary z gęby na temat swojej nowej pracy. Dopiero w przyszły poniedziałek przyjdzie do biura i obejmie stanowisko. Gregory Austin wprowadzi go osobiście i w taki sposób, jaki uzna za stosowny...

Nalał sobie kawy i zapalił kolejnego papierosa. Przez szyby wsączało się anemiczne zimowe słońce. Za tydzień zacznie nową pracę. Głęboko zaciągnął się papierosem, ale wraz z dymem uleciała odeń jakaś cząstka dobrego samopoczucia. Zgniół papierosa, który wyczarował przed nim dziewczynę z uszminkowanymi na pomarańczowo ustami. Jak miała na imię? Peggy? Betsy? Nie, nie... Ale jej imię kończy się jakoś tak... Billie? Mallie? Lillie? Do diabła z tym! Opadł na oparcie fotela i odsunął od siebie filizankę. Kiedyś, studiując jeszcze w Harvardzie, przyjechał do Nowego Jorku i poszedł do teatru na sztukę, zatytułowaną bodaj „Kobieta w mroku”; było tam coś o dziewczynie, której chodziła po głowie melodia i która potrafiła odtworzyć tylko kilka jej pierwszych taktów. Coś podobnego przydarzało się i jemu, tylko że zamiast melodii nawiedzało go jakieś mgliste wspomnienie czy też wizja... pozbawiona wyrazistych konturów, lecz wyczuwalna. Odchodząc, dawała mu poczucie jakiegoś aromatycznego ciepła i szczęścia, które nagle przemieniało się w panikę. Była rzadkim gościem, ale minionej nocy przemknęła jak błysk przez jego duszę. — nie, jak dwa błyski! Po raz pierwszy wówczas, gdy dziewczyna wsunęła się z nim do łóżka. Poczul dotknięcie jej ciała, aksamitnego i drżącego; miała cudowne piersi. Zwykle nie zwracał na nie większej uwagi, w ssaniu piersi było coś dziecinnego. Dlaczego mężczyźni uważają to za pieśczętę seksualną? Przecież dają w ten sposób wyraz swojej tęsknocie za matką. W mężczyźnie, który pragnie złożyć głowę pomiędzy pełnymi piersiami kobiety, jest coś słabego. Robin wolał smukłe, długie i sprężyste blondynki. Podniecała go swoista symetria ich ciał.

Lecz dziewczyna z minionej nocy była brunetką o pełnych piersiach. I podnieciła go. Teraz to sobie przypominał. Krzyczał, osiągając orgazm. Dlaczego? Zwykle nie krzyczał — ani z Amandą, ani z jakąkolwiek inną dziewczyną. Jednak wiedział, że wykrzykiwał jakieś słowa i wiedział, że również przy innych okazjach wyrывały mu się z ust okrzyki, których treści nie potrafił sobie później przypomnieć.

Zapałił następnego papierosa i wysiłkiem woli obrócił myśli ku czekającej go przyszłości. Może poświętować, ma wolny cały tydzień.

Wziął w rękę gazetę filadelfijską, którą przysłano mu ze śniadaniem. Na trzeciej stronie znalazł swoje zdjęcie w towarzystwie łysiejącego korpulentnego pana. Podpis głosił: ROBIN STONE, DZIENNIKARZ, LAUREAT NAGRODY PULITZERA, OSOBOWOŚĆ TELEWIZYJNA I ZNANY WYKŁADOWCA, PRZYBYŁ DO FILADELFI, ABY WYGŁOSIĆ PRZEMÓWIENIE NA CZĘŚĆ SĘDZIEGO HARRISONA B. OAKESA, CZŁOWIEKA ROKU 1960.

Dolał sobie kawy i skrzywił usta w uśmiechu. Jasna sprawa, że przyjechał uhonorować zacnego sędziego, faceta, o którym w życiu nie słyszał. A poza tym dlatego, że zapłacili Ogólnokrajowej Agencji Odczytów pięćset dolarów.

Popijał kawę, pławiąc się w miłej świadomości, że już nigdy nie będzie musiał jeździć z odczytami. Na początku to wszystko wydawało się takie łatwe. Robił dziennik lokalny IBC prawie od roku, kiedy poprosił go o kontakt Clyde Watson, szef OAO. Agencja zajmowała całe piętro nowego gmachu przy Lexington Avenue, zaś Clyde Watson, siedzący przy masywnym orzechowym biurku, wyglądał jak zaufany makler giełdowy. Wszystko, nawet ojcowski uśmiech, zorientowane było na to, by rozluźnić ofiarę.

— Panie Stone, dlaczego publicysta prasowy z Nagrodą Pulitzera na koncie wyładował jako gość prowadzący lokalne dzienniki?

— Bo rzuciłem Northern Press Association.

— Dlaczego pan rzucił? Bo nie miał pan przebiccia w Nowym Jorku?

— Nie, wcale się tym nie przejmowałem, że nie pracuję w nowojorskiej prasie. Jedyna korzyść z takiego układu to gratisowe bilety do teatrów i darmowe wyzerki w restauracjach. Na tym mi nie zależy. Ale NPA pozwalała, żeby każdy redaktorzyna w najmniejszej dziurze ciął mój tekst na strzępy. Czasem zostawały z tego trzy wiersze. Trzy wiersze z artykułu, który pisałem przez sześć godzin. Pisanie nie przychodzi mi łatwo, męczę się jak diabli. No i jakiś typ wyrzuca do kosza sześć godzin mojego życia — Robin pokręcił głową, jakby doznał fizycznego bólu. — Przynajmniej w IBC nikt mnie nie przycina i mogę sobie być prawie zupełnie niezależnym komentatorem.

Tym razem uśmiechowi Watsona towarzyszyło aprobujące skinienie głową. Potem westchnienie, pełne współczucia.

— Tylko że nie ma z tego dużych pieniędzy.

— Na życie wystarczy. Mam proste potrzeby. Pokój w hotelu, papier do maszyny — Robin uśmiechnął się jak mały chłopiec — a papier i kalkę kradną z IBC.

— I pisze pan dzieło swego życia?

— Jak wszyscy.

— Kiedy znajduje pan czas?

— Weekendy, czasem noce.

Na twarzy Watsona nie było już uśmiechu. Szykował się do rozstrzygającego uderzenia. — Czy takie ścibolenie kawałek po kawałku nie jest trudne? Jak może pan utrzymać wene? Czyż pisarz nie powinien mieć możliwości rzucenia wszystkich innych spraw, żeby całkowicie skoncentrować się na książce?

Robin zapalił papierosa. Kiedy obrócił wzrok na twarz Watsona, w jego oczach ledwie mignęła odrobina zaciekawienia.

Watson przechylił się przez biurko. — Agencja Odczytów mogłaby zaangażować pana na weekendy. Jestem pewien, że dostalibyśmy pięćset... przypuszczalnie nawet siedemset pięćdziesiąt.

— Za co?

— Wybiera pan sobie temat. Czytałem pańskie artykuły — Watson potrząsnął teczką wycinków, żeby dowiedzieć, iż tak było istotnie. — Może pan mówić o interesujących wydarzeniach, jakie miały miejsce, kiedy pracował pan jako korespondent. Przemieszać z czymkolwiek, co uzna pan za stosowne. Rozgrywać to na serio. Albo z przymrużeniem oka. Mogę obiecać panu mnóstwo pracy.

— Czy ktokolwiek przyjdzie, żeby mnie posłuchać?

— Proszę tylko popatrzeć w lustro, panie Stone. Kobięce kluby, jak pan wie, zapraszają interesujących ludzi, a mają już po uszy łysych profesorów i komikowi bez sex appealu. Pan wniesie szczyptę koloru. Korespondent wojenny, laureat Pulitzera... będzie pan rozchwytywany.

— Kiedy będę mieć czas na pisanie swojej książki?

— Chwilowo odłoży ją pan do szuflady. Przy tym tempie, na jakie w tej chwili może pan sobie pozwolić, pisanie potrwa wieki. Ale dwa lata odczytów i zarobi pan dość, żeby mieć na roczny urlop. Wyjechać dokądś. A potem — kto wie? Może następny Pulitzer za książkę. Przecież nie chce pan zostać na całe życie lokalnym dziennikarzem telewizyjnym, prawda?

Brzmiało to rewelacyjnie. Nawet odliczając trzydzieści pięć procent honorarium, które za pośrednictwo brała agencja. Podpisał kontrakt ochoczo. Pierwszy odczyt miał w Houston. Pięćset dolarów. Sto siedemdziesiąt pięć dla agencji, co pozostawiało mu trzysta dwadzieścia pięć. Potem wczytał się w wydrukowane drobną czcionką warunki szczegółowe: zobowiązywały go do pokrywania kosztów przejazdów i hoteli. Przy tym pierwszym odczycie zarobił na czysto trzydzieści pięć dolarów. Kiedy podjął próbę zerwania kontraktu, Watson tylko bezbarwnie się uśmiechnął. Jasne, może kontrakt zerwać — a właściwie wykupić. Było to rok temu: rok podróży w klasie turystycznej, wciskania się w wąskie fotele, rok nocnych lotów w towarzystwie tłustych bab i rozwrzeszczanych dzieciaków. No i rok parszywych moteli; taka sytuacja jak w Filadelfii, gdzie apartament zafundowała strona zapraszająca, należały do wyjątków.

Robin omiatał wzrokiem pokój. Była to właściwa scena dla pożegnalnego występu. Z tym, dzięki Bogu, już koniec: żadnych więcej lotów w klasie turystycznej, żadnego zabawiania zaproszonych gości... Może wymazać z pamięci swoją pogaduchę, którą zdążył wkuć tak dokładnie, że bez problemów potrafiłby ją wyklepać nawet po pijaku. Śmiech pojawiał się zawsze w tych samych miejscach, wywoływała identyczny aplauz. Pod koniec nawet miasta wyglądały jednakowo. W komitecie powitalnym nigdy nie brakło apetycznej małolatki, chętnej do dyskusji o Bellowie, Mailerze i kondycji sztuk pięknych. Już po pierwszym martini wiedział, że rozmowa skończy się łóżkiem.

Cóż, przepieprzył całą tę swoją drogę przez czterdzieści sześć stanów. Teraz był „Dyrektorem Programów Informacyjnych Sieci”.

Za pierwszą forszę z odczytów wynajął mieszkanie. Żadne чудо, ale na pewno lepsze niż pokój w hotelu. Nigdy jednak nie miał okazji zagnieździć się w nim na dłużej. Kupił nowe biurko, na którym piętrzyła się ryza kremowego papieru, leżał plik kalki i stała, zamiast rozgrzechotanej portabelki, solidna elektryczna maszyna do pisania. Lecz praca w IBC zajmowała mu całe dni, gorzałka i panienki wypełniały noce, weekendy zaś były przeznaczone na rozjaźdy. Teraz ma to z głowy. W IBC będzie pracować jak wściekły i odkładać każdego centa; jeszcze napisze tę książkę.

Czasami Robin zastanawiał się nad swoim pisaniem. Czy naprawdę ma choć trochę iskry Bożej? Nagroda Pulitzera niczego jeszcze nie dowodziła; talent dziennikarski wcale nie jest świadectwem, że człowiek nosi w sobie książkę. Ale on akurat chciał ją napisać — zamierzał pokazać wpływ, jaki wywiera wojna na ludzi zaangażowanych w politykę; interesowała go kariera Churchilla, przemiana w polityków takich generałów jak Eisenhower czy de

Gaulle... Potem myślał jeszcze o powieści politycznej, ale najbardziej pragnął po prostu ujrzeć, jak stos papieru pokrywa się tekstem, staje się książką.

Sprawy materialne niewiele go obchodziły; uświadomił to sobie dopiero wówczas, gdy zauważył, z jakim pomrukiem zadowolenia Amanda demonstruje mu swoje nowe buciki. Może działo się tak dlatego, że nigdy nie zaznał kłopotów finansowych — przynajmniej do śmierci ojca, który wszystkie dochody z czteromilionowego majątku zapisał Kitty. Dopiero kiedy Kitty zejdzie ze świata, majątek zostanie podzielony pomiędzy niego i siostrę, Lizę. Tymczasem, mając dwanaście tysięcy miesięcznie, „szampańska Kitty” balowała na całego. Zabawne, że zawsze nazywał matkę w myślach w taki właśnie sposób: „szampańska Kitty”. Była piękna, drobna i jasnowłosa, choć, cholera, w tej chwili z powodzeniem może być ruda. Kiedy dwa lata temu wyjeżdżała do Rzymu, nazywał ją na własny użytek „kraciatą blondynką”; ona sama mówiła coś o pasemkach. Wspomnienie skłoniło go do uśmiechu. Jak na pięćdziesięciodziewięcioletnią brzanę, wyglądała zupełnie nieźle.

Jako dzieciak, a później licealista, nie miał powodów uskarżać się na życie. Stary pociągnął dostatecznie długo, żeby wyprawić Lizie największe wesela w historii Bostonu; mieszkała teraz w San Francisco ze swoim mężem, ostrzyżonym na jeża idiotą, który był jednym z największych macherów od nieruchomości na Zachodnim Wybrzeżu. Miała parkę cudownych dzieciaków; Boże, nie widział ich od pięciu lat. Liza... trzeba pomyśleć, miał siedem lat, kiedy się urodziła... więc jest teraz trzydziestoletnią matką o unormowanym życiu. On natomiast ciągle hasa na swobodzie, co mu się zresztą podoba. Może to nastawienie wynikło z pewnej uwagi, jaką kiedyś uczynił jego ojciec. Był wówczas dwunastolatkiem, a ojciec zabrał go na pierwszą lekcję golfa.

— Podchodź do gry, jak gdyby była jednym z przedmiotów w szkole, na przykład algebrą — czymś, co musisz opanować. Musisz być w tej grze dobry, synu. Pole golfowe to miejsce wielu poważnych interesów.

— Czy wszystko, czego człowiek się uczy, ma pomagać w robieniu forsy? — zapytał Robin.

— Tak, jeśli chcesz myśleć o założeniu rodziny — odparł ojciec. — Jako szczeniak marzyłem, aby zostać kimś takim jak Clarence Darrow. Lecz potem zakochałem się w twojej matce i poprzestałem na prawie handlowym. Nie mogę narzekać. Stałem się bardzo bogatym człowiekiem.

— Ale miałeś kręcka na punkcie prawa karnego, tato.

— Kiedy już masz rodzinę, nie możesz po prostu robić tylko tego, na co sam masz ochotę. Twoją główną odpowiedzialnością jest rodzina.

Robin nauczył się grać w golfa. I kończąc Harvard, był w tym dobry. Chciał najpierw pochodzić na zajęcia ogólnohumanistyczne, potem zrobić

specjalizację dziennikarską. Ojciec był temu przeciwny i wściekł się tak samo jak wtedy, gdy przyłapał Robina na czytaniu Tołstoja i Nietzschego.

- To ci nie pomoże w studiach prawniczych — oznajmił.
- Wcale nie chcę zostać prawnikiem.

Ojciec popatrzył na niego gniewnie i wyszedł z pokoju. Nazajutrz Kitty jejła mu łagodnie wyjaśniać, jak to winien jest ojcu dostarczać powodów do dumy. Jezu, odnosił chwilami wrażenie, że jedyne, co słyszy, to odmieniane na sto sposobów słowo „powinien”. Na przykład, powinien ku satysfakcji ojca grać w futbol amerykański, bo jest to istotny element wizerunku prawnika. Dał więc połamać sobie każdą kostkę w ciele, żeby podczas tego sezonu zostać najlepszym rozgrywanym Harvardu. W 1944 mógł już rozpocząć specjalizację w prawie handlowym, ale miał dwadzieścia jeden lat i szalała wojna, więc obiecując, że studia prawnicze zakończy po powrocie, zaciągnął się do wojsk powietrzno-desantowych. Stało się jednak inaczej. Uczestniczył w wielu operacjach, dorobił się stopnia kapitana i wylądował na drugiej stronie bostońskiej gazety, kiedy został zraniony w ramię; przynajmniej dostarczył staremu w ten sposób powodów do dumy! Rana nie była poważna, ale odnowiła starą kontuzję z boiska i Robin musiał przez dłuższy czas poleżeć w szpitalu poza granicami kraju. Dla zabicia nudy pisał o szpitalnym życiu i doświadczeniach innych żołnierzy; egzemplarz swoich notatek przesłał kumpłowi, pracującemu w Northern Press Association, rzecz trafiła na łamy i tak rozpoczęła się jego kariera dziennikarska.

Po wojnie zatrudnił się w NPA na etacie korespondenta, oczywiście, nie bez uprzedniej dyskusji z Kitty i ojcem. Przecież winien był ojcu ukończenie prawa. Na szczęście Liza poznała Jeza i cały dom pogrożył się w chaosie przygotowań przedślubnych. Pięć dni później stary padł trupem, grając w squasha. Cóż, pomyślał Robin, lepszej śmierci nie mógłby sobie wymarzyć. Spłacił wszelkie zobowiązania wobec rodziny i był wciąż w doskonałej formie.

Robin wstał odpychając stolik na kółkach. Był niezależny i nie miał wobec nikogo na całym świecie żadnych cholernych zobowiązań. Był zdecydowany utrzymać taki stan rzeczy za wszelką cenę.

Poszedł do łazienki i odkręcił prysznic. Twarde i zimne strugi wody oczyściły jego umysł z resztek oparów alkoholu. Do diabła, brakowało mu poniedziałkowej mordęgi w siłowni. No i zapomniał zadzwonić do Jerry'ego z informacją, że dziś nie przyjdzie. Skrzywił twarz w uśmiechu. Biedny Jerry, prawdopodobnie powlecze się do siłowni sam. Jerry nie znosił ćwiczeń i chodził tylko dlatego, że zmuszał go Robin. Dziwna sprawa, obwisłe ciało w trzydziestym szóstym roku życia zdawało się mu wcale nie przeszkadzać.

Robin zaczął nucić. Natychmiast po przyjeździe do Nowego Jorku zadzwonił do Jerry'ego i Amandy, żeby umówić się z nimi w Lancer Bar na obłebanie. Tylko że nie powie im, co oblewają — Gregory Austin chciał osobiście ogłosić nominację.

Namydlając twarz, pomyślał, że wiele by dał za informację, co tego ranka dzieje się w IBC.

Rozdział trzeci

Poranek zaczął się dla wszystkich w IBC jak każdy inny. Na wszystkich biurkach położono „liczby”, czyli tygodniowe współczynniki oglądalności Nielsena, i pierwsze zwiastuny niepokojów pojawiły się dopiero o dziesiątej. Wyfrunęły z prostej wiadomości: „Gregory Austin chce o dziesiątej trzydzieści widzieć u siebie Dantona Millera”.

Wiadomość tę, przekazaną przez osobistą sekretarkę pana Austina, osobiście sekretarka Dantona Millera, Susie Morgan, zapisała na kartce z notesu i położyła na biurku szefa obok współczynników Nielsena. Następnie ruszyła ku pudrowalni. Po drodze minęła sekretarki w „chlewiku”. Były pogrążone w pracy — ich maszyny stukwały jak wściekłe od dziewiątej trzydzieści. Lecz „Wyższe Sfery”, osobiste sekretarki VIP-ów, przybywały dopiero o dziesiątej, w ciemnych okularach i bez makijażu. Meldowały się szefom i dawały nura do pudrowalni, skąd po dwudziestu minutach wyłaniały się odszykowane jak modelki. Jedna z bardziej postępowych dziewczyn zawiesiła nawet wielkie powiększające lustro.

Pudrowalnia była zatłoczona, kiedy wkroczyła do niej Susie. Spluwając do maskary, Susie dołożyła swoich pięć groszy do plotkarskiej sesji: Gregory Austin wezwał Dantona Millera! Pierwsza dziewczyna, która wyszła z pudrowalni, przekazała wiadomość przyjaciółce z działu prawnego i w niespełna sześć minut nowina obiegła cały gmach.

W chwili, gdy wieści dotarły do biura prasowego, Ethel Evans pisała na maszynie komunikat. Była tak ciekawa szczegółów, że nie czekając na winde zbiegła cztery piętra i bez tchu wpadła do znajdującej się na szesnastym pudrowalni. Samotna już Susie kończyła szminkować usta.

— Słyszałam, że twój szef idzie na odstrzał — powiedziała Ethel.

Susie, świadoma, że Ethel czeka na odpowiedź, dała pokój ustom i ująwszy szczotkę zaczęła tapirować włosy. Miała nadzieję, że w jej głosie pobrzmie-

wa odpowiednia dawka znudzenia, kiedy na koniec oświadczyła: — Pewnie zwykłe poniedziałkowe ploty.

Ethel zmrużyła oczy. — Tym razem, jak słyszę, sprawa jest poważna. Cotygodniowe narady z szefami działów Gregory zawsze przeprowadza w czwartki... wszyscy wiedzą, że wezwanie w poniedziałek oznacza topór.

Susie nagle się zaniepokoiła. — Tak się mówi na gorze?

Ethel pomyślała z zadowoleniem, że doczekała się reakcji. Wsparta o ścianę, zapaliła papierosa.

— Na pewno jest w tym wszystkim sens. Rzuciłaś okiem na liczby?

Susie zaczesywała włosy. Nie musiała tego robić, lecz w tej chwili nienawidziła Ethel. Jeśli poleci Danton Miller, poleci i ona. Musiała się dowiedzieć, czy coś wisi w powietrzu. Zdawała sobie sprawę, że posada Dantona Millera zależy od fluktuacji liczb. Nigdy nie przychodziło jej do głowy, że wezwania do Gregory'ego Austina mogą być złowróźbne. W pudrowalni rozgłosiła nowinę, widząc w niej kolejny dowód ważności Dana. Teraz doświadczyła nagłego przypływu paniki. Musiała jednak odzyskać równowagę — Ethel Evans była przecież tylko jedną z dziewczyn, pracujących w biurze prasowym. A ona jest osobistą sekretarką Dantona Millera! Odpowiedziała więc zupełnie spokojnym głosem: — Tak, Ethel, widziałam liczby. Tylko że najbardziej spadł współczynnik oglądalności dzienników. Szefem *Wiadomości* jest Morgan White i to on powinien się martwić. Nie Danton Miller.

Ethel roześmiała się.

— Morgan White jest spokrewniony z Austinami. Jego nie może spotkać żadna krzywda. Tylko twój chłopak wpadł w tarapaty.

Susie zarumieniła się z lekka. Fakt, spotykała się niekiedy z Danem, ale ich związek nie wykroczył poza ramy okazjonalnych kolacji w „21” czy premier na Broadwayu. Miała cichą nadzieję, że coś z tego wyjdzie, na razie jednak musiała zadowalać się lekkimi pocałunkami w czoło, jakimi ją obdarzał odprowadziwszy pod dom. Wiedziała, że przyklejono jej etykietkę „jego dziewczyny”, co znalazło nawet odzwierciedlenie w prasie. Ceniła sobie prestiż, jakiego ten fakt przysparzał jej wśród innych sekretarek.

Ethel wzruszyła ramionami. — Cóż, daję ci po prostu cynk. Lepiej przygotuj się na paskudny wieczór z Wielkim Dantonem. Pójdzie w tango, jeśli dostanie kopa.

Susie wiedziała, że Dan cieszy się opinią ostro pijącego faceta, ale w jej towarzystwie pozwalał sobie najwyżej na dwa martini i nie robił nic, co byburyło jego spokój. Popatrzyła na Ethel i uśmiechnęła się.

— Nie sądzę, że powinnaś się martwić o Dana. Jestem pewna, że jeśli straci tę pracę, dostanie masę innych propozycji.

— Nie było cię tutaj, gdy Colin Chase, cytując: zrezygnował, koniec cytatu. Zapytany wówczas o zamierzenia, odpowiedział: „Kiedy człowiek jest kapitanem sterowca, a sterowiec eksploduje, oznacza to koniec również dla kapitana. Bo w końcu na ilu innych sterowcach czekają wolne posady dowódcy?” — Ethel poczekała, aż jej słowa wywrą należyty efekt, a potem dorzuciła: — Można poczuć się piekielnie osamotnionym i przemarzniętym, czekając w Lakehurst na przylot następnego sterowca.

Susie uśmiechnęła się. — Nie myślę, żeby Dan wybrał się do Lakehurst.

— Kochanie, każde miejsce zmienia się w Lakehurst, kiedy nie masz sterowca. Colin Chase wciąż wysiaduje w „21” albo w Colony przy swoich trzygodzinnych lunchach i czeka, aż będzie mógł pójść na drinka do Louisa i Armanda.

Susie badawczo przyglądała się w lustrze swojej fryzurze.

Ethel dała za wygraną.

— Okay, udawaj, że cię to nie rusza, jeśli chcesz, ale założę się o lunch, że Dan poleci. Jest w najprawdziwszych kłopotach.

Susie została w pudrowalni sama. Martwiła się o Dana, ale jeszcze bardziej martwiła się o siebie. Jeśli przyjdzie nowy facet, to na pewno z własną sekretarką. A ona? — przecież nie może wrócić do „chlewika”! Będzie musiała zacząć szukać pracy.

Boże, wydała tygodniową pensję na nową suknię, bo w przyszłym miesiącu mieli iść z Danem na przyjęcie z okazji nagród Emmy. Ogarniała ją panika. Widziała współczynniki oglądalności. Wszystkie leciały w dół. Fakt, *Wiadomości* najbardziej, ale Ethel miała słuszność — Morgan White był spokrewniony z Austinami. Prawdziwym kozłem ofiarnym będzie Danton. Wprawdzie wyglądał na spokojnego, kiedy rano kładła mu na biurku wiadomość, tylko że po nim nigdy nie było niczego widać. Szkoła, jaką przeszedł na Madison Avenue, i nieodłączny koci uśmiech sprawiały, że zawsze zdawał się panować nad sytuacją.

W istocie Dan był zaniepokojony. Przeczuwał katastrofę od chwili, gdy rzucił okiem na liczby; na widok przyniesionej przez Susie wiadomości poczuł pustkę w żołądku. Uwielbiał swoją robotę, emocjonującą i stymulującą razem. Lecz im bardziej napawał się ważnością swej pozycji, tym silniej narastał w nim lęk przed upadkiem. Nie można podejmować ryzyka, kiedy stawką jest kariera. Na ryzyko mogli pozwalać sobie szefowie innych sieci, bo nie pracowali dla takiego maniaka jak Gregory Austin, który uważa się za Bernarda Barucha i Davida Merricka w jednej osobie. Czego usiłuje dowieść?

O dziesiątej dwadzieścia siedem wyszedł z gabinetu i ruszył ku windzie. Spojrzył w głąb holu na imponujące orzechowe drzwi, opatrzone inskrypcją ze

złotych liter: MORGAN WHITE. Zdawały się tchnąć spokojem. Jasne, Morgan był bezpieczny. Gregory Austin uznał, że złoży w ofierze Dantona Millera, Juniora.

Kiedy kabina windy wystrzeliła ku nadbudówce na dachu budynku, Danton pogodnie skinał głową windziarzowi. Sekretarkę Austina powitał szerokim uśmiechem. Ukazała mu gestem drzwi prowadzące w głąb królestwa szefa. Pomyślał z zazdrością, że siedzi w swej wyłożonej boazerią podniebnej klatce beztroška i bezpieczna.

Wszedł do przestronnej sali recepcyjnej, gdzie Gregory zwykle witał ważne osobistości — wielkich sponsorów czy też szefów agencji reklamowych, kupujących w IBC za miliony dolarów czas emisyjny. Dalej była sala konferencyjna i luksusowy gabinet Gregory'ego.

Chcąc go wylać i pragnąc mieć to z głowy jak najszybciej, Gregory tu właśnie powinien nań czekać. Nie czekał jednak, co mogło stanowić dobry omen. Z drugiej strony Gregory'emu mogło zależeć na tym, żeby go najpierw rozmiekczyć. Koniec końców zatem omen mógł być zły.

Usiadł na jednej ze skórzanych kanap i powiódł smętnym spojrzeniem po wypełniających salę ładnych kolonialnych meblach. Zerknął na nienaganne kanty swoich spodni od Dunhilla. Dobry Boże, on, Danton Miller Jr., w chwili obecnej prezes sieci telewizyjnej, może za pięć minut zostać bezrobotnym.

Wyjął papierosnicę. Mimo ostrzegawczego, równego pieczenia wrzodu wybrał papierosa i postukał nim o wieczko. Powinien wziąć coś na uspokojenie przed wyjściem z gabinetu. Powinien wczoraj wieczorem trzymać się z daleka od gorzały. Cholera, powinien był zrobić wiele różnych rzeczy! Wpatrywał się w papierosnicę. Wybrał ją z wielką uwagą. Trzysta dolarów. Inkrustowana złotem skóra młodego czarnego aligatora. Za te same pieniądze mógł mieć wyrób z litego złota, który jednak nie pasowałby do dyskretnej elegancji, jaką sobie narzucił — czarne garnitury, czarne krawaty, białe, koszule. Miał dwanaście czarnych garniturów i pięćdziesiąt identycznych czarnych krawatów. Każdy krawat był opatrzony na podszewce dyskretnym numerkiem; pomagało to w codziennej rotacji. Czarny garnitur ułatwiał życie — doskonały do biura, był równie szykowny na ważne spotkanie przy kolacji. Papierosnica stanowiła nieoceniony rekwizyt. Proszony o natychmiastową decyzję, mógł sięgnąć po papierosnicę, wybrać i obstukać papierosa, zyskując w ten sposób chwilę do namysłu. Cały manewr był również skutecznym substytutem wycinania skórek, obgryzania paznokci i innych działań, w których przejawia się zdenerwowanie.

Miał zwilgotniałe dłonie. Jakże nie chciał tracić tej roboty! Stanowiła o jego sile; jedynym miejscem, dokąd mógł odejść, była Walhalla zdymisjonowa-

nych prezesów sieci telewizyjnych — przesycione martini czterogodzinne lunchy w „21”.

Wyjrzał przez okno, za którym blade słońce usiłowało zdobyć się na kilka promieni. Wkrótce przyjdzie wiosna. Doczeka jej ta kanapa, na której teraz siedzi, doczeka jej sekretarka w sąsiednim pomieszczeniu. On będzie w tym towarzystwie jedynym wyjątkiem. Nagle zrozumiał, co odczuwa skazanie, wiedziony na krzesło elektryczne, spoglądając na świadków egzekucji. Wciągnął głęboko powietrze, jakby pragnął nasycić się ostatnimi sekundami życia, które zaraz zostanie mu odebrane. Olbrzymi gabinet, wyjazdy na Wybrzeże, bungalow w hotelu Beverly Hills, dziewczyny... Nie był człowiekiem świadomie religijnym, lecz mimo to posłał ku niebu małą modlitwę-przyrzeczenie. Jeśli przebrnie przez to i nie zostanie wylany, wszystko się odmieni. Zrobi tak, że liczby wzrosną. Zrobi, jeśli nawet będzie musiał podkraść programy innym sieciom. Zacznie tyrać po dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przyhamuje z wodą i panienkami. Była to przysięga i zamierzał jej dotrzymać. Czyż nie przestrzegał narzuconej samemu sobie zasady powstrzymywania się od picia przy lunchu? Motywem decyzji była degradacja Marka Lestera. Mark kierował wielką agencją reklamową. Na oczach Dana przeszedł z dwóch do czterech, a potem pięciu martini przy każdym lunchu. Martini podbudowuje w mężczyźnie pewność siebie i rozwiązuje mu język. Na oczach Dana Mark zjechał ze stanowiska prezesa wielkiej agencji na posadę wiceprezesa znacznie mniejszej. Potem było już tylko bezrobocie i peñnoetatowy alkoholizm.

Dan żywił przekonanie, że martini przy lunchu stanowi w telewizji jedno z największych zagrożeń zawodowych. Dlatego z bezwzględną surowością przestrzegał abstynencji za dnia. Uważał, że to, co robi po godzinach, jest jego prywatną sprawą. W ciągu minionego roku robił jednak tego zbyt wiele. Może dlatego, łamiąc inną ze swych zasad — oddzielając życie towarzyskie od służbowego — przykleił się do Susie Morgan. Susie była dla niego za młoda, więc nie brał się za nią ostro i przy okazji wspólnych wyjść uważał z piciem. Dwudziestotrzylatki mają wypisane na czole słowo „Małżeństwo”. Jeśli chodzi o seks, lepsze były już dziwki, a nawet trzepanie kapucyna. Dziewczyny w rodzaju Susie nadawały się do dekoracji. Jeśli utrzyma robotę, zrezygnuje nawet z dziwek. Będzie wieczorami przesiadywać w domu, gapić się w ekran, podglądać, co robi konkurencja, szukać powodów słabości IBC. Próbować wy-czuć, czego pragnie publika. Bo kto to, u diabła, wie? Przecież sami widzowie nie mają pojęcia.

Rozwarły się masywne drzwi i wkroczył Gregory Austin. Dan zerwał się jak pchnięty sprężyną. Gregory trzymał w dłoni dane. Podał Morganowi ar-

kuszy i gestem polecił mu usiąść. Dan studiował liczby, jak gdyby widział je po raz pierwszy. Kątem oka obserwował przechadzającego się po sali Austina. Skąd ten facet ma tyle energii? Dan, młodszy o dziesięć lat, nie potrafił poruzać się tak sprężysto. Austin nie był wysokim mężczyzną: mierzący pięć stóp dziesięć cali Dan sporo go przerastał. Emanowała zeń jednak męskość i poczucie mocy, wszystko w nim było pełne życia i energii: rude włosy, piegry na silnych, opalonych dłoniach, płaski brzuch, szybkie ruchy i nagły rozbijający uśmiech. Wedle pogłosek, zanim poznał Judith, prowadził wśród hollywoodzkich gwiazdek intensywną działalność erotyczną. Później wszystkie inne kobiety przestały dlań istnieć.

— No i co sądzisz o liczbach? — zapytał Gregory znienacka.

Dan skrzywił twarz.

— Dostrzegłeś coś szczególnego?

Dan wyjął papierośnicę. Odłowił i obstukał papierosa.

Gregory wyciągnął ramię, poczęstował się, lecz zignorował podsunętą przez Morgana zapalniczkę.

— Rzuciłem tydzień temu — oznajmił. — Wystarczy, że trzymam w zębach. To się sprawdza. Powinieneś spróbować, Dan.

Dan zapalił i powoli wypuścił dym. Złożył następne przyrzeczenie opiekuńczemu bóstwu prezesów sieci telewizyjnych. Jeśli wychodząc z tej sali wciąż będzie miał stanowisko, w życiu nie weźmie papierosa do ust.

Gregory pochylił się i porośniętą rudozłotymi włoskami krępką dłonią wskazał dane, dotyczące oglądalności programów informacyjnych.

— Jesteśmy w dołku — stwierdził Dan tonem człowieka, dokonującego niespodziewanego odkrycia.

— Zauważyłeś coś jeszcze?

Dana zjadliwie dźgnął wrzód. Jego oczy jak przyciągane magnesem zjeżdżały ku dwóm magazynom na samym dole dziesiątki. Były jego pomysłem. Zmusił się jednak, by podać Gregory'emu czyste niewinne spojrzenie.

Palec Austina niecierpliwie postukał w stronicę.

— Popatrz na nasze wiadomości lokalne. Nie tylko zachowują oglądalność, lecz w niektóre wieczory biją CBS, ABC i NBC. Wiesz dlaczego? Z powodu faceta o nazwisku Robin Stone!

— Widziałem go parę razy, jest niezły — zełgał Dan. Nigdy nie widział Stone'a i nie oglądał dziennika IBC o dwudziestej trzeciej. O tej porze albo urzęnięty zasypiał, albo przełączał się na NBC i czekał na *Dziś Wieczorem*.

— Od miesiąca oglądam go codziennie — oznajmił Gregory. — Pani Austin uważa, że jest doskonały. A to kobiety decydują, na którym kanale ich mężowie oglądają wiadomości. W przypadku każdego innego programu męż-

czyzna może przeforsować swój punkt widzenia, ale o wyborze wiadomości postanawia ona. Bo wiadomości są takie same na każdym kanale — wybór dotyczy tylko tego, który je sprzedaje. Dlatego właśnie zdjąłem Robina Stone'a z lokalnych. Zamierzam dać go do głównego dziennika o siódmej, obok Jima Bolta.

— Po co w ogóle zatrzymywać Jima?

— Bo ma kontrakt, który jeszcze nie wygasł. Poza tym nie chcę, żeby Stone ugrzązł w tym jednym programie. Mam w związku z nim inne plany. Ten gość może się stać następnym Murrowem, Cronkite'em, Huntleyem czy Brinkleyem. Stworzymy go, a on ze swojej strony zrobi nam program o siódmej. Pod koniec lata jego twarz będzie znana w całym kraju. Zostanie głównym sprawozdawcą z konwencji. Musimy rozbudować nasz dział informacyjny, można to osiągnąć tylko dzięki osobowości. Naszą będzie Robin Stone.

— Może — powiedział powoli Dan. Zastanawiał się, co wypłynie w następnej kolejności. Poruszali się po terytorium, którym z prawa władał Morgan White.

Jak gdyby czytając mu w myślach Gregory powiedział: — Morgan White musi odejść. — Było to ciche, beznamienne oświadczenie.

Dan milczał. Oszołomiony obrotem wydarzeń, zastanawiał się, dlaczego jemu właśnie Gregory zwierza się ze swych planów. Zwykle trzymał wszystkich na dystans.

— Kto zastąpi Morgana?

Gregory wbił weń spojrzenie.

— A o czym ja ci, do jasnej cholery, mówię? Czy zawsze muszę wyklądać kawę na ławę? Nie chcę, żeby Robin Stone był tylko spikerem. Chcę, żeby kierował działem!

— Sądzę, że to wspomniały pomysł — ogarnięty ulgą z powodu odroczenia własnej egzekucji, Dan pozwolił sobie na entuzjazm.

— Tylko że nie mogę wylać Morgana; on sam musi zrezygnować.

Dan przytaknął, wciąż zbyt wystraszony, żeby zdobyć się na komentarz.

— Morgan to beztalencie, ale nie brak mu dumy. To cecha rodzinna. Jego matka i matka pani Austin były siostrami. Otóż liczę właśnie na jego dumę. Chciałbym, abyś po wyjściu ode mnie przesłał Morganowi notatkę z informacją, że zatrudniłeś Robina Stone'a na stanowisku dyrektora Programów Informacyjnych Sieci.

— Dyrektora Programów Informacyjnych Sieci?

— Nie ma takiego etatu ani funkcji, wiem. Wymyśliłem to ad hoc i tymczasowo. Morgan też znacznie się zastanawiać, co to za cholera. Przyjdzie do ciebie. Powiesz, że powołałeś takie stanowisko dla Robina Stone'a, żeby

zwiększyć oglądalność. Że Robin Stone będzie miał wolną rękę, jeśli chodzi o dokonywanie zmian w pracy działu... i że odpowiada tylko przed tobą. Rozumiesz?

Dan bez pośpiechu skinął głową. — Morgan zacznie twierdzić, że wtrącam się w jego sprawy...

— Nie wtrącasz się. Jako szef firmy masz prawo sugerować zmiany w poszczególnych pionach.

Dan uśmiechnął się. — Sugerować, ale nie wprowadzać...

— Nie bawmy się w niuansy semantyczne. Morgan w te pędy przyleci do mnie. Udam zaskoczenie, lecz odpowiem, że twoje stanowisko daje ci prawo zatrudniania nowych ludzi.

— A jeśli Morgan nie da za wygraną?

— Da — powiedział Gregory. — Mogę się założyć.

Gregory odrzucił nie zapalonego papierosa, a Dan powstał. Rozmowa była skończona. Życie Dana zostało oszczędzone. Wyszedł z biura z nowym poczuciem bezpieczeństwa: jeszcze przez jakiś czas nic nie zagrażało jego stanowisku. Gregory chciał, by to on właśnie wyimpasował Morgana, i myśl o prestiżu, jakiego przysporzy mu to w branży, przyprawiała Dana o przyjemny zawrót głowy. Wszyscy wiedzieli o powinowactwie Morgana, White'a z Gregorym Austinem i oto on, Danton Miller Jr., ogłosił nominację Robina Stone'a na szefa PIS. Powstanie ogólne przeświadczenie, że jest dostatecznie potężny, by wylać Morgana White'a bez słowa protestu ze strony Gregory'ego Austina! Po mieście pójda słuchy, że „Danton Miller Jr. jest państwem w państwie”.

Jego dłoń drżała, kiedy redagował notatkę do Morgana White'a. Dopiero którąś z kolei wersję podyktował Susie. Zastanawiał się, jak szybko rozgłosi nowiny po gmachu. Rozsiadł się w fotelu, sięgnął po papierosa, lecz przypomniawszy sobie przysięgę, cisnął go do kosza.

Wstał i wyjrzał przez okno. Świeciło słońce, a niebo było prawie tak błękitne, jak porcelana Wedgwooda. Nadciągała wiosna, on zaś, wciąż żywy, mógł ją powitać.

Odrzucił się z opanowaniem, kiedy Morgan White wpadł jak bomba do jego gabinetu.

— O co w tym wszystkim chodzi? — zapytał podniesionym głosem Morgan.

— Siadaj, Morgan... — Dan sięgnął po papierosnicę, zawahał się, a potem ją otworzył. Do diabła, jeśli Bóg jest, musi wiedzieć, że w takiej chwili człowiek nie może sobie odmówić papierosa!

Rozdział czwarty

Nazajutrz praca w IBC toczyła się normalnie. „New York Times” zamieścił zdjęcie Robina Stone'a i krótką notatkę, że został dyrektorem Programów Informacyjnych w miejsce Morgana White'a, który podał się do dymisji. W dziale, oczekiwaniu na przybycie Robina Stone'a, towarzyszyła atmosfera tłumionego niepokoju. Ponieważ Robin zawsze był samotnikiem, wszelkie spekulacje ograniczyły się właściwie do próby udzielenia odpowiedzi na pytanie: „Jaki ten facet naprawdę jest?” Jedyną osobą, która miała z nim kiedykolwiek coś na kształt kontaktów towarzyskich, był kamerzysta Bill Kettner: dwukrotnie po *Wiadomościach* o dwudziestej trzeciej poszedł z Robinem do baru, w tym raz, aby obejrzeć mecz baseballowy. Prowadziło to do konkluzji, że Robin Stone lubi baseball. Drugi pewnik dotyczył faktu, że potrafi wałnąć trzy martini z wódką pod rząd równie gładko jak sok pomarańczowy. I to było wszystko, co zdołano ustalić.

Widywano go również w „P.J.”, zawsze w towarzystwie ładnych dziewczyn, a niekiedy również Jerry'ego Mossa. Z Jerrym Mossem, swoim jedynym — jak się zdawało — przyjacielem, Robin spotykał się codziennie przy drinku w Lancer Bar.

— Gdzie, do cholery, jest ten Lancer Bar?

Zdaniem Jima Bolta był przy Zachodniej Czterdziestej Ósmej. Sam Jackson utrzymywał, że z całą pewnością na Pierwszej Alei. Sprawdzili w książce telefonicznej. Był przy Wschodniej Pięćdziesiątej Czwartej.

Nikt nie znał tego lokalu.

W środę wieczorem połowa działu informacyjnego powędrowała do Lancer Bar. Robin Stone się nie pokazał.

W czwartek jeden z reporterów znów zabłądził na Wschodnią Pięćdziesiątą Czwartą, bo polubił Lancer Bar. I zastał w nim Robina Stone'a. Z Jerrym Mossem i najpiękniejszą dziewczyną świata.

Nie pozostawało do roboty nic innego, jak czekać na inicjatywę Robina Stone'a. Okazał ją w piątek po południu. Na każdym biurku znalazła się notatka:

W PONIEDZIAŁEK O DZIESIĄTEJ TRZYDZIEŚCI W SALI KONFERENCYJNEJ NA OSIEMNASTYM PIĘTRZE ODBĘDZIE SIĘ ZEBRANIE DZIAŁU.

ROBIN STONE

Sala zaczęła się zapełniać o dziesiątej dwadzieścia. Gdy pięć minut później wkroczyła Ethel Evans, Jim Bolt popatrzył na nią z zaciekawieniem: nie miała prawa wtykać tu nosa. Pochłonięty jednak własnymi myślami — nowy szef oznaczał bowiem duże przetasowania — uznał tylko, że wtyka go bardzo odważnie i zachowuje niewymuszoną pewność siebie.

Było to złudzenie i Ethel wcale nie czuła się pewnie. Spostrzegła, że większość pracowników działu siada automatycznie, tak jakby każdy z nich miał przypisane sobie stałe miejsce. Centrum wąskiej sali zajmował długi stół, kilka dodatkowych krzeseł stało pod ścianą. Wszyscy wchodzili przez drzwi z korytarza; drugie, w przeciwległym końcu pomieszczenia, były nadal zło-wróźnie zamknięte i to one właśnie przyciągały spojrzenie Ethel. Niebawem pozostało wolne tylko miejsce u szczytu stołu. Po chwili wahania Ethel wzięła krzesło spod ściany i wcisnęła się z nim pomiędzy jednego z researcherów a sprawozdawcę sportowego.

O dziesiątej trzydzieści pojawił się zastępca Morgana, Randolph Lester. Ethel spostrzegła, że emanuje zeń pewność siebie, może zatem Robin dał mu jakoś do zrozumienia, że jego pozycja nie jest zagrożona... Był ubrany w czarny garnitur i nosił czarny krawat — wizerunek pracownika IBC, zainspirowany przez Dantona Millera. Lester posłał zebrany ojcowski uśmiech.

— Dzień dobry, panie i panowie — powiedział. — Wiem, że nominacja pana Robina Stone'a na stanowisko szefa programów informacyjnych budzi w was, jak zresztą w całej firmie, spore podniecenie. Niektórzy z państwa współpracowali już z panem Stone'em, inni — spotkają go dziś po raz pierwszy. Powiem tylko, że tak pan Gregory Austin, jak i prezes Danton Miller z najwyższą satysfakcją powierzają mu przyszły los naszych programów informacyjnych. Zostaną, to oczywiście, wprowadzone pewne zmiany, w istocie bardzo wiele zmian. Nie wątpię wszakże, iż jest dla państwa jasne, że nie odbije się to w jakiś niekorzystny sposób na państwa talentach i osiągnięciach — jedynym ich celem będzie pogłębienie naszych programów informacyjnych, poszerzenie obszaru zainteresowań i, najogólniej rzecz biorąc, podniesienie jakości.

— Dlaczego nie powie po prostu: osiągnięcie wyższych współczynników oglądalności? — wyszeptał ktoś obok Ethel.

Ktoś inny mruknął:

— Do zobaczenia w kolejce po zasiłek!

— Polityka IBC zawsze polegała na tym... — ciągnął Randolph Lester, ale przerwał, gdy drzwi w głębi otworzyły się gwałtownie i do sali wpadł Robin Stone.

Zabrzmiały wątle oklaski, ale coś w oczach Robina sprawiło, że natychmiast zamarły. Robin uśmiechnął się szeroko, a wszyscy poczuli się jak gro-

madka niesfornych dzieciaków, którym dobry wujek wybacza oto bezmyślny postępek.

Robin Stone powiódł spojrzeniem wzdłuż stołu, ale jego oczy nie spoczęły na nikim w szczególności. Wyglądało to tak, jakby szacował liczbę obecnych, rozmiar sali, jej wystrój. Znowu błysnął spokojnym szerokim uśmiechem. Ethel zauważyła, że ten uśmiech, paraliżujący jak silny ładunek elektryczny, zaczyna przełamywać nieufność zebranych. Robin wydał jej się nagle mężczyzną bardziej godnym pożądania niż najbardziej seksowny gwiazdor filmowy. Boże, przedrzeć się przez tę stalową fasadę... mieć go w ramionach... zawładnąć nim... choćby przez jedną sekundę. Przez długość stołu mogła go obserwować, nie zwracając na siebie uwagi. Nagle spostrzegła, że śmieją się tylko jego usta, oczy natomiast pozostają zimne.

— Przyjrzałem się funkcjonowaniu programów informacyjnych — powiedział Robin spokojnie. — Wszyscy jesteście dobrzy, a jednak pod względem wskaźników oglądalności IBC wlecze się w tyle za innymi sieciami. Musimy w naszą robotę włożyć więcej zapału. Ja, pamiętajcie, byłem, jestem i będę przede wszystkim dziennikarzem; to moje pierwsze zetknięcie z funkcją kierowniczą... W lotnictwie, kiedy koniec końców przyczepili mi na ramieniu parę belek, nie przestałem wcale latać jako pilot myśliwca. Teraz też nie będzie inaczej.

Kiedy mówił, Ethel nie spuszczała zeń oka. Był cholernie przystojny; zimny jak lód, ale przystojny. Sześć stóp trzy cale wzrostu i ani zbędnego grama. Znow się uśmiechał. Tym uśmiechem mógł wygrać każdą wojnę.

— Zamierzam działać tu, wśród was, w pierwszej linii. Tego lata chcę powołać wystrzałową ekipę do obsługi konwencji — podjął. — Dołącz do niej Andy Parino z naszej stacji w Miami. Jak więc widzicie, mój pomysł nie polega na redukowaniu, lecz rozbudowie. — Odwrócił się do Randolpha Lestera. — Ale najpierw powinienes mi chyba wszystkich przedstawić.

Obeszli stół, a Robin uściskiem dłoni witał kolejnych pracowników działu informacyjnego. Uśmiech wprawdzie nie zniknął mu z twarzy, lecz oczy były nieobecne, rzucane zaś uwagi najzupełniej bezosobowe, jak gdyby wszystkich tych ludzi Robin widział po raz pierwszy w życiu.

Na widok Ethel Lester zdziwił się, zawahał przez moment, a potem pośpiesznie ją minął. Nastąpiło to tak błyskawicznie, że Ethel nawet nie zdążyła zrozumieć powodu tego rozmyślnego lekceważenia. Patrzyła, jak powracają do szczytu stołu. Robin jednak nie usiadł. Jego oczy przesunęły się nad głowami zgromadzonych i badawczo spoczęły na Ethel.

— Nie sądzę, abyśmy zostali sobie przedstawieni — powiedział.
Wstała. — Nazywam się Ethel Evans.

— Stanowisko?

Poczuła na ciele falę gorącą.

— Pracuję w biurze prasowym...

— Cóż, wobec tego, robi pani tutaj? — Wciąż się uśmiechał i mówił spokojnie, ale jego spojrzenie było lodowate.

— Ja... pomyślałam sobie... że ktoś musi zostać skierowany do programów informacyjnych... żeby nagłośnić nowe pomysły. Doszłam do wniosku, że będzie pan kogoś potrzebował. — Pospiesznie usiadła.

— Kiedy będę kogoś potrzebował, z pewnością zwrócę się do biura prasowego — oświadczył z tym samym półuśmiechem. — A teraz, myślę, powinna pani wrócić tam, skąd przyszła.

Opuściła salę, odprowadzana wzrokiem wszystkich obecnych. W korytarzu oparła się o drzwi. Poczuła mdłości i chociaż pragnęła znaleźć się jak najdalej stąd, stała w miejscu, wsłuchana w jego głos, dobiegający ze środka. Nie mogła się ruszyć, była w szoku.

Usłyszała, jak Lester pyta Robina, czy poniedziałek odpowiada mu jako dzień cotygodniowych kolegiów.

— Nie będzie regularnych kolegiów — odparł Robin. — Będę je zwoływał w miarę potrzeb. I chciałbym zmienić jeszcze jedno.

Na chwilę zapadła cisza. Ethel wiedziała, że wszyscy z przejęciem nastawiają uszu. Potem znowu rozległ się głos Robina: — Wywalcie ten stół, ma być okrągły.

— Okrągły? — To Lester.

— Tak, duży okrągły stół. Nie lubię ani siedzieć, ani stać u szczytu. Nie życzę sobie żadnych wyznaczonych miejsc. Jeśli działamy jako zespół, siedzimy również jako zespół. Znajdźcie mi duży okrągły stół.

Kolejna chwila ciszy, a potem szum zmieszanych głosów; Ethel domyśliła się, że Robin wyszedł z sali. Zastłuchana w pełną odprężenia paplaninę, Ethel pojęła, że w każdej chwili mogą zacząć wysypywać się na korytarz. Ruszyła pędem. Nie chciała czekać na windę, bo nie potrafiłaby spojrzeć im w oczy. Zbiegła po schodach i piętro niżej ukryła się w pustej, dzięki Bogu, toalecie. Ścisnęła krawędź umywalki z taką siłą, że kostki jej dłoni pobielały jak śnieg. Po twarzy Ethel spłynęły łzy upokorzenia.

— Ty skurwysynu — zachlipała. — Nienawidzę cię! Nienawidzę! — Wytarła oczy, spojrzała w lustro i rozplakała się na nowo. — Dobry Boże, dlaczego nie jestem piękna?

Rozdział piąty

Na całą resztę dnia Ethel zakopała się w swoim biurze; lękała się jakichkolwiek spotkań, żywiąc przekonanie, że upokarzający sposób, w jaki Stone wyrzucił ją z narady, stanowi temat ogólnych żartów.

Uczciwie jednak wykorzystała ten czas i przepisała na maszynie wszystkie zaległe komunikaty, jakie spiętrzyły się na jej biurku.

O wpół do siódmej na piętrze, gdzie mieściło się biuro prasowe, zapanaowała pustka. Praca pozwoliła Ethel niemal zapomnieć o upokorzeniu — była teraz po prostu zmęczona i wyprana z wszelkich emocji.

Wyjęła lusterko, żeby poprawić makijaż, i ponuro zagapiła się w swoje odbicie: twarz wyglądała fatalnie... Z westchnieniem wstała od maszyny, by stwierdzić, że przyciasna spódnica jest zmiętoszona jak szmata. Wszystko, co jadła, szło jej w biodra. Naprawdę trzeba zacząć ostrą dietę.

Zjechała windą do opustoszałego holu; kawiarnia była jeszcze otwarta. Ethel doszła do wniosku, że jest już za późno, aby pod pretekstem pogaduchy ze znajomymi przy barku iść do Louisa i Armanda. Wszyscy na pewno już się zmyli, ustępując miejsca kolacyjnemu towarzystwu. Weszła więc do kawiarni i zamówiła kawę. Zwykle brała do niej śmietankę i podwójny cukier, teraz jednak — dieta! — poprzestała na czarnej gorzkiej. Przypatrywała się dłoniom kelnerki, nalewającej kawę do filiżanki. Były czerwone i spękane od mycia naczyń. Czy ta dziewczyna ma jakieś marzenia? — zastanawiała się Ethel. Czy liczy na lepszy los? Bo w kwestii urody ma na pewno więcej powodów do zadowolenia niż Ethel, jest szczupła, o urodziwej buzi. A przy tym wygląda na zupełnie zadowoloną z tego, że przez cały dzień jest na nogach, przeciera zalany bar, wysłuchuje pieprzenia klientów i z uśmiechem przyjmuje groszowe napiwki... podczas gdy Ethel Evans zarabia sto pięćdziesiąt tygodniowo!

Wyjęła kosmetyczkę i musnęła szminką wargi. Nie była piękna, ale mogła się podobać, ba, nawet całkiem, całkiem... tylko że niejednego jej brakowało. Cholera by wzięła te szczeliny między zębami i cholera by wzięła tego parszywego dentystę, który żądał trzech setek za zrobienie koronki. Była gotowa iść z nim w ramach rozliczeń do łóżka, a on uznał to za żart. Kiedy upewniła go, że to propozycja serio, uparcie udawał niedowierzanie. Wtedy pojęła, że po prostu nie ma na nią ochoty! Doktor Irving Stein, ten mały zgniłek, nie miał ochoty na nią, na Ethel Evans, która pieprzyła się tylko z waźniakami i zaśnieżyła w IBC jako „materac VIP-ów”!

Wyszła z kawiarni i niepewnie zatrzymała się w holu. Nie miała ochoty wracać do domu; był to dzień, w którym jej współlokatorka rozjaśniała zwykle

włosy i w całym mieszkaniu panował okropny bałagan. Bo poza tym dzielenie chaty z Lilian, pracownicą agencji Bensona-Ryana, miało wiele dobrych stron. Chodziły do roboty w tych samych godzinach, obracały w podobnych kręgach. Poznały się tamtego szalonego lata na Fire Island, kiedy to sześć dziewczyn zrobiło zrzutkę na wynajęcie domu letniskowego. Nazwały go Domem Sześciu Bałownic. Miały tablice i notowały wyniki. Ilekroć jedna z nich przeleciała faceta, pozostałe musiały wnieść do puli po dolarze; pod koniec wakacji cała pula miała przypaść tej, która poszczyci się najokazalszym dorobkiem. Lilian pobiła Ethel o dwunastu facetów, ale też Lilian nie była wybredna. Dobra, wesoła dziewczyna, tyle że łajzowata, potrafiła iść do łóżka z byle wicedyrektorem, podczas gdy w przypadku Ethel wice kwalifikował się w ostateczności do wymiany żarcików przy barze u Louisa i Armanda.

Uświadomiwszy sobie nagle, że gapi się na nią cieć, Ethel wyszła z gmachu i ruszyła w kierunku P.J. Clarke'a. Faceci przy barze parkowali w trzech rzędach i było wśród nich kilku znajomych z rozmaitych agencji; sącząc jedno piwo Ethel przemarudziła z nimi godzinę, wysłuchiwała kilkunastu sprośnych kawałów, ale ani przez chwilę nie oderwała wzroku od drzwi. Miała nadzieję, że pojawi się w nich ktoś obiecujący. Ktoś, kto postawi jej kolację...

O wpół do ósmej zobaczyła wkraczającego samotnie Dantona Millera. Gdzie, do diabła, podziała się Susie? — pomyślała ze zdziwieniem. Omiótł ją wzrokiem i nawet nie skinął głową na powitanie, przyłączył się do kilku mężczyzn przy drugim końcu baru.

Po następnej godzinie jak na wystrzał startera wszyscy faceci pognali ku drzwiom, pragnąc zdążyć na ostatnią kolejkę, i ani jeden sukinsyn nie wyrwał się, żeby zapłacić rachunek Ethel, która zaczynała już być porządnie głodna. Może, jeśli wejdzie do restauracji i posiedzi przy hamburgerze, Lilian zdąży uporać się ze swoim farbowaniem i bajzłem?

Usiadła samotnie przy stoliku. Chociaż ssało ją w dołku, zostawiła pół butki. Cholera, czemu wypija to piwo? Ważyła ostatnio sto czterdzieści funtów. Owszem, miała szczupłą talię i rewelacyjny biust — trzydziestka ósemka, jędrny i sterczący — ale problem stanowiły biodra i pupa. Jeśli nie zrzuci nadwagi teraz, w przyszłości jest bez szans. Za miesiąc skończy trzydzieści lat. I wciąż jest niezamężna!

Jasne, nie byłoby sprawy, gdyby zechciała poprzestać na jakimś tam kamerzyście z CBS czy barmanie z Village... Ale Ethel interesowała wyłącznie pierwsza liga. Jedna noc ze sławnym facetem była lepsza niż marna stabilizacja z jakimś zerem. Gwiazdorz filmowy, szepczący do niej w chwili orgazmu „Dziecinko, dziecinko”, rekompensował jej wszystko. W tej jednej chwili była piękna... była kimś. Mogła wówczas zapomnieć, kim jest naprawdę.

Zawsze, nawet jako dziecko, pragnęła być piękna — mała, gruba Ethel Iwanski z Hamtramck w Detroit. Pragnęła być piękna jedząc kartofle i smażoną cebulę, pragnęła być piękna, kiedy otoczona ledwie dla siebie zrozumiała gadaniną po polsku, grała w klasy, kiedy zaczytywała się w magazynach filmowych i słała listy z prośbami o autentyczne, opatrzone autografem zdjęcia Hedy Lammarr, Joan Crawford i Clarka Gable'a. Chciała być piękna także wówczas, gdy siedząc na schodach przed domem oddawała się razem ze swoją równolatką, rzadkowością Helgą Selanski, Grze — zabawie, która polegała na tym, że opowiadało się marzenia tak, jakby były rzeczywistymi wydarzeniami. Wszystko na tej ulicy było polskie — polscy Amerykanie w drugim pokoleniu zdawali się być uwięzieni w tym zamkniętym światku, skazani po wieczność na związek tylko między sobą. Chodzili do kina i wiedzieli, że istnieje inny świat, ale nawet nie przychodziło im do głowy, by spróbować się do niego wedrzeć. Dla Ethel jednak filmy i miejsca, jakie widziała na ekranie, nie były ledwie godzinami srebrzystej ucieczki. Hollywood istniał naprawdę. Tak samo Nowy Jork i Broadway. Nocami słuchała radia, a kiedy spiker informował, że muzyka jest transmitowana z Coconut Grove w Hollywood, nie posiadała się z podniecenia — w tej samej chwili tych samych melodii słuchały przebywające tam wielkie gwiazdy! Przez jedną chwilę doznawała wrażenia, że jest obok nich, w zasięgu ręki.

Ethel zawsze wiedziała, że porzuci Hamtramck. Najpierw marzyła o tym, by trafić do Nowego Jorku. Pewnego razu, kiedy z Helgą słuchały muzyki nadawanej z nowojorskiej restauracji Paradise, Ethel rozpoczęła Grę — tym razem planowała, w co się ubierze, gdy jako dorosła kobieta pójdzie do takiego lokalu... i jaki gwiazdor będzie jej towarzyszył. Zwykle Helga pozwalała się wciągnąć w grę, tym razem jednak wysunęła nagle swój kościsty podbródek i oświadczyła: — Już się w to nie bawię. Jestem za duża.

Ethel ogarnęło zdumienie, a uległa dotąd Helga okazywała osli upór:

— Mama powiada, że powinnyśmy z tym skończyć; powiada, że najwyższy czas, abyśmy zaczęły patrzeć na życie praktycznie i nie ulegać mrzonkom.

— To nie są żadne mrzonki — odparła Ethel. — Będę kiedyś chodzić do takich miejsc, poznam aktorów filmowych i... i będę się z nimi całować!

Helga parsknęła śmiechem. — Głupia idiotka! Całować się z aktorami! Powtórz to jeszcze komuś, a cała ulica skona ze śmiechu. Nigdzie nie pojedziesz. Zostaniesz tu, jak my wszystkie, wyjdiesz za fajnego polskiego chłopa i będziesz mu rodzić dzieci.

Oczy Ethel zwęziły się jak szparki. — A właśnie... zobaczysz... poznam słynnych aktorów! Będę z nimi chodzić... może nawet któryś zostanie moim mężem.

Helga znów parsknęła śmiechem. — No i czy moja matka nie ma racji? Powiada, że możemy sobie gadać o Hollywood, dopóki wiemy, że to tylko marzenia... ale nie powinniśmy w nie wierzyć. Po prostu zwariowałaś. Nie będziesz chodzić z żadnymi gwiazdoram! Nazywasz się Ethel Iwanski, jesteś gruba, brzydka, mieszkasz w Hamtramck — czy którykolwiek aktor mógłby się na ciebie połakomić?

Wówczas Ethel wymierzyła Heldze policzek — siarczysty policzek — ale zarazem poczuła, że ogarnia ją lęk; bała się, iż Helga może mieć rację. Za nic jednak nie chciała ugrzęznąć na zawsze w tej dzielnicy, poślubić sympatycznego polskiego chłopaka, rodzić mu dzieci i przyrządzać kartofle z cebulą. Po co w ogóle rodzice przyjeżdżali z Polski? Gzy tylko po to, aby zapuścić korzenie w tej małej Polsce?

Wydarzeniem, które sprawiło, że ukończywszy szesnaście lat przystąpiła z ogromną determinacją do realizowania planów, snutych dotąd tylko okazji Gry, były oświadczyzny Petera Cinoceka. Młodzieniec ów — obdarzony wielkimi sterczącymi uszami pół-Czech, pół-Polak, a poza tym syn przyjaciółki ciotki Lotty — uchodził na rynku matrymonialnym za doskonałą partię. Dziś jeszcze pamiętała idiotyczny zachwyt, malujący się na twarzach rodziców, miała przed oczyma generalne porządki, poprzedzające wizytę konkurenta, widziała z największą wyrazistością, jak ojciec i matka nie mogą doczekać się wielkiej chwili. Ona — w świeżo wyprasowanym szlafroku, on — chudy, łysy i stary mimo swych trzydziestu ośmiu zaledwie lat. Boże, jakież wydawał się jej stary, zniszczony i bezkrwisty! Matka wyglądała przy nim jak okaz zdrowia.

Kiedy wreszcie pojawił się Peter Cinocek, najpierw dostrzegła jego uszy, potem wianuszek przyszyty otaczających na szyi monsturalny, nie całkiem jeszcze dojrzały czyrak. Matka jednak potraktowała go tak, jakby był co najmniej Clarkiem Gable; rozpromieniona postawiła na werandzie dzbanek z lemoniadą, a potem dyskretnie skryła się w kuchni, czekając na rozwój wydarzeń.

Na rozwój wydarzeń czekali zresztą wszyscy mieszkańcy uliczki. Wiedzieli, że do panny przybył oto zalotnik. Ethel i Peter siedzieli na huśtawce, wsłuchani w jej skrzyp i poszeptywania sąsiadów na gankach przyległych, identycznych domków; Ethel doskonale pamiętała te upchane ciasto drewniane pudełka o koślawych werandach, miniaturowych salonikach, jadalniach i kuchenkach, które zresztą stanowiły prawdziwe ośrodki życia rodzinnego. Dobry Boże, te bezkresne szeregi pojemników na śmieci, te godowe piski niezliczonych kotów w alejce za domem, to zrzęczenie sąsiada, usiłującego ochłodzić ich zapały wiadrami wylustywanej przez okno zimnej wody! Albo lichy ce-

łował, albo też zakochane do nieprzytomności zwierzaki lekce sobie ważyły jego wysiłki, bo po chwili ciszy przeraźliwe miauczenie rozbrzmiewało ze zdwojoną mocą.

Siedziała więc na skrzypiącej huśtawce z Peterem Cinocekiem, który zakończywszy opowieść o swej pracy wzięła ją za rękę swoją wilgotną, miękką dłonią i zaczął snuć marzenia: o domku — „takim jak ten” — i wielu, wielu dzieciakach. Wówczas porwała się z huśtawki i czmychnęła, by wrócić dopiero wtedy, gdy zyskała zupełną pewność, że wielkouchy konkurent zniknął z domu. Rodzinka nie posiadała się z uciechy. — Ach, ta nasza mała Ethel, wystraszyła się chłopca! A przecież jest stworzona do rodzenia dzieci... przy tych swoich szerokich biodrach nie będzie miała z tym żadnego kłopotu.

Kwitowała te przycinki milczeniem, ale zdwoiła wysiłki w szkole i jeszcze tego lata znalazła pracę biurową w centrum Detroit, stając się niebawem zupełnie kompetentną sekretarką. Wiodła zakonny żywot, ale nie była z tego powodu nieszczęśliwa: czekała. Składała pieniądze i czekała na swoją szansę.

Kiedy miała dwadzieścia lat i pięćset dolarów oszczędności, wyjechała do Nowego Jorku. Dzięki doświadczeniu zawodowemu — pracowała ostatnio w dziale prasowym małej agencji reklamowej — zdołała znaleźć zatrudnienie w biurze wielkiej agencji reklamowej i tam właśnie napotkała swą życiową szansę, gdy pomiędzy rzędy stukających w maszyny sekretarek zabłąkał się pijaniutki idol filmowy. Drżąc z podniecenia podążyła za nim do hotelu.

Otrzeźwiał w okamgnieniu, gdy dotarło do niego, że miał do czynienia z dziewczą, nie pamiętał jednak, że praktycznie rzecz biorąc, został przez tę dziewczę zgwałcony. Był natomiast przerażony możliwymi konsekwencjami. Zaproponował Ethel pieniądze, których ta wyniosłe nie przyjęła. Twierdziła z uporem, że obdarzyła go pierwszą dziewczęcą miłością. Gwiazdor zaczynał pogrążyć się w panice; był żonaty i kochał swoją żonę. Czy jest coś, co mógłby dla Ethel zrobić? Cóż... praca w sekretariacie nie należy do najbardziej ekscytujących.

Niezwłocznie przystąpił do działania. Wspomagany przez swego agenta, szybko i zrecznie załatwił Ethel przeniesienie do nowojorskiego biura prasowego wytwórni filmowej, z którą był związany kontraktem.

Nowe miejsce pracy stało się dla Ethel prawdziwym rajem — poznała wielu pijanych aktorów, a nawet kilku trzeźwych, wszystko jednak, co z nimi robiła, robiła z miłości. Jej wyczyny stały się głośne, w związku z czym kariera nabrała tempa. Kiedy otworzył się wakat w biurze prasowym IBC, Ethel natychmiast skorzystała z okazji: zdążyła już przecież zaliczyć wszystkich większych gwiazdorów wytwórni... Poza tym w telewizji zarabiała lepiej i — przy

zmienności obsadowej programów — miała prawie nieograniczone pole do popisu. Skoro w swej pracy była dobra, w hobby zaś wręcz znakomita, nie musiała w IBC obawiać się utraty stanowiska.

Świadoma, że jej szczególna reputacja znana jest jak Stany długie i szerokie, była dumna ze swojej sławy a nawet przezwiska, jakie jej nadano. Kiedy jedna z Sześciu Balownic podjęła pracę w dziale reklamowym wytwórni Century Pictures, Ethel nawiązała z nią korespondencję; dziewczyny wymieniały sążniste listy, przy czym Ethel z wielkim zamiłowaniem opisywała najdrobniejsze szczegóły swoich bieżących romansów, wystawiała partnerom noty, a nawet podawała kaliber ich aparatury. Owe listy, pisane przez Ethel w dowcipnym stylu, jej korespondentka Yvonne powielała i puszczała w obieg. Dowiedziawszy się o tym, Ethel zaczęła przywiązywać jeszcze większą wagę do plastyczności opisów. Odniosło to, z punktu widzenia Ethel, lepszy skutek niż płatna reklama w czasie największej oglądalności. Najgłośniejsze nazwiska stawiały sobie za punkt honoru, by podczas pobytu w Nowym Jorku trafić na listę rankingową Ethel. Nazwiska należą do sławnych mężczyzn... przystojnych mężczyzn...

Ethel często pragnęła, by chociaż kilka z jej przygód mogła sobie obejrzeć Helga. Helga postarzała zapewne i obładowana kupą dzieciaków. Helga, która wyszła za Petera Cinoceka!

Nagle podniosła głowę. Przy jej stoliku stał bardzo pijany Danton Miller.

— Cześć, maleńka — powiedział ze swym uśmiechem od ucha do ucha.

Odpowiedziała lekkim skrzywieniem warg. — Patrzenie państwo, czyż to nie najczystsze *Światła wielkiego miasta*?

— Co masz na myśli? — zapytał.

— Film. Poznajesz mnie tylko wtedy, kiedy rwie ci się film.

Dan przysunął sobie krzesło. — Jesteś zabawną dziewczyną — oświadczył ze śmiechem i gestem poprosił kelnera o następnego drinka. — Mówią, że również najlepszą. Czy sądzisz, że powinienem cię zerznąć?

— Sama wybieram sobie drwali, panie prezesie. Ale niech się pan nie smuci, wpiszę pana do swojego karneciku... jeżeli znajdę wolniejszą noc.

— Czy dzisiejsza do nich należy?

— Na to się zanosi...

Otoczył ją ramieniem. — Jesteś brzydką dziwą. Prawdę mówiąc, zupełną szkaradą. Ale słyszałem, że w tych rzeczach nie masz sobie równych. Chcesz ze mną iść?

— W twoich ustach ta propozycja jest tak romantyczna!

Zmrużył oczy. — Słyszałem również, że masz długi jeźor. Że wszystko rozgadujesz i wystawiasz ocenę każdemu facetowi, z którym się przespałaś.

Wzruszyła ramionami.

— A co w tym złego? Moje oceny uratowały już kilka znajomych dziewczyn od załapania się na impotentów.

Uśmiech Dana był teraz nieprzyjemny.

— Co, do cholery, daje ci prawo wystawiania gościowi stopnia?

— Powiedzmy, że doskonała znajomość materiału porównawczego.

— Chcesz się napić? — zapytał, kiedy kelner postawił przed nim szklaniczkę szkockiej.

Pokręciła odmownie głową i patrzyła, jak pije do dna. Wbił w nią uporczywe spojrzenie.

— Z każdą chwilą robisz się ładniejsza, Gorgono — stwierdził. — A ja od czuwam coraz większą i większą ciekawość.

— No i jesteś coraz mocniej zalany — odparła.

— Taa, czas wracać do domciu. Może, w końcu, wezmę cię ze sobą.

— Raczy pan zapominać, panie prezesie, że to ja o tym decyduję.

Teraz patrzył na nią niemal pokornie. — No to co, pójdiesz?

Delektowała się swoją chwilową władzą nad tym mężczyzną. — Jeśli pójdziesz, będziesz mnie musiał odesłać później taksówką.

— Nawet rollsem... jeśli jesteś chociaż w połowie tak dobra, jak mówią.

Niepewnie wstał od stolika i machnięciem dłonią zażądał rachunku. Ethel stwierdziła z ulgą, że z rozpędu płaci również za nią.

— Czy sądzisz, że jesteś dość trzeźwy, żeby mieć z tego przyjemność? — zapytała.

— To ty się musisz postarać, żebyśmy miał z tego przyjemność — powiedział wyzywająco. — Może i ty powinnaś w końcu dostać od kogoś notę.

Kiedy znaleźli się na ulicy, popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

— Dajmy sobie spokój. Szkoda moich talentów na takiego pijaczka.

Chwycił ją za ramię. — Masz pietra? Może twoja reputacja jest po prostu dęta? No bo czym mogłabyś się różnić od którejkolwiek innej dziwki... chyba że na koniec twoja cipa wygwizduje amerykański hymn?

— Sądzę, że powinnam ci pokazać, mały człowieczku.

Zatrzymała taksówkę i pomogła Danowi zająć w niej miejsce.

Miał przyjemne mieszkanie w okolicy Wschodnich Siedemdziesiątych — typowo kawalerskie i typowo prominenckie. Zaprowadził ją wprost do sypialni i wykaraskał się z ubrania. Kiedy z kolei rozebrała się ona, na jego twarzy zagościł wyraz kompletnego zaskoczenia. Nienaganne piersi Ethel zawsze wywoływały podobną reakcję.

— Hej, dzidzia, ale materacyki! — wyciągnął do niej ramiona.

Postąpiła w jego stronę. — Ciut lepsze niż Susie Morgan?

— A skąd mam wiedzieć? — wymamrotał. Potem rzucił ją na łóżko i niezdarnie pocałował. Gdy daremnie usiłował w nią wejść swym wiotkim członkiem, wysunęła się z objęć Dana i położyła go naznak.

— Spokojnie, spokojnie — powiedziała. — Możesz sobie być prezesem sieci telewizyjnej, ale dla mnie jesteś tylko chłopakiem. A teraz przestań rozrabiać. Ethel ci pokaże, co to naprawdę jest miłość.

Zaczęła go pieścić, a kiedy zareagował na jej zabiegi i wyszeptał wreszcie „Kochanie, kochanie... jesteś najlepsza”, zapomniała o jutrzejszym dniu, kiedy minie ją w holu, nie witając nawet skinieniem głowy. W tej chwili kochała się z prezesem IBC. W tej chwili czuła się piękna...

Rozdział szósty

Danton Miller z irytacją rzucił na biurko stos papierzysek. Nie potrafił skoncentrować się na żadnej konkretnej sprawie. Obrócił krzesło i popatrzył w okno: za godzinę czekał go lunch z Gregorym Austinem — nie miał bladego pojęcia, na jaki temat będą rozmawiać. Był zupełnie nie przygotowany na to zaproszenie, wyartykułowane przez telefon bezosobowym głosem sekretarki Austina.

Na razie w dziedzinie wskaźników nic nie drgnęło. *Wiadomości* wciąż tkwiły w dołku — jakkolwiek, musiał to przyznać, wejścia z Miami tego nowego faceta, Andy'ego Parino, poprawiły atrakcyjność programu — ale to nie była jego działka. On miał własne problemy. Zdjęto z ramówki magazyn rozrywkowy, a osobiście przez Austina wybrany western, który go miał zastąpić, był zdaniem Dana mruwanym niewypałem. Dan zamierzał za wszelką cenę ocalić jakoś sytuację i to dlatego wszystkie wieczory minionego tygodnia spędził w towarzystwie dwóch tekściarzy i niedowarzonego wokalisty o nazwisku Christie Lane.

W zeszłym tygodniu wpadł do Copa, żeby zwerbować jakiegoś znanego komika i zrazu nie zwrócił najmniejszej uwagi na Christiego Lane'a, który miał w programie zaledwie małe wejście, a poza tym wyglądał jak śpiewający kelner ze starego filmu. Zresztą Dan nigdy w życiu o nim nie słyszał. W pewnej chwili jednak coś mu przyszło do głowy i wtedy zwrócił się do dwóch towarzyszących sobie tekściarzy, Siga Hymana i Howiego Harrisa: — To właściwy facet do tego, o czym myślę!

Nie miał wątpliwości, że uznali to za pijackie majaczenie. Nazajutrz jednak wezwał obu i oznajmił, że chce zrobić pilota z Christie Lane'em. Popatrzyli nań z bezgranicznym niedowierzaniem.

— Christie Lane? To ochlapus bez przeszłości i przyszłości — stwierdził Sig Hyman.

— Nie potrafi się nawet załapać po sezonie w Concord czy u Grossingera — uzupełnił Howie. — Czytałeś w „Variety” recenzje z programu w Copa? O Christiem nawet nie wspomniano. Kostiumy dziewczyn wypadły lepiej niż on. Zatrudniają go w Nowym Jorku tylko wtedy, kiedy program ciągnie jakieś wielkie nazwisko. A te jego irlandzkie balladki... — Howie przewrócił oczyma.

— A poza tym — spuentował Sig — wygląda jak mdj wujaszek Charlie.

— I oto właśnie chodzi! — zareplikował Dan. — Każdy ma swojego ukochanego wujaszka Charliego.

Sig pokręcił głową. — Swojego wujka Charliego to ja nienawidzę!

— Zachowaj te grepsy do scenariusza — odparł Dan.

Sig miał jednak stuprocentową słuszność w sprawie powierzchowności Christiego, który wyglądał jak najprawdziwszy pan Przeciętniak; będzie idealny do magazynu rozrywkowego o charakterze familijnym. Po pewnym czasie Sig i Howie dali się przekonać. Byli wziętymi tekściarzami, pracującymi tylko dla artystów o ustalonej renomie; trzy miesiące wcześniej Dan podpisał z nimi roczne kontrakty, które zobowiązywały ich do współtworzenia nowych programów.

— Stworzymy stałą obsadę — wyjaśniał Dan — no wiecie, piosenkarka, konferansjer i tak dalej, napiszemy skecze, a z Christiego zrobimy gospodarza i... wykorzystamy jego umiejętności wokalne. Kiedy człowiek słucha z zamkniętymi oczyma, może odnieść wrażenie, że ten gnojek śpiewa jak Perry Como.

— Moim zdaniem raczej jak Kate Smith — zauważył Sig.

Dan uśmiechnął się pod nosem. — Uwierzcie, że to najwłaściwszy moment. W telewizji obowiązują pewne cykle. Z jednej strony mamy tę całą przemoc *Nieprzekupnych* i ich naśladowców, a więc dojrzał czas dla programu, który mogłaby oglądać cała rodzina. Christie Lane to trzecia liga, fakt, ale nigdy nie występował w telewizji i będzie tu nową twarzą. Dla podkreślenia oglądalności co tydzień załatwimy gościnny występ jakiejś gwiazdy... i zobaczcie, to zagra.

Jak wielu wyrobników estrady, Christie Lane zaczynał w kabaretach. Potrafił tańczyć, śpiewać, opowiadać dowcipy, odgrywać skecze. Przy pracy z Danem i oboma scenarzystami okazywał histeryczny zapał. Dan ocenił, że ma

około czterdziestki. Był facetem o rzędzących włosach blond, dużej pospolitej twarzy i niezbyt pokażnej sylwetce z lekkim brzuszkiem. Nosił zbyt hałaśliwe krawaty i marynarki o zbyt szerokich klapach, a także sygnet z przesadnie wielkim brylantem i spinki rozmiaru półdolarówek, Dan jednak wyczuwał, że zdoła z tego nieciekawego, lecz utalentowanego człowieka wykrzesać sympatyczną postać sceniczną. Christie był przy tym niestrudzonym wołem roboczym. W każdym mieście, do którego wiodła go trasa, potrafił wyniuhać możliwość jakichś występów na boku. Żył z dwóch walizek, wypełnionych ubraniami i rekwizytami...

Pod koniec pierwszego tygodnia koncepcja programu zaczęła w umyśle Dana nabierać wyrazistości. Kupili ją nawet scenarzyści i zgodzili się nie zmieniać jaskrawych krawatów i marynarek o szerokich klapach. Dan przekonał ich, że Christie ma się w gruncie rzeczy za eleganta, naprawdę lubi swoje cholerne krawaty i stanowi to klucz do jego osobowości. Sig i Howie mieli dlań wybrać kilka dobrych piosenek, lecz zarazem pozwolić, by zaśpiewał przynajmniej jeden landrynkowy kawałek, wybrany wedle własnego gustu.

Przed tygodniem Dan posłał Austinowi krótki konspekt programu i może właśnie o tym mieli mówić przy lunchu. Z drugiej jednak strony Gregory nie miał w zwyczaju marnować lunchu na omawianie pilota — po prostu telefonicznie zalecał, by robić rzecz... lub dać sobie spokój. Dan liczył na zielone światło; czułby się głupio, wiedząc, że tyle czasu i pracy poszło na nic. Już samo wspomnienie wieczorów w zadymionym pokoju hotelowym przyprawiało go o ból głowy, Christie i te jego tanie cygara! No i nieodłączna chórzystka lub tancerczka z Copa czy Latin Quarter, która w milczeniu i pokorze czekała, aż Christie znajdzie wolną chwilę, by okazać jej odrobinę uwagi. Plus ci dwaj, zwani szumnie „tekściarzami”, Eddie Flynn i Kenny Ditto... Rzekomo dostarczali Christiemu dowcipów, ale Dan zorientował się natychmiast, że to zwykłe przydupasy: „Hej, Eddie skocz no po kawę”, „Kenny, nie machnąłbyś się po pranie?”. Christie pochodził ze świata, gdzie miarą ważności człowieka był towarzyszący mu orszak. Czasem płacił Eddiemu i Kenny'emu najwyżej pięćdziesiąt dolarów tygodniowo; kiedy sprawy stały lepiej — cykał nieco więcej. Zabierał ich na premiery w klubach, na wyścigi, w trasę, a teraz oświadczył buńczucznie: — Moi chłopcy muszą być w czołówce jako scenarzyści. Powinni dostać za to po dwieście tygodniowo.

Dan skrzętnie ukrył rozbawienie i ulgę. Czteryście dolarów tygodniowo było — z punktu widzenia poważnego przedsiębiorcy telewizyjnego — obciążeniem nikłym, a miało tę zaletę, że stawiało Christiego w pozycji dłużnika. Głównymi scenarzystami będą po staremu Sig i Howie, a ludzi La-

ne'a wklei się gdzieś w czołówkę najmniejszymi literami. Do zrealizowania pilota wciąż jednak droga była jeszcze daleka; miał nadzieję, że jeśli otrzyma błogosławieństwo Austina, będzie gotów w sierpniu. Zamierzał realizować program na żywo, robiąc jednocześnie nagrania na wtórne rynki. Zaoszczędziłoby to firmie masę pieniędzy i zrobiło zeń bohatera.

Przez jeden krótki moment poczuł się wspaniale, ale zaraz potem przypomniał sobie lunch, co — z kolei — pobudziło do bolesnej aktywności jego wrzód. Cholera, jasna, czym to się skończy?

O dwunastej dwadzieścia pięć wszedł do windy, a znalazłszy się na górze, wkroczył wprost do prywatnej jadalni Austina. Spostrzegł, że na stole przygotowano trzy nakrycia. Wyjmował właśnie papierosa, gdy wszedł Robin Stone, a zaraz po nim Gregory Austin.

Lunch prezentował się skromnie, bo Gregory miał akurat jedno z tych swoich odbić na punkcie zdrowia. Był pod tym względem zupełnie nieobliczalny; zatrudniał kucharza podkupionego z paryskiego Maxima, w związku z czym potrafił potraktować gości sufletem z sera, płonącymi francuskimi naleśnikami i sosem, który pieszcząc podniebienie, torturował zarazem wrzody. Zdarzało się to szczególnie wówczas, gdy do Gregory'ego docierała wieść, że jakiś jego równolatek zginął w katastrofie samolotowej, umarł na raka albo coś w tym rodzaju. Gregory zaczynał wtedy kopcić jak parowóz i opychać się niezdrowym jedzeniem, powtarzając: „Cholera, przecież w każdej chwili doniczka może mi spaść na głowę”. Ów stan konsumpcyjnego rozpasania trwało do momentu utrzymania następnej nowiny: że jakiś inny równolatek padł, rażony zawałem.

Obowiązujący w chwili obecnej reżim spartański datował się od ostatniego ataku niestrawności Austina.

Początek rozmowy dotyczył spraw ogólnych. Omawiano szanse rozmaitych zespołów w meczach z Jankesami, a także wpływ kaprysów atmosferycznych na wyniki rozgrywek w golfa. Kwiecień tego roku był wyjątkowo parszywy: piekielny upał jednego dnia, syberyjskie mrozy — następnego.

Dan w milczeniu uporał się z grejpfrutem, dwoma kotletami jagnięcymi i fasolką szparagową, ale darował sobie galaretkę owocową. Zastanawiał się, o czym myśli Robin, lecz z uporem godnym lepszej sprawy wracał współczującą refleksją do osoby kucharza Austinów, którego mnogie talenty są tłumione w sposób tak bezwzględny.

Przy kawie Gregory jął snuć historię swojego życia. Prawił Robinowi o IBC — o tym, jak ją stworzył, jak się natyrał. Robin słuchał z uwagą, wtracając od czasu do czasu inteligentne pytania. Odpowiednio silne wrażenie wywarł na Danie fakt, że Gregory nie tylko pogratulował Robinowi Nagrody Pu-

litzera, lecz również zacytował z pamięci kilka fragmentów jego dawniejszych artykułów. Stary musiał ostatnimi czasy sporo myśleć o Robinie, skoro do rozmowy przygotował się aż tak starannie.

Kiedy Gregory wsunął pomiędzy zęby nie zapalonego papierosa, Dan poczuł, że lada chwila zostanie ujawniony prawdziwy powód tego spotkania przy lunchu.

— Robin ma kilka porywających pomysłów — oświadczył Gregory z entuzjazmem. — Zaprosiłem cię dzisiaj, Dan, ponieważ wejda w ramówkę.

Następnie omiół Robina prawie ojcowskim spojrzeniem.

Robin pochylił się nad stołem i spojrzał Danowi prosto w oczy. Potem zakomunikował bez wstępów:

— Chcę robić program, zatytułowany *Z bliska*.

Dan sięgnął po papierośnicę. Słowa Robina nie były propozycją, lecz oznajmieniem. Obstukał papierosa. A więc o to chodziło. Gregory dał już Robinowi zielone światło i to, co działo się teraz — tworzenie pozorów, że to on ma głos decydujący — było zaledwie protokolarnym rytuałem. Oczekuje się od niego, że pokiwa głową, powie „doskonale” i przestanie interesować się sprawą! Takiego wała, niech nie liczą, że im pójdzie łatwo. Zapalił papierosa i głęboko zaciągnął się dymem. Potem, z przyklejonym do twarzy uśmiechem, powiedział lekko: — Niezły tytuł. Co to będzie? Piętnastominutowy dziennik?

— Półgodzinny magazyn. Zaplanowany na poniedziałki, godzina dziesiąta wieczorem — odrzekł Robin.

(Sukinsyny ustaliły nawet czas emisji!) Dan spojrzał na Gregory'ego i spytał tonem zupełnie wolnym od emocji: — Sądziłem, że mamy na to okienko zaplanowany nowy western?

Wejście Robina było tym razem ostre. — Pan Austin uważa, iż powinien w to miejsce pójść magazyn *Z bliska*. Rozbudowanie programów informacyjnych w nowych formułach i przesunięcie ich na porę o największej oglądalności poprawi wizerunek IBC w oczach opinii publicznej. Western można wetkać gdziekolwiek indziej.

— Czy zdajesz sobie sprawę, jakie stracimy pieniądze? Mieliliśmy szansę sprzedać po westernie taniutki teleturniej, gdy tymczasem po twoim programie możemy to sobie odpuścić. — Dan zwracał się wprawdzie do Robina, ale jego wywód był przeznaczony dla uszu Gregory'ego.

— Jeśli *Z bliska* wypadnie tak, jak zamierzamy, wciąż będziesz miał tę swoją oglądalność — odparł Robin.

— Wykluczone — stwierdził oziębłe Dan. — Poza tym, nie zdołamy znaleźć sponsora, zainteresowanego półgodzinnym magazynem informacyjnym.

(Zastanawiał się, dlaczego Austin siedzi jak mumia, każąc mu toczyć samotny bój z poronionymi pomysłami tego mędrka.)

Robin wydawał się znudzony.

— Nie mam pojęcia o sprawach handlowych i zwróc się raczej z nimi do odpowiedniego działu. Moja funkcja w IBC polega na tym, żeby wlać w programy trochę nowej krwi i nadać im większy rozmach. Sądzę, że mój magazyn wypali. Zamierzam wiele podróżować, dostawać dla IBC gorące wywiady na temat bieżących problemów politycznych. Może kilka wejść zrobimy na żywo z Los Angeles czy Nowego Jorku. Zapewniam cię: dostaniesz cholernie dobry magazyn informacyjny, który z punktu widzenia publiki będzie zarazem bardzo atrakcyjny.

Dan czuł się jak we śnie i wzrokiem poszukał oparcia w Austinie, który jednak odpowiedział tylko wieloznacznym uśmiechem.

— Kiedy chcesz wystartować? — • zapytał.

— W październiku — odparł Robin.

— Więc przedtem nie zamierzasz pojawiać się na wizji? — spytał Dan. — Na przykład w wiadomościach o siódmej czy jakichś programach specjalnych?

— Przymierzam się do obsługi letnich konwencji.

— Chyba weźmiesz do tego Jima Bolta? Ma znaną twarz i w pięćdziesiątym szóstym odwalił bombową robotę.

— Beznadziejną robotę — odrzekł Robin, nie zmieniając tonu. — Jim jest niezły w dzienniku o siódmej, ale do obsługi konwencji brak mu jaj. Tworzę własny zespół.

— Jakież sugestie czy zamierzasz zaserwować mi następną niespodziankę? — zapytał Dan.

— Wszystko już sobie przemyślałem — powiedział Robin, zwracając się do Gregory'ego Austina. — Ekipa będzie czteroosobowa: Scott Henderson, Andy Parino, John Stevens z Waszyngtonu i ja.

Tym razem odezwał się Gregory: — Dlaczego Andy Parino? Nie specjalizuje się w polityce. Lubię jego reportaże z Miami, ale jeśli chodzi o konwencje?...

— Właśnie dlatego, że chodzi o konwencje — odparł Robin. — Andy uczył się w college'u z Bobem Kennedym.

— A co to ma wspólnego ze sprawą? — zapytał Dan.

— Sądzę, że kandydatem demokratów zostanie Jack Kennedy. Wówczas znajomości Andy'ego pomogą nam załatwić nieformalnie to czy owo.

Dan wybuchł śmiechem. — Sądzę, że Kennedy nie ma żadnych szans. W pięćdziesiątym szóstym ubiegał się o wiceprezydenturę i przegrał. Kandydatem zostanie Stevenson.

Robin popatrzył nart przeciągle. — Trzymaj się raczej kosztów i współczynników, Dan, bo o tym masz pojęcie. Polityka to jednak moja działka. Stevenson to przyzwoity facet, ale na tej konwencji będzie najwyżej drużbą.

— Dan — wtrącił Gregory — skłaniam się do tego, żeby pozwolić mu spróbować szczęścia z tym magazynem. Być może współczynniki są tym, co najbardziej lubią tygrysy, ale potrzebujemy również prestiżu. Jeśli Robin za błędnie przy okazji konwencji, jego program może się również okazać hitem komercyjnym.

— Sądziś, że potrafisz na konwencjach przebić takich facetów jak Cronkite, Huntley czy Brinkley? — zapytał Dan, nie potrafiąc ukryć ironii.

— Stań na uszach, żeby tego dokonać. Mając przy sobie Andy'ego Parino zdołam może dostać wywiad od Kennedy'ego. Z *bliska* miałyby wówczas wejście... I idę o zakład, że w takiej sytuacji również pan Nixon zgodzi się na rozmowę.

— Okay — mruknął Dan. — Więc załatwisz sobie dwóch kandydatów... i masz dwa programy. Co potem? Bo, jak to widzę, twój magazyn szykuje się na kolejną trybunę polityczną.

Robin uśmiechnął się niewymuszenie. — Zamierzam polecieć do Londynu i przeprowadzić wywiady z największymi brytyjskimi gwiazdami, takimi jak Paul Scofield czy Laurence Olivier. Potem zrobię rozmowę z amerykańskim aktorem o podobnej pozycji i porównam poglądy. W maju księżniczka Małgorzata wychodzi za mąż za Tony'ego Armstronga-Jonesa. Mam kumpla w UPI, który się z nim przyjaźni, więc dostanę wywiad. A już w przyszłym tygodniu jadę do San Quentin i spróbuję nakręcić rozmowę z Carylem Chessmanem. Najnowszą datę egzekucji wyznaczono na drugi maja.

— Dostanie następne odroczenie — warknął Dan.

— Nie sądę — odparł Robin. — A sprzeciw wobec kary śmierci narasta tak bardzo, że, moim zdaniem, koniecznie trzeba zrobić program na ten temat.

— To zbyt kontrowersyjne — zaoponował Dan. — I w ogóle te wszystkie twoje pomysły są chyba cokolwiek księżycowe. Publiczność nie kupi takich wydumanych pierdół.

Robin uśmiechnął się, ale Dan dostrzegł chłód w jego oczach. — Moim zdaniem nie doceniasz widowni.

Usiłując opanować narastający gniew, Dan sięgnął po papierośnicę. Chwila zwłoki pozwoliła mu wypowiedzieć następne słowa z właściwą dawką protekcjonalizmu. — Uważam, że twoje pomysły są bardzo bojowe i szlachetne, kiedy ty jednak będziesz sobie hasać po polach przewracając wiatraki, ja ugrzęznę po uszy w użeraniu się ze sponsorami, zonglowaniu programami i zamartwianiu się o współczynniki oglądalności. Więc zanim ruszysz na wojnę,

może powinniśmy wysondować we dwóch kilku potencjalnych sponsorów — w końcu telewizja to gra zespołowa... Nie możesz złapać piłki i pognać jak parowóz do przodu, olewając resztę drużyny. Podoba mi się twój zapał i entuzjazm, ale czy zanalizowałeś zamierzenia NBC, CBS i ABC? Potrzebujemy programów, które będą mogły rywalizować z ich programami.

Głos Robina był zimny jak lód. — Wybierz sobie z głowy, Dan, że zrobisz ze mnie swojego murzyna. Jestem tu wyłącznie po to, żeby rozkręcić dział programów informacyjnych. Jeśli twoja robota polega na tym, żeby siedząc na tyłku oglądać programy innych sieci i zastanawiać się, jak je zmniejszyć — okay, odwalaj ją z Bogiem. Moja jest zupełnie inna!

Gregory Austin z roziskrzonym wzrokiem porwał się na nogi i klepnął Robiną w plecy. — Będąc w twoim wieku, mówiłem takim samym językiem! Miałem taki sam entuzjazm, kiedy przystępowałem do tworzenia czwartej sieci. Łamałem zasady, kombinowałem, nie słuchałem sceptyków. Masz wolną rękę, Robin. Powiadomię Finanse, że masz otwarte konto. Zrób te programy, a my z Danem dopilnujemy spraw z naszego końca.

Robin uśmiechnął się i wstał, kierując się ku drzwiom. — Przystępuję do roboty natychmiast i będę z panem w kontakcie, panie Austin.

Potem wyszedł z jadalni.

Dan ociężale podniósł się z krzesła i stwierdził, że Gregory Austin z nieukrywaną admiracją wpatruje się w zamknięte drzwi.

— Duża sprawa... — powiedział Gregory.

— Jeśli wszystko zagra — zareplikował Dan.

— Zagra! A jeśli nawet nie zagra, to z pewnością facet jest na właściwym tropie. Wiesz co, Dan? Myślę, że jeśli chodzi o personel, miałem właśnie najlepsze trafienie w branży.

Wyszedłszy od Austina, Dan wrócił do siebie, gdzie na biurku spoczywał konspekt programu Christiego Lane'a. Cały ten pomysł wydał się nagle Danowi anemiczny. Zimna arogancja Robina Stone'a wypuściła z prezesa IBC całe powietrze. Wrócił jednak do pracy i wezwał telefonicznie Howiego i Siga. Do stu diabłów, postara się, żeby show Lane'a jednak wypalił. Nie miał przy tym najmniejszych wątpliwości, że *Z bliska* padnie martwym bykiem. Tyle że Austin lubił działanie... dobra, on też zademonstruje, że jest do niego zdolny. Może to, co robi, nie będzie szczyć się udziałem Kennedy'ego czy Armstronga-Jonesa, może zostanie zjechane przez „Timesa”... ale będzie solidnym programem komercyjnym, który doczeka się wysokiej oglądalności. A koniec końców oglądalność jest tym, co się jedynie liczy dla udziałowców. Bo z prestiżu nie płyną dywidendy, z oglądalności natomiast — tak.

Howiego i Siga przetrzymał w swoim gabinecie aż do siódmej. Zażądał, by w ciągu dziesięciu dni dostarczyli mu pierwszy szkic scenariusza.

Kiedy wyszli, postanowił iść w miasto i zalać pałę. Do cholery, dojrzał do tego. Powędrował do „21” i stanął przy barze. Powitawszy skinięciem głowy wszystkich stałych bywalców, zamówił podwójną whisky. Coś go dręczyło — coś, co miało wprawdzie związek z konfrontacją pomiędzy nim a Robinem, ale zarazem wymiar ogólniejszy. Gorączkowo szukał w pamięci. Nie chodziło mu o podziw Austina dla tego faceta, bo Gregory pieklił się i zachwycał na jednako wysokich obrotach i z jednakową łatwością. Kilka tygodni marnych współczynników i rozczaruje się do Robina Stone'a...

Chociaż słowo po słowie odtworzył cały przebieg rozmowy — nawet historię życia Austina — wciąż nie znalazł tego, czego szukał. Zamówił następną podwójną szkocką. Gdyby tylko sobie przypomniał, miałby w ręku klucz, wiedziałby, gdzie i w co uderzyć. Bo toczył teraz z Robinem otwartą wojnę. Wyjdzie z niej zwycięzca, nie ma sprawy, ale teraz... — czuł się tak, jak człowiek, który wyniuchał jakieś wielkie niebezpieczeństwo, ale zapomniał, na czym ono polega.

Pomyślał o Ethel. Może naprawdę powinien zalać się w trupa, a potem ściągnąć ją do siebie i pozwolić pograć na flecie. Będąc z Ethel człowiek nawet nie musiał pamiętać o tym, żeby zrobić jej dobrze — ba, odniósł wrażenie, że lubiłaby te rzeczy najbardziej, gdyby nawet nie musiała się rozbierać. Zaczął poprawiać mu się humor, ale wtedy znienacka wróciło to dokuczliwe uczucie, że w jego świecie coś nie gra — coś, co ma związek z Robinem Stone'em. Znów przemaglował w pamięci cały przebieg lunchu aż do pożegnalnych słów Robina: „Przystępuję do roboty natychmiast”. Dan z taką mocą rąbnął szklanką o bar, że rozleciała się w kawałki. Kelner usłużnie sprzątnął bałagan, a barman podał następną podwójną. Ujmując ją w dłoń, Dan doznał olśnienia. Chryste, tak, o to chodziło! Ostatnie zdanie! Będę z panem w kontakcie, panie Austin.

W kontakcie z panem, panie Austin!

Robin Stone powinien opowiadać się przed nim, Dantonem Millerem. I dopiero Danton Miller mógł być w kontakcie z panem Austinem. Ten skurwysyn go omijał, zamierzał latać wprost do Gregory'ego. I Gregory na to pozwalał. To rozstrzygało sprawę... musi dopilnować, żeby program Christiego Lane'a stał się autentycznym hitem. Był mu w tej rozgrywce potrzebny as.

Wyszedł na dwór i z budki telefonicznej zadzwonił do Ethel Evans.

— Masz ochotę wpaść do mnie? — zapytał.

— Nie jestem żadną call girl.

— Co chcesz przez to powiedzieć?
— Że jeszcze nie jadłam.
— Okay, spotkajmy się w „P.J.”.
— Czy to jedyna knajpa w mieście?
— Kochanie — złagodził głos — jest już wpół do dziewiątej. Nie mam zdrowia włączyć się dzisiaj do nocy. W przyszłym tygodniu zabiorę cię tam, gdzie zechcesz.

— Słowo?
— Przysięgam na moje Nienseny.

Wybuchła śmiechem. — Dobra, więc tylko przebiorę się w portki.

— Po co?
— Ile razy widzę wysztafirowaną panienkę wchodzącą o dziewiątej do „P.J.”, myślę sobie, że na pewno ktoś ją wystawił do wiatru. Rozumiesz, liczyła na Voisina albo Colony. Kiedy jednak zjawia się w spodniach, można uznać, że przyszła tu, bo tak sobie postanowiła.

— Masz koncepcję na każdy temat, co?

— Tak... nawet na twój, wielki człowieku.

— Okay, Ethel — powiedział wesoło. — Widzimy się za pół godziny.

Wrócił do baru i dopił drinka. Zerknął na zegarek. Człowiek podpadał już za to, że widziano go w towarzystwie Ethel — nie zamierzał dopuścić, by widziano, jak na nią czeka. Gestem dłoni zamówił następną podwójną.

Ktoś poklepał go nagle po ramieniu. Susie Morgan; Boże, jaka ładna i świeża.

— Dan, czy znasz Toma Mathewsa?

Jego dłonią potrząsał jakiś słomianowłosy olbrzym. Kojarzył to nazwisko... tak, facet zaczął niedawno pracować w dziale prawnym CBS. A może NBC?

Olbrzym omal nie urwał mu ramienia. Jezu, musi być młody i pełen cholernej werwy.

— Dan, tylko popatrz! — Susie wyciągnęła dłoń. Na serdecznym palcu widniał pierścionek od Tiffany'ego z maleńkim brylancikiem.

— No, no, kiedy to się stało?

— Dziś wieczorem — odparła. — To znaczy, dzisiaj dostałam pierścionek. Widywaliśmy się sporadycznie od roku, ale chodzimy ze sobą trzy tygodnie. Dan, czyż to nie cudowne?

— Rewelacyjne. Postawię wam po kielichu.

— Dzięki, nie. Jerny na gorze kolację z rodzicami Toma. Ale słyszałam, że tu jesteś i chciałam, byś dowiedział się jako pierwszy.

— Kiedy cię stracę? — zapytał Dan.

— Nie stracisz. Chyba, że będziesz chciał. Bierzemy ślub w czerwcu, w podróż poślubną ruszamy podczas urlopu. Każdemu z nas należą się dwa tygodnie. Wiesz, Dan, bardzo bym chciała dla ciebie pracować aż do chwili, kiedy... pojawi się dziecko. — Oblała się rumieńcem i miłośnicie popatrzyła na olbrzyma.

— Masz to jak w banku — skinął głową Dan. — Daj mi cynk, co chcesz dostać w prezencie ślubnym.

Popatrzył za nimi, kiedy wychodzili z sali. Nie wypada być aż tak bardzo szczęśliwym. On ani razu w życiu nie był tak szczęśliwy...

Ale miał władzę i to ona dawała mu inny rodzaj szczęścia. Zrobił hit z programu Christiego Lane'a, choćby miała to być ostatnia rzecz, jakiej zdoła dokonać. Do tego czasu Robin Stone dał plamę ze swoim magazynem i *Wiadomości* będą miały nowego szefa.

Spojrzał na zegarek. Dobry Boże, dziesiąta! Podpisał rachunek i w tej samej chwili uświadomił sobie, że jest zalany w trupa. Złapał taksówkę i kazał się wieźć do domu. Ethel się naczeka. I co z tego? Marzył tylko o tym, żeby się wałać do łóżka. Niech sobie czeka. Nie czuł potrzeby składania tej cipie żadnych wyjaśnień. Dziwka... a on jest ki mś!

Rozdział siódmy

Ethel czekała. O wpół do jedenastej zadzwoniła do Dana. Odebrał dopiero po kilku sygnałach. — Kto tam?

— To ja, ty pijany draniu! Czekam na ciebie w „P.J.”!

Jedyną odpowiedzią był stuk odkładanej słuchawki. Przez chwilę Ethel gapiała się ponuro w aparat, a potem wściekle walnęła swoją. Do diabła, dlaczego zadaje się z tym facetem! Nie był przecież gwiazdorem filmowym na jednodniowym wysokości. Poza tym nawet gwiazdorom nie pozwalała wystawiać się do wiatru. Wróciła do stolika, zapłaciła rachunek i omiotła salę ostatnim badawczym spojrzeniem. Zauważyła, że wszystkie oczy zwracają się ku przepięknej dziewczynie, która wchodziła właśnie w towarzystwie dwóch mężczyzn. Boże, była niewiarygodna! Zajęli stolik w pobliżu drzwi. Ethel odniosła wrażenie, że skądś tę dziewczynę zna. Jasne, była na okładce ostatniego numeru „Vogue”. Potem przyjrzała się mężczyznom. Zafrapowana dziewczyną, nie zwróciła na nich dotąd należytej uwagi. Robin Stone i Jerry Moss; poznała Jerry'ego na jakimś przyjęciu.

Podeszła do ich stolika. — Cześć, Jerry — powiedziała z uśmiechem.
Podniósł wzrok, ale nie wstał. — Ach, cześć! — odparł automatycznie.
Posłała Robinowi promienny uśmiech. — Jestem Ethel Evans... poznaliśmy się niedawno. Pracuję w dziale prasowym IBC.
Robin popatrzył na nią i powoli rozciągnął wargi w uśmiechu. — Siadaj, Ethel, przyda się nam jeszcze jedna dziewczyna. To jest Amanda.
Amanda nie odwzajemniła powitalnego uśmiechu Ethel, która poczuła, że uderza w nią niemal namacalna fala niechęci. Jakim cudem może być o mnie zazdrosna? — pomyślała. — Przy jej urodzie miałabym świat u stóp.
Kiedy Ethel wyjęła papierosa, Robin podał jej ogień; popatrzyła przez spiralę dymu na Robina, on jednak całą swoją uwagę zwrócił już na drinka.
Cisza panująca przy stoliku wyprowadzała ją z równowagi. Czuła niechęć Amandy, zażenowanie Jerry'ego, niepodzielne zainteresowanie Robina alkoholem.
— Właśnie skończyłam robotę — powiedziała Ethel głosem, który nie zabrzmiał naturalnie. Potem, po chwili milczenia, dorzuciła nieomal szeptem: — No i wpadłam, żeby coś przekąsić.
— Po co te wyjaśnienia? — nie zmieniając wyrazu twarzy zapytał Robin. — Jesteś tu i kropka. — Przywołał kelnera. — Co ci zamówić, Ethel?
Spojrzała na jego pustą szklaneczkę. Stawiała sobie zawsze za punkt honoru pić to samo, co mężczyźni. — Wezmę piwo — oświadczyła.
— Piwo dla pani — powiedział kelnerowi — a dla mnie szklankę wody z lodem.
Kiedy kelner przyniósł zamówienie, Robin pociągnął długi łyk. Amanda wyjęła mu szklankę z rąk, skosztowała, a potem gwałtownym ruchem odstawiła naczynie na stolik.
— Robinie... — powiedziała krzywiąc twarz i patrząc gniewnie.
Szeroko się uśmiechnął. — Nie lubisz wody z lodem, kochanie?
— To jest czysta wódka — stwierdziła.
Podniecona Ethel obserwowała ich z zaciekawieniem.
Robin pociągnął kolejny długi łyk. — Rzeczywiście. Pewnie Mike się pomylił.
— Wytresowałeś Mike'a — powiedziała ozięble. — Robinie — pochyliła się do niego — obiecałeś, że będziemy dzisiaj razem.
Otoczył ją ramieniem. — Ależ jesteśmy, mała!
— Miałam na myśli, że... — jej głos był cichy i błagalny — będziemy tylko ze sobą. Nie z Jerry'm i inną dziewczyną. Tylko we dwoje.
Zmierzył jej włosy. — Załatwiłem Ethel dla Jerry'ego. Stanowimy teraz czwórceczkę.

Twarz Amandy pozostawała beznamiętna.

— Robinie, jestem jutro rano, i to bardzo wcześnie, umówiona na zdjęcia. Powinnam była zostać w domu, wymyć włosy i iść wcześniej do łóżka. Ale przyszłam, żeby z tobą побыć. A ty pijesz.

— Czy źle się bawisz?

— Myślę, że powinnam iść do domu. Nie jestem ci potrzebna jako świadek twojego pijaństwa.

Robin wpatrywał się w nią przez chwilę, a potem z wracającym na twarz uśmiechem zapytał Ethel:

— A ty o której musisz wstać?

— Ja w ogóle nie muszę sypiać, żeby pielegnować urodę — odparła. — To by mi nie pomogło tak czy owak.

Robin roześmiał się od ucha do ucha.

— Jerry... właśnie wymieniliśmy się dziewczynami.

Amanda chwyciła torebkę i gwałtownie wstała od stołu.

— Robinie, chcę stąd wyjść.

— Jasne, maleńka.

— A więc? — Jej oczy były zbyt zamglone, aby mógł z nich przebić gniew.

— Usiądź — powiedziała łagodnie. — Dobrze mi tu i chciałbym jeszcze trochę zostać.

Amanda usłuchała z wahaniem, ale jej oczy były teraz wyzywające: czekała na kolejne posunięcie Robina.

Jerry Moss z zażenowaniem wiercił się na swoim krześle. — Ethel, może powinniśmy we dwójkę zwinąć żagle. U jednego z moich kumpli jest dzisiaj balanga... zupełnie blisko, parę przecznic stąd.

— Chcę, żebyście zostali — Robin przemówił cicho, ale był to rozkaz. Po-tem opróżnił do dna swoją szklankę wódki i zamówił następną. Z czułością spojrział na Amandę. — Jest piękna, prawda? I powinna już spać. Jestem ego-istyczny skurwysyn. Naprawdę chciałybyś iść, kochanie?

Skinęła głową, jakby nie ufając własnemu głosowi.

Pochylił się i pocałował ją w czoło, a potem poprosił Jerry'ego: — Wsadź Amandę do taksówki, Jerry, i zaraz wracaj. W końcu nie możemy pozbawić snu czołowej nowojorskiej modelki tylko dlatego, że zebrało się nam na solidną popijawę.

Amanda wstała i wyszła z sali z bezradnie krocącym za nią Jerryem. Od-prowadzały ją spojrzenia wszystkich mężczyzn. Kiedy znalazła się na ze-wnątrz, stuliła ramiona i pochyliła głowę. — Jerry, co zrobiłam nie tak? Ko-cham go, tak bardzo go kocham. W którym miejscu popełniłam błąd?

— W żadnym, kochanie. Coś go dzisiaj naszło, a kiedy tak się dzieje, nie ma z nim kontaktu. Jutro o wszystkim zapomni.

Gwizdnął i próbował zatrzymać taksówkę.

— Uświadom mu, że go kocham, Jerry. Nie pozwól, żeby zastąpiło mnie to szkaradne krówsko. Bo próbuje... prawda?

— Kochanie, Ethel Evans to numer na jedną noc dla każdego faceta. Robin wie, co jest grane. A teraz jedź do domu i dobrze się wyśpij.

Podjechała taksówka. Jerry otworzył drzwiczki.

— Jerry, wracam. Nie mogę pozwolić, żeby...

Wepchnął ją do samochodu. — Amando, znasz Robina zaledwie od kilku miesięcy. Ja — od lat. Nigdy nie pozwala, by ktokolwiek mówił mu, co może, a czego nie może. Wiesz, gdzie popełniłaś błąd? Tylko zgaduję, pamiętaj... ale sądzę, że to twoje odzywki w małżeńskim stylu. Powiedziałaś, żeby nie pił. Nie włącz mu na kark, Amando, on potrzebuje przestrzeni. Zawsze taki był, jeszcze w college'u. Teraz suń do domu. Jestem pewien, że jutro wróci do normy.

— Jerry, zadzwonił, kiedy się rozstaniecie. Bez względu na porę... i tak nie będę mogła zasnąć. Muszę wiedzieć... nawet jeśli oznajmi ci, że ze mną skończył... albo pójdzie do łóżka z tą kobietą.

— Nic mi nie powie. Powinnaś zdawać sobie z tego sprawę.

Jerry uzmysłowił sobie, że taksówkarz, włączywszy licznik, z uciechą obserwuje całą scenę. Podał mu adres Amandy.

Opuściła szybę. — Zadzwonił, Jerry — wysunęła dłoń i chwyciła go za ramię. — Błagam.

Obiecał. Potem popatrzył w ślad za odjeżdżającą taksówką. Współczuł Amandzie. Robin nie był dzisiejszego wieczoru świadomie sadystyczny; po prostu coś go naszło. Jerry nauczył się rozpoznawać te stany Robina, które — być może — stanowią w części o jego uroku.

— Może wtrząchniemy po hamburgerze? — zapytał Jerry, wróciwszy do stolika.

— Mógłbyś darować sobie jedną kolację — powiedział pogodnie Robin.

— W zeszłym tygodniu opuściłeś dwie siłownie.

— Mieszkam tu niedaleko — wtrąciła Ethel. — Wpadnijcie do mnie, zrobicie jajecznicę. — Potem spojrzała na Jerry'ego i dodała: — Mam milutką współlokatorkę blond. Prawdopodobnie biega teraz w ręczniku na biodrach, ale jeśli uprzedzimy ją pięć minut wcześniej, zdąży wstawić kawę.

Robin wstał. — Nie jestem głodny. Odprowadzimy cię z Jerry'm do domu, a potem Jerry odprowadzi mnie. — Podniósł rachunek i wręczył go Jerry'emu. — Podpisz ty, młodzieńcze; masz swój fundusz reprezentacyjny.

Ethel mieszkała na rogu Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy i Pierwszej Alei. Musiała szybko przebierać nogami, żeby dotrzymać Robinowi kroku.

— Mieszkasz gdzieś w pobliżu? — zapytała.

— Nad rzeką — odparł.

— Może jesteśmy sąsiadami...

— To cholernie długa rzeka — stwierdził.

Resztę drogi przebyli w milczeniu. Robin odpowiadała na pytania w taki sposób, że ucinąło to możliwość dalszego prowadzenia konwersacji. Kiedy stanęli przed jej domem, zapytała:

— Na pewno nie macie ochoty na kielicha? Znalazłabym trochę pięćdziesięcioprocentowej wódki.

— Nie. Na dziś dam sobie spokój.

— Trudno. Więc chyba do zobaczenia. Jestem pewna, że będziesz zadowolony z pracy w IBC, a jeśli mogłabym w czymś pomóc...

Uśmiechnął się nieznacznie. — Jestem zadowolony zawsze i wszędzie, kochanie. Do zobaczenia. — Potem odszedł, a Jerry pokuszył za nim.

Ethel obserwowała ich do chwili, gdy zniknęli za rogiem. Pragnęła Robina aż do bólu. Dlaczego nie jest tak piękna jak Amanda? Dlaczego musi wychodzić ze skóry, żeby wciągnąć mężczyznę do łóżka? Jak to jest, kiedy tym, który wychodzi ze skóry, jest mężczyzna; kiedy cię pragnie, kiedy patrzy na ciebie tak, jakbyś była najbardziej godną pożądaną kobietą na świecie? Idąc w stronę rzeki, poczuła, że po jej policzkach spływają łzy. Och, Boże, to nieuczciwe! To nieuczciwe skazać serce i uczucia pięknej kobiety na bytowanie w ciele chłopki. Dlaczego jej pragnienia nie są równie pospolite jak ciało? Mogłaby wówczas porzucić na Peterze Cinoceku, może nawet zaznać z nim szczęścia.

— Dobry Boże — powiedziała na głos — po prostu chcę być kimś i chcę, by mnie pokochał mężczyzna, który także jest kimś. Gzy proszę o zbyt wiele? — Doświadczyła nagle uczucia nieznośnego osamotnienia. Te wszystkie marzenia, te wszystkie jednodniowe przygody... lecz w gruncie rzeczy nie miała nic! Jasne, przyjemne mieszkanko — nawet piękne w porównaniu z chałupkami w Hamtramck — ale przecież to zaledwie trzypokojowa norka, dzielona z inną samotną dziewczyną, załapującą się na jednodniowe przygody. Jasne, jest bombowo, kiedy trzyma się w ramionach gwiazdora filmowego; tyle że następnej nocy gwiazdora już nie ma.

Wróciła niespiesznie do domu. Była pewna, że Robin jest teraz w objęciach Amandy, ale wypchnęła z duszy tę wizję. Po co rozklejać się jeszcze bardziej? Trafi się następna okazja.

*

Rozstawszy się z Ethel, Robin i Jerry przez pewien czas szli w milczeniu. Dopiero na widok baru Robin zaproponował:

— Wpadnijmy na jednego głębszego.

Jerry potulnie podążył za nim do środka. — Gdzie ty to wszystko mieścisz? — zapytał.

Robin wyjątkowo nie odpowiedział swoim zwykłym bezgłośnym śmiechem, lecz poważnie wpatrzył się w szklaneczkę. — Chryste, tak długo nie wiedziałem, co to alkohol, że teraz mam mnóstwo do nadrobienia. Pochodzę z rodziny, mającej kręčka na punkcie zdrowia. Ojciec unikał gorzałki jak diabeł święconej wody.

Jerry wybuchł śmiechem. — A ja myślałem, że już w college'u zaprawiałeś się ostro.

Robin wlepił w niego spojrzenie, jakby widzieli się po raz pierwszy w życiu. — Chodziłeś do Harvardu w tym samym czasie?

— Byłem o rok wyżej — odparł Jerry cicho, dziękując w duszy Bogu, że w pobliżu nie ma żadnego ze znajomych. Wszyscy wiedzieli, że uczył się razem z Robinem i wyciągali stąd wniosek, iż korzenie ich przyjaźni sięgają tamtych czasów. To było właśnie w Robinie najbardziej niesamowite: zawsze sprawiał wrażenie uważnego słuchacza, ale nigdy nie było wiadomo, jakie informacje przyswaja, a jakie odrzuca. Nagle Jerry zdenerwował się swą uległością i zaczętnie spytał Robina: — A w ogóle to gdzieśmy się, twoim, cholera, zdaniem, poznali?

Robin z zadumą pogładził brodę. — Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, Jerry. Spotykam tak wielu ludzi. Chyba któregoś dnia zajrzałem po prostu do Lancer Bar i ty tam byłeś.

Kiedy wyszli z lokalu, Jerry odprowadził Robina do wielkiej czynszówki nad rzeką. Uświadomił sobie wówczas, że nigdy nie był u niego w mieszkaniu — albo odprowadzał go, tak jak dziś, albo też spotykali się w barze.

Więc kiedy Robin lekko powiedział: — Wpadnij do mnie na ostatniego przed snem — poczuł się zakłopotany, bo było tak, jakby te niebieskie oczy zdołały odczytać jego myśli.

— Dosyć już późno — wymamrotał.

Uśmiech Robina przypominał grymas. — Małżonka czeka z awanturą?

— Nie, tylko mam kawał drogi do domu, a jutro wczesne spotkanie.

— Jak chcesz.

— No, dobra — dał za wygraną Jerry. — Jedno szybkie piwo. — Wchodząc w ślad za Robinem do windy, obiecał sobie, że ujmie się za Amanda.

Mieszkanie Robina sprawiało doskonałe wrażenie: było zaskakująco schludne i dobrze umeblowane.

— Jedna znajoma dziewczyna... — powiedział Robin, zataczając krąg ręką — ... jeszcze przed Amandą.

— Dlaczego dzisiaj potraktowałaś Amandę tak paskudnie? Kocha cię. Czy ty nic wobec niej nie czujesz?

— Nic.

Jerry zrobił wielkie oczy.

— A czy w ogóle potrafisz cokolwiek czuć?

— Może czuję mnóstwo rzeczy, tylko że nie potrafię tego po sobie pokazać. — Robin uśmiechnął się. — Chyba byłoby mi w życiu znacznie łatwiej, gdybym to potrafił. Jestem podobny do Indianina. Kiedy zachoruję, po prostu obracam się twarzą do ściany i leżę jak kłoda, dopóki nie ozdrowię.

Jerry wstał. — Robin, tobie nikt nie jest potrzebny. I choć nie ma to może najmniejszego znaczenia, jestem twoim przyjacielem. Nie wiem, dlaczego... ale jestem.

— Bzdury... trzymasz się mnie, bo po prostu masz na to ochotę. Sam nazwałś rzecz po imieniu: mnie nikt nie jest potrzebny.

— Czy ani razu nie czułeś się czymś dłużnikiem? — Jerry wiedział, że włoży kopytami w duszę Robina, ale nie umiał się pohamować.

— Tak. W czasie wojny. Ocalił mi życie facet, który nawet mnie nie znał. Inny pilot. Nagle pokazał coś z mojej prawej... walił na mnie messerschmitt. Wszedłem w nurkowanie i wykręciłem się. A ten facet dostał dwie minuty później. Jestem jego cholernym dłużnikiem. Zawdzięczam mu życie. Próbowaliśmy go zidentyfikować, ale tego dnia dostało siedmiu naszych. Zrobiłbym dla tego gościa wszystko — nawet ożenił z wdową po nim... gdyby mnie zechciała. Tylko że nigdy nie dowiedziałem się, kim był.

— No więc podobne uczucia powinieneś żywić wobec lekarza.

— Nonsens. Jego robota polega na tym, żeby troszczyć się o moje życie. Płacę mu za to. Ale ten drugi pilot nawet mnie nie znał, nic go nie powinienem obchodzić.

Po chwili milczenia Jerry spytał:

— Jakiego rodzaju przysług oczekiwałbyś od przyjaciela?

Robin uśmiechnął się z przymusem.

— Nie wiem. Nigdy nie miałem przyjaciela.

Jerry uczynił ruch, jakby zamierzał wyjść.

— Robin, nie będę czekał, aż wpięprzysz się na czerwone światła, by ci uratować życie, ale mimo to uwierz: jestem twoim przyjacielem i dlatego dam ci gratis pewną radę. Nie spisuj Amandy na straty jak każdą inną ze swych dziwek. Słabo ją znam, ale ma w sobie coś... coś, co wyczuwam, choć nie potrafię nazwać po imieniu. To nieprzeciętna dziewczyna.

Robin odstawił nagle szklankę i ruszył przez pokój. — Dobry Boże, zapomniałem o ptaku. — Wszedł do kuchni i włączył światło.

Jerry podążył za nim; w kuchni na podłodze ujrzał ozdobną wielką klatkę, a na jej dnie pisklę wróbla, patrzące na nich spłoszonymi oczkami.

— Zapomniałem nakarmić Sama — wyjaśnił Robin, wyciągając chleb.

— To wróbel, prawda? — zapytał Jerry.

Robin podszedł do klatki z kromką chleba, filiżanką wody i kropłomierzem, a potem delikatnie wyjął pisklę; spoczęło w jego dłoni z największą ufnością. — Mały pomyleniec za wcześnie spróbował latania. Wypadł z gniazda prosto na mój balkon i złamał skrzydło albo coś w tym rodzaju. Było to w obecności Amandy. Natychmiast pobiegła do miasta, kupiła klatkę... no i zostałem jego nową mamą. Amanda nie mogła go wziąć do siebie, bo ma syjamskiego kota, a ten cholerny sukinsyn umie łązić po ścianach.

Pisklę z oczekiwaniem otworzyło dzióbek, a wówczas Robin najpierw nakarmił je okruszkami chleba, a potem — przy rosnącym zdumieniu Jerry'ego — napoił wodą z kropłomierza. Uśmiechnął się z zakłopotaniem. — Nie potrafi inaczej pić. — Wreszcie włożył ptaka do klatki, otrzymując w zamian pełne wdzięczności spojrzenie małych oczek. — Okay, Sam — powiedział. — Czas spać. — Kiedy zgasił w kuchni światło i na powrót znaleźli się z Jerryem przy barku, dodał: — Chyba nic go nie boli. Żre jak sto diabłów... a obolałe zwierzaki nie jedzą, prawda?

— Nie znam się na zwierzętach — odparł Jerry — ale wiem, że dziki ptak nie uchowa się w klatce.

— Wypuszczę drania, jak tylko stanie na nogi. To cwany ptaszek i ma swój własny rozumek. Zauważyłeś, jak wyraźnie dał mi do zrozumienia, że się już napchał i chce teraz pić?

Jerry był znużony. Wydawało mu się czymś diabło niespójnym, że okazując aż taką czułość kalekiemu pisklęciu, Robin potrafi zarazem być bezwzględny wobec kobiety. — A gdybyś tak zadzwonił do Amandy i powiedział jej, że ptak jest w porządku? — zasugerował.

— Przypuszczalnie śpi od dwóch godzin — odrzekł Robin. — Dla niej liczy się przede wszystkim kariera. Posłuchaj... przestań się przejmować Amandą. Ona wie swoje i nie da sobie zrobić krzywdy.

Robin nalewał sobie następnego drinka, kiedy Jerry wyszedł na koniec z jego mieszkania. Było już bardzo późno, ale postanowił dojść do parkingu piechotą, żeby oczyścić umysł z oparów alkoholu. Powodowany impulsem, zatrzymał się przy sklepie nocnym i zadzwonił do Amandy.

— Jerry... tak się cieszę, że dzwonisz. Och, Jerry, Robin skończył z tą krową w łóżku, prawda?

— Dla twojej informacji: dwadzieścia minut po naszym rozstaniu pożegnaliśmy krowę u jej drzwi.

— Ale jest tak późno... coście robili? Dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej? Nie mogłam zasnąć.

— Cóż, najpierw szliśmy sobie spacerkiem, potem urządziliśmy w barze postój na kielicha, potem poszliśmy do Robina, potem piliśmy i gadaliśmy. Potem Robin karmił tego cholernego ptaka, a kiedy wychodziłem, rozplywał się nad jego przymiotami — jaki jest bystry, bo przecież wie, kiedy ma pragnienie!

Roześmiała się z ulgą.

— Och, Jerry, czy powinnam do niego zadzwonić?

— Nie, rozgrywaj to spokojnie, Amando. Nie poganiaj:

— Wiem. Próbuję... Ale wszystko wypada okay tylko wtedy, kiedy człowiek nie jest zaangażowany uczuciowo. A ja jestem... po raz pierwszy w życiu. Ja go kocham, Jerry.

— Nie daj mu tego po sobie poznać.

Jej śmiech był teraz wymuszony.

— Czysty obłąd, co? Kochać mężczyznę i wstydliwie to skrywać. Czy twoja żona usidliła cię dzięki wyrachowaniu, Jerry?

Zachichotał w słuchawkę. — Mary nie była supermodelką, a ja Robinem Stone'em. A jeśli wkrótce nie dotrę do domu, może się okazać, że wcale nie mam żony. Dobranoc, kochanie.

Rozdział ósmy

Nazajutrz Robin obudził się o siódmej. Samopoczucie miał znakomite; tak zresztą było zawsze i nie miała na to żadnego wpływu ilość wypitej wódki — pierwszy kac w życiu wciąż należał do sfery wydarzeń, które dopiero mogą mieć miejsce. Robin był wdzięczny owej tajemniczej sile w swoim metabolizmie, która stanowiła źródło tego fenomenu, i miał zamiar czynić z niej użytek. Zdawał sobie sprawę, że pewnego dnia obudzi się z takim samym uczuciem, jakie trapi każdego przepitego faceta. Podszedł do lodówki i nalał sobie dużą szklankę soku pomarańczowego, a potem wziął skórkę od chleba i podniósł osłonę klatki. Wróbel, sztywny i nieruchomy, leżał na boku i patrzył nań martwymi ślepkami... Robin ujął go w dłoń. — I ty też na nic się nie skarżyłeś, mały draniu — powiedział. — Podobał mi się twój styl.

Założył spodnie i koszulę sportową, a potem wsunął małe ciało do foliowej torebki. Po wyjściu z mieszkania skierował się ku rzece.

— Pogrzeb w głębinach, Sam. Nie mogę zaproponować ci nic lepszego.

Rzeką sunęła powoli zdezelowana szara barka; Robin cisnął torebkę do wody i obserwował, jak wiruje w kilwaterze statku. — Szkoda, że z tego nie wyszedłeś, przyjacielu — powiedział. — Ale przynajmniej masz jednego prawdziwego żałobnika, czyli więcej niż ogromna część ludzi.

Kiedy torebka zniknęła w falach, odwrócił się i ruszył do domu.

Potem wziął długi zimny prysznic; zakręciwszy kran, usłyszał, że telefon dzwoni jak najęty. Owinął biodra ręcznikiem, ociekając wodą przebiegł pokój i złapał słuchawkę.

— Obudziłam cię, Robinie? — To była Amanda. — Mam wczesne zdjęcie i chciałam cię złapać jeszcze przed wyjściem.

Macał wokół siebie, szukając papierosów.

— Robinie... jesteś tam?

— Taa. — Na stoliku nocnym nie było zapałek; znalazł je na podłodze.

— Przepraszam za wczorajszą wieczór.

— A co się takiego stało?

— No, to moje wyjście... ale nie mogłam patrzeć na tę dziewczynę, a poza tym byłam zmęczona i...

— To było wczoraj. Zapomnij.

— A co będzie dzisiaj? — zapytała.

— Po staremu. Chcesz mi coś upichcić?

— Z największą radością.

— Więc dobrze — powiedział. — Powiedzmy stek i ta twoja obłądna sałatka.

— Robinie, jak się czuje ptak?

— Zdechł.

— Ależ wczoraj wieczorem jeszcze żył?

— Czyżby?

— No... — gorączkowo szukała w myślach odpowiedzi. — Chyba byś do mnie zadzwonił w innym przypadku.

— Masz rację. Opuścił ten padół gdzieś między drugą a piątą nad ranem. Kiedy wstałem, był już sztywny.

— Co z nim zrobiłeś?

— Wrzuciłem do rzeki.

— Jak mogłeś?

— A czego się spodziewałaś? Że wystawię go w otwartej trumnie u Campbella?

— Nie... tylko to takie... nieludzkie. Och, Robinie, czy ty nigdy niczego nie czujesz?

— W tej chwili czuję, że jestem mokry.

— Gzy wiesz, kim jesteś? Jesteś cynicznym łajdakiem. — Było to raczej stwierdzenie faktu, niż gniewny okrzyk.

Wybuchł śmiechem, a potem Amanda usłyszała, że głęboko zaciąga się papierosem.

— Robinie — zapytała po krótkiej pauzie — czego ty właściwie oczekujesz od życia?

— Na przykład teraz kilku jajek sadzonych.

— Jesteś nieznośny! — Roześmiała się, żeby zmienić nastrój rozmowy.

— A więc jesteśmy umówieni na siódmą. Stek i sałata. A może ty masz ochotę na coś specjalnego?

— Na ciebie.

Zaśmiała się i Amanda odzyskała odrobinę pewności siebie.

— Ach, zapomniałam ci powiedzieć... Dostałam dwa gratisowe zaproszenia na tę primaaprilisową imprezę w Paris Ball; normalnie są po sto dolarów... Pójdiesz ze mną?

— Nie ma mowy.

— Ale ja powinnam się tam pokazać...

— Kochanie, w przyszłym tygodniu może mnie w ogóle nie być w mieście.

— Dokąd jedziesz?

— Może do Miami. Zaczynam montować ekipę na konwencję i muszę pogadać z Andym Parino, który pracuje w naszej tamtejszej SR.

— Co to jest SR?

— Stacja Regionalna. Każda sieć ma prawo do pięciu. Chcesz się ze mną przelecieć? Byłaś kiedyś w Miami?

— Robinie, ja nie mam dnia wakacji. Pracuję w świątek-piątek.

— Przypomniałaś mi, że i ja nie powinienem się opieprzać. Do zobaczenia wieczorem. I, na rany boskie, zamknij w łazience tego cholernego kocura. Ostatnim razem całą kolację przesiedział mi na kolanach.

Roześmiała się.

— Bo cię uwielbia... A, ja, Robinie... ja cię Kocham.

Ale zdążył już odłożyć słuchawkę.

Amanda złapała taksówkę i kazała się wieźć do Lancer Bar. Ostatnia sesja przeciągnęła się o trzydzieści pięć minut; oznaczało to sporą gażę ekstra, ale zarazem brak czasu, by pojechać do domu i przebrać się w tę nową kreację

z jasnoblękitnego surowego jedwabiu, którą tak chciała dzisiaj założyć... Robin wrócił z Miami, lecz niebawem wyjeżdżał do Los Angeles na konwencję demokratów; był to ich ostatni wspólny wieczór.

Ten cholerny Nick Longworth! Chciała wziąć dziesięć dni wolnego i pojechać do Los Angeles z Robinem. Byłoby tak cudownie. Rzecz jasna, w ciągu pięciu dni konwencji widywaliby się nieczęsto, ale potem Robin brał kilka dni urlopu i wybierał się z Andym Parino do Palm Springs, na golfa. Zaproszenie rzucił mimochodem, lecz jednak naprawdę ją zapraszał!

Tymczasem Nick był nieustępliwy: Amanda — oświadczył — staje się jedną z najbardziej wziętych modelek w mieście; jesienią znowu podniesie jej uposażenie; ma dla niej na lipiec zbyt wiele interesujących kontraktów.

Kiedy wyjaśniała to wszystko Robinowi, miała nadzieję, że usłyszy w odpowiedzi: „Do diabła z kontraktami, to ja jestem twoją przyszłością”. Ale powiedział tylko: — Jasne, mała, zapominam, że babskie szmatki to wielki interes.

I powiedział to z pełnym przekonaniem.

Nick miał jednak słuszość. Ciężko zapracowała na swoją obecną pozycję i potrzebowała pieniędzy; rezygnacja z kilku ważnych zleceń oznaczała nie tylko ich utratę, lecz również stworzenie pustego miejsca, na które może się wdrzeć jakaś inna dziewczyna! Nie mogła przerwać swej wspinaczki ku szczytom.

Spojrzała na zegarek: miała już dziesięć minut spóźnienia, a taksówka wlokła się jak żółw. Amanda opadła na oparcie i zapaliła papierosa. Nie ma powodów do obaw, tak czy inaczej, Robinowi towarzyszy najprawdopodobniej Andy Parino — od przyjazdu z Miami byli nierozłączni. Polubiła Andy'ego, choć jego prezencja — a był przystojny, może nawet przystojniejszy niż Robin — nie zrobiła na niej żadnego wrażenia. Podobnie zresztą traktowała modeli, z którymi niekiedy pozowała: piękni, ale co z tego? Natomiast jedna myśl poświęcona Robinowi przyprawiała ją o zawrót głowy. Miała ochotę wyskoczyć z oszpelej taksówki i pognać biegiem. Na dworze jednak panował wilgotny upał, który zapewne obszedłby się brutalnie z jej fryzurą.

Ostatni wspólny wieczór. Nie, nie powinna nawet tak myśleć. Robin wyjeżdża zaledwie na dziesięć dni; odkąd został szefem programów informacyjnych, nosiło go po świecie nieustannie. Na przykład, był dwa razy w Europie. Zastanawiała się, czy Andy przyklei się do nich na cały wieczór. Podczas trzech ostatnich spotkań szli z Lancer Bar do małej włoskiej restauracyjki i rozstawali się z Andym dopiero koło północy. No i podczas tych trzech ostatnich spotkań Robin pił jak smok. Nie miało to wprawdzie wpływu na jego

sprawność w łóżku, Amanda jednak wolała mieć pewność, że czułe słówka szepcze do niej mężczyzna, nie zaś skonsumowany przezeń alkohol.

W barze panował półmrok; zmruryła oczy i wówczas usłyszała dobiegający z gabinetu w głębi sali głos Robina:

— Tutaj, kochanie.

Obaj mężczyźni wstali na jej widok, Andy zaś powitał ją swoim szerokim przyjaznym uśmiechem. Kiedy jednak na krótką chwilę jej wzrok spotkał się ze spojrzeniem Robina, zniknęło wszystko: uśmiech Andy'ego, bar, zgiełk — nawet serce przestało bić, aby nie zniweczyć magii tego przelotnego momentu intymności, który należał tylko do nich dwojga. A potem Amanda siedziała już przy Robinie, rozprawiającym znów o polityce; pragnęła go dotknąć, ale opanowała tę chęć i siedziała nieruchomo, mając na twarzy taki wyraz, jaki narzucił jej Nick Longworth: lekki uśmiech... najmniejszej mimiki... żadnych zmarszczek.

Kelner postawił przed nią szklaneczkę martini.

— To ja ci zamówiłem — wyjaśnił Robin. — Jestem pewien, że nie zaszkodzi. W taki dzień sterceż pod jupiterami to musi być najczystsze piekło.

Nie lubiła alkoholu. W dawnych czasach, jeszcze przed Robinem, zamówiłyby sobie coś i oznajmiła bez ogródek: — Nie piję. — Instykt jednak powiedział jej, że Robin nie wytrzymałby dłużej z niepijącą dziewczyną, więc z reguły przyjmowała drinka, by po dłuższej zabawie przelać Robinowi połowę zawartości swojego kieliszka czy szklanki. Teraz jednak sączyła chłodny napój z wyraźną przyjemnością; może w końcu zacznie gustować w martini.

Robin i Andy międlili temat zbliżających się nominacji. Po dłuższej chwili Robin wziął Amandę za rękę; w ten sposób symbolicznie włączał ją do rozmowy, w której, jako zupełna polityczna ignorantka, nie miała szans wziąć aktywniejszego udziału.

— Przyjeżdża Eleonora Roosevelt w charakterze ostatniej deski ratunku dla Stevensona, ale facet nie ma żadnych szans — powiedział Robin. — A szkoda, bo to wielka indywidualność.

— Czy nie lubisz Kennedy'ego? — zapytała Amanda, doszedłszy do wniosku, że musi okazać jakieś zainteresowanie tematem. Bo poza tym było jej zupełnie obojętne, kto zostanie nominowany.

— Poznałem go, ma wielki magnetyzm i zamierzam na niego głosować. Mówię jedynie, że to smutne, iż Stevenson musi przegrać. Niezmiernie rzadko ma się na scenie politycznej dwie wybitne osobistości jednocześnie. Taki los spotkał Willkiego, który kandydował przeciwko Rooseveltowi. Bóg jeden wie, jak wyglądałaby sytuacja, gdyby Willkie urodził się dziesięć lat wcześniej.

Potem Robin i Andy przystąpili do omawiania kandydatów na wiceprezydenta. Amanda słuchała nazwisk — Symington, Humphrey, Meyner — popijała martini i obserwowała profil Robina.

O dziewiątej przenieśli się do włoskiej knajpki, kiedy zaś po skończonej kolacji Andy zaproponował przenosiny do „P.J.” na drinka, Robin ku niewysłowionemu szczęściu Amandy pokręcił głową.

— Miałem cię na karku przez dziesięć dni, młody człowieku. To ostatni wieczór z moją dziewczyną.

Był tej nocy nadzwyczaj czuły. Przecesał dłonią jej jasne włosy i popatrzył na nią ciepło.

— Moja piękna Amando. Jesteś tak czysta, smukła i cudowna.

Przytulił ją, pieścił szyję, a potem kochali się aż do wyczerpania. Wtedy zerwał się gwałtownie i wyciągnął Amandę z łóżka. — Weźmy razem prysznic!

Stali w strugach gorącej wody. Nie przejmowała się tym, że zmokły jej włosy, że jutro, o dziesiątej rano, ma sesję fotograficzną. Tuliła go ze wszystkich sił, bo teraz, w tej chwili, liczył się tylko on. A kiedy wyciągnął ramię i puścił zimną wodę, pisnęła, lecz zaraz potem wybuchła śmiechem i przywarła doń jeszcze ciaśniej. Po chwili przyzwyczała się do lodowatych strumieni i doznała cudownego uczucia. Ich mokre twarze zbliżyły się do siebie, usta zwarły w pocałunku. Kiedy pociągając ją za sobą Robin wyskoczył spod prysznicza, a później otulił Amandę i siebie prześcieradłem kąpielowym, popatrzyła mu w oczy i powiedziała: — Kocham cię, Robinie.

Pochylił głowę, najpierw pocałował ją w usta, a potem w szyję i małe płaskie piersi. — Kocham twoje ciało, Amando — powiedział wreszcie, uniósłszy twarz. — Jest czyste, silne i wspaniałe.

Chwycił ją na ręce, zaniósł do pokoju i kochali się znowu, aż wreszcie zasnęli, wtuleni w siebie.

Amandę obudziło uczucie odrętwienia w ręce, na której spoczywała głowa Robina. Delikatnie wyciągnęła ramię, Robin poruszył się z lekka, lecz nie obudził. Amanda dostrzegła jarzące się w mroku ślepia swojego kota. Dobry Boże, zdołał sobie otworzyć drzwi. Sunął bezgłośnie przez pokój, a potem dał susa wprost w jej objęcia. Przytuliła go, pogłaskała, a kiedy zamruczał z uciechy, oznajmiła szeptem: — Muszę cię odnieść do salonu, Les. Robin nie lubi się budzić, mając ciebie na szyi.

Zsunęła się z łóżka; Robin drgnął, a jego dłoń spadła na pustą poduszkę.

— Nie zostawiaj mnie! — wykrzyknął. — Proszę... nie zostawiaj mnie! Upuściła wystraszonego kota i pospiesznie wróciła do łóżka.

— Jestem tu, Robinie. — Otoczyła go ramionami.

Drżał na całym ciele, wbijając wzrok w ciemności.

— Robinie... — musnęła palcami jego wilgotne czoło — jestem tu... Kocham cię.

Potrząsnął głową, jak człowiek wychodzący z wody. Popatrzył na Amandę, zamrugał oczyma, a potem uśmiechnął się szeroko i przyciągnął ją do siebie.

— Co się stało?

Odpowiedziała stropionym spojrzeniem.

— To znaczy, dlaczego, u licha, w samym środku nocy siedzimy na łóżku jak para idiotów?

— Po prostu wynosiłam kota, no i chciałam się napić, a ty krzyknąłeś.

— Krzyknąłem?

— Krzyczałeś „Nie zostawiaj mnie!”

Przez krótką chwilę widziała w jego oczach coś na kształt lęku. Potem na się uśmiechnął. — Więc na przyszłość nie wymykaj się z łóżka.

Przywarła doń mocno. Po raz pierwszy dojrzała w Robinie oznaki słabości.

— Nigdy cię nie porzucę, nigdy. Kocham cię.

Odsunął ją nieco od siebie i wybuchł śmiechem. — Ależ porzuczaj mnie, kiedy zechcesz, kochanie. Byle nie w środku nocy.

Spojrzała na niego z ukosa. — Dlaczego?

Wbił wzrok w ciemności. — Nie wiem. Naprawdę nie wiem. — Potem błysnął niewymuszonym uśmiechem. — Ale podsunęłaś mi pewną myśl: ja też bym coś wypił. — Klepnął ją w pośladek. — Wstawaj. Chodźmy do kuchni i strzelmy po piwie.

Wypili piwo i znowu zaczęli się kochać.

Pory roku stapały się w myślach Amandy w jeden nieprzerwany ciąg wydarzeń. Wczesną wiosną w jej życiu pojawił się Robin; lato przyniosło przemianę ich związku w nieustający fajerwerk uniesień i zwątpień. Robin jeździł na konwencje do Los Angeles i Chicago — Amanda miała wrażenie, że po każdym powrocie kocha go mocniej, że siła jej miłości nie potrafi sobie znaleźć górnej granicy, że będzie narastać w nieskończoność. Ten stan rzeczy napawał ją przerażeniem, bo zdawała sobie sprawę, iż Robin nie odczuwa nic podobnego nawet w formie szczątkowej. Uznanie, jakie przyniosły mu relacje z konwencji, tylko pogłębiało w niej poczucie zagrożenia; zdobytą przez Robina pozycję postrzegała jako niebezpieczeństwo. Gorączkowo pragnęła, aby znów zaczął robić wiadomości lokalne.

W październiku, siedząc w jego mieszkaniu, obejrzeli pierwszy program *Z bliska*. Po zakończeniu emisji telefoniczne gratulacje złożył Gregory Austin, a chwilę później — z Miami — Andy Parino. Andy poznał właśnie młodą rozwódkę i był zakochany!

Usłyszawszy tę wiadomość, Robin parsknął śmiechem.

— Jasne, nie mogło być inaczej. Macie tam, w Miami, tysiące dziewczyn, a taki grzeczny katolicki chłopaczek jak ty musiał trafić na rozwodnicę.

— Maggie Stewart jest inna! — oświadczył z przekonaniem Andy. Oczywiście, jego wyznanie — przyznał — stwarza pewne problemy, ale największą przeszkodę stanowi upór wybranki, która wcale nie ma ochoty wychodzić powtórnie za męża. Andy dał jej w swoim lokalnym dzienniku pięciominutowe wejście, a zatem — jak to ujął — przynajmniej pracowali razem.

Amanda słuchała w milczeniu; być może właśnie w tej chwili począł się w jej umyśle rysować niewyraźny zrazu plan, który uległ skryształowaniu kilka wieczorów później, kiedy skwitowała śmiechem śmiertelnie sztywny popis modelki, robiącej reklamy reklamówkę w programie nocnym.

— Po co ta ironia — powiedziała Robin. — Cholernie trudno być naturalnym, kiedy gapi się na ciebie czerwone oko kamery.

— A na czym, według ciebie, polega moja praca? — zapytała.

Przytulił ją i odrzekł: — Ty, moja piękna, pozujesz pięćdziesiąt razy do jednej fotki, aż dostaną jedno ujęcie, na którym wyglądasz jak anioł, którym w istocie jesteś. A jeśli się nie uda — pozostaje retusz i inne bajery.

Amandę zastanowiły jego słowa. Jeśli zdoła nakręcić dobrą reklamówkę telewizyjną, może Robin naprawdę zacznie ją szanować. Podzieliła się swoim pomysłem z Nickiem Longworthem, który jednak skwitował to śmiechem.

— Doskonale, tylko weź, z łaski swojej, pod uwagę dwie sprawy. Po pierwsze: nie umiesz mówić, bo to zupełnie odrębny talent. Po drugie: nie możesz wystąpić w scenie zbiorowej, bo do tego się bierze dziewczyny z mniejszym doświadczeniem. Zakontraktowałem ostatnio trzy do reklamy piwa. Tak więc mogłabyś jedynie sprzedawać jakiś luksusowy towar, ale takie zlecenia nie spadają z nieba, a poza tym klienci szukają zwykle modelek w typie hollywoodzkim, które jednocześnie potrafią przekonująco mówić.

W Wigilię Bożego Narodzenia przystroili choinkę w jej mieszkaniu i wymienili się prezentami. Dostała od Robina maleńki i bardzo piękny zegarek, pozbawiony jednak ozdoby choćby w postaci mikroskopijnego brylantyka; Amanda z trudem zdołała ukryć rozczarowanie. Dla Robina przygotowała smukłą złotą papierośnicę, opatrzoną faksymile jego podpisu. W drodze powrotnej do domu na przedświątecznego drinka wpadł Jerry; przywiózł butelkę szampana i nadmuchiwaną zabawkę dla Lesera.

Kiedy wieczorem szli do łóżka, kot — wraz z zabawką — postanowił dotrzymać im towarzystwa. Amanda wzięła go na ręce i ruszyła w stronę salonu, Robin jednak powiedział: — Niech zostanie, w końcu jest Wigilia. — Potem poklepał się w czoło i dodał: — Ach, zapomniałem o czymś. — Z kieszeni za-

wieszanej na krześle marynarki wyjął płaskie pudełko, i ze słowami: — Wesołych Świąt, Leser — cisnął je na łóżko.

Otworzywszy pudełko, Amanda znalazła w nim czarną obrózkę z miękkiej skóry — miała srebrne dzwoneczki i małą srebrną plakietkę z wygrawerowanym imieniem kota.

Amanda zarzuciła ramiona na szyję Robina i przytuliła go ze wszystkich sił. — Ty naprawdę lubisz Lesera...

Wybuchł śmiechem.

— Jasne, że lubię. Tylko nie przepadam, jak się do mnie podkrada. Te cholerne dzwoneczki będą mnie ostrzegać. — Zaczął ją całować i już po chwili, zajęci sobą, nawet nie słyszeli srebrzystego brzęku, jaki towarzyszył wzgardliwej rejteradzie kota.

Rozdział dziewiąty

W styczniu na telewizyjnej kolumnie „New York Timesa” omówiono nowości programowe, które pojawią się na antenie w lutym. Dan uśmiechnął się z satysfakcją widząc, że największą uwagę skupił na sobie *Show Christiego Lane’a*. Przeharował całe lato i dosłownie wycisnął z Christiego przyzwoitego pilota. Kiedy Gregory obejrzał program i dał mu zielone światło, Dan przestał wreszcie brać środki uspokajające.

Postanowił, że dzisiaj to obleje i mimo woli pomyślał przy tym o Ethel. Może popełnił błąd, delegując ją do *Show Christiego Lane’a*? Ale, do jasnej cholery, musiał się jej jakoś zrewanżować. W łóżku nie miała sobie równych. Nowa robota wprawiła ją w ekstazę. Wiedział, że nie chodzi jej o te dwadzieścia pięć dolarów tygodniowo ekstra, lecz możliwość regularnego zaliczania gwiazdorów, występujących gościnnie w programie. Cóż, on sam nie był w stanie różnić się z tą nimfomanką częściej niż dwa razy w tygodniu... jeśli więc chce w nadgodzinach podkładać się facetom z Hollywood, nie będzie miał nic przeciwko temu. Może cholerna dziwka zapomni wreszcie o tym swoim refrenie: „Weź mnie do «21»”? Dziwne, że Ethel nie okazywała najmniejszych miłosnych skłonności do Christiego Lane’a. Utrzymywała, że facet przyprawia ją o dreszcze. „Jest taki trupioblady — mawiała — że przypomina mi kaczy kuper”. Od tej chwili za plecami Lane’a używała wobec niego inicjałów K.K.

Promieniejąc samozadowoleniem Dan rozparł się w fotelu. Teraz musi tylko poczekać do lutego, żeby rzucić na stół swojego asa atutowego. Załatwił,

że sponsorowanie programu wzięła na siebie firma Alwayso, dobrał Christiemu współwykonawców, korespondujących z jego wizerunkiem pana Przeciętniaka — piosenkarkę o pospolitym wyglądzie i prząsnego konferansjera — a wreszcie zapewnił cotygodniowy gościnny występ gwiazdy, która doda całości szczyptę blasku. Producentem programu został Artie Rylander, który w latach pięćdziesiątych zdobył renomę jako specjalista od imprez robionych na żywo. Reklamy, dzięki zgodzie Alwayso, również miały iść na żywo. Idealny układ, pomyślał Dan: piękna dziewczyna w reklamówce będzie stanowił doskonały kontrast dla familijnej, prostej formuły programu.

W tej chwili w biurze Jerry'ego tłoczą się zapewne wszystkie piękne modelki z miasta. Jerry zamierzał dawać do pokazu wygłaszany męskim głosem komentarz zza kadru, a poza tym trzymać się tylko jednej dziewczyny.

Problem polegał na tym, którą wybrać.

Dan uśmiechnął się pod nosem. Skazany od miesiący na towarzystwo Christiego Lane'a, jego akolitów oraz Siga, Howiego i Artiego Rylandera, chciałby mieć tylko takie kłopoty, jakie stwarza biuro, wypełnione pięknymi dziewczynami.

W gruncie rzeczy, jedyny problem Jerry'ego stanowiła Amanda. Ze swą zimną nordycką urodą i gęstymi jasnymi włosami była najlepszą kandydatką dla reklamowania produktów Alwayso — zresztą w ciągu minionego roku robiła to w magazynach ilustrowanych — i Jerry bardzo chciał zatrudnić ją w programie. Nie wiedział tylko, jak przyjmie to Robin...

Czy powie: „Co, do cholery, robisz? Chcesz mi wleźć do mojego ogródka?“, czy może: „To było cholernie miłe z twojej strony, Jerry, doceniam“.

Nagle znienawidził się za te rozważania. Do diabła, problem powinien polegać na tym, kto jest najlepszy do tej pracy, nie zaś na tym, jakie odczucia będzie żywił Robin. Zagapił się na zdobiące biurko zdjęcie Mary i dzieciaków. Czy w jego stosunku do Robina jest coś nienormalnego? Bzdura! Nie pożąda Robina seksualnie; po prostu go lubi i lubi z nim przebywać. Tylko dlaczego to lubi? Niekiedy Robin traktował go z taką samą wielkopańską jowialnością, jaką szaszczycał Carmen, barmankę z Lancera; czasem nieomal go lekceważył... Zdarzało się jednak, że bywał towarzyski i wówczas witał Jerry'ego prawie z radością: „Siadaj, stary, czego się napijesz?“ Mimo to Jerry żywił sekretne podejrzenie, że gdyby nagle przestał dzwonić do Robina i wpadać do Lancera, nie zostałyby to wcale zauważone.

Przycisnął brzęczyk i polecił sekretarce przysłać Amandę; zjawiła się w drzwiach kilka sekund później. Boże, nawet chodziła tak samo, jak ten jej cholerny kot. Dziś miała na sobie futro z lamparta.

Usiadła na krześle naprzeciwko Jerry'ego, nie speszona faktem, że światło z okna pada jej na twarz. Niektóre starsze modelki, jak zauważył Jerry, starannie tego unikały. Amanda jednak wiedziała, że ma nieskazitelną cerę.

— Naprawdę chcesz wziąć tę robotę? — zapytał Jerry.

— Bardzo.

Nie spuszczał z niej oka. Jezu, ona przecież zaczyna nawet mówić tak samo jak Robin — krótko i rzeczowo.

Spostrzegł, że ukradkowo zerka na zegarek. Jasne, jej czas był cenny. Po-tem zwrócił uwagę na sam zegarek; Chryste, to ten miniaturowy Vacheron... Mary podziwiała go na wystawie u Cartiera. Ale kosztował przeszło dwa tysiące.

— Masz piękny zegarek — powiedział.

Uśmiechnęła się.

— Dzięki za komplement... Robin dał mi go na Gwiazdkę.

Jerry nic nie odrzekł. Przesłał Robinowi skrzynkę mocnej wódki, nie otrzymując w zamian nawet kartki z życzeniami.

Nagle Amanda przechyliła się przez biurko i popatrzyła na niego błagalnie.

— Chcę mieć tę pracę, Jerry. Chcę, żeby Robin był ze mnie dumny. Kocham go, nie potrafię bez niego żyć. Jesteś jego najlepszym przyjacielem. Jakie, według ciebie, mam szanse? Jesteśmy ze sobą od roku i czasem myślę, że odrobinę się do niego zbliżyłam. On jest taki nieobliczalny... co sądzisz, Jerry? Mężczyźni czasem się sobie zwierniają.

Poczuł gwałtowny przypływ współczucia wobec Amandy. Boże, kochać takiego faceta jak Robin, to musi być dla dziewczyny najczystsze piekło. Był rad, że jest zaledwie kumplem Robina.

— Jerry, ja chcę za niego wyjść — powiedziała. — Chcę rodzić mu dzieci. — Na jej twarzy odmalowało się napięcie. — Czy wiesz, co robię wieczorami, kiedy on jest poza miastem? Chodzę na kurs literatury do New School. Przeczytałam już *Klub Pickwicka* i wzięłam się do Chaucera... ale kiedy próbowałam podyskutować o tych lekturach z Robinem, wyśmiał mnie i oświadczył, że wcale sobie nie życzy zostać moim profesorem Higginsem. Och, Jerry, czasami żałuję, że kocham go tak mocno. Nawet kiedy mamy za sobą noc, potrafię, po jego wyjściu, przytulać się do ręcznika, którego używał. Gorzej... wkładam ten ręcznik do torby, noszę ze sobą przez cały dzień, dotykam, wącham... i mam zawroty głowy. Ilekroć jesteśmy umówieni w Lancerze, idę tam z lękiem, że go nie zastanę... dotąd jednak zawsze na mnie czekał. A kiedy siadam i widzę, jak się uśmiecha, myślę „Boże, gdyby ta chwila mogła trwać wiecznie”. I to mnie właśnie przeraża, bo chyba ciągle żyję z obawą, że które-

goś dnia odejdzie. — Zasłoniła dłońmi oczy, jakby pragnęła odrzucić od siebie tę myśl.

Jerry poczuł, że też zaczyna się rozklejać. — Nie utracisz go, Amando, postępujesz właściwie. Zatrzymałaś go przy sobie prawie rok i już to stanowi rekord. — Potem podsunął jej kontrakt. — Myślę, że wypadniesz wspaniale. Jesteśmy ogromnie radzi, mogąc zatrudnić cię w tym programie.

Wyglądało na to, że Amanda rozplacze się lada chwila. Siegnęła po pióro i pospiesznie złożyła na umowie swój podpis. Kiedy jednak podawała Jerry'emu rękę, znów była całkowicie opanowana.

Odprowadzał ją wzrokiem, gdy wychodziła z biura. I kto by pomyślał, że ta superdziewczyna, ta doskonała istota, błądzi po krętych ścieżkach dramatycznego romansu!? Kochać Robina Stone'a... to musi być udręka; bo w gruncie rzeczy nigdy go nie miała i powinna przeczuwać, że pewnego dnia zostanie sama. Jerry wiedział, że Amandy będą pojawiać się i znikać, gdy on... on zawsze będzie mógł skoczyć z Robinem na drinka do Lancer Bar.

Dwa tygodnie później Jerry złożył pierwszą wizytę u psychiatry. Ostatnimi czasy kochał się z Mary niepokojąco rzadko. Pierwszy raz próbowała mu na to zwrócić uwagę w sposób żartobliwy:

— Hej, czy przypadkiem hanując całymi tygodniami i poświęcając weekendy na golfa, nie zapomniałeś do reszty o ukochanej kobiecie?

Przywołał na twarz sugestywny wyraz zaskoczenia — jak człowiek, któremu wytknięto zapominalstwo.

— Ani razu przez całe lato — wyjaśniła bez złości. — A teraz mamy połowę września. Czy mam czekać, aż zrobi się za zimno na golfa?

Próbował się usprawiedliwić, mamrocząc coś o gorączkowym początku nowego sezonu.

W listopadzie zwał winę na komunikację. Parszywa pogoda, lepiej korzystać z koleżki, no i te wieczne gonitwy, żeby zdążyć na ostatnią. Nie, wcale nie dlatego, że do późna przesiaduje z Robinem w Lancerze! Ma po prostu cholernie dużo roboty.

W okresie świątecznym miał do dyspozycji więcej wymówek: praca paliła mu się w rękach. W styczniu musiał uporać się z zobowiązaniami wobec Alwayso — napisać teksty reklam, wybrać produkty do pierwszych programów.

Jeśli nawet wymówki te uspokajały Mary, to w najmniejszym stopniu nie osłabiały wątpliwości, jakie zaczynały formować się w umyśle Jerry'ego. Fakt, ledwo trzymał się na nogach ze zmęczenia, pogoda była paskudna i dokuczające mu przewlekłe przeziębienie. Chwilami zwał nawet winę na masywne różowe lokówki Mary. Jakim cudem ma człowieka roznosić požądanie, jeśli je-

go połowica ładuje się do łóżka w papilotach i z twarzą ukrytą pod centymetrową maseczką? Aby uniknąć dyskusji, tulił uszy po sobie, a jednak atmosfera w domu zaczynała przypominać szybkowar, który pewnego wieczoru eksplodował z wielkim hukiem.

Nastąpiło to we wtorek, tydzień po zaangażowaniu Amandy. Jerry'emu dopisywało doskonałe samopoczucie; wszystko przebiegało zgodnie z planem, dnia nie skaził — rzecz ostatnio rzadka — najmniejszy kryzys. Kiedy pociągiem o piątej dziesiąt wrócił do Greenwich, stwierdził, że wczorajszy śnieg — przemieniony na ulicach Nowego Jorku w brudnoszarą bryłę — tu, czysty i nieskazitelny, przywodzi na myśl świąteczną pocztówkę. Światła w oknach domów emanowały ciepłem i gościnnością.

Dzieciaki powitały go chóralnym okrzykiem „Tatusiu!"; pobawił się z nimi przez kilka kwadransów i z ulgą przyjął moment, gdy gosposia zabrała je do sypialni. Wówczas przygotował martini dla siebie i Mary. Kiedy weszła do saloniku, skomplementował jej fryzurę.

— Nie zmieniła się od roku — odparła bez uśmiechu, przyjmując drinka.

Nie pozwolił, by okazywany przez żonę brak entuzjazmu zburzył jego wyśmienite samopoczucie. — Cóż, dziś wygląda szczególnie pięknie — stwierdził, unosząc szklaneczkę.

Popatrzyła nań podejrzliwie. — Wróciłeś do domu o ludzkiej porze. Co się stało? Robin cię wystawił?

Był wściekły i omal nie Zakrzusił się martini, kiedy zaś Mary oświadczyła, że zaczerwienił się ze wstydu, jak burza wypadł z pokoju. Dławiło go poczucie winy, bo Robin rzeczywiście wystawił go do wiatru. No, może niezupełnie wystawił, ale coś w tym stylu. Wiedząc, że Amanda ma sesję fotograficzną o piątej, niezwłocznie zadzwonił do Robina.

— Lancer o piątej? — zapytał.

Robin wybuchł śmiechem. — Na rany boskie, Jerry, dopiero co wróciłem do miasta. Amanda robi mi kolację, więc odpuszczam sobie bar. Do zobaczenia jutro.

Po kilku minutach zdołał wyparskać z siebie gniew. Wielka sprawa! No więc zobaczy się z Robinem dopiero jutro. Poza tym najwyższy czas, żeby zaskoczyć Mary wcześniejszym powrotem do domu.

Oczywiście, awantura z Mary rozeszła się po kościach. Jego żona zjawiła się w sypialni, wyciągając w dłoni następną szklaneczkę martini jak gałązkę oliwną. Tej nocy nie miała na głowie różowych lokówek ani maseczki na twarzy, a mimo to Jerry nie potrafił zdobyć się na erekcję. Po raz pierwszy w ich skromnym wprowdziej, lecz dotąd z reguły udanym życiu seksualnym. Kiedy Mary odwróciła się tyłem do niego i zaczęła płakać, Jerry — ukrywając przed

sobą własne obawy — ją szukać usprawiedliwień w przemęczeniu, drinkach i stresach ostatnich dni. Później wybrał się nawet na badanie i poprosił o zastrzyk witaminy B12; doktor Anderson odparł, że wcale nie jest mu potrzebny. Gdy Jerry, nie widząc innego wyjścia, wybałał, na czym polega jego prawdziwy problem, Anderson polecił mu doktora Archiego Golda.

Jerry wypadł z gabinetu jak bomba. Nie potrzebował żadnego psychiatry! Boże... gdyby Robinowi przeszło choćby przez myśl, że on, Jerry, bierze pod uwagę leczenie u psychiatry, to... cóż, jasne jak słońce, że uciałyby wszelkie kontakty. Po cholere miałyby się kumpulować z takim słabeuszem?

Nie przejmował się tym, co mu powiedział doktor Anderson; nie obchodziło go, ilu bogatych, facetów, odkrywając w sobie jakieś „blokady”, szuka pomocy psychiatrów. Nie pójdzie do żadnego psychoanalityka!

Osobą, która w końcu złamała jego opór, była Mary. Co wieczór witała go uśmiechem; definitywnie zrezygnowała z lokówek; zmieniła makijaż. W łóżku tuliła się do niego i jeszcze dwukrotnie podjął próbę — ponosząc fiasko. Później bał się nawet próbować. Znalazłszy się pod kołdrą, niezwłocznie zamykał oczy i udawał, że śpi. Potem, bezsenny i wpatrzony w ciemność, słyszał, jak Mary wyslizguje się z łóżka i idzie do łazienki, żeby wyjąć krążek. Na koniec do jego uszu dobiegał zduszony płacz.

Doktor Archie Gold był człowiekiem zaskakująco młodym. Podświadomie Jerry spodziewał się faceta w grubych szklach, który nosi brodę i mówi z niemieckim akcentem. Tymczasem doktor Gold był starannie wygolony i emanował dyskretnym ciepłem. Podczas pierwszej sesji zdziałał niewiele. Pojawiwszy się w gabinecie, Jerry oznajmił bez wstępu:

— Nie wychodzi mi z żoną w łóżku, a przecież ją kocham i nie mam na boku żadnej dziewczyny.

Pięćdziesiąt pięć minut sesji minęło jak z bicia strzelił. Jerry w osłupieniu wysłuchał propozycji trzech spotkań tygodniowo; był pewien, że jego problem — jakakolwiek jest jego natura — może zostać wyeliminowany w przeciągu godziny. Czysty absurd! Ale przypomniał sobie Mary, jej zduszony szloch i... no, dobra, niech będą poniedziałki, środy i piątki.

Cała trzecia sesja poświęcona była Robinowi Stone'owi. Później zaczęła wpływać Amanda.

Po dwóch tygodniach poczuł się lepiej. Freudowskie grzebanie w duszy — i to grzebanie sięgające dzieciństwa — wywlokło niepokojące rewelacje. Oto miał poważne problemy z osobowością, ale... przynajmniej nie był pedałem; ta jedna, gryząca go podświadomie obawa, została wyeliminowana.

Mówił z doktorem Goldem o swoim ojcu, potężnym, bardzo samczym faciecie, który w dzieciństwie kompletnie go ignorował. Później zaczęli razem

chodzić na mecze, ale ojciec, zdzierając głos, kibicował Robinowi! — No, ten chłopak jest fantastyczny! — darł się na całe gardło. — Gość jak się patrzy!

Jerry przypomniał sobie pewną konkretną sytuację, kiedy Robin przedarł się przez niewiarygodną obronę i zaliczył przyłożenie. Ojciec zerwał się na nogi i krzyknął: — Co za chłopak... wspaniale, synu!

Delikatny sondaż doktora Golda ujawnił także inne zabójcze dla osobowości Jerry'ego dowody. Kiedy stało się na koniec jasne, że Jerry nie przekroczy pięciu stóp i dziewięciu cali wzrostu, jego ojciec prychnął: — Jakim sposobem spłodziłem takiego konusa? Przecież mam dobrze ponad sześć stóp. Chryste, wdałeś się w rodzinę matki. Baldwinowie są mali.

Okay. Rozumiał teraz to i owo. Usiłując zdobyć przyjaźń Robina, szukał symbolicznej aprobaty ojca.

To odkrycie wprawiło go w świąteczny nastrój.

— Moja diagnoza jest słuszna, prawda? — zapytał doktora Golda.

Przez chłodne szare oczy przemknął cień uśmiechu. — Musisz sam udzielić sobie odpowiedzi na swoje pytania.

— To za co ci, do cholery, płacę, jeśli zwalasz robotę na mnie?

— Udzielanie odpowiedzi nie należy do moich zadań — odparł cicho doktor Gold. — Mam tylko doprowadzić do tego, byś ty sam zdołał tego dokonać.

W tygodniu poprzedzającym premierę programu Jerry zdecydował się na spotkania codzienne, rezygnując z lunchu. Gold wolałby go widzieć między piątą a szóstą, wyrzeczenie się jednak nasiadówek z Robinem w Lancerze było ponad siły Jerry'ego. Czasem, gdy zasiedziało się zbyt długo i nie zdążył na ostatnią kolejkę, miał potężne wyrzuty sumienia, że zmarnował Mary wieczór.

Nazajutrz po takim wydarzeniu zadreślał doktora Golda pytaniami. Dlaczego musi codziennie łączyć do Lancera i przesiadywać z Robinem, skoro wie, że przypłaci to moralnym kacem w związku z Mary?

— Ja już po prostu nie wyrabiam... pragnąc zadowolić Mary... i siebie. Dlaczego nie mogę być takim facetem jak Robin Stone? Nie mieć sumienia, żyć w poczuciu wolności.

— Robin Stone, sądząc po tym, co od ciebie usłyszałem, wcale nie jest człowiekiem wolnym.

— Ale przynajmniej sam decyduje o swoim losie. Nawet Amanda zdaje sobie sprawę, że nie ma na niego żadnego wpływu.

Potem Jerry opowiedział Goldowi o poruszającym wyznaniu Amandy — dotyczącym ręcznika Robina, który nosi ze sobą całymi dniami — a doktor Gold po raz pierwszy stracił swój kamienny wyraz twarzy i pokręcił głową.

— Ona naprawdę potrzebuje pomocy.

— Daj spokój! To po prostu zakochana, cholernie sentymentalna dziewczyna!

Doktor Gold zmarszczył czoło.

— To nie jest miłość, to jest uzależnienie. Jeśli ta Amanda posiada istotnie wszystkie te cechy, jakie jej przypisujesz, powinna w swym związku z Robinem odnajdować całkowite spełnienie. Jej fantazje świadczą jednak o czymś zupełnie innym. Jeśli kiedykolwiek Robin zrazi ją do siebie... — doktor Gold ponownie pokręcił głową.

— Nie możesz ot, tak, po prostu, podsumowywać ludzi, których nie znasz!

— Kiedy wraca Robin Stone? — zapytał doktor Gold.

— Jutro. A czemu pytasz?

— Powiedzmy, że spotkam się z wami przypadkowo w Lancer Bar. Mógłbyś mnie wówczas przedstawić Robinowi i Amandzie.

Jerry zagapił się w sufit.

— Tylko w jaki sposób? Bo chyba nie mogę oświadczyć: „Hej, Robin, mój psychoanalityk chciałby cię przebadać”?

Doktor Gold roześmiał się. — Jest, w końcu, do pomyślenia, że moglibyśmy się ze sobą przyjaźnić. Jesteśmy prawie rówieśnikami.

— Czy mogę powiedzieć, że jesteś po prostu lekarzem?

— Kilku z moich najbliższych przyjaciół to zwyczajni ludzie — odparł doktor Gold. — Czyż ty nie możesz mieć jednego przyjaciela, który jest psychiatrą?

Jerry z trudem panował nad zdenerwowaniem, widząc wchodzącego do baru doktora Golda. Robin kończył swoje trzecie martini; akurat dziś Amanda pracowała dłużej i była z Robinem umówiona we włoskiej knajpcie na kolację.

— Och, zapomniałem ci powiedzieć — oznajmił Jerry, kiedy zbliżył się do nich doktor Gold. — To mój stary kumpel ze szkoły.

Położył dłoń na ramieniu doktora.

— Archie... — obce imię omal nie ugrzęzło mu w gardle — przedstawiam ci Robina Stone'a. Robin, to doktor Archie Gold.

Robin bez zainteresowania popatrzył na nowo przybyłego. Nie mając zbytnej ochoty do rozmowy, skoncentrował uwagę na drinku. Doktor Gold również nie palił się do rozmowy; jego zimne szare oczy omiały Robina bądawczym spojrzeniem. Wychodząc z założenia, że ktoś jednak powinien się odezwać, Jerry zaczął paplać coś nerwowo.

W pewnej chwili Robin przechylił się w stronę Golda i zapytał:

— Jesteś może chirurgiem, Archie?

— Można by to i tak określić — odparł doktor Gold.
— Specjalizuje się w operacjach przeprowadzanych na id — Jerry usiłował zdobyć się na żartobliwy ton. Zatoczył palcem kółko na czole. — Uwierzysz, Robinie?... to jest właśnie jego dziedzina. Spotkałiśmy się przypadkiem na przyjęciu, odnowiliśmy starą znajomość i Archie powiedział mi, że...

— Freudysta? — wtrącił Robin, ignorując Jerry'ego.

Doktor Gold skinął głową.

— Psychiatra czy psychoanalityk?

— Jedno i drugie.

— Masz za sobą cholernie długie studia... no i jeszcze te dwuletnie ćwiczenia z autoanalizy, prawda?

Doktor Gold ponownie przytaknął.

— Masz siłę przebicia — stwierdził Robin. — Trzeba naprawdę być do brym, żeby przejść przez studia mając takie imię jak Archibald. Musisz być bardzo pewny siebie.

Doktor Gold parsknął śmiechem.

— Nie na tyle pewny, żeby pozostać przy pełnym brzmieniu. Stąd się wzięł ten Archie.

— Czy zawsze interesowała cię ta abrakadabra? — zapytał Robin.

— Z początku chciałem zostać neurochirurgiem. Ale neurolog często staje twarzą w twarz z nieuleczalną chorobą i może najwyżej przepisać lekarstwa, żeby złagodzić objawy. Natomiast w przypadku analizy — oczy Golda nabrawy nagle życia — może naprawdę leczyć. Nic na świecie nie przynosi większej satysfakcji, niż widok pacjenta, który przychodzi do zdrowia, zajmuje na powrót swoje miejsce w społeczeństwie, wykorzystuje w pełni cały swój potencjał. W przypadku uprawiania analizy zawsze istnieje nadzieja na lepsze jutro.

Robin rozciągnął usta w uśmiechu.

— Znam twój gatunek, doktorku.

— Mój gatunek?

Robin skinął głową.

— Gatunek ludzi, którzy lubią ludzi. — Z rozmachem położył banknot na barze. — Hej, Carmen! — Barmanka zjawiła się niezwłocznie. — Płacę za swoje drinki i następną kolejkę dla moich przyjaciół. Reszty nie trzeba. — Potem wyciągnął dłoń do Golda. — Szkoda, że muszę sływać, ale mam randkę z moją dziewczyną.

Kiedy wyszedł, odprowadzany spojrzeniem przez Jerry'ego, barmanka postawiła na ladzie dwie szklaneczki. — Stawia pan Stone — powiedziała. — Fajny facet, nie?

Jerry odwrócił się do Golda. — No i...?

Doktor Gold uśmiechnął się z lekka. — Jak powiedziała barmanka: fajny facet.

Jerry nie potrafił ukryć dumy. — A nie mówiłem? Też ci trafił do przekonania, prawda? Czy sądzisz, że może mieć jakieś blokady... kompleksy?

— Trudno powiedzieć. Z pozoru jest doskonale zorganizowany, no i zdaje się mieć do Amandy stosunek pełen prawdziwego zaangażowania.

— Skąd to wytrzasnąłeś? Nie wspomniał o Amandzie ani słowem.

— Przed wyjściem powiedział: „Mam randkę z moją dziewczyną”, podkreślając w ten sposób łączący ich związek. Gdyby użył sformułowania „Mam randkę z dziewczyną”, traktowałby Amandę jako kogoś mało istotnego, jedną z wielu innych dziewczyn.

— Czy sądzisz, że mnie lubi? — zapytał Jerry.

— Nie.

— Nie? — w głosie Jerry'ego pobrzmiwała panika. — Chcesz powiedzieć, że żywi do mnie antypatię?

Doktor Gold pokręcił głową. — On po prostu nie uświadamia sobie nawet, że istnieje.

W reżyserce panował tłok i Jerry z trudem znalazł miejsce w kącie. Za piętnaście minut na antenę wchodził *Show Christiego Lane'a* — wchodził na żywo! Przez cały dzień panowało potworne zamieszanie i nawet Amandzie udzieliła się cząstka napięcia. Podczas próby wzięła spray nie do tej ręki, co należało, i zastroniła etykietkę Alwayso.

Jedynymi ludźmi, którzy nie dali ponieść się hysterii — ba, którzy, z pozoru, delektowali się zamieszaniem — byli adiutanci Lane'a i sam Christie.

Do studia zaczynał napływać tłum, mający stanowić widownię. Amanda twierdziła, że Robin będzie oglądać program u siebie w domu. Dziwna rzecz, ale Robin ani słowem nie skomentował faktu, że Amanda podjęła się występu w reklamówce. Jerry kilkakrotnie doznawał pokusy przepytania Amandy o reakcję Robina, wiedział jednak, że nie mógłby tego uczynić, nie tracąc twarzy.

Wkroczył, jak zwykle nienaganny w swym czarnym garniturze, Danton Miller; jak bomba wpadł do reżyserki jeden z dyrektorów agencji, Harvey Phillips. — Wszystko dopięte na ostatni guzik, panie Moss. Amandzie na górze poprawiają makijaż. Powiedziałem jej, żeby do sprayu założyła niebieską sukienkę, a do szminki zieloną.

Jerry skinał głową. Teraz mógł już tylko czekać.

Dan polecił technikom dać dźwięk na reżyserkę. Z estrady dobiegł zasewnowany przez konferansjera zwykły prząsny dowcipas na rozgrzewkę: — Ma-

my tu kogoś z New Jersey? — Na widowni uniosło się kilka rąk. — No to czeka już autobus do domu.

Salwa śmiechu.

Jerry spojrzął na zegarek: pięć minut do rozpoczęcia emisji.

Zaczął się nagle zastanawiać, czy program wypali; trudno to będzie ocenić po reakcji widowni, bo publika w studiu zachwyca się byle czym; jutro pokażą się w prasie recenzje, ale w przypadku programów telewizyjnych recenzje nie mają znaczenia... Ważne są tylko te cholerne liczby. A więc dwa tygodnie nerwówki.

Trzy minuty do rozpoczęcia emisji. Do reżyserki wślizgnęła się Ethel Evans; Dan powitał ją chłodnym skinieniem głowy i jedynie Sig wstał, proponując jej swoje krzesło. Ethel przecząco pomachała dłonią.

— Mam tu ze sobą fotografa... w tej chwili robi dla prasy nie pozowane zdjęcia Christiego. Po programie — odwróciła się do Jerry'ego — strzeli jeszcze kilka fotek Lane'a z Amandą. — Wybiegła z reżyserki i pospieszyła za kulisy.

Jedna minuta do rozpoczęcia emisji.

Nagle w reżyserce zapanowała grobowa cisza. Artie Rylander, czuwający ze stoperem, uniósł, a potem opuścił ramię, orkiestra zaczęła grać temat, konferansjer zaś wrzasnął: — Proszę państwa, *Show Christiego Lane'a!*

Program był na antenie.

Jerry postanowił przejść za kulisy. W reżyserce nie miał już nic do roboty i jego miejsce było przy Amandzie, którą w ostatniej chwili może ogarnąć trema.

Przyglądając włosy, siedziała w małej garderobie, a jej spokojny uśmiech przywrócił Jerry'emu pewność. — Nie truj się, Jerry — powiedziała. — Wezmę spray tak, że będzie tę etykietkę świetnie widać. Siądź i rozluźnij się, bo wyglądasz jak zdenerwowana matka.

— Nie denerwuję się o ciebie, kochanie, tylko o ten cały cholerny program. Nic zapominaj, że to ja zarekomendowałem go sponsorowi. Przypatrywałaś się jakimś próbom?

Zmarszczyła nos. — Tylko przez jakieś piętnaście minut... dopóki Christie Lane nie zaczął wydawać tych idiotycznych odgłosów godowych. — Zadrżała, a potem, widząc wyraz twarzy Jerry'ego, dorzuciła: — Nie opieraj się przypadkiem na moim zdaniu. Jako mężczyzna jest odpychający, ale widzowie prawdopodobnie go polubią.

Otworzyły się drzwi i Amanda zmarszczyła czoło na widok wchodzącej Ethel: najwyraźniej nie potrafiła sobie przypomnieć, skąd ją zna. Ethel uważnym spojrzeniem omiotła garderobę, opanowała zaskoczenie, wywołane obe-

nością Jerry'ego, a potem uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. — Powodzenia, Amando.

Na twarzy Amandy uprzejmość szła o lepsze z zaciekawieniem. Gdzieś tę dziewczynę musiała widzieć...

— Jestem Ethel Evans — poznałyśmy się w ubiegłym roku w „P.J.". Byłaś z Jerry'm i Robinem Stone'em.

— Ach, tak — Amanda odwróciła się i przystąpiła do lakierowania włosów.

Ethel przysiadła na krawędzi toaletki, przytaczając sylwetkę Amandy ogromem swych rozłożystych bioder. — Chyba jesteśmy sobie pisane.

Amanda odsunęła się nieco, a Jerry poklepał Ethel po ramieniu.

— Spływasz, Ethel... zasłaniaasz Amandzie światło. Poza tym to nie najwłaściwszy moment do odświeżania starych znajomości.

Zeskakując z toaletki, Ethel była cała w uśmiechach.

— Wypadniesz fantastycznie, Amando. Publice spuchną dłonie od oklasków. — Zdjęła płaszcz i, nie pytając o pozwolenie, powiesiła go na haczyku, wbitym w ścianę. — Muszę to cholerstwo gdzieś zaparkować. Posłuchaj, przyszedłem tu z dwóch powodów: po pierwsze, życzyć ci powodzenia; po drugie, powiedzieć, że po programie chcę tobie i Christiemu pstryknąć kilka zdjęć.

Amanda spojrzała na Jerry'ego, który nieznacznie skinął głową. Dopiero wtedy odparła: — Zgoda, ale mam nadzieję, że to nie potrwa długo.

— Parę chwil. — Ethel ruszyła w stronę drzwi. — Siadę na widowni. Posłuchaj, Amando, będziesz sensacją. Przy twojej urodzie miałabym świat u stóp!

Amanda poczuła, że taje. W głosie Ethel brzmiała jakaś rozpaczliwa szczerłość. Odrzekła: — Ciocia uczyła mnie zawsze, że do szczęścia potrzeba czegoś więcej niż tylko urody.

— Moja matka też to powtarzała — stwierdziła Ethel. — Tyle że to jest właśnie takie babskie gadanie. Swoje 136 punktów współczynnika inteligencji zamieniłabym bez wahania na intelekt półgłówka i ładną buzię. I pójdę o każdy zakład, że zgodzi się ze mną ten twój zuch. A tak nawiasem, przyjdzie obejrzeć program?

— Robin, tutaj? — Wizja Robina siedzącego na widowni była tak absurdalna, że Amanda wybuchła śmiechem. — Nie, będzie oglądać w domu.

Opanowanie Amandy rozwiło się jak dym, kiedy tylko Ethel wyszła z garderoby. Wyciągnęła ręce i mocno ścisnęła dłoń Jerry'ego.

— Och, mam taką nadzieję, że będzie ze mnie dumny! Czy coś ci mówił?

— A co mówił tobie? — zapytał Jerry.

— Śmiał się tylko i powiedział, że jeśli piszę się z własnej woli na to wariacko, to on się nie będzie wtrącał. — Wzrok Amandy powędrował do wielkiego zegara, wiszącego na ścianie. — Chyba pójdę, program trwa już od dziesięciu minut.

— Więc masz jeszcze pięć, może nawet więcej.

— Wiem, ale chcę zadzwonić do Robina i przypomnieć mu, żeby oglądał. Znasz go... mógł wypić kilka szklaneczek martini i zasnąć.

Jedyny aparat w studio znajdował się w pobliżu wejścia na estradę. Jerry nerwowo przestępował z nogi na nogę, kiedy Amanda dzwoniła ze smaganego przeciągami holu. Muzyka była ogłuszająca, oklaski — entuzjastyczne; wydawało się, że program idzie doskonale. Amanda odwiesiła słuchawkę, automat zwrócił monetę. — Zajęte, Jerry, a ja mam wejście za kilka minut.

— Więc biegnij, bo twój plan jest na drugim końcu estrady.

— Zaczekaj... spróbuję jeszcze raz.

— Odpuść — powiedział niemal grubiańsko. — Musisz być na miejscu, kiedy złapie cię obiektyw. Powinnaś jeszcze sprawdzić rekwizyty. Ja do niego zadzwonię.

Poczekał, aż przeszedłszy za kurtyną, Amanda ukaże się na małej estradce, przeznaczonej dla Alwayso. Dopiero wtedy zadzwonił do Robina, ale usłyszał w słuchawce natrętny sygnał „zajęte”. Dzwonił uparcie aż do chwili rozpoczęcia reklamówki; bez rezultatu.

— Skurczybyk — mruknął pod nosem. — Czy musi gadać akurat teraz?

Zdażył za kulisy w ostatniej chwili, by posłać Amandzie krzepiący uśmiech. Zinterpretowała go błędnie i rozpogodziła twarz.

Obserwował Amandę na monitorze; wyglądała na wizji jak anioł. Nic dziwnego, że zarabia takie pieniądze. Kiedy wejście dobiegło końca, ze zdenerwowania nie potrafiła złapać oddechu. — No i co? Wypadłam dobrze?

— Lepiej niż dobrze. Teraz zrelaksuj się przez pięć minut... potem przebierz, odwal ten kawałek ze szminką i do domu.

— Co mówił Robin?

— Nie dodzwoniłem się do niego. Linia wciąż była zajęta.

W jej oczach pojawiły się złowieszcze błyski.

Chwytał Amandę za ramię i skierował ją ku schodom. — Idź na górę i przebierz się. I ani mi się waż płakać, bo zepsujesz makijaż!

— Ale, Jerry...

— Ale co? Przynajmniej wiadomo, że jest w domu. No i gadając przez ten cholerny telefon prawdopodobnie ogląda program. Może to jakaś pilna sprawa? Telefon zza oceanu? Skąd możemy wiedzieć, że nie wybuchła wojna albo nie zrzucano gdzieś bomby atomowej. Wierz sobie albo nie wierz, ale *Show*

Christiego Lane'a nie jest najważniejszym wydarzeniem we wszechświecie. My tylko zachowujemy się tak, jak byśmy odkrywali właśnie lekarstwo na raka.

Na estradzie swoją wiązanekę odwał Bob Dixon; do Amandy i Jerry'ego zamaszystym krokiem zbliżył się Christie. — Słyszeliście ten aplauz? To dla mnie. Jestem największy! — Położył dłoń na ramieniu Amandy. — A ty jesteś najpiękniejsza. Jeśli dobrze rozegrasz tę partyjkę, może wujaszek Christie zabierze cię po programie na małą wyzerkę.

— Przyhamuj — powiedział Jerry, zrzucając dłoń Christiego z barku Amandy. — Jeszcze nie pozbawiłeś roboty Milтона Berle i Gleasona. I co to za numer z tym wujaszkiem?

— Nie słyszałeś, co Wielki Wódz Dan powtarzał przez wszystkie te miesiące? Jestem osobowością rodzinną. Przywodzę każdemu na myśl jakiegoś wujcia albo mężulka. — Obrócił na Amandę swoje niebieskie wodniste oczy. — Laleczko, czy przypominam ci jakiegoś krewnego? Mam nadzieję, że nie, bo to, o czym sobie teraz myślę, byłoby kazirodztwem. — I, zanim Amanda zdążyła odpowiedzieć, dodał: — Gwiazdor ekranu skończył parodię śpiewu. A teraz spójrz, jak prawdziwy zawodowiec zwala publikę z nóg.

Kiedy pognał na estradę, Amanda dłuższą chwilę stała nieruchomo, jak gdyby nie mogąc uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. Potem odwróciła się i ruszyła w stronę telefonu.

Jerry ją zatrzymał.

— O nie, nic z tych rzeczy. Masz dokładnie sześć minut, żeby zmienić suknię i poprawić makijaż. Będiesz mogła do niego zadzwonić po programie. I załóżę się o kolację w „21”, że cię oglądał. Tak czy owak, zapraszam was dwoje.

— Nie, Jerry... chcę być dzisiaj tylko z nim. Kupię po drodze kilka hamburgerów. — Popatrzyła na szalejącego na estradzie Christiego Lane'a. — Może zwariowałam, ale on się podoba tym ludziom. — Potem wbiegła po schodach do garderoby.

Drugą reklamówkę Amanda zagrała z równą łątwością. Kiedy program dobiegł końca, niewielkie pomieszczenie za kulisami stało się istnym pandemiem. Klepano się po ramionach, sponsorzy, Danton Miller i scenarzyści, otoczywszy wianuszkami Christiego, z zapałem potrzaskali jego dłoń. Fotograf trzaskał zdjęcia, Ethel ciągnęła Amandę w stronę Lane'a.

Kiedy Amanda wyrwała się i pobiegła do telefonu, Ethel ruszyła za nią. — Musisz właśnie teraz? To ważne!

Amanda zignorowała ją; zaczęła wykrecać numer. Ethel stała przy niej jak chmura gradowa. Jerry pospieszył Amandzie z odsieczą...

Tym razem linia nie była zajęta. Przebrzmiał jeden sygnał, drugi, trzeci... po dziesiątym wypadła moneta. Amanda ponownie wykreśliła numer; znów ten sam monotony dźwięk. Ujrzała, że usta Ethel wykrzywają się w ironicznym uśmiechu. Podniosła głowę — była dziewczyną Robina Stone'a! Nie pozwoli, by widzieli, jak się załamuje. Robin nie byłby tym zachwycony. Kiedy minionej nocy trzymał ją w ramionach, głaszcząc jej włosy powiedział: — Jesteś podobna do mnie, maleńka... Twarda. Skrzywdzeni, cierpimy tak, że nikt tego nie widzi. Nie wypłakujemy się w czyjś kołnierz... nie wypłakujemy się nawet wobec siebie. Dlatego ze sobą jesteśmy.

Teraz, kiedy telefon przywoływał pustkę, zmuszała się, by pamiętać o tych słowach. Obojętnie odłożyła słuchawkę i wyjęła z korytka swoją dziesiątkę. Kiedy zwracała się do Jerry'ego i Ethel, miała na twarzy uśmiech.

— Jestem kompletną idiotką! To z tego zdenerwowania zapomniałam zupełnie, że... — urwała, szukając jakiegoś wiarygodnego wyjaśnienia.

— Ciągłe zajęte? — zapytał współczująco Jerry.

— Tak! A wiesz dlaczego? Robin powiedział, że zdejmie słuchawkę z widełek, żeby nikt mu nie przeszkadzał. Po prostu zapomniałam. — Zwróciła się do Ethel: — No więc zróbmy te zdjęcia, a potem, zgodnie z planem, popędzę do Robina. No i, Jerry, zechciej z łaski swojej zadzwonić do Cadi-Cars, żeby przysłali po mnie limuzynę.

Stanąła potem między Christiem a Bobem Dixonem, błysnęła najbardziej promiennym ze swych uśmiechów i — ledwie strzelił flesz — wysunęła się spod ramienia Lane'a, który, na szczęście, był tak obłączony przez przedstawicieli rozmaitych agencji reklamowych, że nie dostrzegł jej rejterady.

Jerry zadzwonił po auto; zanik pamięci Amandy uznał za dziwny, ale jej uśmiech wydawał się autentyczny.

Ethel również wzięła za dobrą monetę pewne siebie zachowanie Amandy; dobry Boże, wracać do domu, gdzie czeka Robin Stone!

W ochronnym jednak półmroku limuzyny uśmiech Amandy stopniał jak śnieg, wyrzuciła kupę pieniędzy na luksusowy wóz, gdy w okolicy czekało tyle taksówek! Cóż, nie miała innego wyjścia — była dziewczyną Robina, a Robin lubił rozmach.

Robin zadzwonił nazajutrz wczesnym rankiem, pogodny jak ptaszek.

— Cześć, gwiazdo! — rzucił radośnie.

Spędziła bezsenne pół nocy, miotana sprzecznymi uczuciami — to nienawidziła go, to oskarżała, to szukała dla niego usprawiedliwień... zawsze jednak pragnąc jego bliskości. Potem postanowiła potraktować go na dystans, kiedy — i jeśli — wreszcie zadzwoni. Ten poranny telefon zupełnie ją jednak zaskoczył.

— Gdzie się wczoraj podziewałeś? — zapytała gniewnie. (Boże, zamie-
rzała rozegrać to zupełnie inaczej!)

— Oglądałem cię w telewizji — odparł równie swarliwym tonem.

— Kłamiesz! — Łamała wszystkie postanowienia, a jednak nie umiała się
powstrzymać. — Robinie, dzwoniłam do ciebie zaraz po reklamówce i telefon
był zajęty. Dzwoniłam po programie... z takim samym rezultatem.

— Masz absolutną słuszość. Ten cholerny telefon rozdzwonił się jak
wściekły, ledwo zaczął się program. Nie, żebym miał cokolwiek przeciwko te-
mu — wolałem słuchać Andy'ego Parino niż Christiego Lane'a. Skończył An-
dy i zadzwonił następny facet... Ponieważ chciałem w spokoju obejrzeć twój
wielki występ, zaraz potem wyłączyłem aparat.

— Ale wiedziałeś, że zadzwonię po programie!

— Szczerze mówiąc, zapomniałem później go włączyć.

— Cóż — wyrzuciła z siebie — nie zmienia to faktu, że mogłeś spróbo-
wać zadzwonić do mnie! Czy nie przyszło ci do głowy, że mogę mieć ochotę
spędzić z tobą noc?

— Wiem, jak to zawsze jest po premierze nowego programu. Czysty
obłąd za kulisami. Byłem pewien, że stanowisz ośrodek powszechnego zain-
teresowania. Sądziłem, że pójdziesz ze sponsorami do knajpy, żeby uczcić
swoją występ.

— Robinie — jęknęła bezradnie — chciałam być z tobą. Jesteś przecież
moim mężczyzną, prawda?

— Jasne. — Jego głos wciąż brzmiał beztrzesko. — Ale nie oznacza to, że
bez reszty jesteśmy na siebie skazani. Nie jesteś przecież moją własnością, nie
jestem panem twojego czasu.

— I nie chcesz być? — Było to złe posunięcie, ale nie potrafiła się przed
nim powstrzymać.

— Nie. Bo nigdy nie potrafiłbym wywiązać się ze swoich powinności.

— Robinie... ale ja chcę być twoją własnością... bez reszty. Chcę ci od-
dać cały mój czas. Kocham cię i tylko ty się liczysz. Wiem, że nie masz ochoty
na małżeństwo — ciągnęła pospiesznie — ale to przecież nie oznacza, że
nie mogę do ciebie należeć... w każdym sensie tego słowa.

— Chcę, żebyś była moją dziewczyną, ale nie chcę być twoim właścicie-
lem.

— Jeśli naprawdę jestem twoją dziewczyną, to musisz wiedzieć, że pra-
gnę, byśmy wszystko ze sobą dzielili. Chcę być z tobą w każdej sytuacji...
a jeśli nie będzie to możliwe — czekać w domu na twój powrót. Pragnę do cie-
bie należeć.

— A ja nie chcę, byś przypłaciła to cierpieniem — wyrzuciła z siebie.

- Nie będę cierpieć. I nie będę natrętna... przysięgam.
 - Więc ujmijmy to inaczej: to ja nie chcę zostać zraniony.
- Po krótkiej pauzie spytała: — Kto cię zranił, Robinie?
- Nie bardzo wiem, o co pytasz.
 - Nie możesz obawiać się bólu, jeśli go nie zaznałeś. To dlatego od czasu do czasu wznosisz pomiędzy nami stalową bramę.
 - Nigdy mnie nie zraniono — odrzekł. — Z ręką na sercu, Amando, chętnie bym ci powiedział, że w czasie wojny, kiedy jeszcze byłem młokosem, jakaś syrena złamała mi serce. Ale nic takiego się nie zdarzyło. Miewałem dziewczyny... całą masę dziewczyn. Mam do nich słabość, ale na tobie zależy mi bardziej, niż na którejkolwiek innej.
 - Więc dlaczego coś w sobie tłumisz... i zmuszasz mnie do tego samego?
 - Nie wiem, naprawdę nie wiem. Może mam jakieś wariackie wyobrażenia na temat samoobrony. Jakiś instynkt, który powtarza mi, że jeśli nie odgrzędzę się od świata tymi, jak powiadasz, stalowymi wrotami, któryś z kolei wybuch urwie mi głowę. — Potem roześmiał się głośno. — Och, do diabła, jest zbyt wczesny rano, żeby zajmować się grzebaniem w duszy. A może ja w ogóle nie mam duszy. Może, po otwarciu tych stalowych wrót, przekonałbym się, że dom jest pusty?
 - Robinie, nigdy nie sprawiłam ci bólu. Zawsze będę cię kochać.
 - Mała, nic nie jest wieczne.
 - Chcesz powiedzieć, że mnie porzucisz?
 - Mogę zginać w katastrofie samolotowej albo zarobić kulkę od jakiegoś snajpera...
- Roześmiała się. — Kula odbiła się od ciebie jak groch od ściany.
- Amando — jego głos był żartobliwy, ale wiedziała, że mówi teraz poważnie — kochaj mnie, mała, ale nie czyn z tego treści swojego życia. Nawet ci, którzy odwzajemnią to uczucie, nie pozostaną przy tobie wiecznie. Któregoś dnia będą musieli odejść.
 - Co mi próbujesz powiedzieć? — Była niebezpiecznie bliska łez.
 - Próbuję po prostu wyjaśnić, co odczuwam. Istnieją pewne fakty, które są dla nas niepodważalne: pierwszy — nie możesz uczynić z innego człowieka swojej własności; drugi — któregoś dnia na pewno umrzesz. Wszyscy umrzemy — wiemy o tym, lecz ignorujemy tę perspektywę. Sądzymy zapewne, że coś, co pomijamy w myślach, może się nie zdarzyć. W głębi duszy wiemy jednak, że to tylko ułuda. Podobnie postrzegam tę stalową bramę. Dopóki wierzę, iż w każdej chwili mogę się nią odgradzić od świata, pozostaję niewrażliwy na ból.

— Czy kiedykolwiek próbowałeś ją otworzyć?
— Próbuję właśnie teraz, z tobą. — Mówi bardzo cicho. — Zdjąłem ją na moment z zawiasów, bo nie jesteś mi obojętna, bo chciałem, żebyś zrozumiała... Ale w tej chwili ją zamykam.

— Nie rób tego, błagam! Pokochaj mnie do końca. Wiem, do czego to brama służy — odgradza cię od uczuć. Zamknąłeś w klatce jakąś część swojego umysłu. Odczuwasz miłość, ale nie pozwalasz sobie o niej myśleć

— Może. Tak samo, jak nie pozwalałam sobie myśleć o śmierci. Obojętnie kiedy to nastąpi — nawet jako dziewięćdziesięcioletek będę cholernie rozczarowany, musząc się wymeldować. Być może jednak, jeśli do niczego zbytnio się nie przywiążę, zmienię hotel bez wielkiego żalu.

Milczała. Zdawała sobie sprawę, że zdobył się wobec niej na niespotykana szczerość. Wiedziała również, że próbuje powiedzieć coś jeszcze.

— Amando, wiele do ciebie czuję. I podziwiam cię, bo sądzę, że ty również masz swoje stalowe wrota. Jesteś piękna, ambitna i niezależna. Nie mógłbym kochać ani szanować dziewczyny, dla której stanowiłbym jedyny powód istnienia. Widzę to wszystko dziwacznie: kamienie w twojej duszy pasują do dziur w mojej. A więc: wyjaśniliśmy sobie wszystko?

Zmusiła się do beztróskiego śmiechu. — Wszystko w największym porządku. Chyba że wystawisz mnie do wiatru dziś wieczorem, bo wtedy te moje kamienie zderzą się z twoją głową tak mocno, że zostanie tylko kupka zwiru.

— No, nie mogę narazić się na podobne ryzyko. Słyszałem, że wy, pięknotki z Południa, ostro bijecie z prawej.

— Z Południa? Nigdy ci nie mówiłam, że pochodzę z Południa.

— Ty mi nigdy nic nie mówisz, moja piękna Amando, i może to właśnie stanowi w części o twoim wdzięku. Kiedy jednak od czasu do czasu decydujesz się otworzyć usta, pobrzmiwa gdzieś tam w głębi Georgia czy Alabama.

— Jeśli chodzi o stan, trafiłeś kulą w płot. — Umiłła i po chwili dodała: — Nigdy nie opowiadałam ci o sobie, bo o to nie pytałeś. Chcę jednak, żebyś mnie znał, żebyś wiedział wszystko.

— Kochanie, nie ma niczego nudniejszego niż kobieta bez przeszłości. Jeśli wyznasz mi wszystkie szczegóły, odbierzesz swojej przeszłości cały urok i będąc tylko pamięcią długą bezbarwną spowiedź.

— Ale przecież nie wiesz o mnie nic i... czy nie jesteś ciekaw?

— Cóż, wiem, że gdyśmy się poznali, byłaś już nieźle oblatana...

— Robinie!

— W najlepszym tego słowa znaczeniu. Jestem za stary, żeby się brać za dziewczewice.

— Tych mężczyzn nie było w moim życiu wielu.
— Uwaga! Żebyś mnie przypadkiem nie rozczarowała! Moim ideałem były zawsze takie laleczki jak Maria Antonina, madame Pompadour... a nawet Lukrecja Borgia. Więc jeśli oznajmisz teraz, że był tylko jeden miły chłopiec z college'u, wszystko zepsujesz.
— W porządku, więc nie opowiem ci o tym południowoamerykańskim dyktatorze, który z miłości do mnie chciał sobie palnąć w łeb, ani o tym królu, który był gotów abdykować, żeby się ze mną połączyć. A tak na marginesie, piszesz się dzisiaj na zestaw „stek i sałata”?

Jego śmiech nie był tym razem wymuszony.

— Okay, małeńka, stek i sałata, a ja przydzwigam jakieś wino. Do zobaczenia o siódmej.

Opadła na łóżko i odstawiła telefon. Boże, nie nadaje się do takich gier... a jednak musi je uprawiać, dopóki nie zdobędzie całkowitego zaufania Robina. Wyskoczyła z łóżka i zrobiła sobie kąpiel. Czuła się cudownie. Dzień, mimo dwóch trudnych sesji, zapowiadał się wspaniale. Najlepszy dzień w jej życiu. Bo wiedziała, że znalazła klucz do osobowości Robina Stone'a. Musi teraz grać na chłodno, niczego nie żądać — bo im mniej będzie wymagać, tym więcej dostanie. I niebawem Robin przekona się, że należy tylko do niej.

Po raz pierwszy poczuła się pewnie. Wiedziała, że wszystko pójdzie doskonale.

Rozdział dziesiąty

Radosne samopoczucie nie opuszczało Amandy przez cały ten dzień. Kiedy zaczynało męczyć ją pozowanie, odtwarzała w pamięci swoją rozmowę z Robinem i w okamgnieniu przestawały jej dokuczać jaskrawe światła, skurcze w szyi i bóle w plecach. Jak przez mgłę słyszała entuzjastyczne okrzyki fotografa: — Tak, właśnie tak, kochana, o to mi chodziło!

Po zakończeniu drugiej sesji, o czwartej, skontaktowała się telefonicznie z biurem Nicka Longwortha.

— Jutrzejša fucha sprawi ci frajdę — zakwilił Nick. — O jedenastej w „Vogue”... a fotki będzie trzaskać twój stary kumpel, Ivan Greenberg.

Istotnie, sprawił jej ogromną przyjemność tą informacją. Sesja zacznie się dopiero o jedenastej, co oznacza, że będzie mogła poleżeć do dziewiątej i jeszcze zdąży zrobić Robinowi śniadanie...

Dzień, jak na luty, był niezwykle ciepły. Niebo zasnuwała lekka mgiełka, a powietrze — z pozoru — można by króić nożem. Amanda nie zastanawiała się wcale, że taka pogoda grozi zdradzieckim przeziębieniem; zadowolona, bo po raz pierwszy od wielu dni mogła wrócić do domu nie marznąc do szpiku kości, smakowała ten dzień jak coś najwspanialszego na świecie.

Po powrocie do domu nakarmiła Lesera, nakryła stół, zrobiła sałatkę i przygotowała steki.

W towarzystwie Robina nie mogła nic jeść i przez ten wspólny rok straciła dziesięć funtów; mając pięć stóp i siedem cali wzrostu, ważyła zaledwie sto dziesięć funtów. Z punktu widzenia wymagań stawianych modelce było to plussem, no i — na razie przynajmniej — nie odbiło się w żaden sposób na jej twarzy.

Włączyła telewizor i złapała kanał IBC — Robin lubił oglądać Andy'ego w wiadomościach o siódmej. Kiedy to robił, Amanda zwykle obserwowała tylko jego profil, dziś jednak postanowiła obejrzeć dziennik razem z nim: chciała okazywać prawdziwe zainteresowanie wszystkim, co go dotyczy.

Na wiadomości o siódmej czekał również Gregory Austin. Musiał to Robino-
wi przyznać: skurczybyk miał stuprocentową rację, wykorzystując Andy'ego Parino. Zabawne, ściągnął Robina właściwie tylko do programów informacyjnych, a tu facet okazuje się rewelacyjnym menedżerem... szkoda tylko, że takim widmowym. Można by pomyśleć, że ktoś, kto z takim zapałem szwenda się po świecie za pieniądze IBC, uzna przynajmniej za stosowne złożyć po każdym powrocie choćby kurtuazyjną wizytę szefowi.

Z *bliska* miało doskonałe recenzje, oglądalność rosła jak na drożdżach, więc mogły przynajmniej wpaść, żeby przyjąć gratulacje. Danton Miller, na przykład, był zawsze pierwszy w kolejce po pochwały. Wisiał na telefonie, le-dwie z ekranu zniknęły napisy końcowe pierwszego *Show Christigo Lane'a* — programu, nawiasem mówiąc, dowodzącego po raz kolejny, że nie można przeceniać intelektu widzów. Banda matołów! Judith nawet nie mogła patrzeć na te idiotyzmy, recenzje były miazdzące... a jednak oglądalność, złapana na gorąco, wypadła sensacyjnie. Jasne, miarodajne będą dopiero ogólnokrajowe Nielseny, na które trzeba poczekać dwa tygodnie.

Gregory rozmyślał, siedząc w swym wyłożonym boazerią gabinecie i patrząc w ekran wbudowanego w ścianę kolorowego odbiornika. Ze wszystkich propozycji programowych telewizji najbardziej cenił sobie stare, kręcone w technicolorze filmy, które puszczano zwykle w *Kinie nocnym*. Już się nie produkuje takich dziewczyn jak Rita, Alice Faye czy Betty Grable! Niekiedy, dręczony bezsennością, płądował lodówkę i długo w noc podziwiał te piękne istoty, w których się sekretnie kochał. Za kolorowy telewizor winien był

wdzięczność swojej żonie; w gruncie rzeczy cały gabinet był niespodzianką, jaką mu zafundowała w ubiegłym roku, kiedy przebywali w Palm Beach. Zastanawiały go wówczas te wszystkie ukradkowe telefony i szybkie wypadki Judith do Nowego Jorku pod pretekstem wizyt u dentysty. A kiedy wrócili wreszcie z Palm Beach, uroczyście obdarowała go gabinetem, na którego drzwiach nie zabrakło nawet imponującej wstążki. Był naprawdę wzruszony.

Judith miała doskonały smak, toteż gabinet — bardzo męski w stylu — umeblowała z najwyższą starannością. Gregory wiedział, że każdy z uważnie wybranych sprzętów ma również swoją historię. I tak, ogromny globus należał ponoć do prezydenta Wilsona. Gregory, jako zupełny laik w dziedzinie staroci i człowiek, który nie okazywał im najmniejszego zainteresowania, nie potrafiłby powiedzieć, w jakim stylu utrzymane jest wspaniałe antyczne biurko. Umiał natomiast podać z pamięci godzinę emisji każdej ważniejszej audycji i z dumą pokazywał znajomym słuchawki radiowe, które zmagistrował w dzieciństwie. Antyki, wschodnie dywany i wazy z epoki Ming stanowiły wyłączną domenę Judith. Judith znała przy tym gust męża i nie narzucała mu swojego; jasne, kupowała mu stare meble, ale, na Boga, były to bez wyjątku solidne sztuki, nie zaś te wypieszczone i cienkonogie francuskie rachityki.

— To twoje królestwo — powiedziała Judith — do którego wejść tylko wtedy, gdy mnie zaprosisz.

Zmarszczył czoło. Nie potrafił pozbyć się niejasnego uczucia, że coś jest nie w porządku; podobna rzecz wydarzyła się bodaj siedem lat temu, kiedy przenieśli się do tego domu z penthouse'u przy Park Avenue. Wtedy, pokazując dwie olbrzymie sypialnie, rozdzielone ścianką z wbudowanymi szafami, Judith powiedziała: — Czyż nie boskie rozwiązanie, Greg? Teraz każde z nas będzie miało własną sypialnię i łazienkę.

Pomysł dwóch odrębnych łazienek zyskał jego aprobatę, oddzielnych sypialni natomiast nie. — Lubię z tobą sypiać w jednym pokoju, Judith.

Wybuchła śmiechem. — Nie obawiaj się, kochany... po staremu będę się do ciebie tulić, kiedy czytasz „Wall Street Journal”. Ale potem, kiedy zechcę pospać, będę mogła naprawdę pospać, zamiast zrywać się osiem razy w ciągu każdej nocy i kuksać cię prosząc, żebyś nie chrapał.

Miała rację, rozwiązanie było praktyczne. Z początku nie wierzył, że naprawdę chrapie, dopóki, ustawivszy przy łóżku magnetofon, Judith nie zdemonstrowała mu tych wszystkich niesamowitych odgłosów, jakie wydaje przez sen. Poprosił nawet o poradę lekarza, ale został dobronudownie wyśmiany. — Nic w tym złego, Greg, każdy facet po czterdziestce chrapie jak parowóz. Szczęściarzem z ciebie, że możesz sobie pozwolić na dwie sypialnie; to jedyny sposób, żeby ocalić szczyptę romantyki w starym małżeństwie.

Sprezentowawszy mu gabinet, Judith stopniowo zawładnęła biblioteką: ozdobiła ją, zmieniła kolorystykę, zasłony i niektóre meble. Gregory znienawidził ten pokój, który zaczął przywozić mu na myśl jeden z apartamentów dla Ważnych Osobistości w Waldorf Towers. Jego opatrzone autografami wspólne zdjęcia z Bernardem Baruchem i Eisenhowerem zostały przeflancowane z biblioteki do gabinetu, ustępując miejsca oprawionym w srebro portretom członków rodziny Judith. Do diabła zresztą, dlaczego miałyby się ich wstydzić? Wytworne towarzystwo. Dlaczego Judith nie miałyby postawić na swoim biureczku ujętej w srebrną ramkę fizjonomii siostry-bliźniaczki, która była najprawdziwszą księżną? Albo pyszczków dwóch małych księżniczek, którym księżna raczyła dać życie? Dlaczego nad kominkiem nie miałyby zawisnąć olejny portret tatusia Judith? Dobry Boże, facet wygląda tak, jakby został wzięty żywcem z reklamówki jakiegoś starego wina. Gregory nie miał portretu swojego ojca. W Irlandii Północnej nie robiono zdjęć nadających się do srebrnych ramek. Poza tym, Judith potrzebowała tej biblioteki — ze swoją asystentką pracowała tu całymi wieczorami. Słowo „praca”, odniesione do Judith, wywołało uśmiech na ustach Gregory’ego. Z drugiej strony, może to planowanie przyjęć, kierowanie akcjami dobroczynnymi i czynienie starań, żeby utrzymać się na liście najlepiej ubranych kobiet, było prawdziwą harówką? Musiał to Judith przyznać: o autoreklamę starała się tak bardzo, że wielu naprawdę wierzyło, iż dysponowała wielkim osobistym majątkiem, kiedy zdecydowała się zaszczycić swoją ręką tego bezwzględnie, pnałego się bez niczyjej pomocy ku szczytom Irlandczyka o nazwisku Gregory Austin. Uśmiechnął się pod nosem. Jasne, była z najlepszych sfer, uczęszczała do właściwych szkół i studiowała za granicą, ale jej rodzina była bez jednego grosza. Rozgłos towarzyszący ślubowi jej siostry z księciem przyniósł sławę obu dziewczynom. Kiedy Judith wyszła za Gregory’ego, wykreślono ją z Rejestru Towarzyskiego, ale status pani Austin dał jej wstęp do towarzystwa zupełnie innego — towarzystwa, które z łatwością przebijają się przez wszelkie bariery socjalne. Towarzystwa ludzi sławnych i wpływowych. Talent okazywał się największym na świecie instrumentem niwelowania różnic. Taki Danny Kaye mógł zostać przedstawiony na dworze; wybitny polityk mógł jeść kolację z królem; przed prezesem IBC nie było zamkniętych drzwi.

Judith była wspianą dziewczyną i Gregory czuł cholerne zadowolenie, iż potrafił zdobyć ten brakujący element, który jej życie uczynił doskonałym. Dziś właśnie Judith Austin była synonimem dobrego towarzystwa; więcej — to ona określała jego reguły. Dyktowała modę i „Women’s Wear”, ta biblia wszystkich eleganckich dam, zawsze znajdowała dla niej miejsce na pierwszych kolumnach.

Gregory wciąż nie mógł uwierzyć, że Judith należy do niego. Wciąż wydawała mu się nieosiągalna. Tak było w dniu, gdy się poznali; tak było teraz.

Do siódmej brakowało dwóch minut. Podszedł do barku i przyrządził dwa drinki: lekką szkoćką z wodą sodową dla siebie i wermut z lodem dla Judith. Dziwił się, że potrafi pić takie obrzydlistwo, które — na jego gust — smakowało jak lakier. Judith upewniała go jednak, że w Europie wszystkie wielkie damy piją tylko wino albo wermut. Oczywiście, Judith miała na myśli wszystkie wielkie damy po czterdziestce. Zabawne, że kobieta tak piękna jak Judith może mieć kompleks swojego wieku.

Weszła do gabinetu, uprzednio lekko zapukawszy do drzwi; ta prośba o pozwolenie wejścia była żartobliwą grą, której regułem poddawał się bez zastrzeżeń — zdawał sobie sprawę, że stawiając się w pozycji petenta, Judith w części chociaż zabija w sobie wyrzuty sumienia związane z odebraniem mu biblioteki.

Zajęła miejsce naprzeciwko Gregory'ego, w jednym z dwóch bliźniaczych skórzanych foteli, a przez mózg Gregory'ego przebiegła rytualna myśl: „Boże, jakaż jest piękna”. W wieku czterdziestu sześciu lat Judith wyglądała na trzydzieści pięć. Austin doświadczył nagłego przypływu dumy i zadowolenia; lubił ten cholerny gabinet, który stanowił przeciwieństwo ich życia. Nawet wówczas, gdy wybierali się do teatru albo wydawali przyjęcie, znajdowali czas na drinka w gabinecie i obejrzenie wiadomości o siódmej. Dla Gregory'ego Austina nic nie mogło się zacząć przed wiadomościami o siódmej, a Judith posłusznie budowała ich życie towarzyskie w zgodzie z tym prawem.

Rozpoczął się dziennik. — Dobry wieczór, witamy państwa w Wiadomościach o siódmej. Pięć ostatnich minut naszego programu poświęcimy na niezaplanowane wystąpienie dyrektora programów informacyjnych IBC tudzież gwiazdora audycji *Z bliska*, pana Robina Stone'a.

— Co to, u diabła, znaczy? — Gregory Austin przesunął się na krawędź fotela.

— Odkąd Robin Stone występuje w dzienniku wieczornym? — zapytała Judith.

— Od sekundy.

— Jest bardzo przystojnym mężczyzną — zauważyła Judith. — Ale gdy oglądam go w tym jego programie, odnoszę wrażenie, że stara się ze wszystkim siłą nie zdradzić przed kamerą nawet najdrobniejszej cząstki swojej prawdziwej osobowości. A jak ty go znajdujesz?

— Trafiałś w dziesiątkę. To facet-zagadka. Wielki urok osobisty, ale wszystko poza tym skryte gdzieś w środku.

W oczach Judith błysnęło zainteresowanie. — Zaprośmy go któregoś wieczoru na kolację. Chciałabym go poznać.

Gregory parsknął śmiechem.

— Chyba nie mówisz poważnie.

— A to dlaczego? Kilka moich przyjaciółek kona z chęci poznania go. Nigdy nie bywa w miejscach publicznych, a poza tym rzeczywiście robi karierę.

— Judith, znasz moją zasadę. Żadnych układów towarzyskich z personelem.

— Przecież bywamy czasem, zwłaszcza na Wybrzeżu, na przyjęciach, które wydają twoi pracownicy.

— Te imprezy chyba mnie podkrecają, a poza tym, to zupełnie inna sprawa. Oni nas zapraszają... nie my ich! Personel załatwiamy na Balu Noworocznym i tak jest w porządku. Ludzie mają wrażenie, że zostali przedstawieni na dworze.

Wyciągnęła ramię i poklepała go po głowie. — Jak na kogoś, kto dorastał przy Dziesiątej Alei, jesteś największym snobem świata.

— Nie, to ma wyłącznie związek z interesami. Cholera... Mam gdzieś przyjęcia i „status społeczny"! Ale, pamiętaj: pożąda się tylko tego, co trudno osiągalne.

Roześmiała się. — Gregory, jesteś wyjątkowo przewrotnym łotrem.

— Jasne, że jestem. Nawet twoje noworoczne przyjęcie nie oznacza domu otwartego. Z IBC załapie się zaledwie kilka osób.

— Masz na myśli tę imprezę z grzaniem piwem? Jest tak... ludowa, że stała się modna. I to był mój pomysł! Czy wiesz, że w „Women's Wear Daily” uznano ją za jedno z wydarzeń roku? Trafiła nawet do kolumny Ernestine Carter w londyńskim „Timesie”.

— Sądzę, że ostatnim razem mieliśmy za dużo nazwisk z show-biznesu.

— Były nam niezbędne, kochanie. Dodały przyjęciu poloru. A to nie jest łatwe, Greg, zgromadzić o tej porze roku wszystkie właściwe nazwiska.

Pragnąc wysłuchać jakiejś informacji, uciszył ją gestem dłoni i Judith zachowała milczenie aż do chwili rozpoczęcia reklamówki. Potem powiedziała:

— Greg, kiedy będziemy mogli wreszcie wyjechać do Palm Beach? Zwykle byliśmy tam już pod koniec stycznia, a tym razem uparłeś się czekać na premierę tego okropnego *Show Christiego Lane'a*.

— Chcę posiedzieć jeszcze kilka tygodni. Sądzę, że zdołamy zrobić z tego programu prawdziwy przebój. Ale ty możesz już jechać. Dołączę do ciebie najpóźniej w początkach marca.

— A zatem wyjadę w czwartek... i przygotuję dom na twój przyjazd.

Z roztargnieniem skinął głową. Wznowiono nadawanie wiadomości.

Judith patrzyła w ekran, nie dostrzegając właściwie, co się na nim dzieje.

— Cóż, więc Robin Stone będzie chyba musiał poczekać do następnego sylwestra.

— I też się nie doczeka. — Gregory podał jej szklaneczkę, prosząc o ponowne napełnienie.

— Dlaczego?

— Bo musiałbym jednocześnie zaprosić szefów wszystkich innych działów. Chryste, Danton Miller załapał się dopiero w tym roku. — Wychylił się z fotela i wzmocnił dźwięk.

Podawała mu drinka i wsparła się na jego ramieniu. — • Greg, kochanie, moje przyjaciółki nie mają ochoty na Dantona Millera, ale wychodzą ze skóry, żeby poznać Robina Stone'a.

Poklepała ją po dłoni. — Jeszcze zobaczymy, to dopiero za rok. Wiele się może zdarzyć w tym czasie.

Nagle wyprostował się: kamera pokazała zbliżenie twarzy Robina. Gregory zrozumiał zainteresowanie przyjaciółek Judith. Cholernie przystojny facet, pomyślał.

— Dobry wieczór — rozległy się w pokoju dobitnie wypowiedziane słowa. — Wszystkich nas zelektryzowała wiadomość o zaistnieniu dwudziesto-wiecznego piractwa. Mówię o portugalskim statku wycieczkowym „Santa Maria”, który na Morzu Karaibskim został opanowany siłą przez dwudziestu czterech portugalskich i hiszpańskich uchodźców politycznych oraz sześciu członków własnej załogi. Akcją dowodził Henrique Galvao, niegdyś kapitan w portugalskich siłach zbrojnych. Trzy dni temu, trzydziestego pierwszego stycznia, na pokład „Santa Marii”, znajdującej się wówczas w odległości trzydziestu mil morskich od brazylijskiego portu Recife, wszedł admirał Smith i odbył rozmowę z kapitanem Galvao. Otrzymałem właśnie wiadomość, że Galvao wyraził zgodę, by pasażerowie mogli być ewakuowani ze statku. Prezydent Brazylii, Janio Quadros, przyrzekł, że Galvao i jego ludzie otrzymają w Brazylii azyl polityczny. Wspomnę jeszcze państwu, że na pokładzie znajdowała się również grupka turystów amerykańskich i że wasz reporter ma nadzieję — prócz rozmowy ze wspomnianymi turystami — uzyskać wyłączny wywiad z kapitanem Galvao i przedstawić go niebawem w programie *Z bliska*. Dziękuję państwu za uwagę i dobrej nocy.

Gregory Austin wściekle wyłączył telewizor. — Jak śmie wyjeżdżać tak nagle, nie pytając nikogo o pozwolenie!? Dlaczego mnie nie poinformował? Ledwie kilka tygodni temu wrócił z Londynu. Nie potrzebuję programów z taśmy, bo konkurencję bijemy tylko rzeczami na żywo!

— Robin nie może realizować wszystkich swoich programów na żywo, Greg. Z *bliska* zawdzięcza swój sukces udziałowi osób znanych na całym świecie. Jeśli chcesz wiedzieć, pomysł przeprowadzenia wywiadu z tym Galvao uważam za fascynujący. Z największą ciekawością obejrzę i posłucham człowieka, który w dzisiejszych czasach miał dość odwagi i determinacji, by wprowadzić luksusowy liniowiec z kilkoma setkami pasażerów na pokładzie.

Lecz Gregory Austin wisi już przy telefonie, żądając od centrali IBC wytropienia Dantona Millera. Pięć minut później został z nim połączony.

— Dan! — twarz Gregory'ego była koloru buraka. — Jestem pewien, że nie masz bladego pojęcia, co się dzieje. Siedzisz w „21”, wypoczywasz...

Głos Dantona był doskonale opanowany:

— Tak, wypoczywam na mięciutkiej kanapie w holu i oglądam nasz dziennik wieczorny.

— No więc mów, czy wiedziałeś o tej wyprawie Robina do Brazylii?

— Niby dlaczego miałbym wiedzieć? Robin ma obowiązek meldowania o swoich zamiarach tylko tobie.

Twarz Gregory'ego stawała się z wolna sina.

— Fakt, cholera, ale dlaczego mi nie powiedział?

— Może próbował. Nie było cię dzisiaj w biurze. Po południu kilka razy usiłowałem się z tobą skontaktować w sprawie programu Lane'a... są nowe liczby. Na prowincji wygląda to rewelacyjnie. Leżą na twoim biurku.

Oblicze Austina stężało z gniewu.

— Tak, dziś po południu nie było mnie w biurze! — wrzasnął prezes zarządu IBC. — I chyba mam prawo zmyć się z firmy raz na miesiąc! (Kupił dwa nowe konie i pojechał do Westbury, żeby je obejrzeć.) Cholera jasna, chcesz powiedzieć, że sieć rozpada się w kawałki kiedy nie ma mnie na miejscu przez kilka godzin?

— Nie sądzę, żeby sieć rozleciała się w kawałki tylko dlatego, że jeden facet urządza sobie wycieczkę do Brazylii. Mimo to nie jestem zachwycony faktem, iż Robin Stone robi sobie z dziennika o siódmej swój osobisty program reklamowy. Gregory, nie jestem zachwycony, kiedy którykolwiek z szefów działów ma aż tak wiele uprawnień. Ale, niestety, Robin nie musi opowiadać się przede mną... Być może, skoro nie mógł cię dopaść, wykorzystał dziennik, żeby przekazać swój komunikat. W końcu telewizja działa szybciej niż poczta.

Gregory trzasnął słuchawką. Widoczne zadowolenie Dantona Millera z rozwoju sytuacji przemieniło jego gniew w bezsilną wściekłość. Zaciskając kłónie, stał nieruchomo, wpatrzony w przestrzeń.

Judith podeszła do niego i z uśmiechem podała kolejnego drinka.

— Czy twoja reakcja nie jest dziecinna? Twój człowiek robi doskonały program — dla twojej sieci. Wszyscy będą czekać na ten wywiad. Teraz rozluźnij się i napij. Piętnaście po ósmej mamy być w Colony na kolacji.

— Jestem gotów.

Czule pogładziła go po twarzy.

— Sądzę, że golenie by ci nie zaszkodziło. Pamiętaj, jemy dziś kolację z ambasadorem Ragilem, który ma te trzy araby, na jakich tak ci zależy. Więc uszy do góry i uśmiech na twarz! Niechaj ruszy do boju słynny urok Austina!

Rozpogodził się nieco i powiedział z lekkim przekąsem:

— Chyba za bardzo lubię odgrywać rolę wszechmocnego. I masz, oczywiście rację: ten komunikat był, z punktu widzenia firmy, doskonałym posunięciem. Ale rzecz w tym, że to moja firma — ja ją stworzyłem, rozbudowałem i nie znoszę, gdy ktokolwiek podejmuje decyzje bez mojej aprobaty.

— Nie znosisz również, gdy twój trener kupuje konie, których wcześniej sobie nie obejrzałeś. Tylko pamiętaj, kochanie, że nie możesz się rozerwać.

— Masz słuszność, Judith; jak zwykle.

Uśmiechnęła się szeroko.

— I sądzą, że w przyszłym roku Robin Stone będzie dostatecznie wielki, by... załapać się na nasze przyjęcie noworoczne.

Obejrawszy dziennik, Amanda przez dłuższą chwilę stała nieruchomo i nie widzącym wzrokiem wpatrywała się w ekran. To nie może być prawda... lada chwila rozlegnie się dzwonek i Robin stanie w drzwiach. Na pewno właśnie do niej jedzie... będzie mogła odprowadzić go na lotnisko.

Odczekała dziesięć minut. Do ósmej piętnaście wypaliła sześć papierosów. Zadzwoiła do jego mieszkania: monotony, martwy sygnał. Wykreśliła numer IBC. Nikt nie miał pojęcia, jaki lot wybrał Robin — sugerowano, że może PanAmu.

O pół do dziewiątej rozdzwonił się telefon. Gnając opętańczo, by go odebrać, boleśnie stłukła sobie kostkę.

— Mówi Ivan Groźny.

Kąciki jej ust natychmiast opadły. Bardzo lubiła Ivana Greenberga, ale tym razem popłakała się z rozczarowania.

— Jesteś tam, Mandy?

— Tak. — Głos ledwie wydobywał się z jej ust.

— Och... mam nadzieję, że w niczym nie przeszkadzam?

— Nie, po prostu oglądałam telewizję.

Wybuchł śmiechem. — No jasne, teraz, skoro zostałeś wielką gwiazdą TV, musisz uważać, co robi konkurencja.

— Ivan, miło się z tobą rozmawia, ale czekam na ważny telefon i wolę, żeby linia nie była zajęta.

— Okay, kotku, wiem... oglądałem dziennik... Pomyślałem sobie, że skoro Super-Stone machnął się w świat, moglibyśmy we dwójkę wrębac po hamburgerze.

— Muszę się rozłączyć, Ivan.

— W porządku i miłych snów, bo pamiętasz, że jutro o jedenastej mamy sesję?

Siedziała, wpatrując się w telefon. O dziewiątej piętnaście zadzwoniła do PanAmu. Tak, pan Stone wykupił bilet na lot o dziewiątej; tak, start nastąpił punktualnie. Bezsilnie opadła na krzesło, a po jej twarzy pociekły strumyczki łez, zmywając maskarę i odklejając sztuczne rzęsy. Oderwała je do reszty i położyła na stoliku.

Podniosła się ciężko i przeszła do saloniku. Musiała z kimś porozmawiać; Ivan zawsze spełniał wobec niej rolę powiernika.

Drżącą dłonią wykręciła numer i westchnęła z ulgą, gdy Ivan podniósł słuchawkę po drugim sygnale.

— Ivanie, mam jednak ochotę na tego hamburgera.

— Wspaniale, właśnie wychodziłem z domu. Spotkajmy się w Tiger Inn — to nowa knajpa na rogu Pierwszej Alei i Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy. Tuż obok ciebie.

— Nie, kup hamburgery i przynieś je do mnie.

— Och, rozumiem. Czas udręki.

— Proszę, Ivanie, mam steki, sałatkę...

— Nie, kotku, jeśli zostaniesz w chacie, wszystko skończy się histerią... a to oznacza jutro spuchnięte powieki. Ponieważ pozujesz dla mnie, nie mogę do tego dopuścić. Kiedy parę tygodni temu Super-Stone wyskoczył do Londynu, musiałem przez godzinę ustawiać oświetlenie. Więc jeśli chcesz tego hamburgera, spotkajmy się w Tiger Inn. Tam nie będziesz się mogła rozkleić.

— Wyglądam okropnie. Zrobienie nowego makijażu potrwa z godzinę.

— A kiedyś to wyzybałaś się ciemnych okularów?

— Okay. — Była zbyt znużona, żeby zaoponować. — Będę za piętnaście minut.

Lokal zwany Karczmą Pod Tygrysem przeżywał swoje wielkie dni i był wypełniony prawie w stu procentach. Amanda rozpoznawała niektóre modelki i agentów reklamowych. Obracając na talerzu hamburgera, patrzyła z wyczekiwaniem na Ivana.

Poskrobał się po brodzie.

— Po prostu nie mam odpowiedzi. Kocha cię rano... i znika wieczorem. Mając w mieście tylu fantastycznych facetów, musiałaś trafić na typa pokroju Robina Stone'a. Nawet nie ze swoich kręgów. Kim on, u diabła, jest? Po prostu spikerem.

— Nie jest po prostu spikerem. Jest szefem programów informacyjnych IBC!

Wzruszył ramionami.

— Wielkie rzeczy! Pójdę o zakład, że gdybym wymienił przy każdym stoliku nazwiska twoje i Robina, ciebie rozpoznano by natychmiast, a o niego zapytano: Robin jaki?

Odpowiedziała słabym uśmiechem.

— Robin nie przejmuje się podobnymi sprawami. Nawet nie bywamy w tych lokalach, w których należy bywać. Uwielbia pewną włoską knajpkę i mordownię o nazwie Lancer Bar.

— Boże, jakże ekscytujące masz życie!

— Uwielbiam je, Ivanie! Posłuchaj... mieszkam w tym mieście od pięciu lat... byłam wszędzie, gdzie należy... ale liczy się tylko to, żeby być z mężczyzną, którego kocham.

— Dlaczego go kochasz?

Na wilgotnej serwetce wyskrobała inicjały Robina.

— Żebym to wiedziała.

— Lepszy w łóżku niż inni?

Odwróciła głowę, a spod czarnych opravek okularów pociekły łzy.

— Uspokój się, Mandy — powiedział. — Gapią się na ciebie tamci faceci.

— Co mnie to obchodzi. Nie znam ich.

— Ale oni znają ciebie! Chryste, mała, trafiłaś w tym miesiącu na dwie otkładki. Jesteś naprawdę na fali. Ciesz się tym i korzystaj z tego!

— Kogo to obchodzi?

— Ciebie powinno obchodzić. Pewne jak w banku, że Robin Stone nie będzie płacić twojego czynszu ani kupować ci futer. Może forsa nie ma dla ciebie żadnego znaczenia? A może masz po prostu zamożnych krewnych, którzy lekka rączką dają ci na życie?

— Nie, muszę pracować na siebie. Moja matka nie żyje. Zostałam wychowana przez ciotkę, której teraz wysyłam pieniądze.

— Więc przestań się przejmować. Dopilnuj, żeby ten rok ci się opłacił, bo w przyszłym może się pojawić jakaś inna dziewczyna. Dojdziesz do szczytów, zagwarantuj sobie najwyższe gáže... możesz być najlepiej płatną modelką przynajmniej przez dziesięć lat.

- Po policzkach znów pociekły jej łzy.
- Ale to mi nie da Robina.
- Popatrzył na nią gniewnie.
- W co ty grasz, Mandy? W samozniszczenie? Dobrze się bawisz, siedząc i rycząc? A może sądzisz, że go to obchodzi?
 - Czy nie uważasz, że już straciłam Robina?
 - Cholera, oby to była prawda. Bo z tego faceta nie wyjdzie nic dobrego. Gość, który kroczy przez życie, olewając wszystko i wszystkich, niszczy to, czego się dotknie.
 - Nie, to ja zniszczyłam nasz związek. Wiem, że to zrobiłam... dziś rano... uraziłam go boleśnie.
 - Mandy, jesteś wariatką. Nic nie zniszczyłaś i może Robin nie jest tak zły. To ty masz źle w głowie.
 - Dlaczego? Bo cierpię? Mam prawo cierpieć. Popatrz tylko, jak mnie potraktował!
 - Okay, i cóż takiego zrobił? Wyjechał służbowo i nie zadzwonił, żeby się pożegnać. Wielka rzecz! Ileż razy musiałem postąpić tak samo. I zrozumiałaś, bo jesteśmy przyjaciółmi.
 - To coś innego niż miłość — zaproponowała.
 - Chcesz powiedzieć, że miłość może spieprzyć każdy układ?
- Zdobyła się na wątyły uśmiech. — • Posłuchaj, może Robin to sympatyczny gość... wiem o nim tylko tyle, ile mi powiedziałaś. Ale ty musisz pokręcić swoją apetyczną pupeczką, żeby odnieść wielki sukces. Spraw, żeby był z ciebie dumny... to jedyny sposób, żeby zatrzymać faceta.
- Och, Iwanie, w twoich ustach to wszystko brzmi tak prosto. Zaraz poznajmiesz, że za kilka chwil na pewno dostanę od niego depeszę.
 - Zupełnie możliwe. Ale stajesz na straconej pozycji, obnosząc się ze swoją rozpaczą. Niech dotrze do niego wiadomość, że balujesz na całego.
 - Wtedy będzie miał doskonały pretekst, żeby mnie rzucić.
 - Wygląda na to, że nasz facet nie potrzebuje alibi na jakiegokolwiek posunięcia. Robi po prostu to, na co ma ochotę. Spróbuj rozegrać rzecz na luzie. Zacznij się szwendać z innymi klientami.
 - Na przykład z kim? — zapytała.
 - Nie mam agencji z chłopaczkami do wynajęcia, kotku. Musisz znać masę facetów.
- Pokręciła głową.
- Od roku widuję się tylko z Robinem.
 - Chcesz powiedzieć, że nikt cię nie podrywa?
- Uśmiechnęła się nieznacznie.

— Nikt, na kogo zwróciłabym uwagę... z wyjątkiem tego okropnego Christiego Lane'a. Ale i to nie było prawdziwe podrywanie — po prostu chciał się ze mną umówić.

— Mogłaś trafić gorzej.

Popatrzyła mu w oczy, chcąc sprawdzić, czy mówi poważnie. Kiedy się co do tego upewniła, z niesmakiem skrzywiła twarz.

— A co ci się w nim nie podoba?

— Widziałeś program. Christie nie ma w sobie szczypty seksu. Okropny prościuch...

— No, prawdę mówiąc nie wrywałbym się do niego z prośbą, żeby pozował dla „Esquire'a”. To po prostu miły przeciętniak, który jakimś cudem został gwiazdorem.

— Nie jest gwiazdorem. To znaczy, jasne, jest gwiazdorem *Show Christie-go Lane'a*. Ale widziałeś notatkę w „Timesie”? Trzeba go będzie zdjąć za trzydzieści tygodni.

— Pokazując się z nim przez trzydzieści tygodni możesz zdobyć wielki rozgłos.

— Tylko że nie mogę go znieść.

— Przecież nie mówię, żebyś szła z nim do łóżka. Po prostu pozwól, żeby trochę blasku spłynęło z jego osoby na ciebie.

— Przecież nie będzie to uczciwe, jeśli zacznę się z nim prowadzić tylko dla reklamy.

Ujął w dłoń jej podbródek.

— Jesteś miłą dziewczyną. Miłą głupiutką dziewczyną o gładziutkiej twarzy. Miłą, głupiutką dziewczyną, która sądzi, że jej twarz będzie gładka zawsze. Kotku, mam trzydzieści osiem lat i wciąż, jeśli zechcę, mogę załapać się na osiemnastki. Kiedy będę miał czterdzieści osiem albo pięćdziesiąt osiem, a do tego siwą brodę, wciąż będę mógł je zaliczać. Ale ty, w moim wieku, będziesz najwyżej mogła prezentować suknie balowe dla dojrzałych kobiet... suknie do kostek. A i to pod warunkiem, że będziesz o siebie dbać. Żadnych kosmetyków do twarzy czy do rąk — bo, kapujesz, zaczną się te parzywe przebarwienia na skórze. I nie popatrz na ciebie nawet taki prościuch jak Christie Lane. Ale teraz, i przez dziesięć najbliższych lat, możesz mieć wszystko i wszystkich.

— Z wyjątkiem tego jedynego mężczyzny, którego naprawdę pragnę.

Wydał głębokie westchnienie. — Słuchaj, wiem, że jesteś słodką, przyzwoitą dziewczyną... bo gdyby było inaczej, nie siedziałbym tu z tobą, mając masę zaległej roboty i trzy panienki, które przybiegną, jeśli tylko zechcę na nie zagwizdać. Spójrz w oczy prawdzie, że twój Robin funkcjonuje inaczej niż

wszyscy normalni ludzie. Przypomina piękną, doskonałą maszynę. Nie dawaj za wygraną, kotku, to twoja jedyna szansa.

Z roztertowaniem skinęła głową i łyżeczką do mieszania drinków wypisała na stole inicjały R. S.

Rozdział jedenasty

Wyjazd Robina oburzył również Jerry'ego Massa. Jeszcze podczas lunchu Robin potwierdził: — Lancer o piątej.

Jerry siedział do siódmej i o rozwoju wydarzeń dowiedział się od Mary, która przypadkowo usłyszała Robina w wiadomościach.

Nazajutrz Jerry odbył długą sesję z doktorem Goldem. Nie, doktor Gold nie sądził, by Robin z premedytacją zachowywał się sadystycznie; sformułował teorię, że większość działań Robina wynika z podświadomej chęci uniknięcia bliższych więzi z kimkolwiek — nie żądał niczego od przyjaciół i nie życzył sobie, by czegokolwiek żądano od niego.

Rozmowa z Ivanem bardzo Amandzie pomogła. Kiedy przystępowała do pracy nad drugim *Show Christiego Lane'a*, głęboka depresja ustąpiła w niej miejsca uczuciu sprawiedliwego gniewu. Próbom towarzyszyło to samo podniecenie, zniknęło jednak paraliżujące napięcie: w atmosferze zabawy i zaangażowania wyczuwało się również swoistą pewność, jaką zawsze rodzi przeczuć sukcesu.

Tym razem przyjęła po programie zaproszenie Christiego. Otoczeni jego „orszakiem” powędrowali do Danny's Hideaway. Amanda usiadła obok Christiego, który jednak, rzuciwszy zdawkowe: — Co ci zamówić, lalczko? — nie okazywał jej większego zainteresowania. Był zachwycony, że podchodzą z gratulacjami tak renomowani komiccy jak Jack E. Leonard i Milton Berle, i próbował nawet wymieniać z nimi dowcipy. Potem, odprowadzając spojrzeniem Milтона Berle, który wracał do swojego stolika przy estradzie, powiedział do Eddiego Flynna: — Coś mi się zdaje, że siedzimy na jaskółce.

Tancerczka o imieniu Agnes zaoponowała piskliwie: — Nie, Chris, jak babcie kocham. Jesteś dobry, dopóki załapujesz się na tę salę. Mówią o niej Sala Pieszczochów. Weterani w biało-brązowych półbutach siadują w innych. Ta jest na fali.

— Skąd to możesz wiedzieć? — burknął Christie.

— Wiem — odparła niewzruszenie, smarując masłem kawałek bułki. — Byłam tu kiedyś z jednym takim rzęchem... och, zanim jeszcze poznałam ciebie, kiciu — dorzuciła, klepnawszy Eddiego w ramię. — No i zaprowadzili nas do innej sali. Z miejsca pokapowałam, co jest grane, bo zobaczyłam, że wszystkich sławnych facetów sadzają tutaj. Ale ten mój prząsniak... był z Minnesoty... nie miał o tym pojęcia. Zbierał zapałki firmowe, żeby je pokazać w domu, i cieszył się, jak by mu ktoś nafajdał w kieszeń.

— Taa, ale Berle ma stolik na przodzie. Siostry McGuire też.

— Marty Allen siedzi pod ścianą — zauważył Kenny Ditto.

— Fakt, tyle że z przodu. No nic, któregoś dnia i ja się załapię. I pójdę do „21”.

Amanda była zaskoczona. — Nie byłeś dotąd?

— Raz — odparł Christie. — Jedna panienska, z którą się umówiłem, marzyła tylko o kolacji w „21” Club. Zadzwoiłem, zarezerwowałem stolik. Potem „bach!” — piętro, ką, zadupie... Dziewczynie było wszystko jedno, ona też zbierała zapałki. Ale ja wiedziałem. — Przyoblekł twarz w wyraz zadumy. — Muszę trafić do prasy. Ta Ethel Evans jest do kitu... Eddie, od jutra mamy własnego agenta prasowego. Poniuchaj, dowiedz się, czy ktoś nie zechciałby popracować za stówkę tygodniowo. Musi mi tylko załatwić trzy wzmianki w prasie na tydzień... nic więcej.

Podczas kolacji Christie, żywo wspomagany przez „orszak”, planował swoją karierę. Agnes zmiatała wszystko, co stawiano na stół. Amanda dowiedziała się, że prawdziwe nazwisko Kenny'ego Ditto brzmi Kenneth Kenneth, że Ditto to pomysł Christiego i że Kenny zamierza oficjalnie zmienić nazwisko, bo Ditto lepiej wypada na ekranie.

Czuła się w tym towarzystwie osamotniona, a przy tym była rada z faktu, że pozostawiono ją samą sobie. Odwiozłszy Amandę do domu, Christie pozostawił Eddiemu eskortowanie jej do drzwi, ale zanim zniknęli w budynku, krzyknął przez okno samochodu: — Może spotkalibyśmy się jutro, laleczko? W Copa jest premiera.

— Zadzwoń — odkrzyknęła, ginąc w drzwiach.

Zadzwoił nazajutrz z samego rana i Amanda przyjęła zaproszenie. Wolała wyjść, niż siedząc w domu zadrećcać się Robinem.

Tego wieczoru z Christiego emanowała pewność siebie; Copa to był jego rodzinny matecznik i dostali miejsce tuż przy kręgu tanecznym. Amanda siedziała wciśnięta między Christiego i nowego agenta prasowego — chudego młokosa, pracującego w jednej z firm reklamowych. Młodzian wyjaśniał, że żaden szanujący się agent nie weźmie roboty za tak marne pieniądze, jeśli jednak Christie będzie płacił gotówką, potraktuje pracę jako zlecenie i załatwi

trzy wzmianki tygodniowo. Po wieczorze w Copa Christie namawiał na Braserie, ale Amanda wymówiła się poranną sesją.

Nazajutrz Ivan Greenberg pogratulował jej telefonicznie wzmianki w rubryce Ronniego Wolfe'a, który użył wobec niej i Christiego sformułowania „Najnowszy romans, o którym plotkuje całe miasto”.

— Teraz zachowujesz się rozsądnie — stwierdził Ivan.

Zrazu poczuła lęk, kiedy jednak minęły trzy dni, a Robin nie dał znaku życia, postanowiła ponownie umówić się z Christiem. Była to kolejna premia w klubie, następny wieczór przy stoliku oblepionym agentem prasowym i kiepskimi tancerkami, które usiłowały dostać się na gościnny występ w programie Christiego.

Dzień emisji trzeciego *Show Christiego Lane'a* miał naelektryzowaną atmosferę. Przyszły Nielseny z dwóch minionych tygodni: Christie był w pierwszej dwudziestce! Zjawili się sponsorzy, Dan Miller krążył w tłumie, ściskając dłonie, wszyscy gratulowali wszystkim. Alwayso niezwłocznie odnowiła kontrakt na przyszły sezon — trzydzieści dziewięć tygodni! Tego wieczoru, po programie, Dan Miller wydał w „21” niewielkie przyjęcie dla uczczenia zwycięstwa. Christie, pozbywszy się totumfackich, zabrał Amandę, a Jerry Moss przyszedł z żoną. Mieli stół na dole, w środku centralnego sektora, i jakkolwiek żaden z kelnerów nie znał Christiego Lane'a, to wszyscy doskonale znali Dantona Millera, a niektórzy nawet Jerry'ego Mossa. W pewnym momencie Dan uznał, że powinien nieobowiązuco pogwarzyć z Amandą. Obsypał ją wyrazami zachwytu i skomplementował jej występy w reklamówkach.

— Jestem przyzwyczajona do kamer — powiedziała skromnie — i mój prawdziwy sukces polega na tym, że nauczyłam się trzymać szminkę w dłoni, która nie drży.

— Grałaś przedtem? W filmie? Na scenie?

— Nie, tylko pozowałam.

Przyoblekł twarz w wyraz zadumy. — Chyba jednak gdzieś o tobie słyszałem...

— Może czytałeś w prasie — podesunęła.

Nagle strzelił z palców. — Robin Stone! Czyż nie łączono cię z nim?

— Chodziliśmy ze sobą — wyznała powściągliwie.

— Gdzie się, do cholery, podział? I kiedy wraca? — zapytał Dan.

— Poleciał do Brazylii. — Była świadoma, że Jerry przestał mówić i zwrócił na nich całą uwagę.

Dan machnął ręką. — Taśma z Brazylii przyszła z górą tydzień temu. Potem następna, z Francji. Gość załatwił wywiad z de Gaulle'em! — z podziwem pokręcił głową. — Ale słyszę ostatnio, że wyładował w Londynie.

Z kamiennym wyrazem twarzy popijała colę. — Sądzę, że i tam zdobędzie wspaniałe materiały.

Danton uśmiechnął się. — Ten jego magazyn ma, jak na program informacyjny, przyzwoitą oglądalność i jest niezłe robiony. Ale naszym prawdziwym przebojem jest twój nowy chłopak! — Dan z ojcowskim uśmiechem popatrzył na Christiego.

Jej nowy chłopak! Poczwała nagle, że zbiera się jej na wymioty. Dziękowała Bogu, że kolacja dobiega końca. Dan miał limuzynę i podrzucił Amandę do domu. Ivan rozumował jednak prawidłowo: dwa dni później jedna z popularnych dzienników zamieściła artykuł, poświęcony Christiemu Lane'owi. Tytuł brzmiał „FACET Z SAŚIEDZTWA”, a w trzykolumnowym tekście znalazło się miejsce dla Amandy: „Nasz facet z sąsiedztwa nie widuje się jednak z prostą dziewczyną — jego wybór padł na jedną z najbardziej wziętych modelek!” Dalej cytowano słowa Christiego: „Spotykamy się zaledwie od kilku tygodni, ale, bracie, mam na jej punkcie prawdziwego zajoba”. Amanda z niesmakiem odrzuciła gazetę, nieco później zaś gniewnie walnęła słuchawką w rozmowie telefonicznej, gdy Ivan oświadczył: — No, nareszcie zaczynasz coś kapować.

Jeszcze raz przeczytała artykuł; był okropny... obrzydliwy! Patrzyła na proste, pozbawione wyrazu oblicze Christiego Lane'a i czuła mdłości. Do tej chwili bez przerwy otaczał ich tłum pomagierów, błaznów i pochlebców, co jednak nastąpi, kiedy zostaną ze sobą sami?

Kilka minut później zadzwonił telefon i usłyszała rozradowany ryk Christiego: — Cześć, laleczko! Widziałaś te wszystkie pierdoły w prasie? Ano, to dopiero początek. Christie pnie się wyżej, wyżej i jeszcze wyżej. Dzisiaj to oblewamy... tylko we dwoje. Poprosiłem Dantona, żeby zarezerwował nam przyzwoity stolik w „21”, a po koktajlu machniemy się na kolację do El Morocco. To też załatwia Danton, więc będziemy siedzieć tam, gdzie należy, a nie w Prostackowie.

— Przykro mi, Christie — odparła. — Dziś mam późne zdjęcia, a jutro, bardzo wcześnie, następną sesję.

— Zerwij się. Wychodzisz z nowym królem...

— Nie mogę zerwać kontraktów, bo oznaczałyby to dla mnie zbyt dużo.

— Laleczko, zwrócę ci, cokolwiek stracisz! Ile to będzie w sumie?

Szybko policzyła w myślach. Dzisiejsza sesja kończyła się o piątę, a jutro rano nie miała żadnej. — Cóż, dwie godziny dzisiaj i trzy jutro.

— Czyli?

Słyszała w słuchawce, jak zuje jedno z tych swoich ohydnych cygar.

— Trzysta siedemdziesiąt pięć do czterystu dolarów.

Gwizdnął przez zęby. — Robisz aż taką forszę?

— Biorę siedemdziesiąt pięć za godzinę.

— Pierdolisz!

Rzuciła słuchawkę.

Dwie minuty później zadzwonił ponownie. — Wybacz, lalczko, tak mi się wysnęło. Rozumiesz, zważyłaś mnie z nóg. Aggie, wiesz, dziewczyna Ediego, pozuje dla magazynów i dostaje dziesięć papierów za godzinę. Piętnaście za kostium kąpielowy i dwudziestkę za gołe cycki.

— Ja się w to nie bawię.

— Może powinienem Aggie ciut oświecić... Jeśli w pozowaniu jest taka forsa, to na cholerę wystawia się za grosze?

— Christie, muszę już iść, jestem spóźniona...

— Jasne, lalczko, dla takiego grosza warto się wyspać. Pogramy w pierwszej lidze przy innej okazji. Ale muszę zasuwać do „21”, bo umówiłem się z jedną kobitką z „Life'u”... szkoda, że cię nie będzie, bo miałabyś gratis trochę reklamy.

— Przykro mi, Christie.

Odłożyła słuchawkę, postanawiając nigdy, ale to nigdy więcej nie umawiać się z Christiem.

Potem zadzwonił Ivan. — Przypuszczam, że zdążyłaś przeczytać już wszystkie gazety — powiedział. — Bogu dzięki, że ta historia z Christiem ratuje ci twarz.

— Co masz na myśli?

— Sądziłem, że amerykańska supermodelka zaczyna lekturę prasy od kronik towarzyskich... chcesz powiedzieć, że do nich nie zagładałaś?

— Nie. — Zaczęła wertować gazety.

— Strona dwudziesta siódma. Poczekam przy aparacie, póki nie przetniesz sobie żył.

Robin słał jej ze zdjęcia swój dobrze znany uśmiech. Otaczał ramieniem kobietę, która — wedle podpisu — była baronową Eriką von Gratz.

— Jesteś tam, kotku?

— Czyżbyś był sadystą, Iwanie?

— Nie, Amando. — Mówił cicho i z powagą. — Chcę tylko, byś stawiła czoło pewnym faktom. Jestem w domu, gdybym ci był potrzebny.

Powoli odłożyła słuchawkę i wpatrzyła się w stronicę gazety. Baronowa była piękna; Robin zupełnie rozluźniony. Przeczytała tekst:

Baronowa Erika von Gratz nie odwiedzała Londynu od chwili śmierci jej męża, barona Kurta von Gratz. Tym, którzy za nią tęsknili, sprawi zapewne przyjemność nowina, że piękna baronowa otrząsnęła się nieco z żalu, odkąd

przybył do naszego miasta słynny amerykański dziennikarz, pan Robin Stone. Gdy baron von Gratz zginął tragicznie podczas rajdu samochodowego, baronowa popadła w tak silną depresję, że obawiano się o jej równowagę psychiczną. W ciągu jednak dziesięciu minionych dni była, w towarzystwie pana Stone'a, w teatrze i na kilku kameralnych przyjęciach. Obecnie baronowa i pan Stone udali się do Szwajcarii, gdzie zamierzają spędzić kilka dni w górskim domu państwa Blacktonów. Trudno powiedzieć, czy celem ich wyjazdu są narty, czy też romans, wszystkim jednak sprawia przyjemność fakt, że nasza piękna Erika znów zaczyna się uśmiechać.

Amanda przekartkowała pospiesznie następną gazetę; tu również znalazła fotografię Robina z baronową. Rzuciła się na łóżko i łkając tłukła pięściami poduszkę, jakby to była uśmiechnięta twarz Robina. Nagle zerwała się na nogi. Dobry Boże, o trzeciej miała sesję dla Halstona i jego letniej kolekcji kapeluszy! Pospieszyła po kostki lodu i zawinawszy je w ręcznik, położyła na oczach; nieco później zrobiła sobie gorący kompres — okłady zimne i gorące na zmianę gwarantowały, że za pół godziny oczy będą wyglądać normalnie. Musiała się stawić na sesję — nie zamierza z powodu Robina stracić pracy. Bo z pewnością on nie jest zdolny do jakichkolwiek wyrzeczeń dla niej!

Później, powodowana kolejnym impulsem, zadzwoniła do Christiego Lane'a; odebrał natychmiast. — Laleczko, złapałaś mnie w ostatniej chwili... byłem jedną nogą za drzwiami.

— Odwołałam tę wieczorną sesję — powiedziała.

— Posłuchaj, ja tylko żartowałem mówiąc, że wyrównam ci straty... nie stać mnie na taki gest. — Christie wydawał się przestraszony.

— Nie proszę o rekompensatę. Po prostu uznałam nagle, że pracuję zbyt ciężko.

Jego głos zmienił się z miejsca. — No to bombowo! Więc wszystko dogadane. Spotkajmy się w „21” o pół do siódmej — umówiłem się tam z tą cizią z „Life'u”.

Wieczór upłynął gładziej, niż się spodziewała. Mieli stół na dole, w samym środku sektora centralnego, a kelnerzy, ustawieni widać przez Dantona Millera, wychodzili ze skóry. Amanda zmusiła się do wypicia szkockiej, wychodząc z założenia, że alkohol pomoże jej łatwiej strawić randkę z Christiem. Dziewczyna z „Life'u” okazała się niezmiernie sympatyczna; wyjaśniła, że jej zadanie polega na tym, aby „omówić” z Christiem ewentualny wywiad. Potem spíše swoje impresje i przedstawi je zwierzchnikowi, ci zaś postanowią, czy materiał zapowiada się na tyle interesująco, by warto było oddelegować doświadczonego dziennikarza do jego przygotowania.

Christie zmusił się do słabego uśmiechu. — To jakiś nowy numer: wywiad, czy warto robić wywiad! Ależ te magazyny zadzierają nosa!

Niespodziewane poniżenie wypuściło zeń całe powietrze. Amanda pojęła, że cała jego zuchowatość to ledwie maska, pod którą skrywa okropny brak pewności siebie. Wyciągnęła ramię i wzięła go za rękę.

Dziewczyna z „Life'u” również odczytała jego nastrój i zachichotała z przymusem. — Robi się to z wszystkimi, panie Lane. Co tu daleko szukać, w zeszłym tygodniu zbierałam materiały o pewnym ważnym senatorze i redakcja postanowiła nie robić tego tekstu.

Christie odzyskał nieco werwy i skłonił młodą dziennikarkę, by towarzyszyła im do El Morocco. Amanda uświadomiła sobie, że Lane rozpaczliwie pragnie, by artykuł doszedł do skutku. Opowiadał o swych skromnych początkach, ubóstwie i marnych spelunach, w których występował, dziewczyna zaś — ku zaskoczeniu Amandy — okazywała szczere zainteresowanie i z zapałem sporządzała notatki. Christie był wniebowzięty; w pewnym momencie objął Amandę i puściwszy oko do reporterki powiedział: — I pomyśleć, że taki łajzak jak ja trafił taką szalową dziewczynę z okładek!

Kiedy po zakończeniu wieczoru Christie podrzucił ją do domu, Amanda otworzyła drzwi mieszkania z uczuciem śmiertelnego zmęczenia. Zdjęcie ubrania okazało się niemal zabójczym wysiłkiem. Miała ochotę rzucić się na łóżko i z miejsca zasnąć. Zmusiła się jednak do zmycia makijażu, a potem odruchowo zaczęła czesać swą gęstą jasną grzywę. Kiedy spojrzała na szczotkę, stwierdziła ze zgrozą, że włosy wypadają jej całymi pasmami. Dobry Boże, musi przestać używać lakieru Alwayso, tak wychwalanego przez Jerry'ego. Wrzuciła pojemnik do kosza na śmieci. Wreszcie runęła do łóżka, zadowolona ze swojego zmęczenia — przynajmniej nie będzie bezsensnie leżeć długimi godzinami, rozmyślając o Robinie i baronowej.

Cztery następne wieczory spędziła w towarzystwie Christiego, a także reportera i fotografa z „Life'u”. Pod koniec tygodnia materiał był gotów i zanościło się na to, że zostanie wykorzystany. Ale, jak powiedział reporter, człowiek nie może mieć pewności, dopóki nie dadzą tego „do makiety”. Ostatnie zdjęcia do fotoreportażu zostały zrobione podczas programu Lane'a, kiedy Amanda występowała w reklamówce.

Amanda stała z Christiem za kulisami, kiedy ludzie z „Life'u” opuszczali studio.

— Mamy to jak w banku — oświadczył Christie, obejmując ją ramieniem. — Dziś urządzamy prawdziwe obławanie. Mamy zresztą do uczczenia coś ważniejszego... przyszły właśnie nowe współczynniki. Jestem w pierwszej dziesiątce! Słyszysz, laleczko? Dwa tygodnie temu byłem osiemnasty; a teraz

jestem ósmy! Mam do przeskoczenia tylko siedem programów. Trzeba to oblać. I powiem ci coś jeszcze: do tej chwili zawsze ktoś się przy nas szwendają — dziś zasuwamy do Danny's Hideaway tylko we dwoje.

Kiedy prowadzono ich do stolika przy estradzie, Christie radował się jak dziecko. Amanda nie mogła oprzeć się wrażeniu, że współczynniki oglądalności trafiły przynajmniej na stronę tytułową „New York Timesa” — o sukcesie Christiego zdawali się wiedzieć wszyscy i wszyscy ciągnęli z gratulacjami. Christie pławił się w swej nowo zdobytej sławie: pohukiwał do artystów znajomych i nieznanym, ruszał w rundki pomiędzy stolikami.

Potem zamówił steki. Amanda skubnęła zaledwie kęs czy dwa, ale Christie pałaszował z zapałem, wsparty łokciami na stole, kiedy zaś wymiół wszystko z talerza, jął palcami wydłubywać z zębów resztki stawy. Uporawszy się z tym zajęciem, popatrzył na prawie nie napoczętystek Amandy.

— Coś z tym mięsem nie gra? — zapytał.

— Nie, po prostu już się najadłam. Poproszę o zrobienie paczuski dla psa.

— Masz psa?

— Kota.

— Nie znoszę kotów. — Uśmiechnął się. — To bydlę pewnie wskakuje ci do łóżka?

— Tak, lubi związać się przy mnie w kłębek.

— Więc dzisiaj pójdziemy na moją metę. — Omiótł spojrzeniem jej suknię: wyszywaną perełkami kreację, którą miała na sobie w studio. — Wskoczmy na moment do ciebie, nakarmisz zwierzaka i założysz coś innego.

— Dlaczego miałabym się przebierać?

Uśmiechnął się z zakłopotaniem. — No, lalczko, pomyśl, jak to będzie wyglądać, kiedy jutro rano zaczniesz się pałętać po holu Astora w takim ciuchu?

— Nie mam najmniejszego zamiaru pałętać się po holu Astora. Jutro rano będę leżeć w swoim własnym łóżku.

— Och, kapuję, chcesz to zrobić... i spływać do domu.

— Chcę spływać do domu. I to teraz.

— A co z pierdolonkiem?

Oblała się rumieńcem. — Chris, nie chcę robić manifestacji, ale jeśli jeszcze raz posłuszysz się w mojej obecności takim słownikiem, po prostu wstanę i wyjdę.

— Daj spokój, lalczko, wiesz, że takie jest to moje gadanie, kurwa. Wychowałem się za kulisami i nauczyłem się tych słów, kiedy moi rówieśnicy zasuwali jeszcze przedszkolne rymowanki. Ale będę uważał. Wiesz, co ci po-

wiem? Ilekroć palnę coś takiego, dam ci dolca... nie, lepiej ćwiartkę. Gdybym dawał po dolcu, mogłabyś raz-dwa zostać rentierką.

Zdobyła się na uśmiech; on po prostu usiłował być miły. Nie może przecież winić Lane'a za to, że czuje do niego odrazę fizyczną.

— Chris, chcę iść do domu sama. Boli mnie głowa, mam za sobą długi dzień.

— Och, jasne, stałaś, dźwigając tę całą ciężką szminkę... Ja tylko sobie pośpiewałem, potańczyłem i odwaliłem kilka skeczy.

— Ale ty masz talent, robiłeś to całe życie. Ja panikuję, kiedy najeżdża na mnie kamera, stawienie czoła publiczności kosztuje mnie naprawdę wiele zdrowia. Ty jesteś do tego urodzony.

— Może. Więc dobra, odłożymy pier... kochanie... do jutra. Nie, jutro mam charytatywkę... do pojutrze. Stoi?

— Nie wiem...

— Co ty gadasz?

— Po prostu nie decyduję się na takie rzeczy bez namysłu.

— Chodzimy już ze sobą kawał czasu...

— Trzy tygodnie i cztery dni.

— Hej, nie jest źle, skoro tak dokładnie rachujesz te dni. Więc o co chodzi? Może wciąż się napalasz na tego Robina Stone'a?

Pytanie ją zaskoczyło i zdawała sobie sprawę, że nie potrafiła ukryć reakcji.

Wydawał się zadowolony.

— Och, poniuchałem trochę na własną rękę.

— Ależ mój związek ze Stone'em nie jest **tajemnicą**: **Robin to** stary i dobry przyjaciel. Znamy się od ponad roku.

— Więc się na niego nie napalasz?

— Kto ci nagadał takich głupstw?

— Ethel Evans.

Zamilkła. Nie doceniła przenikliwości Ethel. Przecież nawet dziś, kiedy Ethel przysłała za kulisy, zachowywała się tak, jakby poza Christiem Lane'em nie było na świecie innego mężczyzny.

Christie błędnie uznał, że Amanda nie koiarzy Ethel Evans. — Musisz znać tę dupiatą babę z reklamy... tę z długim jęzorem. Przeleciała wszystkich facetów od wybrzeża do wybrzeża i uważa, że to powód do chwały. Boże, widziałaś ją dzisiaj? Omal nie ściągnęła portek temu klientowi na gościnnym wyście. Nic dziwnego, że ma ksywkę „Materac VIP-ów”.

— Może zwichnęli ją tacy mężczyźni jak ty — odparła.

— Niby w jaki sposób?

— Nadając jej takie przezwisko i roznosząc ploty. Gzy, w końcu, miałeś z nią romans?

— Nie, ale dymali ją wszyscy faceci, których znam... to znaczy, słynni faceci.

— Więc po prostu rozgłaszasz coś, o czym tylko słyszałeś.

— Skąd ci się zebrało na obronę tej raszpli? Powinnaś słyszeć, jak ona obrabia ciebie!

— Odwieź mnie do domu — wycedziła.

— O, Jezu, laleczko, przepraszam. — Patrząc na Amandę z powagą, ujął jej dłoń i położył ją sobie na piersi. — Naprawdę, mam na twoim punkcie kręćka, Mandy... po raz pierwszy w życiu czuję i mówię coś takiego. I to może być poważne.

Ujrzała błaganie w jego dużych niebieskich oczach — i prawdę w otwartej, prostackiej twarzy. Dzisiaj, podczas programu, rozmyślnie zaśpiewał „Mandy”, piosenkę, wylansowaną przez Alę Jolsona. Kiedy doszedł do słów: „Mandy, nie zwlekaj, już książd na nas czeka”, odwrócił się w stronę kulis, skąd oglądała jego występ, a kamerzyści omal nie wyszli ze skóry, usiłując zmienić plan. Nie chciała go zranić, bo wiedziała, czym jest ból — żyjąc z nim na co dzień od tak dawna... Więc teraz poklepała go po ręce i powiedziała:

— Chris, zostaniesz wielkim gwiazdorem, wszystko przed tobą. Będziesz miał miliony dziewczyn... miłych, pięknych dziewczyn.

— One mi wiszą. Chcę tylko ciebie.

— Chris, spotkaliśmy się zaledwie kilka razy. Nie możesz mnie kochać, bo mnie nie znasz.

— Laleczko, niekiepsko poobijałem się po tym świecie, poznałem doły — parszywe klubiki, wszawe dziewczyny... Ale całe życie marzyłem o czymś lepszym. To dlatego nie związałem się z nikim. Biorę dziwkę, kiedy potrzebuję tych rzeczy, ale żadne uczucia nie wchodzi w grę. Kapujesz? Potem, „Bach!” — jest ten program... i ty! Za jednym zamachem. Po raz pierwszy gram w pierwszej lidze, mam bitowy program i prawdziwą damę u boku. Och, widywałem już damy — naprawdę klasowe babki, wiesz, na rozmaitych imprezach dobroczynnych — no więc potrafię się poznać na tym towaru. Tyle że tamte miały końskie zęby i były płaskie jak dechy. Ty masz wszystko jak należy... i dlatego cię pragnę.

Pobladała na myśl o swoich małych piersiach. Zresztą jakie to ma znaczenie? Christie nigdy się nie dowie.

— Lubię cię, Chris — powiedziała otwarcie. — Ale nie kocham.

— To mi wystarczy — odparł. — Mogę poczekać. Ale obiecaj jedno: że dasz mi szansę. Umawiaj się ze mną, spotykaj... koniec końców zechcesz się

ze mną przespać. A jeśli coś nam wyjdzie — przekonasz się, to na dobre. Może nawet będzie ślub. — Gestem dłoni zbagatelizował jej obiekcje. — Poczekaj. Tylko poczekaj... nie proszę o nic więcej.

Wiedziała, co musi czuć Christie i uznała, że jeśli nadzieja go uszczęśliwia, nie powinna mu jej odbierać. Przynajmniej pójdzie dziś do łóżka z marzeniem. Było mu pisane gwiazdorstwo; straci dla niej wiele zainteresowania, kiedy będzie naprawdę wielki. Pocałowała go na dobranoc i weszła do mieszkania; pod drzwiami leżał telegram. Prawdopodobnie zaproszenie na otwarcie jakiejś nowej dyskoteki. Rozwinęła go apatycznie. Brzmiał:

PRZYLATUJĘ NA IDLEWILD O DRUGIEJ W NOCY WASZEGO CZASU, REJS TWA 3. JEŚLI JESTEŚ NAPRAWDĘ MOJĄ DZIEWCZYNĄ, WYNAJMIESZ SAMOCHÓD I BĘDZIESZ W NIM CZEKAĆ.

ROBIN

Spojrzała na zegarek: jedenasta czterdzieści pięć. Dzięki Bogu, zdąży! Pognęła do telefonu i zamówiła wóz. Nigdy nie zdoła rozgryźć Robina — żal mu dziesiątki na pożegnalny telefon, a swoje przybycie zapowiada telegraficznie. Zdąży jeszcze przebrać się i zmienić makijaż... musi wyglądać bombowo. Podśpiewywała z cicha, wcierając krem w twarz. I po raz pierwszy od czterech tygodni i czterech dni nie odczuwała odrobiny zmęczenia.

Stała przy Wyjściu 7. Samolot przed chwilą wylądował, pojawili się pierwsi pasażerowie. Robina dostrzegła natychmiast, wyróżniał się z tłumu — gdy inni po prostu szli, on zęglował pomiędzy ludźmi. Upuścił na ziemię neser i objął Amandę.

— Jak się ma nowa gwiazda telewizyjna? — zapytał.

— Podeskcytowana spotkaniem z najwybitniejszym dziennikarzem świata. — Kopiowała jego beztroski ton i czyniła w duszy postanowienia, że ani słowem nie wspomni o baronowej.

Przytuleni szli w stronę samochodu.

— Czegoś tu nie rozumiem — powiedziała. — Sądziłam, że jesteś w Londynie, a telegram przyszedł z Los Angeles.

— Leciałem trasą nad biegunem i zatrzymałem się w Los Angeles na kilka dni. — Sięgnął do kieszeni i podał Amandzie małą paczuszkę. — Prezentik... zapomniałem zadeklarować. Jestem przemysłowikiem.

Kiedy znaleźli się w aucie, przywarła do Robina i otworzyła paczuszkę. Zawierała piękne pudełeczko na papierosy z porcelany Wedgwooda. Amanda wiedziała, że musiało być drogie, lecz w gruncie rzeczy wołałaby prezent o połowę tańszy, lecz za to bardziej osobisty.

— Mam nadzieję, że nie rzuciłaś palenia. — Roześmiał się, wyciągnął po-
giętą paczkę angielskich papierosów i poczęstował Amandę.

Zaciągnęła się i zakrztusiła mocnym dymem. Robin odebrał jej papierosa
i lekko pocałował ją w usta. — Tęskniłaś?

— • Cóż... osierociłeś nie tylko mnie, lecz również dwa steki. Nie wiedzia-
łam, czy tęsknię za tobą, czy mam cię ochotę zabić.

Patrzył na nią z roztargnieniem, jak gdyby próbował coś sobie przypo-
mnieć.

— Bo wiesz, mogłeś zadzwonić i powiedzieć „Hej, mała, zdejmij te steki
z rusztu, bo się dziś nie wyrobię”.

— A nie zadzwoniłem? — Robin wydawał się szczerze zdumiony.

— Zapomnijmy o tym. Kot miał kolację stulecia.

— Ale wiedziałaś, że wyjeżdżam? — Z jego głosu przebijało lekkie zakło-
potanie.

— Dowiedziałam się z telewizji. Ale, Robinie, nie było cię tak długo.
Mocniej przytulił ją do siebie. — Teraz jestem. Zmęczona?

Odpowiedziała uściskiem. — Z tobą nigdy.

Jego pocałunek był długi i mocny. Patrząc na nią czule, Robin jak ślepiec
opuszkami palców dotykał twarzy Amandy. — Moja cudowna Amando, jesteś
piękna.

— Robinie, podczas twojej nieobecności widywałam się z Christiem La-
ne'em. — Wydawało się, że próbuje skojarzyć to nazwisko, więc dorzuciła po-
spiesznie: — Gwiazdorem programu.

— Och, tak. Słyszałem, że pnie się do góry. Śledziłem wskaźniki.

— W prasie łączono ze sobą nasze nazwiska.

— Czy w związku z tym podniesiono ci gażę za pozowanie? — Jego
uśmiech był zupełnie przyjacielski.

— I tak jest wysoka.

— No i świetnie.

Popatrzyła na niego przeciągle. — Ludzie... cóż, pewne osoby sądzą, że
jestem jego dziewczyną. To tylko gadanie i nie powinieneś się nim przejmow-
wać.

— Dlaczego miałbym się przejmować?

— Sądziłam, że może...

Zapałił następnego papierosa.

— Chyba te moje obawy były głupie — powiedziała.

Wybuchł śmiechem.

— Jesteś sławna. A sławy trafiają na szpalty gazet.

— I nie masz mi za złe, że widywałam się z Christiem?

— Czemu miałbym mieć? Ja też nie wiodłem w Londynie pustelniczego życia.

Odsunęła się od niego i obróciła twarz ku oknu. Wpatrywała się w mrok i światła aut, przemykających drugim pasem. Robin wziął ją za rękę, ale wywała dłoń. — Robinie, czy próbujesz mnie zranić?

— Nie. Przecież ty też nie próbujesz mnie zranić.

— Ale jestem twoją dziewczyną... prawda?

— No chyba. (Ten jego przekłety uśmiech!) Ale, Amando, nigdy nie twierdziłem, że chcę cię trzymać na łańcuchu.

— Chcesz powiedzieć, że nie masz nic przeciwko temu, bym spotykała się z innym mężczyzną — nawet teraz, kiedy wróciłeś?

— Oczywiście, że nie mam.

— A gdybym z nim sypiała?

— To twoja sprawa.

— Czy byś to przeżywał?

— Gdybyś mi powiedziała... tak, chyba bym przeżywał.

— Więc wolisz, żebym robiła to potajemnie?

— W porządku, Amando: sypiasz z nim?

— Nie. Ale on tego pragnie. Mówi nawet o małżeństwie.

— Rób, co uznasz za stosowne...

— Robinie, powiedz szoferowi, żeby najpierw zatrzymał się przy moim domu.

— Dlaczego?

— Chcę już wracać... sama.

Przemocą wziął ją w ramiona.

— Mała, zrobiłaś taki kawał drogi, żeby się ze mną zobaczyć. Skąd ta zmiana?

— Robinie, czy nie rozumiesz, że... — Pocałował ją zniemacka i Amanda straciła chęć do wyjaśnień.

Spędzili noc razem, wtuleni w siebie, nie wspominając już ani słowem o Christiem Lane'ie. Było tak, jakby Robin nigdzie nie wyjeżdżał; było tak samo, jak na początku. Było tak samo jak zawsze, kiedy szli ze sobą do łóżka. Gwałtownie, podniecająco i czule.

Później, kiedy rozluźnieni leżeli obok siebie, paląc papierosy, Amanda za-
pytała: — Kim jest ta baronowa? — i natychmiast pożałowała tych wypowiedzianych wbrew woli słów.

Robin nie zmienił wyrazu twarzy. — Dziwką.

— Ależ czytałam o niej, to baronowa.

— Och, ma zupełnie autentyczny tytuł, tyle że jest dziwką. Produkt czasu wojny. Jako dwunastoletka dawała amerykańskim żołnierzom za tabliczkę czekolady. Potem poślubiła barona, który był pedałem i oglądaczem. Erika zna wszystkie numery. Nie jest złą dziewczyną, ma uczciwy tytuł, własną forszę — po raz pierwszy w życiu — no i lubi zabalować. Poznałem ją na orgii.

Gwałtownie usiadła na łóżku.

— Orgii?

— W Londynie są bardzo popularne. Słyszałem, że zaczynają się też przyjmować w Los Angeles.

— I lubisz takie rzeczy?

Uśmiechną się w ciemności.

— A czego w nich można nie lubić? Przynajmniej są **lepsze od ich telewizji**. Bo, wiesz, mają tam tylko dwa kanały.

— Robinie, bądź poważny.

— Jestem. Znasz Ike'a Ryana?

Nazwisko wydawało się jej znajome. Tak, to amerykański producent filmowy — zaczyna wyrabiać sobie renomę, a jego bazą operacyjną są Włochy i Francja.

— Polubisz go. Poznaliśmy się w Londynie. Pogoda mnie wykańczała, czułem się parszywie i Ike zaprosił mnie na jedną z tych swoich imprez. Były trzy włoskie aktoreczki, baronowa, Ike i ja. Gaik nagich dziewcząt w łaźni tureckiej.

— Wziąłeś w tym udział?

— Jasne, dlaczego nie? Najpierw pooglądaliśmy, jak dziewczyny figlują ze sobą, a potem cały ten harem wziął się za nas. Erika była najlepsza — zauważ Niemcom, doprowadzą do perfekcji wszystko, za co się wezmą — więc wycharterowałem ją na osobisty użytek. Ale Ike to naprawdę przyzwoity facet. Przyjeżdża do Los Angeles założyć własną firmę. Wstrzyknie miastu trochę adrenaliny.

— Za pomocą orgii?

— Nie, filmów. To gracz, a przy tym gracz w wielkim stylu. Przy tym cholernie przystojny. Kobiety na niego lecą.

— Sądzę, że jest po prostu odstręczający.

— Dlaczego?

— Bo... to znaczy... no bo robi takie rzeczy!

Wybuchł śmiechem. — Czy ja też jestem odstręczający?

— Nie. Sądzę, że przypominasz niegrzecznego chłopca, który uważa się za okropnego chojraka. Ale ten Ike Ryan... on to wymyślił i...

— Kochanie, wynaleźli to starożytni Grecy!

— I ty chcesz, żebym poznała takiego człowieka? Żeby widywano mnie z nim w miejscach publicznych? Przecież wszyscy uznają, że jestem jedną z tych dziewczyn! Masz na to ochotę?

Popatrzył na nią bardzo poważnie. — Nie, Amando. Obiecuję ci, że nikt nie zobaczy cię w towarzystwie Ike'a Ryana.

Wstał z łóżka i wziął tabletkę nasenną, popijając ją piwem. — Żyję wciąż według czasu europejskiego. Jestem przemęczony. Chcesz jedną?

— Nie, muszę wstać o dziesiątej.

Wrócił do łóżka i przytulił ją do siebie.

— Moja piękna Amando, jak dobrze znowu być z tobą. Nie budź mnie, kiedy będziesz wychodzić. Czeka mnie pracowite popołudnie — stopy zaległej korespondencji, spotkania... muszę się solidnie wyspać.

Rankiem ubrała się i pospiesznie wyszła z mieszkania Robina. Była tego dnia zmęczona i praca szła jej źle. No i znów zobaczyła na szczytce włosy. Zadzwoiła do Nicka i poprosiła, by jej znalazł dobrego dermatologa. Wybuchł śmiechem. — Liniejesz, kochanie. To po prostu nerwy.

— Prawdopodobnie — odparła. — Wrócił Robin.

— Idź do swojego lekarza i poproś o zastrzyk z B12 albo coś w tym stylu... i, rany Boskie, nie traw wszystkich nocy na przewracankach w łóżku.

— Nie mam lekarza — odpowiedziała ze śmiechem. — Nigdy mi nie był potrzebny. Znasz kogoś dobrego?

— Amando, moja miłości, jesteś tak młoda i zdrowa, że aż budzi to mój niesmak. Mam szczęście lekarzy. Jednego od gardła i uszu, jednego od prostaty, jednego od dyskopatii. Chcesz dobrej rady? — trzymaj się od nich z daleka. Solidnie się wyśpij, a kiedy ukaże się już ten artykuł w „Life'ie”, wszystkie twoje obawy pójdą w niepamięć.

Zapewne miał słuszność, więc skończywszy pracę o trzeciej, wróciła do domu i urządziła sobie drzemkę. Leser wskoczył na łóżko i zwinął się w kłębek w jej ramionach. Amanda pocałowała brązowy łeb.

— To jeszcze nie noc, mój drogi. Na razie sobie odpoczywamy. — Zamruczał gardłowo z zadowolenia. — Jesteś wprawdzie jedynym mężczyzną, na którym mogę polegać, ale wrócił już Robin. Więc nie miej mi za złe, że kiedy przyjdzie dziś wieczorem, zostaniesz zesłany do salonu.

Wiedziała, że musiała zasnąć na dłużej, bo kiedy obudziła się, gwałtownie siadając na łóżku, panował już mrok. Co to za dzień? Przypomniała sobie, włączyła światło i spojrzała na zegar: dziewiąta wieczorem! Leser zeskoczył z łóżka i mruknięciem upomniał się o kolację.

Dziewiąta! Robin nie dzwonił! Połączyła się z centralą; rzeczywiście nie było żadnych telefonów. Wykręciła numer Robina: po dziesięciu sygnałach

odłożyła słuchawkę. Przez resztę nocy nie zmrzyła oka. Leser, czując, że dzieje się coś złego, tulił się do niej i miauczał.

Wytrzymała do szóstej rano, a potem znowu zadzwoniła do Robina; przecież mógł zachorować!

Odebrał i stwierdził, że czuje się wyśmienicie, że miał masę zaległej roboty papierkowej i że zadzwoni jutro.

Nazajutrz, przeglądając gazety, dostrzegła jego nazwisko.

Ike Ryan i Robin Stone bawili się w El Morocco w towarzystwie dwóch pięknych włoskich aktorek. Wasz reporter nie zapamiętał ich długich nazwisk, ale nigdy nie zapomni twarzy oraz... co tu zresztą gadać!

Cisnęła gazetą o podłogę. Robin ją sondował, wiedząc, że Ike Ryan ma przyjechać do miasta. Dobry Boże, dlaczego powiedziała, że nie chce, by ją widziano w towarzystwie tego faceta!?

Tego wieczoru umówiła się z Christiem; poszli do Danny's Hideaway. Amanda milczała, a Christie nie próbował ukryć złego humoru — posadzono ich przy małym stoliku pod ścianą. Jeden ze stołów na przodzie obsiadła kompania znakomitości z Hollywood, drugi, pusty, dźwigał z dumą tabliczkę „ZAREZERWOWANY”.

— Prawdopodobnie dla jakiegoś innego hollywoodzkiego błazna — zaoпинiował Christie, omiatając stół zawistnym spojrzeniem. — Dlaczego te gnojki z filmu tak wszystkim imponują? Pójdę o zakład, że jestem lepiej znany niż większość tak zwanych gwiazdorów srebrnego ekranu.

Próbowała go pocieszyć: nie ma sensu, żeby i on pogrążał się w depresję.

— Chris, to wspaniały stół. Lubię siedzieć tam, skąd widać całą salę.

— Należy mi się wszędzie najlepsze miejsce!

— Najlepszy stół jest tam, gdzie akurat siedzisz — odrzekła.

Wbił w nią spojrzenie.

— Wierzysz w to?

— Znacznie ważniejsze, żebyś ty wierzył.

Uśmiechnął się i złożył zamówienie; po chwili odzyskał dobry humor.

— Artykuł w „Life'ie” idzie na bank — powiedział. Potem łakomie popatrzył na Amandę. — Jest jednak coś, na czym zależy mi bardziej, Mandy. Jak mam ci tego dowieść? Kiedy trzymam cię za rękę, czuję się, jak roztrzęsiony uczeń. Wiele ostatnio myślałem... chyba nie zdołasz mnie pokochać, dopóki się z mną nie prześpisz. Eddie usiłował mi wmówić, że ciągle masz świąra na punkcie Robina Stone'a. Ale przeczytałem dziś ten artykuł i...

— Chris, sądzę, że powinniśmy ci powiedzieć, skoro już podniosłeś tę sprawę... — Urwała, bo jej uwagę zwróciły nagle cztery osoby, podprowadzane

właśnie do stolika z frontu; honory domu pełnił osobiście Danny. Dwie piękne dziewczyny, dwóch mężczyzn. I jednym z nich był Robin!

Poczuła ten osobliwy zawrót głowy, który tak często towarzyszy wstrząsowi. Robin przypalał papierosa jednej z dziewczyn i obdarzał ją tym swoim najbardziej intymnym uśmiechem...

— Go mi powinnaś powiedzieć, laleczko?

Wiedziała, że musi się zdobyć na jakąś odpowiedź, ale nie potrafiła odebrać oczu od Robina... który pochylił się i pocałował dziewczynę w czubek nosa... a potem wybuchł śmiechem.

— Och, tylko popatrz, kto się załapał na mój stół — powiedział Chris. — Zaczęłam go oglądać któregoś wieczoru... no, wiesz, chciałem zobaczyć, co robi konkurencja... i nie wytrzymałem nawet dziesięciu minut, pieprzył coś o Kubie i całym tym gównie, a jakiś czubek mu basował. Też mi coś. Wiesz, jaką ma oglądalność w stosunku do mojej?

— Jest w pierwszej dwudziestce piątce... to doskonałe miejsce jak na program informacyjny. — Zastanawiała się, dlaczego w ogóle broni Robina.

— Ja będę na pierwszym, tylko poczekaj. Wszyscy zresztą odnoszą się do mnie tak, jakbym już był — z wyjątkiem ciebie.

— Ja... ja bardzo cię lubię.

— Więc się, kurde, zdecyduj.

— Chcę wracać do domu. — Naprawdę czuła się paskudnie.

Robin, pochyliwszy się do dziewczyny, z uwagą słuchał jej wywodów.

— Och, laleczko, przestańmy się żreć. Kocham cię, ale ty też musisz zdobyć się na jakiś krok, żeby coś z tego wyszło.

— Odwieź mnie do domu...

Posłał jej dziwne spojrzenie. — Jeśli cię odwieżę, między nami będzie koniec. Potrafię się połapać, kiedy zostają wyslizgany.

Tępo patrzyła, jak podpisuje rachunek. Będą musieli minąć Robina. W drodze do drzwi, Christie zatrzymywał się przy każdym stoliku wykrzykując donośne pozdrowienia. Wiedziała, że Robin będzie ją musiał zauważyć. Wstał, kiedy mijali jego stół; nie był w najmniejszym stopniu zakłopotany... w gruncie rzeczy wydawał się rad ze spotkania. Pogratulował Chrisowi programu i przedstawił swoje towarzystwo. Obie dziewczyny nazywały się France-sca — coś tam, mężczyzną był, oczywiście, Ike Ryan. Sześć stóp wzrostu, czarne włosy i niebieskie oczy; opalony, silny, przystojny... Nie miał w sobie nic z satyra, jakiego na podstawie opowieści Robina wyobraziła sobie Amanda.

— A więc ty jesteś tą słynną Amanda! — Odwrócił się i powiedział coś po włosku do dziewczyn, które z uśmiechem skinęły głowami. — Wyjaśniłem im, z jaką znakomitością mają do czynienia.

— Opowiedz im również o mnie — wtrącił Christie.

Ike wybuchł śmiechem. — Nie muszę. Znają cię na pamięć. Od chwili przyjazdu nie można ich oderwać od telewizora.

Kiedy wychodzili po czasie, który wydawał się wiecznością, Amanda rzuciła Robinowi ostatnie spojrzenie, mając nadzieję dostrzec w jego oczach jakąś wiadomość dla siebie. Rozmawiał jednak z dziewczyną, a ta rozplątywała się w uśmiechach. Najwyraźniej przynajmniej trochę rozumiała angielski.

Kiedy Christie z posępnym wyrazem twarzy zatrzymywał taksówkę, Amanda schwyła go za rękaw. — Pójdę do ciebie, Chris.

Był żałośnie wniebowzięty. — Och, laleczko... ale co z twoją suknią wieczorową? Chcesz wpaść do siebie, żeby zmienić ciuchy?

— Nie, wrócę do domu, kiedy... kiedy będzie po wszystkim.

— Skoro tak, to zniosę nawet kota. Jedziemy do ciebie. Nie mam jutro żadnej roboty. Pokimam z rana, a ty wstaniesz, kiedy zechcesz.

Przeszedł ją dreszcz. — Nie, z rana przychodzi po mnie fotograf. Jest dopiero wpół do jedenastej, więc mogę pójść do ciebie, a potem zdążę jeszcze wrócić do domu.

— Ale chciałbym spędzić z tobą całą noc... zasnąć w twoich ramionach.

Z trudem powstrzymywała mdłości. Z dwojga złego, wołała iść do Astora — w ten sposób miała przynajmniej możliwość odwrotu.

— Tak albo wcale — powiedziała z cichą determinacją.

— Laleczko, kupuję to w każdym opakowaniu! O rany, wejdiesz na sufit... jestem najlepszy, zobaczysz!

Idąc przez hol Astora w kierunku wind, nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wszyscy doskonale wiedzą, jakie ma plany. Nawet taksówkarz, jak sądziła, patrzył na nią ze wzgardą. A przecież tyle razy bez najmniejszego zażenowania wchodziła do domu Robina, a rankiem — wychodząc — rzucała dozorczy pogodny „Dzień dobry”... Nie, nie powinna myśleć o Robinie, przynajmniej teraz.

Weszła do łazienki apartamentu Christiego i rozebrała się do naga. Rzuciła jedno spojrzenie na swe drobne piersi, a potem wyzywająco otworzyła drzwi sypialni. Christie, leżący w gatkach na łóżku, podniósł wzrok znad programu wyścigów i nie potrafił ukryć wyrazu rozczarowania.

— Gdzie zgubiłaś cycki? — zapytał.

Odpowiedziała mu chłodnym, zuchwałym spojrzeniem.

Roześmiał się i wyciągnął ramiona. — Cóż, to chyba dowodzi, że wszystkie babki z klasą są kapinę chude. Przynajmniej nie masz końskich zębów. Ale chodź tu... rozmiar mojego zaganiacza na pewno cię nie rozczaruje. Popatrz, co zacyzny stary Chris dla ciebie przygotował...

W ciemnościach poddała się jego uściskom. Leżała nieruchomo, kiedy wwiercał się w nią, sapiąc jak parowóz. Wiedziała, że usiłuje sprawić jej przyjemność. Och, Boże, nic mu nie wyjdzie, nawet gdyby robił to godzinami... nie zdoła jej podnieść... nigdy. Modliła się, żeby już skończył. Nagle zsunął się z niej pomrukując z satysfakcją; legł na boku. Po kilku chwilach powiedział: — Nie martw się, laleczko, wyskoczyłem na czas. Ze mną nie grożą ci kłopoty.

Leżała w milczeniu. Po jakimś czasie wziął ją w swoje lepkie od potu ramiona. — Nie miałś orgazmu, co? — zapytał.

— Chris, ja...

— Nic się nie przejmuj, złapię oddech i znowu biorę się do roboty.

— Nie, Chris. Było naprawdę cudownie! Po prostu cholernie się denerwowałam... następnym razem będę przygotowana, obiecuję.

— Słuchaj, postanowiłem. Pod koniec sezonu weźmiemy ślub. Latem mam sześciotygodniowy angaż w Vegas — za dużą forszę. Tam to zrobimy. Zabawisz się na sto dwa, taki będzie nasz miodowy miesiąc. Więc nic sobie nie wkładaj: jeśli zajdziesz w ciążę, bomba — tym wcześniej pójdziemy przed ołtarz.

— Nie, dziecko będzie dopiero po ślubie. Nie chcę, aby sądzono, że wyszłam za ciebie z powodu ciąży.

— Słuchaj, laleczko, będę z tobą szczerzy. Mam czterdzieści siedem lat, chociaż wszyscy dają mi najwyżej czterdziestkę. Nie wiedzą nawet Eddie i Kenny. Skoro jednak masz być moją żoną, musisz wiedzieć, co jest naprawdę grane. Przez całe życie ostrożnie obchodziłem się z forszą. Przez ostatnich piętnaście lat trafiałem regularnie tych czterdzieści, pięćdziesiąt tysięcy rocznie i zawsze, ale to zawsze, odkładałem połowę. Kiedy dojdę do sześćdziesiątki, będę miał milion kapitału. Dwadzieścia lat temu poznałem w Chicago jednego faceta, który jest niesamowitym specem od inwestycji. Wyciągnąłem z kłopotów jego chłopaka... nic poważnego, mały wypadek samochodowy, ale akurat miałem niezłe układy i wyprostowałem sprawę... no i ten facet, nazywa się Lou Goldberg, z wdzięczności został moim ojcem, matką, adwokatem, doradcą finansowym, wszystkim. Powiedział mi wtedy, że wprowadził jestem artystą z drugiej ligi, ale jeśli go będę słuchał, skończę jako obywatel z pierwszej. No i zaczął brać moje pieniądze — wtedy zarabiałem może parę setek tygodniowo — żeby je zainwestować. Mam już nielichy portfel akcji, w tym taki towarek jak IBM, który nieustannie podwaja wartość. Teraz, kiedy zacząłem naprawdę brać duże pieniądze, nadal oddaję Lou połowę. Jeśli to wszystko się utrzyma — cóż... za kilka lat nie będę miał jednego miliona, lecz dwa. Lou inwestuje tak, że wkrótce, nie ruszając kapitału, będę trafiał miesięcznie

po opodatkowaniu sześć tysięcy dolców. Można za to żyć i kapitał zostawić dzieciakowi. Zrobimy tego dzieciaka jak najszybciej, bo chciałbym, jeszcze przed sześćdziesiątką, pochodzić z nim na mecze, a potem dopilnować, żeby doszedł do college'u, co mnie nie udało się nigdy. Nikomu nie piśnij słówka, ale ja nie mam nawet sześciu klas. Jako dwunastolatek sprzedawałem już słodycze w kabarecie. Ale nasz mały będzie miał wszystko!

Leżała w zupełnym milczeniu. Ależ narozrabiała! Ten nieszczęsny kretyń... Wstała nagle z łóżka, pobiegła do łazienki i ubrała się pospiesznie. Kiedy wróciła, Chris wciągał spodnie.

— Nie rób sobie kłopotu — powiedziała błagalnie. — Sama złapię tak-sówkę.

Pragnęła stąd uciec, nie mogła znieść widoku jego zmętniałych z miłości oczu.

— E tam, jeszcze wcześniej. Podrzucę cię do domu, a potem wpadnę do Stage Deli. Kenny i Eddie pewnie tam siedzą. Jestem tak szczęśliwy, że dzisiejszej nocy oka nie zmruję... chciałbym powiedzieć o tym całemu światu.

Podczas jazdy do domu pozwoliła mu trzymać się za rękę. Przy windzie obdarzył ją namiętym pocałunkiem na dobranoc. Amanda wjechała na górę, weszła do mieszkania, a potem pobiegła do łazienki i zwymiotowała.

Nazajutrz zadzwonił Robin: wyjeżdżał po południu do Los Angeles w towarzystwie Ike'a Ryana. Chciał jedno wydanie *Z bliska* poświęcić Ike'owi i doszedł do wniosku, że program wypadnie lepiej, jeśli będzie kręcony w naturalnych dekoracjach — w biurze Ike'a, na planie filmowym. Potem zamierzał ponownie udać się do Londynu; nie miał pojęcia, na jak długo.

Amanda nie wspomniała ani słowem o baronowej czy włoskich gwiazdkach, Robin całkowitym milczeniem pominął Christiego.

Rozdział dwunasty

Pierwszego maja Amanda zerwała się z łóżka piętnaście minut przed zamówionym budzeniem. Nowy numer „Life'u” pokaże się na stoiskach dopiero jutro, ale hotel Plaza miał zawsze „Timesa” i „Life” z jednodniowym wyprzedzeniem. Ubrała się pospiesznie.

Przez sześć minionych tygodni Amanda miotła się pomiędzy nadzieją a niepokojem. Na artykuł w „Life'ie” czekali wszyscy — Christie liczył, że zo-

stanie dzięki niemu gwiazdą o międzynarodowym rozgłosie, Nick Longworth szykował się, by podnieść gażę Amandy do stu dolarów za godzinę pozowania.

Podjechała taksówką do hotelu i biegiem wpadła do holu: jasnoczerwoną okładkę nowego numeru „Life'a” dostrzegła już od wejścia. Rzuciła pieniądze na ladę, a potem usiadła z magazynem w wielkim klubowym fotelu.

Dziesięciostronicowy artykuł był opatrzony ogromny nagłówkiem FE-NOMEN CHRISTIEGO LANE'A. Amanda figurowała u boku Chrisa na czterech zdjęciach; na piątym, stojąc samotnie w cienkiej szyfonowej sukience, pozowała Ivanowi w Central Parku. I wiatr, który unosił suknię, nie został wytworzony przez dmuchawę — do dziś pamiętała przenikliwe zimno tamtego dnia. Dziennikarz z epickim zacięciem opisywał samozaparcie, z jakim bez skrzywienia twarzy stawiała czoło marcowej wichurze. Potrzeba do tego, zauważał, siły bardzo szczególnego rodzaju. Wszystko to było bardzo pochlebne.

Pisząc natomiast o Christiem, jako ulubieńcu publiczności, z dużym poczuciem subtelnej ironii podkreślał jego niechlujny język, hałaśliwy styl bycia i bezgraniczne zadowolenie z nowo zdobytej sławy. (Na razie nieźle, pomyślała). W dalszej części tekst brzmiał:

Pragnąc przydać blasku swemu gwiazdorstwu, Christie Lane znalazł sobie dziewczynę, godną nowego króla telewizyjnych trubadurów — piękną Amandę, jedną z najsympliczniejszych modelek. Amanda nie jest tylko dziewczyną, którą Christie kocha, jest czymś więcej — symbolem, ostatecznym dowodem, że świat drugorzędnych klubików odszedł bezpowrotnie w przeszłość. Bo Amanda jest bez wątpienia pierwszorzędną. Widząc ich razem, dochodzimy do wniosku, że nie stanowią pary tak niedobranej, jak mogłoby się wydawać. Christie Lane uwielbia elegancję pięknej Amandy, Amanda zaś — być może — odnajduje w Christiem prawdę. Dziewczyna, która potrafi stać na mrozie w szyfonowej sukience, ukazując oku kamery uśmiech z Palm Beach, prawdopodobnie tęskni do takiej szczerości, jaką może jej dać człowiek pokroju Christiego Lane'a. Może skrycie marzy, aby wyrwać się z udającego w styczniu czerwiec świata mody i u boku tego mężczyzny z krwi i kości odnaleźć świat rzeczywisty.

Amanda zamknęła magazyn. Ten ostatni akapit! Jak przyjmie go Robin? Powoli wyszła z hotelu w światło dnia. Jakkolwiek wciąż spotykała się z Christiem, a nawet czasami z nim sypiała, w gruncie rzeczy wiedziała o nim niewiele. Rzadko bywali sami, z wyjątkiem kilku pełnych udręki godzin w Astorze. Przynajmniej dwa wieczory w tygodniu Christie spędzał z tekściarzami, wiele czasu zajmowały mu również zwykłe powinności gwiazdora — udzielanie wywiadów, występy w imprezach dobroczynnych. Wciąż jednak rozpra-

wiał o ślubie w Vegas! Ciągłe wydawało się to odległe. Teraz jednak zaczynał się maj. Musi zerwać z Christiem Lane'em. Podtrzymywała z nim kontakty tylko ze względu na samotność i tęsknotę za Robinem...

Artykuł w „Life'ie” wniósł w jej życie nowe elementy. Teraz czuła się naprawdę osobą sławną — zwłaszcza po programach, kiedy pod drzwiami studia witał ją rozentuzjasmowany tłumek łowców autografów. Robin nie dawał jednak znaku życia i nic się pod tym względem nie zmieniło aż do Święta Zmarłych*. Christie miał w święto występ u Grossingera — zresztą za imponujące honorarium — i nalegał, żeby mu towarzyszyła. Zdecydowanie odmówiła, wierna swemu niedawnemu postanowieniu.

— No, chodź — mówił błagalnie. — Potem urządzimy sobie balangę. Nawet Aggie zrywa się z Latin Quarter...

— Nie stać mnie na tracenie zarobków. Poza tym nie porównuj mnie z Aggie... nie jestem waszą markietanką.

— Co to za gadanie o markietankach? Latem bierzemy ślub!

— Kiedy już i jeśli weźmiemy ślub, będę z tobą jeździć na wszystkie imprezy. Ale na razie zostaję w Nowym Jorku i dotrzymuję zobowiązań. Nigdzie się nie wybieram w charakterze członka trupy wędrownej Christiego Lane'a.

— O, kurwa, ty i te twoje pretensje. Że też musiałem trafić na damę! — Zły, ale nie rozgniewany, odłożył słuchawkę.

Po zakończeniu rozmowy Amanda zaczęła zastanawiać się nad jej przebiegiem. Dlaczego nie powiedziała po prostu: „Nigdy nie wyjdę z ciebie”? Odpowiedź była prosta: bo się bała! Bała się, co nastąpi, jeśli Robin zniknie z jej życia na dobre. Chyba by się zupełnie rozkleiła. Już raz usiłowała zerwać z Christiem, ale separacja potrwała zaledwie pięć dni... Towarzystwo Christiego pozwalało jej przynajmniej zachować równowagę psychiczną — nieustannie premiery w klubach i występy dobroczynne po prostu nie zostawiały czasu na samotność.

Zadzzwonił telefon. Niechętnie podniosła słuchawkę, sądząc, że to Christie podejmuje ostatnią próbę namówienia jej na wyjazd. Nic nie przygotowało Amandy na wypowiedziane gardłowym głosem słowa: — Cześć, moja gwiazdo.

— Robin! Ach, Robinie, gdzie jesteś?

— Właśnie wróciłem do kraju... byłem za granicą, robiłem materiał z procesu Eichmanna. W samolocie przeglądałem zaległe numery „Life'a”, no i patrzę — a tu ty!

* W Stanach Zjednoczonych 30 maja (Decoration Day) — przyp. tłum.

— Co o tym sądzisz? — Z najwyższym wysiłkiem zdobyła się na beznamiętny ton.

— Rewelacja — odparł z entuzjazmem. — Jesteś w tym artykule niemal równie fascynująca, jak w życiu.

Mimo ściśniętego gardła wciąż usiłowała mówić lekko. — Czy się nie mylę sądząc, że trochę za mną tęskniłeś?

— Tęskniłem.

W myślach planowała już wieczór. Była teraz piąta... nie zdąży umyć włosów, trzeba będzie założyć treskę... Byle tylko się nie zsunęła! Dzięki Bogu, że to niedziela... Jerry jest za miastem i na pewno się nie przypałęta. Miała w lodówce steki, ale ani grama wódki...

— Czy jesteś równie piękna jak zawsze? — spytał.

— Sam się przekonaj.

— Dobra. Spotkajmy się w Lancerze jutro o siódmej.

Była zbyt rozczarowana, aby zdobyć się na odpowiedź; Robin uznał jej milczenie za rozterkę. — A może Christie Lane zepchnął mnie ze sceny?

— Nie... ale chce się ze mną ożenić.

— Może i wcale nie jest złym kandydatem. Ten jego program będzie pewnie szedł ze sto lat.

— Czy przejąłbyś się, gdybym wyszła za Christiego Lane'a?

— Jasne, że bym się przejął. Wcale nie mam ochoty cię tracić. Ale małżeństwo to dla mnie za silna konkurencja.

— Dlaczego?

— Kochanie, jedynym sensownym celem małżeństwa są dzieci, a ja nie chcę mieć dzieci.

— Dlaczego? — powtórzyła.

—• Bo to cholerna odpowiedzialność.

— Pod jakim względem?

— Posłuchaj, Amando... ja muszę mieć komfort psychiczny, muszę mieć tę możliwość, żeby w każdej chwili spakować manatki i ruszyć w świat. Takie numery są do zrobienia, kiedy człowiek ma dziewczynę... nawet żonę... ale nie powinny mieć miejsca przy dzieciaku. Jaki, do diabła, byłby ze mnie ojciec?

— Sądzę, że byłbyś cudownym ojcem.

— Ojciec powinien przebywać z dzieckiem.

— Czy twój ojciec opuszczał cię na dłużej?

— Nie, pracował od dziewiątej do piątej. A Kitty była dobrą matką; mieliśmy niańki i kucharki, ale Kitty nigdy nie zdawała się na nie w zupełności. I tak to właśnie powinno wyglądać.

— Więc nie rozumiem... dlaczego sądzisz, że będziesz musiał opuścić dziecko?

— Z powodu mojej pracy, kochanie — odparł. — I jakkolwiek nie opieram tego na własnych doświadczeniach, wiem, że gdyby ojciec porzucił mnie, kiedy byłem dzieckiem, to by mnie wykończyło... po prostu wiem. Nie pytaj, skąd... ja to czuję.

— Robinie, przecież nie musimy od razu mieć dzieci...

— Więc po co ślub? — zapytał.

— Żeby ze sobą być.

— Jesteśmy ze sobą, wyjąwszy chwile, kiedy chcę być sam. Jak na przykład dzisiejszego wieczoru — na moim biurku piętrzy się stos korespondencji. Mam cholerną ochotę cisnąć to wszystko do kosza... może zresztą właśnie tak postąpię.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza, a potem znowu rozległ się głos Robina:

— Wyrzuciłem. Rachunki przysłał ponownie, a poza tym nie sądzę, żeby wyłączyli mi prąd, jeżeli przez jeden miesiąc będę zalegał z płaceniem.

— Doskonale, korespondencja zniknęła. Teraz możemy spędzić ze sobą wieczór — powiedziała Amanda.

— Dlatego właśnie jestem przeciwko małżeństwu. Dziś wieczór chcę być sam. — Robin nagle zmienił ton, zaczynając mówić bardzo łagodnie. — Czy teraz rozumiesz, Amando? Dlatego małżeństwo mnie nie bierze. Wolę mój obecny status.

— I te układziki, które załatwia Ike Ryan!

— Skąd ci przyszedł do głowy Ike Ryan? Nie widziałem go całe wieki. Nawet o nim nie myślałem.

— A baronowa? Czy o niej także nie myślałeś od wieków? — Wiedziała, że gra przeciwko sobie, ale nie potrafiła się pohamować.

— Amando, kochanie, następną paskudną rzeczą w małżeństwie są wyjaśnienia. Ani ja nie jestem ci ich winien, ani ty mnie. Dobra, no więc co z tym jutrem? Jesteś wolna?

— Załatwię, że będę wolna — odrzekła ponuro.

— Dobra dziewczynka.

— Posiedzisz w domu trochę czasu, czy też znowu gdzieś znikniesz?

— Małeńka, mam tak dość podróży, że w tej chwili nawet nie chcę o nich myśleć. Zostaję przynajmniej do jesieni.

— To wspaniale. — Humor Amandy zaczynał się poprawiać. — A my za dwa tygodnie schodzimy z anteny.

— Ach, to mi o czymś przypomina. Jerry Moss zaprosił mnie do siebie na weekend Czwartego Lipca. Ma w Greenwich wspaniały dom z basenem. Pojedziesz?

— Z rozkoszą.

— Więc stoi. Do zobaczenia jutro wieczorem.

Po tej rozmowie bardzo długo siedziała nieruchomo, a potem położywszy się do łóżka, przez pół nocy nie mogła zmrzyć oka. Nazajutrz, o dziewiątej, zadzwoniła do Jerry'ego Mossa.

— Jerry, muszę się z tobą zobaczyć. To pilne.

— Prawdopodobnie zobaczymy się w Lancerze. Jestem o piątej umówiony z Robinem.

— Ja też, ale dopiero o siódmej. Tylko że chcę się zobaczyć z tobą w cztery oczy... to bardzo ważne!

— A więc lunch?

— Nie, mam sesję o dwunastej. Czy mogłabym wpaść do twojego biura — powiedzmy o dziesiątej?

— W porządku, kawa będzie czekać.

Siedząc w gabinecie i popijając kawę, opowiedziała Jerry'emu o Chrisie; przedstawiła to w taki sposób, jakby ich związek nie przerodził się w prawdziwą bliskość. Nie było to całkowitym kłamstwem — nawet idąc z Christiem do łóżka, po prostu kładła się na wznak i zaciskając zęby ulegała. Z bliskością, uczuciem nie miała to nic wspólnego.

— Właśnie dlatego zwracam się do ciebie, Jerry — zakończyła. — Tylko ty możesz mi pomóc.

Wydawał się zbity z tropu. — Ja?

— Jeśli pojedę z Chrisem do Vegas, będę musiała za niego wyjść. Jeśli nie pojedę, będę musiała się go wyrzec.

Jerry skinął głową. — Decyzja jest prosta...

— Chciałabym spróbować tej drugiej możliwości — przerwała mu. — Robin przez całe lato będzie w mieście. Na Święto Niepodległości zaprosił mnie do ciebie.

Jerry milczał przez chwilę, a potem powiedział: — Jedź do Vegas, kochanie... wyjdź za Chrisa. I przestań wreszcie tracić czas na Robina.

— Dlaczego? Czy powiedział ci coś, o czym nie wiem?

— Nie, ale posłuchaj... słyszałaś kiedyś o Ike'u Rynie?

— Wiem wszystko o Ike'u Rynie. Tylko że Robin już się z nim nie widuje... i nie uczestniczy w tych jego orgiach.

Jerry uśmiechnął się pod nosem. — Mam przyjaciela, psychiatrę. Otóż kiedyś przypadkowo wspomniałem mu, że Robin opowiedział mi o tych bale-

tach Ike'a... i wiesz, z jaką wystąpił tezą? Że Robin prawdopodobnie nienawidzi kobiet!

— Absurd! — burknęła. — Ten twój psychiatra nawet Robina nie zna. Skąd mógł wytrzasnąć taką teorię?

— On poznał Robina osobiście i...

— Insynuujesz, że Robin jest zbrojcem? — Amanda była naprawdę rozgniewana.

— Nie, mówię tylko, że w normalnych kontaktach z ludźmi — w przyjaźniach — woli mężczyzn. Kobiety zaledwie toleruje... w łóżku... ale ich nie lubi. W gruncie rzeczy jest do nich nastawiony wrogo.

— Czy uważasz, że jest tak naprawdę?

— Tak. Ale jednocześnie myślę, że Robin lubi cię — w takim stopniu, w jakim w ogóle może lubić kobietę. To on koniec końców spowoduje cię do działania; to ty zerwiesz ten związek.

— Jerry... — oczy Amandy zaczynały zasnuwać się mgłą. — Pomóż mi...

— Jak mógłbym to zrobić?

— Nie dopuść, żebym pojechała do Vegas z Christiem. Powiedz mu, że podpisałam kontrakt na serię reklam, które pójdą w programie zastępującym przez lato jego show... że muszę te reklamy robić na żywo.

Popatrzył na nią przeciągle. — Jedź do Vegas, Amando. Christie Lane oferuje ci przyszłość, prawdziwe życie, dzieciaki... wszystko.

— Jerry — powiedziała błagalnie. — Chcę jeszcze raz spróbować szczęścia z Robinem.

— Sądziłem, że masz więcej klasy, Amando. Gdzie twoja dusza hazardzistki? Gdyby zależało mi na kimś aż tak bardzo, szedłbym na całość, stawiając wszystko na jedną kartę. Opuść sobie Christiego Lane'a i spróbuj wygrać Robina. Najwyżej stracisz szansę na dobre małżeństwo i komfort życiowy... Gdybyś miała trzydzieści pięć lat, powiedziałbym, że nie możesz sobie pozwolić na ryzyko. Ale jesteś młoda i na pewno odłożysz kupę forsy.

— Nic nie odłożyłam.

Jerry wzruszył ramionami.

— Po prostu przestań kupować te wszystkie najmodniejsze ciuchy. Boże, Mary chodzi do sklepów w Greenwich i uważa, że czterdzieści dolarów to już wielki wydatek!

— Ale Mary nie zarabia setki za godzinę. Pamiętaj, elegancja także poza sesją to wymóg mojego zawodu. Przy tym, Jerry, ja się boję ubóstwa.

— W moim przekonaniu dziewczyna, na którą leci dwóch facetów, nie powinna obawiać się samotności; dziewczyna, która zarabia sto na godzinę, nie powinna obawiać się ubóstwa.

Zacisnęła dłonie. — Jerry, czy ty kiedykolwiek byłeś biedny? Nie ubogi, lecz po prostu biedny jak mysz kościelna? Bo ja tak. Wszystko się we mnie przewraca, kiedy Chris rozprawia, jak to występując w klubikach Miami przysięgał sobie, że któregoś dnia zagra w tych wielkich hotelach. Ja się urodziłam w Miami... w przychodni dla biedaków. Moja matka, Finka z pochodzenia, była pokojową w jednym z takich hoteli. Pewnie uchodziła za ładną, ale w moich wspomnieniach jest tylko chuda i zmęczona... ktoś jednak, może któryś z gości, musiał ją uznać za ładną. Nie znam swojego ojca... wiem tylko, że był Amerykaninem i człowiekiem na tyle bogatym, by móc spędzić zimę w Miami i przy okazji zrobić dziecko biednej pokojówce. Kiedy przyszłam na świat, zamieszkałyśmy w czymś, co nazywają Niggertown — bo jedyną osobą, która wyciągnęła do matki pomocną dłoń, była Murzynka, pracująca w tym samym hotelu. Slumsy z papy... mija się je w drodze na lotnisko. To ta kobieta... ma na imię Rose... zawiozła matkę do przychodni, kiedy zaczął się poród. Potem z nią zamieszkałyśmy. Ciotka Rose, tak ją nazwałam... najlepszy człowiek na świecie. Kiedy matka pracowała na nocną zmianę, ciocia Rose robiła mi kolację, pilnowała, żebym zmówiła pacierz. A gdy mama umarła — miałam wówczas sześć lat — zapłaciła za pogrzeb i przygarnęła mnie do siebie. Urabiała sobie ręce do łokci, żebym mogła skończyć ogólniak, a potem dała mi całe swoje oszczędności — pięćdziesiąt dolarów — i wysłała mnie autobusem do Nowego Jorku. — Amanda urwała, a z jej oczu pociekły łzy.

— Jestem pewien, że spłaciłaś ten dług — powiedział Jerry.

— Na początku posyłałam jej pięćdziesiąt dolarów tygodniowo. Ale potrzebowałabym całego życia, żeby odpłacić jej miłość. Półtora roku temu ciotka Rose miała zawał. Poleciałam na Florydę i umieściłam ją w szpitalu; nie było to łatwe, bo nikt nie palił się do przyjęcia chorej Murzynki. Ale poznałam życzliwego lekarza, który pomógł mi dostać dla niej osobny pokój. Naturalnie, ciotka Rose nie miała żadnego ubezpieczenia... sześć tygodni jej pobytu w szpitalu kosztowało mnie cztery tysiące dolarów. Spróbuj wyjaśnić to inspektorom podatkowym. „Czy to krewna lub osoba pozostająca na pani utrzymaniu?” pytają. „Nie, po prostu ktoś, kogo kocham”. Wedle prawa nie stanowimy rodziny — ciotka Rose nigdy mnie nie adoptowała. A ci faceci na mój widok potrafią najwyżej pomyśleć: „Aha, modelka! Stówka za godzinę... w ciągu dnia zarabia więcej niż my przez tydzień!”

— Gdzie teraz jest? — zapytał Jerry.

— W tym właśnie rzecz. Kiedy wyszła ze szpitala, nie mogłam pozostawić jej własnemu losowi. Próbowałam zatrudnić opiekunkę, ale nic z tego nie wyszło... więc umieściłam ją w domu opieki na Long Island. Za sto dolarów tygodniowo. Okay, wszystko układało się dobrze, odwiedzałam ją co tydzień.

Ale potem, mniej więcej osiem miesięcy temu, miała następny zawał. Rozległy. Musiałam przenieść ją do innego domu — intensywnej opieki. Za dwieście pięćdziesiąt dolarów tygodniowo.

— Odwiedzasz ją nadal?

Pokręciła głową. — To dla mnie zbyt bolesne. Poza tym ciotka Rose nawet nie dostrzega mojej obecności. — Amanda wyprostowała się. — Rosłam, doświadczając na własnej skórze potęgi pieniądza. To forsą pozwoliła memu nieznanemu ojcu wymknąć się z miasta i żyć dalej spokojnie w nieświadomości mojego istnienia. Brak pieniędzy odebrał mojej matce wolę walki. I jedynym, co w tej chwili jakoś tam pomaga ciotce Rose, są pieniądze. Więc widzisz, Jerry, że nie mogę pozwolić sobie na hazard. Powinny interesować mnie tylko pewniaki. Ale zasłużyłam sobie na to, by móc spróbować szczęścia z tym jedynym mężczyzną, którego kocham! Nie mogę postawić na Christiego, dopóki nie zyskam pewności, że Robin jest poza moim zasięgiem.

Podszedł do małego barku w kącie gabinetu i nalał dwie szkockie. Podając szklaneczkę Amandzie, powiedział: — Sądzę, że tego lata Alwayso powinien dawać jednak reklamy na żywo. W związku z tym polecam ci, żebyś nie wyjeżdżała z miasta. — Lekko uderzył szkłem o szkło. — Zrobię ze swojej strony, co będę mógł. Wypijmy za Czwarty Lipca i długie cudowne lato.

Zdobyła się na słaby uśmiech. — Mam nadzieję... bo jesienią będę musiała podjąć decyzję.

Lato minęło jak z bicza strzelił. Amanda spędzała z Robinem wszystkie noce; podczas niektórych weekendów wyjeżdżali za miasto... Teraz jednak był już październik i rozpoczynał się nowy sezon: wznowiono emisję *Show Christiego Lane'a*, a magazyn Robina *Z bliska* wszedł w drugi rok istnienia. Christie nalegał na ustalenie daty ślubu, Robin był znów w rozjazdach. Wbrew postanowieniom, Amanda była zdecydowana grać na zwłokę — zwozić Christiego i czekać na Robina.

Do podjęcia decyzji zmusił ją — rzecz dziwna — sponsor: firma Alwayso postanowiła od piętnastego stycznia aż do końca sezonu nadawać program z Kalifornii.

— Pojedziemy tam jako małżeństwo! — oświadczył stanowczo Christie.

— Po drodze zatrzymamy się w Chicago i weźmiemy ślub!

— Nie będę brała ślubu w żadnej drodze! Zrobimy to w Kalifornii, jeśli zdecyduję się jechać — odparła.

Decyzja o przeniesieniu programu do Kalifornii zapadła na tydzień przed Bożym Narodzeniem; Robin przebywał wówczas w Londynie.

W Wigilię Amanda spotkała się z Jerryem na drinka w Lancerze; Jerry również nie był zachwycony perspektywą przenosin do Kalifornii, bo oznaczało to, że będzie musiał spędzać bardzo wiele czasu poza domem.

Siedzieli posępnie, patrząc na bar, ozdobiony choineczką, na sztuczny śnieg i girlandę z ostrokrzewu, przesłaniającą lustro. Potem ich oczy spotkały się, a dłonie uniosły szklanecki.

— Wesołych Świąt, Jerry — powiedziała Amanda.

— Wyglądasz na wymizerowaną, Amando.

— Jestem wymizerowana i rozbita — odparła.

Jerry wziął ją za rękę.

— Posłuchaj, kochanie, nie możesz dłużej grać na zwłokę. Powiedz o tym Robinowi w Nowy Rok.

— Dlaczego właśnie wtedy? Skąd mam wiedzieć, że się w ogóle z nim spotkam?

— Czyżby Chris nie został zaproszony na noworoczne przyjęcie pani Austin?

Zdobyła się na uśmiech.

— W tym problem, że został. Nie mówi o niczym innym. Zachowuje się tak, jakby miał gościnny występ w Buckingham Palace.

— To właściwie coś w tym rodzaju. Judith Austin nieczęsto zaprasza ludzi z IBC, ale ten rok wydaje się wyjątkowy. Danton Miller na mój gust nie posiadał się ze zdumienia, że Robin trafiła na listę gości. Otóż przypadkowo wiem, że Robin wraca w sylwestra. Na pewno przyjdzie do pani Austin, bo nie ośmieli się odmówić.

— I co ja mam zrobić? — zapytała. — Podejść do niego i oświadczyć „Teraz albo nigdy, Robinie”?

— Coś w tym stylu.

— Nie. Ja... ja nie wybieram się na to przyjęcie.

— Co? Chris cię nie zaprosił?

— Oczywiście, że zaprosił. Ale Nowy Rok zawsze spędzam z ciotką Rose. Naturalnie, Chris nic o tym nie wie i nie zamierzam mu powiedzieć. Zwałę wszystko na ból głowy.

— Ależ, Amando, mówiłaś, że ona cię nie poznaje!

— Wiem... a jednak posiedzę przy niej... zawsze spędzałyśmy Nowy Rok razem.

— Czy potrafi odróżnić pierwszy stycznia od drugiego stycznia?

— Ja potrafię rozróżnić, Jerry.

— Posłuchaj: idź na to przyjęcie, Amando. Postaw przed Robinem sprawę bez ogródek. Wyciśnij z niego jednoznaczne „tak” albo „nie”. W tym dru-

gim przypadku skreślił go na dobre. Dwa lata czekania to dość, nawet na kogoś takiego jak Robin. A ciocię naprawdę możesz odwiedzić drugiego.

Zamyśliła się na chwilę, a potem skinęła głową.

— Dobra, niech tak będzie... wóz albo przewóz. Zamówmy martini, Jer-ry... z wódką, takie, jakie lubi Robin. I życzymy temu draniowi Wesołych Świąt. Gdziekolwiek jest!

Rozdział trzynasty

Zaproszenie na noworoczne przyjęcie u Austinów brzmiało: „Spotkanie przy grzonym piwie, czwarta do siódmej”. Chris chciał przyjechać po Amandę o wpół do czwartej, ona jednak skłoniła go, by zrobić to godzinę później.

— Ależ, laleczko — zaproponował — powinniśmy być o czwartej.

— Co w praktyce oznacza, że nikt nie zjawi się przed piątą. A ci, którzy są naprawdę kimś, przyjdą dopiero o szóstej.

Niechętnie wyraził zgodę.

— Kto się tam połapie w tym szpanerskim protokole! Chyba naprawdę potrzebuję takiej żony jak ty.

Nim minęła trzecia, Amanda przymierzyła sześć rozmaitych kreacji; najlepiej wypadła w czarnej sukni, do której mogłaby założyć sznur pereł i złoty zegareczek od Robina. Zabawna historia z tym zegarkiem — wszyscy się nim zachwycali, może dlatego, że był tak maleńki. Nick Longworth twierdził, że jest cholernie kosztowny.

Od Chrisa dostała na Gwiazdkę złotą bransoletę — obrzydliwą, ale będzie ją dzisiaj musiała założyć. Masywny złoty krąg z wygrawerowanym napisem „Chris i Mandy”, nieustannie czynił hałas, zderzając się z wszystkim, co napotkał na swej drodze. Zdecydowanie gryzł się z czarną suknią.

Wyjęła z szafy kostium, uszytą przez Ohrbacha doskonałą kopię wzoru Chanel. Judith Austin wprawdzie zdoła rozpoznać podróbkę, bo na pewno ma oryginał, ale Amandzie nie chodziło przecież o to, żeby zaimponować Judith. Jerry miał rację: w południowym dzienniku znalazła się migawka, pokazująca przyłot Robina na Idlewild.

Wszystko sobie zaplanowała: wymknie się Chrisowi jak najszybciej, podejdzie do Robina, powie „Chcę z tobą pomówić jeszcze dzisiaj; to pilne” i skłoni go, żeby się z nią spotkał po przyjęciu. Wieczorem wszystko zostanie postanowione — tak albo siak. Chris sądził, że Amanda jest już zdecydowana

jechać na Wybrzeże, kontrakt jednak, który przygotował dla niej Jerry, mógł być podpisany lub odrzucony do końca tygodnia. Och, Boże, to musi zagrać! W ciągu kilku minionych tygodni Amanda diametralnie zmieniła niektóre ze swych wcześniejszych opinii o Chrisie. Wcale nie był, na przykład, takim jowialnym prostakiem, jakiego udawał; w pewnych sprawach, szczególnie dotyczących pieniędzy, okazywał absolutne wyrachowanie. Przedwczoraj w jego rybich oczach pojawiły się twarde stalowe błyski, kiedy powiedział:

— Rozgrywasz to naprawdę sprytnie, laleczko. Lou Goldberg mnie oświecił, że odkładasz małżeństwo, czekając właśnie na taki numer.

— Nie rozumiem — odparła.

— Chcesz ślubu w Kalifornii — wyjaśnił — a mają tam wspólnotę majątkową. Przy rozwodzie załapujesz się na połowę wszystkiego.

Nie musiała udawać zdumienia, skoro nic takiego nie przyszło jej nigdy do głowy.

— Jeśli za ciebie wyjdę, to nie po to, żeby się rozwodzić.

— Jasne, jasne — powiedział z uśmiechem. — I co moje, to twoje... kiedy tylko przyjdzie na świat nasz dzieciak.

Lou Goldberg przyjechał do Nowego Jorku tuż po świętach. Był dość sympatycznym facetem po sześćdziesiątce i Amanda usiłowała odnosić się do niego przyjaźnie, brakło jej jednak talentu aktorskiego, a przenikliwe oczy Lou dostrzegały wszystko — sposób, w jaki „pozwałała” Chrisowi trzymać się za rękę, brak z jej strony jakiegokolwiek zaangażowania uczuciowego.

Dzisiaj powinna być z ciotką Rose... Nowy Rok to w domach opieki tradycyjny dzień odwiedzin. Może czekając na jej wizytę nie podadzą ciotce Rose kolacji? Cóż, zadzwoni z przyjęcia, żeby to sprawdzić.

U wrót imponującego stonowanym luksusem królestwa Austinów lokaj odebrał okrycia od Amandy i Christiego, a następnie skierował ich do wielkiego salonu, gdzie zgromadziło się już około dwudziestu osób: Amanda rozpoznała jednego senatora, kilka znakomitości z kręgów towarzyskich i filmowych, a wreszcie słynnego komika, związanego wprawdzie z CBS, lecz — jeśli wierzyć pogłoskom — stanowiącego obiekt podchodów IBC. Spozstrzegła również Dantona Millera oraz Ike'a Ryana, który stojąc w kącie wiół ożywną dyskusję z panią Austin. W minionych miesiącach Ike stał się centrum zainteresowania całego Hollywood — jego barwny styl życia stanowił wdzięczny temat dla prasy, a pierwszy film, jaki nakręcił w Stanach, kończono właśnie montować. Zgiełk prasowy rozpoczął się wówczas, gdy Ike obsadził w głównej roli jedną z najgłośniejszych hollywoodzkich piękności: piękność niezwłocznie rzuciła męża i wdała się w szaleńczy romans z Ike'em. Niezwłocz-

nie jednak po zakończeniu zdjęć Ike porzucił bogdanę i zabrał się za następną gwiazdeczkę, której obiecał rolę w nowym filmie. Porzucona nażyła się tabletek nasennych, odratowano ją wszakże, zanim bowiem zaczęły działać, zadzwoniła do męża; kilka tygodni później sytuacja powtórzyła się w szczególności z drugą gwiazdą, która jednak w krytycznej chwili na powiernika swoich zamierzeń wybrała samego Ike'a. Na czołówkach wszystkich gazet Ike powtarzał, iż zamiarem jego przenosin do Hollywood nie jest chęć podtrzymywania famy uwodziciela, lecz po prostu robienie filmów. Sprawy sercowe, twierdził, to już przeszłość. Rozwiedziony od pięciu lat, zamierzał koncentrować się na pracy. Jasne, zakochał się i to niemal codziennie... ale tylko na pół gwizdka.

Matką Ike'a była Żydówka, ojcem — drugorzędny irlandzki bokser zawodowy. Ike wiele o tym mówił w swoich wywiadach, utrzymując, że z obu stron wziął to, co najlepsze. Był przystojny, opalony i lekko siwił na skroniach; krótki, dość szeroki nos przydawał coś chłopięcego jego surowej twarzy o ostro zarysowanej szczęce. Judith Austin wydawała się nim oczarowana.

Fakt ten Amandę zdumiał: Judith Austin była tym wszystkim, czym pragnęła być w życiu ona...

Smukła, elegancka Judith zaczesła dziś swe popielate włosy w niewielki kok i i założyła „nieobowiązującą” aksamitną suknię, która — jak wiedziała Amanda z lektury „Vogue” — kosztowała tysiąc dwieście dolarów. Wydawało się, że z wyjątkiem małych kolczyków z perełkami nie ma na sobie żadnej biżuterii i dopiero po dłuższej chwili Amanda dostrzegła na jej palcu pierścienek z olbrzymim, przynajmniej trzydziestokaratowym brylantem.

Stali z Christiem zupełnie osamotnieni w tym zatłoczonym pokoju: na szczęście dostrzegł ich Danton Miller i podszedłszy zaszczylił Chrisa zdawkową rozmową. Christie rozpaczliwie uczeplił się Dana i jął z zapamiętaniem rozprawiać o współczynnikach.

Amanda przypomniała sobie nagle o ciotce Rose, przeprosiła towarzyszy i zwróciła się do kamerdynera o wskazanie telefonu; zaprowadził ją do biblioteki, a potem dyskretnie zamknął drzwi. Na pięknym — chyba francuskim — biurku stał telefon z pustym miejscem na wizytówkę. Naturalnie, numer Austinów był zastrzeżony. Obok stało oprawione w srebrną ramę portretowe zdjęcie Judith; pochyliwszy się bliżej, Amanda zobaczyła jednak, że widnieje na nim skreślony tym zabawnym pochyłym pismem dam z towarzystwa słowo „Consuelo”. Oczywiście, nie była to Judith, lecz jej bliźniacza siostra — księżna! Amanda wykręciła numer domu opieki: zajęte. Usiadła przy biurku, zapaliła papierosa, wyjętego ze srebrnego pudełka, i popatrzyła na drugie zdjęcie, przedstawiające dwie małe księżniczki — dziesięcio- i dwunastoletnią. Może

teraz debiutują już w najlepszym europejskim towarzystwie? Zadzwoiła ponownie — telefon nadal był zajęty.

Otworzyły się drzwi i do biblioteki wszedł Ike Ryan. Uśmiechnął się szeroko. — Widziałem, jak się wymknęłaś i najszybciej, jak mogłem, zrobiłem to samo. Jestem Ike Ryan, poznaliśmy się w zeszłym roku u Danny'ego.

Miała nadzieję, że jej pozbawione wyrazu spojrzenie powie mu, iż wydarzenie to nie pozostawiło w jej pamięci żadnego śladu. Potem oświadczyła z roztargnieniem: — Przyszłam tu, żeby zadzwonić, ale linia wciąż jest zajęta.

Machnął ręką. — Też po to wpadłem. Można? — Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, podniósł słuchawkę i zaczął wykrecać numer. Potem prze-rwał i zwrócił się do Amandy: — Jesteś może wolna po tym przyjęciu?

Pokręciła głową.

Podjął wykrecanie numeru. — Więc jednak zadzwonię. Chyba traktujesz poważnie tego błazna, z którym tu przyszłaś. U Danny'ego też z nim byłaś.

— Robię reklamy w *Show Christiego Lane'a*. — Zastanawiała się, czy Robin w ogóle wspomniał o niej Ike'owi.

Ike uzyskał połączenie. — Cześć, Joy! Kochanie, masz ochotę na kolację o dziewiątej? Wyślę po ciebie auto. Mamy do wyboru trzy przyjęcia, albo też skończymy w delikatesach przy Szóstej Alei. Zależy, na co będziesz miał nastrój. Co? Jasne, że tak... czy przerwałbym poważną rozmowę o interesach, gdyby było inaczej? Okay, dziecinko. — Odłożył słuchawkę i odwrócił głowę w stronę Amandy. — Widzisz, co tracisz?

Uśmiechnęła się ironicznie.

Popatrzył na nią przeciągle. — Chyba mi się podobasz. Większość dziewcząt przyjmuje moje propozycje od razu.

— Nie jestem większością babek. Mam kontrakt na zrobienie w Kalifornii serii reklam, a tak się składa, że „błazen”, z którym tu przyszłam, jest we mnie bardzo zakochany.

— Gdzie zamieszkaż na Wybrzeżu?

— Jeśli pojedę, to w Beverly Hills.

— Jeśli pojedziesz? Sądziłem, że masz kontrakt.

— Mam. Ale jeszcze go nie podpisałam.

— Na czym polega efsher?

— Efsher?

Uśmiechnął się. — To takie żydowskie słówko, używała go moja matka. Traci w przekładzie, ale spróbuję przedstawić ci obrazowo, jaki ma sens. Zastanówmy się... Och, tak! Moja siostrzyczka była prawdziwą maskarą, zanim zafundował jej operację plastyczną, dzięki której znalazła wreszcie męża. Przedtem żaden chłop nawet nie chciał na nią popatrzeć. No więc w pewien

weekend wybierała się do Grossingera z kilkoma znajomymi dziewczynami, bez wyjątku takimi samymi ohydami jak ona... znasz zresztą ten typ. Nie, nie możesz znać. Żydowskie dziewice po dwudziestym piątym roku życia. Rozhisteryzowane! Przegrane! Bez szczypty nadziei! Właśnie taka była moja siostra. Otóż pamiętam, jak się pakowała — portki, rakiety do tenisa, kostium kąpielowy — a mama pyta: „Co, nie bierzesz żadnych ładnych sukienek?” Siostra na to: „Posłuchaj, mamó, nie jadę tam pierwszy raz... Nigdy dotąd nie poznałam żadnego wolnego faceta, więc teraz zamierzam po prostu wypocząć, pograć w tenisa i popływać”. Wtedy matka wyciągnęła z szafy najlepszą sukienkę siostry i wcisnęła ją do walizki. „Weź ją — powiedziała — efsher”.

Amanda wybuchła śmiechem. Ike Ryan zaczynał się jej podobać.

— Rozumiesz? — zapytał. — Efshter znaczy „kto wie?”... to możliwość, słaba nadzieja. Więc na czym polega twój efsher? — A potem, jakby wyczuwając zmianę jej stosunku do siebie, dodał: — Słuchaj, może zmienisz zdanie w sprawie dzisiejszego wieczoru? Zawsze mogę odwołać tamto spotkanie.

— Ja nie odwołuję spotkań — odparła.

— Ani ja — kiedy mi na nich zależy. — Popatrzył na nią z uśmiechem i powiedział: — Przyjeżdżaj na Wybrzeże, dziecko. Myślę, że czeka nas wspólna przyszłość.

Kiedy wyszedł, biblioteka wydała się nagle Amandzie pusta. Było już po szóstej... może przyszedł Robin; pospiesznie wykręciła numer domu opieki. Wciąż zajęte! Sprawdziła makijaż i wróciła na przyjęcie. Spróbuje zadzwonić później.

Tłum wylał się już do jadalni i palarni. Amanda zrobiła rundkę po wszystkich pomieszczeniach, uważnie przypatrując się twarzom gości, ale Robina nie było. Chris, ciągle w tym samym miejscu, rozmawiał z Dantonem Millerem. Na widok Amandy Danton odetchnął z ulgą i bezzwłocznie się ulotnił.

— Gdzie się, do cholery, podziałaś? — zapytał Christie, ledwie zostali sami.

— Cesałam włosy — odrzekła oziębło.

— Nie było cię dwadzieścia minut i Dan musiał tu ze mną tkwić.

— Jeśli jesteś takim wielkim gwiazdorem, to gdzie są ci twoi wielbiciele?

Chris powiódł wzrokiem po wypełnionym znakomitościami salonie.

— Dziwna sprawa — powiedział z westchnieniem. — Znam wszystkich, których widzę, ale nie widzę nikogo, kogo znam. Zmywajmy się, laleczko, to towarzystwo nie dla mnie.

— O rany, Chris, przynajmniej udawaj, że świetnie się bawisz.

— A gdzie jest napisane, że mam się dobrze bawić? Fakt, zostaliśmy zaproszeni... ale Eddie Flynn też nas zaprosił na balangę. Aggie rzuciła robotę

w Copa i jedzie z nim na Wybrzeże, więc trzeba to oblać. No i to dopiero będzie party jak się patrzy.

Spojrzała ku drzwiom i poczuła, że jej puls gwałtownie przyspiesza. Ale, nie, to po prostu jakiś wysoki nieznamy facet...

Piętnaście po ósmej Amanda uległa wreszcie namowom Chrisa i pozwoliła się zawlec na „przyjęcie”, jakie Eddie wydał w swoim pokoju hotelowym. Było już prawie pusto — dziewczyny z Copa i Latin Quarter wróciły na wieczorne występy. Amanda usiadła na tapczanie i zaczęła popijać szkocką. Christie pałaszował kanapki z pastrami.

— Powiem ci, laleczko, że są dużo lepsze niż to bajeranckie żarcie u Austinów. Spróbuj jedną.

Odmówiła i nalała sobie następną szklaneczkę.

— Lepiej zjedz — powiedział Chris, odgryzając wielki kęs. — Wsunąłem już trzy, więc raczej nie będę w nastroju na kolację.

— Nie jestem głodna — odparła Amanda.

Agnes przysiadła obok niej na tapczanie.

— To w taki sposób wy, modelki, zachowujecie figurę? — zapytała. — Gruby błąd. Solona wołowinka jest nie do pobicia.

— Po prostu nie jestem głodna — powtórzyła Amanda. Ziewnęła. Szkocka zaczynała ją rozklejać.

Agnes popatrzyła na nią ze współczuciem.

— Za ostro wczoraj balowałaś, co?

— Nie, właściwie nie. Chris miał występ i było zupełnie spokojnie... jeśli można Wielką Salę Balową w Waldorfie nazwać spokojnym miejscem.

— W zeszłym roku byłam z Eddiem i Chrisem w Fontainebleau. Och, nie mieszkało tam żadne z nas, tylko Chris śpiewał. To było jeszcze, zanim zaczęto nadawać jego program. Wiesz, co ci powiem? Bawiliśmy się z Eddiem lepiej, niż potem, gdy chłopcy trafili już do telewizji. Chcę powiedzieć, że... rozumiesz, było weselej. Tak jak powinno być w święta.

— Nie lubię ani sylwestra, ani świąt — stwierdziła Amanda.

O jedenastej miała już dobrze w czubie. Chris chciał wprawdzie wyskoczyć gdzieś na kawę, ale zgodził się w końcu odwieźć Amandę do domu.

Poleciwszy taksówkarzowi czekać, odprowadził ją do drzwi; ten element dobrego wychowania, który wbiła mu do głowy po długotrwałych i ciężkich wysiłkach, Christie nadal jednak uważał za absurdalny.

— Może cię rajcuje, jak słyszysz tykanie licznika? — oświadczył.

— Ike Ryan ma limuzynę i szofera — odparła.

— Wynajętą — odburknął.

— Ale przynajmniej nie jeździ taksówkami...

— Niedoczekanie, żebym płacił osiem doliczów za godzinę, kiedy szofer siedzi na zadku i słuca radia.

Pocałowała ją pospiesznie, świadom nieubłaganej pracy licznika, i rzuciła na pożegnanie:

— Pamiętaj, laleczko, kiedy dojdę do sześćdziesiątki, będziemy ustawieni, a Ike Ryan może skończy w rynsztoku.

Wchodząc do mieszkania, potknęła się i omal nie upadła. Miała mdłości i początki gigantycznego bólu głowy. Połączyła się z centralką: jedna wiadomość, z domu opieki. Jasne, że zadzwonili... pielęgniarki nie mogły się doczekać dwudziestodolarówek, które rozdawała z okazji Nowego Roku.

Robin jednak milczał. To rozstrzygało sprawę. Koniec z... jak to się nazywa?... efsher. Pojedzie do Kalifornii! Poślubi Chrisa! Potem poraziła ją nagła myśl. Zgoda, Kalifornia, ale kto będzie odwiedzał ciotkę Rose? Bywała w domu opieki przynajmniej raz w miesiącu — zawsze innego dnia, o innej godzinie. Chciała mieć pewność, że nic nie jest robione na pokaz. Teraz zaczną ją zaniedbywać. Dlaczego wcześniej nie przyszło jej to do głowy? Bo aż do tej chwili nie wierzyła, że naprawdę będzie musiała wyjechać. Nie poczyniła nawet żadnych kroków, aby podjąć swoje mieszkanie. Wciąż liczyła na Robina.

Zastanawiała się przez moment, a potem, wiedziona impulsem, wykręciła numer Jerry'ego. Odebrała jego żona. Amanda przeprosiła za ten nocny telefon, mówiąc, że sprawa jest bardzo pilna.

— Nie mogę jechać do Kalifornii — powiedziała bez ogródek, kiedy Jerry przejął słuchawkę.

W jego głosie dało się słyszeć uczucie ulgi. — Więc zagrało, co? Mówiłem, żebyś postawiła sprawę jasno.

— Robin się nie pokazał — odrzekła powoli.

— Więc dlaczego nie chcesz jechać do Kalifornii?

— To nie ma nic wspólnego z Robinem. Jerry... przed chwilą mnie olśniło. Myśląc wyłącznie o sobie, Robinie i Chrisie, zapomniałam w kamień o ciotce Rose. Nie mogę się po prostu zmyć, bo kto ją wówczas będzie odwiedzał?

— Jestem pewien, że na Wybrzeżu nie brakuje doskonałych domów opieki.

— Ależ, Jerry... jak mam ją przewieźć?

— Namów Chrisa, żeby wycarterował samolot. Weź pielęgniarkę.

— Chris nic nie wie o ciotce Rose i nie mam pojęcia, jak to przyjmie.

— Pośluchaj, Amando, Chris piął się ku szczytom najcięższą drogą... myślę, że po tym będzie cię szanował w dwójnasób. I będzie szczęśliwy, mogą ci pomóc.

— Och, Jerry, jeśli to robi, spróbuję go pokochać... Będę dla niego dobra, naprawdę. Zaraz do niego dzwonię.

Telefon Christiego jednak milczał; Amanda spróbowała baru w Copa, The Stage, Lindy's... Chris, jak się okazało, bawił w Toots Shar.

— Chris, mógłbyś do mnie wpaść? Muszę z tobą pomówić.

— Laleczko, siedzę z Ronniem Williamsem, chcę się załapać na jego felieton.

— Muszę z tobą porozmawiać.

— Jezu, jest tu pół świata! Złap taksówkę i przyjeżdżaj.

— Chris, nie mogę mówić przy ludziach. To bardzo ważne. Dotyczy nas dwojga... naszej przyszłości.

— Jezu, spędziliśmy we dwoje tyle wieczorów. U Austinów stałaś jak pień. Czemu wtedy nie chciałaś pogadać? Mieliśmy doskonałe warunki, ludzie omijali nas na kilometr.

— Przyjeżdżasz, Chris?

— Laleczko, będę u ciebie za, powiedzmy, pół godziny.

— Nie. — Wypita szkocka wzmacniała swoje działanie. Amanda leciała z nóg. — Teraz, póki jeszcze nie zasnęłam. To ważne, przyjeźdź zaraz.

— Okay, będę.

— Spiesz się.

— Nie masz nic przeciwko temu, żebym najpierw się odlał?

Odłożyła słuchawkę. Potem rozebrała się do naga. Chris prawdopodobnie będzie chciał iść z nią do łóżka. Cóż, jeśli miałyby to pomóc w przeniesieniu ciotki Rose do Los Angeles i umieszczeniu jej w dobrym domu opieki, była gotowa sypiać z Christiem każdej nocy. Spróbuje nawet reagować na jego karesy.

Ubrała się w szlafrok, uczesała włosy, poprawiła makijaż i założyła krawiec.

Kiedy po swoim przyjeździe Chris zrzucił płaszcz i wzięwszy Amandę w ramiona, zaczął ją całować, odsunęła się od niego i powiedziała:

— Później, Chris, najpierw muszę z tobą pomówić.

— Pogadamy, ale potem... — Rozwiązał pasek jej szlafroka, rozchylił poły i nagle znieruchomiał. — Okay, wygrałaś. Nie mam ochoty kochać się z kukłą. Z równym skutkiem mógłbym trzepać kapucyna gapiąc się na rozkładówkę „Playboya”.

Okryła się i przeszła przez pokój.

— Usiądź, Chris, mam ci sporo do powiedzenia.

Słuchał w zupełnym milczeniu, gdy nie pomijając niczego, Amanda opowiedziała mu historię swojego życia. Patrzył na nią rozszerzonymi oczyma i ze współczuciem kręcił głową.

- Biedny dzieciaku, było ci równie ciężko jak mnie.
 - Do jej oczu napłynęły łzy.
 - Więc mi pomożesz, Chris?
 - Ale jak, laleczko?
 - Przewieź na Wybrzeże ciotkę Rose!
 - Chyba żartujesz! — powiedział. — Wiesz, ile to będzie kosztować?
 - Zresztą nie możemy wziąć do samolotu chorej Murzynichy!
 - Nie waż się mówić w taki sposób o ciotce Rose!
 - W porządku, w porządku... Ale nawet, gdyby była biała jak śnieg, to po zawale nie może lecieć samolotem.
 - Mógłbyś wyczarterować samolot.
 - Jasne, za kilka tysięcy papierów!
 - Cóż... na pewno jesteś dostatecznie bogaty.
- Popatrzył na nią przeciągle, a potem wstał i zaczął przemierzać pokój. Wreszcie odwrócił się na pięcie, godząc w Amandę wyciągniętym palcem.
- Coś ci chyba na mózg padło! Mam stryjecznego brata — najprawdziwszego, krew z mojej krwi! — który chciał pożyczyć ode mnie dwa tysiące, żeby wejść w pewien interes. Odmówiłem. A wiesz dlaczego? Bo jestem podobny do ciebie. Nikt nigdy nie zrobił nic dla małego Chrisa. Starzy byli biedni... Ojciec występował w kabarecie i zdradzał matkę. Ona też go zdradzała. Rozwiedli się, założyli nowe rodziny... żadne z nich nie miało na mnie ochoty. Byłem zdany tylko na siebie, odkąd skończyłem dwanaście lat. Mam przyrodniego brata, któremu nie dam złamanego grosza! Bo gdyby sytuacja wyglądała odwrotnie, on też by się na mnie wypiął.
 - Więc tego nie zrobisz? — zapytała.
 - Cheee-ryste! W następnej kolejności zażyczysz sobie, żebyśmy po ślubie ściągnęli ciotunię do domu z noszami i całym tym majdanem.
 - Czemu nie, jeśli poczuje się lepiej?
 - Ponieważ nie pozwolę żerować na sobie mojej rodzinie... ponieważ nie mam ochoty wykładać forsy na starą... na starszą panią, której w życiu nie widziałem. Przecież to może dojść do dziesięciu paczek!
 - Może — odpowiedziała zimno.
 - Wiesz, ile się muszę natryać na dziesiątaka?
 - Słyszałam, że o tyle co tydzień podnoszą ci gażę.
- Zmrużył oczy.
- Bawiłaś się w urząd podatkowy?
 - Wszyscy wiedzą, że sponsor dał ci dziesięć tysięcy podwyżki. Przypilnowałeś, żeby trafiło to do całej prasy.

— Cóż, rząd zgarnia z tego siedemdziesiąt procent. Kapujesz, co mam na myśli? Mogłbym wyłożyć te dziesięć paczek, gdybym zarabiał prawdziwe kokosy.

— W porządku, Chris, idź już.

Podszedł do niej i złapał ją za rękę.

— Laleczko, ja cię naprawdę kocham i wcale nie jestem gównojadem. Powiedzmy, że mamy dziecko... Jeśli zachoruje, bez zmruczenia oka wyłożę dziesiątkę na odpowiedniego specjalistę. Wszystko, co mam, będzie dla ciebie i dzieciaka. Ale nie dla krewnych. Szczególnie przyszywanych.

— Była dla mnie jak matka.

— Czort by to wziął! — wybuchł Christie. — Coś takiego mogło się przytrafić tylko mnie! Jestem pewien, że znalazłem najbardziej ekskluzywną dziecuchę na świecie, a ta wnosi mi w posagu czarną ciotunię... żeby przynajmniej była zdrowa, to można by mówić, że jest pokojówką! Laleczko, kiedy mówisz, że masz do pogadania, to bankowo chcesz mnie zrobić w konia.

— Wyoń się, Chris.

— Dobra, pójdę, ale ty to prześpij. Tylko nie odymaj się i nie myśl, że przestałem cię kochać. Kocham cię jak diabli... a przy tym jestem wyrozumiały. Kombinowałem sobie, że możesz pochodzić z jakiejś arystokratycznej rodziny i bez przerwy przepraszałem za swoją — a ty oświadczasz mi bez zmruczenia oka, że jesteś bękartem i że wychowała cię czarna pokojówka... no i czy to cokolwiek zmienia? Nic a nic! Wciąż cię kocham i chcę się z tobą ożenić. Ale nie ładuję ci na kark swojej gównianej familii i ty nie możesz wcisnąć mi swojej. Po ślubie będziemy wydawać forszę — ale tylko na naszego dzieciaka! Pamiętaj o jednym, Mandy... — Urwał. — Jezu... nawet to imię brzmi teraz parszywie. W następnej kolejności dowiem się, że zamierzasz naszemu dzieciakowi dać na chrzcie Bambo. Od tej chwili nikt nie nazywa cię Mandy: masz na imię Amanda. A tak nawiasem, to również zawdzięczasz ciotuni?

— Nie — odpowiedziała cicho. — Moje prawdziwe imię brzmi Rose, ale Nick Longworth zmienił je, kiedy zaczęłam pozować. Rose Jones to zbyt szare, powiedziała. Amanda natomiast ma w sobie coś angielskiego... Noel Coward i te rzeczy.

— Cóż, ja też tak sądziłem, dopóki nie usłyszałem o zaciej cioteczce Rose. Posłuchaj, laleczko, dzieliłem garderobę z kolorowymi wykonawcami. Mam wśród nich przyjaciół. Sytuacja w końcu się zmieni... mam przynajmniej nadzieję. Ale ja jestem za mały na to, żeby samopas rozpoczynać wojnę. Niech zrobi to ktoś inny, ja do niego dołączę. Całe życie byłem takim niedopieczonym „kimś”, występowałem we wszystkich spelunach świata. Całe gromady facetów robiły to samo i będą to robić do zasranego końca. Ja jednak wreszcie

odniosłem sukces i chcę się nim z tobą podzielić! Ale tylko z tobą! Nie z twoją ciotką, moim kuzynkiem czy przyrodnim bratem — tylko z tobą!

Chwycił płaszcz i skierował się ku drzwiom.

— Zapomnijmy o dzisiejszym, dobra? Nic się nie stało. Nie znam żadnej ciotki Rose. Jesteś Amanda, wystrzałową modelką... i moją narzeczoną. To wszystko. — Wyszedł, zatrząskując za sobą drzwi.

Przez kilka minut siedziała zupełnie nieruchomo, a potem wstała i przyrzadziła sobie drinka. Osobliwe, doskonale rozumiała uczucia Christiego. Cóż, wynikał z tego jeden wniosek — nie może sobie pozwolić na luksus miłości. Bo w gruncie rzeczy nikt jej naprawdę nie okazywał, wszyscy myśleli tylko o sobie! Nigdy więcej nie zobaczy się z Christiem Lane'em i Robinem Stone'em! Wycofa się z programu, poleci Nickowi organizować jak najwięcej zleceń, nawet jeśliby musiał obniżyć warunki finansowe. Nie miała wobec Chrisa żadnego poczucia winy. Będzie pracować, opiekować się ciotką Rose, a potem wyjdzie za pierwszego uczciwego faceta, jaki się nadarzy... i urodzi dziecko, któremu zapewni godziwy start w życie. Wzięła tabletkę nasenną, nastawiła budzik i wyłączyła telefon.

Dudzik zadzwonił o dziewiątej. Przewyciężając potworny ból głowy, Amanda sięgnęła po słuchawkę, żeby sprawdzić w centrali, czy nie ma dla niej wiadomości, ale potem zmieniła zdanie. Wiadomości mogły oznaczać tylko kłopoty.

Złapała taksówkę i pojechała do Queens. Mały hol domu opieki był prawie pusty: zaledwie kilka staruszek oglądało telewizję, a jedna zajmowała się dziecinną układanką. Jeszcze inna po prostu stała, wbijając wzrok w przestrzeń. Sprzątaczką rozbiegała nadjedzoną przez mole sztuczną choinkę.

Amanda wsiadła do windy i wcisnęła guzik trzeciego piętra — nigdy po przybyciu nie zgłaszała się w dyrekcji.

Otworzyła drzwi pokoju; łóżko było odarte z pościeli.

Usłyszała, że do pokoju wchodzi ktoś jeszcze; panna Stevenson, kierowniczką. Miała na twarzy wyraz zakłopotania.

— Dzwoniłyśmy do pani w nocy — powiedziała panna Stevenson.

— Ja też próbowałam się dodzwonić, ale linia bez przerwy była zajęta — odparła Amanda. — Dlaczego przeniesiono ciotkę Rose? — Nagle doświadczyła przyływu paniki. — Czy poczuła się gorzej?

— Zmarła — odrzekła panna Stevenson.

Amanda krzyknęła, a potem dopadła panny Stevenson i schwyła ją za ramiona.

— Co się stało? Jak?

— O szóstej, kiedy przyniesiono jej kolację, usiadła raptownie na łóżku. Miała bardzo przytomne oczy. Zapytała: „Gdzie jest mała Rosie?” Powiedzieliśmy, że niebawem pani przyjdzie. Położyła się i uśmiechnęła; mówiąc: „Zjem z małą Rosie. Nie lubię samotnych posiłków. Zjemy sobie kolację, kiedy wróci ze szkoły...”

Amanda zaczęła szlochać. — Myślam była w przeszłości, ale przecież mogłaby mnie rozpoznać.

Panna Stevenson wzruszyła ramionami.

— Kiedy doszliśmy do wniosku, że już pani nie przyjdzie, próbowaliśmy ją nakarmić, ale powtarzała: „Zaczekam na moje dziecko”. Wróciliśmy o ósmej... nie żyła. Zaczęliśmy dzwonić...

— Gdzie ona jest? — zapytała Amanda.

— W kostnicy.

— W kostnicy!?

— Nie mogliśmy jej tu trzymać.

Amanda zacięła się ku windzie, a panna Stevens pobiegła za nią.

— Dam pani adres. Na miejscu będzie pani mogła załatwić wszystkie sprawy związane z pogrzebem.

Załatwiła nabożeństwo żałobne i kremację; potem wróciła do domu, wyłączyła telefon i zasnęła.

Kiedy nazajutrz zadzwonił Jerry, opowiedziała mu o wszystkim.

Jerry usiłował dopilnować, by w jego głosie nie zabrzmiały zbyt wyraźnie tony ulgi, wyraził jednak myśl, że być może „tak i lepiej”. — Teraz z czystym sumieniem możesz jechać do Kalifornii — stwierdził.

— Tak, Jerry, mogę jechać do Kalifornii.

Tego wieczoru wykończyła całą butelkę szkockiej, a potem stanęła przed lustrem i patrząc na swoje odbicie, powiedziała: — Cóż, stało się. Teraz nie należysz już do nikogo, nikogo nie obchodzisz! Jaki parszywy jest ten świat!

Wreszcie padła na łóżko i wybuchła płaczem.

— Och, Robinie, Robinie, gdzie jesteś? Co z ciebie za człowiek? Tkwiłam na tym przyjęciu, czekając na ciebie... a ciotka Rose czekała na mnie! Mogłam przy niej być... rozpoznałaby mnie i umarła w moich ramionach, wiedząc, że ktoś się o nią troszczy.

Mocno wcisnęła twarz w poduszkę.

— Nienawidzę cię, Robinie Stone! Czekałam na ciebie, gdy ciotka Rose umierała samotnie. Gdzie wtedy byłeś? O Boże, gdzie wtedy byłeś?

Był w domu, oglądając mecz pucharowy. Dotarł do mieszkania o siódmej rano, padł na łóżko i spał do południa. Kiedy się zbudził, wyjął z lodówki dwa

jaja na twardo i puszkę piwa, a potem przeniósł się do salonu, włączył telewizor i leżał na kanapie. Za pomocą pilota odszukał kanał IBC — pokazywano już przedmeczowy ceremoniał. Były fanfary, balony i tradycyjny wywiad z Miss Kwiatu Pomarańczy, a może jakąś inną... Wszystkie były do siebie podobne — długonogie, opalone dziewczyny, które zamiast mleka matki mogły z powodzeniem ssać sok pomarańczowy. Przynajmniej ta na pewno ssała. Piękne białe zęby, puszyste włosy, nerwowy uśmiech. Cóż, będzie miała swój dzień sławy; potem tydzień lokalnej popularności, a wreszcie kilka wycinków prasowych do pokazywania dzieciom.

Spoglądał na dziewczynę bez zainteresowania; mówiła właśnie, że pragnie mieć całą gromadkę dzieciaków. Dobry Boże, gdyby któraś z nich oświadczyła uczciwie: „Och, po prostu lubię się pieprzyć!” Współczuł biedaczce, która przeprowadzała wywiad; widział tylko jej kark, ale miała dobry głos. Potem dostrzegł jej półprofil, gdy odwróciła się do kamery, mówiąc: „Słuchali państwo Maggie Stewart i Dodie Castle, Miss Kwiatu Pomarańczy na rok 1962. Oddaję głos Andy'emu Parino”.

Andy Parino przeprowadzał wywiad z jakimś weteranem futbolu; Robin przełączył się na CBS, potem NBC, a wreszcie na kanał jedenasty — emitowany tu stary film rychło ukołysał go do snu. Obudziwszy się, wyłączył telewizor i zaczął wykręcać numer Amandy, zatrzymał się jednak w połowie, a wreszcie odłożył słuchawkę. Prawdopodobnie nie ma jej w domu. Poza tym powinien chyba trochę odpocząć. Czuję się potwornie znużony... pogoda w Londynie była koszmarna, ale dziewczyna okazała się naprawdę ostra i kiedy poznał ją z baronową, natychmiast zaskoczyła. Ike Ryan wtajemniczył go w sztukę orgietek; aby skłonić panienkę do udziału w takiej zabawie, należy najpierw pokochać się z nią na osobności, potem na oczach kumpla, potem skłonić, by pokochała się z kumplem na twoich oczach. A kiedy już idzie na figle z inną dziewczyną — jest ustawiona, nie robi fochów i daje sobie spokój z odzywkami typu „Chcę, żebyś obsypywał mnie kwiatami”. Staje się tym, czym jest każda kobieta, odarta z konwenansów i pretensji: dziwką.

Może powinien spróbować tego z Amandą — na pewno ucięłoby to gadanie o małżeństwie. Coś jednak buntowało się w nim przeciwko takiemu rozwiązaniu, bo czuł, że Amanda by na nie poszła — poszłaby na wszystko, żeby go tylko zatrzymać. W przeciwieństwie jednak do baronowej czy tej małej Angielki, nie potrafiłaby zapomnieć. A on nie chciał skrzywdzić Amandy. Boże, na początku dawała mu takie poczucie bezpieczeństwa! Ostatnio jednak odnosił wrażenie, iż nieustannie znajduje się na krawędzi załamania... tak, czas się z tego wycofać. Dostarczył jej mnóstwa bardzo konkretnych powodów; zawsze wolał, by stroną zrywającą była dziewczyna... w ten sposób mogła zacho-

wać poczucie dumy. Cóż, może naprawdę zagra ten numer z Christiem Lanem'em.

Podniósł słuchawkę i poprosił o zastrzeżoną międzymiastówkę IBC.

Wytropił w reżyserce Andy'ego i złożył mu noworoczne życzenia.

— Jak tam Miss Kwiatu Pomarańczy? — zapytał.

— Zapadły biust i iksowate golenie — odparł Andy.

— Co ty powiesz, na ekranie wyglądała wspaniale.

— Dzięki staraniom Maggie.

— Maggie?

— Maggie Stewart... prawdopodobnie widziałeś ją tylko od tyłu. Jest rewelacyjna!

Robin się uśmiechnął.

— Wygląda mi na to, że między wami coś naprawdę się kroi.

— Jasne. Chciałbym, żebyś ją poznał. Może wpadniesz na kilka dni? Wakacje by ci nie zaszkodziły, a mamy tu wspaniałe tereny golfowe.

— Nie potrzebuję wakacji, bo delectuję się każdym dniem. Wróciłem właśnie z Europy, przywozłem trochę świetnego materiału. Teraz chcę kilka programów strzelić na żywo. Słuchaj, bracie, tylko nie żeń się z tą dziewczyną, dopóki jej nie obejrzę.

— Ożeniłbym się nawet jutro, gdyby tylko wyraziła zgodę.

— Andy, pójdę o każdy zakład, że to dziewczyna jak wszystkie inne.

Głos Andy'ego stwardniał. — Nie pozwalaj sobie.

— Szczęśliwego Nowego Roku, frajerze — odrzekł Robin, odkładając słuchawkę.

Zapałił papierosa. Pomyślał o wszystkich tych wieczorach, kiedy przemierzając z Andym w tę i z powrotem deptak w Miami, wstępowali do wszystkich napotkanych barów, wyprowadzali z nich panienki, by wymienić się nimi w środku nocy...

Zarzucił płaszcz i wyszedł z domu.

Wieczór był pogodny i zimny. Trzecią Aleją doszedł do Czterdziestej Drugiej Ulicy, a potem najkrótszą drogą do Broadwayu, który powitał go swoją kaskadą neonów.

Mijając kino, zatrzymał się, kupił bilet i wszedł do środka. Po chwili dosiadł się do niego jakiś facet z sąsiedniego rzędu; niebawem Robin poczuł, że na jego kolano został rzucony płaszcz, a ciepła dłoń rozpoczęła niepewną wędrówkę w górę uda. Wstał i zmienił miejsce. Pięć minut później sąsiednie miejsce zajęła przysadzista Murzynka w peruce blond.

— Chcesz się zabawić, kotku? Przykryję cię płaszczem i zagram na flecie tak, że ci się nie śniło. Pięć dalców.

Jeszcze raz zmienił miejsce, siadając obok dwóch nastolatek. Nagle jedna z nich wyszeptwała: — Odpal dziesięć dolarów.

Popatrzył na nią jak na wariatkę. Nie miała chyba piętnastu lat. Zignorował ją.

— Odpal dziesiątkę albo zacznę się drzeć, że mnie obmacujesz. Jestem niepełnoletnia... będziesz miał kłopoty.

Zerwał się na nogi i wypadł z sali. Przeszedłszy kilka przecznic wszedł na kawę do całonocnej knajpki. Sięgnął do kieszeni... Chryste, portfel zniknął! Kto go zwędził? Pedał z płaszczem? Dziwka? Małolatka? Podniósł kołnierz płaszcza i ruszył do domu.

Rozdział czternasty

Tłum w sali klubowej hotelu Beverly Hills zaczynał rzednąć, nadal jednak panował zbyt wielki zgiełk, aby odbyć rozmowę międzymiastową, toteż Jerry postanowił zadzwonić z pokoju. Boże, nienawidził tego miasta, ale pomysł z przeniesieniem programu na Zachodnie Wybrzeże okazał się doskonały: *Show Christiego Lane'a* dotarł do drugiego miejsca. W rezultacie Jerry miał jeszcze przed sobą trzy miesiące w krainie wiecznego słońca, palm i samotności.

Zamówił połączenie z Mary. Dzięki Bogu, że stanęła sprawa letniego programu zastępczego — będzie musiał wrócić i podjąć decyzję, co oznaczało cały tydzień w Nowym Jorku! Wobec takiej perspektywy zatłoczone kolejki podmiejskie wydawały się czymś błahym.

Po chwili telefonistka poinformowała go, że numer w Greenwich jest zajęty, wobec czego zrezygnował z rozmowy. O ósmej trzydzieści był u Chasena umówiony z Chrisem i Amandą. Amanda była ostatnimi czasy ciągle zmęczona i rzadko zgadzała się gdzieś wyjść. Jak w zegarku, tabliczka NIE PRZESZKADZAĆ pojawiała się na drzwiach jej pokoju już o wpół do dziewiątej każdego dnia. Jasne, pracowała na pełnych obrotach, zgarniając większość najlepszych kontraktów w Kalifornii. Christiego Lane'a Kalifornia doprowadzała do szału: utrzymywał, że miasto zamiera przed jedenastą i dzień po dniu siedział w wynajętym domu z Eddiem Flynnem i Dennyem Ditto, rżnąc w karty do białego rana. W lokalach Hollywood nie czuł się dobrze, twierdził, że nigdy nie dostał przyzwoitego stolika. Na kilka tygodni popadł w depresję, kiedy Amanda nie zgodziła się na ślub w dniu świętego Walentego. Oświadczy-

ła, że ma ochotę na prawdziwy miesiąc miodowy, nie zaś powrót do pracy na-
zajutrz po nocy poślubnej. W końcu Christie przyjął do wiadomości jej argu-
menty i uzgodnili, że pobiorą się na początku przerwy letniej, tuż po zejściu
programu z anteny.

Jerry zastanawiał się nad Amandą. Spędzała z Christiem wieczór po pro-
gramie, a poza tym może ze dwie noce w tygodniu. Stanowczo odmawiała
udziału w życiu towarzyskim Hollywood, nie była w Coconut Grove ani na
tak lubianych przez Christiego premierach kabaretowych, Chris zatem błąkał
się po Hollywood w towarzystwie Kenny'ego, Eddiego i małej tancereczki.
Utrzymywał, że to jego pierwszy i ostatni kontakt z Kalifornią! Dotrwa
wprawdzie do końca, ale powiadomił już sponsorów odpowiednim pismem, że
w przyszłym sezonie wszystkie programy będzie robił wyłącznie z Nowego
Jorku. Jerry podpisywał się pod tym obiema rękami — był równie osamotnio-
ny jak Chris.

Amanda jednak zdawała się wcale nie tęsknić za Nowym Jorkiem. Nigdy
nie wyglądała lepiej, a producenci filmowi zaczęli się nią interesować. Zasa-
dniczo zmieniła sposób zachowania — jak gdyby kalifornijski klimat wpłynął
jakoś na jej osobowość. Wciąż potrafiła uśmiechać się bez przymusu, lecz Jer-
ry czuł, że z ich wzajemnych stosunków zniknęło coś bardzo istotnego. Było
w gruncie rzeczy tak, jakby przedtem wcale się nie znali. Niebawem przestał
zapraszać ją na kolacje, zniechęcony rytualną wymówką:

— Poszłabym z najwyższą rozkoszą, Jerry, ale jestem okropnie zmęczona,
a jutro mam dużą sesję.

Cóż, może został wyklęty pospołu z Robinem, którego imienia Amanda
nigdy nie wymawiała.

Spojrzał na zegarek: ósma czterdzieści pięć... Christie i Amanda są na
pewno wściekli. Zadzwoił do Chasena i prawie natychmiast usłyszał głos
Christiego:

— Gdzie się, do diabła, podziewasz?

— Czekam na ważną rozmowę z Nowym Jorkiem, spóźnię się kilka mi-
nut.

— Więc odpuśćmy sobie dzisiejszą imprezę. Machnę się do Schwaba. —
Christie był wyraźnie zgaszony.

— Przecież nie jesteś sam jak palec, masz do towarzystwa Amandę.

— Wymówiła się.

— W czym rzecz?

•— Zadzwoiła godzinę temu, ma obłożone gardło... pewnie od smogu.
Wzięła tabletkę nasenną i poszła do łóżka. Siedzę tu jak głupek. Jezu, to praw-
dziwie zadupie; ludzie chodzą tu do knajp tylko podczas weekendów. No i ma-

ją cię za psie gówno, jeśli nie jesteś z branży filmowej. Hej, widzę, że łąduje się właśnie Alfie ze swoją bandą...

— Alfie?

— Jerry, nie trzymasz ręki na pulsie. Alfred Knight.

— Ach, ten angielski aktor.

— Chryste, człowiek by pomyślał, że jest przynajmniej lordem Alfredem, tak wokół niego skaczą. Szkoda, że nie widzisz tego cyrku. Ja miałem rezerwację i wiesz, gdzie mnie posadzili? Na lewym skrzydle... A nasz pieszczołek Alfie po prostu wparowuje z marszu jak gdyby nigdy nic i dostaje stolik na samym froncie. Numer jeden! Zastrany biseks. Nienawidzę nie tylko tego miasta... ludzi też.

— Uszy do góry — powiedział ze śmiechem Jerry. — Nawet nie zauważył, jak nadejdzie czerwiec.

— Nie mogę się doczekać.

Jerry odłożył słuchawkę, usiadł na łóżku i zapalił papierosa. Może Amanda zechce z nim coś zjeść w pokoju. Zadzwoił.

Była uprzejma, lecz odmówiła.

— Nie mogę jeść, Jerry, mam zaczerwienione gardło i obrzmiałe węzły chłonne. Coś mnie zaczyna brać, a program idzie za dwa dni... byłoby strasznie, gdybym nie mogła wystąpić.

Odkładając słuchawkę, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że został spławiony.

Czując, jak bardzo doskwiera mu samotność, otworzył dwuskrzydłowe drzwi, wiodące na werandę, a potem zszedł do miniaturowego ogródka... musiał z kimś pomówić. Może Amanda nie śpi. Nie chciał dzwonić do niej jeszcze raz, ale wiedział — z doświadczenia — że tabletki nasenne nie zawsze skutkują.

Okna jej pokoju, czwartego w rzędzie, były jednak ciemne; pech! Otworzył furtkę i wyszedłszy na ścieżkę, wiodącą wzdłuż okolonnych wysokimi drewnianymi płotami ogródków, ruszył w stronę patia Amandy. Nagle powstrzymał go skrzyp innej furtki; pospiesznie skrył się za pnem jednej z ocieniających hotel wielkich palm. Potem dostrzegł Amandę, która wyszła na ścieżkę i ostrożnie rozejrzała się dokoła. Miała na sobie spodnie i luźny sweater. Zmierzała ku bungalowom. Ulegając impulsowi, podążył za nią. Amanda zatrzymała się przed jednym z bungalowów i dopiero zyskawszy pewność, że jest samotna — nie mogła bowiem dostrzec Jerry'ego, skrytego w mroku i gęstym listowiu — zapukała do drzwi. Otworzył je Ike Ryan.

— Jezu, dziecinko, gdzie się podziewałaś?

— Wolałam poczekać dłużej, na wypadek, gdyby zadzwonił jeszcze Christie. Potem wyłączyłam telefon.

- Kiedy wreszcie pozbędziesz się tego typka?
- Gdy program zejdzie z anteny. Cóż może zaszkodzić, że skończymy sezon bez awantury?

Drzwi zamknęły się i po chwili Jerry dostrzegł w oknie dwa obejmujące się cienie.

Wrócił do pokoju, zamówił kolację i próbował oglądać telewizję, nie mógł jednak oderwać myśli od bungalowu przy końcu ścieżki. Dopiero o drugiej usłyszał skrzyp otwieranej furtki. Nic dziwnego, że Amanda była ostatnio bez przerwy zmęczona... i że miała obrzmiałe wężły chłonne!

Wężły jednak naprawdę były spuchnięte — zauważył to również Ike. Wróciwszy do pokoju, przejrzała się w lustrze: miała zmierzwione włosy i pościerany makijaż. Ike nie był najdelikatniejszym kochankiem świata, lecz Amanda wiedziała, że nie jest mu obojętna. Nalegał, by jak najszybciej zerwała z Christiem. Kiedy wyjaśniła, że program stanowi obecnie jej główne źródło dochodów, odparł: — Posłuchaj, dziecko, dopóki jesteś ze mną, nie musisz martwić się o grosz.

Cóż, nie były to, ściśle rzecz biorąc, oświadczyń; złożyła postanowienie, że wyczeka jeszcze do czerwca, a potem zażąda jednoznacznej deklaracji. Jeśli jej nie otrzyma, wyjdzie za Chrisa. Było jej właściwie wszystko jedno. Nagle poczuła ogromne zmęczenie, tak jakby odpłynęła z niej cała krew. Brała ostatnio amfetaminę — podkrecała ją, odbierając zarazem apetyt. Mimo to zmuszała się do jedzenia... choć dziś wieczorem musiała dać za wygraną; na dziąsłach i podniebieniu pojawiły się dokuczliwe małe ranki. Potrzebują zastrzyku z penicyliny, pomyślała; albo jednej nocy solidnego snu. Padła na łóżko.

Nazajutrz czuła się jeszcze gorzej. Myjąc zęby, zauważyła, że dziąsła krwawią. Wpadła w panikę, była pewna, że to infekcja. Zadzwoiła do Jerry'ego. Tak, znał przyzwoitego lekarza, ale z objawów wyciągał wniosek, że to po prostu ogólne wycieńczenie organizmu. — A w najgorszym razie angina — zaopiniował.

- Och, Jerry, gdzie ja to mogłam złapać?
- Trudno mi sobie wyobrazić — odparł oziębłe. — Koniec końców wieczorami przesiadujesz w domu.

Nutka sarkazmu w jego głosie nie uszła uwagi Amandy. — Chyba jednak powinnam iść do lekarza.

- Wstrzymaj się do jutra, zrobisz to po programie. Na razie płucz usta roztworem wody utlenionej. Miałem kiedyś coś podobnego, nie ma się czym przejmować.

Potem odłożyła słuchawkę.

Przed wyjazdem na sesję wzięła dwie amfetaminy: dodały jej nieco energii, lecz zarazem wprawiły serce w obłądny galop. Fotograf zawiózł ją do Malibu. Prażona bezlitosnym słońcem, czekała w kostiumie kąpielowym, aż zostaną ukończone przygotowania do zdjęć, potem założyła narty wodne... Jakimś cudem nie przewróciła się podczas pierwszej serii ujęć. Fotograf jednak zażyty sobie drugiej, tak na wszelki wypadek. Amanda chwiała się z lekka, stając ponownie na nartach. Motorówka ruszyła, za nią druga — z fotografem; Amanda ugięła kolana, mocno trzymając linę, a potem wyprostowała się gwałtownie, gdy holująca ją łódź nabrała szybkości. Cały świat zakołysał się opętańczo... słońce runęło do morza... i wokół Amandy zamknął się chłodny aksamit fal.

Kiedy otworzyła oczy, leżała na plaży, spowita w koc, a wszyscy wpatrywali się w nią z niepokojem.

— Chyba na chwilę urwał mi się film — powiedziała.

Resztę dnia i całą noc spędziła w łóżku. Obudziwszy się nazajutrz, stwierdziła, że wprawdzie twarz wygląda dobrze, ale nogi są jednym czarno-niebieskim sińcem. Prawdopodobnie padając, potłukła się o narty. Dzięki Bogu, że do programu będzie mogła założyć długą suknię!

Dzień później było znacznie gorzej. Znow w ustach pojawiły się ranki, ale prawdziwą zgrozą przejęły Amandę sińce na nogach: zwały się w okropną czarno-purpurową arabeskę, sięgającą od stóp po uda. Kiedy zadzwonił Christie, podzieliła się z nim swoimi obawami.

— Cóż, sama się napierałaś na te kretyńskie fuchy. Wedle reguł prawdopodobieństwa już ze dwa lata temu powinnaś umrzeć na zapalenie płuc. Żeby podczas mrozów biegać w letniej sukience! Jesteś po prostu wykończona, a przy upadku na nartach wodnych nawet największy twardziel nabawiłby się siniaków.

— Chris, poszukaj mi lekarza...

— Słuchaj, lalczko, za dziesięć minut spotykam się z tekściami, a potem mam poważny wywiad. W tym bajeranckim hotelu musi przecież być jakiś łąpiduch.

Lekarz hotelowy pojechał jednak z wizytą do chorego; Amanda zaczynała pogrążyć się w rozpacz. Anulowała popołudniową sesję — pozowanie w strojach do tenisa — i znow położyła się do łóżka. Drzemała, kiedy zadzwonił Ike. Zrazu udzielała mu wykrętnych odpowiedzi, ale wreszcie wyznała prawdę.

— Nie wstawaj, dziecko. Będę za minutkę z najlepszym lekarzem w Los Angeles.

Niespełna dwadzieścia minut później pojawił się w towarzystwie mężczyzny po czterdziestce, dźwigającego tradycyjną torbę lekarską.

— To doktor Aronson. Zostawiam was we dwoje, ale będę w holu, więc krzycz, gdyby zrobił się natrętny. — Oko, jakie puścił do lekarza, dowodziło, że są starymi przyjaciółmi.

Doktor Aronson przebadał Amandę z beznamiętną biegłością. Zmierzywszy ciśnienie i puls, z aprobatą pokiwał głową. Zaczęła się rozluźniać — beztroška lekarza zdawała się świadczyć, że nie może tu chodzić o nic naprawdę poważnego. Na koniec doktor Aronson, przyświecając sobie małą latarką, zajął jej do ust. — Od jak dawna masz te bąble?

— Od kilku dni. Ale najbardziej niepokoją mnie nogi.

Obmacał jej szyję i ponownie pokiwał głową. Z tym samym beznamiętnym wyrazem twarzy obejrzał posiniaczone nogi.

Opowiedziała o upadku na nartach wodnych. — Czy to był właśnie powód?

— Trudno powiedzieć. Te wszystkie rzeczy nie są prawdopodobnie ze sobą związane, lecz chciałbym na kilka dni położyć cię do szpitala. Kiedy robiono ci ostatnio badanie krwi?

— Nigdy. — Nagle ogarnęło ją przerażenie. — Doktorze... czy to coś naprawdę groźnego?

Uśmiechnął się.

— Wątpię. Przypuszczalnie mamy tu do czynienia z przypadkiem poczciwej staroświeckiej anemii — wy wszystkie, nowoczesne dziewczyny, macie po prostu za mało krwi. Chciałbym jednak wyeliminować kilka ewentualności.

— Jak na przykład?

— Po pierwsze, mononukleozę... to w tej chwili prawdziwa plaga. Masz pewne typowe objawy — zmęczenie, sińce, bóle głowy.

— Czy nie można by zrobić badań w pańskim gabinecie? Boję się szpitali.

— Jak sobie życzysz. Podam Ike'owi adres i ustawimy wszystko na jutro.

Kiedy ją pożegnał, Amanda przeszła do łazienki i wyszczotkowała włosy. Wyglądała okropnie, a Ike wróci lada chwila! Musnęła usta szminką, nałożyła trochę maskary i wróciła do łóżka.

Ike wszedł do pokoju uśmiechnięty od ucha do ucha. — Pakuj walizkę, weź najładniejsze koszule nocne i bądź gotowa, kiedy wrócę. Skoczę do księgarni po kilka czytań.

— Gdzie mam jechać?

— Do szpitala... i żadnych sprzeciwów! Słuchaj, dziecko, doktor podejrzewa, że masz mononukleozę. Jeśli tak jest naprawdę, zarazisz cały ten cho-

lerny hotel i nikt nie zechce obsługiwać cię w pokoju. Poza tym Aronson jest zdania, że powinnaś naprawdę poleżeć, a może nawet zostać wzmocniona kilkoma transfuzjami.

— Ale szpital... Ike, ja nigdy nie chorowałam!

— Teraz też nie chorujesz, ale to jest Hollywood, dziecinko, gdzie wszystko robi się z rozmachem. Dziewczynie Ike'a Ryana nie wypada zasuwać do gabinetu na badania — ona ma do dyspozycji cały szpital, jak księżna. Zamówiłem największy pokój narożny, więc przynajmniej przez kilka dni powinnaś zrobić z niego użytek. Wszystko, rzecz jasna, na mój koszt... nos mi mówi, że taka dziewczyna jak ty nawet nie jest ubezpieczona na leczenie szpitalne.

— Nie jestem, zawsze byłam zdrowa.

— Okay, bądź gotowa, kiedy wrócę. I zostaw wiadomość, że wybrałaś się do Frisco na zdjęcia.

Jerry czekał w Lancerze. Wprawdzie powinien już być w Los Angeles, przyglądając się próbom Christiego Lane'a, ale postanowił swój tydzień w Nowym Jorku rozciągnąć do dziesięciu dni. W L.A. była teraz druga po południu i na drogach zaczynał królować chaos. Upił łyżeczek martini i machnięciem dłoni przywołał zbliżającego się do baru Robina.

Po następnym martini był pewien, że spóźni się na ostatnią kolejkę, która mogłaby dowieźć go do domu o przyzwoitej porze. Robin rozprawiał właśnie o swoim nowym pomysle na program informacyjny, gdy barman wezwał Jerry'ego do telefonu. Jerry był zdumiony. — Do mnie? Nikomu nie zostawiałem wiadomości, że się tu wybieram.

Robin uśmiechnął się z ironią.

— Prawdopodobnie żona ruszyła twoim tropem.

Dzwonił jednak Christie Lane.

— Słuchaj, Jerry, w biurze cię nie złapałem, więc zadzwoniłem do domu. Twoja żona powiedziała, żebym spróbował szczęścia tutaj. Jezu, jak się cieszę, że cię dopadłem. Amanda nie stawiała się na program. W ostatniej chwili wystraszyliśmy inną modelkę. Od biedy ujdzie, ale sądzę, że powinieneś coś w tej sprawie zrobić.

— Gdzie jest Amanda?

— To jakaś cholernie tajemnicza historia. Przedwczoraj po prostu zniknęła, zostawiając wiadomość, że jedzie do Frisco na zdjęcia. A dziś dzwoni i oświadcza ze spokojem, że nie może wystąpić. To było o dziewiątej rano. A gdzie jest? W szpitalu!

— W szpitalu!?

— Spoko, spoko, nic się złego nie dzieje. Zarzuciłem płaszcz na piżamę, pojechałem i co widzę? — Amanda leży sobie w wielkim słonecznym pokoju, wypełnionym kwiatami... ma pełniutki makijaż i wygląda re-we-la-cyjnie! No i oznajmia, że ma anemię i nigdzie się stąd nie ruszy, dopóki nie dojdzie do siebie.

— Pewnie tak jest, skoro trafiła do szpitala, Christie. Szpitale nie przyjmują ludzi bez jakiegokolwiek powodu.

— W Hollywood? Jaja sobie robisz? Połowa tutejszych babek chodzi do szpitala z powodu czegoś, co nazywa wyczerpaniem nerwowym, a chce po prostu odespać nocne ekscesy. Słuchaj, widziałem Mandy — nigdy nie wyglądała lepiej.

— Przyjadę pod koniec tygodnia, Christie. I nie martw się Amandą, jestem pewien, że to nic poważnego.

— Ja się nie martwię, ja jestem cholernie wściekły. To co, że robi tylko reklamę? Jest jednym z wykonawców w moim programie! A człowiek nie odpuszcza sobie programu tylko po to, żeby się wykimać. Nie myśl, że się sadzę, ale wychodziłem na estradę z grypą, śpiewałem, chociaż gardło mnie wykańczało... Nie usprawiedliwiam nikogo, kto olewa robotę. Bo ja ją kocham. Zawdzięczam jej wszystko, co osiągnąłem. I Amanda to musi uszanować. Co z nas będzie za małżeństwo, jeśli ona jest zdania, że poważny program można odwołać równie łatwo, jak sesję fotograficzną? Wiesz, do czego zmierzam?

— Pomówię z nią, kiedy przyjadę.

Odłożył słuchawkę i wrócił do baru. Robin uważnie wysłuchiwał jego relacji, a potem stwierdził: — Amanda nie jest hipochondryczką, która z byle powodu dałaby się położyć w szpitalu.

— Za tym wszystkim stoi Ike Ryan — mruknął Jerry.

— A cóż Ike może mieć wspólnego z chorobą Amandy?

Nie wiedząc kiedy, Jerry opowiedział Robinowi o nocnej wizycie Amandy w bungalowie Ike'a. — Jeśli chcesz znać moje zdanie — ciągnął — to ta historia z chorym gardłem jest tylko przykrywką. Pójdę o każdy zakład, że Ike zmajstrował Amandzie bachora, a teraz wysłał ją do szpitala na skrobankę. Co o tym sądzisz?

Robin zmarszczył czoło. — Sądzę, że jesteś parszywym kapusiem! — Po tem cisnął banknot na bar i wyszedł z Lancera.

Amanda wciąż leżała w szpitalu, kiedy Jerry przyjechał na Wybrzeże. Umalowana, wsparta o poduszki, wyglądała pięknie, ale Jerry przeraził się śmiertelnie na widok dużej butelki krwi, podłączonej rurką z igłą do ramienia Amandy.

Uśmiechnęła się na widok jego miny. — Nie przejmuj się, to tylko moja codzienna porcja soku pomidorowego.

— Po co te transfuzje? — zapytał siadając na brzeжку krzesła.

— Żebym szybciej mogła wrócić do programu.

Nagle rozwarły się drzwi i do pokoju wpadł Ike Ryan.

— Hej, dziecinko, przyniosłem ci wszystkie branzówki i nową książkę.

— Kiedy Amanda dokonywała prezentacji, z zaciekawieniem patrzył na Jerry'ego. Potem wyciągnął do niego dłoń. — Wiele o tobie słyszałem. Amanda powiada, że jesteś jej bardzo dobrym przyjacielem.

— Znamy się od stu lat — powiedział słabo Jerry. Energia Ike'a po prostu go przytłaczała. Chcąc przydać sobie znaczenia, dodał: — To wszystko jest bardzo sympatyczne i wiem, że Amanda cieszy się z okazywanej jej troski, ale nie zapominajmy, że ma pewne zobowiązania wobec mnie, a przede wszystkim wobec programu. — Zwrócił głowę w stronę Amandy. — Kiedy zamierzasz wyjść?

— Doktor sądzi, że pod koniec tygodnia...

— Wyjdzie, kiedy poczuje się zupełnie wypoczęta — warknął Ike.

Jerry wstał. — Wobec tego może powinniśmy aż do końca sezonu znaleźć dla niej stałą zastępczynię. (Boże, nienawidził się za te słowa!)

— Nie — powiedziała Amanda błagalnie. — Och, Jerry, nie... wróć w przyszłym tygodniu. Może jeszcze w tym. — Z prośbą w oczach popatrzyła na Ike'a.

Ike wzruszył ramionami. — Wszystko, czego zapragniesz, dziecko. Wybacz, mam kilka ważnych telefonów. Skorzystam z budki w holu. — Posłał Jerry'emu lodowate spojrzenie. — Żegnaj, przyjacielu.

Zachowanie Jerry'ego zmieniło się diametralnie, ledwie zostali z Amandą sam na sam. Jego głos był szczery i pełen prawdziwej troski. — Posłuchaj, Amando, może naprawdę powinnaś wycofać się z programu. Wygląda na to, że ten gość ma fioła na twoim punkcie.

— Jeszcze nie poprosił mnie o rękę...

Jęknął. — Wracamy do tej samej zabawy?

Na twarzy Amandy pojawiło się napięcie. — Posłuchaj, Jerry, w tej chwili Ike mnie pragnie, bo wie, że pragnie mnie także Christie. Kiedy jednak zostaną bez Chrisa i pracy, może się mną bardzo szybko znudzić.

— Skąd ty bierzesz te pokłady wiary i ufności?

— Przyszłam z nimi na świat — odrzekła zimno. Potem jej oczy zasłzyły mgłą. — Ja wróć, Jerry. Już teraz czuję się wspaniale. Tak naprawdę potrzebowałam chyba jedynie wypoczynku... przez sześć ostatnich lat żyłam w straszonym tempie. Czy zdajesz sobie sprawę, że nie miałam żadnego urlopu?

Pogłaskała ją po czole. — Nie denerwuj się, kochanie. Będziesz miała tę pracę, kiedy tylko zechcesz. Zadzwoń jutro.

Wyszedł z pokoju i ruszył korytarzem. Ike Ryan czekał na niego w holu.

— Tu jestem, bracie — powiedział, zapraszając go gestem do małej poczekalni.

— Muszę wracać do biura — odparł Jerry.

— Wrócisz, gdy sobie utniemy pogawędkę. Ładny z siebie przyjaciel... Musisz jej grozić, jakby mało miała kłopotów.

— Anemia nie jest aż tak poważną sprawą — zaoponował Jerry.

— Ona tylko myśli, że to anemia. — Ike popatrzył na niego przeciągle. — Zaufam ci. Nikt o tym nie wie, tylko doktor Aronson i ja. I nikt nie może się dowiedzieć — w szczególności Amanda. Ona ma białaczkę!

Jerry skurczył się w sobie i drżącą dłonią sięgnął po papierosa. Potem podniósł głowę, szukając oczyma jakiegokolwiek nadziei. — Słyszałem o ludziach, którzy z białaczką dożyli niezłego wieku.

— Nie z tym rodzajem białaczki.

— Ile jej pozostało?

— Może kilka minut. Może pół roku.

Jerry odwrócił się, tracąc resztki opanowania. Otwarcie płakał, Ike usiadł obok niego i położył mu dłoń na ramieniu. — Posłuchaj, próbują teraz nowego lekarstwa. Ściągnąłem je drogą lotniczą, jeden zastrzyk kosztuje tysiąc dolarów... Aplikują je Amandzie od dwóch dni i liczba krwinek zaczęła rosnąć. Jest zbyt wcześnie, aby mieć nadzieję, jeśli jednak wszystko pójdzie dobrze...

— Chcesz powiedzieć, że ma jakąś szansę?

— Chcę powiedzieć, że ma szansę wyjść stąd o własnych siłach, zamiast wyjechać w skrzynce. Ma szansę na remisję, może sześciomiesięczną... a potem kto wie, a nuż wymyślą jakiś nowy cudowny lek.

— Co mógłbym zrobić? — zapytał Jerry.

— Po prostu trzymaj buzię na kłódkę. Dopilnuj, żeby Christie Lane skończył z tym swoim pieprzeniem „program-musi-iść”! I oświadczyć jej, że robota będzie czekać.

— Już to zrobiłem.

Ike pokręcił głową. — Najbardziej cholerna rzecz polega na tym, że jeśli lekarstwo podziała, to — zdaniem lekarza — w zupełnie dramatycznym tempie. Amanda poczuje się świetnie już po tygodniu. Nikt jednak nie ma pojęcia, na jak długo. Dlaczego ona, do cholery, chce pracować? Zostało jej tak niewiele czasu.

— Ponieważ sądzi, że być może poprosisz ją o rękę... ale tylko wówczas, gdy będzie miała pracę i trochę niezależności życiowej.

— Rany Boskie! — Ike Ryan wstał i podszedł do okna.

Jerry ruszył ku drzwiom.

— Ale, jak powiadasz, przeżyje najwyżej sześć miesięcy, więc nie musisz się niczym przejmować. No i będzie lepiej, jeśli wróci do pracy... uwierz wtedy w tę bajeczkę o anemii.

Ike odwrócił się i wyciągnął rękę.

— Jeśli ktokolwiek się dowie, zginię ci łeb jak orzech.

Jerry obiecał, ale zdawał sobie sprawę, że nie dotrzyma słowa. Zamierzał opowiedzieć o wszystkim Robinowi. Amandzie pozostawało tak niewiele czasu, a Robin był jedynym mężczyzną, który cokolwiek dla niej znaczył. Jerry wiedział, że Amanda lubi Ike'a... a jednak nie patrzyła na niego takim wzrokiem, jaki kierowała na Robina. Tylko poczeka z tym kilka dni, żeby zobaczyć, jaki skutek wywrze lekarstwo.

Ike odprowadził Jerry'ego spojrzeniem, a potem powoli powędrował do pokoju Amandy. Przed drzwiami wyprostował się, przyoblekł twarz w szeroki uśmiech i dopiero potem wpadł do środka. Pielęgniarka wyjmowała właśnie igłę z ramienia Amandy.

— Wieczorem przyniosę szampana i trochę nowych książek, ale teraz muszę wracać do pracy. — Ruszył ku wyjściu, lecz zatrzymał się w pół drogi. — A tak nawiasem, dziecinko, jest coś, o co zawsze chciałem cię zapytać, tyle że bez przerwy zapomniałem. Wyjdiesz za mnie? Nie musisz się spieszyć z odpowiedzią co najmniej przez dziesięć minut. Zadzwońię z wytwórni.

Nowe lekarstwo wywarło pożądaný skutek i po tygodniu poziom krwinek Amandy wrócił do normy. Ike był w świątecznym nastroju, choć doktor Aronson go ostrzegł, że remisja nie jest równoznaczna z wyleczeniem.

— Ale chwilowo może prowadzić normalne życie, prawda? — zapytał Ike.

— Niech robi, co tylko zechce. Bóg raczy wiedzieć, jak długo utrzyma się to doskonale samopoczucie — odparł Aronson: — Chcę jednak, aby co tydzień przychodziła do mojego gabinetu na badanie krwi. Musimy śledzić na bieżąco poziom czerwonych krwinek.

— Co tydzień? Nabierze jakichś podejrzeń.

— Nie, jest pełna optymizmu i nie ma pojęcia o powadze swojego stanu.

Przyjechawszy, żeby zabrać Amandę ze szpitala, Ike oznajmił: — Właśnie wynająłem dom przy Canyon Drive. Tylko poczekaj, aż go zobaczysz... wprowadziłem się wczoraj. Niczego nie brakuje, mamy nawet kucharza i lokaja. Kiedy urządzimy ślub?

— Po zakończeniu emisji programu.

— Żartujesz? To dopiero za sześć tygodni.
— Gdyby Christie dowiedział się wcześniej, współpraca układałaby się nam paskudnie.

— A kto powiedział, że musisz z nim współpracować? Daj sobie spokój z tym cholernym cyrkiem.

— To by nie było uczciwe wobec Jerry'ego... dał mi ten program, kiedy go potrzebowałam. Próbowali podczas mojej nieobecności różnych dziewczyn, ale żadna się nie sprawdziła. Wszyscy się cieszą, że już jutro będę mogła wystąpić.

— Ja jednak sądzę, że powinnaś poczekać jeszcze z tydzień.

— Ike, wypoczywałam przez prawie trzy tygodnie. Czuję się wspaniale.

— Jej oczy nagle pomroczniały. — Ale doktor Aronson mówi, że musi mi co tydzień robić badanie krwi. Dlaczego?

Ike wzruszył ramionami. — Przypuszczalnie chce mieć pewność, że nie trwonisz głupio tego zdrowia, które ci przywrócił.

— Cóż, zamierzam codziennie jeść wątróbkę. Czytałam różne materiały i wiem, co mi dobrze zrobi.

— Przestań się bawić w lekarza — powiedział.

Wzięła go pod ramię, a szofer zabrał jej walizkę. — Ike, czuję taką ulgę. Teraz ci się przyznam: kiedy tu przyszłam, ogarnęła mnie panika. Nigdy nie chorowałam i leżąc w szpitalnym łóżku po raz pierwszy w życiu, myślałam sobie: „Czyż nie byłoby okropne zwinąć żagle już teraz... umrzeć, nie mając dziecka”. Dzięki Bogu, że doszłam do siebie.

Ike podwiózł ją do hotelu, a potem pojechał do wytwórni i ze swojego gabinetu zadzwonił do Jerry'ego. — Musisz ją nakłonić, żeby wycofała się z programu; sądzi, że dociągnięcie do końca sezonu jest długim wobec ciebie, który powinna spłacić. Ma tak niewiele czasu... Nie chcę, żeby zmarnowała chociaż godzinę, a co dopiero mówić o sześciu tygodniach! Jeśli ją ją zmuszę, nabierze podejrzeń. Wymyśl coś!

Jerry zagapił się na nabrzmiałe smogiem niebo i wyblakłe słońce, usiłujące wypalić sobie drogę do ziemi. Nie przypominało letniego słońca w Greenwich... ani tego płomiennego kręgu, jaki widywał jesienią. Amanda już nigdy nie zobaczy takiego słońca; nie doświadczy roziskrzonego chłodu zimy. Do oczu napłynęły mu łzy.

Sięgnął po słuchawkę. Sekretarka Robina oświadczyła, że pan Stone jest na konferencji.

— Proszę jej powiedzieć, żeby wyciągnęła pana Stone'a z tej konferencji! — wrzasnął Jerry do telefonistki z międzymiastowej. — To sprawa najwyższej wagi!

Po kilku minutach usłyszał głos Robina.

- Tak, Jerry?
- Siedzisz?
- Do rzeczy, Jerry, czekają na mnie ludzie.
- Amanda ma białaczkę.

Chwila okropnej ciszy. Potem Robin spytał:

- Czy o tym wie?
- Nie. Dotychczas wiedziały trzy osoby — lekarz, Ike Ryan i ja. Ty jesteś czwarty. Dostała jakieś lekarstwo, które zdziało cuda. Jutro Amanda wystąpi nawet w programie. Ale dają jej góra sześć miesięcy. Uznałem, że chciałbyś wiedzieć.
- Dzięki, Jerry. — Robin odłożył słuchawkę.

Amanda delektowała się swoim pierwszym dniem w hotelu. Jej pokój wypełniały kwiaty: tuziny róż od Ike'a, gladiole od dyrekcji, jakiś doniczkowiec od obsady programu i wiosenna tanioccha od Christiego. Jego liścik informował: „Mam zdjęcia promocyjne, zadzwonię o szóstej, Kocham, Christie”. O czwartej zjawił się kelner z pieczonymi ziemniakami, garnirowanymi obficie irańskim kawiozem i kwaśnym sosem. Wraz z półmiskiem przyniósł karcetkę: „Żebyś nie skołała z głodu, zanim wrócę na kolację. Kocham, Ike”.

Zjadła jednego kartofla, ale postanowiła sobie przy tym znowu zacząć zwracać uwagę na menu: podczas pobytu w szpitalu przybyło jej pięć funtów. Zadzwonił telefon i z niechęcią podniosła słuchawkę — na pewno Christie.

— Cześć, gwiazdo, jak się miewasz? — rozległ się zniekształcony odległością głos.

Na chwilę zupełnie oniemiała. To był Robin, dzwoniący ot tak, bez żadnych wyjaśnień, co było powodem, że tak długo milczał.

- Właśnie wyszłam ze szpitala — wybąkała wreszcie.
- Co się dzieje?
- Anemia. Teraz już czuję się dobrze. Jerry ci nie mówił?
- Jeździłem po świecie i nie rozmawiałem ostatnio z Jerryem. Posłuchaj, małeńka, mam w Los Angeles pewne sprawy i przylatuję w niedzielę. Powiniennem być około piątej waszego czasu. Czy sądzisz, że potrafisz wygospodarować wieczór dla starego druha?
- Z największą przyjemnością, Robinie.
- Doskonale. Więc kolacja w niedzielę. Jesteśmy umówieni.

Odłożyła słuchawkę i wyciągnęła się na łóżku. Nie ma się czym podniecać. Miał zapewne tylko kilka dni i doszedł do wniosku, że, jak zawsze, może li-

czyć na zaczą, wierną Amandę. Zadzwoił. Bo niby czemu nie? Ona była pewniakiem... po co uganiać się za kimś nowym?

W końcu Hollywood to nie był jego teren. Nie znał zbyt wielu osób i nie chciał marnować wieczoru. Cóż, zobaczy się z nim — tak, na pewno się zobaczy — i pokaże, jak to jest, gdy ktoś inny dyktuje warunki. Jak to jednak zrobić? Wystawić go do wiatru? Kazać samotnie czekać u Chasena?

Rozmyślania zajęły jej bez mała godzinę. Nagle wpadła na pomysł — był cudowny! Żeby już nadeszła ta niedziela!

Rozdział piętnasty

Kiedy o piątej Robin meldował się w hotelu Beverly Hills, recepcjonista wręczył mu kopertę z pospiesznie skreślonym liścikiem Amandy.

Drogi Robinie, mam urodziny i Ike Ryan urządza z tej okazji przyjętko dla kilku osób. Jako gość honorowy, muszę być wcześniej. Nie mogę doczekać się spotkania z Tobą.

Znalazszy się w pokoju, powtórnie przeczytał list: był tam adres i numer telefonu. W pierwszym odruchu chciał zadzwonić i zostawić wiadomość, że poczeka na Amandę w hotelu; nienawidził przyjęć. Potem jednak znienacka zmienił zdanie. Od tej chwili każde życzenie Amandy miało być dla niego rozkazem. Sięgnął do kieszeni, żeby sprawdzić, czy nie zgubił wąskiej, złotej obrączki... jeśli zdołają urwać się z przyjęcia dostatecznie wcześniej, polecą do Tijuany i wezmą ślub. Zadzwoił do recepcji i kazał sprowadzić taksówkę.

North Canyon Drive przemieniła się w labirynt zaparkowanych aut. Zapłacił taksówkarzowi i ruszył podjazdem. Hollywoodzkie domy sprawiały zwodnicze wrażenie: skromne fasady kryły niewiarygodny przepych wewnątrz i siedziba Ike'a nie stanowiła pod tym względem wyjątku. Zatłoczony marmurowy portyk, olbrzymi salon z olbrzymim barem i trzema rzędami gości... Przeszklone drzwi otwierały się na ogród z kortem tenisowym i basenem w olimpijskich wymiarach. Robin czuł się lekko zdezorientowany; nie przygotował się psychicznie na taki spęd. Potem skrzywił usta w uśmiechu — powinien był to przewidzieć. Jakże inaczej mógłby Ike wyobrażać sobie „przyjętko na kilka osób”? Dostrzegł wiele znajomych twarzy... znajomych z ekranu. Do-

chody tych wszystkich ludzi — aktorów, producentów, szefów wytwórni i reżyserów — mogłyby stanowić budżet jakiegoś niewielkiego państwa.

Przez tłum przeciskała się Amanda. Zapomniał, jak jest piękna; w tym smukłym cudownym ciele nie może przecież mieszkać śmierć!

— Robinie! — Otoczyła go ramionami, zbijając z tropu tak ostentacyjną manifestacją uczuć. — Jesteś, Robinie. Jakże cudownie cię widzieć! — Wypuściła go z objęć i ujęła za rękę. — Hej, proszę państwa o ciszę!

Zgiełk umilkł.

— Chcę wam przedstawić Robina Stone'a. Przybył do nas aż z Nowego Jorku... przecież wszyscy go znacie. — W jej głosie brzmiała ironia. — Na pewno znacie... to gwiazdor programu *Z bliska*. — Powiodła po sali niewinnym spojrzeniem. — Nie imponuje wam? A szkoda, bo w Nowym Jorku jest naprawdę kimś.

Kilka osób bez przekonania pokiwało głowami, a potem wróciło do przerwanych rozmów. Pod beznamiętnym wyrazem twarzy Robin skrzętnie skrywał zdumienie osobliwym zachowaniem Amandy, która całą tę sytuację skwitowała lekkim wzruszeniem ramion.

— Ot i masz Hollywood — powiedziała lekko. — Ci wszyscy ludzie wciąż nie wierzą, że z telewizją trzeba się liczyć. A programy informacyjne? Słuchają ich tylko w radio, jadąc do wytwórni... wyłącznie wtedy, gdy wiadomości są nadawane w blokach muzycznych. Więc wybacz im, aniołku, że nie rozpoznali cię i nie rozdziawili na twój widok ust. Paul Newman, Gregory Peck, Elizabeth Taylor... w tym mieście liczą się tylko takie persony.

Podprowadziła go do baru i podała mu szklaneczkę. — Twoja ulubiona woda z lodem. Pięćdziesiąt procent, z importu.

Nagle zapadła cisza, a potem narastająca fala zgiełku powitała wkraczającego do salonu przystojnego młodzieńca.

— Och, tylko popatrz! — wykrzyknęła Amanda. — Ike ściągnął nawet Dipa! — Jej oczy lśniły, kiedy Ike prowadził do baru smągłego mężczyznę.

— Znacie tego przystojniaka? — zapytał Ike z uśmiechem.

Na twarzy Amandy zagościła dziewczęca nieśmiałość. — Och, Ike, któż by nie znał Dipa Nelsona. Jestem zaszczycona pańskim przybyciem, panie Nelson. Ike puszczał mi w szpitalu pański nowy film.

Dip wydawał się z lekka zakłopotany; tak samo zresztą Robin. Nie miał pojęcia, co u diabła, opętało Amandę. Wówczas Amanda powiedziała: — Och, Dip, to Robin Stone, mój stary, dobry przyjaciel. Prawie członek rodziny, nieprawdaż, Robinie?

Dip uściśnął dłoń Robina, a potem, otoczony przez kobiety i niemal uniesiony na ich ramionach, zniknął w przeciwległym końcu salonu.

— Biedny Dip, jest z nimi bez szans — zauważyła Amanda.

Ike uśmiechnął się. — Da sobie radę. Talentu za grosz, tylko krzepa, dołki w policzkach i uroda. Ale robi doskonałą kasę i tylko to się liczy.

Amanda kuksnęła Ike'a. — Kochanie, skoro mówimy o kasie... popatrz, kto przyszedł!

Robin obserwował, jak Ike i Amanda spieszą, by powitać szczupłego przystojnego mężczyznę; był to Alfred Knight, angielski aktor, który zrobił w Hollywood taką furorę. Poszukał spojrzeniem Christiego Lane'a i znalazł go w najdalszym kącie. Biedny Chris... nie tylko wyglądał tu obco — wkrótce będzie potrzebował programu, żeby połapać się, kto jest kim w tym spektaklu. Wciąż pewnie sądzi, że jest zaręczony z Amandą. Robin dopił wódkę, polecił ponownie napełnić sobie szklaneczkę i pozostał przy barze. Wieczór zapowiadał się obiecująco.

Kiedy kelnerzy zaczęli nakrywać stoły wokół basenu, Robina znienacka olśniła myśl, że urodziny Amandy przypadały w styczniu. A może w lutym? Na pewno w jednym z tych dwóch miesięcy... pamiętał, że obchodzili je podczas burzy śnieżnej.

Zaczął czwartą wódkę, gdy zabrzmiały werble, a na środku salonu stanęła Amanda.

— Proszę państwa... pragnę coś państwu zakomunikować! — Uniosła dłoń. Na palcu tkwił pierścienek z wielkim brylantem. — Dostałam go dzisiaj od Ike'a... ale nie jest prezentem urodzinowym. W gruncie rzeczy wcale nie mam dzisiaj urodzin. Po prostu w taki właśnie sposób postanowiliśmy ogłosić nasze zaręczyny!

Wszyscy zaczęli mówić na raz. Christie Lane, otepiąły i szklisko, wyglądał jak zwierzę, przekłute włócznią. Jeden z gości podbiegł do fortepianu i zaczął grać Mendelssohna. Stopniowo zgiełk ucichł, wrócono do dawniejszych grupek, podjęto przerwane rozmowy i popijanie. Oczy Amandy, pociemniałe z triumfu, spotkały się przez szerokość salonu ze spojrzeniem Robina, który uniósł kieliszek w niemym toaście. Po chwili, dostrzegłszy, że Ike przechodzi do gabinetu, Robin odstawił kieliszek i podążył za nim.

Ike uśmiechnął się na widok Robina. — Cóż, musisz przyznać, że jestem prawdziwym workiem niespodzianek.

— Muszę zamienić z tobą kilka słów.

— Co? Żadnych gratulacji?

— Gdzie moglibyśmy pójść? To nie potrwa długo.

Ike skinieniem głowy polecił kelnerowi podać napiwki, a potem poprowadził Robina na opustoszały teren za basenem.

— Okay, wal. Co ci leży na wątrobie? — zapytał Ike. ..

- Amanda.
- I bardzo słusznie, w dawnych czasach miałeś z nią co nieco do czynienia. — Ike wypił do dna swojego bourbona i spojrzął na nie napoczętą szklaniczkę Robina. — Nie zamierzasz wypić za zdrowie pana młodego?
- Wiem wszystko o Amandzie — powiedział Robin cicho.
- Oczy Ike'a zwięźły się jak szparki. — Skąd?
- Jerry Moss jest moim przyjacielem.
- Zabiję tego gnojka. Kazałem mu trzymać mordę na kłódkę.
- Przestań odgrywać twardziela. Jerry zrobił to, co uznał za najwłaściwsze. Przyjechałem tu poprosić Amandę o rękę.
- Ona nie potrzebuje twojego miłosierdzia — warknął Ike.
- Czy to właśnie jej proponujesz?
- Ty to powiedziałaś, nie ja.
- Ike, bawiliśmy się w te same klocki... lubiłem tę zabawę. Ale nie wciągaj w to Amandy... szczególnie w tej chwili.
- Uśmiech Ike'a był lodowaty.
- Gdybym nie lubił cię tak bardzo, skuşybm ci teraz gębę. Masz mnie za jakiś specjalny rodzaj skurwysyna?
- Żaden tam szczególny rodzaj. Po prostu za skurwysyna. Nie chcę, by Amandę spotkała krzywda.
- Ike popatrzył nań z ciekawością.
- Kochasz ją czy co?
- Zależy mi na niej... zależy mi na tym, żeby jej ostatnie dni były szczęśliwe.
- Ike skinął głową.
- Więc nadajemy na tej samej częstotliwości.
- Serio?
- Ike przechylił się przez stół.
- Posłuchaj, to nie jest czas, żeby mydlić sobie oczy. To czas szczerości. Kochasz ją? Powiedz mi tylko, że kochasz Amandę, a pošę po nią i dam ci szansę. Niech zwycięży lepszy. Ale jeśli przymierzasz się do jakiegoś teatralnego gestu, daj sobie spokój. Ona nie potrzebuje z twojej strony żadnych przysług... Kiedy przyjdzie co do czego, mam większe możliwości, żeby zapewnić jej wszystko, co niezbędne.
- W porządku, bracie, więc skoro gramy w szczerość — twarz Robina była posępna — to powiedz, czy ty ją kochasz? Bo chyba to pytanie pominąłś milczeniem.
- Ike wstał i zapatrzył się w czarną wodę basenu.
- Oczywiście — powiedział cicho — nie kocham jej. Tak samo jak ty.

— Tak sobie myślałem od samego początku — rzekł Robin. • — Więc po co ten numer z małżeństwem.

— A co w nim złego? — zapytał Ike.

— Tak, jak to widzę, zwiąże ci ręce. Osłabi twoją dynamikę.

Ike uśmiechnął się. — Ale poprawi wizerunek.

— Nie rozumiem.

— Może nie czytujesz gazet. W zeszłym miesiącu moja żona — moja eks-żona, byliśmy rozwiedzeni od pięciu lat — popełniła samobójstwo: tabletki. Dzięki Bogu, że zrobiła to w Wisconsin — pojechała na Wielkanoc do mojego syna, który chodzi tam do szkoły. No więc nałykała się tabletek... całą, cholera, butelkę i zostawiła list, że beze mnie życie nie ma dla niej sensu. Chwała Bogu, że Joey, mdj chłopak, przejął ten karteluszek i zadzwonił po mnie. Posmarowałem kilka rączek i załatwiłem, że to wszystko wyglądało na wypadek. — Ike westchnął. — Nie widziałem jej od pięciu lat, nigdy nie kochałem; chodziliśmy razem do szkoły, w ostatniej klasie poszła ze mną na całość. Potem wzięliśmy ślub, ale ona pozostała infantylną kretynką... urabiała mnie bez przerwy, żebym zaczął sprzedawać krawaty, produkowane przez jej wujaszka. Odczekałem, aż Joey skończy dwanaście lat, a potem zwinąłem żagle. Wysyłałem jej tyle forsy, ile może wydać kobieta. Chryste, zgodziłem się nawet płacić jej alimenty, gdyby powtórnie wyszła za męża. I co? Po tylu latach wspólnego życia postanowiła mi przyłożyć, odbierając sobie życie.

Powinieneś zobaczyć ten liścik... zrobiła ze mnie największego sukinsyna w świecie. Spaliliśmy go z Joeyem, ale mimo to po mieście poszły ploty, że popełniła samobójstwo. No a potem były te dwie następne idiotki, które naćpały się tabletek... Nie rozumiem, co się dzieje z tymi babami. Nie jestem znowu takim wielkim kochankiem. Wtedy ten brukowiec dał tytuł: „Kobiety umierają dla Ike'a Ryana"... A prawda jest taka, że w tej obłudnej branży nie ma prawdziwych mężczyzn i kobiety polecałyby na klamkę, gdyby ubrać ją w spodnie. Połowa wielkich gwiazd onanizuje się swoimi spedalonymi fryzjerami. Tak czy inaczej, moja reputacja nie jest, ściśle rzecz biorąc, najlepsza i trochę dobrej prasy by mi nie zaszkodziło. Po śmierci Amandy ludzie popatrzą na mnie w innym świetle, uświadomią sobie, że dzięki mnie ostatnie miesiące tej biedaczki były naprawdę szczęśliwe. Zafunduję jej największe balowanie, jakie kiedykolwiek miała dziewczyna, i gdy wreszcie zatrząsną wieko nad jej pięknym ciałem, będę mógł powiedzieć sobie uczciwie, że odeszła w wielkim stylu.

Oszołomiony Robin siedział przez chwilę w milczeniu, a potem powiedział ochryple: — Wykorzystujesz ją. Cholerny skurwysynu... ty ją po prostu wykorzystujesz.

— Powiedzmy, że jest mi potrzebna, ale ja jestem jej potrzebny dwa razy bardziej. — Ike jeszcze bliżej przysunął do Robina swoją twarz o stwardniałych nagle rysach. — Posłuchaj, widziałem cię w akcji. Masz w żyłach lód zamiast krwi, więc nie próbuj być pierwszym sprawiedliwym. Amanda czuje się ze mną dobrze, a ja chcę ją uczynić cholernie szczęśliwą. Wycarteruję samolot, obwozę ją dookoła świata. Obsypię diamentami. A ty co jej możesz zaproponować? Łóżko? Ja też. Chociaż Bóg jeden raczy wiedzieć, jak długo jeszcze będzie na to miała siły. Wiem, przez co w życiu przeszła, i myślę, że zasługuje teraz na fajerwerki. Potrafisz to przebić, zurnalisto?

Robin wstał. Jego oczy patrzyły równie twardo jak oczy Ike'a.

— Nie, nie potrafię. Tylko lepiej stań na wysokości zadania. Dopilnuj, żeby nie skończyło się na gadaninie. Bo w przeciwnym wypadku znajdę cię, Ike — znajduję, gdziekolwiek będziesz... i połamię każdą kosteczkę w twoim ciele.

Przez moment patrzyli na siebie w milczeniu, a potem Ike uśmiechnął się i wyciągnął rękę. — Stoi.

Kiedy Robin nie pokwapił się do podania swojej, Ike zawrócił na pięcie i ruszył w stronę domu.

Robin opadł na krzesło i upił łyżeczek wódki. Czuł się wymięty i pusty: Ike'a nie obchodziła Amanda; Ike'a obchodził jego wizerunek publiczny. Cóż to jednak zmieniało? Liczyły się jedynie rezultaty. Spojrzał na zegarek — było jeszcze wcześniej; może zdąży na samolot, odlatujący o północy.

— Za późno na opalanie. — Podniósł głowę. Stał nad nim Dip Nelson. Robin uśmiechnął się.

— Trochę słońca na pewno by mi się przydało.

Dip zapalił papierosa.

— Chłopie, ale młyn! Jesteś z Nowego Jorku?

Robin przytaknął.

— Tak mi się zdawało. Z naszej branży?

— Nie, dzięki Bogu.

Dip badawczo przypatrywał się Robinowi.

— Pozwól, że zgadnę... krewny narzeczonej?

— Daleki. — Potem dodał: — A tak nawiasem mówiąc, uważaj mnie za jednego ze swoich wielbicieli. Widziałem kilka twoich filmów... świetnie jeździsz konno.

Dip posłał mu stropione spojrzenie.

— Podpuszczasz mnie?

— W żadnym razie.

— Więc co to za tekst? Co sądzisz o mojej grze?

— Dosyć beznadziejna — odparł Robin z uśmiechem.

Przez ułamek sekundy Dip nie wiedział, jak zareagować, a wreszcie parsknął śmiechem i podał Robinowi rękę. — Cóż, przynajmniej jesteś uczciwym facetem.

— Nie myślę, żeby umiejętności aktorskie miały największe znaczenie — powiedział Robin. — W filmie liczą się fluidy gwiazdorskie, a te, sądząc po przywitaniu, jakie ci zgotowano, masz w nadmiarze.

Dip wzruszył ramionami.

— Robiłem te końskie numery od lat... jeden wszawy western po drugim... a potem, trzask! stałem się modny i jestem gwiazdą. Ale to całe podniecenie wywołuje mój najnowszy film... premiera będzie w przyszłym tygodniu, w Nowym Jorku. Gram typ takiego antybohatera z Madison Avenue, kapujesz: wąski krawat, szary garniturek, no coś w twoim stylu. Hej, a może trafiłem w sedno?

— Można by powiedzieć.

— Oho, ho, zaszuwa tu Bebe. Zwiijajmy się.

— Bebe?

— Żona jednego z najpoważniejszych producentów. Masz ochotę zmyć się stąd?

— Czytasz w moich myślach — odrzekł Robin.

— No to za mną! — Dip wsunął się do jednej z kabin. — Teraz cicho. Jest zbyt zaprawiona, żeby tu dotrzeć.

Stali milcząc w ciemnościach, kiedy żona producenta myszkowała wokół basenu, nawołując Dipa. Wreszcie dała za wygraną i wróciła do domu.

Dip rozpiął kołnierzyk koszuli.

— Chłopie, nie ma nic gorszego niż klimakteryczna baba w cieccze. A tak między nami: nie wierz tym gwiazdorskim zagrywkom. W gruncie rzeczy jestem zupełnie monogamicznym facetem. Och, jasne, muszę czasem skoczyć na bok, żeby dostać taką czy inną rolę, ale niedoczekanie, żebym jak niektórzy z tych męskich kurew — wskazał skinieniem głowy wypełniony gośćmi dom Ike'a — poleciał na próchno w rodzaju Bebe. — Zadygotał na całym ciele. — Nie ma nic gorszego: czterdziecia z figurą dwudziestki. ... tak ci się przynajmniej zdaje, dopóki nie pójdziesz z nią do łóżka. Bo wtedy wszystko zmienia się w galaretę — gąbczaste uda, miękki brzuch; obwisłe cycki.

— Wygląda mi na to, że masz kupę doświadczeń.

— Miałem wybór: pojeździć na Claire Hall albo jeździć konno do usranej śmierci. Pojeździłem więc na Claire i zostałem gwiazdą. Zasuważmy, horyzont wolny. Przeciśniemy się przez żywopłot.

Podeszli do najdłuższego cadillaka, jakiego w życiu widział Robin.

— Podoba się? — zapytał Dip z dumą.
— Choleornie imponujący — odparł Robin.
— Robiony na zamówienie: jedyny złoty kabriolet w mieście. To znaczy, naprawdę złoty — dwudziestokaratowa farba i złocona kożłca skóra. Element wizerunku, jaki tworzę. Złoty chłopak... złote włosy... złoty wóz.

Wyjechawszy z alei dojazdowej, Dip skierował się w stronę Bulwaru Zachodzącego Słońca.

— Masz jakieś szczególne plany? — zapytał.
— Najwyżej samolot do Nowego Jorku — odrzekł z uśmiechem Robin.
— Taki facet jak ty musi się czuć obco w naszym mieście.
— Taki facet jak ja na pewno czuje się obco w waszym mieście.
— To wyłącznie kwestia sukcesu; gdy go odniesiesz, czujesz się dobrze nawet w Bombaju. Staruszka mnie tego nauczyła. Umarła w domu spokojnej starości dla aktorów.

— Wyrazy współczucia.

Dip machnął ręką.

— I tak nigdy w życiu nie miała lepiej. Bombowa instytucja: mają tam własne domki, gadają o branżowych sprawach. Była statystką. Mój stary, kaskader, dublował Freda Thompsona i Toma Mixa — zginął na planie. To on nauczył mnie jeździć konno. Kiedy uderzył w kalendarz, zostałem matce na karku. Uwierzysz, że nawet nie skończyłem ogólniaka?

— Chyba nie wpędziło cię to w kompleksy — zauważył Robin.

— Czasem mi brak wykształcenia... szczególnie jeśli chodzi o angielski. Scenariusze to betka, człowiek ma wszystko czarno na białym... ale wywiady? Mordują angielski i dziennikarze niekiedy myślą, że ich wpuszczam w maliny tą swoją kowbojską nawijką.

— Jeśli nie sprawiłoby ci to kłopotu, skręć teraz i podrzuć mnie do hotelu Beverly Hills — powiedział Robin.

— Po co ten pośpiech? Dopiero siódma. A może masz coś nagrane?

— Nie, ale jestem pewien, że ty masz.

Dip uśmiechnął się od ucha do ucha. — Jasne! Jedziemy obejrzeć moją dziewczynę... śpiewa w jednym lokalu przy Stripie. Dziewiętnaście lat i stu-procentowa kobieta!

— Nie będzie wyglądało na to, że się wpraszam?

— Ee tam. Poza tym chcę, żebyś zapamiętał ten wieczór w Hollywood. Wiem, jak się czułeś na przyjęciu... kiedyś też byłem jedynym obcym na takiej imprezie i nikt mi nie pomógł. Nie mając innego wyboru, zacząłem gadać z pianistą. Stałem przy nim tak długo, aż ktoś mnie poprosił, żebym zaśpiewał. Dureń doszedł do wniosku, że jestem członkiem zespołu. Więc kiedy cię dzi-

siaj zobaczyłem, pomyślałem sobie: „Oto zagubiony facet, a ja, Dip Nelson, chwilowo numer jeden, nie pozwolę, żeby te kutasy potraktowały go tak, jak potraktowano mnie, kiedy byłem zerem”. Niech mnie cholera, jeśli miałem ochotę przyozdabiać swoją osobą przyjęcie u tej dziwki, Amandy. Musiałem pokazać się na użytek Ike'a Ryana... więc się pokazałem. Ale teraz ruszamy, w miasto.

— Cóż, zrobisz więcej, niż sobie założyłeś na wstępie — powiedział Robin. — Nie ma sensu, żebyś tracił na mnie resztę wieczoru. To znacznie wykracza poza zakres twoich powinności.

— Eej, pieprzysz, stary. Podczas występu Pauli tak czy inaczej siedziałbym sam jak palec. Wprawdzie śpiewa w paskudnej melinie, ale robi to lepiej niż Garland czy którakolwiek inna. Tylko najpierw musi złapać trochę klasy... jest, w gruncie rzeczy, surowa. Była dziewicą, kiedy ją poznałem, i jestem jedynym facetem w jej życiu. Ale nie możemy wziąć ślubu, zanim nie będę miał na koncie trzech kasowych numerów. Kapujesz, jestem sensacją dnia, ale tylko z jednym kawałkiem. Naprawdę miarodajne będą następne dwa. Jeśli wypalą, ożenię się z Pauli, bo żadna wytwórnia nie będzie mi wtedy mogła dyktować warunków. Tymczasem ją krzywnę udomowię. Nie myśl, że się z niej tłumaczę — ma talent i serce. Zresztą sam zobaczysz.

Zaparkował wóz przed niewielką restauracją.

— Trafia ledwie siedemdziesiąt pięć tygodniowo, ale śpiewa, co chce, i nie musi być miła dla klientów.

Właściciel wylewnie powitał Dipa i zaprowadził obu mężczyzn do ustawionego pod ścianą stołu bankietowego. Lokal był zapełniony w połowie; mężczyźni byli przeważnie w koszulach sportowych, dziewczyny — na ogół w spodniach. Przy barze siedziało około dwudziestu piwoszy.

— Ma występ za dwadzieścia minut, potem się do nas przyłączy — powiedział Dip. Zauważył, że Robin zerka na zegarek. — Jesteś pewien, że nie masz żadnego spotkania?

— Nie, muszę tylko wymeldować się z hotelu.

— Zawiozę cię na lotnisko.

— Och, to nie będzie konieczne.

Dip błysnął szerokim uśmiechem.

— Kiedy już coś robisz, brachu, idę na całość. Przypomnij mi, w jakiej branży robisz — agencja reklamowa, co?

— Nie, pracuję w IBC.

— W TV oglądam tylko filmy. Uważam, że mogą mnie czegoś nauczyć. Jaką masz działkę?

— Wiadomości.

- Researcher czy cos' w tym stylu? Pisujesz?
 - Czasami.
 - Pójdę o zakład, że skończyłeś college.
- Robin uśmiechnął się.
- Widać na pierwszy rzut oka?
 - Taa, masz to obcykanie. Ale college to strata czasu, jeśli człowiek nie zamierza zostać prawnikiem albo lekarzem. Ja chcę być supergwiazdorem! Boże, jaki to ma smak! Chciałbym móc powiedzieć wszystkim dokoła, żeby pocałowali mnie w dupę!
 - A Pauli?
 - Ona będzie ze mną od początku do końca, bracie. Jeśli po ślubie postanowi zrezygnować z kariery — w porządku, nie będę jej namawiał. Ma wprawdzie całe tony talentu, ale tak naprawdę marzy tylko o tym, żeby za mnie wyjść i urodzić kupę dzieciaków. A jak tam z tobą — przypuszczam, że masz żonę i przynajmniej parkę?
 - Nie.
 - Więc jakąś dziewczynę na stałe?
 - Nawet tego nie.
- Dip popatrzył nań z nagłą podejrzliwością.
- A to dlaczego? Hej, chyba nie jesteś pedałem?
- Robin wybuchł śmiechem.
- Uwielbiam kobiety.
 - No to co cię wstrzymuje? Człowiek w twoim wieku powinien dawno mieć żonę i dzieci. Ja mam dopiero dwadzieścia sześć lat i...
- Śmiech Robina zbił go z tropu.
- Okay, no więc trzydzieści jeden. Ale mogę ująć za dwudziestosześcioletka, nie?
 - W świątkach Hollywood.
 - I wystarczy. A ty ile masz lat?
 - W sierpniu kończę czterdzieści.
 - Nie byłeś żonaty ani razu?
 - Nie.
 - I żadnej poważnej dziewczyny?
 - Miałem jedną, ale zaręczyła się z innym.
- Dip ze współczuciem pokiwał głową.
- Pójdę o zakład, że zdrowo cię to rąbnęło. Trudno znaleźć prawdziwą dziewczynę... szczególnie tutaj. Wszystkie lecą tylko na karierę.
 - A ty nie lecisz? — zapytał Robin.
- Dip sprawiał wrażenie urażonego.

— Masz słuszność, że lecę. Ale czy dotąd chociaż raz wcisnąłem ci kit? Gram wyłącznie wtedy, kiedy chodzi o moją karierę. Ale kiedy jestem z ludźmi, których lubię, zachowuję się na poziomie.

— Lubisz mnie?

— Taa, chyba tak. Chociaż nawet nie wiem, jak się nazywasz.

— Robin Stone.

Dip znów posłał mu nieufne spojrzenie. — Pewien jesteś, że nie masz pedalskich skłonności? Bo jeśli tak, Pauli wyczuje to w sekundę. Ma do pedałów wyjątkowego nosa. — Nagle szturchnął Robina w ramię. — Teraz będzie jej wejście. Tylko przyuważ tę eksplozję talentu.

W świetle reflektora stanęła szczupła młoda dziewczyna. Miała kędzierzawe, naturalnie — sądząc po piegach na ramionach — rude włosy, krótki, niemal komicznie zadarty nosek, duże usta i zaokrąglone, niewinnie błękitne oczy. Kiedy jednak zaśpiewała, Robin doznał rozczarowania — dysponowała niezłym, choć bardzo pospolitym głosem. Licha imitacja Judy Garland i Leny Horne... Widział setki dziewczyn podobnych do Pauli. Sprostowanie: ładniejszych. Okazał jej nieco więcej uwagi dopiero wówczas, kiedy zaczęła parodiować Carol Charming — miała wyraźny talent komiczny. Skończyła występ przy niezbyt rzęsiстых oklaskach i pełnych entuzjazmu gwizdach Dipa, który z rozmachem walnął Robina w plecy.

— No i powiedz, czy nie jest wspaniała? Kiedy staje na estradzie, zmienia tę knajpę w Waldorfa!

Wstali obaj, kiedy podeszła do stołu.

— To moja naręczona, Pauli... Pauli, przedstawiam ci Robina Stone'a.

Uśmiechnęła się z lekka i usiadła. Potem omiotła Robina spojrzeniem pełnym ciekawości.

— Jest z Nowego Jorku — wyjaśnił pospiesznie Dip.

— Ach, Dip, twój agent prasowy prosił cię o telefon, kiedy tylko przyjdiesz — odparła Pauli z roztargnieniem.

Dip wstał.

— Pogadajcie sobie. Robin pracuje w IBC.

Pauli odprowadziła go wzrokiem, a potem zwróciła się w stronę Robina.

— Co robisz z Dipem?

— Poznaliśmy się na przyjęciu.

Zmrużyła oczy.

— A co facet od mechaniki może mieć z Dipem wspólnego?

— Od mechaniki?

— Czy nie powiedział, że pracujesz w IBM?

— W IBC; International Broadcasting.

— Och, a nie masz przypadkiem jakichś układów, żeby załatwić mi gościnny występ w programie Christiego Lane'a?

Uznał, że nie czuje do niej sympatii, ale miał zobowiązania wobec Dipa.

— Może by się i znalazły.

Jej oczy rozbłyły nagle.

— Poważnie? — Potem spojrzała na Robina podejrzliwie. — A co konkretnie robisz w IBC?

— Wiadomości.

— Jak Huntley i Brinkley?

— Coś w tym stylu.

— To dlaczego nigdy o tobie nie słyszałam? Często oglądam dzienniki o siódmej, znam Waltera Cronkite'a... ale ciebie widzę po raz pierwszy.

Uśmiechnął się.

— Jestem niepokieszony; zepsułaś mi cały wieczór.

— Jakim cudem mógłbyś mnie wręcić do Christiego?

— Mógłbym go poprosić.

Patrzyła na niego przenikliwie. Potem, opierając się na tej jednej wąższej szansie, że może mówić serio, złagodziła spojrzenie.

— Gdybyś go poprosił, to znaczy, zdołał mnie wręcić... cóż, zrobiłabym wszystko, żeby trafić do tego programu.

— Wszystko? — zapytał Robin z uśmiechem, nie pozwalając jej opuścić oczu.

Zresztą nawet nie próbowała tego uczynić.

— Tak, gdybyś miał na to ochotę.

— A na co ty masz ochotę?

— Puścić w trąbę tę parszywą spelunę.

— Díp w końcu ci to załatwi.

Wzruszyła ramionami. — Posłuchaj, poznałeś go dopiero co... To znaczy, nie jesteś z nim blisko skumplowany, bo nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wymieniał twoje nazwisko.

— Strzał w dziesiątkę.

— Więc tak między nami... — ściszyła głos — ...Laurence Olivier to z niego nie wyrośnie. Jest przystojny, ale talentu nie ma za grosz. Na razie dopisywało mu szczęście.

— Z tego, co mi mówił, wywnioskowałem, że ciebie nie dreczą specjalne ambicje — po prostu chcesz wyjść za mąż i rodzić dzieci.

Z niesmakiem machnęła ręką. — Czy jakakolwiek dziewczyna przy zdrowych zmysłach zechciałaby śpiewać tym palantom trzy razy dziennie, gdyby nie liczyła na karierę? Ja wiem, że mam talent.

- Jakie, w tym układzie, jest miejsce Dipa?
- Lubię go, naprawdę. Straciłam z nim cnotę. Słowo honoru, że byłam dziewczyną, kiedyśmy się poznali. Ale go znam... myśli wyłącznie o karierze. Nie wytrzymałby dwóch minut z dziewczyną, która ma w życiu jakieś konkretne plany. Więc udaję zero, wysłuchując w nieskończoność historii o tym, jaka wspaniała czeka go przyszłość. I wszystko się we mnie gotuje, bo wiem, że przyszłość należy do mnie! A on mi nawija o karierze, którą zrobił tylko dzięki temu, że jest przystojniaczkiem... nie mając rozumu za grosz!
- Mówi, że chce ci pomóc — zaproponował Robin.
- Taa, mówi. Ale słowa są tanie. Więc w sprawie tego programu Lane'a — możesz to załatwić?
- Czy okażesz wdzięczność, jeśli to zrobię?
- Kochany panie... przypuszczam, że jesteś żonaty?
- Może.
- Więc wkręcasz mnie do programu Christiego, a wystarczy, żebyś strześlił palcami i jestem do twojej dyspozycji w każdej chwili i każdym miejscu, jakie wskażesz. Spłacę dług... mam silne poczucie honoru. — Kiedy sięgnął po papierosa, pospiesznie podała mu ogień i przechyliła się przez stół. — No co, stoi?
- Uśmiechnął się.
- Wiesz co, kurewko — powiedział miękko — warto by to było nawet zrobić... dla dobra Dipa.
- Nie kapuję.
- Uśmiechając się pogodnie Robin podjął beznamiętnym tonem:
- Masz słuszność w jednej sprawie: Dip to głupek, bo gdyby było inaczej, przejrzałby cię na wylot. Uważa cię za anioła, a ty po prostu jesteś dziwką. Nie, nawet nie dziwką... jesteś prymitywną, pozbawioną odrobiny talentu krową!
- Wstał i doprowadzając ją do furii swoim opanowaniem, dodał:
- Jeśli sądzisz, że ze strachu nie opowiem tego wszystkiego Dipowi, jesteś w grubym błędzie. Otwórz tę swoją cuchnącą buzię, a oświadczę, że zaczęłaś się do mnie dobierać.
- Położył na stole banknot dziesięciodolarowy.
- Na co to? — zapytała.
- Jak mi się zdaje, dziwki na telefon biorą w tej chwili setkę. Potraktuj to jako zaliczkę.

Rozdział szesnasty

W pierwszym tygodniu czerwca, nazajutrz po emisji swego ostatniego przed letnią przerwą programu, Christie Lane wrócił do Nowego Jorku.

Czwartego lipca w Las Vegas odbył się ślub Amandy z Ike'iem Ryanem. Zdjęcia pary nowożeńców w otoczeniu występujących akurat w Vegas gwiazd pojawiły się na pierwszych stronicach wszystkich gazet. Miesiąc miodowy Ike i Amanda mieli zamiar spędzić w Europie.

Natomiast w apartamencie hotelu Astor, Chris urządził sobie stypę. Mając do towarzystwa Eddiego, Kenny'ego i Agnes, przemierzał pokój od ściany do ściany, łkał i powtarzał:

— O Boże, gdybym tak mógł się zalać. Ale nie lubię gorzałki.

— Chodźmy na miasto — zasugerował Eddie.

— Grałem z nią uczciwie — mówił Chris. — Znalazłem jej nawet metę na przechowanie tego cholernego kocura.

— Ciekawe, co się z nim teraz stanie — powiedziała Agnes.

— Mam nadzieję, że wykituje... to zafajdane bydlę było jedyną istotą, na jakiej Amandzie naprawdę zależało.

— Pójdę o zakład, że po powrocie z Europy ściągnie go do siebie — stwierdziła Agnes.

— A co mnie to obchodzi! — ryknął Christie.

— Sam poruszyłeś ten temat.

— Grałem z nią tak uczciwie — powtórzył Chris. — Dlaczego to zrobiła? Popatrzcie na mnie... jestem przystojniejszy niż Ike Ryan.

— Co? — zdziwiła się Agnes.

Christie obrócił się na pięcie i popatrzył na nią spode łba.

— Myślisz, że jest przystojny?

— Jest seksowny — odparła ponuro.

Eddie posłał jej zabójcze spojrzenie.

— Hej, Aggie, chcesz sobie poszukać nowych układów? To nie jest moment na żarty.

— Uważam, że Ike jest seksowny — powtórzyła z uporem.

— Słuchaj, Chris — wtrącił Kenny — a może byśmy zarezerwowali stół w Copa? Mają tam trzy nowe tancerki, jedna z nich to rewelacyjna dziewiętnastka. Załóż się, że poczuje do ciebie sympatię. Miła dziewczuszka.

Chris kopnął stolik do kawy z taką mocą, że odtrącił jedną z nóg i cały blat runął na ziemię. — Miła dziewczuszka! Miałem miłą dziewczuszkę... bombową! Chryste, piorunowała mnie wzrokiem, kiedy w jej obecności przy-

padkowo rzuciłem mięsem, a okazała się najbardziej dwulicową dziwką na świecie. Mam dość bycia miłym facetem i nie chcę mieć do czynienia z miłymi dziewczyszkami. Chcę prawdziwej baby, którą będę traktował jak babę, tak byśmy oboje byli zadowoleni. Poszukajcie mi największej rury w mieście!

— Proponuję Ethel Evans — afektowanym głosem wykrzyknął Eddie. Chris strzelił palcami. — O to właśnie chodzi!

Eddie wybuchł śmiechem. — Daj spokój, żartowałem. Posłuchaj, Chris, jeśli chcesz baby, to przynajmniej rozejrzyj się za ładną. Jest w mieście pewna damulka z Frisco...

— Nie mam ochoty na ładną dziwkę ani damulkę z Frisco. Mam ochotę na Ethel!

— Ależ to straszna raszpla — zaproponował Kenny.

— Nie chcę królowej piękności. Chcę dupy! Załatwcie mi Ethel! — Zmrużył oczy. — Jeśli ludziska zaczną mnie widywać z Ethel, dojdą do wniosku, że Amanda nie mogła znaczyć dla mnie zbyt wiele, skoro pocieszam się taką maszkarą. Załatwcie ją!

Eddie zadzwonił do Jerry'ego Mossa. Jerry obiecał uczynić, co w jego mocy. Wytropił Ethel na Fire Island.

— Co to za bzdury? — zapytała gniewnie.

— Nic z tych rzeczy. Christie Lane osobiście prosił, żebyś zechciała się z nim spotkać.

— Malowniczo to ująłeś.

— Ethel, zaliczyłaś każdego faceta, który występował gościnnie w programie Christiego.

— Kilku mi się wymknęło. Nie zapominaj, że ostatnie kawałki sezonu szły z Wybrzeża.

— W przyszłym sezonie wszystko pójdzie stąd.

— Świetnie. Załatwię sobie nową spiralę.

— Ethel, nasz gwiazdor jest nieszczęśliwy. Potrzebuje cię.

— Ale ja nie potrzebuję jego.

— Proszę, żebyś się z nim zobaczyła.

Jej głos brzmiał lodowato. — Czy to rozkaz?

— Powiedzmy raczej polecenie służbowe.

— Odpowiedź brzmi nie.

— Więc może będę musiał zadzwonić do Dantona Millera i prosić go, żeby zjął cię z programu. — Jerry brzydził się sobą, ale musiał podjąć tę ostatnią próbę.

Roześmiała się nieprzyjemnie.

— Z Dantonem potrafię dać sobie radę.

— Nic nie wskórasz przeciwko sponsorowi. A sponsorem, czy ci się to podoba, Ethel, czy nie, jestem ja.

— Serio? Myślałam, że jesteś raczej pokojóweczką Robina Stone'a.

Nie zmienił tonu głosu. — Zauważ, że ja nie robię wycieczek osobistych.

— Och, wybacz. Z głupoty przeoczyłam fakt, że polecenie zerżnięcia Chrisa Lane'a jest sprawą najzupełniej pozbawioną aspektów osobistych.

— Interpretuj to sobie jak chcesz. Twoja reputacja nie wzięła się z powietrza. A moja robota też w zasadzie nie polega na tym, żeby Czwartego Lipca użerać się z tobą przez telefon. Wykonuję ją jednak, bo mam jakiś udział w powstawaniu programu Lane'a. Ty najwyraźniej nie masz pojęcia, na czym polega praca w zespole.

— Och, daj sobie spokój z tym dętym gadaniem — warknęła. — Chcę, żebyśmy się zrozumieli. Nie jestem call girl. Pozwalam się podrywać tylko tym facetom, na których lecę. Przez półtora roku Chris Lane nie dostrzegał mojego istnienia... i dzięki Bogu! No i ni z gruszki, ni z pietruszki dochodzi do wniosku, że jestem Elizabeth Taylor. Co tu jest grane?

— Amanda wyszła dzisiaj za Ike'a Ryana.

Nastąpiła pauza, a potem Ethel wybuchła śmiechem. — Hej, to twój kumpel Robin Stone też musi być wkurzony! Dlaczego to on nie jest tym facetem, którego mam pocieszać? Do takiej roboty pobiegłabym na klęczkach.

— Wchodzisz czy nie?

Westchnęła. — Okay. Gdzie znajdę naszego Romea?

— W Astorze.

— I kto by pomyślał? — powiedziała ze śmiechem. — Całe życie marzyłam o facecie, który na stałe mieszka w Astorze!

Christie był w pokoju sam, kiedy przyszła Ethel. — Hej, a co to za pomysł? — zapytał. — Jesteś w spodniach.

— Chyba nie spodziewałeś się, że od razu wparuję na golasa?

— Nie — odparł bez uśmiechu — ale banda jest w Copa i myślałem, że się przyłączymy, jak tu wpadniesz.

— W Copa?

— Ruszaj się! — powiedział władczo. — Weźmiemy taksówkę, skoczmy do ciebie, żebyś założyła coś innego, a potem do knajpy!

Podczas jazdy Christie, smętny i małomówny, wcisnął się w kąt, kiedy jednak dotarli do Copa, diametralnie zmienił zachowanie, uśmiechał się promiennie, przedstawiał Ethel, komu popadło, podczas programu trzymał ją za rękę, a nawet podawał ogień. Traktowała to jak dopust Boży; była zmęczona i chciała już ten wieczór mieć za sobą.

Zbliżała się trzecia, kiedy dotarli wreszcie do Astora. Ethel dawno nie przeżyła takiej mordęgi: najpierw Copa, potem bar w Copa, Brasserie, a wreszcie przystanek w Stage Delicatessen. Teraz zostali sami. Kiedy Ethel rozebrała się po cichu, Christie leżał już w łóżku — nagi i wyczekujący. Spojrzała na niego, z trudem opanowując młodość: w tym facecie z jego erekcją było coś odrażającego. Jakim sposobem Amanda zmuszała się do tych rzeczy? Jakim sposobem mogła się przerzucić z Robina Stone'a na tego prymitywnego kowboja?

Christie nie umiał ukryć zdumienia na widok jej ogromnych kształtnych piersi.

— Hej, laleczko, jak na taką szpetotę, jesteś naprawdę zbudowana. — Uszczypnął ją w pośladek. — Gdybyś jeszcze zgubiła trochę tego dupska, miałybyś bombową figurę.

Wyrwała się z jego lepkich dłoni. Nie chciała, by ją dotykał.

— Masz jakiś krem do golenia? — zapytała.

— Jasne, a co?

Przyniosła z łazienki pojemnik i wycisnęła na dłonie nieco zawartości.

— Teraz kładź się na plecach, gwiazdorze.

Po pięciu minutach wykończony Christie pojękiwał z uciechy. Ethel wymknęła się do łazienki i ubrała, a gdy wróciła, Christie leżał nieruchomo, mając zamknięte oczy.

— No to tymczasem, Chris.

Wyciągnął ramię i złapał ją za rękę.

— Laleczko, nigdy nie było mi tak dobrze. Ale to nie w porządku... no bo, kapujesz, nic z tego nie miałeś. Chryste, nawet cię nie dotknąłem.

— Drobiazg, Chris — odpowiedziała miękko. — Wiem, w jakim dzisiaj byłeś dołku. Chciałam ci pomóc zapomnieć, dać trochę szczęścia.

Pociągnął Ethel na łóżko i spojrzał jej w oczy.

— To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem. Dzięki. Wiem, że przyjechałaś do mnie aż z Fire Island. Mógłbym coś dla ciebie zrobić?

Pragnęła powiedzieć: „Po prostu daj mi święty spokój”, ale tylko się uśmiechnęła.

Obłapił ją mocniej. — No to buzi.

Jego usta były miękkie i lepkie; Ethel zdołała jakoś wywikłać się z uścisku, nie okazując obrzydzenia. Potem pochyliła się nad nim, pocałowała spoczone czoło i wypadła z apartamentu, nawet nie prosząc o forszę na taksówkę.

Christie zadzwonił nazajutrz i zaprosił ją na kolację; nie mając nic do roboty, przyjęła zaproszenie. Kiedy przez dwa tygodnie, dzień po dniu, byli nierozłączni, pojawiły się w prasie pierwsze reakcje. Christie zabrał nawet Ethel

do Atlantic City, gdzie miał występ w Five Hundred Club. Ethel zaczynała się delektować niespodziewanym rozgłosem, jaki dawał jej status „dziewczyny Christiego Lane'a”. Nigdy dotąd nie była czyjąkolwiek dziewczyną. Kiedy jedna z porannych gazet zamieściła zdjęcie Chrisa i Ethel kołyszących się w bujaku i napomknęła o „zaręczynach”, Jerry Moss doznał lekkiego niepokoju. Zadzwonił do Christiego. — Chris, chyba nie traktujesz poważnie tej dziewczyny?

— Oczywiście, że nie. Słuchaj, Jerry, Dan ma już wszystko zaklepane na dwa pierwsze programy sezonu. Kim zamierzasz zastąpić... — Urwał.

— Damy w każdym tygodniu inną dziewczynę — odparł Jerry. — Ale teraz chciałem pomówić z tobą o Ethel.

— Taa?

— Znasz jej reputację?

— No więc?

— Czy myślisz, że wożenie jej do Atlantic City było rzeczą rozsądną? Gazety zaczynają o was pisać. Ona nie pasuje do twojego wizerunku. Publikacja chce, żebyś miał u boku miłą dziewczynę, ładną dziewczynę.

— Słuchaj, frajerze, ja już chodziłem z miłą, piękną dziewczyną. Może i publika była zadowolona, ale ja nie. To nie publika trzymała mojego kutasa w dzień ślubu Amandy, lecz Ethel Evans!

— Wszyscy z branży znają Ethel jak zły szeląg — zareplikował Jerry. — Widzowie na razie nie wiedzą nic, lecz zainteresowani tymi pogłoskami o małżeństwie, zechcą wiedzieć więcej! Jak to będzie wyglądało, kiedy się okaże, iż ulubieniec rodzin szlaja się z kurwą?

— Uważaj, co mówisz! — powiedział ostro Chris. — Nigdy nie wzięła od faceta złamanego grosza!

— Chris, czy ty naprawdę traktujesz to poważnie? Chodzi mi o to, że za kilka tygodni jedziesz do Vegas... Chyba nie zamierzasz jej zabrać?

— Za dużo trzeba by wywalić na bilety lotnicze. To nie to samo, co Atlantic City, gdzie całą bandę można było wcisnąć do jednego wynajętego samochodu.

— Więc nie traktujesz jej poważnie.

— Jasne, że nie. Ale wiem jedno: przychodzi, kiedy jej potrzebuję; jest dla mnie miła; nie oszukuje; i nie poleciała za innym facetem, odkąd zaczęliśmy się spotykać. Poza tym, akceptuje wszystko, co robię. Czuję się przy niej na luzie. — Urwał, mając taką minę, jakby coś sobie przypominał. — Wieść Ethel do Vegas! To dokładnie to samo, co iść do Danny's Hideaway z własnymi kanapkami ze skumbrią!

Było to dla Ethel nudne lato: nie lubiła zespołów rock'n'rollowych, tymczasem musiała pracować przy programie rozrywkowym, którego gwiazdą był właśnie taki zespół, a na dodatek soliści występujący gościnnie też woleli muzykę młodzieżową. Powrót Christiego Lane'a do Nowego Jorku przyjęła zatem niemal z ulgą.

Przez cały wrzesień nie rozstawali się ani na chwilę; program ruszał dopiero w październiku, więc Christie miał masę wolnych wieczorów. Podczas tego miesiąca dostała uczulenia na Eddiego, Kenny'ego i Agnes, znenawidziła bar w Copa, chińskie knajpki (nieodmiennie najtańsze), lecz nade wszystko tory wyścigów konnych. Christie ani razu nie postawił grosza w jej imieniu, z nudów więc robiła najtańsze, dwudolarowe zakłady, wygrywając niekiedy sześćdziesiąt centów. Wciąż napawał ją obrzydzeniem fizyczny kontakt z Christiem, który na szczęście nie okazał się facetem szczególnie rozerotyżowanym. Dwa orgazmy w tygodniu zadawały go z nawiązką.

W gruncie rzeczy po prostu zabijała czas, oczekując pierwszych programów sezonu jesienno i pierwszych gwiazd na gościnnych występach. Bez ceregieli spławi wtedy Christiego i spółkę.

Tydzień przed wznowieniem programu dwa magazyny telewizyjne zamieściły artykuły o Christiem, poświęcając sporo uwagi Ethel Evans.

Jerry siedział w biurze i gapił się na zdjęcia uśmiechniętej pary... Boże, wypisz wymaluj Ubu z połowicą. Ta historia wymyka się spod kontroli, trzeba podjąć jakieś działania. Umówił się na lunch z Dantonem Millerem.

Zrazu Dan był tylko rozbawiony. — Daj spokój, Jerry, szukasz dziury w całym. Widzowie nigdy nie słyszeli o Ethel Evans.

Jerry ścisnął dłonie, aż zatrzęszczało mu w kostkach. — Dan, to poważna sprawa. Tom Carruthers jest nie tylko sponsorem, lecz również baptystą... wyrażał poważne zastrzeżenia nawet wobec tych zespołów rockowych, które pokazywaliśmy latem. Na razie uważa Ethel za miłą bezpretensjonalną dziewczuchę — ba, razem z panią Carruthers zaprosili ją kiedyś na kolację! — ale niech no tylko któryś z tych skandalizujących magazynów poszpera staranniej w przeszłości Ethel, będziemy załatwieni! Czy wiesz, że Ethel ma przyjaciółkę na Wybrzeżu, której wysyła listy z ocenami łóżkowej sprawności rozmaitych sławnych facetów? Czy wiesz, że przyjaciółeczka powieli te listy i puszcza w obiegu? Niech no któryś z nich trafi do prasy! A tak nawiasem mówiąc, Dan, tobie też wystawiła ocenę.

Uśmiech Dana zniknął.

— Posłuchaj, Dan, nie jestem pruderyjny. Ten rodzaj rozgłosu mógłby się nawet przysłużyć jakiemuś skandalizującemu piosenkarzowi, ale nie naszemu pocziwemu trubadurkowi, który odwołuje się do widowni rodzinnej. Carru-

thers chce nawet załatwić na przyszły sezon wcześniejsze okienko, żeby Christie mogło oglądać więcej dzieciaków. Zamierza ciągnąć ten cyrk w nieskończoność. Masz w programie Lane'a złotą żyłę i nie możemy dopuścić, żeby Ethel ją zmarnowała. Rzyzko jest za duże.

Dan nalał sobie drugą filiżankę kawy. Jerry Moss mówił do rzeczy: jedna eksplozja dwuznacznego rozgłosu wokół osoby Christiego i sponsorzy się wycofają. Nie sprzeciwiali się „romansowi” z Amandą, bo reprezentował spełnienie snów każdego przeciętnego Smitha: prosty facet zdobywa najpiękniejszą dziewczynę świata! Jeśli dokonał tego Christie, wszystko jest możliwe... Christie dawał ludziom nadzieję. Potem żył jego dramatem, kiedy Amanda rzuciła go na rzecz Ike'a Ryana. Teraz zaczęli stawiać na Ethel Evans, która wyglądała jak najprzeciętniejsza dziewczyna świata. Jerry miał słuszność — to prawdziwe bagno!

Lunch zakończył się pieczeniem wrzodu i złożoną Jerry'emu obietnicą niezwłocznego przerwania związku Ethel Evans z Christiem Lane'em.

Dan ważył sytuację przez kilka dni. Wiedział, że będzie musiał zdjąć Ethel z programu. Jezu, co wypisała o nim w tym liście? Zadzwoił do działu prasowego, uzyskując informację, że Ethel przebywa akurat w salonie piękności. Salon piękności, dobre sobie! Babsku mógłby pomóc tylko chirurg plastyczny.

Połączył się z salonem piękności.

— Cześć! — powiedziała radośnie.

— Czy to dzisiaj jakieś święto, o którym zapomniałem? — spytał.

Zachichotała. — Mam teraz stały układ i muszę dobrze wyglądać. Poza tym, dziś jest wielki dzień.

— Wielki dzień? — Nagle sobie przypomniał. Złota Nagroda dla Osobowości Telewizyjnej, obok Emmy największe wydarzenie w telewizyjnym światku. — Idziesz? — Pytanie było idiotyczne, oczywiście, że szał.

— A ty?

— Muszę. Chris dostaje nagrodę... Robin Stone również. A Gregory Austin zasiada w prezydium.

— Więc przypuszczalnie się spotkamy. A tak nawiasem, Dan, w jakiej sprawie dzwonicz?

— Może chciałem cię poprosić, żebyś mi towarzyszyła — odparł. To nie był właściwy moment na przedstawianie ultimatum. Rzecz należało zrobić podczas spotkania w cztery oczy.

Zaśmiała się nieprzyjemnie. — Przestańmy się bawić w ciuciubabkę. Mam mokre włosy i chcę wracać pod suszarkę. Dlaczego dzwonicz?

— Pogadamy o tym jutro.

— Jutro gramy program. Będę zajęta, a wieczorem Carruthers wydaje małe przyjęcie.

— Tylko że nie pójdziesz na to przyjęcie. — Wiedział, że wybrał najgorszy moment, ale nie potrafił dłużej znosić jej arogancji.

— Powtórz.

— Dziś wieczorem po raz ostatni spotkasz się z Chrisem na gruncie publicznym i prywatnym.

Milczała przez chwilę, a potem spytała: — Jesteś zazdrosny?

— To polecenie służbowe.

— Przez kogo wydane?

— Przeze mnie. *Show Christiego Lane'a* należy do IBC; moje obowiązki polegają na tym, żeby chronić własność firmy. Powiedzmy tylko, że twoja osobowość nie pasuje do programu o profilu rodzinnym. Więc chcę, żebyś od jutra odpuściła sobie Chrisa.

— A jeśli tego nie zrobię?

— Zostaniesz zwolniona z IBC.

Milczała.

— Słyszysz, Ethel?

W jej głosie zabrzmiały twarde tony. — Okay. Jasne, że możesz mnie wywalić. Ale może ja się tym zupełnie nie przejmuję... w mieście jest jeszcze kilka innych fabryczek: CBS, NBC, ABC.

— Nic z tego nie wyjdzie, jeśli rozgłoszę, dlaczego cię wyrzuciłem.

— Chcesz powiedzieć, że sypianie z Christiem Lane'em... albo, dajmy na to, prezesem sieci... jest nielegalne?

— Nie. Natomiast prawo zabrania rozpowszechniania przez pocztę tekstów o charakterze pornograficznym. Tak się składa, że wpadło mi w ręce kilka twoich listów do przyjaciółki z Los Angeles, w których obrazowo i klinicznie opisujesz swoje życie płciowe.

Próbowała zlekceważyć groźbę. — Okay... więc nie będę pracować. Dzięki temu będę miała więcej czasu dla Chrisa.

Wybuchł śmiechem. — Z tego, co wiem, hojność nie należy do cnót Christiego Lane'a. Ale może ty znasz go z lepszej strony, bo, w końcu, zapomniałem, jak jesteście ze sobą blisko. Przepuszczalnie wynajmie ci mieszkanie i wyznaczy kieszonkowe.

— Ty skurwysynu! — syknęła jadownicie.

— Posłuchaj. Opuść sobie Christiego, a zachowasz pracę i zostaniesz oddelegowana do innego programu.

— Zawrzyjmy układ — powiedziała. — Załatw mi program Robina Stone'a, a Christie przestanie dla mnie istnieć.

Dan zamyślił się. — Na początku proponowałem, że mu kogoś podeślę, ale odmówił. Zobaczę, co się da zrobić, słowo. Jeśli nie, znajdziemy coś innego.

— Powiedziała, że chcę programu Robina Stone'a.

— Obawiam się, że nie jesteś w sytuacji, która pozwala ci dyktować warunki. Spróbuję załatwić ci Robina Stone'a, ale pamiętaj: dziś wieczorem widzisz się z Christiem po raz ostatni! Jutro odwalisz jeszcze swoje przy programie, a potem koniec!

Tego wieczoru ubierała się ze szczególną uwagą: zielona sukienka z dużym dekoltem ekspozowała biust i maskowała wciąż zbyt szerokie biodra. Ostatnio Ethel nosiła nieco dłuższe włosy w lekko kasztanowym odcieniu. Z uczuciem satysfakcji przejrzała się w lustrze — to prawda, wiele jej brakuje do Amandy, ale kiedy się nie uśmiecha, skrywając tę cholerną szparę między zębami, wygląda nieźle, zupełnie nieźle...

Wielka Sala Balowa w Waldorfie była zatłoczona. Kiedy hałaśliwie pozdrawiając gości przy wszystkich mijanych stolikach, Christie prowadził Ethel na miejsce, ta nie spuszczała oka ze świetnego towarzystwa, zasiadającego na podium. Byli tam szefowie wszystkich sieci, trochę gwiazd z Broadwayu, burmistrz, jakiś producent filmowy, a w samym środku — Gregory Austin ze swoją piękną żoną, Judith, pochyliwszy głowę, słuchała, co mówi jej do ucha pewien znany dziennikarz. Sprawiało to wrażenie audycji raczej niż rozmowy. Chris doholował wreszcie Ethel do ustawionego dokładnie naprzeciwko podium stołu IBC, za którym zajmował już miejsce Dan w towarzystwie przystojnej brunetki koło trzydziestki. Jeśli chodzi o dobór towarzyszek na rozmaite imprezy, Dan miał bezbłędny gust; można by odnieść wrażenie, iż dzwoni po prostu do wyspecjalizowanej agencji i mówi na przykład: „Typ na uroczystość oficjalną — czarna suknia, niezbyt duży biust, perły”. Obok brunetki widniały dwa puste krzesła... czyżby dla Robina Stone'a? Bez wątpienia, wszystkie pozostałe są zajęte. Będzie więc siedział obok niej; nie liczyła na tak szczęśliwe zrządzenie losu.

Robin pojawił się późno w towarzystwie przepięknej Inger Gustar, niemieckiej aktorki, która zaczynała robić w Stanach karierę. Kiedy Ethel wyjęła papierosa, Christie wprawdzie nie drgnął, lecz Robin — ku bezbrzeżnemu zdumieniu Ethel — wyciągnął dłoń z zapalniczką.

— Podziwiam twój gust — powiedziała cicho Ethel. — W zeszłym tygodniu widziałam jej film; o aktorstwie nie ma pojęcia, ale to bez znaczenia. — Potem, usiłując się zdobyć na żartobliwy ton, spytała: — Coś poważnego czy po prostu epizod?

Uśmiechnął się i odparł: — Zjedz grejpfruta.

- Nie lubię grejpfrutów.
- Są zdrowe.
- Nie zawsze lubię rzeczy, które służą zdrowiu.

Rozległa się muzyka i Robin nagle wstał.

- Okay, Ethel, spróbujmy się pokreść.

Z radości oblała się rumieńcem od stóp do głów. Czyżby wreszcie zaczął się nią interesować? Może zielona sukienka i kasztanowy odcień włosów posłużyły jej lepiej, niż sądziła? Przez kilka chwil tańczyli w milczeniu, kiedy jednak Ethel spróbowała się przytulić, Robin odsunął ją nieco i obdarzył przeciągłym spojrzeniem. Miał twarz pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu i na pozór ledwie poruszał wargami, słowa jednak zostały wypowiedziane z lodowatą wyrazistością: — Posłuchaj, głupia, czy nie zdajesz sobie sprawy, że może po raz pierwszy w życiu masz szansę na obrączkę? Przypisywałem ci szczyptę rozumu — wykorzystaj go i złap okazję.

- Może wcale nie interesują mnie obrączki.
- Czyżby?
- Może Christie Lane nie działa mi na wyobraźnię.

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchł śmiechem.

- Naprawdę jesteś wybredna. Twój charakterek zaczyna mi się podobać.
- A mnie w tobie podoba się wszystko — powiedziała cichym i uwodzicielskim głosem.

Robin stęzał, a potem — nie patrząc Ethel w oczy — odrzekł:

- Wybacz, nic z tego.
- Czemu?

Odsunął ją na odległość ramienia i omiół wzrokiem. — Bo ja też jestem wybredny.

- Dlaczego mnie nienawidzisz?

— Któż tu mówi o nienawiści? Po prostu do tej chwili istniałaś dla mnie jako ktoś obdarzony sporą miarką rozumu i bezczelności. Teraz zaczynam wątpić. Masz Christiego Lane'a i nie powinnaś go lekkomyślnie skreślać. Frank Sinatra to on nie jest, ale ma popularny program, który utrzyma się na antenie bardzo długo.

- Robin, powiedz mi jedną rzecz. Dlaczego zaprosiłeś mnie do tańca?

— Ponieważ czeka nas długi wieczór, a nie jestem w nastroju, żeby wysłuchiwać od ciebie dziesięciu czy dwunastu zakamuflowanych propozycji. Uznałem, że powinniśmy wyjaśnić sobie sytuację na samym wstępie. Odpowiedź brzmi „nie”.

Zerknęła na tańczącą w pobliżu Niemkę.

- „Nie” na dzisiejszą noc — powiedziała z uśmiechem.

- „Nie” na każdą noc.
- Dlaczego? — spojrzała mu w oczy.
- Mam być szczerzy?
- Tak. — Następny uśmiech, bez odsłaniania zębów.
- To żaden sekret... po prostu by mi nie stanął.

Twarz Ethel stężała. — Nie wiedziałam, że masz problemy. Więc na tym polega twoja blokada.

- Tylko przy tobie.
- Może dlatego Amanda puściła cię w trąbę dla Ike'a Ryana. Wielki Robin Stone... dużo wdzięku, dużo gadania, żadnych konkretów. Przecież zdradzała cię nawet z Chrisem.

Przerwał taniec i ujął Ethel pod ramię.

- Sądzę, że powinniśmy wrócić do stołu.

Tkwiała w miejscu, uśmiechając się złośliwie. — Och, czyżbym trafiła w bolesny punkt, panie Stone?

— Jestem niewrażliwy na ból, mała. Po prostu nie uważam, żebyś miała jakiegokolwiek prawo strzepić sobie język na Amandzie.

Ponowił próbę odprowadzenia jej do stołu; i tym razem nie pozwoliła się ruszyć.

— Daj mi szansę, Robin. Spróbuj tego ze mną chociaż raz! Bez jakichkolwiek zobowiązań! Będę na każde zawołanie... będę dla ciebie polisą ubezpieczeniową... Zadowolę cię tak, że już nigdy nie stracisz głowy z powodu takiej dziewczyny jak Amanda.

Popatrzył na nią z dziwnym uśmiechem.

- I pójdę o zakład, że jesteś zdrowa jak koń.
- W życiu nie chorowałam.

Skinał głową. — To by się zgadzało.

- A zatem?

— Ethel... — było to prawie westchnienie — ...skoncentruj wysiłki na Christiem Lane'ie!

— Nie mogę. — Pokręciła głową. — To nie zależy ode mnie. Dostałam polecenie, żeby się od niego odcepić.

Był szczerze zainteresowany. — Od kogo?

— Od Dantona Millera. Jasne, to dla niego wielka wygoda mieć mnie pod ręką, kiedy tylko mu przyjdzie ochota, ale dziś po południu powiedział mi, że mam zrezygnować z Chrisa — rozumiesz, robi się za duży rozgłos. Nie jestem odpowiednia dla rodzinnej osobowości Chrisa, więc jeśli nie postąpię w myśl poleceń, zostaną wylana z pracy.

- Co zamierzasz zrobić?

No, przynajmniej okazał jakieś zainteresowanie. Może to właściwa taktyka — nic obcesowo, postawić na współczucie. Czemu nie? Bez rezultatu spróbowała wycisnąć z oczu choć kilka łez, więc tylko zapytała: — A cóż mogę zrobić? — i popatrzyła na Robina bezradnie.

— Zniechęcasz mnie tymi numerami w stylu Shirley Temple. Jeśli jesteś dziwką, zachowuj się jak dziwka, zamiast udawać dziewczątko i szukać zmiłowania. — Uśmiechnął się do niej szeroko. — Uczestniczyłaś w męskiej grze i stosowałaś się do męskich reguł. W każdej chwili postawiłbym na ciebie przeciwko Danowi Millerowi.

Popatrzyła nań z zaciekawieniem. — Chcesz powiedzieć, że powinnam stawić czoło Danowi Millerowi? — Pokręciła głową. — Jestem bez szans... chyba że dasz mi pracę przy swoim programie. Powiedziałaś, że mam swój rozum; zapomnijmy chwilowo o płci. Daj mi szansę, Robin. Mogę wiele zrobić dla twojego programu, załatwić ci duży rozgłos.

— Daj sobie spokój — uciał. — Nie jestem showmanem...

— Ale pozwól chociaż, żeby oddelegowano mnie do twojego programu. Będę pisać na maszynie, robić wszystko, co mi polecisz.

— Nic z tego.

— Dlaczego nie?

— Bo nie daję nic z miłosierdzia, litości czy współczucia.

— A z przyjaźni?

— Nie jesteśmy przyjaciółmi.

— Będę twoim przyjacielem. Zrobię dla ciebie wszystko... tylko powiedz, co.

— Chwilowo najbardziej pragnę tego, żebyśmy zakończyli już ten taniec.

Odskoczyła od niego i posłała mu nienawistne spojrzenie. — Robinie Stone, mam nadzieję, że zgnijesz w piekle!

Uśmiechnął się pogodnie, a potem ujął Ethel pod ramię i sprowadził ją z parkietu. — O to właśnie chodzi, maleńka! Okaż trochę ducha. Tak podobasz mi się znacznie bardziej.

Kiedy dotarli do stołu, podziękował jej za taniec i obdarzył ciepłym spojrzeniem.

Był to długi nudny wieczór. Chris został uznany za najwybitniejszą osobowość nowych programów; magazyn *Z bliska* zwyciężył w kategorii audycji informacyjnych. Kiedy przebrzmiały przemówienia, rozchyliła się kurtyna w głębi sali, orkiestra zagrała fanfarę, wszyscy jęknęli w duszy i obrócili się w krzesłach, aby obejrzeć część rozrywkową.

Ledwie przygasły światła, Robin złapał za rękę swoją Niemkę i wymknął się z imprezy.

Ethel wpatrywała się w dwa puste krzesła. Kim, u diabła, jest ten człowiek, że ma dość niezależności, aby zabrać się stąd bez słowa, skoro nawet Danton Miller siedzi kamieniem na męczącym widowisku? Chris też nie ośmieliłby się wyjść, a przecież jest dwakroć ważniejszy niż Robin Stone. W gruncie rzeczy — jak się nad tym zastanowić — Chris jest ważniejszy nawet niż Danton Miller. Dan może zostać wylany w każdej chwili — przecież pozostaje w łaskach dzięki Chrisowi! Jak ośmiela się jej grozić? Mając Chrisa jest przecież ważniejsza niż Danton Miller, ważniejsza niż Robin Stone. Nagle zdała sobie sprawę, że Chris to naprawdę jej ostatnia szansa. Skończyła trzydzieści jeden lat... nie może w nieskończoność przelatywać wszystkich nadarzających się sławnych facetów, bo niedługo żaden już jej nie zechce.

Ważąc swój nowy pomysł, siedziała w mroku, głucha na muzykę, słowa i przebiegające niekiedy po widowni grzecznościowe oklaski. Dlaczego miałaby spławić Chrisa? Sypiać z nim to jedno... a być panią Chrisową Lane to coś zupełnie innego! Przytłaczał ją rozmach tej wizji. Oczywiście, rzecz będzie wymagać długotrwałych ciężkich wysiłków, samego pomysłu też nie może w umyśle Chrisa zaszczepić od razu. Ale potem... ach, potem będzie mogła powiedzieć wszystkim, żeby się wypchali. Donowi... Robinowi... Całemu światu.

Pani Chrisową Lane! Pani Gwiazdorowa Telewizyjna! Pani Potęga!

Była trzecia nad ranem, kiedy dotarli wreszcie do Astora. Po drodze Chris zaproponował Ethel, że ją podrzuci do domu: — O jedenastej rano muszę być na próbie, laleczko.

— Pozwól mi ze sobą zostać, Chris. Wcale nie musimy się kochać... chcę dziś po prostu z tobą być.

Po jego prostackiej twarzy rozlał się uśmiech. — Jasne, laleczko. Tylko myślałem, że na własnych śmieciach wyśpisz się lepiej, no i będziesz mogła zmienić ciuchy. Też musisz być jutro na próbie.

— W tym rzecz... nie muszę.

Odwrocił się do niej w mroku taksówki. — Powtórz?

— Powiem ci na górze.

Rozebrała się i wślizgnęła do łóżka. Christie, gryząc cygaro, leżał w samych kalesonach i studiował program wyścigów. Wskazał jej bliźniacze wolne łóżko. — Tam się prześpij. Dziś nie będzie żadnego kochania.

— Chciałam się tylko do ciebie przytulić, Chris. — Otoczyła ramionami jego obwisłe ciało.

Spojrzał na nią przeciągle.

— Ano, dziwnie się zachowujesz. Co jest grane?

Wybuchła płaczem. Była zdumiona łatwością, z jaką pociekły łzy; na pewno miało w nich swój udział wspomnienie poniżającej sytuacji, w której postawił ją Robin.

— Laleczko... na rany boskie, o co chodzi? Zrobiłem coś nie tak? Powiedz.

— Och, nie, Chris, to po prostu nasza ostatnia wspólna noc. — Płakała teraz szczerze. Opłakiwała wszystkie swoje porażki, wszystkich tych mężczyzn, których kochała przez jedną noc, całą tę miłość, której nigdy nie zaznała.

— O czym ty, do cholery, mówisz? — Przytulił ją niezgrabnie i próbował pogłodzić po głowie. Boże, nienawidziła nawet zapachu tego faceta... Mieszalnina taniego płynu po goleniu i potu!... ale zmusiła się, by pomyśleć o swej rozmowie z Robinem, o pięknej Niemce, którą przypuszczałnie trzyma teraz w ramionach — i jej szloch nabrał mocy.

— Laleczko, powiedz, nie mogę patrzeć, jak płaczesz. Przecież jesteś najsilniejszą dziewczyną świata. Przedwczoraj nawet gadałem o tym z Kennym. Powiedziałem: „Ta Ethel... ona by dla mnie popełniła morderstwo”. Co to za bredzenie o ostatniej wspólnej nocy?

Popatrzyła na niego przez łzy. — Chris, kim dla ciebie jestem?

Pogłaskał ją po włosach i zamyślony wbił wzrok przed siebie.

— Nie wiem, laleczko, nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiałem. Lubię cię. Nieźle się bawimy. Dobry z ciebie kompan...

Znów zaczęła płakać. Świnia... też się na nią wypina!

— No, laleczko, chciałem tylko powiedzieć... posłuchaj, nie chcę się znów zakochać. Raz i wystarczy. Ale nie ma żadnej innej dziewczyny. Możesz być ze mną jak długo zechcesz. Jak Kenny i Eddie. Więc co to za gadanie o ostatniej nocy?

Odwróciła się do niego tyłem. — Chris, znasz moją przeszłość.

Poczerwieniała na twarzy.

— W tym rzecz — wychlipała. — Ale wtedy nie byłem sobą. Dopiero teraz znasz mnie taką, jaką jestem naprawdę. Z powodu Amandy boisz się, że znów zostaniesz skrzywdzony... cóż, tak samo było ze mną. Chłopak z college'u... zaręczyliśmy się... on był pierwszy... wykorzystał mnie, a potem bez słowa rzucił. Cierpiałam tak bardzo, że poprzysięgam sobie mieć wszystkich facetów świata, byle tylko wyrównać rachunki z tym łobuzem. Nienawidziłam jego, nienawidziłam życia, nienawidziłam siebie. Potem pojawiłeś się ty... i było to dla mnie jak oczyszczenie. Spotkałam wspaniałego człowieka, który stał mi się bliski. Znów zaczęłam odzyskiwać sympatię dla siebie... na świat wyjrzała prawdziwa Ethel Evans. Odrzuciłam przeszłość jak maskę. Jestem naprawdę taka, jaka byłam dla ciebie.

— Rozumiem, laleczko, i nawet zaczynam wybaczać ci przeszłość. Ale po co ta cała wrzawa? Czy cię o cokolwiek wypytywałem?

— Nie, Chris, ale... przed tobą ja... ja chodziłam z Dantonem Millerem. Usiadł na łóżku.

— O, kurwa, on też!?! Czy ty nikomu nie przepuszczasz?

— Chris, Dan naprawdę na mnie leciał. Jest zazdrosny o wszystkich mężczyzn, z którymi przestaje. Oddelegował mnie do twojego programu tylko po to, żeby mieć mnie na oku. Wpadł w szał, kiedy Jerry nas ze sobą umówił, ale odpuścił sądząc, że skończy się na jednej nocy. Nie miał pojęcia, że naprawdę się w tobie zakochałam. Jest zazdrosny jak diabli.

— Pieprz go!

— Tylko o to mu chodzi.

— Zartujesz!

— Nie! Zadzwoń! dzisiaj i oświadczył, że nic życzy sobie, bym się z tobą widywała. Że chce mnie tylko dla siebie. Kazałam mu się pocałować w nos, a on na to, że jeśli nie spławię cię natychmiast i nie będę trzymać się z daleka od twojego programu, to wywali mnie z IBC. Jeśli natomiast to zrobię, będę mogła zostać, a nawet dostanę lepiej płatny program. Ale nie mogę, Chris... nie potrafię bez ciebie żyć.

— Jutro z Danem pogadam.

— Zaprzeczy, a ty będziesz miał wroga. Powiedziała, że skoro cię stworzył, to może również zniszczyć.

Christie zacisnęła zęby, a Ethel pojęła, że uczyniła błędny ruch. Christie mu wciąż brakowało pewności siebie... cholera, on się najzwyczajniej w świecie bał Dana Millera!

— Ciebie nie może tknąć, Chris, bo jesteś największy. Ale może pozbyć się mnie. W swoim czasie napisałam masę głupich listów do dziewczyny, którą uważałam za przyjaciółkę... listów o kilku moich romansach. Dan ma kopie tych listów.

— Wiesz, niektóre babki mają długi jęzor; ty masz cholernie długą maszynę do pisania. Po co, kurwa, wypisywałaś te głupoty? Mogłaś przy okazji skrzywdzić paru facetów.

— Wiem i myślę, że to Bóg wymierza mi w ten sposób karę. Ale skąd mi mogło przyjść do głowy, że Yvonne powieli te listy? Dlaczego i jej Bóg nie pokarze? Pisałam pod wpływem chwili, jako żart. Ale to już przeszłość, a moim problemem jest teraźniejszość.

— Okay, więc rzuć robotę — powiedział Christie.

— I co potem?

— Potem znajdziesz sobie inną — w CBS, NBC... w którejkolwiek sieci.

— Nic z tego, Dan obiecał mi wilczy bilet. Jestem załatwiona.
— Więc ja ci znajdę robotę, i to natychmiast.
— Chris, dochodzi czwarta nad ranem!
— A co mnie to obchodzi! — Podniósł słuchawkę i podał telefonistce numer. Po kilku sygnałach Ethel usłyszała na drugim końcu linii jakiś zaspany głos. — Herbie? — zapytał Christie. — Tu Chris Lane. Wiem, że jest późno, kochasiu, ale należę do facetów ulegających impulsom. Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, powiedziałeś przedwczoraj na wyścigach, że oddałbyś duszę diabłu, gdyby tylko na twoje biuro spłynął prestiż prowadzenia moich spraw reklamowych. Otóż być może dam ci tę szansę. I to od jutra.

Ze słuchawki dobiegła wypowiedziana donośnym staccato odpowiedź Herbiego. Jest rad jak diabli. Odwali cholernie dobrą robotę. Jutro będzie na próbie.

— Chwila, moment, Herbie, jest parę warunków dodatkowych. Zapłacę trzy paczki tygodniowo... nic mnie nie obchodzi, jakie są obowiązujące stawki. Masz norę na Broadwayu, kilku głównianych komików i jakieś grupy taneczne. Ale jeśli dostaniesz Christiego Lane'a, trafiasz do pierwszej ligi. No i może zdołam załatwić jakieś fuchy tym twoim, pożałuj Boże, klientom. Druga sprawa: zatrudniasz Ethel Evans. Jasne, jest w IBC, ale chcę, żeby się zwolniła i pracowała tylko dla mnie. Ty będziesz tylko jej oficjalnym pracodawcą. Dasz jej... stówkę tygodniowo? — Popatrzył na Ethel, która zaczęła gorączkowo kręcić głową. — Chrzaniś, Herbie... sto dwadzieścia pięć? — Ethel znów zaprzeczyła. — Poczekaj, no, Herbie. — Zwrócił się do Ethel: — Czego ty właściwie chcesz — tysiąc?

— Mam w IBC sto pięćdziesiąt podstawowej plus dwadzieścia pięć za swój program. Razem sto siedemdziesiąt pięć.

— Herbie, sto siedemdziesiąt pięć i stoi. No więc zostaje ci tylko sto dwadzieścia pięć, ale pomyśl o prestiżu! Dobra, kupuję twój argument, niech będzie sto pięćdziesiąt. — Zignorował kuksańca, jakiego wymierzyła mu Ethel. — Jasne, Herbie, jest w twoim biurze jutro o dziesiątej.

• — Mam rozumieć, że przy tych twoich wielkich stosunkach stracę sporo forsy?

— Gość ma rację, nie możesz wyciągać z tego układu więcej niż on. Uspokój się, w IBC obsługiwałaś wiele programów, tu będziesz miała tylko mnie. No a za sto pięćdziesiąt spokojnie zwiążesz koniec z końcem.

Ethel była wściekła. Znała Herbiego... facet będzie nią orał od świtu do nocy. Poza tym praca w IBC zapewniała prestiż, firma Herbiego natomiast miała szmatławą opinię. Co za bigos! Ale nie miała już wyjścia.

— Chris, czy wiesz, że właśnie podpisałam na siebie wyrok śmierci?

— Dlaczego? Po prostu załatwiłem ci nową pracę.
— W IBC miałam masę dodatkowych korzyści — darmowe leczenie, przyjemne biuro z klimatyzacją...

— Ale teraz masz mnie. Czy nie o to ci chodziło?

Przytuliła się do niego. — Sam wiesz najlepiej. Dla ciebie rzuciłam IBC, chociaż mogłam zostać, przejść na inne programy. Zrezygnowałam z tego wszystkiego na rzecz pracy u Herbiego Shine'a. A co ty robisz dla mnie?

— Zwariowałaś? Czy nie załatwiłem ci właśnie roboty?

— Chcę być twoją dziewczyną.

— Chryste, wszyscy wiedzą, że jesteś.

— Mam na myśli, oficjalną dziewczyną... czy nie moglibyśmy chociaż mówić, że jesteśmy zaręczeni?

Odłożył program wyścigów.

— Wybij to sobie z głowy! Nie ożenię się z tobą, Ethel, bo jeśli kiedyś to uczynię, wezmę jakąś przyzwoitą dziewczynę. Chcę mieć dzieci. Twoja dupa przypomina Tunel Lincolna... wszyscy tamtędy jeździli.

— Przypuszczam, że Amanda była tą przyzwoitą dziewczyną?

— Była dziwką, a ja sądziłem, że jest przyzwoita. W twojej sprawie nie mam wątpliwości.

— Czy nie bierzesz pod uwagę, że dziewczyna może się zmienić?

— Może. To się zobaczy. — Wrócił do lektury programu wyścigów.

— Chris, daj mi tylko szansę... proszę!

— A czy ja cię wywalam z łóżka? Czy cię ze sobą wszędzie nie ciągam? Otoczyła go ramionami.

— Chris, to coś więcej niż miłość... Czuję cię jak Boga, jesteś moim panem, moim królem. Jesteś całym moim życiem!

Zsunęła się na dół łóżka i zaczęła wodzić językiem po stopach Christiego, z trudem opanowując mdłości.

Zaczął się śmiać. — Hej, to przyjemne, laleczko...

— Leż spokojnie. Chcę kochać każdą część twojego ciała. Pokazać, jak cię uwielbiam... — Pojękując kontynuowała robotę, aż mokry od potu Christie opadł na poduszkę.

Kiedy odzyskał oddech, powiedział: — Ale, laleczko, to nie było w porządku... złałem się jak ogier, aż na nogi, a ty nie miałaś z tego nic.

— Co ty mówisz! — odparł. — Kochając cię, miałam orgazm dwa razy!

— Żartujesz!

— Chris, czy ty nic nie rozumiesz? Kocham cię i eksploduję w środku, ilekroć dotknę twego ciała.

Objął ją ramieniem i pogłaskał po włosach.

— Patrzenie państwo! Jesteś naprawdę szaloną babką, ale to mi się podoba. — Czknął donośnie i sięgnął po program. — Hej, już po czwartej, a muszę jeszcze odrobić lekcje. Lepiej przejdź na drugie łóżko i trochę pośpij. Musisz wcześniej wstać, żeby wręczyć Danowi wymówienie i zdążyć na dziesiątą do Herbiego. Miłych snów, laleczko.

Przeniosła się na drugie łóżko, odwróciła do Christiego plecami i zgrzytając zębami powiedziała: — Kocham cię, Chris.

Wstał, żeby pójść do łazienki, ale zatrzymał się przy Ethel i poklepał ją w pośladek. — Ja też cię kocham, laleczko. Tylko nie zapominaj, że mam czterdzieści dwa lata i przed sobą wielką karierę, która zaczęła się późno. Nic poza tym nie ma dla mnie znaczenia.

Wszedł do łazienki, nie zamykając drzwi, usiadł na sedesie i zaczął hałaśliwie folgować przeciążonym kiszkom. Ethel naciągnęła koc na głowę. Świnia! I musiała się przed nim czołgać! Ale jeszcze jej za to zapłaci. Zmusi go do małżeństwa, nawet gdyby miała to być ostatnia czynność w jej życiu. A potem wszystkim każe się wypchać. W szczególności jemu.

Ethel wyszarpnęła kartkę z maszyny i cisnęła ją na biurko Herbiego Shine'a. Spod zmrużonych powiek obserwowała, jak krępy łysy człowieczek z uwagą studiuje tekst.

— W porządku — powiedział wreszcie — ale nie podałaś adresu restauracji.

— Herbie, to jest ogólna informacja dla prasy. Albo ta nazwa — Lario's — potrąci jakąś strunę, albo dajmy sobie spokój. Żadna gazeta nie zamieści adresu.

— Ależ ta knajpa leży diabłu w zębach. Musimy ludziom zwrócić na nią uwagę.

— Gdyby szarpnęli się na uroczyste otwarcie, zaprosili parę znakomitości i wszystkich żurnalistów, mieliby wzmiankę w każdej gazecie. Tyle, że to skąpigrosze, warci ich gównianego zlecenia.

— Święte słowa, pasujące jak ulał do twojego superklienta, pana Christiego Lane'a. Największy kutwa z całego towarzystwa. Lario's to mała knajpka i właściciela nie stać na darmowe picie i wyżerkę dla dużego towarzystwa. Lepiej spróbowałybyś tam ściągnąć paru ludzi z IBC, no i Christiego.

— Posłuchaj, Chris płaci ci z własnej kieszeni. Poza tym był wściekły z powodu tej ostatniej restauracji, wiesz, przy Dwunastej, do której za twoją namową go zawlokłam... Sama taksówka w jedną stronę kosztowała trzy dolce. Gadał o tym bez końca.

— Ale za to przyoszczędził na napiwkach — zauważył Herbie.

— Chris jest zdania, że gratis to gratis.
— Wszyscy wiedzą, że w podobnej sytuacji tym bardziej należy wręczyć napiwki.

— Chris nie wie.

— No to mu powiedz!

— Nie prowadzę szkółki dobrych manier. — Zaczęła nakładać płaszcz.

— Jest dopiero czwarta. Czy ci się zdaje, że obowiązują u nas godziny bankowe? Rano przyszedłeś dopiero kwadrans po dziesiątej.

— W IBC często przychodziłam wpół do jedenastej i wychodziłam, kiedy miałam na to ochotę. Innym razem siedziałam od dziewiątej do szóstej. Posłuchaj, Herbie, jestem dobra w swoim zawodzie, robię, co do mnie należy, i sama wyznaczam sobie godziny. W następnej kolejności zażyczysz sobie, że-bym siedziała tu całą dobę.

— Tu nie jest IBC. Mam trzech pracowników i prowadzę dwanaście zleceń. Zarabiasz więcej niż tamci dwaj razem, a siedzisz tu połowę tego czasu, co oni.

— Więc mnie wylej.

Patrzył na nią z nieprzyjemnym uśmiechem. — Wiesz, że zrobiłbym to z rozkoszą! Ale oboje potrzebujemy Chrisa Lane'a i... i nie będziesz wychodziła stąd o czwartej!

— No to patrz!

— Zamknę drzwi na klucz.

— Wówczas nie wyjdę. Ale kiedy zjawię się rozczochrana na wielkiej feście u Ike'a Ryana, Chris na pewno zechce zapytać o to czy owo. Wtedy mu powiem, jaką bombową fuchę mi załatwił.

— Więc idź się czesać, dziwko.

Uśmiechnęła się i wyszła z biura. Patrzył na jej podskakujące pośladki i — jak wszyscy inni — zastanawiał się, co takiego Chris Lane widzi w Ethel Evans.

Ethel wiedziała, że mnóstwo ludzi zastanawia się, co dostrzega w niej Christie Lane.

Siedziała w Copa, usiłując reagować uśmiechem na dowcipy, którymi przerzucali się Kenny z Eddiem. Dzisiejszego wieczoru nienawidziła Chrisa mocniej niż zwykle. Prawie wszyscy ludzie o jakiegokolwiek pozycji uczestniczyli w przyjęciu, które wydawał Ike Ryan. Okay, między Amandą a Chrisem była stara zadra, ale przecież mogli iść do Sardiego, gdzie na pewno siedzi teraz reszta ludzi o jakiegokolwiek pozycji. Christie jednak u Sardiego nie czuł się dobrze. Zawsze dostawał stolik na tyłach. Samolubny, pazerny sukinsyn!

Zerknęła na swoją sukienkę; nosiła ją od dwóch lat. Kiedy napomknęła o nowej, Chris zmrużył oczy i wycedził: — Co to znówu za przymówki? Stawiam ci wszystkie posiłki, płacisz zaledwie parę groszy czynszu, więc zarabiając półtorej stówki tygodniowo powinnaś ubierać się jak z żurnala. Poza tym Lou Goldberg kazał mi kupić następny pakiet.

Lou Goldberg był postacią kluczową; miał przyjechać w przyszłym tygodniu. Musi go oczarować i przekonać, że jest dla Chrisa idealną partnerką. Otworzyła kosmetyczkę i poprawiła szminkę na ustach. Musi, po prostu musi zlikwidować tę szparę między zębami. Przymówki o futro z norek na Gwiazdkę były jak groch o ścianę. Cóż, trzeba poczekać, aż do miasta przyjedzie Lou Goldberg — wtedy naprawdę pokaże, do jakiej „koncentracji wysiłków” jest zdolna!

Nie spodziewała się bólu, a jednak w chwili, gdy dentysta robił jej zastrzyk z nowokainy, naprężyła wszystkie mięśnie. Potem rozluźniła się i rychło poczuła, jak kamienne odrętwienie wkrada się w wargi, dźsiała, a nawet podpełza do nosa. Wreszcie pozbędzie się swego utrapienia! A wdzięczność za to winna była Lou Goldbergowi. Widząc, jak dentysta zbliża się z wiertarką do jej twarzy, zamknęła oczy i zapadła w fotel. Usłyszała, że wiertło zaczyna wgrzać się w ząb, ale nie czuła nic. Próbowwała nie myśleć, że dwa idealnie zdrowe zęby przemieniają się w niekształtne odziomki... Nie było jednak innego sposobu, żeby zlikwidować tę cholerną szczelinę.

Wróciła myślą do Lou Goldberga. Wspólny wieczór przeszedł jej najśmielsze oczekiwania. Zresztą zaplanowała sobie wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Celowo zasiedziała się w biurze i jak bomba wpadła do Dinty Moore'a w futrze z oposa i niebieskiej wełnianej sukience.

— Strasznie mi przykro, że nie zdążyłam wpaść do domu, żeby się przebrać — powiedziała — ale pan Shine to najprawdziwszy nadzorca niewolników. A tak bardzo chciałam podczas spotkania z panem wyglądać jak najlepiej! Chris mówi o panu tak wiele, panie Goldberg, że mam wrażenie, jakbym znała pana od lat.

Lou Goldberg wyglądał sympatycznie. Wysoki, siwowłosey, wyższy od Chrisa, był jednak szczupły i poruszał się z młodzieńczą sprężystością. Na początku zachowywał się powściągliwie i zdradzał niejaką podejrzliwość. Ethel rozgrywała partię w stylu niewinnym i ciepłym. Cała rozmowa ogniskowała się na Chrisie — jego karierze, talencie, skromności, z jaką przyjmował swój sukces, niechęci do tworzenia dla celów reklamowych zafałszowanego wizerunku własnej osoby — występek tylu innych artystów! — a wreszcie jego szczęściu, że ma doradcę w takim człowieku jak Lou Goldberg.

— Wszyscy teraz za Chrisem przepadają — mówiła Ethel. — Byłby zresztą lubiany nawet wówczas, gdyby nie odniósł tak oszałamiającego sukcesu. Bo Chris jest miły. Nie musiałyby również obawiać się o pracę. Ale człowiek potrzebuje poczucia bezpieczeństwa, rodziny, która w chorobie otoczy go opieką. I wielki z niego szczęściarz, że rodzinę zastępuje mu pan, panie Goldberg.

Lou Goldberg topniał w oczach i zaczynał patrzeć na Ethel z ciepłym zainteresowaniem. Niebawem przystąpił do zadawania pytań — pytań osobistych. Udzielała odpowiedzi prostych i jednoznacznych. Jej rodzice to Polacy, zaci bogobojni ludzie, którzy w każdą niedzielę chodzą do kościoła. Tak, jeszcze żyją. Mieszkają w Hamtramck. Omal się nie zakrzusiła mówiąc, że wysłała im pięćdziesiąt dolarów tygodniowo. Lou to jednak przełknął. Boże, gdyby wysłała starym pięćdziesiąt, ojciec natychmiast przeszedłby na emeryturę!

Lou Goldberg rozpromienił się i oświadczył z aprobatą: — To mi się podoba, większość dziewcząt wcale nie myśli o rodzicach. Najwyżej wyciąga od nich pieniądze, żeby kupić sobie nowe szmatki.

— To dlatego, że dziewczyny lubią zaimponować — odparła. — Trochę byłam speszona, że muszę tu iść w tej sukience, ale później, pamiętając, co mi o panu mówił Chris, uświadomiłam sobie, że mój ubiór nie będzie mieć dla pana najmniejszego znaczenia. Chris powiada, że potrafi pan ocenić człowieka już przy pierwszym spotkaniu, a pozerów wyczuwa na miłe.

— Zwykle to potrafisz — odrzekł z zadowoleniem. — Ale ty jesteś naprawdę autentyczną dziewczyną.

— Dziękuję — powiedziała spuszczać skromnie oczy. — Znajomość z Chrisem odmieniła całe moje życie. Nie zawsze byłam taka... zrobiłam kilka głupstw. Ale byłam młoda i chciałam czuć się piękna. — Zachichotała. — Wiem, że to pusta mrzonka, ale teraz straciła wszelkie znaczenie. Miłość Chrisa to jedyne, czego pragnę.

Goldberg wyciągnął ramię i poklepał Ethel w kolano.

— Jesteś zupełnie urodziwa, moja droga.

Ethel pokazała palcem swoje nieszczęsne jedynki. — Nie z tym...

— Ależ to wada, którą łatwo można usunąć — stwierdził Lou. — Dentyści potrafią dziś czynić cuda.

Skinęła głową. — Tylko że ten cud kosztuje trzysta dolarów.

Lou znacząco popatrzył na Chrisa. Chris opuścił oczy. Ethel, udając, że temat został wyczerpany, wróciła do hamburgera.

— Chris, chcę żebyś załatwił sprawę zębów Ethel — oświadczył Lou.

— Och, podoba mi się taka, jaka jest.

— Chodzi o jej dobro. Jeśli nie ma świadomości, że wygląda ładnie... W ten sposób rzecz została sfinalizowana. Lou osobiście wypisał czek.

— Potracę to z twoich pieniędzy, Chris — powiedział, wręczając, Ethel czek. Potem parsknął śmiechem. — Wiesz, że to ja nauczyłem tego chłopca oszczędności, ale moim zdaniem niekiedy przesadza. Chris, powinienś doprawdy zaopatrzyć się w kilka nowych garniturów.

— Mam trzy zupełnie nowe... nakładam je do telewizji. Poza tym dogaduję pewien układ. Jeden krawiec ze śródmieścia obiecuje obszywać mnie za darmo, jeśli w napisach końcowych pójdzie jego nazwisko. Dan Miller na razie się sprzeciwia, ale kiedy w przyszłym roku będę renegocjować kontrakt, postawię na swoim.

— Koszt strojów scenicznych możesz odliczyć od podatku dochodowego — zauważył Lou.

— Jasne, ale skoro mogę je mieć za frajer, to czemu nie?

Tak, Chris chciał wszystko dostawać za darmo. Leżąc z odrętwiałą twarzą w fotelu dentystycznym, Ethel doświadczała uczucia triumfu. Postawiła na swoim! Kiedy zaskarbiła sobie zaufanie Lou Goldberga, stosunek Chrisa do niej uległ diametralnej zmianie. Chris naprawdę wierzył w odrodzenie Ethel. „Czuję się jak Bóg — oświadczył kiedyś. — Przerobiłem cię z dziwki na damę!” Uśmiechnęła się wówczas i ujęła go za rękę... Boże, jak strasznie pragnęła walnąć na odlew w tę kretyńsko-cwaniacką gębę — ale Chris fundował jej zęby, które będą gotowe przed kolacją w Waldorfie. Oczywiście, od zębów do Chrisa wiodła daleka droga; w prasie napomykano wprawdzie o zaręczynach, ale małżeństwo było na razie ostatnią rzeczą, jaka przychodziła Christiemu do głowy. Nosiła się z myślą o zajściu w ciążę, w tej jednak kwestii Chris myślał szybciej — podczas tych niewielu okazji, gdy postanawiał zdobyć się na jakiś wysiłek, zakładał prezerwatywę. Przeważnie jednak, leżąc na wznak, poddawał się jej pieszczotom. Ten idiota naprawdę uwierzył, że dotykanie go wystarczy Ethel do osiągnięcia orgazmu!

Cóż, miała przynajmniej zęby i błogosławieństwo Lou Goldberga. Nieźle, jak na początek. Musi sobie jeszcze kupić nową sukienkę.

Kolacja w Waldorfie w najdrobniejszych szczegółach przypominała wszystkie inne kolacje w Waldorfie. Z jednym wyjątkiem: towarzyska Dantona Millera — równie konserwatywna w wystrój jak jej poprzedniczka — była tym razem szatynką z pasemkami. Przy stole pozostały dwa puste miejsca... Robin Stone nie przyszedł i Ethel pożarowała pieniędzy wydanych na nową sukienkę. Jedynym godnym uwagi wydarzeniem wieczoru było to, że została przedstawiona pani Austin. Rzecz nastąpiła w szatni, podczas oczekiwania na okrycia.

Ethel była należycie pokorna, pani Austin zaś, komplementując program Chrisa, należyście łaskawa.

Po powrocie do hotelu Chris nie posiadał się ze szczęścia.

— Widziałaś, jak Gregory Austin podszedł do mnie, żeby powiedzieć, że jestem najlepszy? Wcale nie musiał tego robić. Specjalnie podszedł. Wiesz, że mógł tylko skinać głową. Jest, kapujesz, znany z tego, że trzyma się na dystans od swoich gwiazd. Jezu, nigdy nie zapomnę tego noworocznego przyjęcia. Skłonił mi się tylko raz i pewnie nie miał nawet pojęcia, kim, u diabła, jestem. — Nagusieńki rzucił się na łóżko. — Chodź, dziecino, obudź do życia mojego lizaka. W końcu powinnaś sobie poczytać za honor, że możesz zrobić królowi frajdę...

Zignorowała go i dalej rozbraiała się niespiesznie. Chris z pogodną zadumą gapił się w przestrzeń.

— Wiesz, co ci powiem? To jest za słabe. Król. Jest wielu królów — w Anglii, Belgii, w Szwecji, w... no, jest cała kupa królów, ale tylko jeden Chris Lane. Muszę mieć jakąś ksywkę.

— Przymierz się do Pana Boga.

— Nieee, to by było świętokradztwo. — Zastanawiał się przez chwilę. — Hej, a co powiesz na „Dynamit”? Tak... o to chodzi: pan Dynamit. Zaczynij przemycać to do prasy, dziździu. No bo jestem bombowy! Zauważyłaś, z jakim zachwytem pani Austin mówiła o moim programie? A to dlatego, że jestem największym artystą...

— Gdyby wiedziała — przerwała mu Ethel — w jakich godzinach i za jakie pieniądze pracuję u Herbiego Shine'a, doszłaby na pewno do wniosku, że jesteś największy dusigrosz.

— Bardziej by ją zdziwiło, gdyby usłyszała, że jesteś moją utrzymanką — warknęła. — W uczciwej pracy nie ma nic złego.

— Ha! Ludzie wiedzą, że ci dają, ale wiedzą też, że jesteś za skąpy na to, by mieć utrzymankę.

— Nikt nie mówi, że jestem skąpy.

— Masz przed sobą żywy przykład, że jest inaczej. Jestem twoją dziewczyną od bez mała pięciu miesięcy. Ludzie pokazują sobie palcami moje sukienki, ale nie śmieją się ze mnie... oni naśmiewają się z ciebie! — Widząc, jak jego twarz oblewa się rumieńcem, doszła do wniosku, że może posuwać się za daleko i złagodziła głos. — Posłuchaj, jest mi obojętne, czy robisz mi prezenty, czy nie. Chodź o tego Herbiego Shine'a. Bez przerwy pozwala sobie na przycinki, że jesteś pazerny, bo gdybyś nie był, to nie pozwoliłbyś mi pracować w takiej szopie, jak jego biuro. Bo to naprawdę jest szopa, Chris. Myślę,

że nie taki Shine powinien prowadzić twoją reklamę. Cully i Hayes — to jest firma w sam raz dla ciebie.

— Za tysiącza tygodniowo?

— Stać cię na to.

— To po prostu wyrzucony pieniądz. Załatwią ci wprawdzie zaproszenia na te wszystkie szpanerskie balangi, ale ani jednej wzmianki w prasie. A Herbie jakoś daje z tym sobie radę.

— Tylko że Herbie nie jest w stanie załatwić jakiegokolwiek artykułu w magazynach.

— Tym się zajmuje biuro prasowe IBC. Herbie jest od wzmianek.

— Za które płacisz mu trzysta dolarów tygodniowo.

— Właściwie tylko sto pięćdziesiąt. Drugie sto pięćdziesiąt idzie na twoją pensję.

— Tak ci się tylko zdaje — obrabiam mu dziesięć innych zleceń... oto na co idą twoje pieniądze.

— Skurwysyn — powiedział cicho Christie.

— Chris, pozbądź się Herbiego i zatrudnij mnie na jego miejsce.

Uśmiechnął się zjadliwie. — Za trzysta tygodniowo? Kiepski interes. W dotychczasowym układzie mam za tę forszę i ciebie, i Herbiego.

— Herbie w twoich sprawach nie rusza nawet palcem. Ściąga cię do tych wszystkich nędznych knajpek i w ten sposób załatwia wzmianki... a restauracje jeszcze mu za to płaca! Posłuchaj, Chris, daj mi dwieście tygodniowo — stówkę mniej, niż płacisz Herbiemu — a ja zrobię dokładnie tę samą robotę. Znam dziennikarzy, będziesz miał swoje wzmianki. Poza tym będę w każdej chwili do twojej dyspozycji; pamiętasz, jak w zeszłym tygodniu musiałam zostawić cię w Copa, bo Herbie kazał mi robić obsługę jakiegoś swojego klienta?

Zmrużył oczy.

— Parszywy gnojek. — Zamilkł na moment, a potem powiedział z szerym uśmiechem: — Okay, lalczko, załatwiłaś sobie fuchę. Zapłaciłem Herbiemu z góry za ten tydzień, więc odczekaj do piątku, weź czek, a potem każ mu się pocałować w dupę. Powiedz, że to propozycja Chrisa.

Rzuciła się na niego, obcałowując go po twarzy.

— Och, Chris, kocham cię, jesteś moim panem, moim życiem!

— Okay, a teraz do roboty. Doprowadź Dynamit do eksplozji.

Kiedy wywiązała się z zadania, a Christie począł wypełniać formularz załączników, sięgnęła po poranne gazety. Na trzeciej stronie „Daily News” zobaczyła zdjęcie Amandy, którą wnoszono do szpitala. Obok noszy, trzymając Amandę za rękę, szedł Ike Ryan. Uważnie przeczytała artykuł. Amanda ze-

mdlała na przyjęciu. Diagnoza brzmiała: wewnętrzne krwawienie z wrzodu. Stan Amandy określono jako „zadowolający”. Ethel skrzętnie ukryła gazetę. Wprawdzie Chris od dawna nie wymieniał jej imienia, ale nie była pewna, co naprawdę czuje. Zastanawiała się też, co poczuł Robin, kiedy Amanda wyszła za Ike’a Ryana. Potem pomyślała o dwóch pustych krzesłach na wczorajszym przyjęciu. Podziwiała jego bezczelność; trzeba odwagi, żeby nie pokazać się na takiej imprezie...

Rozdział siedemnasty

Robin zamierzał się pokazać. Powiedział Tinie, nowej dumie wytwórni Century Pictures, żeby była gotowa o ósmej, i nawet zamówił samochód. Był rad, że w zeszłym tygodniu wybrał się na tę premierę. Z reguły unikał podobnych imprez, ale powrócił ostatnio do swojej książki, przez kilka tygodni ślezczał nad nią całymi wieczorami i nabrał ochoty na relaks. A Bóg stworzył Tinę St. Claire dokładnie w tym celu. Była piękną bezmózgą istotą, która przybyła do Nowego Jorku, żeby promować film. Grała w nim jedynie małą rolę, skoro wszakże gwiazdy były zajęte, Tina St. Claire, debiutantka z Georgii, zgodziła się ruszyć w trasę — San Francisco, Houston, Dallas, St. Louis, Filadelfia i wreszcie Nowy Jork. Wytwórnia zaopatrzyła ją w agenta prasowego, garderobę wypożyczoną z rekwizytorni, a także apartament w hotelu St. Regis, który jednak Tina miała rzadko okazję widywać. W ciągu trzech dni siedmiokrotnie wystąpiła w telewizji i dziesięciokrotnie w radiu, udzieliła czterech wywiadów, a także udała się do domu towarowego, aby składać autografy na albumie z muzyką filmową. To ostatnie przedsięwzięcie okazało się bolesniejsze dla jej ego niżli dla stóp: w ciągu dwóch godzin stania Tina nie doczekała się żadnego wielbiciela. Cały ten cyrk znalazł kulminację w uroczystej premierze i popremierowym przyjęciu, na którym agent prasowy wręczył jej powrotny bilet do Los Angeles (w klasie turystycznej) i udzielił instrukcji, by nazajutrz wymeldowała się z hotelu.

Była zrozpaczona. Gdy po dwóch bourbonach z colą poznała na przyjęciu Robina, opowiedziała mu swą smętną historię: — Uhoiłam się jak czahna kuhwa i tehoz muszę whacać. I po co? Żeby czekać, aż mi odpalą następną małą hólkę! Jestem w Nowym Johku piehwszy baz i słowo honohu, że widziałam tyle co nic!

— Więc zostań — zaproponował Robin. — Pokażę ci miasto.

— Jak mam zostać, skoho zostało mi tylko dziesięć dolców w gotówce i powhotny bilet? Nie stać mnie na hotel. Zahabiam tylko sto dwadzieścia pięć tygodniowo! Uwierzysz? Moja siostra, która jest kelnerką w Chicago, ma więcej!

Po dwóch następnych bourbonach z colą Tina wymeldowała się z hotelu i rozbiła obóz w mieszkaniu Robina, który przez następny tydzień żył w otoczeniu maskar, cieni do powiek, pudrów i kremów. Nie mógł uwierzyć, że dziewczyna o wyglądzie tak świeżym i naturalnym może pacykować twarz taką ilością świństw. Tina miała więcej pędzli niż artysta malarz. Był zmuszony ewakuować swój manuskrypt do biura, bo zdaniem Tiny biurko było najlepszym miejscem do przyklejania sztucznych rzęs. Niebawem doszedł do wniosku, że praca w gabinecie sprawia mu dużą przyjemność. Wyłączał telefony i między piątą a siódmą pisał jak najęty.

Wyjął kartkę z maszyny i spojrzął na zegarek: za kwadrans siódma, czas wracać do domu. Tina była dlań równorzędną partnerką — nienasycona w łóżku, nie zadawała pytań, niczego nie żądała — a jednak bez żalu myślał o jej rychłym wyjeździe.

Odłożył manuskrypt i zapalił papierosa. Nie miał ochoty iść do Waldorfa, skoro jednak chodziło o dobroczynną imprezę pani Austin, powinien wpaść choć na chwilę. Cóż, wymkną się z Tiną po przemówieniach; obiecał jej, że pójdą do El Morocco. Nie był to jego teren, lecz przecież miał jakieś zobowiązania wobec tej małej nimfomanki! Ogolił się maszynką elektryczną w słuźbowej toalecie, bo także w jego własnej łazience Tina zajęła pryzczótek. Po tem wrócił do gabinetu i włączył telewizor na wiadomości o siódmej.

Zaraz na wstępie pojawił się Andy Parino, rozprawiający z podnieceniem o kolejnej obserwacji latających talerzy. Robin słuchał bez szczególnego zainteresowania, dopóki na ekranie telewizyjnym nie pokazano zdjęć. Były zamazane, lecz, na Boga, wyglądały autentycznie. Zbliżyły się do odbiornika... dałby sobie głowę uciąć, że dostrzegł świetliki!

— Pentagon utrzymuje, że chodzi o balon meteorologiczny — ciągnął ironicznie Andy Parino. — Skoro tak, to dlaczego wysłano do zbadania obserwacji człowieka z Programu Bluebook? Czy ośmielimy się założyć, iż w całym bezbrzeżnym wszechświecie tylko nasza planeta zrodziła życie? Wszak nasze słońce — będące pośledniejszą gwiazdą w naszej galaktyce — ustępuje pod wieloma względami innym słońcom. Dlaczegoż by jakaś planeta w jakimś odległym systemie słonecznym nie miała dać początków rozumnemu życiu, które teraz wyprzedza w rozwoju nasze o dwadzieścia milionów lat? Najwyższy czas, aby zająć się poważnym zbadaniem tego problemu i udostępnić ustalenia całej opinii publicznej.

Robin był zafascynowany; będzie musiał pogadać z Andym.

Było już wprawdzie późno, ale, u diabła, nic się nie stanie, jeśli dobieje do Waldorfa o wpół do dziewiątej. Połączył się z Andym, pogratulował mu mi-gawki i poprosił o dalsze szczegóły.

— Sytuacja wygląda tak, jak ją przedstawiłem na antenie — odparł Andy.

— Dobrze ją przedstawiłeś, chłopcze. Kto napisał tekst?

Nastąpiła chwila ciszy, a potem Andy powiedział: — Maggie Stewart. — I, nie doczekawszy się reakcji Robina, dodał: — Pamiętasz, opowiadałem ci o niej.

— Wygląda mi na bystrą dziewczynę.

— Wciąż jej nie mogę namówić na małżeństwo...

— Cóż, jak powiedziałem, wygląda na bystrą dziewczuchę. Jak tam u was z pogodą?

— Siedemdziesiąt*, niebo bez chmurki.

— My mamy trzydzieści stopni** i zanosí się na deszcz.

— Wiesz co, Robinie? Gdybym był dyrektorem programów informacyj-nych, szukałbym wiadomości w ciepłych miejscach zimą i w chłodnych latem.

— Gdyby to tylko było możliwe!

— Cóż, muszę kończyć. Maggie prawdopodobnie siedzi w barze przy Gold Coast. To nad samą zatoką... widać jachty zawijające do portu. Człowie-ku, jest bosko: siedzisz sobie przy oknie, gapisz się na księżyc i wodę...

— Jesteś szczęściarz — powiedział Robin zawistnie. — Ja muszę wbić się w smoking i zasuwać do Waldorfa.

— Dobrze ci tak, bo zapominasz, że masz tylko jedno życie. Wpadłbyś do nas na kilka dni, żeby rozprostować kości!

— Nie byłoby to złe.

— Muszę bieć, jesteśmy na kolację umówieni z facetem, który zaobser-wował UFO. To żaden czubek — wykłada matematykę na uniwersytecie i zdołał nawet obliczyć kątową prędkość obiektu. Sądzę, że wyjdzie z tego cieka-wy program... może na niedzielne popołudnie.

— Chwileczkę! — powiedział Robin. — To mógłby być świetny materiał do któregoś wydania *Z bliska*. Powiedzmy, że weźmiemy tego twojego mate-matyka, kilku innych wiarygodnych obserwatorów z innych części kraju, a do tego damy zdjęcia. Po drugiej stronie posadzimy paru facetów z Pentagonu i ostro się do nich dobierzemy...

— Czy mam ci podesłać ten materiał?

* W skali Fahrenheita (przyp. tłum.).

* Jak wyżej.

— Nie, przyjadę sam. Chcę pogadać osobiście z twoim wykładowcą.

— Kiedy będziesz?

— Dziś w nocy.

Pauza. — Dziś w nocy?

Robin wybuchł śmiechem. — Stosuję się do twojej rady. W końcu naprawdę potrzebuję kilku dni słońca.

— Okay, załatwię ci apartament w hotelu Dyplomata. To zaledwie parę kroków ode mnie, a poza tym mają wspaniałe tereny golfowe.

— Więc do zobaczenia o dwunastej trzydzieści.

— Nie, Robinie... zobaczysz tylko wielką czarną i pustą limuzynę. Mówiłem ci, że jestem umówiony z Maggie.

— Ty draniu! — powiedział ze śmiechem Robin. — Więc po prostu z nią biwakujesz?

— Kiedy poznasz Maggie, dojdiesz do wniosku, że stawianie takich pytań jest niestosowne. Nawet nie mieszkamy w jednym budynku.

— Okay, Andy, wobec tego widzimy się jutro rano.

Kiedy piętnaście po ósmej Robin wchodził do swego mieszkania, Tina, u fryzjorki w stylu greckim i ubrana w suknię wieczorową, zawirowała wokół niego tanecznym krokiem. — Najdłhoższy, nigdy nie zgadniesz! — zaszczybiotała. — Dostałam wiadomość z wytwórni, że mam się zgłosić dopieho za tydzień... czy to nie wspaniałe? Ale tehas musimy się spieszyć! Przygotowałam ci smoking i wóz już czeka.

Wszedł do sypialni i wyjął walizkę. Tina pospieszyła za nim.

— Muszę lecieć do Miami — oświadczył Robin.

— Kiedy?

— Zaraz. Jedziesz ze mną?

Żałośnie skrzywiła twarz. — Ja mieszkam w Los Angeles, a Los Angeles to takie Miami ze smogiem.

Obserwowała ze zdumieniem, jak podniósł słuchawkę i telefonicznie zarezerwował bilet.

— Hobin, po phostu nie możesz się zmyć jak gdyby nigdy nic. A co z tą wielką imphezą twojego szefa?

— Wyślę jutro telegram w wszelkimi należytyimi przeprosinami. — Złapał walizkę, przerzucił płaszcz przez ramię i skierował się ku drzwiom. Na moment zatrzymał się przy stole i położył na blacie kilka banknotów. — Masz tu coś koło setki!

— Kiedy whócisz?

— Za cztery albo pięć dni.

Uśmiechnęła się z ulgą. — Och... więc jeszcze będę.

Popatrzył na nią, unosząc brwi. — Lepiej, żeby cię nie było.

Jej oczy zaokrągliły się ze zdumienia. — Myślałam, że mnie lubisz.

— Malefika, ujmijmy to w taki sposób: poznaliśmy się podczas rejsu turystycznego po Morzu Karaibskim. Teraz dobiliśmy do pierwszego portu, w którym — tak się akurat złożyło — ty musisz zejść na ląd.

— Co byś zhobił, gdybym postanowiła pozostać na pokładzie?

— Wyrzucił cię za burtę.

— Niemożliwe!

Uśmiechnął się szeroko.

— Jasne, żeby to zrobić. Bo pamiętaj: ten statek należy do mnie. — Po-całował ją w czoło. — Cztery dni i nie ma tu ciebie!

Kiedy wyszedł z mieszkania, Tina długo jeszcze wpatrywała się w zamknięte drzwi.

Na florydzkim lotnisku czekała limuzyna; w hotelowym apartamencie panował wzorowy porządek; nie brakło nawet wódki i lodu. Obok butelki leżała kartka od Andy'ego: „Zadzwoń z rana, dobrze się wypij. Andy”.

Robin kazał sobie przynieść miejscowe gazety. Potem rozebrał się, przygotował lekkiego drinka i wygodnie legł w łóżku. Dziewczyna uśmiechająca się ze zdjęcia na drugiej stronie miała znajomy wygląd... Amanda! Była to reklamowa fotka: Amanda stała z odrzuconą głową, a strumień powietrza z dmuchawy rozwiewał jej włosy. Pospieszenie przeczytał artykuł — zatytułowany CHOROBA NAJPIĘKNIEJSZEJ DZIEWCZYNY W NASZYM MIEŚCIE, a potem telefonicznie złapał w Los Angeles Ike'a Ryana.

— Coś poważnego? — zapytał.

— W jej przypadku każda sekunda jest najpoważniejszą sprawą świata. Od maja żyje na kredyt.

— Chodzi mi o to... — Robin urwał.

— Nie, to jeszcze nie koniec. Posłuchaj, nauczyłem się obcować ze śmiercią, sam po trochu umieram każdego dnia. Wiesz, jak to jest, Robin, kiedy widzisz tę piękną dziewczynę... choroba czyni ją jeszcze piękniejszą... o cerze jak porcelana. Uważnie ją obserwuję i wiem, kiedy jest zmęczona, choć udaje, że wcale nie jest. Spozstrzegam w jej oczach coś na kształt strachu — ona rozumie, że takie zmęczenie nie jest rzeczą naturalną. Obracam to wszystko w żart, sam udaję zmęczenie, mówię o zmianie klimatu w Kalifornii, o smogu. Co tu zresztą gadać! Dzięki Bogu, chwilowo przychodzi do siebie. Wczoraj dali jej litr krwi. Jutro zaczną kurację nowym lekarstwem... doktor uważa, że poskutkuje i przy odrobinie szczęścia nastąpi kolejna kilkumiesięczna remisja.

— Ike, Amanda pociągnęła jakoś od kwietnia, osiem miesięcy dłużej niż dawano jej na początku...

— Wiem i wmawiam sobie, że remisja musi nastąpić. Ale te cholerne komórki rakowe uodporniają się na lekarstwa. Przyjdzie dzień, kiedy nie będziemy już mieli w zanadru żadnych środków.

— Ike, ona nie wie, prawda?

— I tak, i nie. Zaczyna podejrzewać. Byłaby idiotką, gdyby nie zaczęła, chodząc raz w tygodniu na badanie krwi. I raz w miesiącu na badanie szpiku. Chryste, widziałem to raz i omal nie zemdlałem — wbijają igłę prosto w kość! A jej nawet nie drgnie powieka. Spytałem ją później, czy bolało, a ona — uwierzysz? — uśmiechnęła się i skinęła głową, że tak! Kiedy pyta, dlaczego robią jej badania co tydzień, próbuję się wymigać i mówię, że chcę mieć silną dziewczynę i dlatego stawiam na błyskawiczną kurację. Ale ciekawia ją różne dziwne rzeczy... czasem widzę, jak z uwagą czyta w prasie artykuły medyczne. W głębi duszy wie, że coś jest cholernie nie w porządku, ale wciąż nie chce w to uwierzyć. Przy tym bez przerwy się uśmiecha, bez przerwy się mną przejmuję. Robin, wiele się nauczyłem od tej dziewczyny. Nigdy nie spotkałem człowieka tak odważnego, nie wiedziałem nawet, co znaczy słowo „odwaga”, zanim nie poznałem Amandy. Jest śmiertelnie przerażona a przecież tego nie okazuje... Czy wiesz, co powiedziała mi dziś wieczorem? Otóż popatrzyła mi w oczy i powiedziała: „Wiem, jakim jestem dla ciebie ciężarem, najdroższy. A tak chciałeś pojechać do Palm Springs”.

Głos Ike'a załamał się.

— Ja ją kocham, Robin. Wdałem się w tę historię bez miłości, zrobiłem to ze śmierzdzących egoistycznych powodów. Sądziłem, że ma przed sobą sześć miesięcy, a potem cichutko położy się i umrze. Zamierzałem zafundować jej superbalangę, potem superpogrzeb... i zebrać aplauz. Widziałem to tak, jakbym wystawiał spektakl, wiedząc, że niedługo zdejmę go z afiszy. Pewnie chce ci się rzygać? Bracie, te wszystkie drobne kurewki, które rozstawiałem po kątach, mogą teraz zacierać ręce. Bo po raz pierwszy w całym swoim parszywym życiu jestem naprawdę zakochany. Robin, oddałbym ostatniego centa, żeby ją uzdrowić. — Ike łkał zupełnie otwarcie.

— Czy mógłbym ci w czymś pomóc? — zapytał Robin. Słyszając płacz takiego mężczyzny jak Ike, czuł się zupełnie bezradny, a jednak nie potrafił wycisnąć z siebie nic innego.

— Chryste — powiedział Ike. — Nie płakałem od śmierci mojej matki. Wybacz, że padło to na ciebie. Ale po raz pierwszy komukolwiek o tym powiedziałem... wiemy tylko ty, ja, Jerry i doktor. A na użytek Amandy muszę być na luzie... Teraz pękłem. Wybacz.

— Ike, jestem w Miami Beach, stanąłem w hotelu Diplomat. Dzwoni co wieczór, jeśli zechcesz. Pogadamy.

— Nie. Dziś mi pomogło... ale na tym koniec. Znoszę wszystko z jednym wyjątkiem: kiedy mnie namawia, żebyśmy mieli dziecko. Tak cholernie tego pragnie! Gdybyś widział, jak traktuje swojego kota...

— Ten kot ma dużą klasę — stwierdził Robin.

Po dłuższej pauzie Ike odezwał się ściszym głosem:

— Powiedz mi jedną rzecz, Robin. Zaliczyliśmy we dwóch wiele babek — całe tony babek — prawdziwych dziwek. Założysz się, że każda z nich dożyje setki? A ten dzieciak, który nigdy nie miał prawdziwej szansy, który nigdy nikomu nie zrobił nic złego... Dlaczego tak jest? Dlaczego?

— To przypomina grę w kości — powoli odparł Robin. — Głodny facet, który postawi na jeden rzut ostatnie oszczędności żony, wygra figę, ale niech no tylko weźmie się do gry Paul Getty: murowane, że zgarnie pułk dziesięć razy pod rząd.

— Nie, to nie może być takie proste. Nie jestem religijnym facetem, ale tych osiem minionych miesięcy skłoniło mnie do namysłu. Nie chcę powiedzieć, że zamierzam pognać do kościoła czy synagogi... lecz przecież wszystko powinno mieć jakiś sens. Amanda liczy dwadzieścia pięć lat, Robin, tylko dwadzieścia pięć lat; ja jestem o dwadzieścia starszy. Go, do cholery, takiego zrobiłem, że przeżyłem dwa razy więcej niż ona? Trudno mi uwierzyć, że za kilka miesięcy Amanda zniknie, pozostawiając tylko kilka fotek na dowód, że w ogóle była. Dlaczego musi odejść, mając w sobie tyle piękna, tyle życia, tyle miłości do zaferowania? >

— Może to, co zrobiła dla ciebie w ciągu tych ośmiu miesięcy, dało sens jej całemu życiu? Mnóstwo ludzi przewija się przez nasz świat, nie pozostawiając po sobie żadnego śladu.

— Wiem jedno — powiedział Ike. — Chcę jej urządzić takie Boże Narodzenie, o jakim nawet nie śniła. Robin... chcę, żebyś przyjechał! Musisz! Chcę, żeby to było naprawdę coś wyjątkowego!

Robin milczał. Nienawidził chorób — a widzieć Amandę, mając świadomość, że...

Ike wyczuł jego wahanie. — Może jestem egoistą — powiedział. — Przypuszczalnie masz rodzinę, z którą zechcesz spędzić święta. Po prostu pragnę dostarczyć jej jak najwięcej wrażeń, napełnić treścią każdą sekundę.

— Przyjadę — odrzekł Robin.

Część druga



Maggi

Rozdział osiemnasty

O drugiej nad ranem Maggie Stewart jeszcze nie spała. Wypaliła całą paczkę papierosów i przez trzy godziny nieustannie przemierzała krótką drogę pomiędzy salonem a balkonem, skąd rozpościerał się widok na zatokę. Lubiła patrzeć na zatokę: ocean był wprawdzie bezkresnym pustkowiem, ale tu kipiało życie. Migocące światła kotwiczących w niej wielkich jachtów przemieniały ciemną wodę w roziskrzony brokat. Zazdrościła ludziom, śpiącym w kajutach łodzi — zazdrościła tego, że fale, łagodnie uderzając o burty, czynią z jachtu wielką kołyskę. Zaciskała dłonie na balustradzie tarasu, aż pobiełały jej kostki.

Był tu Robin Stone! W tym samym mieście. Jutro staną ze sobą twarzą w twarz. Co mu powie? I co on jej powie? Dziwne, ale wróciła pamięcią do Hudsona. Po raz pierwszy od półtora roku pozwoliła sobie pomyśleć o nim. Już dawno temu, czy może raczej natychmiast po ślubie z Hudsonem, przekonała się, że nieszczęścia najlepiej ignorować, bo pamięć tylko je krzepi, utrzymuje przy życiu. Więc dopiero teraz, po raz pierwszy, pozwoliła, by wizerunek Hudsona nabrał ostrości. Ujrzała twarz skrzywioną w uśmiechu, najpierw tylko zabarwionym goryczą, później coraz bardziej obrzydłym i przerażającym. Taki był właśnie w chwili, gdy widziała go po raz ostatni; później przestała cokolwiek widzieć.

Odnosiła wrażenie, iż od czasu, gdy mieszkała w wielkim domu pana Hudsona Stewarta III, minęło bardzo wiele lat. Dlaczego mężczyznom wybacza się prawie wszystko, kobiety natomiast nie mogą odstąpić na krok od wyznaczonych im norm?

Poślubiła Hudsona, kiedy miała dwadzieścia jeden lat. Oficjalnie małżeństwo trwało trzy lata. Nie potrafiła przypomnieć sobie dokładnie, co czuła na

początku. Chciała być aktorką, fakt — to marzenie obudziło się w niej jeszcze w dzieciństwie, gdy po raz pierwszy ujrzała na ekranie Ritę Hayworth; skryształizowało, kiedy poszła na pierwszą prawdziwą sztukę do teatru Forrest. Żywi aktorzy na scenie sprawili, że film wydał się jej nagle blady i nierzeczywisty. Wówczas postanowiła, że zostanie aktorką teatralną. Podjęła tę decyzję jako dwunastolatka i zakomunikowała ją przy obiedzie. Rodzice uśmiechnęli się pobłażliwie i zbagatelizowali rzecz jako kolejny wyskok dorastającej dziewczyny. W szkole średniej jednak wstąpiła do kółka teatralnego i podczas weekendów studiowała Czechowa, zamiast chodzić na potańcówki. Prawdziwy wybuch nastąpił wówczas, gdy oznajmiła, że nie zamierza iść do college'u, lecz wybiera się do Nowego Jorku, żeby spróbować szczęścia w teatrze. Matka popadła w histerię.

— Och, Maggie — powtarzała z płaczem — zostałam przyjęta do Vassar. Wiesz przecież, ile musiałam ponieść wyrzeczeń, żeby uzbierać na college!

— Nie chcę iść do college'u. Chcę grać!

— Życie w Nowym Jorku jest drogie... minie rok albo i dwa lata, zanim dostaniesz jakąś pracę. Z czego będziesz się tymczasem utrzymywać?

— Z pieniędzy, które odłożyłam na Vassar. Po prostu daj mi połowę.

— O, nie! Nie dam ci pieniędzy, żebyś pojechała do Nowego Jorku i sypiała z różnymi aktorzynami albo oblesnymi staruchami, którzy wystawiają spektakle. Maggie... żadna dobrze wychowana dziewczyna nie jeździ do Nowego Jorku.

— Grace Kelly pojechała do Nowego Jorku... i była dobrze wychowaną dziewczyną.

Matka nie dawała za wygraną — Taka jak ona zdarza się raz na milion. Poza tym była bogata. Och, Maggie, ja nie miałam szansy skończyć college'u. Twój ojciec zapracowywał się, żeby do czegoś dojść. Marzyliśmy, aby nasza córka poszła do najlepszej szkoły. Proszę... wstąp do Vassar, a potem, po skończeniu nauki, jeśli nadal będziesz chciała jechać do Nowego Jorku... będziesz wtedy miała zaledwie dwadzieścia jeden lat.

Wstąpiła do Vassar. Poznała Hudsona, kiedy była na ostatnim roku. Wydał się jej dość atrakcyjny, matka jednak nie posiadała się ze szczęścia. — Och, Maggie, nie mogłabym marzyć o niczym więcej! Jedna z najlepszych rodzin w Filadelfii i przy tym taki majątek! Żeby tylko Stewartowie się nie sprzeciwili. W końcu jesteśmy szanowani, twój ojciec jest lekarzem.

— Spotkałam się z nim dopiero dwa razy, mamó, a poza tym nadal chcę jechać do Nowego Jorku.

— Nowy Jork? — głos matki zabrzmiał piskliwie. — Posłuchaj, młoda damo: wybij sobie ten pomysł z głowy. Oszczędzałam, żeby wysłać cię do Vassar.

Kiedy powiedziałas, że mieszkasz w pokoju z Lucy Fenton, zrozumiałam, że wszystko jest na dobrej drodze... że na pewno poznasz odpowiednich chłopców, bo Lucy tylko z takimi przestaje!

— Jadę do Nowego Jorku!

— Za co?

— Cóż... najpierw rozejrzę się za jakąś pracę, a później spróbuję szczęścia w teatrze.

— A twoim zdaniem, o jaką pracę mogłabyś się ubiegać, moja piękna pannenko? Nie piszesz na maszynie. Nie masz żadnych konkretnych umiejętności. Nie powinnam ci była pozwolić na te zabawy w kółko teatralne, ale naiwnie sądziłam, że ci to przejdzie. I nie sądz, że nie zauważyłam, jakim lunatycznym spojrzeniem obrzucałaś to zamorskie dziwadło.

— Adam urodził się tu, w Filadelfii!

— Więc może nie zaszkodziłaby mu kąpiel i postrzyżyny!

Zdumiała ją fakt, że matka pamięta Adama, bo nigdy jej o nim nie opowiadała. Należał w szkole do tego samego kółka teatralnego co ona, potem wyjechał do Nowego Jorku, a teraz zjawił się w Filadelfii z prawdziwym broadwayowskim spektaklem. Oczywiście, była to tylko grupa wędrowna, w której pełnił rolę pomocnika inspicjenta, ale jednak przebił się; dołączył do grona prawdziwych zawodowców. Sztuka szła przez trzy miesiące i Maggie widywała się z Adamem podczas każdego weekendu. Potem, w przeddzień pożegnального spektaklu, Adam zaprosił ją do siebie do hotelu. Zawahała się... lecz zaraz potem ujęła go pod ramię:

— Spędzę z tobą noc, bo właśnie uświadomiłam sobie, że chciałabym z tobą spędzić życie. Nie możemy wziąć ślubu, zanim nie skończę college'u. Matka i tak jest wściekła. Nie wierzy, że naprawdę pojedę do Nowego Jorku, więc przynajmniej sprawię jej przyjemność dyplomem.

Adam ujął w dłoń jej twarz.

— Maggie, naprawdę zależy mi na tobie, ale... posłuchaj, kochanie, w Nowym Jorku mieszkam wspólnie z dwoma innymi facetami i przeważnie wiszę na zasiłku. Jak mogę sobie pozwolić na żonę, skoro nie stać mnie nawet na własne mieszkanie?

— Chcesz powiedzieć, że zamierzałeś przespać się ze mną, a potem zwiać?

Wybuchł śmiechem.

— Zwiąć do Detroit, potem Cleveland, St. Louis, a potem znowu do Nowego Jorku, gdzie może mój agent załatwił mi jakąś fuchę na lato. Chcę spróbować szczęścia w reżyserii, ale to oznacza jedną z mniejszych trup... i żadnej forsy. Tak, Maggie, zwiewam. Aktor musi gdzieś zwiewać bez chwili

przerwy. Tylko że nie uciekam przed tobą i na tym polega różnica. Zawsze możesz mnie wytropić przez związek.

— Ale co z nami dwojgiem? Co będziemy z siebie mieli?

— Tyle samo, co każda inna para usiłująca zrobić karierę w branży teatralnej. Zawróciłaś mi w głowie, może nawet cię pokochałem, ale w tym światku nie można robić planów. To nie jest robota od dziewiątej do siedemnastej, tu nie ma stałej pensji, czasu na dzieciaki i przytulne mieszkanie... Jeśli jednak chcesz po college'u przyjechać do Nowego Jorku — bomba... Wprowadzę cię w układy... skontaktuję z moim agentem. A może nawet będziemy ze sobą biwakować.

— A ślub?

Musnął ją palcami po twarzy.

— Nie wyjeżdżaj z Filadelfii, Maggie, jeśli myślisz takimi kategoriami. Albo decydujesz się zostać aktorką, albo żoną.

— Czy nie mogę być jednym i drugim?

— Na pewno nie przy boku początkującego reżysera. To nie może zagrać. Aktorzy i aktorki są bez reszty oddani swojej karierze. Głoduja... harują... marzą...

— I nie zakochują się?

— Och, zakochują bez przerwy. Wówczas idą ze sobą do łóżka, kiedy jednak pojawia się fucha, która dotyczy tylko jednego z nich... cóż, tak to właśnie wygląda. Lecz aktorka nigdy nie czuje się samotna, bo podkręca ją ten płomień w głębi duszy, który czasem nazywa się talentem.

— Chcę iść z tobą do łóżka, Adamie — powiedziała.

Przez chwilę milczał.

— Maggie — zapytał wreszcie — czy spałaś już kiedyś z facetem?

Obrzuciła go wyzywającym spojrzeniem. — Jeszcze nie jestem jedną z tych twoich płonących aktorek. Wciąż mam czyściutką sypialenkę, która służy tylko mnie.

— Więc niech tak pozostanie. Kiedy — i jeśli — trafisz do Nowego Jorku, spróbuj mnie znaleźć.

Jej sześć pierwszych miesięcy z Hudsonem — na ten okres przypadło zresztą ukończenie Vassar — przebiegało w takim podnieceniu, że miała niewiele czasu na analizę swoich uczuć. Próbowwała nie ulec żałosnej skwapliwości, okazywanej przez matkę, lecz mimo to dała się zniewolić i unieść tym wszystkim nowym fascynującym rzeczom, jakie w jej życie wniósł Hudson. Ekskluzywne kluby poza miastem; pierwsza wizyta na wyścigach; dwutygodniowe wakacje w Ocean City, spędzane w domostwie państwa Hudsonów Stewartów II.

We wrześniu ogłoszono ich zaręczyny; dostała od Hudsona pierścionek z siedmiokaratowym brylantem. Zdjęcia narzeczonych ukazały się w „Inquirer” i „Bulletin”.

Pozwalała unosić się akcji, jak gdyby to wszystko było spektaklem teatralnym, w którym partneruje jej Hudson, jak gdyby po trzecim akcie miała opaść kurtyna, a oklaski dać sygnał, że wszystko dobiegło końca.

W miarę jednak przybliżania się daty ślubu zaczynała pojmować, iż z chwilą opadnięcia kurtyny stanie się panią Hudsonową Stewartową III. Co osobliwe, przyjmowała to w pogodzie ducha dopóki — tydzień przed ślubem — nie spotkała się na lunchu z Lucy.

Siedziały w Warwick, omawiając szczegóły uroczystości, aż Lucy zapytała nagle: — Miałś jakiś znak życia od tego aktora... Adama? Przedwczoraj widziałam go w reklamówce telewizyjnej. Nie miał żadnej kwestii i tylko się goił, ale nigdy nie zapomnę jego oczu. Ma w sobie coś zaczepnego. Ponoć Żydzci to bardzo podniecający mężczyźni.

— Żydzi? — To jej nigdy nie przyszło do głowy.

— Adam Bergman — przypomniała Lucy. — Pamiętam, jak mówił któregoś wieczoru... pewnie nie usłyszałaś, marząc o niebieskich migdałach... że agent sugerował mu zmianę nazwiska, bo Bergman ma zbyt żydowskie brzmienie. Adam mu odparł: „Zostanę przy swoim, Ingrid nieźle dała sobie radę”. — Kiedy Maggie milczała, Lucy dorzuciła: — Chyba takie jest życie. Wszystkie zakochujemy się w niewłaściwych facetach. No i wszystko w porządku, jeśli tylko wychodzisz za właściwego za mąż, urządzasz się i masz dzieci. To w szczególności dotyczy ciebie... za każdą sztukę dostajesz milion. Siostrze Hudsona wpadły od starego dwa miliony — to dlatego rodzi rok po roku. My z Budem musimy poczekać na śmierć ojca.

— Ale przecież kochasz Buda?

— Jest zupełnie miły...

— Miły? — Maggie nie usiłowała ukryć zaskoczenia.

Lucy uśmiechnęła się. — Nie mam twojej urody, Maggie. Tylko dobre nazwisko i kupę forsy.

— Och, Lucy, jesteś taka...

— Tylko nie wąż się powiedzieć — przerwała jej z uśmiechem Lucy — „sympatyczna” albo „inteligentna”. Mam swój rozum i wiem, co myślę o swojej urodzie. To dlatego zaproponowałam ci mieszkanie we wspólnym pokoju. Pomyślałam, że jeśli będę dzielić pokój z najładniejszą dziewczyną w szkole, załapię się na szczyptę jej blasku. I rzeczywiście — dopiero wtedy zaczęto na mnie zwracać jakąś uwagę. Tego lata poznałam Harry’ego. Był recepcjonistą w hotelu w Newark. Czy wyobrażasz sobie moją matkę, błogosła-

wiącą związek z jakimś Harrym Reillym, który mieszka w Bronx i studuje na uniwersytecie nowojorskim? Co wcale nie znaczy, że mi się oświadczył. Jesienią poznałam Buda i mama nie posiadała się ze szczęścia. Ja chyba też... no, cóż, żyje się nam ze sobą zupełnie nieźle. Ale przynajmniej miałam z Harrym te dwa cudowne miesiące.

— Chcesz powiedzieć, że... — Maggie urwała.

— Oczywiście, poszliśmy na całość. A ty z Adamem?

Maggie pokręciła głową.

— O rany, jesteś idiotką, Maggie. Przynajmniej raz w życiu dziewczyna powinna iść do łóżka z facetem, na którego punkcie ma prawdziwego kręčka.

— Ale jak wyjaśnisz to Budowi? Nie myśl, że jestem...

— Ach, masz na myśli to średniowiecze — błona dziewicza, krwawienie i tak dalej? Powiem Budowi, że to skutek badań ginekologicznych.

— Sądziś, że się nie pozna?

— Potrafię go oszukać. Po prostu przypomnę sobie tę pierwszą noc z Harrym. Będę leżeć na wznak, udawać kretynkę, trochę pojęczę, stężeję i wszystko zagra. Chcesz coś wiedzieć? Ja z Harrym wcale nie krwawiłam, choć minęło sporo czasu, zanim udało mu się wejść. Na tym właśnie polega ta historia z dziewictwem. Biedny Harry, porwał dwie gumy, zanim mu wyszło. Więc dopilnuję, żeby i Budowi nie było za łatwo... przynajmniej tej pierwszej nocy.

Z Hudsonem Maggie nie musiała udawać niczego; nawet ból był prawdziwy. Hudson potraktował ją brutalnie, próbował w nią wejść natychmiast i Maggie nie czuła nic poza cierpieniem i wstrętem. Tak samo było drugiej nocy i trzeciej. Płynęli na pokładzie „Liberie” do Paryża, gdzie mieli spędzić miodowy miesiąc. Siedząc w luksusowej kabinie, oszołomiona zażywaniem bonaminy, Maggie myślała z nadzieją, że może będzie lepiej, kiedy znów znajdą się na lądzie. W Paryżu jednak, w hotelu „George V”, było jeszcze gorzej. Hudson dużo pił i co wieczór walił się na Maggie, nie czyniąc najmniejszego wysiłku, by okazać jej czułość. Zaspokoiwszy się, natychmiast zasypiał kamiennym snem.

I znów miała nadzieję na lepsze, kiedy po powrocie do Filadelfii zamieszkała w pięknym domu nie opodal Paoli; Hudson wrócił do pracy, Maggie natomiast zatrudniła personel, zaczęła wydawać przyjęcia, chodzić do klubu na lekcje golfa i udzielać się w rozmaitych komitetach dobroczynnych. Jej fotografie zamieszczały kolumny towarzyskie wszystkich lokalnych gazet; stała się nową alfą i omegą filadelfijskiej socjety. Hudson, jak niestrudzony ogier, brał ją każdej nocy, ale nie zwracał sobie głowy pocałunkami czy pieszczotami.

Zrazu sądziła, że nie doznaje orgazmu z własnej winy; po kilku miesiącach straciła wszelką nadzieję i pragnęła tylko, by conocnemu rytuałowi towarzyszyła choćby najdrobniejsza manifestacja uczuć. Gdy próbowała w tej kwestii wysondować Lucy, ta odpowiedziała wzruszeniem ramion. — Mnie czasem się to zdarza, a czasem nie. Ale tak czy owak zawsze pojękuję i udaję, że było cudownie. A jak to wygląda u ciebie i Hudsona?

— Ach, bombowo — odparła pospiesznie Maggie. — Tyle, że — jak powiadasz — nie mam tego za każdym razem.

— Posłuchaj... mnie co się nie zdarzyło od trzech miesięcy. Mimo to jestem w drugim miesiącu. Więc najwyraźniej orgazm nie ma nic wspólnego z poczęciem dziecka. Lepiej jednak dopilnuj, żeby Hudson odpuścił sobie trochę to picie, bo może popaść w czasową impotencję.

Maggie miała wrażenie, że dziecko mogłoby między nimi wiele zmienić. Pozornie zresztą wszystko było w porządku. W towarzystwie innych Hudson zachowywał się wobec niej uprzejmie, a w tańcu mocno ją przytulał, kiedy jednak zostawali ze sobą sami, otwierała się między nimi przepaść.

O Sherry dowiedziała się pod koniec pierwszego roku małżeństwa. Przez ostatnie dwa miesiące Hudson często jeździł w interesach do Nowego Jorku. Samotnie. Tego wieczoru szli na kolację. Maggie ubierała się w sypialni, a Hudson czekał na dole. Wówczas zadzwonił telefon; byli spóźnieni, więc Maggie kończyła fryzurę, sądząc, że odbierze służąca. Telefon uparcie dzwonił. Maggie sięgnęła po słuchawkę i w tym samym momencie, jednym z owych dziwnych zrządeń losu, to samo w holu uczynił Hudson. Maggie zamierzała odłożyć słuchawkę, gdy usłyszała kobiecy szept: — Huddie? Musiałam do ciebie zadzwonić.

Słuchając czuła osobliwy spokój. Głos Hudsona również brzmiał konspiracyjnie. — Cholera, Sherry, mówiłem, żebyś nie dzwoniła do domu.

— Huddie... to bardzo pilne.

— Nie może poczekać do jutra? Zadzwoń do biura.

— Nie mogę, bo będę wówczas w pracy i jeśli nawet pokombinuję coś z międzymiastową, mogłaby usłyszeć któraś z dziewczyn. Czy jest tam gdzieś twoja żona?

— Zaraz będzie. Czego chcesz?

— Huddie, są wyniki. Jestem w ciąży.

— Chryste, znowu?

— Cóż mogę poradzić, kiedy przesunie się spirala? A ty niczego nie zakładasz.

— Ten lekarz w Jersey?

— Tak, ale podniósł cenę do tysiąca.

- No więc zrób to.
- Huddie, on żąda gotówki. Umówiłam się na przyszły poniedziałek.
- Okay, wpadnę w niedzielę i dam ci forszę... nie, lepiej przyjadę w środę tygodnia. Maggie może zacząć coś podejrzewać, jeśli to będzie niedziela. Powiedzmy, w czwartek. Będę u ciebie o ósmej. Boże, gdyby moja żona była tak płodna jak ty! Pozbycie się twojego dziecka kosztuje mnie tysiąc... a jej dzieciak przyniosłby mi milion.

Odłożył słuchawkę. Maggie poczekała, aż rozlegnie się stuk również na drugim końcu linii. Wówczas powoli odłożyła słuchawkę na widełki. Czuła kompletne oszołomienie. Coś takiego nigdy jej nie przyszło do głowy — takie rzeczy, przecież czytała o nich, zdarzają się innym... ale żeby przytrafiły się również jej? Robienie sceny nie miało sensu. Miała dwadzieścia dwa lata i żadnego zawodu. W Filadelfii rozwódka — nawet otrzymująca wysokie alimenty — była skazana na samotność. Tkwiła w ślepych zaułku, nie miała dokąd iść.

Milczała więc na temat Sherry, ale wstąpiła do kółka teatralnego. Hudson, oszołomiony lawiną wolnych wieczorów, nie oponował. Po drugim spektaklu za kulisami pojawił się dyrektor programowy z lokalnej stacji IBC i zaproponował Maggie przedstawianie prognoz pogody. W pierwszym odruchu chciała odmówić, ale potem uświadomiła sobie, że przynajmniej znajdzie coś, czym będzie mogła wypełnić puste dni.

Pracę potraktowała poważnie. Oglądała telewizję, w szczególności programy informacyjne, codziennie brała lekcje dykcji i robiła błyskawiczne postępy. Po sześciu miesiącach przeniesiono ją do działu informacyjnego i dano własny półgodzinny program. Nazywał się *Z Maggie po mieście*; przeprowadzała wywiady ze sławami zarówno lokalnymi, jak i ogólnokrajowymi na dosłownie wszystkie tematy — od mody do polityki. Wkrótce sama stała się osobą sławną i kiedy wkraczała z Hudsonem do teatru czy restauracji, odwracały się w jej stronę wszystkie głowy. Jej sukces Hudson przyjmował z rodzajem wzgardliwego rozbawienia.

Sherry zastąpił dziewczyną o imieniu Irma, która pracowała w jego biurze, i przestał się trudzić wynajdowaniem pokrętnych usprawiedliwień na swoje wieczorne eskapady. Metodycznie jednak, z uporem godnym lepszej sprawy, kochał się z nią trzy razy w tygodniu. Poddawała się temu w beznamietnym milczeniu. A przecież pragnęła dziecka bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

W ten sposób małżeństwo przeciągnęło się na bez mała trzy martwe lata. Lecz Maggie nie zaszła w ciążę, choć wszystkie badania wykazywały, że jest do tego najzupełniej zdolna. Zastanawiała się, czy ten bezwładny dryf nie potrwia wiecznie. Coś musiało postawić mu tamę.

To coś przydarzyło się przypadkowo. Od wielu miesięcy przygotowywano zaplanowane na pierwszą niedzielę marca przyjęcie ku czci Człowieka Roku. Będąc lokalną znakomitością, Maggie uczestniczyła w pracach komitetu organizacyjnego i była zobowiązana do zajęcia miejsca na podium w towarzystwie, między innymi, burmistrza, sędziego Oakesa — przechodzącego na emeryturę bohatera wieczoru — oraz Robina Stone'a, który miał gościnnie wygłosić przemówienie.

Maggie czytywała artykuły Robina Stone'a; mimo niewielkiego doświadczenia dziennikarskiego, zdawała sobie sprawę, iż żywi ludzie nieczęsto potwierdzają taki swój wizerunek, jaki wyłania się z ich dokonań. Lecz Robin Stone idealnie pasował do swoich tekstów: był silny, ostry, przebojowy. Zastanawiała się, jaki jest w stosunkach osobistych.

O szóstej była już w pełnym rynsztunku i gotowa do wyjścia, ale Hudson nie wracał do domu. Niedziele zawsze spędzał w swoim podmiejskim klubie, kiedy tam jednak zadzwoniła, powiedziano jej, że dziś nie było go wcale. Powinna się domyślić: przełajdaczył cały dzień ze swoją aktualną dziewczyną.

Cóż, nie zamierzała rezygnować z koktajlu, który może da jej jedyną szansę zawarcia bliższej znajomości z Robinem Stone'em. Po przyjęciu honorowi goście zwykle mknęli na dworzec. Zerknęła na zegarek: zdąży, jeśli wyruszy natychmiast. Hudson będzie musiał pofatygować się samotnie.

Dotarliszy do hotelu, bez chwili zwłoki pobiegła do Żłotej Sali. Robina Stone'a, który uśmiechał się uprzejmie i popijał martini, otaczał wianuszek pań.

Maggie wzięła z tacy letnią szkocką i wówczas podszedł do niej sędzia Oakes. — Proszę ze mną, przedstawię panią naszemu gościowi. Oczarował wszystkie nasze żony.

Po prezentacji Robin szeroko się uśmiechnął.

— Dziennikarka? Nie wierzę... jest pani stanowczo zbyt piękna jak na intelektualistkę. — Potem nagle wyholował ją z tłumu i ujął pod ramię. — W pani drinku nie ma krztyny lodu.

— To prawdziwe słoństwo — odparła.

Dopił resztę swojego martini. — To też było słoństwo. — Wcisnął pustą szklaneczkę w dłoń sędziego. — Zechce się pan tym zająć. Chodźmy, dziennikarko, poszukamy lodu. — Przeprowadził ją przez salę. — Proszę się nie odwracać — mruknął. — Czy jesteście śledzeni?

— Nie, ale mamy na sobie masę wytrzeszczonych ślepiów. — Wybuchła śmiechem.

Wszedł za bar i zapytał stropionego barmana: — Pozwolisz, stary, że obsłużę się sam? — Nim facet zdolał cokolwiek odpowiedzieć, włął do miksera

potężną miarkę wódki, a potem spojrzął na Maggie. — Chcesz, żebym wzmocnił twoją szkocką, czy może wolisz specjalność Stone'a?

— Proszę o specjalność Stone'a. — Wiedziała, że zachowuje się idiotycznie. Nie zносиła martini. No i wpatrywała się weń jak kretynka. Smakuj tę chwilę — pomyślała jednak. — Jutro znów będziesz tkwić obok Hudsona w swoim bezbarwnym świetle, a Robin Stone, w innym hotelu, w jakimś innym mieście, będzie przyrządzał inne martini.

Podał jej szklankę. — Twoje zdrowie, dziennikareczko.

Wziął ją pod ramię, przeszli przez salę i usiedli na małej kanapie.

Wiedziała, że spoczywają na niej spojrzenia wszystkich obecnych na przyjęciu kobiet, a zarazem doświadczała niezwykłego i nowego dla siebie poczucia zuchwałej wolności. Niech się gapia! Ona jednak nie mogła po prostu siedzieć i gapić się na niego. Musi coś powiedzieć.

— Czytałam, że zrezygnował pan z prowadzenia rubryki, żeby jeździć z odczytami. Ale brak mi pańskich tekstów. — Czuła, że brzmi to wymuszenie i sztucznie.

Wzruszył ramionami. — Prawdopodobnie docierały tu przemielone jak le gumina.

— Chyba nie zawsze. Ale przypuszczam, że ta praca podoba się panu bardziej.

Wychylił swojego drinka, a potem wyjął jej z dłoni nietkniętą szklaneczkę. — Nie, miła dziennikareczko, wcale mi się nie podoba. Ale wykonuję ją dla pieniędzy.

Poczęstował ją papierosem i podał ogień. — A czym się pani zajmuje w swoim pudełeczku?

— Wiadomości... z przechyłem kobiecym.

— I pójde o zakład, że ma pani masę wielbicieli.

— Czy to takie niezwykłe? — zapytała.

— Nie, taka właśnie jest telewizja. Fantastyczna iluzja — odparł. — Stworzyła całą rasę pięknych ludzi.

— Czy jednak nie sądzi pan, że możliwość patrzenia na ludzi umożliwia bardziej osobisty kontakt, daje szansę lepszemu porozumienia?

Wzruszył ramionami. — Och, zapewne budzi uwielbienie dla pewnych osób. Cały świat kocha Lucy, Eda Sullivana czy Boba Hope'a. W tej chwili. Ale to ulotne uczucie... czy pamięta pani, jak kochano Wujaszka Miltiego? Proszę powiedzieć, dziennikareczko, kogo w telewizji kocha pani?

— Kochałabym pana... — urwała, przerażona własnymi słowami.

Uśmiechnął się szeroko. — Jest pani pierwszą rozsądną dziewczyną, jaką spotkałem w życiu. Przechodzi pani prosto do rzeczy.

— Chciałam powiedzieć, że kochałabym pański sposób myślenia, poglądy.

Doił jej drinka. — Proszę nie robić zastrzeżeń, dziennikareczko, bo to może wszystko między nami zniszczyć. Świat roi się od asekurantek. Pani styl budzi moje uznanie. Skoczmy po dolewkę.

Podążając za nim do baru, myślała z mieszaniną zdumienia i podziwu, jak błyskawicznie uwiął się z dwoma drinkami. Przyrządził dwa następne i podał jej szklanekę. Pociągnęła łyczek i tylko dzięki wysiłkowi woli nie wykrzywiła z niesmakiem twarzy. Była to prawie czysta wódka. Powoli zaczęły podchodzić następne kobiety i niebawem Robina znów otaczał tłumek. Robin uprzejmie odpowiadał na pytania, uśmiechał się, ale ani przez chwilę nie puszczał ramienia Maggie, której oczy co chwila uciekały ku drzwiom. Nagle zaczęła się modlić, by nie stanął w nich Hudson...

Rozległ się cichy brzęk dzwonka, a przewodniczący komitetu klasnął w dłonie.

— Gdzie pani siedzi, dziennikareczko? — zapytał Rabin.

— Chyba tam. — Usłyszała swoje nazwisko. Odeszła od Robina i stanęła w szeregu.

Robin klepnął w ramię stojącego za nim przewodniczącego. — Czy nie zechciałby się pan zamienić miejscami z moją dziennikareczką? Jesteście, panowie, wspólnie z sędzią Oakesem niezmiernie atrakcyjnym towarzystwem, ale po tych dziewięćdziesięciu milach podróży wolałbym mieć u boku tę młodą damę.

Kiedy weszli do sali balowej, Robin usadził Maggie obok siebie. Czuła, że wpatrują się w nią wszyscy zebrani. Robin, którego możliwości zdawały się nie mieć granic, zamówił następne martini. Po trzech martini z wódką Hudson byłby kompletnie pijany, Robin natomiast sprawiał wrażenie człowieka idealnie trzeźwego. Nikt jednak nie może zupełnie bez efektu pochłonąć tyle alkoholu.

Dostrzegła, że do sali wkracza Hudson i zajmuje miejsce na drugim końcu podium; Maggie zorientowała się, że jego sąsiad wyjaśnia mu nagłą zmianę konfiguracji przy stole prezydiálním. Nic nie mogła poradzić na to, że wyraz zaskoczenia, jaki pojawił się na jego twarzy, sprawił jej ogromną przyjemność.

Usłyszała, że przewodniczący przedstawia Robina. Gotując się do powstania, pochylił głowę i wyszeptał: — Posłuchaj, dziennikareczko. Zamierzam uporać się z tym najszybciej jak zdołam. Gdybym chciał, mógłbym tu dostać apartament; bo twoi filadelfijczycy okazali się niezwykle hojni. Jeśli zdołasz się wymknąć i spotkać ze mną, zostanę. W przeciwnym razie spróbuję po zakończeniu tego przedstawienia złapać pociąg o jedenastej trzydzieści.

Wstał i zszedł, aż umilkną oklaski. Potem pochylił się ponownie i wyszeptał Maggie do ucha: — A więc do rzeczy, dziennikareczko...

— Będę.

— Grzeczna dziewczynka. Apartament 17B. Po moim wyjściu odczekaj dłuższą chwilę, a potem... na górę.

Wygłosił swoje przemówienie i sędziemu Oakesowi wręczono nagrodę. Potem sędzia Oakes przyjmował gratulacje. Reporterzy poprosili go, by zechciał pozować do zdjęcia w towarzystwie Robina. Potem Robina otoczyły kobiety. Robin złożył kilka autografów, spozirzał na zegarek i oświadczywszy, że oczekuje ważnego telefonu, uściśnął dłoń sędziego, pomachał pozostałym gościom i wyszedł z sali.

Była jedenasta. Do Maggie podszedł Hudson i usiadł na krześle Robina.

— Dobrze się bawiłaś?

— Nieźle — odparła.

— Zabierajmy się stąd.

Ogarnęło ją nagłe rozgorączkowanie. Jak mogła obiecać coś takiego Robinowi Stone'owi? Co ją napadło? Nie miała przecież zamiaru odwiedzać go w pokoju!

— To ostatnia taka impreza, na którą dałem się namówić — oznajmił Hudson. — A ty narzekasz na wieczory w klubie. Człowiek się tam przynajmniej pośmieje, no i przestaje z równymi sobie.

— To ma związek z moją pracą — powiedziała.

— Pracą? — Wykrzywił wargi. — Dobrze, że mi przypomniłaś... będziemy musieli coś z tym zrobić. Za dużo się o tym gada. Tata mówił, że zdaniem jego niektórych przyjaciół te twoje rozmówki przy mikrofonie z najrozmaitszymi typami są w złym guście. Na przykład ten pisarz z zeszłego tygodnia wyglądał na prawdziwego komucha.

Milczała. Hudson wygłaszał od czasu do czasu podobne oracje, ale potem nie miały one żadnych następstw. Niech się wygada. Opróżnił szklanke i z uwagą ponownie ją napełnił.

— W gruncie rzeczy jestem ci chyba zupełnie obojętna?

Ciężko westchnął. — Och, tu nie chodzi o ciebie. Tylko o nas... o nasze rodziny... Czasem czuję, że mam tego dość... Ale nie przejmuj się, nie odepnę od ciebie. Dokąd miałbym odejść? Żadne z nas nie będzie miało prawdziwej wolności, dopóki nie ocielisz się parę razy. Przynajmniej na to mogłabyś się zdobyć.

Wstała. — Hudsonie, budzisz we mnie wstręt.

— Odepnąć sobie. Widziałem na weselu twoją matkę, całą w skowronkach. I tatuśka, te jego cygara i uściski dłoni. Co ich tak uszczęśliwiło? Miłość

młodych? Gówno. Forsa Stewartów! Ale ty nie wywiązałaś się ze swojej części umowy. Miałeś rodzic dzieci. — Popatrzyl na nią z uporem. — Może powinniśmy wrócić do domu i spróbować szczęścia dzisiaj?

— Może, gdybyś tyle nie wypił — odparła.

— Może muszę pić, żeby się podkręcić? Jestem mężczyzną, nie potrafię udawać.

Zaczęła odchodzić od stołu, a on deptał jej po piętach.

W recepcji natknęli się na Buda i Lucy. Lucy była znowu w ciąży. I lekko podpita. — Spływamy do Embassy. Idziecie z nami?

Hudson zawistnie wpatrywał się w brzuch Lucy. — Jasne, czemu nie. — Złapał Maggie za ramię i wszyscy wtoczyli się do windy.

Przed hotelem czekał szofer Buda. — Zostawcie swoje wozy — powiedziała Lucy. — Później po nie wrócimy.

W Embassy było tłoczno: siedzieli w czwórkę przy małym stoliku, a potem dosunięto do niego inny, okupowany przez przyjaciół Hudsona z klubu. Pojawiła się butelka szkockiej i męskie żarciki. Maggie rozmyślała o człowieku z apartamentu 17B. Musiała do niego zadzwonić. I powiedzieć mu prawdę — że przyjęła jego propozycję ogarnięta chwilowym szaleństwem, że jest mężatką. Robin Stone pracował zbyt ciężko, aby teraz siedzieć i czekać.

Wstała raptownie. — Muszę upudrować nos. — W toalecie na pewno jest telefon.

— Pójdę z tobą — oświadczyła Lucy. — Nie posiadam się z ciekawości, co szeptają ci na ucho Robin Stone. Idziesz, Edno? — rzuciła do jednej z pozostałych dziewczyn.

Pospieszyły do toalety. Był tam telefon. I siedząca obok niego sprzątaczką. Sprawa zupełnie beznadziejna. Maggie poprawiła makijaż. Unikając konkretnych odpowiedzi na pytania dotyczące Robina Stone'a, rzuciła ogólnikowo, że rozmawiali ze sobą o telewizji. Potem próbowała zostać w toalecie dłużej niż towarzyszki, te jednak uprzejmie na nią czekały. Wróciwszy do sali, stwierdziła, że przy stoliku nie ma Hudsona; po chwili dostrzegła go w głębi pomieszczenia — siedział w dość licznym towarzystwie, tuląc do siebie jakąś dziewczynę, w której Maggie rozpoznała nową członkinię klubu, młodą mężatkę. Palce Hudsona czule gładziły jej nagie plecy. Mąż, siedzący naprzeciwko, nie widział tych manewrów. Maggie gwałtownie wstała.

— Usiądź — syknęła Lucy. — Maggie, wiesz przecież, że to nic nie znaczy. Hud po prostu musi wypróbować swój czar na każdej nowej dziewczynie.

— Wychodzę...

Bud złapał ją za ramię. — Maggie, nie masz się czym przejmować. To June Tolland. Ona ma kręcka na punkcie męża.

Wyrwała się i wybiegła. Zwolniła dopiero na ulicy. Na rogu złapała taksówkę i kazała się wieźć do hotelu Bellevue Stratford.

Zadzwoiła do drzwi apartamentu 17B. Był to dzwonek donośny i głuchy. Zerknęła na zegarek: piętnaście minut po północy. Może Robin wyjechał albo zasnął. Zadzwoiła jeszcze raz, a potem odwróciła się i zaczęła odchodzić ko-rytarzem. Wtedy nagle otworzyły się drzwi. Robin trzymał w dłoni szklankę.

— Wejź, dziennikareczko, wiszę na telefonie.

Kiedy znaleźli się w salonie, Robin wskazał jej gestem butelkę wódki i podjął przerwana rozmowę telefoniczną. Najwyraźniej dotyczyła interesów, jakichś klauzul w kontrakcie. Maggie wykonała pantomimę przygotowywania sobie drinka. Robin bez marynarki w rozluźnionym krawacie i obcisłej koszuli, ozdobionej na kieszonce inicjałami R.S., mówił otwarcie i rzeczowo. Dostrzegwszy, że butelka wódki jest opróżniona do połowy, Maggie po raz kolejny zdumiała się mocną głową Robina.

Odłożył wreszcie słuchawkę. — Wybacz, że kazałem ci czekać, ale i ty nie pobiłaś po drodze żadnych rekordów szybkości.

— Dokąd jutro jedziesz? — Poczula się nagle zawstydzona i podenerwowana.

— Do Nowego Jorku. Koniec z tymi cholernymi odczytami.

— Skąd się wzięła ta idea odczytów? To znaczy, dziś wieczorem... byłeś cudowny, mówiłeś o wszystkim. Swoich zagranicznych przygodach, poznanych ludziach...

— Pewnie z czasów, kiedy jakiś szlifibruk wpadł na pomysł, żeby pokazywać ludziskom slajdy i... kogo to zresztą może obchodzić? Co tam, dziennikareczko, nie zamierzasz mnie pocałować?

Poczula się nagle jak uczennica. — Nazywam się Maggie Stewart — odparła.

Potem nagle znalazła się w jego ramionach.

Tej nocy kochał się z nią trzy razy. Tulił ją i szeptał czułości. Pieścił. Traktował jak dziewczę. I po raz pierwszy w życiu Maggie pojęła, jak to jest, gdy mężczyzna kocha się z kobietą tylko po to, aby dać jej szczęście. Miała orgazm już przy pierwszym razie. Potem znowu. Po trzecim opadła bezwładnie, wyczerpana i przejęta bezbrzeżną wdzięcznością. Przytulił ją do siebie i łagodnie pocałował. Potem, gdy znow zaczął ją pieścić, wysunęła się z jego objąć.

Przywarł twarzą do jej piersi. — Dziś było zupełnie inaczej — powiedziała. — Jestem bardzo pijany... i jutro może o niczym nie będę pamiętał... Ale chcę, byś wiedziała, że dziś było inaczej.

Leżała zupełnie nieruchomo. Jakimś cudem wiedziała, że mówi prawdę. Bała się drgnąć, zniweczyć zaklęcie. Zimny, szorstki Robin Stone wydał jej się

nagle człowiekiem bezradnym. Spoglądała w półświatle na jego twarz, przytuloną do swoich piersi — pragnęła zachować w pamięci każdą sekundę... i zachowa ją... szczególnie to słowo, które wykrzykiwał, osiągając orgazm.

Odsunął się od niej raptownie, sięgnął po papierosy, zapalił dwa od razu, podał jej jednego. — Jest w pół do trzeciej. — Skinieniem głowy wskazał telefon. — Jeśli musisz wstać o jakiejś konkretnej porze, zamów budzenie. Ja powinienem po prostu złapać jakiś pociąg do Nowego Jorku. O której masz być w pracy?

— O jedenastej.

— Więc dziewiąta trzydzieści? Wstaniemy razem i zjemy śniadanie.

— Nie... muszę iść już teraz.

— Nie! — zabrzmiało to jak rozkaz, ale jego oczy miały nieomal błagalny wyraz. — Nie zostawiaj mnie! — powiedział.

— Muszę, Robinie. — Wyskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki.

Ubrała się pospiesznie, a kiedy wróciła do pokoju, Robin, zupełnie opanowany, leżał wsparty o poduszki. Zapalił papierosa, potem ogarnął ją dziwnym spojrzeniem.

— Do kogo tak się spieszysz? Kochanka czy męża?

— Męża — odparła, usiłując spojrzeć mu w oczy. Były tak zdumiewająco błękitne i zimne.

Zaciągnął się głęboko i wydmuchnął dym w stronę sufitu. Potem zapytał:

— Czy przychodząc tu dzisiejszej nocy ponosiłaś jakieś ryzyko?

— Żadne, no, najwyżej zaryzykowałam małżeństwem.

— Chodź tu, dziennikareczko — powiedział, wyciągając ramię.

Zbliżyła się, a on popatrzył na nią tak, jakby pragnął sięgnąć oczyma w głąb jej duszy. — Muszę ci coś powiedzieć. Nie wiedziałem, że jesteś mężatką...

— Nie miej poczucia winy — odparła łagodnie.

Jego śmiech zabrzmiał niesamowicie. — Winy? Do diabła! Moim zdaniem to cholernie zabawne.... Tymczasem, dziennikareczko!

— Nazywam się Maggie Stewart.

— Maleńka, takie dziewczyny jak ty nazywa się inaczej. — Wychylił się z łóżka i zgasił papierosa.

Przez chwilę stała bez ruchu. — Robinie, dla mnie to też było coś zupełnie innego, miało jakieś znaczenie, miało cholernie duże znaczenie. Chcę, żebyś mi uwierzył.

Nagle otoczył ramionami jej kibić i pogrzyżył twarz w fałdach sukienki. Mówił ochryple i z naciskiem: — Więc nie odchodź! Powtarzasz, że mnie kochasz, a jednak wychodzisz!

Ani razu nie powiedziała, że go kocha! Delikatnie wysunęła się z jego objęć i popatrzyła nań ze zdumieniem. Ich oczy spotkały się, Robin jednak z pozoru patrzył gdzieś w dal, jakby zahipnotyzowany własnymi myślami. Maggie doszła do wniosku, że zaczyna odczuwać wypity alkohol. Nie mógł wiedzieć, co mówi, nie mógł tak myśleć.

— Robinie, muszę iść... ale nigdy o tobie nie zapomnę.

Zamrugał gwałtownie, a potem wbił w nią oszołomione spojrzenie, jak gdyby pojawiła się przed nim dopiero teraz. — Spać mi się chce. Dobranoc, dziennikareczko. — Potem wyłączył światło, przewrócił się na bok i natychmiast zasnął. Stała, nie wierząc własnym oczom. Nie udawał. Naprawdę spał.

Wracając do domu miała mieszane uczucia; to wszystko zakrawało na szaleństwo. W Robinie tkwiło dwóch mężczyzn, którzy stanowili jedność tylko wtedy, gdy uprawiali miłość. Sam przecież powiedział, że jutro o niczym nie będzie pamiętać, że ona, Maggie, jest po prostu jeszcze jedną dziewczyną na jeszcze jednym przystanku. Gzy jednak zachowywał się w taki sposób z wszystkimi innymi dziewczynami? To nie miało znaczenia. Liczyła się tylko dzisiejsza noc.

Jak najciszej weszła do domu; była czwarta nad ranem.

Wsunęła się do sypialni. W ciemnościach dostrzegła puste łóżko Hudsona — dopisało jej szczęście, jeszcze nie wrócił do domu. Rozebrała się pospiesznie i właśnie gasiła światło, gdy usłyszała zgrzyt żwiru na podjeździe. Kiedy wkradała się do pokoju, udawała, że śpi. Była rozbawiona jego ostrożnością, tym jak po omacku krząta się po pokoju, próbując jej nie zbudzić. Niebawem usłyszała jego donośnie pijackie chrapanie.

Przez następne dwa tygodnie, z zapamiętaniem pograżyła się w pracy i usiłowała wyrzucić Robina Stone'a z myśli. Robiła to ze sporym powodzeniem, dopóki nie zauważyła w swoim dzienniku adnotacji „Okres”. Spóźniał się o cztery dni! Hudson natomiast nie zbliżał się do niej od trzech tygodni. Robin Stone! Nie podejmowała z nim żadnych środków ostrożności. Po urządzanym jej regularnie przez Hudsona praniu mózgu zaczynała wierzyć, że naprawdę jest bezpłodna. Zatopiła twarz w dłoniach. Nie chciała przerywać ciąży! Dziecko Robina będzie dzieckiem poczętym z miłości... No a Hudson pragnął dziecka. Och, nie, to przerażająca myśl!... Ale dlaczego nie? Co zyska, mówiąc Hudsonowi prawdę? Skrzywdzi w ten sposób Hudsona... i dziecko. Wstała z nagłym zdecydowaniem. Urodzi!

Kiedy minął tydzień, a miesiączka się nie pojawiła, Maggie stawiła czoło nieprzyjemnemu zadaniu skłonienia Hudsona, żeby się z nią przespał. Nigdy przez tak długi czas nie trzymał się od niej na dystans. Ta modelka musi go wykańczać, a może znalazł nowy obiekt zainteresowania. W początkach każ-

dego swojego romansu rezerwował wszelkie moce przerobowe dla potrzeb kolejnej bogdanki. Tej nocy próbowała się do niego przytulić, ale ją odepchnął.

W ciemnościach zagryzła wargi. — Chcę mieć dziecko, Hudsonie — objęła go i próbowała pocałować.

Odwrócił głowę. — Okay, ale skończ z tym kwileniem, mała. Gramy o dzieciaka, więc bierzmy się za robotę.

Kiedy nie nastąpił kolejny okres, poszła do lekarza. Nazajutrz zadzwonił z gratulacjami: była w szóstym tygodniu. Postanowiła poczekać z przekazaniem nowin Hudsonowi.

Kilka dni później spędzali w domu jeden z nielicznych wieczorów tylko we dwoje. Był miękki podczas kolacji, ale zniknęło gdzieś grubiaństwo, stanowiące — zdaniem Maggie — jedną z podstawowych cech jego charakteru. Był spokojny i zamyślony. Prawie czule zaproponował potem drinka w gabinecie i wodził za nią spojrzeniem, kiedy nalewała brandy. Siedząc na kanapie pociągnął łyczek, a potem zapytał: — Gzy mogłabyś na jakieś trzy miesiące oderwać się od tych swoich telewizyjnych zabaw?

— Mogę wziąć urlop... ale dlaczego?

— Powiedziałem tacie, że jesteś w ciąży.

Popatrzyła nań ze zdumieniem. Potem zrozumiała, że prawdopodobnie poinformował go doktor Blazer. Prosiła go wprawdzie o dyskrecję, argumentując to swoją sytuacją w pracy, ale nie wspomniała o zachowaniu tajemnicy wobec Hudsona. Stąd ten odmieniony nastrój. Uśmiechnęła się z ulgą. Jej przeczucia okazały się słuszne. Dziecko zmieni wszystko.

— Wcale nie muszę brać urlopu. Mogę pracować do ostatniej chwili, jeśli kamera będzie pokazywać tylko moją twarz.

Popatrzył na nią z zaciekawieniem. — A jak wytłumaczymy tacie, że nie masz brzucha?

— Ale ja...

— Tego się nie da oszukać. Wszyscy muszą myśleć, że to prawda. Nawet Bud i Lucy. Mały błąd i tata wszystkiego się dowie. Przemyślałem wszystko. Powiemy, że chcemy ruszyć w podróż dookoła świata, żeby uczcić twoją ciążę. No bo kiedy już dziecko przyjdzie na świat, będziesz uwiązana... Potem powiemy, że bóle zaczęły się wcześniej i musiałaś rodzić w Paryżu.

— Nic nie rozumiem, Hudsonie. Ja chcę, żeby moje dziecko urodziło się tutaj.

Wrócił jego dawny grymas. — Nie daj ponieść się grze. Ja zaledwie powiedziałem, że jesteś w ciąży. Co wcale nie znaczy, że jesteś.

Wstał i nalał sobie następny kieliszek brandy. — Wszystko już załatwiłem. Możemy kupić tego dzieciaka w Paryżu. Ten doktor, z którym omawiałem

sprawę, ma tam dobre układy. Załatwią nawet, żeby niemowlę było do nas podobne. Za siedem miesięcy przyjdzie na świat troje dzieci, które mogą zostać zaadoptowane. Zapłacimy jedynie za szpital matki, to musi być pierwsza klasa. Matka oddaje dzieciaka natychmiast — nie dowie się nawet, jakiej jest płci ani kto je wzięł. Prosiłem o chłopca. Dostaniemy akt urodzin, w którym będzie stwierdzone, że to nasze własne dziecko. No i ten fartowny szczeniak nie tylko załatwi nam milion dolców, ale jeśli zechce, może mieć podwójne obywatelstwo. Potem triumfalnie wracamy do Ameryki.

Roześmiała się z ulgą. Wstała z kanapy i podeszła do męża. — Hudsonie, teraz moja kolej na niespodziankę. Te wszystkie skomplikowane plany wcale nie są potrzebne.

— Do czego zmierzasz?

— Ja naprawdę jestem w ciąży.

— Powtórz — warknął.

— Jestem w ciąży. — Wcale nie była zachwycona wrokiem, jakim na nią patrzył.

Jego dłoń smagneła jej policzek. — Ty kurwo, czyj jest ten dzieciak?

— Mój, nasz... — Czują, że warga poczyna obrzmiewać, a w ustach pojawia się słony smak krwi.

Podszedł do niej bliżej i uchwycił ją za ramiona. — Powiedz, ty dziwko, czyjego bękartą próbujesz mi podstawić? — Spoliczkował ją po raz drugi. — Gadaj albo wyduszę to z ciebie!

Wyrwała się i biegiem wypadła z pokoju. Popędził za nią i dopadł w holu.

— Gadaj! Czyjego bękartą nosisz w brzuchu?

— A czy z twojego punktu widzenia ma to jakiegokolwiek znaczenie? — odpowiedziała łkając. — Chciałeś wziąć w Paryżu zupełnie obce dziecko; to jest przynajmniej moje.

Gniew nagle odpłynął mu z twarzy i na usta powoli wpełzł uśmiech. Hudson zaciągnął Maggie do gabinetu. — Masz rację. Masz absolutną rację. Możesz być pewna, że pozwolę ci je urodzić. W gruncie rzeczy będziesz rodzić co roku, przez dziesięć następnych lat. Potem, jeśli będziesz grzeczną dziewczynką, może dam ci rozwód i przyzwoite alimenty.

— Nie. — Usiadła na kanapie i popatrzyła nań ze spokojem, którego wcale nie odczuwała. — Nic z tego nie wyjdzie. Nie zamierzam wychowywać dziecka w panującej pomiędzy nami atmosferze nienawiści. Żądam natychmiastowego rozwodu.

— Nie dam ci grosza.

— Nie musisz — odparła ze znużeniem. — Zamieszkać z rodzicami. W telewizji zarabiam dostatecznie dużo, żebym mogła utrzymać dziecko...

— Nic z tych rzeczy, kiedy już z tobą skończę.
— Co chcesz powiedzieć?
— Ten dzieciak oznacza dla mnie milion dorców. Albo go rodzisz i oddasz mnie, albo nie dostaniesz nigdy żadnej roboty. Tak osmaruję cię w gazetach, że będziesz musiała dać sobie spokój w telewizji, a twoi starzy nie będą mogli spojrzeć w oczy żadnemu człowiekowi w tym mieście.

Ukryła twarz w dłoniach. — Dlaczego, Hudsonie? Dlaczego tak musi być? Popełniłam błąd jednej nocy, z jednym mężczyzną. Nic takiego nie zdarzyło się nigdy przedtem. I nie zdarzy w przyszłości. Chciałam, żeby to wszystko układało się pomiędzy nami, ale traktowałeś mnie tak, że przy tobie nie czułam się nawet kobietą. Może to, co zrobiłam, było błędem. Ale nie zamierzam wyciągać tego wszystkiego, co wiem na twój temat. — Jej głos załamała się. — Sądziłam, że wciąż mamy szansę. Może okazałam się idiotką, ale uważałam, że dziecko cię uszczęśliwi. Ze zbliży nas do siebie. I wówczas, gdy pozbędziesz się napięcia, będziemy mieli następne dzieci... nasze własne...

— Ty kretynko! Czy nie możesz zrozumieć? Jestem bezpłodny! — wrzasnął. — Byłam na badaniach w zeszłym tygodniu... jestem bezpłodny, nie mogę zrobić ci dziecka!

— A te aborcje, za które płaciłeś?

— Skąd wiesz?

— Wiem.

Szarpnięciem ściągnął ją z kanapy.

— Więc napuściłeś na mnie detektywów? — Uderzył ją w twarz. — Zostałam zrobiona w konia! Te wszystkie dziwki, które twierdziły, że zmagistrowałam im bachora, robiły mnie w konia! Tak samo jak ty przed chwilą. Ale teraz już wiem: jestem bezpłodny.

Wyrwała się z jego uścisku. Miała przeciętą wargę i zapłakaną twarz. Ale litowała się nad Hudsonem. Odwróciła się, aby wyjść z pokoju. Brutalnie złapał ją za ramię.

— Dokąd idziesz?

— Spakować się — odpowiedziała cicho. — Nie mogę zostać z tobą w tym domu.

— Dlaczego? — zapytał z przekąsem. — Pozostawałaś wiedząc, co robie na bokach... teraz jesteśmy kwita. Warto jedno drugiego. Może to i lepiej. Każde z nas będzie robić swoje... byle tylko nie dowiedział się o tym ojciec.

— Nie chcę żyć w taki sposób.

— Więc jak wytłumaczysz się z tego bękarta w swoim brzuchu?

— Wiedziałam o tobie... i twoich dziewczynach. Potem kogoś poznałam. Nie wiem, jak do tego doszło. Może potrzebowałam kogoś, kto mi okaże czu-

łość... choćby tylko przez jedną noc. Może chciałam wiedzieć, że nie jestem komuś obojętna, że ktoś zauważa moje istnienie... choćby tylko przez kilka godzin.

Znów ją spoliczkował.

— Tego potrzebujesz? — Następne uderzenie, aż jej głowa odskoczyła do tyłu. Potem Maggie oderwała się od Hudsona i wybiegła z pokoju. Popędził za nią. — Stłukę cię na kwaśne jabłko... czy na to właśnie masz ochotę? Bijałem Sherry i zupełnie to lubiła. — Zaczął odpinać pasek.

Krzyczała na cały głos i miała nadzieję, że usłyszy to ktoś ze służby. Gnał za nią korytarzem, wymachując paskiem ze skóry krokodyla, który dała mu na Gwiazdkę. Poczwała na szyi smagnięcie, dojrzała skrzywioną w perwersyjnym grymasie twarz Hudsona i odczuła prawdziwą zgrozę. Szalencie! Pasek uderzył ją w twarz, milimetry od oka. Mógł ją oślepić! Wycofywała się, ogarnięta paniką, i nagle runęła ze schodów na wznak. Przez ułamek sekundy miała nadzieję, że skreśli kark, zginie na miejscu i już nigdy nie zobaczy tej twarzy. Potem stwierdziła, że leży w dole schodów, a Hudson wpatruje się w jej nogi. Poczwała pierwsze dżgnięcie bólu. Podniosła głowę; po nogach spływała jej krew.

Hudson pochylił się i raz jeszcze uderzył ją w twarz.

— Ty plugawa dziwko... właśnie wyciekł z ciebie milion dolarów.

Na tarasie zapanował nagły chłód. Wróciła do salonu i nalała sobie szkockiej. Miała wrażenie, że to wszystko — fakty sprzed dwóch zaledwie lat! — wydarzyło się w jakimś innym świecie. Mglistości przypominała sobie syrenę karetki pogotowia, tydzień w szpitalu, brak zainteresowania dla ran na jej twarzy i szyi, pełne uprzejmości udawanie lekarza, że bierze za dobrą monetę jej oświadczenie, iż powstały one w rezultacie niefortunnego upadku ze schodów... a potem walkę, jaką wszyscy podjęli przeciwko jej decyzji natychmiastowego rozwodu. To znaczy, wszyscy z wyjątkiem Hudsona. Matka podejrzewała Maggie o załamanie nerwowe: utrata ciąży często tak się kończy. Nawet Lucy błagała ją o ponowne przemyślenie sprawy.

Rozwód postanowiła przeprowadzić na Florydzie. Procedura miała trwać trzy miesiące i chciała ten czas przeznaczyć na słońce i wypoczynek, na wyleczenie ran i zaplanowanie nowego startu. Wzięła urlop.

Jakkolwiek adwokaci Hudsona zgodzili się pokryć wszelkie koszty procesu, w tym także wydatki związane z pobytem Maggie na Florydzie, wynajęła małe mieszkanie i żyła oszczędnie. Po dwóch miesiącach nie czuła już bólu — tylko pustkę: Hudson przestał dla niej istnieć. Była jednak młoda i w miarę odzyskiwania sił beczynność zaczęła jej doskwierać.

Zgłosiła się do lokalnej stacji telewizyjnej i Andy Parino natychmiast dał jej pracę. Polubiła Andy'ego; chciała kochać, bo kochać znaczyło żyć. Niepostrzeżenie i ku obopólnemu zadowoleniu rozwinął się między nimi beztroski romans. Andy sprawił, że poczuła się dobrze, że czerpała satysfakcję z faktu, iż jest kobietą. Lecz Hudson zdołał w niej zabić tę cząstkę, która pozwala naprawdę kochać...

Po kilku miesiącach odzyskała poczucie bezpieczeństwa; miała oparcie w Andym i zadowolenie z pracy. Nadszedł czas, by otrząsnąć się z letargu, zaaplikowanego samej sobie, czas, by znowu czuć — marzyć i mieć nadzieję... Spróbowała więc to uczynić, ale poniosła klęskę: było tak, jakby Hudson spaliżował w niej wszystkie emocje.

Kiedy Andy poprosił ją o rękę — odmówiła.

I właśnie dziś, po raz pierwszy, poczuła w sobie drgnienie życia. Znów zobaczy Robina Stone'a! Nie mogła się doczekać. Ciekawe, jaką minę zrobi na jej widok?

Rozdział dziewiętnasty

Maggie siedziała w barze Gold Coast i rozmyślała, czy jej zdenerwowanie bardzo rzuca się w oczy. Andy, w towarzystwie Robina, spędził cały ten dzień na polu golfowym; Robin kazał mu powierzyć na kilka dni prowadzenie wiadomości o siódmej jednemu ze spikerów stacji. Spojrzała na zegarek — powinni być lada chwila. Zapaliła papierosa i nagle uświadomiła sobie, że w popielniczce dymi jeszcze poprzedni, ledwo napoczęty. Rozdusiła go pospiesznie, czując się jak pensjonarka na pierwszej randce. Ależ jest zdenerwowana! Zgasiła drugiego papierosa.

W lustrze nad barem dostrzegła swoje odbicie: równa opalenizna skóry zlewała się z beżem jedwabnej sukienki. A w Filadelfii była zawsze tak biała! Błądząc dłońmi po jej piersiach Robin powiedział: — Biała, biała skóra... jak skóra matki.

W opaleniznie jednak było jej bardziej do twarzy. Zawsze wiedziała, że jest piękna, ale postrzegąca ten fakt wyłącznie w kategoriach statystycznych: człowiek jest albo wysoki, albo niski; pospolity lub piękny. Jak dotąd, uroda nie stanowiła dla niej źródła żadnych przyjemności. Jeśli już, to katastrofy. Dziś jednak cieszyła się, że jest piękna. Ubrała się z dużą starannością — sukienka, korespondująca z karnacją, podkreślała zieleń oczu. Kocich oczu; An-

dy nazywał ją swoją czarną panterą. I, rzeczywiście, dzisiaj wieczorem czuła się jak pantera — sprężona, przyczajona, gotowa do skoku.

Spotkanie w barze było jej pomysłem. Nie chciała galimatiasu, jaki jest nierozłącznie związany z powitaniem w mrocznym wnętrzu jakiegoś samochodu. Pragnęła widzieć, jak wchodzi, pragnęła dostrzec zaskoczenie na twarzy Robina... Tym razem to ona będzie panować nad sytuacją.

Kończyła właśnie drinka, kiedy zobaczyła, że do sali wkracza Andy — samotnie... Zaczekała z kamienną miną, aż podszedł do baru i zamówił sobie szkocką. Nie zapyta za żadne skarby! Tylko gdzie on jest?

— Przepraszam za spóźnienie, Maggie — powiedział Andy.

— Nic się nie stało... — Nie, jednak nie wytrzyma... — A gdzie jest twój przyjaciel?

— Wielki gwiazdor małego ekranu? — upewnił się Andy, pociągając solennie ze szklaneczki.

Miała ochotę go zamordować.

— No więc przyjdzie czy nie?

— Diabli wiedzą. Szkoda, że nie widziałas, ile zamieszania narobił w hotelu Dyplomata... myślałby kto, że oto zjawił się Cary Grant we własnej osobie. Chyba wszyscy oglądają ten jego cholerny program — a przynajmniej ci wszyscy, na których napatoczyliśmy się przy golfie.

Maggie zapaliła następnego papierosa. Ani razu nie pozwoliła sobie na obejrzenie *Z bliska* — to był jeden z elementów kuracji. Podobnie, jak ignorowanie w myślach Hudsona czy przeszłości. Oczywiście, Robin stał się sławą; nigdy dotąd nie przyszło jej to do głowy.

— Musiał stawać przy każdym dołku, żeby złożyć autograf — podjął Andy. (No tak, pamiętała, z jaką irytacją robił to wtedy, w Bellevue!) — Nudził się jak mops, dopóki przy siedemnastym dołku nie dogoniła go ta blondyneczka.

Raptownie wystrzyła uwagę. — Kto?

Andy wzruszył ramionami.

— Dziewczyna mieszkająca w hotelu. Dziewiętnastka, góra — dwudziestka. Przybiegła, żeby zdobyć autograf Robina i już nie wróciła do swojej czwórki. Trzymała się nas aż do osiemnastego dołka. — Andy parsknął śmiechem. — Betty Lou, taa, właśnie tak ma na imię. — Podniósł szklanke. — Piję za zdrowie Betty Lou, której zawdzięczam dwadzieścia doliców. — Pociągnęła solidny łyk martini i podjęła: — Tak się przystawiała do Robina, że w kamień zapomniał o grze. Kiedy w okolicy kręci się ładna sikoreczka, wyłapuje ją jak radar, a kochana mała Betty Lou wzięła mu wprost w pole widzenia. Załapał się na nią, a przy okazji załapał się na wielką bryłę blocka, wyładował

w pułapce i przy dołku zarobił siódemkę, gdy dotąd miał przeciętnie czwórkę. W ten sposób trafiłem tych dwadzieścia dolców. Wejdźmy do środka, konam z głodu.

Mieli właśnie złożyć zamówienie, gdy Andy'ego odwołano do telefonu. Wrócił, uśmiechając się od ucha do ucha. — Rasputin już jedzie.

Była już prawie dziewiąta, kiedy Maggie ujrzała, że do restauracji powolnym krokiem wchodzi Robin. Wyglądał elegancko i świeżo, towarzysząca mu jednak blondynka miała zdeformowaną fryzurę i pościerany miejscami makijaż. Maggie zorientowała się natychmiast, że była z Robinem w łóżku.

Andy podniósł się od stolika. — Cześć, Betty Lou! — Uściskał ją bez ceregieli jak starą kumpelkę. Potem skinieniem głowy wskazał Maggie. — To jest Maggie Stewart. Maggie, przedstawiam ci Robina Stone'a.

Posłał jej niewymuszony uśmiech. — Andy mi mówił, że też grywasz w golf. Będziesz musiała wybrać się z nami któregoś popołudnia.

— Musiałbyś mi dać dwudziestopięciopunktowe fory — odparła. — Obawiam się, że nie gramy w tej samej lidze.

— Och, to tak jak ja — parsknęła śmiechem Betty Lou. — Stworzymy bombową czwórkę.

Robin zamówił dwa martini z wódką. Betty Lou zachowywała się tak, jakby nie tylko posiadała Robina Stone'a na własność, lecz także znała go od chwili urodzin. Robin był niedbale uprzejmy. Podawał jej ogień, ignorował w rozmowie, a jednak pozwalał Betty Lou wyczuć, że jest rad z jej towarzystwa. Maggie widziała, jak sięga po rękę dziewczyny i niekiedy błyska do niej uśmiechem; wszystko jednak, co mówił, adresowane było do Andy'ego.

Nagle Maggie zaczęła się zastanawiać, czy obecność Betty Lou nie jest ze strony Robina celowym wybiegiem, czymś, co ułatwia mu „konfrontację”. Andy musiał mu przecież powiedzieć o ich związku.

Starając się dotrzymać Robinowi kroku, Betty Lou towarzyszyła mu przy drugim martini. Już pierwsze nie przeszło bez echa, drugie natomiast okazało się zabójcze. Pod koniec obiadu Betty Lou wspierała się na łokciach nurzając włosy w spaghetti, i przyglądała się światu szklistym wzrokiem. Robin dostrzegł wreszcie, w jakim jest stanie.

— Za dużo słońca i golfa; nie jest to najlepsza kombinacja z alkoholem.

Maggie spodobało się, że Robin szuka usprawiedliwienia dla dziewczyny, której praktycznie nie zna. Pomogli Betty Lou wywakuować się z restauracji i zapakowali ją do samochodu Robina. Kiedy już uporali się z tym zadaniem, Robin skłonił ich, by poszli do hotelu Dyplomata na szklaneczkę przed snem.

Usiedli przy małym stoliku, a Robin wznosił toast za Andy'ego: — Twoje zdrowie, stary druhu! Dzięki za pierwsze wakacje, jakie miałem od lat. No

i zdrowie twojej pięknej pani. — Popatrzył na Maggie. Ich oczy spotkały się: jej — wręcz wyzywające, jego — niebieskie i całkiem niewinne. Potem powiedział: — Słyszałem na twój temat wyłącznie okrzyki zachwytu. W każdym calu jesteś tak urocza, jak przedstawiał to Andy, a twój raport o UFO po prostu mnie zafrapował. Gdzie zdobyłaś informacje i skąd tyle wiesz na ten temat?

— To taka stara fascynacja — odparła.

— Spotkajmy się wszyscy w twoim burze, Andy... jutro o jedenastej. Ty, ja i panna... — zawiesił głos.

— Maggie — odpowiedział Andy spokojnie. — Maggie Stewart.

Robin uśmiechnął się. — Nie mam pamięci do nazwisk. Więc spotkajmy się i przeciwicmy temat. Może da się z tego wykroić jakiś program dla sieci.

Skończyli swoje drinki i pożegnali się w holu. Maggie obserwowała, jak Robin powoli zmierza do windy.

Wychodzili w milczeniu. Dopiero w mrocznym wnętrzu samochodu Andy powiedział: — Słuchaj, nie miej za złe, że Robin zapomniał, jak się nazywasz. Dopóki nie prześpi się z panienką, nie uświadamia sobie, że ma do czynienia z żywą istotą.

— Jedźmy już do domu, Andy.

Prowadził w milczeniu. Po dłuższej chwili zapytał chłodno: — Znowu ten ból głowy?

— Jestem po prostu zmęczona.

Był nadąsany, kiedy zatrzymywał wóz przed jej domem, ale Maggie nawet nie próbowała go ugłaskać. Wskoczyła z samochodu i pobiegła do wejścia. Nie czekała na windę, lecz pognąła po schodach. Znalazłszy się w mieszkaniu, zatrzasnęła z hukiem drzwi i oparła się o framugę. Po jej twarzy zaczęły płynąć łzy, a szloch zamienił się niebawem w rozpaczliwy płacz. Mało, że nie pamiętała jej imienia... nie pamiętał nawet, że spotkali się już wcześniej!

Maggie z najwyższym trudem zmusiła się do przestudiowania scenariusza; nie zaglądała do niego od czasu przyjazdu Robina. Oczywiście, do pierwszego występu w The Players Club wciąż jeszcze pozostawały trzy tygodnie, ale chciała wypaść jak najlepiej. W końcu był to Eugene O'Neill i z Kalifornii miał przyjechać sam Hy Mandel, żeby obejrzeć jej występ. Prawdopodobnie jednak nic z tego nie wyniknie. Dyrektor pewnej niezależnej wytwórni filmowej widział ją w telewizji i zapytał, czy byłaby zainteresowana zdjęciami próbnymi. Odparła, że interesuje ją wprawdzie kariera aktorska, ale nie ma czasu na zdjęcia próbne, bo nie może ot, tak urwać się ze swojego programu i lecieć do Kalifornii. Niewykluczone, że właśnie okazany przez nią brak entuzjazmu

skłonił go do podjęcia dalszych działań; szepnął o Maggie słówko — słówko pełne zachwytu! — Hy Mandelowi i oto ten król hollywoodzkich agentów wybierał się na spektakl półprofesjonalnej trupy teatralnej.

Cóż, po dzisiejszym wieczorze będzie miała masę czasu, żeby skoncentrować się na O'Neillu.

Była to ostatnia noc, jaką Robin Stone spędzał w Miami. Nie spotkał się ponownie z Betty Lou — nazajutrz po pamiętnym dla Maggie wieczorze przyholował nauczycielkę pływania, Annę, potem rozwódkę o imieniu Beatrice, a wreszcie wyczerterował łódź na trzy dni i samotnie pożeglował na ryby. Wrócił właśnie w przeddzień wyjazdu po południu i Andy oznajmił Maggie, że zjedzą razem kolację. Zastanawiała się, kogo tym razem przyholuje Robin — Betty Lou? Annę? Rozwódkę?

Kończyła makijaż, kiedy wpadł Andy; był w doskonałym nastroju.

— Właśnie odbyłem długą rozmowę z Robinem — rzucił od drzwi. — Wyobraź sobie, że nie chce robić tej historii o latających spodkach w ramach *Z bliska*, lecz jako zupełnie osobny program, a poza tym to my mamy opracować temat. Oznacza to wyjazd do Nowego Jorku i zwrot wszystkich kosztów!

— Mam tylko nadzieję, że nie ucierpi na tym mój O'Neill.

— Maggie, dwadzieścia sześć lat to trochę za dużo jak na dziewczynę robiącą podchody pod Hollywood. Twoje miejsce jest właśnie tutaj — przy mnie!

— Andy, ja... — Chciała powiedzieć, że wszystko pomiędzy nimi skończone, że w gruncie rzeczy nic między nimi nie było.

Andy jednak uciął jej w pół zdania: — Słuchaj, Maggie, nie mów Robinowi nic o Amandzie.

— Amandzie?

— No, tej dziewczynie, której zdjęcie pokazałem ci przedwczoraj w gazecie.

— Ach, tej, która zmarła na białaczkę?

— Tak, dawnej przyjaciółce Robina. Był na łodzi, kiedy to się stało, i przypuszczalnie nic nie wie. Pogrzeb odbył się wczoraj, więc nic już nie zdziała i najwyżej zepsuje sobie wakacje.

— Ale ta Amanda była żoną Ike'a Ryana — zauważyła Maggie.

— Zgoda, tylko że przez długi czas — prawie dwa lata — była bardzo poważnie związana z Robinem.

Dwa lata, myślała Maggie, kończąc makijaż... a zatem miał dziewczynę, kiedy spędził z nią noc w Bellevue. Spod przymrużonych powiek spojrzała na swe odbicie w lustrze. „W porządku, ty idiotko — powiedziała do siebie w myśli. — Zachowujesz się jak dwudziestosześcioletnia dziewczica. Czyżbyś

naprawdę potajemnie żywiła nadzieję, że byłaś dla Robina kimś wyjątkowym?"

Zaparkowała wóz przed hotelem Diplomat. Kiedy szła przez hol, kilku mężczyzn odwróciło głowy, by się na nią pogapić. Czy zawsze zwracała na siebie taką uwagę? Czy żyła dotąd aż w takiej próżni, że tego nie dostrzegała? Wchodząc do baru poczuła nagły dreszcz podniecenia. Robin Stone z uśmiechem wstał, by ją powitać.

— Andy zaraz przyjdzie — powiedział. — Zabawia się w biuro usług turystycznych. Mam zabukowany lot jutro w południe, ale Andy usiłuje przerzucić mnie na wieczór, żebyśmy zdążyli jeszcze rozegrać rundkę golfa. — Przywołał kelnera skinieniem ręki. — Co ci zamówić? Jak zwykle szkocką?

Skinęła głową.

— Z kim jesteś dzisiaj umówiony? Z rozwódką? — Osobliwe wewnętrzne podniecenie nadało jej głosowi ton należytej nonszalancji.

— Dziś wieczór jestem umówiony z tobą. To znaczy, z tobą i Andym. Chcę po prostu coś wypić i odprężyć się z dwójką dobrych przyjaciół. Może nawet zalać się, jak Bóg przykazał?

Andy wrócił do stolika, uśmiechając się zwycięsko. — Wszystko załatwione: jutro szósta po południu. Osobiście uważam, że ten twój powrót jest czymś idiotyzmem. Ellie, moja wtyczka w lotach krajowych, powiada, że w Nowym Jorku jest odwilż. Śnieżna bryja, święci Mikołaje pobrzękujący pod domami towarowymi swoimi cholernymi dzwoneczkami, brak taksówek... ohyda! — Z dezaprobatą pokręciła głową, a potem wzruszył ramionami.

Robin wbił wzrok w swoją pustą szklaneczkę. — Chciałbym zostać, ale w Wigilię mam w Los Angeles bardzo szczególne spotkanie.

Robin wypił cztery martini; sącząc swoją drugą szkocką Maggie znów pomyślała z podziwem o jego możliwościach. Wtedy, w Filadelfii, także wyglądał na zupełnie trzeźwego, a jednak — jak sam przyznał — był kompletnie pijany. Przynajmniej dostatecznie pijany, żeby jej w ogóle nie zapamiętać!

Pojechali na kolację do Fontainebleau, gdzie akurat występował Sammy Davis. Maggie zamówiła stek, Robin jednak zignorował jedzenie i tylko metodycznie pił wódkę, Andy natomiast usiłował dotrzymać mu kroku.

Wieczór skończyli w zadymionym barze przy Siedemdziesiątej Dziewiątej, gdzie panował zbyt wielki hałas, aby można było rozmawiać. Robin zamówił całą butelkę wódki i pił w milczeniu; Maggie pozostała przy szkockiej.

O pierwszej w nocy Andy wysiadł. Maggie i Robin z trudem dotaszczyli go do samochodu.

— Najpierw odstawimy go do domu — powiedział Robin — a potem podrzucę ciębie.

— Ale zostawiłam samochód pod hotelem — zaoponowała.

— Nic się nie przejmuj, podskoczysz tam jutro taksówką. Dopisz to do wydatków służbowych... powiedz Andy'emu, że to zatwierdził, zanim padł martwym bykiem.

Kiedy wedle wskazówek Maggie dotarli na miejsce, Robin próbował wynieść Andy'ego z samochodu.

— Jest ciężki jak nieboszczyk — jęknął po chwili. — Chodź no, Maggie, nie obejdę się bez twojej pomocy.

Na poły niosąc, na poły ciągnąc bezwładne ciało, dotransportowali wrzście Andy'ego do mieszkania. Robin cisnął go na łóżko i rozluźnił mu krawat. Maggie przypatrywała się temu z z troskaniem: nigdy dotąd nie widziała człowieka, który upił się do utraty przytomności. Uśmiech Robina był jednak uspokajający.

— Teraz nie zdołałby go obudzić nawet jeden z tych twoich latających talerzy. Rano będzie miał paskudnego kaca, ale wyżyje.

Wrócili do samochodu.

— Mieszkam zaledwie o kilka przecznic stąd. — Maggie wyciągnęła ramię. — O, w tym długim niskim bloku.

— Co byś powiedziała na kieliszek przed snem?

Zaprowadziła go do pobliskiego baru. Właściciel rozpoznał Robina, postawił przed nim butelkę wódki i natychmiast rozpoczął dyskusję o futbolu. Maggie przysłuchiwała się, sącząc whisky z wodą sodową. To było nieprawdopodobne — Robin sprawiał wrażenie całkiem trzeźwego. Kiedy zamknięto bar, odwiózł ją pod dom. Przez chwilę siedzieli milcząc w mrocznym wnętrzu samochodu, a potem Robin zapytał: — Masz u siebie jakąś wódkę?

— Nie, tylko szkocką.

— Fatalnie, Maggie. No to dobranoc. Było wspaniale.

— Dobranoc, Robinie. — Odwróciła się, by otworzyć drzwiczki, a potem — wiedziona jakimś niepojętym impulsem — cofnęła się, pospiesznie pocałowała Robina i dopiero wtedy wypadła z wozu i pognąła do mieszkania.

Przepełniało ją uczucie triumfu. Chcąc pocałować dziewczynę, mężczyzna to po prostu robi. Tym razem ona przejęła inicjatywę. Czuła się tak, jakby dokonała czegoś niezmiernie istotnego dla sprawy równouprawnienia kobiet... jakby zerwała jedną z nienaruszalnych dotąd zasad. Od tej chwili zamierzała zresztą łamać masę innych zasad.

Podśpiewywała, rozbierając się do snu. Zaczęła nakładać koszulę nocną, ale po chwili wahania odrzuciła ją na bok... zacznie sypiać nago! Wyjęła z komódki wszystkie koszule nocne i upchnęła je do plastikowej reklamówki — sprzątaczką będzie jutro miała używanie! Wślizgnęła się do łóżka i wyłączyła

światło. Prześcieradło było w dotyku cudownie chłodne. Maggie doświadczyła nie znanego sobie dotąd poczucia wolności. Zamknęła oczy, chociaż wcale nie była śpiąca...

Ktoś obłąkańczo walił do jej drzwi. Zapaliła światło i spojrzała na zegarek: dopiero czwarta trzydzieści, musiała przed chwilą zasnąć. Walenie nabrało mocy i natarczywości. Narzuciła podomkę i nie zdejmując łańcucha, uchyliła drzwi. Stał za nimi, wymachując butelką wódki, Robin Stone.

— Przeszedłem z własnym zaopatrzeniem! — zawołał.

Wpuściła go do mieszkania.

— Znalazłem ją w swoim pokoju, prezencik od szefostwa hotelu. Ale nie miałem ochoty pić do lustra.

— Dać ci lodu?

— Nie lubię chrzczonej wódki.

Podawała mu szklankę i usiadłszy na kanapie, obserwowała jak pije. Nagle popatrzył jej w oczy i oznajmił: — Jestem ubzdryngolony.

Poczuła pulsowanie w gardle i uśmiechnęła się lekko.

— Chcesz mnie, maleńka? — zapytał.

Podniosła się z kanapy i przeszła przez pokój.

— Pragnę — powiedziała powoli. — Ale nie dzisiejszej nocy.

— Nie masz innego wyjścia... jutro stąd znikam.

— Odłóż wyjazd o jeden dzień.

— Czym „jutro” będzie różnić się od „dzisiaj”?

— Chcę, żebyś o mnie pamiętała!

— Stań na wysokości zadania, maleńka, a na pewno cię nie zapomnę. Odwróciła głowę i popatrzyła mu w oczy.

— Wybacz, ale już to przerabiałam.

Spojrzał na nią z odrobiną zaciekawienia, a potem... podskoczył do niej i szybkim ruchem rozchylił podomkę. Chwilę później zerwał ją całkowicie; odstąpił na krok i przyglądał się Maggie z namysłem. Tłumiąc uczucie wstydu, wyzywająco patrzyła mu w oczy.

— Duże śliczne piersiątko — powiedziała. — Nie znoszę wielkich cyców. — Następnym niespodziewanym ruchem chwycił ją w ramiona, przeniósł do sypialni i rzucił na łóżko. — Brunetek też nie znoszę. — Zdjął marynarkę i rozluźnił krawat.

Maggie zaczęła się nagle bać: Robin miał w oczach jakiś dziwny wyraz... jakby patrząc na nią, zupełnie jej nie widział. Zerwała się na nogi, ale z powrotem pchnął ją na łóżko.

— Nie zostawisz mnie, jestem już dużym chłopcem.

Odniosła wrażenie, że mówi do siebie. Miał oczy ślepeca.

Obserwowała, jak się rozbiera. Mogła zeskoczyć z łóżka, zawołać o pomoc, ale ciekawość paraliżowała jej ruchy. Może tak właśnie czują się ofiary morderstw: odrętwiałe, niezdolne do oporu? Usiadł na skraju łóżka, popatrzył na nią tym swoim dziwnym wzrokiem bez wyrazu, a kiedy pochylił się, by ją pocałować, przestała się nagle bać i odpowiedziała mu żarliwie. Wyciągnął się obok niej, przytulił... poszukał wargami jej piersi. Poczwała, że wzdycha, rozluźnia się. Zapominając o wszystkich oporach, przywarła do niego z całej mocy, rozogniona podnieceniem, a kiedy ją wziął, osiągnęli orgazm w tej samej chwili. I wówczas, tak samo jak w Filadelfii, Robin wykrzyczał trzy słowa: — Mutter! Matko! Matko!

Zsunął się z niej. Dostrzegła w mroku, że wciąż ma to samo szkliste spojrzenie. Pogładził ją po twarzy i uśmiechnął się lekko. — Wprawdzie jestem denat, maleńka... ale to było inne, to było zupełnie inne.

— Powiedziałaś mi to już raz, w Filadelfii.

— Naprawdę? — Jej słowa nie wywarły na Robinie żadnego wrażenia.

Przywarła do niego w ciemnościach. W porządku, powiedziała sobie, masz teraz szansę. Wyrzuc go z łóżka, powiedz „Żegnaj, dziennikarzyku!” Nie potrafiła jednak tego zrobić.

— Nigdy cię nie opuszczę, Robinie, przysięgam.

Prawie już spał. — To tylko takie gadanie.

— Nie, mówię to po raz pierwszy w życiu. Obiecuję. Kocham cię.

— Nie, porzucisz mnie... żeby...

— Żeby co? — Musiała wiedzieć!

Ale Robin zasnął.

Leżała z szeroka otwartymi oczyma; przeniosła spojrzenie z szarzącego nieba na jego przystojną twarz, przytuloną ciepłym policzkiem do jej piersi. To wydawało się niewiarygodne! Był tu... i spał w jej ramionach. Należał do niej! Odczuwała zadowolenie, że wspomniała o Filadelfii; prosił wówczas, by go nie opuszczała. Ona jednak wyszła i może tym zraziła go do siebie...

Leżała nieruchomo, to zapadając w drzemkę, to budząc się, żeby szybkim spojrzeniem, rzuconym na śpiącego obok mężczyznę, upewnić się, że to wszystko nie jest złudzeniem. Patrzyła na pierwsze smugi światła, słuchała krzyków mew i dziwiła się żarłoczności, z jaką słońce pożera jeden spłacheć nieba po drugim. To był nowy dzień, cudowny dzień! Promienie słońca wsączyły się do pokoju; niebawem sięgną mężczyzny, uspięnego w jej ramionach... wieczorem zapomniała zaciągnąć zasłonę.

Ostrożnie wysunęła się z łóżka i na palcach podbiegła do okna. Pokój skrył się w chłodnym półmroku. Była dziewiąta. Maggie chciała, żeby Robin

odespał wczorajsze pijaństwo, żeby po przebudzeniu czuł się dobrze. Wśliznęła się do łazienki i w taflę lustra dostrzegła swoje odbicie. Dobry Boże, musiała być wczoraj piekielnie oszołomiona, skoro zapomniała zmyć makijaż... twarz pokrywały smugi rozmazanej szminki i maskary. Dobrze chociaż, że wstała pierwsza. Nasmarowała kremem twarz, wzięła prysznic i nałożyła lekkiego makijaż; potem związała włosy w koński ogon, założyła bluzkę i spodnie, a wreszcie poszła do kuchni. Czy Robin lubi jajka? Bekon? Żeby tylko zapach smażeniny nie przyprawił go o mdłości po całym tym wypitym alkoholu. Nastawiła kawę i otworzyła puszkę soku pomidorowego — to podobno dobre na kaca. Boże, zrobiłaby dla niego wszystko.

Dochodziło południe, kiedy usłyszała, że poruszył się w łóżku. Nalała trochę soku pomidorowego do szklanki i zaniósła ją do sypialni. Robin wypił jednym haustem. Maggie rozsunała zasłony i powódź słońca zalała pokój. Robin kilkakrotnie zamrugał oczyma, a potem rozejrzał się wokół.

— Dobry Boże, Maggie! — Popatrzył na łóżko, a potem znowu na nią. — Jak się tu znalazłem?

— Z własnej nieprzymuszonej woli pojawiłeś się o wpół do piątej rano.

Lunatycznym gestem oddał jej pustą szklankę. — Czyśmy... tak, przypuszczam, że tak. — Wbił oczy w łóżko, później potrząsnął głową. — Czasami, kiedy jestem urażony, urywa mi się film. Wybacz, Maggie. — Nagle jego spojrzenie pomroczało z gniewu. — Dlaczego mnie wpuściłaś?

Z trudem zapanowała nad paniką, która zaczęła ją dławić.

— O Boże! — przeorał palcami włosy. — Nic nie pamiętam. Nic nie pamiętam.

Poczuła, że po jej twarzy zaczynają spływać łzy, ale narastająca złość nie pozwoliła na załamanie. — To najstarsza śpiewka świata, Robinie. Ale używaj jej sobie do woli, skoro poprawia ci samopoczucie! Prysznic jest tam.

Powoli przeszła do salonu i nalała sobie kawy. Gniew trochę ustąpił. Dezyorientacja w jego oczach nie była udawana: Maggie zrozumiała nagle, że Robin mówił prawdę. Nic nie pamiętał.

Po jakimś czasie Robin, z marynarką przerzuconą przez ramię, zjawił się w salonie, zawiązując krawat. Opadł na kanapę i przyjął filiżankę kawy, którą podała mu Maggie.

— Jeśli masz ochotę na jajka albo grzanki...

Pokręciła głową. — Cholernie mi przykro z powodu całej tej historii, Maggie. Z powodu tego, co zrobiłem Andy'emu. Ale przede wszystkim przykro z powodu ciebie. Posłuchaj... ja wyjeżdżam. Nie musisz Andy'emu mówić. Jakoś wyrównam swój dług wobec niego... znajduję sposób.

— A co ze mną?

Popatrzył na nią przeciągle. — Ty wiedziałas, co robisz. Andy nie wiedział. Jest twoim mężczyzną.

— Nie kocham Andy'ego.

Uśmiechnął się. — Za to, jak przypuszczam, do szaleństwa kochasz mnie.

— Tak, kocham.

Był tak rozweselony, jakby opowiedziała mu niezły dowcip. — Podejrzewam, że kiedy jestem kompletnie urzęnięty, staję się prawdziwym ogierem...

— Więc coś takiego przytrafia ci się często.

— Niezbyt często... miałem to może dwa albo trzy razy. I za każdym razem opłaciłem piekielnym strachem. Teraz jednak po raz pierwszy muszę stawić czoło dowodom. Zwykle wstaję rano i wiem, że stało się coś, czego prawie nie pamiętam. Ale wczoraj sądziłem, że mogę pić bezpiecznie — byłeś tylko ty i Andy. A tak nawiasem mówiąc, co się z nim stało?

— Wysiadł.

— Tak, to pamiętam... ale nic więcej.

— Więc nie pamiętasz nic z tego, co mi mówiłeś?

Z jego niebieskich oczu biła otwartość. — Czy zachowywałem się paskudnie?

Maggie znów zaczęło zbierać się na płacz. — Nie, byłeś miłszy niż jakikolwiek mężczyzna, z którym miałam do czynienia.

Odstawił filiżankę i wstał. — Maggie, przepraszam. Naprawdę bardzo przepraszam.

Podniosła na niego wzrok. — Robinie, czy ja cokolwiek dla ciebie znaczę?

— Lubię cię. Powiem szczerze: jesteś bystrą, piękną dziewczyną, tyle że nie w moim typie.

— Nie jestem w twoim... — Nie potrafiła tego z siebie wykrztusić.

— Maggie, nie wiem, co mnie podkusiło, żeby tu przyjść. Nie wiem, co mówiłem ani co robiłem... I, o Jezu, naprawdę mi przykro, że sprawiłem ci ból. — Podeszedł do niej, delikatnie musnął jej włosy, ale odskoczyła jak oparzona. — Posłuchaj, Maggie, udawaj wobec Andy'ego, że to się nigdy nie zdarzyło.

— Idź już, proszę! Mówiłam ci... skończyłam z Andym. Skończyłam jeszcze przed wczorajszą nocą.

— On to mocno przeżyje. Kocha cię.

— Nie jestem dla niego odpowiednią partnerką. Nie chcę go. Wynoś się, proszę.

— Zamierzam przenieść Andy'ego do Nowego Jorku — powiedział na gle. — Tak czy siak, tu dzieje się za mało. A ty... miałybyś ochotę popracować w Nowym Jorku?

- Och, przestań udawać Pana Boga!
Popatrzył jej w oczy.
- Maggie, gdybym tylko mógł cofnąć czas o tę jedną noc. Dawno nie miałem takiego uczucia... tak; ostatnio w Filadelfii.
- Wbiła weń wzrok. — Pamiętasz to?
Pokręcił głową.
- Już jej nie było, kiedy się zbudziłem. Pamiętam tylko, że używała pomarańczowej szminki.
- Ja używam pomarańczowej szminki.
Jego oczy zaokrągliły się z niedowierzania.
- Jak automat pokiwała głową. — Tak, tak... To czyste szaleństwo... pracowałam tam w telewizji.
- Boże, czy ty się za mną uganiaasz?
Przepełniona gniewem i uczuciem poniżenia, sama nie wiedząc, co robi, wymierzyła mu siarczysty policzek.
- Uśmiechnął się smętnie. — Chyba na to zasłużyłem... ty musisz mnie naprawdę nienawidzić, Maggie — byliśmy ze sobą tyle dni i nic sobie nie przypomniałem.
- Nienawidzić ciebie? Nie — odparła zimno. — Ja nienawidzę siebie. Nienawidzę wszystkich kobiet, które zachowują się jak sentymentalne idiotki albo tracą hamulce. Przykro mi, że cię uderzyłam. Nie jesteś tego wart.
- Nie sil się na twardość, to nie jest twój styl.
- A skąd możesz wiedzieć, jaki jest mój styl? Skąd możesz wiedzieć cokolwiek na mój temat? Kochałeś się ze mną dwa razy i nic z tego nie pamiętasz. Kim jesteś, żeby mnie oceniać? Kim w ogóle jesteś? A może czym?
- Nie wiem, naprawdę nie wiem. — Odwrócił się i wyszedł z mieszkania.

Rozdział dwudziesty

Opuściwszy mieszkanie Maggie, Robin wymeldował się z hotelu i pojechał wprost na lotnisko. W Nowym Jorku było pogodnie i dość ciepło, a świąteczni podróżni wypełniali Idlewild rozradowanym tłumem. Robin wziął taksówkę i dojechał do domu tuż przed godziną szczytu. Obiecał sobie, że aż do Wigilii w Los Angeles będzie przestrzegał kategorycznie abstynencji.

Nie znalazł żadnej ważnej korespondencji, a w mieszkaniu panował porządek; mimo to Robin czuł osobliwe przygnębienie. Otworzył puszkę soku pomidorowego i zamówił rozmowę z Ike'iem Ryanem. Amanda wyszła już przypuszczalnie ze szpitala.

— Gdzieś się, do cholery, podziewał? Teraz dzwonisz? — głos Ike'a był bezbarwny i dziwnie obojętny.

— Jak leci? — zapytał pogodnie Robin.

— Dzwon w każdej chwili, jeśli będziesz mnie potrzebował, Ike! — powiedział kpiąco Ryan. — Och, bracie... dzwoniłem, i to jak dzwoniłem — przez dwa dni!

— Byłem na łodzi. Dlaczego nie zostawiłeś wiadomości?

Ryan westchnął. — A co by to zmieniło? Spóźniłeś się na pogrzeb.

Robin miał rozpaczliwą nadzieję, że się przesłyszał.

— Jaki pogrzeb?

— Pisały o tym wszystkie gazety. Tylko mi nie mów, że nie wiesz.

— Ike, na rany Boskie... przed chwilą wróciłem do Nowego Jorku. Co się stało?

Głos Ryana był ciężki jak ołów. — Dwa dni temu pochowałem Amandę.

— Ale jeszcze kilka dni wcześniej mówiłeś, że dochodzi do siebie.

— Tak mi się tylko zdawało. W dniu śmierci... nawet na krótko przed zgonem... wyglądała cudownie. Przyjechałem do szpitala około jedenastej. Siedziała w łóżku — wysztafirowana, w pięknym szlafroku — i adresowała kartki świąteczne. Lekarstwo skutkowało; przewidywałem, że za kilka dni zabiorę ją do domu. Nagle wypuściła pióro, a jej oczy straciły wyraz. Podbiegłem do drzwi, zacząłem wołać lekarzy, pielęgniarki... Po kilku sekundach pokój był pełen ludzi. Lekarz dał Amandzie zastrzyk, po którym natychmiast zasnęła. Siedziałem przy niej bite godziny, zanim otworzyła oczy. Zobaczyła mnie i słabo się uśmiechnęła. Objąłem ją i tuląc do siebie, zapewniałem, że wszystko będzie w porządku. Potem, znów bardzo przytomnie, popatrzyła mi w oczy i powiedziała: „Ike, ja wiem, ja wiem!” — Ryan urwał.

— O czym mówiła? — zapytał Robin.

— Chryste, kto to wie? Jak przypuszczam, mówiła mi, że wie, iż umiera. Wezwałem pielęgniarkę; przybiegła z następnym zastrzykiem, ale Amanda odepchnęła od siebie strzykawkę. Przywarła do mnie, jakby zdając sobie sprawę, że nie pozostało jej wiele czasu, a potem spojrzała mi w oczy i powiedziała: „Robinie, opiekuj się Leserem... błagam, Robinie”. Po chwili straciła przytomność. Pielęgniarka stwierdziła: „Nie wiedziała, co mówi, na moment przeniosła się w przeszłość”... Obudziła się jakąś godzinę później, uśmiechnięta. Wzięła mnie za rękę. Dobry Boże, jej oczy były tak przerażone i ogrom-

ne! Powiedziała: „Ike, kocham cię, kocham cię!” — a potem opuściła powieki i już nie odzyskała przytomności. Umarła godzinę później.

— Ike, ostatnie słowa skierowała do ciebie. To ci powinno dać jakąś pociechę.

— Gdyby powiedziała „Ike, kocham cię” i kropka, wszystko byłoby w porządku. Ale tego nie zrobiła. Powiedziała „Kocham cię, kocham cię” — jak gdyby usiłowała mnie przekonać, że facetem, którego naprawdę kocha, nie jesteś ty, lecz ja. To też coś mówi o jej dobroci i szlachetności. Wiedząc, że to koniec, pragnęła zostawić mnie z przekonaniem, którego mógłbym się trzymać.

— Ike... nie gryź się tym tak strasznie. Amanda była półprzytomna.

— Taa, powiedz, nie masz nic przeciwko temu, żebym zatrzymał kota?

— Kota?

— Z prawa należy do ciebie. Przytomna czy nie, Amanda prosiła, byś ty zaopiekował się Leserem. A ja szanuję jej wolę bez zastrzeżeń. Ale chcę tego kota... to tak, jakbym miał jakąś częśćkę Amandy.

— Rany Boskie, Ike... oczywiście, kot należy do ciebie.

— Sypiam z nim co noc — rzekł Ryan. — Zwierzak czuje, że coś nie gra. Jesteśmy obaj zagubionymi duszyczkami.

— Ike, daj kotu miskę mleka, a sam prześpij się z jakąś blondynką.

— Takie moje parszywe szczęście, że akurat kręcę film wojenny. Bez jednej dziewczyny. Tylko dwunastu facetów, a każdy wygląda jak John Wayne. Ale co tam... jakoś dojdę do siebie. Wesołych Świąt, Robinie.

— Dzięki. I wzajemnie, Ike.

Odłożył słuchawkę i osunął się w fotel. Amanda umarła... wydawało się to niemożliwe. Przecież nie mogła wciąż go kochać... Ike, ogarnięty rozpaczą, coś pokręcił. Biedak, będzie miał wyjątkowo parszywe święta. Jemu zresztą też perspektywa świąt nie wydawała się szczególnie radosna. Nagle doznał silnego pragnienia, by spędzić święta z kimś, kto nie jest mu obojętny. Z matką? Siostrą? Cóż, Kitty była w Rzymie, a Lisa... Boże, nie widział jej sto lat. Nie miał nawet pojęcia, jak wyglądają jej dzieciaki. Zadzwoił do San Francisco.

Lisa wydawała się autentycznie zaskoczona. — Robinie, to nie do wiary! Ty dzwonicz do mnie! Już wiem — żenisz się...

— Liso, moja droga, zbliżają się święta i jakkolwiek rzecz może wydawać ci się dziwna, ja nadal myślę od czasu do czasu o swojej rodzinie. Szczególnie o tej porze roku. Jak tam dzieciaki? I stary zacny język?

— Wciąż ostrzyżony na jeża i wciąż najcudowniejszy na świecie. Robinie, powinnam się na ciebie obrazić — tyle razy bywałeś w Los Angeles i ani jed-

nej wizyty! A to przecież zaledwie godzina lotu. Kate i Dickie byliby zachwyceni twoimi odwiedzinami. Złapałeś mnie w ostatniej chwili — dosłownie za moment jedziemy do Palm Springs, spędzimy święta z rodziną Dicka. No i mamy ostatnio kręćka na punkcie tenisa. Kiedy do nas wpadniesz?

— Podczas następnego wyjazdu do Los Angeles, obiecuję. — Zamilkł na chwilę. — Jak się ma szampańska Kitty?

Odpowiedziała dopiero po dłuższej pauzie.

— Robinie, dlaczego zawsze ją tak nazywasz?

— Nie wiem. Chyba przyszło mi to do głowy po śmierci starego.

— Chcesz powiedzieć: ojca.

— Daj spokój, Liso. Więc jak się miewa Kitty?

— Dlaczego mówisz o niej Kitty?

Parsknął śmiechem.

— W porządku, więc co tam ostatnio porabia mamuśka? Tak lepiej?

— Była dla ciebie dobrą matką, Robinie.

— Jasne, że była i cieszę się, że dobrze się bawi. Jak się czuje?

— Żle. Ma postępującą chorobę wieńcową... takie mikrozawały. Przeleżała miesiąc w szpitalu, trochę stanęła na nogi, ale doktor ją ostrzegł, żeby bardzo na siebie uważała. Nie rozstaje się z nitrogliceryną. No i przeniosła się do wielkiego domu w Rzymie. W towarzystwie, rzecz jasna... ma dwadzieścia dwa lata i jest, jak sądzę, pedałem. Matka powiada, że on ją uwielbia... gotuje, sprząta, no i w ogóle pełza u jej stóp. Wypłaca mu za to pensyjkę. Możesz to przełknąć?

— Uważam, że układ jest nadzwyczajny — odparł Robin. — Czego po niej oczekujesz? Że weźmie sobie do kompanii poskrzypującego protezami starucha? Jestem podobny do Kitty: oboje lubimy partnerów młodych i urodziwych.

— Czy w ogóle nie chcesz mieć domu i dzieci?

— Do diabła, nie... i powiem ci coś jeszcze. Wcale nie sądzę, że szampańska Kitty też miała na nie ochotę. Urodziła nas, bo tego po niej oczekiwało.

— Nie mów takich rzeczy! — oburzyła się Lisa.

— Och, daj spokój, Liso. Zawsze mieliśmy niańkę, a przynajmniej ty ją miałaś. Nie pamiętam, żeby nosiła mnie na rękach, kiedy byłem malcem. Sądzę, że byliśmy tylko elementem z góry założonego planu — chłopiec i dziewczynka dla przystrojenia domu.

— Kochała dzieci — warknęła Lisa. — Pragnęła je mieć tak bardzo, że oddała mi się bez reszty, kiedy przyszedłem na świat.

— Co doskonale ilustruje, jak wiele ja dla niej znaczyłem — rzucił lekko.

— Nie, chodzi o coś zupełnie innego. W końcu dzieli nas siedem lat. Chciała mieć całą gromadkę dzieciaków. Moich narodzin omal nie przypłaciła życiem, a później miała jeszcze trzy poronienia.

— Jak to się stało, że nic o tym nie wiem?

— Ja kiedyś też nie wiedziałam. Ale rok po śmierci taty wpadła do nas z krótką wizytą. Byłam wówczas w trzecim miesiącu ciąży. I mama powiedziała: „Nie poprzestawaj na jednym, Liso, nawet na dwójce. Miej ich całe stadko. Ty i Robin odziedziczycie po mnie taki majątek, że będziecie mogli sobie pozwolić na dużo dzieciaków. Bez nich życie nie ma żadnego sensu”. Wtedy również powiedziała mi wiele innych rzeczy. Bardzo chciałam, żeby zamieszkała z nami, ale była temu stanowczo przeciwna. Oświadczyła, że mam swojego męża i swoje życie, a ona pragnie decydować o sobie sama. Postanowiła mieszkać w Europie.

— Chyba dziewczyny są z matkami bliżej — powiedział cicho.

— Nie mam pojęcia, ale dzieci to coś naprawdę ważnego. Matka o tym wiedziała. Szkoda, że w tej mierze nie dzielisz jej poglądów.

— Cóż... Wesołych Świąt i miłego pobytu w Palm Springs.

— Wzajemnie. Choć, jak podejrzewam, spędzisz święta w otoczeniu hałmu blondynek. Baw się dobrze, Robinie.

Odłożyła słuchawkę.

Z namyśłem potarł czoło. Okres świąteczny rozciągał się przed nim jak bezmiar pustki. Pomyślał programu o UFO zaczynał w jego umyśle nabierać kształtu, ale coś konkretnego będzie można zrobić dopiero po pierwszym styczniu. Należało jakoś przetrwać święta. Mógł pojechać do Los Angeles i spróbować pocieszyć Ike'a, ale zabawa w spowiednika nie budziła w nim entuzjazmu.

Zadzwoił do modelki, z którą się ostatnio spotykał: wyjechała na urlop do Zachodniej Wirginii. Spróbował szczęścia ze stewardesą: jej przylot opóźnił się o dwie godziny, ale dziewczyna, dzieląca z nią pokój, nie miała nic przeciwko randce. Umówili się w Lancerze. Była sympatyczną paniąką o regularnych rysach i po kilku drinkach oraz steku, który jej postawił — przy czym sam poprzestał na piwie — okazała gotowość dzielenia z nim łoża. Nie skorzystał jednak i odwiózł dziewczynę do domu. Zrobił długi spacer, obejrzał w telewizji *Kino nocne* i zasnął. Obudził się o czwartej nad ranem. Był złany potem i jakkolwiek niczego nie pamiętał, miał świadomość, że nawiedził go koszmar senny. Zapalił papierosa. Czwarta w nocy, a zatem dziesiąta w Rzymie. Im dłużej się zastanawiał, tym rzecz wyglądała sensowniej. Zamówił rozmowę. Głos, który zabrzmiał w słuchawce, był męski i mówił koturnową angielszczyzną.

- Z panią Stone, proszę — powiedział Robin.
- Wybacz pan, ale śpi. Gzy przekaże pan jakąś wiadomość?
- Z kim mówię?
- Gzy, z kolei, mógłbym zadać to samo pytanie?
- Jestem jej synem. Robin Stone. A kim, do cholery, jest pan?
- Och — głos po drugiej stronie linii pocieplał. — Tak wiele o panu sły-
szałem! Jestem Sergio, serdeczny przyjaciel pani Stone.
- A więc posłuchaj, serdeczny przyjacielu, zamierzam złapać najbliższy
samolot do Rzymu. Chcę z matką spędzić święta. Jak się czuje?
- Nie najgorzej, ale usłyszawszy nowiny, poczuje się wręcz znakomicie.
Robin zachowywał chłodny ton głosu. Był to przykład czarowania, które
żigolakom pozwala wkraść się w łaski tak wielu durnych kobiet. — Posłuchaj,
serdeczny przyjacielu, oszczędzisz mi trudu wysyłania telegramu, jeśli zare-
zerwujesz dla mnie pokój w Excelsiorze.
- Nie rozumiem...
- Excelsior. Wielki hotel przy Via Veneto.
- Znam ten hotel wyśmienicie, nie rozumiem jednak, dlaczego miałbyś
się w nim zatrzymywać. Twoja matka dysponuje wspaniałym palazzo o dzie-
sięciu sypialniach i będzie doprawdy urażona, jeśli wzgardzisz jej gością.
- Dziesięć sypialni!
- Bardzo przyjemna willa, Sprzyjająca wypoczynkowi.
- Dam głowę, pomyślał Robin; wspaniałe miejsce na balangi dla małego
Sergio i jego pedalskich przyjaciół. Wstrzymał się jednak od komentarzy.
- Sergio powiedział: — Jeśli powiadomisz mnie o godzinie przybycia,
odbiorę cię z lotniska.
- Nie ma potrzeby.
- Ależ zrobię to z przyjemnością.
- Okay, widzę, że uczciwie zarabiasz na chleb, prawda?
- Czekam z niecierpliwością, żeby poznać cię osobiście.

Samolot wylądował w Rzymie o jedenastej wieczorem. Robin ucieszył się na-
głe z różnicy czasu — przywita Kitty i zaraz potem pójdzie do łóżka. Trochę
żałował, że nie zamieszka jednak w hotelu. Rola gościa — nawet w domu mat-
ki — niezbyt mu odpowiadała. Rzymska willa w niczym nie będzie przypomi-
nać ich rozległej, obłożonej brązowym piaskowcem sadyby w Bostonie, a Sergio — ojca.

Przystojnego młodzieńca w obcisłych spodniach dostrzegł natychmiast po
wyjściu z samolotu; chwilę później, za bramką odprawy paszportowej, mło-
dzieńiec ów z zapałem usiłował mu wyrwać bagaż podręczny.

Robin spławił go machnięciem dłoni. — Nie jestem inwalidą, mój mały.
— Nazywam się Sergio. Czy mogę mówić do ciebie „Robin”?
— Czemu nie? — Ruszyli w stronę sali przylotów. Chłopak był niesamowicie przystojny, przystojniejszy niż większość gwiazdorów filmowych, ale to nie wyczerpywało jeszcze palety jego przymiotów: sposób bycia, otwarty i entuzjastyczny, nie miał w sobie nic ze służalczości. Ten skurczybyk, pomyślał Robin, wydaje się naprawdę rad ze spotkania! No i nie brakowało mu operatywności. Gdy pozostali podróżni w tłoku i chaosie usiłowali odszukać swoje bagaże, Sergio wyrzucił z siebie krótką orację po włosku, machnął jakimiś liramami i już stary przygarbiony bagażowy ładował walizki Robina do długiego czerwonego jaguara. Robin milczał, kiedy przekraczając dozwoloną prędkość gnali do miasta, i dopiero po dłuższej chwili oświadczył: — Przyjemny wózek.

— Należy do twojej matki.
— Bez wątplenia starszuszka lubi sobie od czasu do czasu wdepnąć gaz do dechy — zauważył ironicznie Robin.
— Nie... ja prowadzę. Miała rollsa z szoferem, ale w rzymskim ruchu taki ogromny samochód zupełnie się nie sprawdza. No a szofer... — Sergio uniósł oczy ku niebu. — Miał układy na stacjach benzynowych i strasznie żerował na twojej matce. Teraz ja ją wożę.
— I, jestem pewien, znalazłeś stację, która daje rabat.
— Rabat?
— To nieistotne, Sergio... jak się czuje matka?
— Lepiej niż... od bardzo, bardzo dawna nie czuła się tak dobrze... a twoja wizyta po prostu ją uszczęśliwiła. Planujemy wielkie świąteczne przyjęcie na twoją cześć. Twoja matka lubi przyjęcia, a i one — jak sądzę — dobrze jej służą. Musi się wówczas pięknie ubrać, kobieta zaś, która ma na sobie elegancką suknię i biżuterię, nie tylko wygląda, lecz również czuje się doskonale.

Robin rozparł się w fotelu i obserwował Sergia manewrującego pomiędzy maleńkimi autkami, które w centrum miasta tworzyły potężne korki. Po jakimś czasie wjechali w dzielnice o mniejszym natężeniu ruchu i ruszyli w stronę Via Appia. Na koniec Sergio skrzył w imponujący podjazd, obrzeżony szpalerami drzew. Robin gwizdnał przez zęby. — Wygląda jak letni pałac Nerona. Ile wynosi czynsz za to cacko?

— Nic — odparł Sergio. — Kitty je kupiła. Ładne, prawda?

Kitty czekała w ogromnym holu, wyłożonym marmurem. Robin delikatnie uściśnął matkę: wydała mu się mniejsza niż ta, którą zachował we wspomnieniach, ale wciąż miała gładką, wolną od zmarszczek twarz. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie kobiety najwyżej czterdziestoletniej. Zaprowadziła go

do olbrzymiego salonu, gdzie różowy marmur posadzki łączył się z freskami wysokich ścian. Sergio gdzieś zniknął, a Kitty i Robin usiedli na kanapie.

— Och, jak cudownie, że jesteś — powiedziała Kitty, a Robin popatrzył na nią czule i doznał przypływu głębokiego zadowolenia, że ta kobieta jest jego matką. Z bliska dostrzegł na dłoniach starcze przebarwienia skóry, całkiem nie przystające do młodej gładkiej twarzy... a jednak teraz zaczęła nagle wyglądać na swoje lata, sprawiała wrażenie drobnej bezradnej staruszczyki.

Potem do salonu wszedł Sergio i Robin stał się świadkiem zdumiewającego przeistoczenia. Kitty wyprostowała się, rosnąc — z pozoru — o dwa cale, jej całe ciało zaczęło pulsować życiem, na ustach wykwitł bardzo młodzieńczy uśmiech. Więcej, przyjmując od Sergia kieliszek szampana Kitty była młoda!

— Dla ciebie przyrządziłem martini z lodem — powiedział Sergio. — Kitty mówi, że to twój ulubiony napój. Czy tak?

Robin pociągnął długi łyk. Niesamowite! Ten sukinsyn robił lepsze martini niż barman w Lancerze. Sergio zniknął ponownie, a Kitty ujęła Robina za rękę. — Jestem troszeczkę zmęczona, ale jutro nadrobimy zaległości. Och, Sergio, jesteś kochany! — Chłopak wrócił, niosąc półmisek z homarem na zimno.

Robin uświadomił sobie nagle, że jest głodny i zanurzył kawałek homara w jakimś sosie. Talentom Sergia nie było końca! Jedząc, Robin przypatrywał się chłopakowi, który wyprostowany stał obok kominka i zastanawiał się, dlaczego człowiek o tylu zaletach stał się pederastą. Jeśli chciał pieniędzy, to przy swojej urodzie bez trudu zdołałby podłapać jakąś młodą dziedziczkę wielkiej fortuny. Dlaczego związał się ze starą kobietą? Proste: bo stara kobieta była wdzięczna za każdy drobiazg, którym ją obdarzał. Na tyle wdzięczna, że nie miała nic przeciwko ternu, żeby od czasu do czasu uciał sobie na boku roman-sik z chłopcem.

— Zadzwoniłeś w ostatniej chwili — powiedziała Kitty. — Mieliśmy już bilety lotnicze do Szwajcarii. Obiecałam Sergiowi dziesięć dni na nartach.

Na twarzy Robina odmalowało się zakłopotanie. — Dlaczego nie powie-dzieliście, że mój przyjazd torpeduje wasze plany?

Lekceważąco machnęła ręką. — Och, z mojego punktu widzenia rzecz jest obojętna. Bóg świadkiem, że nigdy nie jeździłam na nartach. To ten biedaczek Sergio nie mógł doczekać się podróży. Ale sam zdecydował, że rezygnujemy. Kiedy się obudziłam, oznajmił, że przyjeżdżasz i że już anulował naszą rezerwację w hotelu wysokogórskim.

Robin spojrzął na Sergia, który wzruszył ramionami. — Pomyślałem sobie, że być może zbyt rozrzedzone powietrze nie będzie dobre dla Kitty. Może nie powinna ze swoim chorym sercem jeździć w Alpy.

— Nonsens! Lekarz powiada, że to zupełnie nie szkodzi — stwierdziła Kitty. — Ale tak jest znacznie przyjemniej, spędzimy święta we trójkę. No i — czy Sergio już ci powiedział? — w pierwszy dzień wydamy wielkie przyjęcie. Właśnie sporządzam listę gości. Oczywiście, wiele osób wyjeżdża, ale z tych, którzy pozostali w Rzymie, będą wszyscy. Oczywiście, Robinie, nie porzucisz nas przed Nowym Rokiem. W końcu zrezygnowaliśmy dla ciebie z wyjazdu w góry, więc nie waż się przedwcześnie umknąć.

— Gdybym jednak został tylko na kilka dni, wciąż moglibyście pojechać do Szwajcarii.

— Nie, za Boga nie dostaniemy miejsc w hotelu. Musieliśmy je rezerwować z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Musisz więc zostać.

Kitty odstawiła kieliszek. — Czas spać. — Gdy Robin wstał, powstrzymała go gestem dłoni. — To dotyczy tylko mnie. Ty dokończ swojego drinka. Wciąż żyjesz wedle czasu amerykańskiego, nie możesz więc być senny. — Lekko pocałowała go w policzek. Potem z czułością popatrzyła na Sergia, który podszedł i wziął ją pod ramię. — To miły chłopak, Robinie. Dał mi wiele szczęścia. Mógłby być moim synem. — Nagle spojrzała Robinowi w oczy. — Ile masz lat?

— W sierpniu przekroczyłem punkt krytyczny.

— Czterdziestka. — Uśmiechnęła się. — W tej chwili odnoszę wrażenie, że tak niewiele, a jednak to naprawdę dużo jak na nieżonatego mężczyznę. — Jej wzrok był pytający.

— Chyba nie mogę znaleźć nikogo, kto dorównywałby ci zaletami.

Pokręciła głową. — Nie zwlekaj zbyt długo. Dzieci są bardzo ważne.

— Jasne — odparł głucho. — Właśnie dlatego potrzebujesz Sergia. Doprawdy, mając z Lisy i mnie taką wyrękę...

— Robinie, matka naprawdę kocha dzieci tylko wtedy, kiedy potrafi przewyciężyć swoją miłość i dać im niezależność. Nie miałam dzieci po to, by zyskać zabezpieczenie przeciwko samotności, kiedy będę stara. Były częścią mojej młodości... czymś cudownym, co powstało z mojego związku z waszym ojcem. Teraz one muszą przeżyć swoją młodość, teraz one muszą mieć dzieci. — Westchnęła. — Te lata... jedyne naprawdę szczęśliwe lata w moim życiu... czymkolwiek życiu. Dostrzegam to teraz, spoglądając w przeszłość. Nie pozwól, by przemknęły obok ciebie, Robinie. — Potem, eskortowana przez Sergia, wyszła z pokoju. Robin patrzył za nimi, aż zniknęli u szczytu schodów.

Nalał sobie miarkę czystej wódki. Był zmęczony, ale wcale nie miał ochoty iść do łóżka. Nie wziął ze sobą nic do czytania... i nie umiał się pozbyć tego nowego dla siebie uczucia osamotnienia. Powędrował spojrzeniem w górę spiralnych schodów. Czy Kitty kocha się teraz z Sergiem? Zadygotał. Przejmo-

wał go chłód, chociaż noc była dość ciepła. Podszedł do kominka. Może to te cholerne marmury. Znow przeszedł go dreszcz.

— Rozpaliłem w twoim pokoju.

Odwrócił głowę — u podnóża schodów stał Sergio.

— Nie słyszałem, jak wszedłeś — powiedział Robin. — To się nazywa kocie chodzenie.

— Celowo noszę buty na kauczukowych podbiciach. Kitty często zapada w krótkie drzemki i nie chcę, żeby ją budził stuk obcasów.

Robin wrócił na kanapę, a Sergio usiadł obok niego. Robin odsunął się i przeciągle spojrział na chłopaka. — Posłuchaj, Sergio, wyjaśnijmy sobie sytuację od samego początku. Baw się z moją matką czy z chłopakami, ale wybij sobie z głowy wszelkie pomysły na mój temat.

— Czterdzieści lat to dużo jak na samotnego mężczyznę.

Robin wybuchł niewesołym śmiechem. — Prawidłowe rozumowanie, ale trafiłeś jak kulą w płot. Bo ja lubię dziewczyny, tak bardzo lubię, że nie zamierzam poprzestać na jednej. — Powłóczyście spojrzenie ciemnobrazowych oczu Sergia wyprowadzało go z równowagi. — Właściwie dlaczego nie jesteś w łóżku z szampańską Kitty? Przecież za to ci płaci.

— Jestem z Kitty, ponieważ ją lubię.

— Taa, ja też lubię Kitty. Ale rzuciłem ją będąc w twoim wieku... a ona była wówczas znacznie młodsza i ładniejsza.

Sergio uśmiechnął się. — Tyle że ona nie jest moją matką. Łączy nas miłość — ale nie taka, jak przypuszczasz. Twoja matka nie chce seksu; ona chce ciepła, towarzystwa. Jest dla mnie kimś bliskim i zawsze będę dla niej bardzo dobry.

— Postaraj się, Sergio — powiedział Robin czując, że coś mu ściska gardło. Zorientował się, że przestaje gardzić tym chłopcem, że dostrzega go w nowym świetle, że zaczyna odczuwać w stosunku do niego wdzięczność. Przyszła mu do głowy myśl, że Kitty ma, w gruncie rzeczy, szczęście.

— Opowiedz mi o swojej pracy w Stanach — poprosił Sergio.

— To nic ciekawego... zajmuję się telewizyjnymi programami informacyjnymi.

— Nie lubisz swojej pracy?

Robin wzruszył ramionami. — Robota jak robota, może ująć.

Dolał sobie wódki; Sergio skwapliwie podał mu wiaderko z lodem.

— Wszyscy muszą gdzieś pracować — stwierdził Robin.

— Jesteśmy krajem katolickim, gdzie nie ma rozwodów i zapobiegania ciąży. Biedacy płodzą dzieci, więc muszą ciężko harować, nawet wykonując pracę, która nie sprawia im satysfakcji. Ludzie zamożni jednak nie mają się

byle zajęcia — oni prowadzą interesy, które wybrali sobie sami. Delektują się życiem. Wszystkie firmy i sklepy są zamknięte od południa do piętnastej. Bogacze idą wówczas do kochanek, jedzą solidny lunch z winem, a potem uprawiają miłość. Wieczorem wracają do żon i znów oddają się przyjemnościom. Lecz wy, Amerykanie, podejmujecie pracę, która jest wam obojętna. Powiedz, czy przynajmniej do lunchu pijacie wino.

Robin wybuchł śmiechem. — Nigdy by mi to nie przyszło do głowy.

— Dlaczego tak jest? Czy naprawdę musisz harować tak ciężko, wykonując pracę, na której ci nie zależy, skoro odziedziczysz po matce wielką fortunę?

— Bez przesady z tym harowaniem. Może istotnie żyjemy na wysokich obrotach, ale zarazem nie oczekujemy, że wezmą nas na utrzymanie jakieś kobiety. Obojętne, matki czy kochanki.

Robin obserwował, czy jego słowa wywrą efekt, ale wyraz twarzy Sergia pozostał nie zmieniony.

— Czy będziesz pracował w tych programach informacyjnych do końca życia? — Pytanie zostało zadane z autentycznym zainteresowaniem.

— Nie. Pewnego dnia zwinę żagle i napiszę książkę.

Wzrok Sergia pojaśniał.

— Ja nieustannie czytam... Mam straszne luki w wykształceniu i Kitty pomaga mi je zapełnić. Teraz jestem przy *Historii świata* Wellsa. Czy piszesz podobnie jak pan Wells?

— Piszę jak Robin Stone i nie potrafię inaczej, czy to dobrze, czy źle. Problem polega na tym, że muszę wciskać moje pisanie w najdziwniejsze pory dnia i nocy.

— Myślę, że powinieneś rzucić tę swoją pracę i zamieszkać z nami. Mógłbyś spokojnie pisać i byłibyśmy wszyscy bardzo szczęśliwi. Proszę, Robinie, sprawiłyby Kitty wielką przyjemność... zresztą mnie również.

Robin uśmiechnął się. — Jestem ciut za duży na współlokatora, przyjacielu.

— Och, miałbyś własny pokój. Wydzielilibyśmy dla ciebie cały apartament. A żeby odpocząć, jeździlibyśmy obydwoj na narty. Proszę, Robinie!

— Sergio, kiedy ostatni raz ktoś patrzył na mnie w taki sposób, historia skończyła się trzema dniami w łóżku. Tyle tylko, że tym kimś była dziewczyna. Więc przestań.

— To się rzuca w oczy?

— Bardzo się rzuca.

— Denerwuję cię, prawda?

— Jeśli chcesz, żebym został — przestań.

Sergio westchnął. — Rozumiem. Rzecz w tym, że jesteś... wszystkim, co mógłbym sobie wymarzyć w mężczyźnie. Nic nie mogę poradzić, jestem bezsilny — tak samo, jak są wobec ciebie bezsilne dziewczyny. Gdyby jednak w taki sposób patrzyła dziewczyna, nie poczułbyś do niej niechęci. Moje spojrzenie idzie z serca... nie potrafię panować nad swoimi uczuciami. Ale nie przejmuj się. — Wyciągnął rękę. — Podajmy sobie dłonie, Robinie. Będziemy przyjaciółmi.

Robina zaskoczyła moc, z jaką Sergio uściśnął mu dłoń. — Okay. — Odstawił szklaneczkę i zaczął wchodzić na schody. — A tak nawiasem, gdzie sy-piasz, staruszku?

— W końcu korytarza. W pokoju sąsiadującym z sypialnią twojej matki. — I, widząc uśmiech, rozlewający się z wolna na twarzy Robina, dodał: — Ma chore serce. Muszę nieustannie być w zasięgu jej głosu.

— Dobranoc, Sergio... zostawiłeś mnie w blokach startowych.

Sergio uśmiechnął się nieznacznie i podszedł do kominka. — Wygaszę ogień. Służba przychodzi o siódmej. Na wypadek, gdybyś wstał wcześniej, zostawiłem ci na stoliku nocnym termos z gorącą kawą.

Robin wybuchł donośnym śmiechem. — Dzięki! Jesteś jedyny w swoim rodzaju, Sergio. Gdyby takich jak ty było więcej, wszystkie dziewczyny mogłyby iść w odstawkę.

Kilka następnych dni Kitty spędziła oddając się bez reszty skomplikowanym przygotowaniom do świąt. Należało zorganizować jedzenie, wina, ozdoby choinkowe, drzewko. Każdego ranka wręczała mężczyznom listę zakupów i wysyłała ich do miasta. Robin rozluźnił się i uległ atmosferze chwili; Sergio prowadził wóz i zatrzymywał się przy najważniejszych sklepach. Często, zmuszeni do tego przerwą obiadową, zatrzymywali się gdzieś na długi lunch. Robin wypoczywał, zaczął nawet pić wino i — ostatecznie zawojowany dobrocią i łagodnością Sergia — okazywać chłopcu rodzaj ojcowskiej miłości.

Sergio z wielką żarliwością wypytywał o Stany. Interesował się Nowym Jorkiem, Chicago i innymi miastami, ale tym, co miało na jego wyobraźnię wręcz hipnotyczny wpływ, było Hollywood. Łapczywie pochłaniał magazyny filmowe, zdumiewały go domy nadmorskie i oczekające bogactwem rezydencje elity. — W Rzymie tak wystawnie żyje najwyższej trzech lub czterech ludzi. W Hollywood własne baseny mają wszyscy. To jest cudowne życie! Tutaj takich jak ja jest na pęczki, nie mam w filmie najmniejszych szans, ale w Hollywood byłoby inaczej.

— Umiesz grać? — zapytał Robin.

— Czy człowiek musi być aktorem, żeby występować w filmach? — Z oczu Sergia biła niewinność. — Słyszałem, że jest to robione w malutkich kawałeczkach i reżyser zawsze udziela wykonawcom szczegółowych instrukcji.

— To nie takie proste. Może pochodziłybyś na kursy aktorskie? Kitty na pewno nie wyrazi sprzeciwu.

Sergio wzruszył ramionami. — To tylko takie marzenia. Wystarczy mi, że jestem z Kitty. A te ostatnie dni, Robinie, były najszcześniejsze w moim życiu.

W Wigilię Bożego Narodzenia Sergio zaciągnął Robina do sklepu jubilerskiego przy Via Sistina. Na widok Sergia właściciel sklepu, tysiącej tłuścioch, zadystygował z podniecenia. — Wróciłeś, Sergio, wróciłeś — powiedział.

— Chciałbym obejrzeć to lustro — oświadczył Sergio lodowatym tonem.

— Już się robi, ty niedobry chłopaku. Powiedziałem, że jest twoje, jeśli tylko zechcesz. — Sięgnął do gabloty i wyjął piękne złote zwierciadło florenckiej roboty. Sergio popatrzył na nie z zachwytem.

— O co tu, do diabła, chodzi? — spytał Robin. Zaczynał czuć się nieswojo. Właściciel sklepu pożerał Sergia wzrokiem, Sergio jednak całkowicie go ignorował.

— Kitty ujrzała je miesiąc temu i była zachwycona. Próbowałem na nie zbierać, ale mam tylko połowę niezbędnej sumy.

— Sergio — głos grubasa ociekał słodyczą — już ci mówiłem: zapłać, ile możesz. Reszta będzie podarkiem ode mnie.

Sergio zlekceważył jego propozycję. Wyciągnął z kieszeni plik zgniecionych lirów. — Robinie, potrzebuję... cóż, dwadzieścia dolarów powinno wystarczyć. Czy nie moglibyśmy dać Kitty wspólnego prezentu?

Robin przytaknął. Podał tłuściochowi pieniądze, a ten wzruszywszy z rozczarowaniem ramionami, zniknął na zapleczu, żeby zapakować lustro. Robin obszedł sklep, przyglądając się eksponowanej w witrynach biżuterii. Sergio podążał za nim krok w krok. — Ma wiele pięknych okazów — wyjaśnił. — To prawdziwy kolekcjoner.

— Coś mi się zdaje, że biżuteria nie jest jedynym obiektem jego kolekcjonerskich zapędów.

Sergio z zażenowaniem opuścił oczy. — Znany jest z tego, że obsypuje podarkami młodych chłopców.

Robin zachichotał. — Wnosząc z tego, jak na ciebie patrzył, jest ugotowany. Ale pamiętaj — nic bez ślubu!

— Poznałem go dopiero wtedy, kiedy wszedłem, żeby zapytać o cenę lustra. Oświadczył, że da mi je za darmo, jeśli...

- Dlaczego nie, Sergio? Nie jest wiele starszy od Kitty.
 - Musiałbym się z nim przespać.
 - No i?
 - Sypiam tylko z osobami, które są dla mnie pociągające.
- Ten chłopak, pomyślał Robin, ma niepojęte poczucie godności.
- To prawda, Robinie — ciągnął Sergio. — Miałem zaledwie kilku przyjaciół, a odkąd zachorował ostatni z nich, jestem samotny.
 - Kiedy porzucisz Kitty dla następnego?
 - Nie porzucę jej. Nie zakochuję się łatwo. Mężczyźni, których mógłbym obdarzyć miłością, przepadają za kobietami, a nie polecę za byle kimś tylko dlatego, że jest homoseksualistą. Wolę być z Kitty.
 - Zostań przy niej, Sergio, a obiecuję ci, że jeśli umrze, załatwię, żebyś był ustawiony na resztę życia.
- Sergio wzruszył ramionami. — Pieniądze to dla mnie nie wszystko. — Uśmiechnął się. — Czy jednak kupiłbyś mi na Gwiazdkę coś, co pozwoli mi zachować cię w pamięci?
- Ponieważ stali obok tacy pełnej naszpikowanych brylantami zegarków męskich, w duszy Robina zagościła podejrzliwość. — Okay, przyjacielu, do czego więc rwą się te wielkie brązowe oczęta?
- Do tego. — Sergio podprowadził Robina do gablotki zawierającej bransolety ze złotych łańcuszków. — Zawsze o takiej marzyłem.
- Robin stłumił uśmiech. Bransoletki były mniej więcej po osiemnaście dolarów. Machnął ręką. — Wybieraj.
- Sergio uradował się jak dziecko; po chwili wybrał najtańszą bransoletę — prosty łańcuszek z cienką plakietką.
- Czy mógłbym zlecić wygrawerowanie swojego imienia? To kosztuje parę groszy ekstra.
 - Jasne — odparł Robin z uśmiechem. — Idź na całość i graweruj, co ci się żywnie podoba.
- Sergio z uciechy aż klasnął w dłoń, a potem wdał się z właścicielem sklepu w długą i ożywioną rozmowę po włosku. Tymczasem Robin myszkował po gablotach i witrynach. Nagle jego uwagę zwróciła czarna emaliowana pantera, spozierająca nań zza szyby zielonymi ślepiami z jakichś szlachetnych kamieni. Przywołał subiekta. — Ile to kosztuje?
- Cztery tysiące.
 - Lirów? — zapytał Robin.
 - Dolarów.
 - Za takie nic?
- Subjekt natychmiast wyłożył przedmiot na kawałek białego aksamitu.

— To najpiękniejsza spinka w Rzymie, pochodzi z Indii, wykonana trzy-
sta lat temu na zamówienie pewnego maharadzy. Szmaragdy w oczach są bez-
cenne. Jest to antyk, a zatem nie musiałyby pan płacić cła.

Robin wpatrywał się w panterę. Jej szmaragdowe ślepia były dokładnie
tego samego koloru, co... Odwrócił się, a potem — nagle zmieniwszy zdanie
polecił subiektowi zapakować spinę. Cholera... czemu nie? Bo jasne, jak
słońce, że po tej nocy był Maggie co nieco winien. Kiedy wypisywał czek
podróżny, przyszło mu do głowy, że nigdy nie wydał na nic aż tak znacznej su-
my. Dziwne jednak, bo towarzyszyło tej myśli silne uczucie ulgi. Włożył pu-
dełeczko do kieszeni, a potem podszedł do Sergia, który nie zamierzał wyjść
ze sklepu przed uzyskaniem pisemnej gwarancji, że napis zostanie na branso-
lecie wygrawerowany jeszcze tego samego dnia.

Robin nie pamiętał sympatyczniejszej Wigilii. Ogień trząsał w kominku,
choinka wierzchołkiem sięgała sufitu. O północy rozpakowali swoje prezenty.
Robin i Sergio dostali od Kitty po parze brylantowych spinek do mankietów.
Robin był zażenowany i poruszony, kiedy Sergio wręczył mu maleńki złoty
medalik ze świętym Krzysztofem. — Jest poświęcony — wyjaśnił — a ty
podróżujesz tak wiele.

Kitty też z zachwytem przyjęła podarek, a Sergio co chwila zerkał na swo-
ją lśniącą, złotą bransoletę.

Nazajutrz willa padła ofiarą inwazji całej armii gości. Robin dużo pił i za-
kończył wieczór w apartamencie prześlicznej Jugosłowianki, której mąż wyje-
chał służbowo do Hiszpanii. Kochali się jeszcze przez następne popołudnie;
Robin wrócił do palazzo Kitty mocno strudzony, ale rad z dobrze wypełnione-
go obowiązku.

Tydzień minął jak z bicza strzelił.

W drodze na lotnisko Robin powiedział do Sergia: — Dzwoni, jeśli poczu-
je się gorzej. No i pilnuj, żeby robiła sobie badania okresowe. Nie powie ci sa-
ma, kiedy będzie z nią licho, bo nie chce zachowywać się jak stara kobieta, ale
przy najmniejszym podejrzeniu wzywaj lekarza.

— Możesz mi zaufać, Robinie. — Szli do wyjścia na płytę; lot został już
zapowiedziany. — No i, być może... ty również powinieneś skonsultować się
z lekarzem.

— Do diabła, jestem zdrowy jak koń.

— Z innym lekarzem.

Robin zatrzymał się jak wryty. — O czym ty mówisz?

— Coś cię dręczy. Przez dwie noce pod rząd krzyczałeś przez sen. Dru-
giej nocy wbiegłem do twojego pokoju i...

- Co mówiłem?
- Rzucałeś się w łóżku... Spałeś, ale miałeś na twarzy wyraz bólu. Tuliłeś w ramionach poduszkę i krzyczałeś: „Nie zostawiaj mnie! Proszę!”
- Za dużo wypłem — stwierdził Robin. Potem, gdy pożegnali się już uściskiem dłoni, wszedł do schodkach do samolotu, rozmyślając o tym, co mu powiedział Sergio. Rozmyślał podczas całego lotu; także wtedy, kiedy pokazał spinkę na odprawie, musiał zapłacić horrendalne cło... niech no tylko spotka tego sukinsyna z Via Sistina, który udzielił mu życzliwej informacji, że antyki są zwolnione z opłat celnych! I nie przestawał rozmyślać, jadąc taksówką do domu. Nic mu się nie zgadzało. Nawet w okresie największego rozkwitu romansu z Amandą nie kupował jej równie kosztownych prezentów. I oto wiozł błyskotkę za cztery tysiące dolarów dziewczynie, do której na trzeźwo nie odczuwał najmniejszego pociągu. Może chodziło o poczucie winy, ale cztery tysiące papierów plus cło to cholernie wysoka cena za jedną noc. Noc, której nawet nie pamiętał.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Natychmiast po powrocie do Nowego Jorku rzucił się w wir zajęć. Poleciał działowi prawnemu sporządzić kontrakt dla Andy'ego Parino, który niezwłocznie wysłał wraz z osobistym listem, zawierającym propozycję pracy w Nowym Jorku. Nadał też do Maggie drogocenną panterę; tym razem towarzyszący przesyłce liścik był lakoniczny: „Spóźnione życzenia Wesołych Świąt, Robin”. Trzy dni później zadzwonił Andy, ochoczo akceptując ofertę Robina.

- Pewien jesteś, że za niczym nie będziesz tęsknił? — zapytał Robin.
- Do diabła, nie. Tak czy inaczej, między mną i Maggie wszystko się rozlało.
- Głupia sprawa...
- Nie, po prostu nie było nam pisane. Ona jest... cóż, jest dla mnie zbyt skomplikowana. Teraz przygotowuje się jak wściekła, bo jakiś hollywoodzki agent przyjeżdża, żeby ją zobaczyć w amatorskim przedstawieniu. Potrzebuję dziewczyny, która przedkładałaby mnie nad Eugene'a O'Neilla.
- Dobra. Skieruję cię do redakcji dzienników — będziesz pracował z Jimem Boltem. I zaczniesz przychodzić na nagrania mojego *Z bliska*, żeby się trochę wczuć. Za miesiąc czy coś koło tego spróbujesz się włączyć. Chcę ci to przekazać w przyszłym sezonie i wziąć się za coś nowego.

— Przeglądałem i analizowałem wszystkie twoje nagrania; wcale nie jestem pewien, że potrafię wejść w skórę Robina Stone'a!

- Bądź sobą... a ludzie to kupią.
- Dzięki za zaufanie. Stanę na uszach.

Do końca tygodnia Robin nadrobił wszelkie zaległości i ustalił termin nagrania swojego programu. Spojrzał do kalendarza — po południu nie czekały go żadne spotkania. Otworzył szufladę i wyjął manuskrypt swojej książki; miał wrażenie, że nie zaglądał do niej od lat. Cóż... wieczorem weźmie go do domu i trochę popracuje... odpuszczając sobie gorzałkę. W Lancerze zresztą nie był od powrotu.

Sekretarka wniosła do jego gabinetu jakąś paczuszkę — musiał ją pokwitować. Nabazgrał podpis i wbił spojrzenie w pstrokaty od znaczków, stempli i nalepek brązowy pakunek. Rozdarł papier i ujrzął skórzane włoskie etui, zawierające spinkę z panterą. A oprócz tego wystukaną na maszynie notatkę: „Prezenty przyjmuję wyłącznie od przyjaciół”.

Podarł liścik i wsunął etui do sejfu w ścianie, gdzie trzymał umowy i papiery osobiste.

Potem na powrót schował rękopis do szuflady, wyszedł z gmachu i pojechał do Lancera. Barmanka Carmen powitała go wylewnie: — Panie Stone, kupę lat... To, co zwykle?

- Powiedzmy, podwójną, żeby uczcić mój powrót — odrzekł Robin.

Błyskawicznie opróżnił szklanceczkę i zamówił następną. Cholera, zanosiło się na jedną z tych nocy; zaczynał ich nienawidzić. Wiedział, że prześladowają go koszmary... kilkakrotnie budził się, zlany potem. W Rzymie nie pamiętał, by mu się cokolwiek śniło, Sergio jednak twierdził, że krzyczał dwie noce pod rząd. Wypił drugiego drinka i zamówił trzeciego. Dręczyło go, że Maggie odesłała prezent. Ale dlaczego dręczyło? Była mu przecież zupełnie obojętna. Nic ostatnio nie pasowało. Może i rada Sergia nie była głupia. Przeszedł przez salę i wziął książkę telefoniczną. Czemu nie? Warto skoczyć nawet do psycho-analityka, byle tylko położyć kres tym koszmarom. Zaczął wertować księgę: Goldów było do licha, ale tylko jeden z nich mógł mieć na imię Archibald... tak, urzędował przy Park Avenue. Robin zaważał się przez moment, a potem wykręcił numer. Doktor Archie Gold podniósł słuchawkę po drugim sygnale.

- Mówi Robin Stone.
- Tak?
- Chciałbym się z tobą zobaczyć.
- Po linii towarzyskiej czy zawodowej?
- Pauza. — Chyba zawodowej.
- Czy mógłbyś zadzwonić ponownie o szóstej? Mam teraz pacjenta.

Robin odłożył słuchawkę i wrócił na swój stołek. Dopił trzeciego drinka a potem, dokładnie o szóstej, zadzwonił do Archiego.

— Okay, doktorku, kiedy mógłbyś mnie przyjąć?

Usłyszał szelest przerzucanych kartek.

— Mam kilka okienek — odparł Gold. — Wielu moich klientów spędza zimę na południu. Co byś powiedział na przyszły poniedziałek? O dziesiątej. Moglibyśmy zacząć od trzech wizyt tygodniowo.

Robin zaśmiał się głucho. — Nie chcę kuracji. Wystarczy jeden zastrzyk. Chcę z tobą pomówić o pewnym konkretnym problemie. Może po prostu wpadłbyś do Lancera na kielicha? Stawiam i płacę tak, jak za wizytę w gabinecie.

— Obawiam się, że rozmija się to z moim stylem pracy.

— Przy gorzałce rozmawia mi się lepiej — powiedział Robin.

— A mnie lepiej słuca się w gabinecie — odparł Gold.

— Więc dajmy sobie spokój.

— Przykro mi. Ale znasz mój telefon, gdybyś jednak zmienił zdanie.

— O której masz ostatniego pacjenta?

— Zjawi się lada chwila.

— Co oznacza, że o siódmej będziesz wolny.

— O siódmej zamierzam wrócić do domu.

— Archie... przyjdę do ciebie, jeśli przyjmiesz mnie jeszcze dziś wieczorem.

Doktora Golda nie zwiódł obojętny ton Robina. W przypadku takiego człowieka jak Robin już sam telefon był rozpaczliwym wołaniem o pomoc

— W porządku, Robin, o siódmej. Czy masz mój adres?

— Tak. I posłuchaj, Archie, staruszk: jedno słówko na ten temat do twojego kumpla Jerry'ego, a ukręcę ci łeb.

— Nigdy nie rozmawiam o swoich pacjentach. Skoro jednak masz wątpliwości, może powinieneś się zwrócić do innego lekarza. Mógłbym ci polecić kilku doskonałych specjalistów.

— Nie, Archie, dziecino, stawiam na ciebie. Do zobaczenia o siódmej

Siedząc na krześle, oddzielony od doktora Golda szerokością biurka, Robin nie mógł oprzeć się wrażeniu, że sytuacja jest absurdalna. Nigdy przed nikim nie otwierał duszy... dlaczego zatem miałby się temu nieznanemu spokojnemu facetowi zwierzać teraz z tego, co go gryzie?

Doktor Gold prawidłowo odczytał jego milczenie i powiedział:

— Niekiedy jest znacznie łatwiej rozmawiać o sprawach intymnych z człowiekiem zupełnie obcym. Oto dlaczego barmani są powiernikami tak

wielu wyznań. W pewien sposób barmani i psychiatrzy mają ze sobą wiele wspólnego. Zawsze tkwimy w tym samym miejscu — wy przychodzicie do nas tylko wtedy, kiedy tego chcecie. W zwykłym codziennym życiu nasze drogi się nie krzyżują.

Robin roześmiał się. — Przekonałeś mnie. Okay... sprawa wygląda banalnie. — Urwał. — Utkwiła mi w duszy jak zadziór... a przecież wcale na nią nie lecę. Oto na czym polega obłąd całej sytuacji.

— Czy mówiąc, iż na nią nie lecisz, chcesz powiedzieć, że jej nie lubisz?

— Nie, lubię ją. I to bardzo. Ale nie wychodzi mi z nią w łóżku.

— Więc próbowałeś?

Robin wzruszył ramionami. — Dopadłem ją przy dwóch odrębnych okazjach, za każdym razem zalany w trupa. Sądząc po jej reakcji, spałem się zupełnie nieźle.

— A zatem dlaczego mówisz, że ci nie wychodzi?

Robin zapalił papierosa i, zamyślony, wypuścił długą smugę dymu.

— Za pierwszym razem, kiedy obudziłem się rano, jej już nie było. Nie umiałem przypomnieć sobie nawet jej twarzy... czy imienia. Wiedziałem tylko, że była brunetką o dużym biuście. Tego ranka czułem jakiś niepokój, myśląc o minionej nocy. Miałem w głowie kompletną pustkę, a jednak czułem, że zrobiłem lub powiedziałem coś, czego nie powinienem był robić i mówić. Na domiar złego spotkałem tę panią dwa lata później i nie miałem błędnego pojęcia, że kiedykolwiek otarliśmy się o siebie. Chodziła z moim kolegą. Uznałem, że jest piękna i atrakcyjna towarzysko, i w niczym nie przeszkadzało mi to, że ma kogoś, bo — jak powiedziałem — nie była w moim typie. Spędziliśmy kilka wieczorów we czwórce... za każdym razem przyprawdzałem inną dziewczynę... a potem samotnie popłynąłem na ryby. Po powrocie, była to ostatnia noc mojego pobytu w ich stronach, wypuściliśmy się razem poszaleć. Na początku wszystko zapowiadało się wspaniale, później jednak zaczęliśmy popijać zbyt ostro, kumpel zwałił się pod stół, a ja — również nieźle narąbany — skończyłem z panią — sam na sam. Nie pamiętam, w jakich okolicznościach dobrałem się do niej... w każdym razie obudziłem się w jej łóżku. Znow musiałem być dobry, bo robiła śniadanie i wydawała pod moim adresem odgłosy godowe.

— Jakie miałeś w związku z nią uczucie?

Robin zadrzał.

— Strach. Czułem się tak, jak facet, który po przebudzeniu stwierdza, że przespał się z chłopcem albo dzieckiem — kimś, z kim pod żadnym pozorem nie powinien był iść do łóżka. Ponieważ ją lubiłem, postawiłem sprawę jasno.

— Zdusił papierosa. — To było brutalne. Powiedziałem jej, co czuję. Była tak

cholernie piękna, a przecież myśląc o uprawianiu z nią miłości, czułem głęboką odrazę... wiedziałem, że nie potrafiłbym się zmusić.

— Odrzę wobec niej?

— Nie. Odrzę wobec seksu... jakby kochanie się z nią było czymś plu-gawym, kazirodczym. A przecież ją lubię. Może nawet bardziej niż jakąkolwiek inną dziewczynę. Tyle że w sensie fizycznym zupełnie mnie nie bierze.

— Lecz chciałbyś z nią sypiać, czy raczej... ujmijmy to w ten sposób: chciałbyś pozbyć się blokady, która uniemożliwia ci pełną realizację związku z tą kobietą.

— Błąd. Nie przejmę się, jeśli już nigdy jej nie spotkam. Po prostu nie lubię mieć w duszy mrocznych obszarów. Poza tym coś podobnego zdarzało się już przedtem — sporadycznie — ale zawsze z brunetkami. Jedyna różnica polega na tym, że te poprzednie nie dorastały jej do pięt i, dzięki Bogu, żadnej później nie spotkałem. Ta historia z Maggie... to był przypadek. Po prostu tak się złożyło, że zalałem pałę.

— Tak się złożyło? Piłeś tego wieczoru coś dziwnego? Jakiś alkohol, do którego nie jesteś przyzwyczajony?

— Nie, wódkę. Jak zawsze.

— Czy miałeś świadomość, że zamawiasz o kilka kolejek za dużo?

— Chyba tak.

— Wróćmy do pierwszej nocy z tą dziewczyną. Dwa lata temu. Czy byłeś bardzo pijany, kiedy ją poznałeś?

— Nie, lecz piłem.

— A potem z premedytacją zmierzałeś do tego, żeby się upić?

— Z premedytacją?

Doktor Gold z lekka się uśmiechnął. — Tak to właśnie wygląda. Nie powiedziałbym, że należysz do ludzi, którzy pozwalają zaskoczyć się sytuacji.

Robin miał na twarzy wyraz zadumy. — Chcesz więc powiedzieć, że podświadomie pragnąc tej dziewczyny, świadomie się upiłem, żeby cokolwiek mi z nią wyszło? — Kiedy doktor Gold nic nie odrzekł, Robin pokręcił głową. — Coś tu nie gra, bo nie lubię kobiet w jej typie. Pijany czy trzeźwy — po prostu nie lubię.

— Jakie więc lubisz?

— Smukłe, złotowłose, o twardych, sprężystych ciałach. Uwielbiam zapach jasnych włosów. Maggie jest rozpalona... jak dzika kotka.

— Czy byłeś kiedykolwiek zakochany?

Robin wzruszył ramionami. — Zadzurzony, owszem. Ale zawsze udawało mi się jakoś z tego wywinąć. Wiesz co, Archie? Nie wszyscy ludzie są heteroseksualistami albo homoseksualistami. Część z nich to po prostu seksualści

— uwielbiają pieprzenie, ale niekoniecznie muszą się przy tym zakochiwać. Weź pod uwagę historię z Amandą: była fantastyczną dziewczyną, sądziłem, że mamy rewelacyjny układ. Ale z tego, co mówił mi Jerry, wnoszę, że ją cholernie krzywdziłem... Nie miałem o tym bladego pojęcia. Zacząłem się jeżyć dopiero pod koniec, kiedy próbowała mnie połknąć... ale nawet wtedy chciałem tylko oczyścić atmosferę i nie miałem pojęcia, że ją ranię.

— Naprawdę nie miałeś?

— W tym rzecz. Kiedy wyjeżdżałem do Europy, żeby nakręcić jakiś materiał, nie pisałem, wychodząc z założenia, iż wie, że wrócę i to wrócę do niej. A kiedy wracałem, nie mogłem się doczekać, żeby pójść z nią do łóżka. Było wspaniale.

— Zarazem masz świadomość, że wyrządziłeś krzywdę tej drugiej dziewczynie, Maggie.

Robin skinął głową. — Tak.

— Dlaczego zatem nie byłeś świadom, że ranisz Amandę, której naprawdę pożałowałeś, i dlaczego jednocześnie masz tak dotkliwe wyrzuty sumienia wobec Maggie, która — jak powiadasz — jest ci zupełnie obojętna?

— Dlatego do ciebie trafiłem, Archie. To ty mi masz powiedzieć.

— Jak wyglądała twoja matka?

— O Jezuu, nie łądujemy się w tę freudowską abrakadabrę. Miałem zdrowe szczęśliwe dzieciństwo. Kitty jest ładną, zgrabną blondynką... — Urwał.

— A twój ojciec?

— Cholernie autorytatywny facet. Poza tym silny, same mięśnie. Miałem milutką młodszą siostrę. Dzieciństwo jak się patrzy. Tylko tracimy na nie czas.

— W porządku... ojciec, matka, siostra. Zupełnie zdrowe stosunki rodzinne. Spróbujmy wytropić ciemnowłosą nieznajomą. Może to niańka? Albo nauczycielka?

— Moja pierwsza wychowawczyni była garbuską — to w przedszkolu. Niańka... cóż, pewnie jakąś miałem, ale nie potrafię sobie przypomnieć. Służba? Szofer, który woził mnie do szkoły. Kiedy na świat przyszła Lisa, pojawiła się następna niańka — siwowłosa wiedźma.

— Czy między tobą a siostrą istniała jakaś rywalizacja?

— Do diabła, nie. Byłem starszym opiekuńczym bratem. Lisa wyglądała jak Kitty w miniaturze: jasnowłosa, białośkóra i zgrabna.

— Czy ty jesteś podobny do Kitty?

Robin zmarszczył czoło. — Mam jej niebieskie oczy, ale ciemne włosy — chociaż teraz siwieją w błyskawicznym tempie — są po ojcu.

— Wróćmy do czasu przed narodzinami Lisy. Jakie są twoje pierwsze wspomnienia?

— Przedszkole.
— A wcześniej?
— Żadnych.
— Musisz coś pamiętać. Każdy z nas ma przynajmniej jedno wspomnienie z najwcześniejszego dzieciństwa. Ulubionego zwierzaka, towarzysza zabaw, szczęście, rozpacz.

Robin pokręcił głową.

Doktor Gold nie dawał za wygraną: — Rozmowę, modlitwę?

Robin strzelił palcami.

— Jest coś takiego. Zaledwie jedno zdanie, choć nie pamiętam kto i w jakich okolicznościach je wypowiedział: „Mężczyźni nie płaczą. Jeśli płaczesz, nie jesteś mężczyzną, lecz dzieckiem”. Z jakiegoś powodu zapamiętałem te słowa i uwierzyłem w nie. Uwierzyłem, że jeśli nie będę płakać, osiągnę wszystko, co zechcę. Kimkolwiek był mówiący, musiał wyrzec na mnie potężne wrażenie, bo nie płakałem już nigdy potem.

— Nigdy nie płakałeś?

— Przynajmniej sobie nie przypominam. — Robin uśmiechnął się z lekka. — Och, czasem ścisza mi się gardło, kiedy oglądam melodramat, ale w prawdziwym życiu osobistym... — pokręcił głową — ...nigdy.

Doktor Gold spojrzął na zegarek. — Jest za pięć ósma. Czy nie masz nic przeciwko wizycie w przyszły poniedziałek? Moje honorarium wynosi trzydzieści pięć dolarów za godzinę.

Twarz Robina zdradzała bezbrzeżne zdumienie. — Chyba jesteś szurnięty. Przesiedziałem z tobą prawie godzinę, gadając o dziewczynie, wobec której mam jakieś zahamowania, niczego nie udało się nam rozstrzygnąć... a ty chcesz, żebym tu wracał!

— Robin, sytuacja, kiedy nie potrafisz przypomnieć sobie żadnych faktów z wczesnego dzieciństwa, nie jest naturalna.

— Pięć lat to nie jest, ściśle rzecz biorąc, wiek średni.

— Zgoda, powinieneś jednak przypominać sobie pewne zdarzenia z okresu wcześniejszego, chyba że...

— Chyba że co?

— Chyba że rozmyślnie zamykasz je w sobie.

Robin przechylił się przez biurko. — Archie, przysięgam na Boga, że niczego w sobie nie zamykam. Może mam kiepską pamięć, może... czy nie przychodzi ci do głowy, że nie wydarzyło się wówczas nic godnego zapamiętania?

Gold pokręcił głową. — Bardzo często, kiedy dzieje się coś, co pozostawia rany, mózg zabliznia pamięć amnezją.

Robin ruszył do wyjścia, ale przed drzwiami stanął i odwrócił się do Golda.

— Posłuchaj, mieszkałem w wielkim pięknym domu z dwojgiem wspianiałych rodziców i ładniutką młodszą siostrą. W mojej szafie nie ma żadnych szkieletów. Może w tym właśnie rzecz. Może wszystko układało się zbyt gładko i pierwszych silniejszych wrażeń dostarczyło mi dopiero przedszkole... ta garbata wychowawczynie... i dlatego wspomnienia zaczynają się dopiero w tym punkcie.

— Kto ci powiedział, że mężczyzna nie powinien płakać?

— Nie wiem.

— Czy było to zanim poszedłeś do przedszkola?

— Na pewno, bo w przedszkolu już nie płakałem, chociaż inne dzieciaki rzyły jak najęte. Ta garbata biedaczka wszystkich napawała cholernym strachem.

— A więc kto ci to powiedział?

— Archie, nie mam pojęcia. Kimkolwiek jednak był, zasłużył sobie na moją dozgonną wdzięczność. Nie trawię widoku płaczących mężczyzn. Nie lubię nawet, jak płaczą kobiety czy dzieci.

— Robinie, chciałbym spróbować przebadać cię pod hipnozą.

— Oszalałeś? Posłuchaj, doktorku, byłem na wojnie i zostałem trochę poharatany; przychodzi mi do głowy mnóstwo przeżyć, które mogły mnie solidnie rozregulować, a przecież przeszedłem przez wszystko w jednym kawałku. Przywlokłem się tu, aby uzyskać odpowiedź na bardzo konkretne pytanie. Nie potrafiłeś go udzielić. No i dobra, bądź na tyle uczciwy, żeby się do tego przyznać, ale nie próbuj ratować sytuacji, grzebiąc w moim dzieciństwie, by się przekonać, czy przypadkiem niania nie łała mnie w pupę za rozrzucanie zabawek. Może i łała, może nawet miała czarne włosy, zielone oczy i wielkie cycki... okay?

— Jeśli dojdiesz do wniosku, że warto spróbować mojego sposobu, wiesz, gdzie mnie szukać — powiedział doktor Gold.

Robin uśmiechnął się szeroko. — Dzięki, ale sądzę, że łatwiej i taniej będzie po prostu unikać zielonookich brunetek.

Zamknął drzwi i wyszedł w noc.

Doktor Gold przyjrzał się notatkom, poczynionym w czasie rozmowy, a potem włożył je do teczki. Nie zamierzał ich niszczyć: Robin Stone jeszcze wróci.

Robin spojrzął na lutowe Nielseny. Dział programów informacyjnych nareszcie zaczął stanowić rzeczywistą konkurencję dla swoich odpowiedników

z innych sieci i w tym tygodniu plasował się na drugim miejscu. Magazyn *Z bliska* wciąż mieścił się w dwudziestce piątce najbardziej oglądanych pozycji.

W zeszłym tygodniu Robin wpuścił Andy'ego na antenę i był zadowolony z rezultatu; researcherzy, przygotowujący materiał o latających talerzach, zasugerowali nowe, niezmiernie frapujące sposoby zaatakowania tematu. Wyjdzie z tego cholernie ciekawy program.

Nazajutrz spotkał się z Dantonem Millerem i zdradził mu swój zamiar odnawienia w przyszłym sezonie magazynu *Z bliska* w ręce Andy'ego Parino. Dan, co dziwne, nie miał zastrzeżeń.

— Rezygnujesz z gwiazdorstwa? — zapytał z uśmiechem. — Twoi fani będą niepocieszeni.

— Zamierzam raz w miesiącu przygotowywać specjalne wydanie wiadomości — wyjaśnił Robin. — Brać jakiś temat, którego nikt inny nie odważy się poruszyć, rozłożyć na elementy pierwsze, dojść do sedna. To mogłoby pójść na pierwszy ogień — podał Danowi konspekt programu o latających talerzach.

Dan uważnie go przestudiował.

— Pewno by zainteresowało małaolatów — stwierdził. — Niezłe na niedzielne popołudnie. Ale w żadnym razie nie kwalifikuje się do emisji w bloku wieczornym.

— Jestem przeciwnego zdania — zaproponował Robin. — Puśćmy to na próbę w maju lub czerwcu, kiedy idą wznowienia najlepszych programów. Mielibyśmy wówczas uczciwy sprawdzian.

— Jeśli się upierasz, dam ten kawałek na niedzielne popołudnie w kwietniu albo maju. Wieczór wybij sobie jednak z głowy.

— Nie chcę niedzielnego popołudnia — powiedział Robin. — Wiesz cholernie dobrze, na jaką oglądalność mógłbym wówczas liczyć... transmisje z baseballu wykończyłyby program na samym starcie. A rozglądam się za sponsorem na sezon jesienny.

Dan uśmiechnął się. — Jeśli chcesz kompletować ekipę i nagrywać tę bzdurę science-fiction — to twoja sprawa. Ale nie licz, że uwzględnię ją w planowaniu repertuaru.

Robin wyciągnął ramię i ujął słuchawkę; zgłosiła się sekretarka Dana.

— Proszę zadzwonić do pana Gregory'ego Austina i powiedzieć, że Robin Stone oraz Danton Miller pragnęliby się z nim zobaczyć najwcześniej, jak to będzie możliwe.

Z twarzy Dana odpłynęła cała krew, szybko jednak odzyskała opanowanie i nawet się uśmiechnął. — To było złe posunięcie — powiedział lekko. — Przekraczasz swoje kompetencje.

— Ale przynajmniej nie robię tego za twoimi plecami.

Przez chwilę milcząc patrzyli sobie w oczy. Dzwonek telefonu wydał się nienaturalnie donośny. Dan sięgnął po słuchawkę; sekretarka poinformowała go, że pan Austin przyjmie ich bezzwłocznie.

Robin wstał. — Idziesz, przyjacielu?

Dan zmrużył oczy. — Chyba nie mam innego wyboru. — Potem się uśmiechnął. — Ciekaw jestem reakcji Austina na ten twój cyrk w stylu Bucka Rogersa. Gregory zrozumie, że postawiłem weto... a nie lubi tracić czasu na działanie w roli rozjemcy. Właśnie dlatego jestem prezesem sieci: moje decyzje w takich kwestiach są ostateczne. Skoro jednak chcesz sam sobie wykopać grób, nie będę ci w tym przeszkadzał.

Kiedy Robin skończył relacjonować założenia swojego programu o UFO, Gregory zwrócił się do Dana: — Jak rozumiem, jesteś przeciwny?

Dan uśmiechnął się i złożył dłonie w piramidkę. — Robin chce wprowadzić taki program do ramówki na przyszły sezon. Jeden w miesiącu, okienko w najlepszym czasie emisyjnym.

Gregory pytająco popatrzył na Robina. — Co miesiąc kawałek o latających talerzach?

Robin wybuchł śmiechem. — Ależ nie, godzinny program telewizyjny, który można by porównać do przewodnich artykułów „Life'a” na tematy, jakie akurat budzą największe zainteresowanie opinii publicznej. UFO, polityka... wszystko, co jest na czasie, a przy tym atrakcyjne. Zamiast osobowości — jak w naszym półgodzinnym *Z bliska* — obszar tematyczny... przez godzinę. Powstaje ważny film — jedziemy na plan, rozmawiamy z aktorami, reżyserem, scenarzystą. Możemy wejść w życie osobiste gwiazdy telewizji... na przykład Christiego Lane'a. Widzowie pytają bez przerwy, jaki jest naprawdę...

Wzmianka o Christiem wywołała w oczach Gregory'ego nagły błysk niepokoju. Austin zwrócił się do Dana: — To mi o czymś przypomina — mamy kontrakt z Christiem tylko na jeszcze jeden sezon. Czy w ogóle robi się cokolwiek, żeby podpisać z nim umowę długoterminową?

— Rozpoczęliśmy negocjacje — odparł Dan. — Christie proponuje, byśmy od końca kwietnia przeszli na wznowienia — chce się załapać na kontrakt w Vegas, no i ma angaże na kilka rozmaitych imprez. Płacę mu dziesięć tysięcy za wieczór. Jego programy idą wprawdzie na żywo, ale są nagrywane... Dopiero od przyszłego sezonu chce przejść wyłącznie na nagrania — ma już dostatecznie wiele pewności siebie. W tej kwestii nie ma punktów spornych. Ale, jak powiada Cliff Dorne, jest prawdziwa przepaść w sprawie forsy — między jego wymaganiami a tym, co możemy mu zaproponować. Zgodziliśmy się

już na znaczną podwyżkę, tylko że Christie chce powołać własną firmę, która będzie — obok nas — współwłaścicielem programu. Poza tym żąda prawa własności do taśm: my zachowamy pierwszą i drugą emisję, ale to on będzie nimi handlował później. No i domaga się wielu korzyści dodatkowych. Trudno będzie się dogadać, bo kusi go tak NBC, jak i CBS.

Do gabinetu wślizgnęła się sekretarka, oznajmiając, że dzwoni pani Austin. Gregory wstał. — Odbiorę w sąsiednim pokoju.

Wyszedł, odprowadzany wzrokiem przez obu mężczyzn. Pierwszy milczenie przerwał Dan. Wyciągnął ramię, poklepał Robina w kolano i powiedział ściszym głosem: — Sądzę, że dostałeś niezłą nauczkę. Miałeś okazję zajrzeć za kulisy planowania repertuaru i zorientować się, że to troszeczkę bardziej skomplikowane niż uprawianie żurnalistyki dla jajogłowych. Znudziłeś Gregory'ego tą swoją infantylną fantastyką... zmarnowałeś czas jego i mój. Jesteś dyrektorem programów informacyjnych. Ja jestem prezesem sieci... i pracuję sam. Nie szukam współnika.

Robin prychnął śmiechem. — To brzmi jak artykuł z brukowej prasy o wojnie gangów w Chicago: ty bierzesz Dzielnicę Południową, a ja Północną.

— Ja biorę obie. Ty masz swoje *Wiadomości* i kropka; nie pchasz nosa w planowanie repertuaru. Nie jestem dziennikarzyną, który na pół gwizdka udaje aktora, a na pół — menedżera. To nie jest moje hobby, tylko życie! I nikt nie ma prawa się w nie wpięprzać!

— Nie mam najmniejszego zamiaru odbierać ci zabawek. Ale jestem szefem *Wiadomości* i mam program, który moim zdaniem powinien trafić na antenę. Masz dać mi czas, a jeśli tego nie zrobisz, będę musiał...

— Będziesz musiał spasować! Kapujesz? Spasować! Następnym razem, kiedy powiem, że nie życzę sobie jakiegoś programu — pasujesz. Koniec z interwencjami u Gregory'ego Austina!

Robin uśmiechał się beztrudnie. — Cóż, panie prezesie, ja jednak nie radzę zakładać zbyt wcześnie, że roberek dobiegł końca.

Do gabinetu wrócił Gregory Austin. — Wybaczcie, panowie. Nigdy nie pozwalałam, by sprawy prywatne przeszkadzały mi w interesach, lecz, koniec końców, najważniejszym z moich interesów jest pani Austin. — Potem jego rysy, zmiękzone podczas niedawnej rozmowy z żoną, nabrały na powrót rzeczowej twardości. — Opowiadałem pani Austin o twoim pomysle, Robinie. Była nim zaintrygowana. Nie zdawałem sobie sprawy, że w problematyce kosmicznej jest spora dawka romantyzmu, niezmiernie silnie oddziałująca na kobiety. Realizujcie ten program, Dan. Wstaw go na maj, w okienko przewidziane na któreś ze wznowień Christiego. Jeśli liczby będą obiecujące, pomyślimy o cyklu comiesięcznym. Popatrz na Dantona przeciągle. — A nad kontrak-

tem Christiego Lane'a popracują sobie do spótki z Cliffem. Mamy tam coś jeszcze?

Dan wstał. — To już chyba wszystko.

Gregory poczekał, aż obaj mężczyźni podejną do drzwi, a wtedy, jakby nagle coś sobie przypomniał, rzucił: — Och, Robinie, zostań jeszcze na moment z łaski swojej. Chciałbym omówić z tobą pewien drobiazg.

Dan wyszedł samotnie, a Robin ponownie osunął się na krzesło. Gregory przez chwilę spoglądał na zamknięte drzwi. — Dan to wartościowy facet. Ambitny facet. Cholera... jak my wszyscy. Właśnie dlatego jest dobry. Jestem zadowolony, że myślisz o różnych przedsięwzięciach. Ale od tej chwili, jeśli będą one wykraczać poza ramy programowe działu informacyjnego, będziesz najpierw omawiał je ze mną... ja natomiast przedstawię je Danowi jako własne pomysły. Pozwoli to zachować spokój w naszej małej rodzinie.

Robin uśmiechnął się lekko. — Wciąż jestem nowicjuszem, jeśli chodzi o sprawy protokolarne firmy.

Nie okazał zamiaru wyjścia, ponieważ czuł, że Austin pragnie zakomunikować mu coś jeszcze.

— Robinie... — w sposobie bycia Austina pojawiły się elementy nietypowego dlań zażenowania — ...wiem, że to, o co chcę cię zapytać, sprawa wrażenie trywialne i nie ma nic wspólnego z twoimi powinnościami służbowymi... ale co porabiałeś pierwszego stycznia?

Robin zmarszczył czoło. Pierwszego stycznia... Jeśli dobrze pamiętał, Sergio odwoził go na lotnisko.

Gregory zapalił papierosa. — Przytyłem o dziesięć funtów — wyjaśnił z zakłopotaniem — więc znowu się truję. Rzucę to, kiedy dojdę do normy. — Potem dodał: — Chodzi o nasze przyjęcie noworoczne.

Twarz Robina była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu.

Gregory wpatrywał się w słupek popiołu na końcu swojego papierosa.

— Zapraszałeś cię dwa lata pod rząd. Nie dość, że się nie pokazałeś, to nie uznałeś nawet za stosowne wysłać słówka przeprosin.

— Dobry Boże! To naprawdę niewybaczalne! W tym roku byłem w Rzymie, a w zeszłym, chyba w... — zmarszczył czoło, usiłując sobie przypomnieć — tak, też w Europie; pamiętam, że wróciłem dokładnie w Nowy Rok. Czekam na mnie stos korespondencji. Wstyd mi przyznać, co z nią w obu przypadkach zrobiłem. Otóż pogapiłem się przez chwilę na ten koszmarny stos listów, a potem cisnąłem go do kosza na śmieci. W końcu nikt nie oczekuje odpowiedzi na kartki świąteczne, rachunki natomiast — jak sądziłem — zostaną wysłane ponownie. Przypuszczam, że zaproszenia od pani Austin spotkały taki sam los. Niezwłocznie wystosuję do niej przeprosiny.

Gregory dobrotniwie się uśmiechnął.

— Przypuszczałem, że doszło do jakiegoś nieporozumienia, ale znasz przecież kobiety. Pani Austin zastanawiała się, czy nie wchodzi tu w grę niechęć osobista.

— Boże broń, to ostatnia rzecz, o jaką mogłaby mnie podejrzewać. Do diabła z listem... czy mógłbym do niej zadzwonić?

— Oczywiście. — Gregory naskrobał numer na świstku papieru.

Po powrocie do swego gabinetu Robin niezwłocznie połączył się z panią Austin.

— Otóż, Robinie Stone — powiedziała — wcale nie musiał się pan fatygować. Wiem, że to robota Gregory'ego.

— Istotnie... lecz jestem rad, że mi o wszystkim powiedział. Podczas obu pani przyjęć noworocznych przebywałem za granicą.

Roześmiała się usłyszawszy, w jaki sposób uporał się z zaległą korespondencją. — Uważam, że to cudowny pomysł — stwierdziła. — Gdybym znalazła w sobie dość odwagi, by postępować podobnie, uniknąłabym tak wielu beznadziejnie nudnych imprez!

— Pani Austin, solennie obiecuję, że w przyszłym roku przewertuję wszystkie listy i kartki, szukając pani zaproszenia.

— Och, niechże pan da spokój, Robinie. — Urwała. — Proszę wybaczyć poufałość, lecz regularnie oglądam pański program i mam wrażenie, jakbym znała pana od lat.

— Pani Austin, obiecuję, że gdziekolwiek mnie zaniesie, pierwszego stycznia roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego spotkamy się na pewno.

Ze słuchawki popłynęła kaskada perlistego śmiechu. — Mam najszczęśliwszą nadzieję, że nie będziemy musieli czekać aż tak długo.

— Dzielę z panią tę nadzieję. Zarazem jednak zapewniam, że uwielbiam grzane piwo. Naprawdę.

— Gregory zapewne wspomniał panu, że go nie znosi. Ach, Robinie... — usłyszał szelest papieru. — Pierwszego marca wydaję niewielką kolację. Czy nie zechciałby pan wpaść?

Do diabła, jakim sposobem wpakował się w ten bigos? Musiał jednak zrehabilitować się za oba noworoczne bankiety. — Z największą przyjemnością, pani Austin.

— Odwiedzi nas moja siostra i w gruncie rzeczy to kolacja na jej cześć. Książę nie mógł przyjechać, czy zatem mogę oczekiwać, że będzie jej pan asystował, czy też wolałby pan przyprowadzić partnerkę?

— Jeśli to możliwe, przyjdę z pewną młodą damą — odrzekł pospiesznie.

— Doskonale — odpowiedziała lekko. — A więc pierwszy marca, ósma trzdzieści, stroje wieczorowe.

Odłożył słuchawkę i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w aparat. Księżniczka przyjechała więc na występy solowe... Nie miał najmniejszego zamiaru podejmować się roli pазia! Bo gdyby zdał egzamin w charakterze męskiej asysty, pojawiłyby się następne zaproszenia. A w ten sposób ucinął sprawę na samym początku. Co, nawiasem mówiąc, zobowiązywało go do znalezienia jakiejś panienki. Cóż, miał do dyspozycji dziesięć dni... coś się znajdzie.

W ciągu następnego tygodnia zupełnie zapomniał o pani Austin. W związku z programem o UFO spędził dwa dni w Waszyngtonie. Wytypował reżysera i producenta oraz ustalili piętnasty marca jako prowizoryczną datę nagrania. Wszystko było w najwyższym porządku. Wszystko, z wyjątkiem jednego telefonu, który musiał jeszcze wykonać. Telefonu do Maggie Stewart. Właściwie wcale nie musiał do niej dzwonić, lecz przecież to jej materiał na temat florydzkiej obserwacji UFO stał się zaczynem całego pomysłu. No i obiecał jej udział w programie. Wykręcił numer, a uzyskawszy połączenie, ani przez chwilę nie bawił się w ceregiele. Wyjaśnił sytuację i spytał, czy jest zainteresowana.

Głos Maggie był równie bezosobowy jak Robina.

— Oczywiście, że jestem. Kiedy mam się stawić?

— Najszybciej jak możesz.

— Mamy dziś dwudziesty piąty. Co powiesz o pierwszym marca? Chciałabym dać stacji kilka dni na znalezienie zastępstwa.

— Doskonale. — Otworzył odpowiednią stronę w kalendarzu i zauważył adnotację: „Kołacja u Austinów”. — Maggie, wiem, że nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań, czy jednak nie zechciałabyś wyrządzić mi ogromnej przysługi?

— Tak?

— Przyjedź dwudziestego ósmego lutego i weź ze sobą suknię wieczorową.

— Będzie mi potrzebna do programu?

— Nie, na kolacji pierwszego marca. Chcę, żebyś ze mną poszła.

— Wybacz, ale jadę do pracy.

— Masz zupełną słuszność, ale, cóż... byłbym ci naprawdę wdzięczny, gdybyś się zgodziła. To uroczyście kolacja u Austinów.

Zawahała się.

— Naprawdę tego chcesz?

— Tak, chcę.

Roześmiała się, a jej głos odrobinę pociepsiał.

— Tak się akurat składa, że mam wystrzałową suknię i nie mogę się doczekać, żeby ją założyć.

— Dzięki, Maggie. Prztelegrafuj godzinę przyjazdu, to wyślę po ciebie wóz na lotnisko. I zrobię ci rezerwację w Plaza.

Kiedy zamawiał w recepcji hotelu pokój dla Maggie, nagle zmienił zdanie i poprosił o apartament. Prawdopodobnie księgowość głowę mu urwie, ale Maggie należało się coś lepszego. Wszyscy w IBC rozdmuchiwali wydatki służbowe, dlaczego więc Maggie miałyby występować w roli pierwszej naiwnej?

Rankiem dwudziestego ósmego otrzymał depeszę: BĘDĘ NA IDLE-WILD O PIĄTEJ, LINIA NORTHEAST REJS 24. MAGGIE STEWART.

Zamówił wóz, a potem, ulegając impulsowi, zadzwonił do Jerry'ego Mossa. — Znajdziesz czas o czwartej? Muszę odebrać z Idlewild pewną dziewczynę, mam wóz i...

— I?

— Nie chcę spotkać się z nią sam na sam.

— Odkąd to potrzebujesz przyzwoitki?

— Jerry, mam swoje powody.

— Okay, spotkajmy się o czwartej przed gmachem IBC.

Zbliżała się jedenasta wieczorem; Robin pił niespiesznym równym tempem, Jerry kończył swoją kawę. Szalony wieczór! Ta Maggie Stewart była najbardziej niewiarygodnie piękną dziewczyną, jaką w życiu widział... Powitała Robina, jakby ledwie się znali. Potem, kiedy Jerry zaproponował drinka w Lancerze, ona i Robin odmówili jednogłośnie. Podwieźli ją do Plaza, a później, za namową Robina, pojechali do Louise na kolację. Restauracja dawno już opustoszała, a jednak Robin nie wstawał od stołu i wciąż siedział z pochyloną głową, bawiąc się drinkiem.

W drodze na swój całonocny dyżur przy mikrofonie wpadł do knajpki Długi John Nebel.

— Słucham go, kiedy nie mogę spać — powiedział Robin. — Gdyby John nie miał kontraktu z inną siecią, wykorzystałbym go w tym programie o UFO. Ten facet to wyjątkowy spec.

Zamówił następnego drinka i znów pogрузzył się w milczenie; Jerry wyczuł jego nastrój i nie próbował wszczynać rozmowy. Go to za historia z tym słuchaniem Długiego Johna Nebela? A zatem Robin nie sypia dobrze... lecz jednocześnie nie wałkoni się po nocach z kociakami. Długiego Johna słucha się wtedy, kiedy człowiek jest samotny lub też boi się zasnąć. Robin, cierpiący na bezsenność? To coś zupełnie nowego.

Jerry odezwał się nagle: — Słuchaj, stary, nie wiem, co cię trapi, ale ta Maggie Stewart jest naprawdę wyjątkowa. Jeśli i z nią zawalisz sprawę, to znaczy, że coś z tobą nie tak.

— Do cholery, jestem w najlepszym porządku — warknął Robin. — Postawmy to jasno: między mną a Maggie Stewart nie ma nic. Ściągnąłem ją tutaj, bo jest dobra w swojej robocie.

Jerry wstał. — Jeśli zamierzasz zostać i pić całą noc, rób to sam. Siedziałem z tobą dotąd, bo myślałem, że jestem ci potrzebny.

— Nikogo nie potrzebuję — odrzekł Robin. — Wracaj do domciu i żoneczki.

Jerry postąpił krok ku wyjściu, ale zatrzymał się jeszcze na moment.

— Nie zamierzam wdawać się z tobą w pyskówkę, bo wyraźnie widzę, że coś cię gryzie. Od powrotu z Florydy jesteś nieswój i czy chcesz się przyznać, czy nie, rzecz ma związek z tą dziewczyną. — Potem wyszedł.

Robin siedział i pił aż do zamknięcia restauracji, później powędrował pieszo do domu i włączył radio. Przy radiu łatwiej było usnąć, człowiek nie budził się w środku nocy od białej poświaty telewizora. Nalał sobie kieliszek czystej wódki — pierwszy od czasu wizyty u Archiego. Włazł do łóżka i słuchał Długiego Johna. Zapadł w sen dokładnie w chwili, kiedy Długi John jął rozprawiać o jakiejś wodzie, którą należy pić, aby... Woda... To przyjemne... Pomyśl o jachcie, powiedział sobie, o jachcie i o wodzie... A także miłutkiej koi... Spać, spać... Był na jachcie, w koi. Koją przemieniła się w ogromne łóżko. Maggie tuliła go ze wszystkich sił, pieściła, mówiła, że wszystko będzie dobrze. Wierzył jej. Potem wyslizgnęła się z łóżka. W drugim pokoju czekał na nią Jerry. Zabawiła się z Jerrym! Wbiegł tam... Ujęła go za rękę, odprowadziła do łóżka, przytuliła i powiedziała, że to tylko zły sen. Głaskała go po głowie... Odrpężył się... Była ciepła... Potem znów zorientował się, że wstaje z ich ogromnego łóżka... Usłyszał jej chichot w drugim pokoju... Poszedł tam... Jerry'ego już nie było. Siedziała na kanapie z Dantonem Millerem, który ssał jej pierś... Dan popatrzył na Robina i parsknął śmiechem. „Jest zazdrosny” — powiedział. Maggie się nie śmiała. Jej twarz była bardzo poważna. „Wracaj do łóżka i zostań tam”. Rozkaz... z jakiegoś idiotycznego powodu wiedział, że musi go wykonać.

Obudził się; Chryste, czwarta nad ranem! Znów jeden z tych snów... John Nebel ciągle gadał; Robin przełączył radio na stację muzyczną i w końcu zapadł w sen.

Następnego wieczoru pojechał po Maggie. Miała stuprocentową rację, sukienka była zabójcza. Robina dręczyły lekkie wyrzuty sumienia, ponieważ przyjęcie u Austinów należało do imprez sztywnych, formalnych i nudnych.

Wszyscy zachowywali się niezwykle uprzejmie, ale rytualne pogaduszki o niczym doprowadzały Robina do szału. Siedział po lewicy Judith Austin i z najwyższym trudem skupiał uwagę na konwersacji, ba, okazywał uprzejme zainteresowanie i zadawał odpowiednie pytania, kiedy Judith mówiła o swoich akcjach dobroczynnych lub pogodzie w Palm Beach. Jego oczy nieustannie jednak wędrowały w dół stołu, gdzie pomiędzy znanym neurochirurgiem a prominentnym maklerem giełdowym siedziała Maggie. Zazdrościł jej swobodnej elegancji i zastanawiał się, o czym, u ciężkiej cholery, może gawędzić z tymi dwoma sztywniakami.

Później, kiedy stojąc w holu dziękował jej za wieczór i „wyratowanie z opresji”, zwrócił uwagę, jak wielkie zainteresowanie budzi Maggie wśród wszystkich przechodzących obok mężczyzn. Ale niby dlaczego miałyby go nie budzić? Urodą biła na głowę większość gwiazd filmowych. Nagle zaproponował: — Co powiesz na drinka? Myślę, że sobie zasłużyłaś.

— Sądziłam, że jesteś na odwyku... zauważyłam, z jakim umiarem sączyłeś u Austinów sauterne. Czyżbyś w moim towarzystwie bał się nawet wina? — Zielone oczy spoglądały na niego z iskierką ironii.

Wziął ją pod ramię i zaprowadził do Sali Dębowej.

— Szkocka dla pani, a dla mnie podwójna wódka — powiedział, przywoławszy kelnera.

— Nie musisz niczego udowadniać — stwierdziła. — Znam twoje słabości.

— Akurat picie nie jest jedną z nich — wycedził.

— Och, a już zaczynałam myśleć, że ten talent także roztrwiłeś.

Zaczeekał, aż kelner postawi drinki na stole, a potem ujął Maggie za rękę.

— Chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi — powiedział.

Nie cofnęła dłoni i popatrzyła mu w oczy. — Nie możemy być przyjaciółmi, Robinie.

— Wciąż mnie nienawidzisz?

— Chciałabym. O Boże, jak bardzo bym chciała...

Wyszarpnął dłoń i wypił wódkę jednym haustem. Potem przywołał kelnera.

— Nazbierało mi się w domu cholernie dużo roboty — oznajmił, podpisując rachunek.

— Nie musisz kłamać — powiedziała. — Dotąd tego nie robiłeś. Dlaczego zaczynasz właśnie teraz?

— Nie, to najszczerza prawda. Pracuję po nocach nad książką. Postanowiłem sobie, że bez względu na to, o której wracam, muszę napisać przynajmniej pięć stron.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

— To twoja skrywana ambicja?

— Próbuję sobie wmawiać, że tak.

— Więc wątpisz?

Nagle wydała się jej bardzo zmęczony.

— Maggie, nie wiem, czego, do jasnej cholery, chcę, a czego nie chcę.

Wyraz jej twarzy złagodniał. — Czy jesteś nieszczęśliwy, Robinie?

— Kto powiedział, że jestem nieszczęśliwy?

— Każdy, kto nie wie, czego chce, po prostu boi się to ustalić. Ot i wszystko. Chyba boi się swoich własnych sekretnych myśli.

— Dzięki, pani doktor. Zadzwoń, kiedy znów będę potrzebował porady. — Wstał i pomógł jej założyć płaszcz.

Maggie wróciła do swego pokoju i gniewnym ruchem cisnęła na łóżko torebkę. A wieczór zapowiadał się tak wspaniale! Jej wzrok pomroczniał. Po co to samooszukiwanie? Przecież wszystko zmierzało donikąd. Wszystko było wyłącznie grą jej wyobraźni. Zaproszenie na przyjęcie do Austinów wznieciło fałszywe nadzieje... Robin potrzebował po prostu efektownej żeńskiej dekoracji... niczego więcej. Cóż, miała przed sobą cały weekend i nie zamierzała, siedząc samotnie w pokoju, łudzić się, że Robin zadzwoni! Wstanie wcześniej rano... pójdzie do kina na przedpołudniowy seans... a potem jeszcze raz, wieczorem — na podwójny... Natomiast w poniedziałek wkroczy do gabinetu Robina z taką miną, jakby widziała go raz pierwszy w życiu. Wzięła proszek nasenny, wywiesiła na drzwiach tabliczkę NIE PRZESZKADZAĆ i zamówiła budzenie na dziesiątą.

Kiedy zaterkotał telefon, miała wrażenie, że zamknęła oczy zaledwie kilka minut temu. Próbowwała sięgnąć po słuchawkę, ale ręka — podobnie jak głowa! — zdała się wypełniona ołowiem... ten cholerny środek nasenny. Telefon zadzwonił ponownie; Maggie podniosła słuchawkę z najwyższym trudem. Rozległ się bezosobowy głos telefonistki: — Wiem, że ma pani na drzwiach tabliczkę NIE PRZESZKADZAĆ, ale przyszedł do pani telegram, oznaczony „Pilne, dostarczyć natychmiast”.

Usiadła i włączyła światło; była dopiero siódma piętnaście.

— Proszę przysłać na górę — mruknęła. Wygramoliła się z łóżka i narzuciła szlafrok — wciąż, nawet podczas chłodów, sypiała nago.

Kiedy pokwitowała odbiór depeszy i szła z nią do sypialni, poczuła nagły przypływ niepokoju. Była zbyt rozespana, żeby myśleć przytomnie... ale ktoś mógłby do niej telegrafować? Czy zachorowało któreś z rodziców? Rozerwała blankiet, przebiegła tekst oczami... nie do wiary!

STELLA LEIGH W CIAŻY. KONIECZNE NATYCHMIASTOWE ZASTĘPSTWO. ZAWARŁEM W TWOIM IMIENIU KONTRAKT Z CENTURY PICTURES. PRÓBOWAŁEM ZŁAPAĆ CIĘ TELEFONICZNIE PRZEZ OSTATNICH SZEŚĆ GODZIN. BEZ REZULTATU. DZWOŃ ZARAZ PO OTRZYMANIU DEPEZSY. HY MANDEL.

Poprosiła centralę o połączenie z Hy Mandelem, nie zaznaczając, że to rozmowa prywatna — niech pan Robin Stone ze swoim IBC zapłaca także za to! Usłyszała zaspany głos Hy... biedaczek, u niego była zaledwie piąta. Ale przecież sam prosił, żeby zadzwoniła bezzwłocznie.

— Maggie! — oprzytomniał w okamgnieniu. — Jak prędko możesz się stamtąd wydostać?

— Jedna chwilka — rzuciła beztrasko. — Co to za rola? He płacą?

— Co to za rola? Ty mi powiedz, czy Stella Leigh grywa małe role? To jest rola pierwszoplanowa u boku samego Alfiego Knighta. Zdjęcia trwają już od tygodnia. Stella rzygała jak kotka, była pewna, że podłapała jakiegoś wirusa. Kretynka, nie miała pojęcia, że jest w ciąży. Ty teraz dobrze mnie posłuchaj: Century ma w związku z całą sprawą duże opóźnienia, więc wycisnąłem z nich dwadzieścia tysięcy... a poza tym opcję na jeszcze jeden film — tu warunki dopiero się uzgodni.

— O rany, Hy, jakim cudem zdołałeś tego dopiąć?

— Żeby nie skłamać, to już prawie dałem za wygraną. Ta twoja niechęć do zdjęć próbnych! Piałem wprawdzie z zachwytu na temat twojego występu w O'Neillu, ale jak grochem o ścianę. No i wczoraj, kiedy rozniosło się o Stelli, spróbowałem jeszcze raz. Z ręką na sercu: nie wierzyłem, że mamy szansę, ale reżyser się podniecił i oświadczył, że jesteś dokładnie tym, na kim mu zależy — nową twarzą.

— Co to za reżyser? I skąd w ogóle wie, jak wyglądam?

— Czy ty sobie myślisz, że nie siałem po całym Hollywood twoich fotek?

— Och, Hy, mam nadzieję, że nie sprawię ci zawodu.

— Tylko spróbuj. Teraz posłuchaj: w tym O'Neillu, prawdę mówiąc, nie dostarczyłaś Geraldine Page powodów do zmartwień i wielka gwiazda scen dramatycznych z ciebie nie wyrośnie. Ale masz w sobie coś: jakiś błysk, osobowość... takie właśnie coś, z czego rodzi się prawdziwe gwiazdorstwo filmowe. Talent właściwie nie jest potrzebny. No więc ja to coś w tobie dostrzegam. Podobnie było z Awą Gardner, kiedy się tu pojawiła jako małolatka... jej sposób poruszania! Ty mi ją przypominasz i tak właśnie powiedziałem reżyserowi.

— O Boże! — wybuchła śmiechem. — Biedaczysko piekielnie się rozczaruje.

— Eee tam, niech no cię tylko zobaczy. Nawiasem mówiąc, to w tej chwili najbardziej wzięty gość w branży. Skończył właśnie jeden naprawdę dobry kawałek i faceci z Century skaperowali go do filmu z Alfiem. Nazywa się Adam Bergman.

— Adam!?

— Znasz go?

— Pracowałam z nim kiedyś — sto lat temu! — w kółku teatralnym. To... to wszystko wydaje mi się złudzeniem.

— Czy mogłabyś dojechać tu na wieczór? Miałabyś wówczas całą niedzielę na przejrzanie scenariusza i przyjrzenie się roli. W poniedziałek z samego rana chcę cię mieć na próbach strojów i charakteryzacji. Century stawia ci apartament w hotelu Beverly Hills, mógłbym zrobić rezerwację.

— Tak, tak! Mogę wyjechać już dzisiaj.

— Okay, daj mi telegraficznie znać o godzinie przylotu i numerze rejsu, będę czekać.

Odłożyła słuchawkę i usiłowała pozbierać myśli; przepełniało ją uczucie triumfu. Znów zobaczy Adama!

Myślała o tym z radością. Ale jeszcze większą radość sprawiała jej perspektywa puszczania w trąbę pana Robina Stone'a.

Robin przejrzał materiał o UFO i wrócił do gabinetu. Im dłużej zastanawiał się nad tym programem, tym silniejsze było przekonanie, że powinno się go puścić we wrześniu jako pierwszą pozycję nowego cyklu. Można by z tego zrobić prawdziwe wydarzenie. O to właśnie chodzi! Wstał i zaczął przemierzać gabinet. *Wydarzenie* — tak właśnie powinien nazywać się cykl. Gdyby tylko Gregory kupił pomysł... tylko że wówczas należałoby mu przedstawić od razu kilka tematów. Pomyślał o Christiem: jaki tajemniczy mechanizm sprawił, że Lane stał się nagle bożyszczem milionów telewizorów? Dlaczego nie był bożyszczem, kiedy pięć lat temu dokładnie te same piosenki śpiewał w knajpach? Byłby z tego wspaniały program. *Wydarzenie: wokół Christiego Lane'a*. Przeprowadziłby wywiady z właścicielami nocnych klubów, którzy dawali mu robotę, kiedy był drugoligowcem, pogadałby z tymi jego przydupasami, z rodziną — przecież Christie musi mieć jakąś rodzinę! — a nawet z tą oblesną Ethel Evans, która nie odstępowała go na krok. Do tego w tle cała plejada typów, związanych z jego przeszłością...

Przystąpił do realizacji planu w ten sposób, że nazajutrz złożył nieoficjalną wizytę w penthouse Austina.

— Robinie — wykrzyknął z entuzjazmem Austin — zupełnie przypadkowo dajesz nam w ręce dokładnie taką przynętę, jakiej potrzebujemy. Jesteśmy

w trakcie awantury na sześciu prawników, próbując nakłonić Christiego do podpisania kontraktu. Rozgrywa to sprytnie, ale jeżeli powiemy mu, że zrobimy na jego temat godzinne wydanie specjalne i że to ty je poprowadzisz, to... — zająknął się, nie mogąc znaleźć słów, zdolnych określić przewidywaną reakcję Lane'a. — Nikomu nie piśnij o tym słówka, szczególnie Danowi. Pozwól, że sam porozmawiam z Christiem. Oczywiście, nie będziesz miał zastrzeżeń, jeśli powiem, że to wyszło ode mnie? Rzucę ten pomysł jutro na lunchu. Nawet zaproszę tego zaślinionego tępaka i jego najmimordów do swojej prywatnej jadalni. No i oświadczę, że jak dotąd żadna sieć telewizyjna nie zrobiła nic podobnego dla swojej gwiazdy. Zrobimy z tego pierwszy odcinek cyklu, a potem niech sobie lecą twoje talerze.

Trzy dni później rozeszła się wieść, że Christie Lane podpisał nowy, pięcioletni kontrakt z IBC. Nazajutrz Gregory Austin wezwał Robina i Dantona Millera, aby przedstawić im koncepcję wydania specjalnego.

Dan przysłuchiwał się z uwagą, a Robin obserwował jego reakcje. Był absolutnie pewien, że Dan pamięta, od kogo wyszedł pomysł zrobienia w cyklu programu o Christiem Lane'ie, choć Gregory zachowywał się tak, jakby doznał olśnienia pięć minut temu. Dan nie pozwolił się zwiść i Robin o tym wiedział.

Lecz Dan musiał podporządkować się zasadom gry; wyszczerzył wszystkie zęby i przytakiwał z aprobatą. Potem na jego czole pojawiła się drobna zmarszczka, sygnalizująca, że Dan ma pierwsze wątpliwości.

— Gregory, uważam tę koncepcję za genialną, zwłaszcza że związała Christiego z IBC. Zastanawiam się jednak, czy Robin jest najwłaściwszym człowiekiem do poprowadzenia tego programu. Bez urazy, Robinie... To tylko kwestia twojej osobowości ekranowej, która w zasadzie niezbyt pasuje do grzebania się w życiorysie takiego faceta jak Christie Lane. Do prezentacji Christiego potrzebujemy jakiegoś pierwszorzędnego gwiazdora, kogoś w rodzaju Danny'ego Thomasa czy Reda Skeltona. Kogoś, kto by się w niego wczuł.

Gregory dał się zaskoczyć. To miało sens. Dan nie próbował ukryć triumfalnego uśmiechu.

Robin, nie zmieniając wyrazu twarzy, pochylił się i powiedział bezbarwnie:

— Jestem zupełnie innego zdania.

Dan, z uśmiechem jakby przyklejonym do twarzy, odparł protekcyjnie:

— Wybacz, stary, ale jako prezes sieci wiem chyba lepiej niż reporter, który pół roku spędza w Europie, co może przemówić do widzów.

Robin odwzajemnił uśmiech.

— Zgoda, znasz się na układaniu repertuaru, ale o naturze ludzkiej nie masz bladego pojęcia. Daj do programu gwiazdora, a zepchniesz Christiego na drugi plan; zrobisz się z tego show Danny'ego Thomasa albo Reda Skeltona z udziałem Christiego Lane'a. A powinien to być jego program — o nim! — i nikt nie ma prawa go przesłaniać.

Gregory wstał.

— Robin ma absolutną rację, Dan. Wpuść drugą gwiazdę w charakterze mistrza ceremonii i masz którąś z kolei składankę rozrywkową. Natomiast ja stawiam na nowy cykl i powierzam jego przygotowanie Robinowi.

Dan powściągliwie skinął głową i zwrócił się do Robina: — Tylko nie włącz za bardzo w sprawy sercowe Christiego.

— Widzowie uwielbiają romanse — odparł Robin.

— Ale jego romans traci przy bliższym poznaniu.

— Po prostu Christie wypadnie nieco barwniej — upierał się Robin.

— Żadnych historii intymnych! — warknął Dan. — Poza tym nie sądzę, aby akurat w przypadku Christiego mogły one zainteresować opinię publiczną.

— Znów się mylisz, Dan — wtrącił Gregory. — Christie musi mieć jakąś dziewczynę. Osobiście zawsze jestem pełen podejrzeń wobec nieznanego faceta po czterdziestce. W przypadku Christiego to zupełnie naturalne, skoro do niedawna prowadził cygański żywot. Ale musimy mieć akcent kobiecy. Kto to jest i co z nią nie tak?

— Ethel Evans — odrzekł Dan. — Pracowała kiedyś w naszym dziale prasowym. Od kurewstwa dzieli ją tylko włos.

— Czy nie moglibyśmy znaleźć kogoś innego? — zapytał Gregory. — Dlaczego nie zrobić z niego Casanowy? Zatrudnijmy gromadę pięknych modelek, dajmy do zrozumienia, że kręci z kilkoma naraz.

— Ethel na to nie pójdzie — powiedział Dan. — Jeśli zaczniemy w ogóle mówić o dziewczynach, trzeba będzie wspomnieć także o niej. Widzowie zbyt dobrze ją znają z rozmaitych artykułów.

— Co robi oprócz tego, że mu się podkłada? — zapytał Gregory.

Dan parsknął śmiechem.

— Wierz albo nie, jest jego osobistą rzeczniczką prasową!

— Doskonale! — wtrącił Robin. — Niech w naszym programie pełni wyłącznie taką rolę. Każdy gwiazdor ma swego... ma swoją Piętaszkę!

Dan powoli skinął głową.

— To jest jakiś pomysł... przynajmniej takie podejście wyczyści atmosferę. Bo nie możemy wykreślić Ethel z życia Christiego — załapała się u jego boku na zbyt wiele relacji prasowych.

— No i dobrze — stwierdził Robin. — Teraz tylko przypilnuj, żeby Christie zgodził się na taki scenariusz.

Dan zaśmiał się nieprzyjemnie. — Och, Christie się zgodzi... ale nie dałbym złamanego grosza, że za jego przykładem pójdzie Ethel.

Rozdział dwudziesty drugi

Obecność Dantona Millera zdawała się w jakiś niepojęty sposób podkreślać lichotę kwatery Christiego Lane'a w hotelu Astor. Przyglądając się plamom na wykładzinie, Ethel zastanawiała się, dlaczego Chris ląduje zawsze w najędźniejszych pokojach... przypuszczalnie dlatego, że z uporem godnym lepszej sprawy prosi o najtańsze. Nieskazitelnie elegancki Dan wyglądał w wyliniałym fotelu klubowym jak kwiat przy kożuchu. Po wejściu obrzucił pokój zde gustowanym spojrzeniem, na które jednak wygodnie rozparty i kurzący cygaro Christie nie zwrócił żadnej uwagi. Ethel była spięta do granic wytrzymałości; podejrzania obudziły się w niej już wtedy, gdy Dan zadzwonił niby mimochodem, pytając, czy mógłby wpaść, żeby omówić strukturę wydania specjalnego. Dan nie należał do ludzi, którzy po prostu „wpadają” i w ogóle co miało, znaczyć to pieprzenie o „strukturze”? Program powinien koncentrować się na życiu Christiego — jego przyjaciółtach i ludziach, których poznał, pnąc się ku szczytom. Miał to być jego benefis! Przez ostatnie dwa tygodnie nasłuchiwała się na ten temat co niemiara. Christie zachowywał się tak, jakby ofiarowano mu nieśmiertelność, potrafiła jednak zrozumieć okazywane przezeń podniecenie. Jako gwiazdor *Show Christiego Lane'a* musiał wpisywać się w ramy, narzucane przez formułę programu. Śpiewał piosenki, grał w skeczach, zapowiadał gościnne występy gwiazd. Teraz wszystkie światła spoczną na nim; to on będzie tematem wszystkich wypowiedzi... żadnych umizgów wobec hollywoodzkich gwiazd na gościnnych występach. Przydupasy wysadzili się nawet na nowe garnitury, Agnes natomiast pracowicie rzucała drobne aluzje. Och, w gruncie rzeczy wcale nie liczy, że trafi do programu, ale „kiedy znajomi wyśmiewają się ze mnie, że jestem zwyczajną marketanką, odpowiadam, iż wolę być najdrobniejszą cząsteczką życia Christiego, niż gwiazdą w życiu jakiegoś innego faceta”... Jak dotąd, Chris nie dał jej swojego błogosławieństwa, Ethel jednak sądziła, że to rychło uczyni. Sama Ethel też pozwoliła z czasem unieść się fali ogólnego podniecenia. Zaczęła ostre odchudzanie i kupiła sobie dwie nowe sukienki. Znaczenie jednak własnej osoby dla sce-

nariusza programu pojęła dopiero wtedy, kiedy mimochodem „wpadł” Danton Miller.

Słuchała w milczeniu jego relacji z przygotowań i stwierdziła ze zdumieniem, że płonie entuzjazmem nie mniejszym niż Christie. Wszystko zresztą, co mówił, zaostrzało apetyt Chrisa i rozdymało jego poczucie wielkości. W ustach Dana *Wydarzenie* nabierało kalibru uroczystości przyznania Oskarów i po prostu musiało ustrzelić nagrodę Emmy. Przechodząc do „struktury” programu, chytrze zmrzył ślepka i najgorsze podejrzenia Ethel nabrały rzeczywistego wymiaru. Wyszukany wstęp stanowił zaledwie przykrywkę prawdziwych intencji Dana, które polegały na tym, by ją, Ethel, sprowadzić do roli pionka, by rozsunąć zasłonę dymną wokół prawdziwej pozycji, jaką zajmuje u boku Chrisa. Nie wierzyła własnym uszom, słuchając o modelkach, które Dan zamierza zatrudnić w charakterze „narzeczonych” Christiego... O pięknej debiutantce, która wyraziła już zgodę, by towarzyszyć Christiemu na szpanserskiej premierze... O rewelacyjnych zdjęciach, jakie się zrobi, kiedy Chris — w towarzystwie owej debiutantki — odwiedzi stadninę jej papy.

— To wszystko zmierza do tego, żeby przedstawić cię w nowym wymiarze — ciągnął Dan. — Dowieść, iż nie jesteś wyłącznie pocziwym wujaszkiem Harrym, lecz również niezmiernie pociągającym mężczyzną i, wyobraź sobie, erudyta! Tak, tak, mamy pewną poetkę i pokażemy, jak myszkujecie razem po księgarni wydawnictwa Doubleday. Rzecz jasna, Ethel również odegra w twoim programie ważną rolę; zrobimy kilka ciekawych ujęć, jak zajmujesz się korespondencją i telefonicznie ustala terminarz twoich spotkań czy występów...

Ethel utkwiała wzrok w słonecznej plamie, rozpełzającej się po wyblakłym dywanie. Dno upadku... chcą ją postawić na równi z przydupasami. Czy jednak, w gruncie rzeczy, jest kimś lepszym? Oni służą mu jako chłopcy na posyłki, ona — jako materac. Nawet zarabiają takie same pieniądze. Po raz pierwszy w życiu poczuła się pokonana, gorzej — straciła całą wolę walki. Może za sprawą lekceważącego zachowania Dana, może przygnębiającej tandety pokoju, poczuła się nagle równie zużyta jak pozółtkłe zasłony, zwieszające się smętnie na brudnych oknach. Przez moment popatrzyła na siebie oczyma Dantona Millera... i ogarnęła ją chęć ucieczki. O Boże, co się stało z tłuściutką Ethel Ivanski, która mieszkała w Hamtramck i hołubiła marzenia? Jakim cudem ta mała Ethel Ivanski przeistoczyła się w Ethel Evans, która siedząc w zadymionym pokoju hotelowym słucha uprzejmych i pokrętnych wywodów Dantona Millera, szukającego alibi dla jej obecności w życiu Chrisa? Jak do tego doszło? Czy jest coś złego w fakcie, że chciała zostać kimś? Zbierało się jej na płacz, pragnęła spaść jak sęp na Dantona Millera i zdrapać mu z twarzy ten

nadęty uśmiezek... Jakim prawem ten nieskazitelnie ubrany, dystyngowany facet ośmiela się sugerować, że ona, Ethel, nie jest dość dobra, żeby być dziewczyną Christiego? Przecież Dan z nią sypiał i jakoś nie skalał swojego cholernego czarnego garnituru. Zachowywała jednak milczenie, bo wszystko, co mówił, brzmiało sensownie. Dzięki modelkom, debutantce i poetce program wypadnie lepiej, a w hierarchii ważności Christiego show był początkiem i końcem świata. Na tej jednej płaszczyźnie dyskusja nie miała szans. O dziwo, zupełnie się nie przejmowała reakcją ludzi z branży; ci natychmiast pojmą, że wszystko jest dęte. Po raz pierwszy wszakże pomyślała o rodzicach, a nawet Heldze. Wedle ich przekonania, była „zaręczona” z Christiem. Jak zareagują, widząc Christiego w otoczeniu wszystkich tych piękności, ją zaś, małą grubą Ethel Ivanski, gdzieś na uboczu, zarezerwowanym dla „personelu”? Wbijają spojrzenie w słoneczny kleks, nie ośmielając się podnieść oczu. Miała ściśnięte gardło i wielką ochotę, żeby sobie popłakać.

Matowe oczy Christiego były zamyślane i chłodne. Dan szedł jak burza i wreszcie z epickim rozmachem nakreślił koncepcję wielkiego finału. Potem pochylił się i zapytał: — No i jak, Christie, co o tym sądzisz?

Christie odgryzł końcówkę cygara i wypluł ją na podłogę.

— Sądzę, że to gnój.

Ethel poderwała głowę, Dan był zanadto zaskoczony, żeby cokolwiek powiedzieć.

— Co to za pieprzenie o włączeniu się z panienką z wyższych sfer albo poetką? Wszyscy wiedzą, że moją dziewczyną jest Ethel.

Ethel ze zdumienia otworzyła usta. Ten gamoń właśnie stanął po jej stronie!

Dan wzruszył ramionami.

— Jasne, że chodzisz z Ethel. Ja to wiem i ty to wiesz. Ale zdrowośmy się wszyscy nagłówkowali w związku z tym programem i doszliśmy do jednomyślnego wniosku; że będzie znacznie ciekawiej, jeśli pokażemy cię w otoczeniu wielu dziewczyn, nie zaś przyklejonego do jednej.

— Robimy kawałek o mnie czy konkurs piękności? — zapytał.

— Wskaźniki wypadną lepiej, jeśli zdołamy połączyć jedno z drugim.

— Mój show jest w górnej piątce, nie? Myślisz, że dzięki modelkom albo debutantkom? Pomyłka, bracie — dzięki mnie!

Dan skinął głową.

— Ale nie zapominaj, Christie, że mamy tam gościnnie wielkie nazwiska, wystrzałowe dziewczyny w reklamach, czasem piosenkarki, śpiewające z tobą w duecie.

— Co z Ethel? — zapytał twardo Christie.

— Ethel jest bombowa — pospieszenie odparł Dan. — Tak nawiasem mówiąc, Ethel, nigdy nie wyglądałaś piękniej.

Uśmiechnął się pobłaźliwie, a Ethel odpowiedziała niepewnym spojrzeniem.

Christie zignorował dygresję. — A więc?

— Boimy się brukowców. Na razie dopisywało nam szczęście, ale niech no jeden dobierze się do życia sercowego Ethel, a pozostałe rzucą się na nie jak sfera wygłodniałych kundli.

— Wtedy je zaskarżę — oświadczył Christie. — Od prawie roku nie była z nikim, poza mną. Potrafię tego dowieść.

— I tylko dostarczysz wody na ich młyn! Tak, Ethel była z tobą — jako me treasa! To dlatego wykombinowali sobie, że numer z Piętaszką jest takim dobrym grepem. Bo to tłumaczy, dlaczego jesteście nierozłączni.

— Chwila, moment! — Christie machnął cygarem. — Kto, u kurwy nędzy, wykombinował?

Dan wyjął swoją papierośnicę.

— Ujmijmy to tak, Christie: w twoim programie uczestniczy również, jak się zapewne orientujesz, Robin Stone. Jeśli szmatławce z powodu Ethel uderzą w niego przy okazji pierwszego programu, może stracić głównego sponsora całego cyklu. Musisz pamiętać, że świat nie kończy się na Nowym Jorku, Chicago czy Los Angeles — są jeszcze inne miejsca, miejsca, gdzie ludzie w każdą niedzielę chodzą do kościoła, zakładają rodziny i obchodzą złote gody. Ci ludzie darzą cię miłością. Odwiedzasz ich domy. Więc nie możesz pannać im prosto z mostu: „To jest dziewczyna, z którą żyję i tym gorzej dla was, jeśli uważacie to za grzeszne!” — Wykorzystując milczenie Christiego, Dan postanowił postawić kropkę nad i: — Myśl sobie, co chcesz, ale sprawa jest zupełnie prosta; nie możesz w tym programie przyznać, że Ethel jest twoją dziewczyną, bo niesie to ze sobą zbyt wielkie ryzyko.

— W porządku, więc nie wystąpi jako moja dziewczyna — odparł spokojnie Christie. — Wystąpi jako żona.

Twarz Dana straciła swój charakterystyczny beznamiętny wyraz; z półotwartych ust prezesa sieci nie wyszło żadne słowo.

Christie skinął głową, jakby utwierdził się w podjętej decyzji.

— Taa, dobrze mnie słyszałeś. Zamierzam poślubić Ethel.

Dan otrząsnął się z pierwszego szoku i zdołał nawet przywołać na twarz anemiczny surogat swojego kociego uśmiechu. Christie rozparł się wygodnie, jakby uważał, że sprawa została definitywnie rozstrzygnięta, Ethel jednak czuła, że prawdziwa potyczka dopiero się rozpoczyna. Dan dokonywał przegrupowania sił, gotując się do kontrofensywy.

Przystąpił do niej prawie natychmiast. — Dziwne — stwierdził tonem niemal melancholijnym. — A ja cię brałem za jednego z tych wielkich romantycznych kochanków.

— Za kogo? — spytał Christie.

— Za mężczyznę, który kocha jeden jedyny raz w życiu. Byłem pewien, że tak to z tobą wyglądało w stosunku do Amandy. Obawiałem się nawet, że w dniu jej śmierci mógłbyś odwołać program. Ale ty jesteś zawodowcem. Czuliś to, co czuliś, lecz zarazem zdawałeś sobie sprawę, iż życie nieubłaganie idzie naprzód. Kiedy mężczyzna traci jedyną kobietę, na której mu zależy, znajduje namiastkę... tymczasowe zastępstwo.

Po raz pierwszy Ethel pojęła, na czym polega chwilowy obłęd ślepej furii, stanowiący przyczynę tylu zabójstw. Miała ochotę skoczyć Danowi do gardła; nie był to jednak właściwy moment na podjęcie działań drastycznych, skoro piłka wciąż była w posiadaniu Christiego. Jej dłonie zbierały na poręczy kanapy, gdy — usiłując za wszelką cenę zachować opanowanie — powiedziały ozięble i powściągliwie:

— Zdajesz się zapominać, drogi Dantonie, że Amanda porzuciła Chrisa dla Ike'a Ryana. Umarła jako pani Ryan, nie zaś dziewczyna Christiego.

— Ach — odparł Dan tonem z pozoru pojedynczym — prawdziwym wielkim kochankiem jest ten, który nawet tracąc, kocha dalej. Takim właśnie mężczyzną jest, w moim przekonaniu, Christie.

Chris porwał się na nogi.

— Co to za pieprzenie bez sensu. To tak wyobrażasz sobie wielkiego kochanka? Bo mnie to po prostu wygląda na wielkiego kutasa! Kutasa chlapiącego po kątach za babką, która puściła go w trąbę. O nie, Denny, braciszku, ja jestem Christie Lane, jestem twardziel, nieźle naharowałem się w życiu i solidnie dostałem w kość. Jedna blondyneczka to dla mnie żadne trzęsienie ziemi. — Podszedł do Ethel i ujął ją za rękę. — Dobrze się pan przypatrz, panie Miller. To jest dopiero babeczka. Rewelacyjna babeczka. Jasne, zaczęliśmy ze sobą kręcić, szlajając się po prostu dla zabicia czasu, ale po kilku randkach zapomniałem w kamień, że w ogóle znałem Amandę.

Na twarzy Dana zagościł liryczny uśmiech. — Niedawno przeczytałem sobie na nowo ten artykuł w „Life'ie” i słowo daję, wziął mnie jak diabli. Szczególnie ten kawałek, gdzie mówisz, że Amanda to jedyna dziewczyna, z którą chciałbyś się ożenić i mieć dziecko. — Westchnął. — Naprawdę wielka szkoda, bo te sekwencje z Amandą byłyby wielką atrakcją twojego programu.

— A co Amanda ma wspólnego z moim programem? — zapytał Christie.

Dan odpowiedział głosem niskim i dramatycznym: — Mieliśmy zamiar pokazać powiększenia tych zdjęć, które zrobił wam fotograf z „Life'u”. Potem

dać migawkę z Amandą i dorzucić ten niesamowity kawałek, kiedy śpiewałaś dla niej, „Mandy”... Pamiętasz? Stała za kulisami, a kamerzysta zdołał zrobić zbliżenie jej twarzy. — Dan zażalenie pokręcił głową. — Nie byłoby widza, który by nie uронił łezki. Tę historię podchwycą gazety w całym kraju i zrobi się prawdziwy romans stulecia. Amanda... jedyna miłość w życiu Christiego Lane'a. Nie miał jej za złe, kiedy poślubiła innego. Gdy natomiast umarła, jakaś cząstka jego duszy umarła razem z nią. Widownia to połknie jak karmny gąsior gałkę. No i będziemy mieli wyjaśnienie dla tych wszystkich pańienek — bo po Amandzie ty zwyczajnie nie możesz mieć jednej stałej dziewczyny, choćby najpiękniejszej. Potem, kiedy zaczniesz śpiewać, podłożymy głos spikera: „Kobiety uwielbiają słuchać Christiego Lane'a, ale swoje miłosne piosenki Chris zawsze śpiewa dla dziewczyny, która nie może ich już usłyszeć”. Później pokażemy twoje eskapady w damskim towarzystwie, to będzie dowód, że próbujesz zapomnieć. Christie, publika uwielbia kochanków i zupełnie zbagatelizuje fakt, że Amanda wyszła za Ike'a Ryana. Było to zresztą krótkotrwałe małżeństwo. Powiedz, ile pamiętasz dziewczyn Franka Sinatry? Było tego towaru na kopy, ale fani są przekonani, że Frank ciągle śpiewa tylko dla Avy Gardner. Teksty piosenek nabierają wówczas większego znaczenia... świat uwielbia kochanków, w szczególności kochanków nieszczęśliwych. Możemy powiedzieć, że Ethel jest twoją nierozłączną towarzyszką, że również dla niej Amanda była kimś bliskim — pracowały wspólnie przy programie, przyjaźniły się — więc doskonale rozumie, co utraciłeś. Christie, czy ty tego wszystkiego nie rozumiesz?

Twarz Christiego była nieodgadniona.

— Powinieneś zostać scenarzystą filmowym, Dan. — Jego głos nagle nabrał twardości. — Jakiego właściwie programu ty się po mnie spodziewasz? Czy tak ma wyglądać *Wydarzenie* z Christiem Lane'em w roli głównej? Historia faceta, który natyrał się jak głupi, ale jeszcze w czterdziestym roku życia był wciąż drugorzędnym wykonawcą? Który — skreślony właściwie przez wszystkich — dwa lata później dotarł do szczytu? To jest twój scenariusz... masz wszystko, jak na dłoni! Bo to ma być mój program — o mnie! Kapujesz? Może kiedyś nadejdzie taki dzień, że będę musiał grzechotać kośćmi zmarłej dziewczyny, aby kupić publikę, ale w tej chwili sprzedaję jej swój talent, swoje życie! I ani ty, ani pan Robin Stone, nie będziecie mi mówić, kim jestem. Bo jestem sobą! Kapujesz? Sobą! I żenię się z jedyną dziewczyną, na której mi zależy — z Ethel Evans.

Dan podszedł do drzwi. — Wybacz. Może potraktowałem ten artykuł w „Life'ie” zbyt poważnie — to całe gadanie o tym, jak bardzo chciałbyś mieć z Amandą dziecko, jak ogromnie ci zależy, by było podobne do niej...

— Pieprzenie bez sensu! — wrzasnął Christie. — Jasne, że chcę mieć dzieciaka. Syna. I chcę mu dać wszystko to, czego sam nigdy nie miałem. Ale tego dzieciaka, i to bombowego dzieciaka, zrobimy sobie razem z Ethel!

Dan skłonił się nieznacznie.

— Pozwólcie zatem, że złożę wam najlepsze życzenia. Myślę, że stało się cudownie... wysłuchawszy cię, Christie, zupełnie zmieniłem zdanie. Ty i Ethel... Cóż, jesteście chyba dla siebie stworzeni. — Potem wyszedł z pokoju.

Christie przez dłuższą chwilę wpatrywał się w zamknięte drzwi, później obrócił się i ruszył w stronę sypialni. Nie patrząc na Ethel powiedział: — Zadzwoń do Lou Goldberga i poproś, żeby przyjechał do miasta. Wezwij Keny'ego i Eddiego. Niech się dowiedzą o badaniach krwi i wszystkich tych bzdurach. Zadzwoń do burmistrza; spytaj, czy nie zechciałby udzielić nam ślubu. — Zniknął w sypialni.

Ethel nieruchomo siedziała na kanapie. Wciąż nie mogła uwierzyć. A przecież mówił serio! Będzie panią Lane! Podniosła głowę na widok Christiego, który z przerzuconym przez ramię płaszczem wychodził z łazienki.

— No, na co czekasz? — zapytał. — Nie chcesz się hajtnąć? — Potem, kiedy milcząc skinęła głową, strzelił z palców. — Więc się ruszaj... zacznij popychać sprawę.

Zerwała się z kanapy i konwulsyjnym susem znalazła się w jego ramionach.

— Och, Christie! — Jej łzy były zupełnie szczere. — Naprawdę tego chcesz?

Był lekko zakłopotany, kiedy delikatnie uwalniał się z jej uścisku. — Jasne, jasne. Teraz łap się za słuchawkę, laleczko. — Ruszył do drzwi.

— Dokąd idziesz?

Przystanął, a potem — ze słabym uśmiechem na twarzy — odparł:

— Kupić obrączki.

Wyszedłszy z Astora, Christie skierował się w stronę centrum. Dotarł do Czterdziestej Siódmej i skręcił w przecznicę, znaną jako Zaułek Jubilerów. Miało tu swoje klitki kilku znajomych facetów, a tacy Edelmanowie zawsze dawali mu duży rabat, kiedy przy okazji Gwiazdki wysadzał się na złote spinaki dla tekściarzy i personelu. Dostrzegł ich przez szybę, pomachał ręką, ale — z niepojętych dla samego siebie powodów — kontynuował marsz. Szedł teraz ku Piątej Alei i w miarę jak przyspieszał kroku, uświadamiał sobie, do jakiego celu zmierza, pchany podświadomym impulsem. Kiedy dotarł do Pięćdziesiątej Ulicy, brakowało mu tchu. Zawahał się przez moment, a potem powoli wszedł po kamiennych schodach do Katedry Świętego Patryka.

Christie z urodzenia był katolikiem i akceptował ten fakt w taki sposób, w jaki człowiek akceptuje swój kolor skóry. Nie praktykował, a nawet nie pamiętał już katechizmu, który przecież z okazji pierwszej komunii wykuł na pamięć — rozwód rodziców położył raptowny kres jego edukacji religijnej. Drugi mąż matki był baptystą i na baptystę wychowywał też przyrodniego brata Christiego. A może na metodystę? Tak czy inaczej, nie mogąc dogadać się z ojczymem Christie opuścił dom; miał wtedy czternaście lat. Teraz, kiedy stanął w miękkiej ciemności Katedry Świętego Patryka, z zakamarków pamięci poczęły doń wracać wszystkie zapomniane rytuały. Instynktownie zanurzył palce w wodzie święconej i przeżegnał się. Mijając rzędy ławek i zapalonych świec przypatrywał się stajom Drogi Krzyżowej. Na widok kobiety, podchodzącej do jednego z małych konfesjonałów, doznał nagle palącej pokusy, by się wyspowiadać. Nerwowo przybliżył się do konfesjonału... potem stanął... od ostatniej spowiedzi minęło tyle czasu! Tak, miał wtedy czternaście lat i właśnie po raz pierwszy przeleciał dziewczynę; liczył, że sakrament spowiedzi uchroni go od trypra. Tak się napalił na tę dziewczuchę, że dopiero po wszystkim zorientował się, jaka była z niej maskara. Ale czego mógł się spodziewać za pół dolara w bramie? Kobieta odeszła od konfesjonału, wsunęła się w rząd ławek, uklękła i wyjęła różaniec. Zamknawszy oczy szeptała bezgłośnie, przesuwając paciorki.

Musiał tylko podejść, uklęknąć i powiedzieć: „Przebac mi, ojcze, bo zgrzeszyłem...”

Podeszedł do konfesjonału, ukląkł i wymamrotał: — Przebac mi, ojcze, bo zgrzeszyłem.

— Tak, mój synu.

Przez kratkę dostrzegał niewyraźną sylwetkę kapłana.

— Popełniłem wiele śmiertelnych grzechów — zaczął Christie. — Żyłem z kobietą, która nie jest moją żoną. Wzywałem imienia Bożego nadaremnie.

— Czy zamierzasz się poprawić?

— Tak, ojcze, zamierzam poślubić tę kobietę, mieć z nią dziecko, i będę... — Urwał. Chciał powiedzieć: „będę ją kochał i czcił”, ale słowa ugrzęzły mu w gardle. Zerwał się na nogi i uciekł od konfesjonału; ruszył w głąb kościoła — musiało tu być jakieś boczne wejście. Jego spojrzenie wędrowało wzdłuż ścian, gdzie płomyki setek świec migotały chwiejnie w półmroku. Przed Najświętszą Marią Panną klęczało kilka osób. Każdej z figurek świętych składała hołd gromada wątlących ogników; każdy z tych ogników był zarazem czyjąś osobistą modlitwą. Nagle Christie minął coś, co wydało mu się mroczną niszą i dopiero po chwili pojął, że to kolejny ołtarz, przed którym pełga światło tylko jednej świecy. Jednej zapalanej pomiędzy dwiema tacami martwych. Ta

samotna jednak migotała wyzywająco i dumnie. Christie pomyślał, że to nie w porządku... jedyny święty w całej firmie, który nie ma żadnych obrotów. Spojrzył na tabliczkę: święty Andrzej.

Rozejrzył się dokoła, aby zyskać pewność, że nikt nie patrzy, a potem ukląkł na twardym kamiennym stopniu, oparł podbródek na złożonych dłoniach i podniósł głowę.

— Okay, Jędrus, stary brachu, dam ci coś do załatwienia. Z tego, co widzę, nie masz za wiele roboty, więc możesz mnie wysłuchać. Ta jedna świeczuszka już się dopala, czyli przypuszczalnie tę fuchę już odwaliłeś. — Wstał raptownie. Zwariował czy co? Gada do gipsowej figury, jakby była żywym człowiekiem... Poza tym, nie ma żadnych świętych — to po prostu gromada kompletnych czubków, które pozwoliły się zabić w imię sprawy. I czy chociaż w końcu to cokolwiek zmieniło? Ci faceci obrócili się w proch, a ludzie po staremu grzeszą, walczą i umierają. Jak Amanda. Amanda... Do oczu napłynęły mu łzy; ukrył twarz w dłoniach i zaczął bezgłośnie szlochać. — Och, Mandy — wyszeptał. — Nie chciałem powiedzieć żadnej z tych rzeczy, które mi się wypsnęły w tamtym pokoju. Dobry Boże, jeśli jest jakieś niebo, a Ty siedzisz w nim sobie i mnie słuchasz, powiedz jej, że wcale tak nie myślałem. Mandy, laleczko, słyszysz mnie? Kocham cię. Nigdy nie kochałem nikogo innego. I nie pokocham. Jakie to ma znaczenie, że bez wzajemności? — Kochałem cię i tylko to się liczy. Może dlatego zenię się z Ethel? Kochałem cię, a ty odeszłaś z innym... to boli. Chyba właśnie dziś przypomniałem sobie o tym i pomyślałem: Dlaczego miałbym ranić Ethel? Nie kocham jej wprawdzie, ale ona mnie kocha... więc dlaczego nie miałbym jej dać szczęścia? Więc widzisz, laleczko, że pośrednio jesteś przyczyną szczęścia Ethel. A kiedy Ethel urodzi mi dziecko, ja też będę szczęśliwy. Dlaczego tak się dzieje, Mandy? Dlaczego Ethel kocha mnie, a ja kochałem ciebie i, kurczę blade... wybacz, laleczko... dlaczego ludzie nie mogą kochać jednocześnie? Ale swojemu dzieciakowi dam wszystko... I, posłuchaj, Mandy, może kiedy stać wyjdę, pomyślę sobie, że dostałem świra, ale teraz, w tej sekundzie, naprawdę wierzę, że mnie słyszysz. I mam pewność, że jest z tobą ten święty Andrzej i że w ogóle coś jest, kiedy człowiek wyciąga kopyta. Za stary jestem, żeby się zmienić i jak dewotka latać na msze, ale wierz mi: wychowam małego na katolika i nigdy nie bluznę przy nim plugawym słowem. No i, laleczko, nigdy nie przestanę cię kochać. Myślę, że o tym wiesz, prawda, Mandy? Wcale nie leżysz kilka stóp pod ziemią w drewnianej skrzynce. Jesteś gdzieś tam, wysoko... szczęśliwa. Czuję to. Jezu... ja to naprawdę czuję! — Urwał i doznał przelotnego wrażenia, że też przed sobą widzi jej uśmiechniętą twarz.

Odpowiedział uśmiechem.

— W porządku, laleczko, uważaj na siebie. I kto wie? Jeśli jest jakaś druga rundka, może w końcu spikniemy się na dobre. — Zamknął oczy. — Święty Andrzeju, pomóż mi być dobrym ojcem i obdarz mnie wspaniałym zdrowym synem. — Wstał, a potem, nagle, znowu przykleknął. — A przy okazji, podziękuj Wielkiemu Wodzowi za cały ten fart, który spotkał mnie w życiu. I zmów w mojej intencji zdrowaśkę.

Wstał ponownie, wrzucił do puszek ćwierćdolarówkę i zapalił świecę. Miętały teraz dwie... osobliwie jednak, ich połączone wisiłki sprawiły tylko, że nie zapalone szeregi pozostałych świec wyglądały jeszcze bardziej przynębiająco. Christie popatrzył na figurę świętego Andrzeja.

— Wiem, jak się czujesz, brachu... czułem się tak samo, występując przy pustych salach, gdzie były zajęte najwyżej dwa stoliki. Od tego gapienia się na białe obrusy dostawałem śnieżnej ślepoty. — Sięgnął do kieszeni, wyciągnął dolara i wsunawszy go do puszek, zapalił cztery następne świece. Wciąż jednak święty Andrzej w porównaniu z innymi świętymi prezentował się skromnie. Christie wzruszył ramionami. — E, do cholery, pójdę na całość. — Wyjął dwudziestodolarówkę, włożył ją do skarbonki, pracownicy zapalił wszystkie świeczki i odstąpiwszy na krok, z dumą przyjrzał się efektowi swoich poczynań. — No, Jędrak, stary brachu... ależ zdziwią się księżulki, kiedy będą wieczorem robić obchód gospodarstwa! Masz takie Nielseny, że resztę kompanii bijesz na głowę!

Potem wyszedł z kościoła, wrócił do Zaułka Jubilerów i kupił dwie obrączki ślubne.

Prasa i telewizja zrobiły wokół ślubu niewiarygodny zgiełk, ba, relacjonowano na bieżąco nawet okres przygotowań. Lou Goldberg wynajął piętro Danny's Hideaway i urządził Christiemu imponujący wieczór kawalerski, w którym wzięli udział wszyscy gwiazdorzcy, przebywający akurat w Nowym Jorku. Felietoniści cytowali wybrane dowcipy, jakie opowiadano sobie podczas kolacji, komiccy telewizyjni kwitowali imprezę dobrodusznymi żarcikami. Nikt jednak nawet aluzją nie zaczępił Ethel. Zdawano sobie sprawę, jak niewiele potrzeba, żeby eksplodowało wieczko szybkowara, w którym dusiła się burzliwa przeszłość panny młodej.

Ethel wszakże miała kilka nieprzyjemnych chwil. Najpierw więc, tydzień przed ślubem, przybyli jej rodzice. Christie zafundował im w Astorze podwójny pokój — z czym zresztą Ethel nie dyskutowała, bo starzy nigdy w życiu nie mieszkali w hotelu i przypuszczalnie nie mieliby pojęcia, co począć z apartamentem. Musiała włożyć sporo wisiłku w to, żeby wybić matce z głowy ścienienie łóżek. Osłupiała, witając ich na dworcu (oczywiście, nawet im przez myśl nie przeszło, żeby przylecieć samolotem — sama wizyta w Nowym Jorku by-

ła dostatecznie głębokim przeżyciem); niemożliwe, że te dwie drobniotki istotki to jej starszuszkiwie! Czyżby się skurczyli?

Astor ich strwożył, spotkanie z Christiem oszołomiło, miasto natomiast zafascynowało, przy czym tę fascynację dzielił od śmiertelnego lęku tylko jeden włos. Nalegali, by ich zabrała na najwyższe piętro Empire State Building (sama zresztą nigdy tam nie była); zamówili sobie wycieczkę statkiem wokół Nowego Jorku; oznajmili, że muszą koniecznie obejrzeć Statuę Wolności. Następną pozycją listy — oczywiście, mieli listę, stworzoną zapewne przy współudziale połowy obywateli Hamtramck — stanowiło Radio City. Film był w porządku, ale te popisy estradowe!? Nie posiadali się z zachwytem. Ethel odetchnęła z ulgą, kiedy na zwiedzanie Grobowca Granta, przejażdżkę dwukółką po Central Parku tudzież wyprawę na Most Waszyngtona przejęli ich Kenny z Eddiem. Zrazu była chłopcom niewymownie wdzięczna, później jednak doznała olśnienia: miała zostać panią Lane, a zatem Kenny i Eddie stawali się również jej przydupasami! Tak czy inaczej, wykorzystała wolny czas na objazd sklepów w poszukiwaniu odpowiedniej sukni ślubnej. Raczej konserwatywnej sukni ślubnej...

Ta nagła decyzja Christiego, że wezmą ślub kościelny, była czystym obłędem, zarazem jednak stanowiła dobry omen: Christie naprawdę chciał, żeby ich związek był trwały. Jeśli o nią chodzi, zgodziłaby się nawet na uroczystość przed szamanem, byle tylko akt ślubu miał moc urzędową. Otrzymała rozmowę z księdzem Keltym — nie, wcale nie musi się przechrzczyć, wystarczy, że wychowa dzieci w wierze rzymskokatolickiej. Dzieci! Będzie mieć jedno dziecko. Tylko jedno! Ale dopiero wtedy, kiedy uzna, że nadszedł już czas. Miała trzydzieści dwa lata i zbyt wiele z nich spędziła na poszukiwaniu przecenionych ciuchów oraz starannym studiowaniu prawej strony menu. Po raz pierwszy w życiu zafunduje sobie piękne kreacje, masaże, usługi najlepszych salonów piękności. Nie paliła się do sześciu miesięcy w sukienkach ciężowych. Teraz, kiedy w końcu była bliska osiągnięcia wszystkiego, czego w życiu pragnęła, doszła do wniosku, że macierzyństwo może poczekać.

Pobrali się w pierwszym tygodniu maja. Świadkami ceremonii, która miała miejsce w Katedrze Świętego Patryka, byli rodzice Ethel, Lou Goldberg, przydupasy i Agnes. Christie sobie tego zażył, a dopóki nie padło ostatnie „Tak”, Ethel nie zamierzała mu oponować w najdrobniejszej kwestii. Po zakończeniu uroczystości, gdy wszyscy przystąpili do starannego obcałowywania wszystkich, Ethel spostrzegła, że Christie wymyka się ukradkiem i przechodzi na drugą stronę nawy. Zaciekawiona podążyła za nim i stanąwszy w pewnej odległości ujrzała, jak klęka przed jednym z małych ołtarzyków bocznych.

Ten gamoń zapalał wszystkie świeczki! I wsuwał do puszki dwadzieścia dolarów! Niepostrzeżenie wróciła do grupki weselników. Nie zdawała sobie sprawy, jak wiele znaczy dla Chrisa — musiał ją kochać, skoro dziękował za nią Bogu dwudziestodolarowym datkiem! Z drugiej strony wielu skąpych mężczyzn zmienia się po ślubie. Był to więc dobry znak.

Po uroczystej kolacji wszyscy odprowadzili na dworzec rodziców Ethel, a potem państwo młodzi wrócili do Astora. Po raz pierwszy Ethel została oficjalnie zameldowana.

Fakt, że miesiąc miodowy spędzali w Astorze, pozostawiła bez komentarza. Christie intensywnie pracował nad programem specjalnym, później natomiast mieli na sześć tygodni wyjechać do Las Vegas. Miała teraz sporo czasu, żeby snuć plany na przyszłość. Powie mu, żeby co miesiąc wpłacał na jej konto pięć tysięcy dolarów. W końcu miał ten rewelacyjny kontrakt z IBC. No i jeszcze przed wyjazdem zleci którejś z agencji wynajęcie jakiegoś przyjemnego mieszkania przy Park Avenue.

Pierwszy tydzień małżeństwa Ethel spędziła siedząc na mrocznej widowni: Christie — w warunkach zbliżonych do pierwszych swoich programów — próbował piosenki, które miały się znaleźć w *Wydarzeniu*. Pewnego dnia, po telefonie Ethel, na próbie zjawiła się z plikiem planów elegancka agentka mieszkaniowa, niejaka pani Rudin. Gdy podczas przerwy przytłapał Christie, Ethel przedstawiła mu gościa i wyjaśniła cel jego wizyty. Christie słuchał w milczeniu, a potem mocno zagryzł koniec cygara.

— Posłuchaj, damulko — powiedział do pani Rudin — zwiń te plany i daj sobie spokój. Ethel i ja mieszkamy w Astorze jak u Pana Boga za piecem.

Ethel poczerwieniła z wściekłości, ale dopiero po wyjściu pani Rudin osaczyła Christiego za kulisami.

— Jak śmiałeś? — zapytała gniewnie.

— Co śmiałem?

— Robić ze mnie idiotkę w obecności agentki.

— Więc nie sprowadzaj agentek, a nie będę robił z ciebie idiotki.

— Ależ musimy mieć jakieś mieszkanie.

— Po co?

— Christie, czy sądzisz, że do samej śmierci będę mieszkać w Astorze, gdzie główną ozdobę salonu stanowią dwie twoje walizy, gdzie mamy do wspólnego użytku jedną nędzną szafę, jedną łazienkę i...

— Słuchaj, widziałem tę norę, w której gnieździłaś się do spółki z Lillian. Ritz toto nie był.

— Ale ja nie byłam wówczas panią Lane.

— Cóż, tylko że pan Lane jest zupełnie zadowolony z Astora.

Uznała, że nie czas ani miejsce, aby wydać decydującą bitwę. Miała do dyspozycji całe lato, żeby go zmiękczyć.

— Wybieram się do Saksa po kostium kąpielowy — oświadczyła. — Ach, nawiasem mówiąc, chcę sobie założyć konto rozliczeniowe.

— Więc je załóż.

— Potrzebuję jakiejś forsy na wpłatę.

— Przed ślubem zarabiałaś dwieście tygodniowo. Obgadałem to z Lou — nadal będzie ci wysyłał tyle samo. No i po staremu możesz się zajmować moją reklamą... w końcu nie masz do roboty nic innego.

— A co z pieniędzmi na wydatki bieżące?

— Dwieście papierów to nie jest byle co. Poza tym właściwie będziesz miała więcej niż dotąd, bo przyszczędzisz na czynszu. Dwieście tygodniowo to naprawdę kupa forsy. Żyją z tego niekiedy ośmioosobowe rodziny.

Osunęła się na krzesło. Miała uczucie, że została wystrychnięta na dudka. Takie uczucie, jakie ma poszukiwacz ropy naftowej, który jest pewien, że trafił na złożo, lecz nazajutrz stwierdza, że odwiert zupełnie wysechł. Uczucie to nie odstępowało jej i wówczas, gdy po zakończeniu nagrań wyjechali do Las Vegas. Portierzy i recepcjoniści zwracali się do niej per „pani Lane”, ale był to w jej życiu jedyny naprawdę nowy element. W gruncie rzeczy, w porównaniu z okresem przedmałżeńskim, sporo zmieniło się na gorsze. Wtedy miała przynajmniej te dwie lub trzy noce wyłącznie dla siebie — teraz każdą sekundę spędzała w towarzystwie Christiego, przydupasów i Agnes. Jesienią, kiedy wrócą do Nowego Jorku, znów zaczną się nasiadówki w Copa i kolacyjki w li-chych knajpach. Ale niech ją diabli, jeśli zgodzi się, by ponownie zamieszkali w Astorze.

Któregoś wieczoru, po występie, poruszyła ten temat z Christiem.

— Go ci nie klapuje w Astorze? — zapytał.

— Nie chcę tam mieszkać.

— A gdzie chcesz mieszkać?

— W przyjemnym mieszkaniu z jadalnią, tarasem i dwiema łazienkami!

— Tyle pomieszczeń dla nas dwojga? Kiedyś wynająłem w Hollywood chatę, ale mieszkali ze mną Kenny, Eddie i Aggie. I mimo to miejsca mieliśmy po uszy. Pośluchaj, pogadamy o mieszkaniu, kiedy będzie dziecko. Jasne? Chcę, żeby mały chował się w przyzwoitych warunkach i miał wszystko, co trzeba. Ale póki jest nas tylko dwoje, biwakujemy w hotelu.

Następnej nocy nie założyła spirali.

Rozdział dwudziesty trzeci

Robin zauważył zdjęcie Maggie, kiedy popijając kawę przeglądał poranne gazety. Dopiero potem przeczytał podpis: *Maggie Stewart, najnowsza gwiazda wytwórni Century, przybyła dzisiaj do Nowego Jorku na zdjęcia plenerowe do swego kolejnego filmu, zatytułowanego «Cel».*

Jej makijaż był nieco bardziej zdecydowany, włosy dłuższe — ale wyglądała fantastycznie. Nagle doznał nieodpartej pokusy, by się z nią zobaczyć. Poprosił o połączenie z hotelem Plaza; była zameldowana, ale telefon w jej pokoju milczał. Wobec tego zostawił wiadomość.

Był w trakcie jakiejś narady, kiedy do gabinetu wsunęła się cicho sekretarka i położyła przed nim notatkę: *Dzwoni panna Stewart.* Odprawił sekretarkę gestem dłoni i kontynuował naradę. Dopiero o piątej miał szansę odzwonić.

— Cześć! — jej głos brzmiał pogodnie i bezosobowo.

— Jak się miewa nasza gwiazdka?

— Padam na twarz. Gram modelkę, na której życie nastają jacyś faceci. Film rozpoczyna się sceną zamachu, która jednak — wedle dobrych hollywoodzkich zasad — kręcona jest na końcu. Łobuzy dokonują zamachu w Central Parku, podczas sesji fotograficznej, i dlatego tu jestem.

— Brzmi to interesująco.

— Mam nadzieję, że tak również wypadnie. Zaraz po nakręceniu tej sceny zaczynają montaż i udźwiękowienie.

— Co w następnej kolejności?

— Mam kilka propozycji, ale mój agent uważa, iż powinnam się wstrzymać z podjęciem decyzji do premiery tego filmu. To czysty hazard. Jeśli wypadną dobrze, mogę wziąć znacznie więcej forsy i lepsze role... Jeśli jednak nastąpi kłapa, stracę wszystko.

— Niełatwa decyzja — zauważył Robin.

— Mam duszę hazardzistki — odparła. — Zamierzam czekać.

— Zuch dziewczyna. A propos, jak długo będziesz w mieście?

— Zaledwie trzy dni.

— Miałabyś ochotę zjeść ze mną po hamburgerze u P.J.? — Zadał to pytanie, zanim zdążył się zastanowić, czy naprawdę chce je zadać.

— Czemu nie? Dostarczenie kolacji do pokoju trwa wieki. Daj mi tylko czas na zeszkrobanie ośmiu warstw charakteryzacji i prysznic.

— Zdążysz na siódmą?

— Doskonale. Jesteśmy umówieni. — Odłożyła słuchawkę.

Robin z zadumą wpatrywał się w aparat telefoniczny. Nie zdążył nawet zaproponować, że po nią wpadnie. Czy Maggie z premedytacją rozgrywa to na luzie? To by oznaczało, że wciąż nie wyrzekła się jakichś zamiarów wobec niego... Pospiesznie zadzwonił do Jerry'ego Mossa.

O wóół do ósmej wciąż jeszcze czekali na nią w P.J. — Może wystawiła mnie do wiatru — powiedział z uśmiechem Robin.

Jerry popatrzył na niego z zaciekawieniem. — A właściwie co jest między tobą a tą dziewczyną?

— Absolutnie nic. Jesteśmy tylko przyjaciółmi... starymi znajomymi, można by powiedzieć.

— Więc dlaczego boisz się spotykać z nią sam na sam?

— Ja się boję?

— Ostatnim razem, kiedy była w mieście, stawałeś na uszach, żeby pociągnąć mnie ze sobą na lotnisko.

Robin upił kilka łyków piwa. — Ona była kiedyś dziewczyną Andy'ego Parino. Zerwali ze sobą zaledwie kilka dni przed jej tamtym przyjazdem. Nie chciałem, by Andy sobie pomyślał, że mu przyprawiam rogi. Przypuszczalnie dlatego wziąłem cię ze sobą. Zresztą nie pamiętam.

— Och, to wyjaśnia wszystko. A dziś mam ci dostarczać alibi wobec Adama Bergmana?

Spojrzenie Robina było szczerze i pełne ciekawości. — Adama Bergmana?

— Reżyser... wunderkind obecnego sezonu — wyjaśnił Jerry. — W ubiegłym skasowałem wszystkie nagrody za ten swój broadwayowski spektakl. Zapomniałem tytułu... o lesbijce i pederastie. Wyszliśmy z Mary po pierwszym akcie, niemniej Bergman zrobił prawdziwą furorę. — Nie doczekawszy się reakcji Robina, Jerry podjął: — Dziwna sprawa, może jestem staroświecki, ale lubię, kiedy sztuki mają jakąś akcję; kapujesz, wprowadzenie, rozwinięcie, epilog. Ale dzisiaj... — urwał, słysząc zgiełk, który na kształt fali przepłynął przez bar.

Uwaga wszystkich męskich oczu skoncentrowała się na Maggie. Robin wstał. Maggie udawała, że poznaje Jerry'ego, on jednak nie robił sobie złudzeń. Nie przeprosiła za spóźnienie. Zamówiła porcję chili i zaczęła grzebać w torebce w poszukiwaniu papierosów.

— Chętnie bym cię poczęstował, gdybym nie rzucił palenia — powiedział Robin.

— A zatem zechciej kupić mi paczkę, bo zapomniałam swoich.

Na widok Robina, który zerwał się i pognął do automatu z papierosami, Jerry doznał niewytłumaczalnej uciechy. Robin wrócił, otworzył paczkę, poczęstował Maggie i podał jej ogień.

- Kiedy rzuciłeś? — spytała.
- Dwa dni temu.
- Dlaczego?
- Żeby udowodnić, iż mogę to uczynić.

Skinęła głową, jakby to wyjaśnienie zupełnie jej wystarczyło. Skończywszy swoje chili, oznajmiła: — Teraz wypiję piwo, a potem, niestety, będę was musiała opuścić. Zdjęcia zaczynają się z samego rana.

Robin zamówił piwo.

U drzwi restauracji ustawiła się kolejka; Robin nagle zerwał się z miejsca.

— Wybaczcie... dostrzegłem przyjaciela.

Podszedł do drzwi i pozdrowił parę, czekającą na możliwość wejścia. Po kilku chwilach wrócił, prowadząc ją ze sobą.

— Maggie Stewart, Jerry Moss — przedstawiam wam Dipa Nelsona i Pauli... — Popatrzył pytająco na dziewczynę. — Wybacz, Pauli, zapomniałem nazwiska.

— Obecnie Nelson.

— Gratulacje. — Robin gestem dłoni zażądał dostawienia krzesel. — Chyba zdołamy się jakoś upchnąć.

— Tylko wezmę coś na ząb i już mnie nie ma — powiedziała Pauli, opadając na krzesło. — Człowieku, wałę się z nóg. Próby od świtu do nocy... premiera za trzy tygodnie.

— Robimy program dla nocnych klubów — wyjaśnił Dip. — Startujemy w Berkeley... forsy z tego nie będzie, ale trzeba program sprawdzić w praniu i doszlifować. Pierwszy poważny angaż mamy w Concord, Czwartego Lipca. Pięć kawałków za wieczór.

— To chyba niezłe honorarium? — zapytał Robin.

— Taa, ale w przygotowania wsadzamy dwadzieścia pięć!

— Dwadzieścia pięć tysięcy!? — Zdumienie Robina nie było udawane.

— A jak ci się zdaje, ile mogą kosztować te ośmiogodzinne próby w Nola Studios? — zapytała Pauli. — Hej, kelner, dwa razy chili, dwa cheesburgery i dwie cole.

— Rozumiesz, mamy bogatą propozycję — tłumaczył Dip. — Choreografia i te rzeczy. Pauli nieźle się rusza, no i jest urozmaicenie dla wokalu. Mamy angaż w Vegas na dwa tygodnie, za piętnaście tygodniowo — wtedy już wyjdziemy na swoje. Potem Reno, a we wrześniu Sala Perska w Plaza. To jedyne, co się naprawdę liczy — recenzje w prasie nowojorskiej.

— Skąd to nagle zainteresowanie występami w nocnych klubach — zapytał Robin.

— A widziałeś moje dwa ostatnie filmy? — odpowiedział pytaniem Dip.

— Jasne, że tak.

— No to nie muszę ci mówić, że padły martwym bykiem.

Robin uśmiechnął się szeroko. — Jestem oblatany w sprawach telewizyjnych, ale do kina chodzę tylko po to, żeby się odprężyć.

— Przecież musiałeś widzieć statystyki w „Variety” — wtrąciła Pauli.

— Nie czytam pism filmowych.

— Posłuchaj — powiedział Dip — znam tę branżę jak własną kieszeń. Może w innych jestem młot, ale kiedy mój agent przedstawia mi propozycję niezależnej wytwórni za marnych sto tysięcy, to wiem, że muszę sobie powiedzieć: „Dip, zwijamy żagle!”

— Nie sądzę, żebyś musiał się martwić, skoro w grę jeszcze wchodzi takie pieniądze. — Robin pragnął skierować rozmowę na ogólniejsze tematy, żeby mogli wziąć w niej udział Maggie i Jerry.

— Kpiny sobie ze mnie urządzasz? — zapytał Dip. — Kupiłem niedawno chatę starszkom Pauli.

— Budę — uzupełniła Pauli. — Taką drewnianą budę w Los Angeles. Więc nie zachowuj się tak, jakbyś zafundował im pałac Buckingham...

— Ale zapłaciłem gotówką, nie? Czterdzieści dziewięć tysięcy też przecież nie chodzi. No i są zabezpieczeni, bez względu na to, co stanie się z nami. Poza tym kupiłem dom również dla nas... szkoda, że go nie widziałeś. Jeden architekt wewnątrz skasował mnie na stówkę. W samym Bel Air. Cholernie mi się nie chciało stamtąd ruszać, ale trzeba było, póki w człowieku nie ostygł zapach do roboty. Ten nasz numer zrobi furorę, Hollywood padnie na kolana i Dip Nelson znowu stanie na szczycie.

— Z Pauli u boku — zauważyła Pauli.

— Z Pauli u boku — stwierdził zgodliwie. — Jak ci zresztą powiedziałem po ślubie: stanowimy drużynę — na złe i dobre.

— Wiecie — zwróciła się Pauli do wszystkich zgromadzonych przy stole — ale na zdjęcia próbne to ja się nie piszę.

— Święte słowa — odezwała się Maggie po raz pierwszy.

Pauli spojrzała na nią z ciekawością. — Och, jesteś z branży?

— Gra główną rolę w nowym filmie Alfiego Knighta — wyjaśnił Robin.

— Ach! — Pauli posłała Maggie takie spojrzenie, jakby zauważyła ją dopiero teraz. — No właśnie, jesteś tą dziewczyną, która ma wielki romans z Adamem Bergmanem.

Wyraz twarzy Maggie nie zmienił się na jotę, Dip natomiast wydawał się przerażony.

Przez kilka minut panowała kłopotliwa cisza, ale Pauli — która ją mimowolnie sprowokowała — była bez reszty zaabsorbowana swoim hamburgerem.

Przełknąwszy ostatni kęs, zwróciła się do Dipa: — Poproś o rachunek, muszę się trochę przespać. Jutro mam znowu osiem godzin prób.

Robin uśmiechnął się serdecznie.

— Niech mi będzie wolno wystąpić w roli gospodarza. Tylko pomyślcie, będę mógł rozpowiadać, że znałem wielką Pauli Nelson, zanim jeszcze została gwiazdą.

Odwróciła się do niego z zadziorną miną.

— Wiesz co? Lepiej nie pieprz! Kim ty, do cholery, jesteś? Dip zmusił mnie kiedyś, żebym obejrzała to twoje *Z bliska*. Wielkie mi coś! Zauważyłam zresztą, że cię wykopali — prowadzi to teraz inny facet.

— Pauli! — Dip złapał ją za ramię. — Przepraszam, stary. I wiesz... przykro mi, że straciłeś *Z bliska*. Masz coś innego na warsztacie?

— Nowy program — odparł z uśmiechem Robin. — Nazywa się *Wydarzenie* i startuje w sezonie jesiennym.

Twarz Dipa wyrażała szczerą ulgę. — Cieszę się, stary. Jesteś do mnie podobny — nie dajemy się deptać, co? Ta sama firma? — Kiedy Robin skinął głową, Dip spytał: — A jak tam wyglądają twoje układy z Andym Parino?

— Zupełnie dobrze.

— I tu właśnie mógłbyś mi pomóc, staruszkule! — Dip błysnął swoim szerokim uśmiechem. — Czy dałoby się przed premierą w Plaza zrobić ze mną i z Pauli wywiad dla *Z bliska*?

— Jeśli naprawdę chcesz, masz to załatwione.

— Nie żartujesz?

— Słowo.

Dip wstał. — No to zadzwonię, kiedy wrócimy z trasy.

Gdy Dip i Pauli wyszli z restauracji, Robin ujął Maggie pod rękę.

— Chodź, odprowadzimy cię z Jerrym do domu.

— Nie chcę wracać pieszo.

— Jerry, złap dla pani taksówkę — powiedział Robin.

— Jerry, nie łap dla pani taksówki — odrzekła, parodiując ton Robina. — Pani ma swój własny wóz.

Dopiero wówczas dostrzegli, że przed drzwiami lokalu czeka ogromna limuzyna.

— Dziękuję za przyjęcie i fascynującą konwersację przy stole. Spróbuję się zrewanżować, jeśli kiedykolwiek zabłądzisz do Kalifornii.

Jerry odprowadził wzrokiem wóz, ginący w głębi Trzeciej Alei.

— Naprawdę na ciebie leci — zauważył cicho.

— Jasne, ma na moim punkcie autentycznego fioła — odrzekł oziębło Robin.

— Nie... mówię poważnie. Nie zapominaj, że jest aktorką. Przepuszczalnie dobra, bo dzisiejszego wieczoru odegrała wielką rolę.

— Do czego zmyślasz?

— W niczym nie przypominała tamtej dziewczyny, którą w lutym odbieraliśmy z lotniska. Żadna kobieta nie może zmienić się tak bardzo w ciągu trzech miesięcy.

— Może przyczynił się do tego ten Adam jak-mu-tam.

— Może.

— Skoczmy do Lancera na jednego kielicha — zaproponował Robin.

— Nie, jeśli chodzi o mnie, skoczę raczej na dworzec; wciąż mam szansę na ostatnią kolejkę. Na twoim miejscu natomiast zadzwoniłbym do Maggie Stewart z propozycją małego drinka przed snem. W pokoju hotelowym. Sam na sam.

— Nie, dzięki.

Jerry przystanął. — Powiedz, Robin, czy ona ma coś wspólnego z papierosami?

— Nie rozumiem, o co ci chodzi.

— Czego, do cholery, usiłujesz dowieść, odzwyczajając się od Maggie Stewart?

Maggie wyjechała z miasta, a Robin pogrążył się w pracy; wieczorami, po powrocie do domu, pilnie dopisywał do swojej książki cztery następne stronicę. Kiedy w ramach akcji promocyjnej następnego filmu zjechała do Nowego Jorku Tina St. Claire, pozwolił jej wprowadzić się na tydzień do siebie. Regularny seks z Tiną sprawiał mu wiele przyjemności, kiedy jednak zwinęła na koniec manatki, doświadczył takiego samego jak za pierwszym razem poczucia ulgi z odzyskania własnych kątów. Pracując ostro nad cyklem *Wydarzeń*, zupełnie stracił kontakt z rzeczywistością i dopiero przypadkowe spojrzenie, rzucone na kalendarz, uzmysłowiło mu, że szybkimi krokami zbliża się Czwarty Lipca. Tego roku święto wypadało w czwartek — co oznaczało, w przypadku Robina, perspektywę długiego pustego weekendu. Nie było nawet nikogo, z kim miałby ochotę poromansować. Jerry Moss zaprosił go do siebie i z prawdziwym zachwytem przyjął wyraźną nieprzytomnie zgodę Robina. Robin zdawał sobie sprawę, iż weekend w Greenwich oznacza nie kończący się łańcuszek przyjęć, stawiał jednak głównie na basen Mossów i liczył, że zdoła wkręcić się na kilka partyjek golfa.

Drugiego lipca przyszła depesza od Maggie:

PRZYLATUJĘ TRZECIEGO W ZWIĄZKU Z TELEWIZYJNĄ PROMOCJĄ MOJEGO FILMU. CZY NAPRAWDĘ SĄDZISZ, ŻE TAK WŁA-

ŚNIE ZACZYNAŁA KARIERĘ ELIZABETH TAYLOR? MOŻE MÓGŁ-BYŚ MNIE PODSZKOLIĆ WARSZTATOWO? MAGGIE.

Zadzwoił do Jerry'ego i odwołał przyjazd. W środek wyszedł z biura o piątej; natychmiast po powrocie do domu połączył się z hotelem Plaza, zyskując informację, że wprawdzie Maggie zameldowała się dwie godziny temu, ale pojechała już na nagranie programu Johnny'ego Carsona. Cóż, wieczór był duży, a weekend długi. Jeszcze zdąży się z nią zobaczyć. Nic straconego.

Zadzwoił w czwartek; bezskutecznie. Zostawił wiadomość, pojechał do klubu i obtłukł kilka piłeczek do golfa.

W piątek zostawił dwie wiadomości.

W sobotę nawet nie zwracał sobie głowy dzwonieniem.

Telefon zaterkotał w niedzielę o dziewiątej. Nie podniósł słuchawki. Niech ją diabli wezmą! Niech spędzi niedzielę samotnie. Po trzecim sygnale rozmowę przyjęła centrala. Wziął prysznic, połączył się z centralą i poprosił o przekazanie wiadomości.

Z Greenwich dzwonił niejaki pan Jerry Moss.

Poczuł się oszukany. A właściwie czego mógł chcieć Jerry w słoneczny niedzielny poranek? Zatelefonował do Greenwich.

— Dobrze się bawisz w upalnym Nowym Jorku? — zapytał Jerry.

— Odwałam masę roboty.

— Straciłeś kilka bombowych imprez. Wczoraj wieczorem wielkie przyjęcie wydał Rick Russel, wiesz, ten wielki macher od korporacyjnych alianców. Ma nawet własne linie lotnicze.

— Doskonale to sobie wyobrażam — odparł Robin. — Świeże powietrze, namioty, papierowe lampiony, pijacy i komary.

Jerry parsknął śmiechem. — Trafiałeś w sedno, ale do tego, w charakterze honorowego gościa, twoja Przyjaciółeczka Maggie Stewart.

— Co tam robiła?

— To samo, co wszyscy: piła, tańczyła i biła komary. Rick Russel oblewał piątą rocznicę rozvodu. Zupełnie przystojny facet, zwłaszcza kiedy człowiek pamięta o wszystkich tych milionach. Odkąd poznał Maggie podczas lotu z Los Angeles, nie odstępuje jej na krok. Dziś wysyła ją do Chicago swoim prywatnym samolotem.

— Lubie, kiedy prawdziwe damy podróżują w wielkim stylu. A tak nawiasem, Jerry w jakiej sprawie do mnie dzwoniłeś?

Nastąpiła krótka pauza. — No, bo... bo myślałem, że chciałbyś się dowiedzieć o Maggie.

— Dlaczego miałbym chcieć?

— Ja, cóż... — Jerry był kompletnie zбитy z tropu.

— Bo jeśli sądziłeś, że mi na niej zależy, to twoje zagranie było wyjątkowo wredne. Próbujesz mi dokuczyć, Jerry?

— Och, nie, przecież wiem, że ci wcale nie zależy na tej dziewczynie — powiedział pospiesznie Jerry.

— Więc po co zwracasz mi głowę? — Robin odłożył słuchawkę.

Po południu poszedł do kina na podwójny seans. Kiedy wychodził, panował już mrok. Ulice były opustoszałe. Jutro znowu wypełni je zgiełk, dziś jednak należały tylko do niego. Zatrzymał się w barze przy Trzeciej Alei i zjadł hot doga. Potem, bez celu, ruszył przez miasto. Dotarł do Piątej Alei i stwierdził, że stoi przed hotelem Plaza.

Hej, nie chcesz się pan zabawić? — Pytanie zadała niska pulchna niewiasta po czterdziestce. Miała silnie utlenione włosy i trzymała za rękę szczupłą rudą dziewczynę, która nie mogła liczyć więcej niż dziewiętnaście lat. Zapewne nowicjuszką. Starsza kobieta wypchnęła ją w stronę Robina. — Pięćdziesiąt dorców, pokój na koszt firmy.

Dziewczyna była ubrana w lichą sukienkę, a na jej twarzy, pod grubą warstwą makijażu, widniały ślady po trądziku młodzieńczym.

Robin próbował wyminąć obie kobiety, ale utleniona stręczycielka chwyciła go za łokieć. — A, dajmy na to, czterdzieści? Wyglądasz mi pan na gościa, któremu nie zaszkodziłyby mały relaks.

— Jestem aż za bardzo zrelaksowany — odrzekł Robin.

Nie uszedł nawet pół przecznicy, gdy zaczęła go następna dziewczyna. I to w dodatku niebrzydka.

— Pięćdziesiąt dorców za wycieczkę do raju, słodziutki?

Roześmiał się i szedł dalej. Najwyraźniej pięćdziesiąt dolarów było teraz obowiązującą stawką, a południowy Central Park — terenem łowów na jelenia. Kiedy mijał Hampshire House, zrównała z nim krok jeszcze jedna dziewczyna, ale przyspieszył i zostawił ją z tyłu. Nagle przypomniał sobie otwartą przez całą noc księgarnię przy Siódmej Alei; kupi coś lekkiego, wsunie po drodze kanapkę i spędzi wieczór na lekturze.

— Chce się pan zabawić? — Stał twarzą w twarz z prawdziwą Walkirią.

Bez najmniejszej przesady. Miała przeszło sześć stóp wzrostu i srogi wygląd. Umalowane na smolistą czerń włosy piętrzyły się ku niebu na kształt ula, paciorkowate czarne oczka patrzyły przenikliwie, a długi wąski nos godził w Robina jak włócznia. Mimo ciepłej nocy szyć kobiety zdobyła etola z norek. Duża kobieta... o wielkich piersiach... Nagle w głowie Robina eksplodowały tysiączne fajerwerki, a na jego ustach wykwitł zawadiacki uśmiech.

Też się uśmiechnęła. — Pięćdziesiąt papierów i robimy to u mnie.

— Miałem przed chwilą lepszą propozycję.

Pogardliwie wzruszyła ramionami. — Ach, Elsie wprowadza tę nową. Odkąd tu jest, zaliczyła dopiero trzech klientów. A z tego, co słyszę, nadaje się najwyżej do zabawy z tragarzami. Ja ci naprawdę potrafię zrobić dobrze.

— Może to ja powinienem zażądać forsy? — odparł. — Uchodzę za nie-
złego zawodnika.

— Dla przyjemności sypiam z kobietami; z facetami tylko zarobkowo.

— Lesbijka, co? Cóż, przynajmniej jesteś uczciwą dziwką.

— A ty przystojnym sukinsynem. Okay, pójdę za czterdzieści.

— Żadnych rabatów. Płacę pełną stawkę. Gdzie jest twój pokój?

— Chodź, skarbie. — Wzięła go pod rękę i ruszyli w stronę Siódmej Alei.

Miała pokój w dużym ciemnym budynku przy Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy. Było oczywiste, że w nim nie mieszka. Z faktu, iż tylko w niewielu oknach pa-
liły się światła, wynikało również jasno, że większość pokoi służy podobnym
celom. Przeszli przez pusty hol i poskrzypującą windą jechali na trzecie pię-
tro. W korytarzu panowała wilgoć, a z drzwi do pokoju prostytutki złuszczała
się farba. — To nie pałac... nazywam tę norę swoim atelier.

Czarna żaluzja w oknie, łóżko, umywalka, kabina prysznicy, sedes...
Lampa pod sufitem świeciła nienaturalnie mocno. Kobieta skrzywiła usta
w uśmiechu i zaczęła się metodycznie rozbierać: wszystko, co miała na sobie,
zaprojektowano specjalnie dla przedstawicielek wykonywanego przez nią za-
wodu — czarny koronkowy biustonosz z otworami, przez które wzywały
wielkie brązowe sutki, czarny ażurowy pas, który zostawił na jej szerokim bia-
łym brzuchu brzydki czerwony ślad. Nie nosiła majtek.

— Wolisz z pończochami czy bez? — zapytała.

— Rozbierz się do naga. — Własny głos brzmiał mu w uszach obco.

Brudnym ręcznikiem starannie starła z ust jaskrawą szminkę. Jej masyw-
ne ciało — co pospiesznie zrzucając z siebie ubranie zauważył Robin — było
zbudowane zdumiewająco proporcjonalnie.

— Rzuc tę pięćdziesiątkę, kochasiu, takie są zasady — powiedziała.

Z kieszeni spodni wyciągnął dwie dwudziestodolarówki i jeden banknot
dziesięciodolarowy; wsunęła je do torebki. — Dobra, skarbie, teraz rób, co so-
bie chcesz, tylko spróbuj nie potargać mi włosów i odkleić rzęs. Wcześniej je-
szcze i mam nadzieję, że podłapię później jakiegoś klienta.

Rzucił ją na łóżko; jego ruchy były mocne i proste. Kobieta cicho pojęki-
wała. — Hej, kochasiu... spokojnie. Co próbujesz udowodnić?

Wskoczył na moment przed orgazmem.

— Nie musiałeś tego robić. Jestem zabezpieczona — stwierdziła.

— Nie chcę ryzykować, że wyjdzie z tego jakiś biedny mały bękart — mruknął Robin.

Spojrzała na zegarek.

— Wyrobiłeś się w trzy minuty. Masz prawo do drugiego strzału. — Pochyliła się i zaczęła wodzić językiem po ciele Robina.

Odepchnął ją, przewrócił na brzuch i wszedł w nią ponownie.

Bódtł raz za razem, popychany jakąś niepojętą dla siebie pasją. Kiedy na koniec zsunął się bezsilnie z jej pleców, skoczyła na nogi i podeszła do umywalki. Opłukując brzuch, mówiła gderliwie: — Jezu, ależ z ciebie brutal, a wyglądasz na takiego dzentelmena.

Leżał na łóżku, gapiąc się w sufit pustym wzrokiem. Kobieta przed lustrem — biała naga góra — szminkowała usta.

— No, dobra, szanowny panie... trzeba się ruszyć. Czas wracać do żoneczki. Pójdę o zakład, że nawet nie śmiesz próbować z nią takich numerów, co? Najwyżej od czasu do czasu uczciwie pierdolonko po bożemu.

— Nie jestem żonaty — odparł bezbarwnie.

— No więc wracaj do mamy... założę się, że mieszkasz z mamusią. To normalka w przypadku takich facetów jak ty.

Zerwał się z łóżka i chwycił ją za włosy.

— Hej, ostrożnie, skarbie... uważaj na włosy! Mówiłam ci, że mam jeszcze robotę. A teraz wracaj do mamusi.

Jego pięść gruchnęła w szczękę kobiety. Przez jedną krótką chwilę, zanim uczucie bólu dotarło neuronami do mózgu, patrzyła na Robina z niemal dziecięcym przestraszaniem. Potem rozchyliła usta i jęcząc skoczyła w stronę łazienki. Chwycił ją za ramię.

— Błagam — zapiszczała. — Wiesz, że nie mogę krzyczeć, bo zaraz przyłecieliby gliniarze. Błagam... puść.

Oburącz złapał jej wielkie piersi i przywarł do nich ustami.

— Gryziesz mnie — jęknęła, usiłując się wyrwać. — Dostałeś za swoich pięćdziesiąt doliców wszystko, co ci się należało! — Zebrawszy siły, kopnęła kolaniem w krocze i wyrwała się z jego rąk. Rzucił się za nią. Po raz pierwszy w jej oczach odmalowało się prawdziwe przerażenie. — Słuchaj, pan! — wrzasnęła. — Oddam ci forsę! Wracaj do domu! Possij sobie cycki mamusi!

— Coś powiedziała?! —

Czując, że trafiła go we wrażliwy punkt, otrząsnęła się z przestachu. Wyprostowała swoje nagie ciało na pełną wysokość. — Znam was jak zły szeląg, maminsynki... jesteście cholerne twarde, ale marzy się wam zerżnięcie mamuśki! Wyglądam jak twoja staruszka, dzidzius? Cóż, wracaj do prawdziwej. Ta tutaj ma jeszcze dzisiaj kupę roboty.

Znów uderzył ją w szczękę, ale tym razem nie poprzestał na jednym razie. Walił metodycznie. Z jej nosa i ust pociekła krew, na podłogę wypadł złamany ząb... Robin bił nawet wtedy, gdy usłyszał trzask pękającej szczęki; powstrzymał go dopiero ból w kostkach. Popatrzył z ciekawością na swoją pięść, a kobieta jak wór zwała się na podłogę. Robin nadal wpatrywał się w dłoń... miał wrażenie, że należy do kogoś innego. Była pokryta krwią. Spojrzał na rozciągniętą u swych stóp bezwładną postać, podszedł do łóżka, położył się i zemdlał.

Kiedy otworzył oczy, najpierw dostrzegł światło na suficie i nierzeczywiste sylwetki trzech martwych ciał, zwabionych blaskiem pod szklany klosz. Potem zauważył zakrwawioną pościel. Usiadł i z ciekawością popatrzył na swoją obolałą pięść. Dopiero na końcu jego wzrok powędrował ku leżącemu nieruchomo na podłodze ciału dziewczyny. O Boże... więc tym razem to nie był tylko koszmar. To wydarzyło się naprawdę. Wstał z łóżka i podszedł do swojej ofiary. Z jej ust sączyła się strużka krwi; na groteskowo opuchniętych wargach utworzył się skrzep. Pochylił się — oddychała. Dobry Boże, co on narobił! Ubrał się pospiesznie, a potem sięgnął do kieszeni: miał zaledwie trzydzieści dolarów. Za mało. Dziewczynę trzeba odwieźć do szpitala. Nie może tak po prostu odejść. Rozejrzał się po pokoju — nie było telefonu. Wyrzwał na korytarz — też żadnego aparatu. Musi jakoś ściągnąć lekarza... na pewno gdzieś na ulicy jest budka.

Hol wciąż był pusty: Robin wyszedł z budynku i spowiła go ciemność Pięćdziesiątej Ósmej Ulicy. Ruszył w kierunku drogerii na rogu.

— Hej, bracie, a gdzież to się szlajasz? — Dip Nelson w otwartym kabriolecie.

Robin zbliżył się do wozu.

— Mam kłopoty... — powiedział bezbarwnie.

— Jak my wszyscy — roześmiał się Dip. — Zeszłej nocy występowaliśmy w Concord i daliśmy plamę.

— Dip... masz przy sobie jakieś pieniądze?

— A czy ja kiedykolwiek... tysiąc gotówką i książeczkę czekową. Dlaczego pytasz?

— Dip, daj mi ten tysiąc, a ja ci wypiszę czek.

— Wejź do auta i wszystko opowiedz. — Ruszyli przez park; Robin mówił, a Dip uważnie słuchał. Na koniec powiedział: — Uporządkujmy sprawę. Po pierwsze: czy sądzisz, że cię zdoła rozpoznać? No bo, załóżmy, że widziała cię w TV.

Robin wzruszył ramionami.

— Wtedy jestem załatwiony.

Dip ze zdziwieniem pokręcił głową.

— Ty chyba nie jesteś z tego świata. Jeśli chcesz zająć naprawdę wysoko, musisz dopilnować, żeby nikt cię nie mógł załatwić! Posłuchaj — to będzie jej zeznanie przeciwko twojemu. Czy ktokolwiek potraktuje poważnie słowa dziwki, która oczernia uczciwego obywatela? — Zerknął na zegar w tablicy rozdzielczej wozu. — Jest wpół do jedenastej. Kiedy, powiadasz, to się stało?

Robin ponownie wzruszył ramionami.

— Poszedłem do kina; nie noszę zegarka, ale seans skończył się po zmroku.

— Czyli o ósmej trzydzieści, może dziewiętej. Na wszelki wypadek załatwimy ci alibi od ósmej.

— Alibi?

— To ja, mój drogi. Twoim alibi będzie Dip Nelson. Jeśli potrzebujesz alibi. Powiemy, że poszliśmy do ciebie o wpół do ósmej. Siedzieliśmy i gadaliśmy o sprawach branżowych, a potem machnęliśmy się na przejażdżkę. Odstawiając wóz do garażu dopilnuję, żeby ktoś zwrócił na nas uwagę.

— Ale co z dziewczyną? — zapytał Robin. — Leży nieprzytomna.

— Kurwy tak łatwo nie umierają. Jutro będzie jak nowa i ruszy w kurs.

Robin pokręcił głową. — Nieźle ją urządziłem. Nie mogę jej tak zostawić.

— Co ci strzeliło do łba, żeby iść z dziwką? W P.J. widziałem cię z najpiękniejszą dziewczyną na świecie.

— Nie wiem. Pamiętam tylko, jak ją spotkałem... potem eksplodowało mi w mózgu coś na kształt rakiety i cała reszta wydaje się snem.

— Posłuchaj... chcesz dobrej rady? Zostaw ją w spokoju. Co znaczy jedna kurwa więcej albo mniej?

Robin chwycił nagle kłamkę; Dip popatrzył nań ze zdziwieniem.

— Coś nie w porządku?

— Dip... miałeś kiedy uczucie, że przeżywasz właśnie coś, przez co kiedyś przeszedłeś, że słyszysz po raz drugi te same słowa?

— Jasne, to się nawet jakoś nazywa. Wszyscy to miewają. Jest nawet o tym piosenka, „Kiedy lub gdzie”.

— Może — odpowiedział powoli Robin.

— Więc wyrzuć ją z myśli. Wmów sobie, że to się nigdy nie wydarzyło — poradził Dip.

— Nie... nie mogę. To człowiek... może nawet mieć dziecko.

— Jeśli mnie pamięć nie zawodzi, przyznała ci się — jak mówiłeś — że jest lesbijką?

— Tak, oczywiście. Masz słuszność.

Dip skreślił w Pięćdziesiątą Szóstą i wjechał do jasno oświetlonego garażu. Z kantorku wypadł dozorca i z atencją powitał Dipa. — Jak się sprawuje wozik, panie Nelson?

— Jak anioł — odrzekł Dip. — W gruncie rzeczy jeżdżenie nim to taka przyjemność, że krążymy z kumplem po mieście coś od wpół do ósmej. Poznajesz go, nie? To Robin Stone... prowadził magazyn *Z bliska*.

Dozorca, z szacunku dla Dipa; skinał głową. Potem zapytał: — Panie Nelson, czy pamiętał pan o fotosie z autografem dla mojej córki Betty?

— Gdzieżbym zapomniał! — Dip otworzył skrytkę, wyjął dużą kopertę i podał ją mężczyźnie. — Z wszelkimi szykanami: całusy, pozdrowienia i tak dalej.

Kiedy wyszli z garażu, Robin na powrót skierował się w stronę Pięćdziesiątej Ósmej; Dip usiłował go zniechęcić: — Posłuchaj, może ona już obłapia następnego klienta.

— Proszę Boga, żeby tak było — wymamrotał Robin.

Zatrzymali się przed ciemnym budynkiem. Dip ostrożnie rozejrzał się dookoła. — Cóż, może jestem taki sam dureń jak ty, ale idę z tobą.

Drzwi pokoju były wciąż uchylone; Robin nie zatrzaskał ich uciekając.

Ujrawszy rozciągnięte na podłodze ciało kobiety, Dip gwizdnął przez zęby. — Duża sztuka.

— Daj mi ten tysiąc — poprosił Robin. — Włóż jej do torebki, a potem gdzieś z ulicy zadzwonimy po lekarza.

— No jasne, lekarz przewiezie dziwkę do szpitala, tam ona dojdzie do siebie i wszystko wyśpiewa.

— Przecież mnie nie poznała.

— Bracie... kiedy przy kurwie znajdują tysiąc dolarów, postawią jej mnóstwo pytań. Opiszę cię i taki może być początek kłopotów.

— Cóż innego możemy zrobić?

— Zostań tutaj, mam pomysł. Zamknij drzwi na klucz. Kiedy wrócę, zastukam krótko dwa razy. Nie otwieraj nikomu innemu. — Zanim Robin zdołał cokolwiek powiedzieć, Dip wyszedł.

Robin usiadł na krawędzi łóżka i ująwszy głowę w dłonie wpatrywał się w rozciągnięte na podłodze ogromne białe ciało. Biedna kobieta. Co go napadło? Pierwszy raz w życiu spróbował tego na trzeźwo z brunetką. Pierwszy i ostatni! Dobry Boże, przecież na jej miejscu mogła być Maggie!

Poruszyła się i jęknęła. Wstał z łóżka i podłożył jej poduszkę pod głowę. Potem zmoczył pod kranem chusteczkę i zmył z górnej wargi zakrzepłą krew. Delikatnie odgarnął z posiniaczonej twarzy kosmyk włosów. — Cholernie mi przykro — wyszeptał. Lekko uniosła powieki, jęknęła i znów straciła przy-

tomność. — Przepraszam cię, ty głupia kobieto, przepraszam. O Jezu, jest mi tak cholernie przykro.

Usłyszał dwa krótkie stuknięcia i otworzył drzwi. Dip miał w rękę butelkę z jakimiś czerwonymi kapsułkami. — No, przynaj, że jestem genialny!

— Seconal? — zapytał Robin.

Dip skinął głową. — Teraz musimy tylko wtłoczyć je naszej Brunhildzie do gardła.

— Mogą ją zabić.

— Mam tylko osiem. Od tyłu się nie umiera. To znaczy, człowiek może by i wykitował... ale do wykończenia tego mastodonta potrzebowalibyśmy całej apteki.

— Więc po co te tabletki?

— Położymy ją na łóżku, a obok rzucimy butelkę — nie ma etykiетки więc nie ustalą pochodzenia. Potem spokojnie wyjdziemy i zatelefonujemy na policję. Zmienię głos, powiem, że byłem umówiony na sex-party i znalazłem ją w takim stanie. Oświadczę, że często gadała o samobójstwie. Nawiasem mówiąc, większość dziwek kończy w taki właśnie sposób... chyba że wcześniej dobierze się do nich jakiś sympatyczny klient. Potem przyjedzie karetka, zawiozą Brunhildę do Bellevue, zrobią jej płukanie żołądka... a kiedy wreszcie oprzytomnieje, to — po pierwsze — nikt nie uwierzy w jej wersję, i — po drugie — wszystkim będzie kompletnie obojętne, co ma do powiedzenia. No i w szpitalu trochę ją pocerują. Teraz musimy tylko dźwignąć naszego mastodonta na łóżko.

Byli bez tchu, kiedy wreszcie zdołali tego dokonać. Dip wcisnął jej tabletki do ust i wlał nieco wody; rozległ się gulgot i tabletki spłynęły po brodzie kobiety. Dip powtórzył zabieg... Robin przytrzymał jej głowę, żeby się nie zadławiła. Miał zupełnie przemoczoną koszulę, gdy wreszcie wysiłki Dipa zostały uwieńczone powodzeniem.

— Dobra, zmywajmy się — powiedział Dip, po chwili jednak dodał: — jeszcze moment! — Wyjął chusteczkę i zaczął wycierać odciski palców. Puścił do Robina oko. — Wreszcie jest jakiś pożytek z tych kryminalnych szmir, w których grywałem. Znam wszystkie grepsy. Dotykałeś jeszcze czegoś? — Wyjął z kieszeni smukłe skórzane etui, zawierające złoty grzebyk, pilnik do paznokci i cząki.

Robin z mieszaniną przerażenia i fascynacji patrzył, jak Dip najpierw skraca długie czerwone szpony kobiety, a potem starannie czyści je pilnikiem.

— To na wypadek, gdyby miała za paznokciami twoje włosy albo skórę — wyjaśnił Dip. — Powiódł spojrzeniem po pokoju. — Tym razem to już chy-

ba wszystko. — Przez chusteczkę wyjął z torebki portfel: — Nazywa się Mary-Ann Woods. Mieszka na Bleecker Street.

— Chcę mieć ten adres — powiedział Robin.

Wziął od Dipa prawo jazdy kobiety, spisał personalia, a potem oddał dokument Dipowi, który na powrót umieścił go w portfelu.

— Weź jeszcze to... miała sto dolarów — rzekł Dip, podając Robinowi zwitek banknotów.

— Oszalałeś? — Robin odepchnął wyciągniętą rękę Dipa.

— Nie zapisałeś jej adresu po to, żeby ją zaprosić na potańcówkę, zgoda? Chcesz jej przesłać forszę, więc dodasz do niej tę stówkę. W przeciwnym razie niewątpliwie w Bellevue ukradnie ją jakiś sanitariusz albo pacjent.

Robin przyjął pieniądze i w otepieniu skinał głową. Teraz zrozumiał, dlaczego Dip przebił się w filmie. Ten człowiek bez przerwy kombinował, jak przechytryć bliźnich. Może to nieuniknione, kiedy człowiek pnie się ku szczytom z samych nizin.

Zachowując ostrożność wyszli z pokoju: szczęście wciąż im dopisywało i uniknąwszy spotkań znaleźli się na ulicy. Dip zadzwonił na policję, Robin jednak nie chciał odchodzić, nie zyskawszy pewności, że przybyła już pomoc. Dip się sprzeciwiał, ale, koniec końców, obaj zajęli stanowisko w bramie po drugiej stronie ulicy. Dziesięć minut później usłyszeli syreny — przed dom zajęchały trzy policyjne wozy patrolowe, a po dwóch następnych minutach — karetka. W okamgnieniu zebrał się spory tłumek gapiów; Robin odniósł wrażenie, iż wyrosli spod ziemi.

— Muszę podejść i sprawdzić, czy żyje — wyszeptał.

Dip chciał z nim pójść, ale Robin wepchnął go do bramy.

— No i kto w tym towarzystwie nie myśli? Mnie nikt nie rozpozna, ale na widok twoich włosów blond i hollywoodzkiej opalenizny wszyscy zapomną o karetce i zaczną prosić cię o autografy.

— Nie bądź taki pewien — syknął Dip.

— Wyglądają mi na takich, którzy widzieli wszystkie twoje „kryminalne szmiry”.

Robin przeciął ulicę i wmieszał się w tłum. Kilka minut później pojawili się dwaj sanitariusze z noszami. Robin odetchnął z ulgą — kobieta miała odkrytą twarz; żyła.

Po odjeździe karetki wrócił do Dipa. Dip ujął go pod ramię. — No dobra, przyjacielu, miałeś cholernie burzliwą noc i chyba powinieneś iść już do łóżka. Sam.

Robin popatrzył nań przeciągle.

— Dip, czym mógłbym ci się odwdziaczyć? Tylko powiedz.

— Daj sobie spokój. — Dip klepnął go po ramieniu. — Nie mamy z Pauli powodów do narzekania. We wrześniu, przed premierą w Sali Perskiej, możesz wkręcić nas do *Z bliska*. A teraz — złapmy oddzielne taksówki, ale dopiero kilka przecznic stąd. Kryminalna szmira do samiutkiego końca!

Robin wrócił do domu i wziął pastylkę nasenną. Godzinę później — następną; tym razem popił ją wódką. Błyskawicznie zapadł w twardy sen.

Kiedy obudził się nazajutrz, zadzwonił do doktora Archiego Golda.

— Tu Robin Stone. Chyba jestem gotów na pełną kurację.

Rozdział dwudziesty czwarty

Siedząc naprzeciwko doktora Golda, Robin sprawiał wrażenie człowieka rozluźnionego i w pełni panującego nad sobą.

— Czy kiedykolwiek dotąd korzystałeś z usług prostytutki?

— Nigdy.

— I powiadasz, że ominąłeś jedną, która sprawiała zupełnie przyjemne wrażenie. Dlaczego zdecydowałeś się na tę drugą?

Robin rozgniół papierosa. — To powód mojej wizyty. Była brunetką.

W szarych oczach Archiego błysnęła iskierka zainteresowania. — Czyżbyś poddawał się próbie przed kolejnym podejściem do Maggie?

— Do czego zmierzasz?

— Gdybyś z prostytutką nie miał erekcji, najwyżej straciłbyś pięćdziesiąt dolarów.

Robin pokręcił głową. — Nie; moim zdaniem chodziło o coś zupełnie innego. Miałem wrażenie, że kiedy mnie zaczepiła, w mojej głowie nastąpiła jakaś niesamowita eksplozja. Potem cały czas czułem się jak we śnie.

Doktor Gold spojrział w swoje notatki. — Może pamiętasz, że kiedy byłeś tu poprzednio, wyraziłem chęć zbadania cię pod hipnozą. Trwam przy niej.

— To absurdalne... z pewnością możemy w normalnej rozmowie ustalić wszystko, co nas interesuje.

— Nie chcę marnować swojego czasu i twoich pieniędzy. Chciałbym podać cię hipnozie i wszystko, co powiesz, nagrać na magnetofon. Przesłuchałbyś potem taśmę i mielibyśmy punkt wyjścia dla dalszej rozmowy. — Dostrzegł, że na czole Robina rysuje się zmarszczka. — Podczas spotkania w styczniu natrafiliśmy na blokadę. Nie mogłeś przypomnieć sobie żadnych wydarzeń z najwcześniejszego dzieciństwa. Podkreślam: nie chodziło o to, że

nie chciałeś sobie przypomnieć. Po prostu nie mogłeś. I aż do tej chwili seks i miłość były dla ciebie kategoriami zasadniczo odrębnymi. Nie umiesz ich ze sobą połączyć. To, co odczuwasz wobec Maggie, jest pragnieniem, by kochać. Zarazem miłość połączona z seksem jawi ci się jako akt kazirodczy. Musimy ustalić przyczyny takiego stanu rzeczy. We wszystkim, co mi dotąd powiedziałeś, nie znajduję najmniejszych przesłanek. A jednocześnie czynię założenie, iż nie zataiłeś przede mną niczego. — Urwał. — Robinie, ile masz lat?

— W przyszłym miesiącu skończę czterdzieści jeden.

— Czy myślałeś kiedykolwiek o małżeństwie?

— Nie. Czy powinienem?

— Każdy mężczyzna robi zupełnie naturalne założenie, iż któregoś dnia poślubi kobietę. Kiedy po raz pierwszy uświadomiłeś sobie, że pragniesz być samotnikiem? — zapytał doktor Gold.

— Nie wiem. Chyba podobne uczucie miałem zawsze.

— No i proszę — powiedział triumfująco Archie — coś czułeś... ale kiedy? Jak? Chyba rozumiesz teraz, że powinniśmy wniknąć w twoją przeszłość. — Wstał. — Robinie, zaczynamy kręcić się w miejscu. Sądzę, że na dziś masz zupełnie dość. Zechciej przyjść jutro. Jak myślisz, czy mógłbyś mi poświęcić trzy godziny?

— Trzy godziny?

— Hipnoza, a potem wspólne przesłuchanie taśmy. Mam przeczucie, że dogrzebiemy się sedna problemu.

— Musimy się umówić na wieczór — odparł Robin. — Czy szósta ci odpowiada?

— A więc widzimy się o szóstej.

Nazajutrz Robin przewertował gazety, żeby sprawdzić, czy zamieszczono jakąś wzmiankę o Mary-Ann. Znalazł ją w końcu na piątej stronie „News”:

W pokoju umeblowanym przy Zachodniej Pięćdziesiątej Ósmej znaleziono skatowaną kobietę. Powodem przybycia policji był telefon od anonimowego informatora. Kobieta nie mieszkała w tym pokoju i nie wyjaśniła, jak się w nim znalazła. Zabrano ją do szpitala Bellevue, gdzie ustalono, że jest wielokrotnie notowaną prostytutką. Nie przedstawiono jej żadnych zarzutów, ona zaś nie umiała zidentyfikować napastnika. Stan kobiety nie jest poważny i należy sądzić, że zostanie wypisana z Bellevue już jutro.

Robin pojechał do banku, podjął dwa tysiące dolarów w banknotach o niskich nominałach, a następnie w zwykłej kopercie wysłał je na domowy adres

Mary-Ann. Wciąż miał masę oporów wobec badania pod hipnozą, ale punktualnie o szóstej stawiał się w gabinecie doktora Golda. Poczul chłodny dreszczyk niepokoju, kiedy jego wzrok spoczął na magnetofonie.

— Naprawdę sądzisz, że coś z tego wyjdzie? — zapytał doktora Golda.

— Mam nadzieję — odparł Gold. — Zdejmij marynarkę i rozluźnij krawat.

Robin wyciągnął papierosy. — Jak luz, to luz. Mam się położyć na kozetce? I na to pójdę, jeśli miałyby przynieść jakiś efekt.

— Nie, siądź na zwykłym krześle. I zostaw te papierosy. Robinie, mam nadzieję, że nie będziesz stawiał oporu, prawda?

— Stary, żaden z nas nie ma czasu na zabawę.

— Doskonale! Chcę, żebyś teraz oczyścił umysł. Skup uwagę na tym marynistycznym obrazku. Widzisz tylko wodę... twoje stopy ogarnia uczucie odprężenia... teraz tracisz w nich całe czucie... nogi też unoszą się bezwładnie... to rozprężenie się na całe ciało... jesteś nieważki... opadają ci ręce... miłe odrętwienie w szyi i skroniach... zamykasz oczy. Zamknij oczy, Robinie. Teraz... widzisz tylko ciemność... aksamitną ciemność... zasypiasz...

Robin był świadom, że doktor Gold gasi światła. Miał całkowite przekonanie, że nic z tego nie wyjdzie, lecz mimo wszystko słucał poleceń. Wpatrywał się w ten cholerny pejzaż. Wmawiał sobie, że ogarnia go odrętwienie. Odpychał wszystkie myśli, pozostawiając tylko miejsce dla głosu doktora Golda... Słyszał ten głos. Nic z tego nie wyjdzie. Słyszał głos... ciemność za jego powiekami kładła się ciężkim brzemieniem... ale nic z tego nie wyjdzie...

Otworzył oczy. Leżał na kozetce. Wstał i powiódłszy niewidzącym wzrokiem po gabinecie, sięgnął po papierosy.

— Jak się tu znalazłem? — zapytał. — Kilka chwil temu siedziałem na krześle.

— To było dwie i pół godziny temu.

Robin porwał się na nogi. — Która jest teraz?

— Wpół do dziewiątej. Przyszedłeś o szóstej.

Robin chwycił słuchawkę i zadzwonił do zegaryni. Melodyjny głos oznajmił: — Ósma czterdzieści siedem.

Odłożył słuchawkę i z niedowierzaniem popatrzył na doktora Golda. Doktor odpowiedział uśmiechem.

Robin rzucił pytające spojrzenie w stronę magnetofonu.

Doktor Gold skinął głową.

— Rany Boskie... puść to!

— Masz dość jak na jeden wieczór. Dziś chciałbym **przesłuchać taśmę** sam, jutro zrobimy to razem.

— Mówiłem coś do rzeczy?
— Poczyłeś pewne szokujące zwierzenia.
— Chryste, pozwól mi posłuchać. Czy wyobrażasz sobie, że bez tego zdołam dziś zmużyć oczy?

Doktor Gold włożył do koperty dwie zielone pigułki.

— Weź je po powrocie do domu. Czy możesz być u mnie jutro o szóstej? Tabletki poskutkowały. Robin dobrze się wyspał, ale nazajutrz był spięty i niecierpliw. Przypalał papierosa od papierosa, nie potrafił skupić się na pracy. Kiedy przyszedł wreszcie do gabinetu doktora Golda, był jednym kłębkim nerwów.

— Robinie — powiedział Gold — chcę, zanim przystąpimy do przesłuchania taśmy, abyś dobrze wbił sobie do głowy jeden fakt. Ludzie w głębokiej hipnozie mówią prawdę. Każde słowo, które usłyszysz, zostało wypowiedziane przez ciebie. Chwilami twój głos może ci się wydać dziwny, ponieważ przeniósłem cię w dzieciństwo i chwilami odpowiadałaś jak dziecko. Chcę jednak, żebyś słucał bez uprzedzeń i niczego nie kwestionował. — Podszedł do magnetofonu. — Jesteś gotów?

Robin skinął głową i usiadł. Rozległ się szum przesuwanej taśmy, a potem głos doktora Golda:

— Robinie, jesteś w hipnozie... będziesz słyszał, co mówię i wypełniał wszystkie moje polecenia. Teraz wstań z krzesła i podejdź do kozetki. Dobrze. Teraz się połóż. Cofamy się w czasie... bardzo daleko... jesteś małym chłopczykiem. Masz pięć lat... leżysz w łóżku...

ROBIN: Tak, leżę w łóżku.

Robin przesunął się na krawędź krzesła i zdusił papierosa. Jezu, ten głos, młodszy i dźwięczniejszy, był jego głosem!

DR GOLD: Leżysz w łóżku. Jakie to łóżko?

ROBIN: Przyjemne łóżko. Kitty całuje mnie na dobranoc.

DR GOLD: Robinie, masz cztery lata. Leżysz w łóżku... (Długa chwila milczenia).

DR GOLD: Robinie, masz cztery lata... cztery lata...

ROBIN: Dlaczego nazywasz mnie Robinem? Mam na imię Conrad.

DR GOLD: W porządku, Conradzie. Leżysz w łóżku... co widzisz?

ROBIN: W łóżku jest ze mną mama, ale...

DR GOLD: Ale co?

ROBIN: Tylko udaje, że będzie ze mną całą noc. Odejdzie, kiedy zasnę. Tak jest każdej nocy.

DR GOLD: Skąd wiesz, że od ciebie odejdzie?

ROBIN: Bo zawsze się budzę i słyszę ją w drugim pokoju... kiedy z nimi jest.

DR GOLD: Kim są ci „oni”?

ROBIN: Nie wiem.

DR GOLD: Gdzie jest twój ojciec?

ROBIN: Nie mamy ojca.

DR GOLD: Nie mamy?

ROBIN: Moja matka i ja... nie mamy nikogo. Jesteśmy tylko we dwoje... no i są oni.

DR GOLD: Kim są ci „oni”?

ROBIN: Najczęściej to Charlie. Czasem inni.

DR GOLD: Odwiedzają twoją matkę?

ROBIN: Tak... ale czekają, aż zasną.

DR GOLD: Co robisz, kiedy słyszysz ich w drugim pokoju?

ROBIN: Teraz już nic. Odkąd Charlie mnie zbił.

DR GOLD: Kiedy Charlie cię zbił?

ROBIN: Niedawno... kiedy wszedłem i zobaczyłem, że leży na mamie.

DR GOLD: Czy twoja mama nadal wychodzi do salonu, kiedy zasypiasz?

ROBIN: Tak, ale nie do Charliego. Już nie pozwala mu przychodzić. Odkąd mnie zbił. Bo ja jestem jedynym mężczyzną, którego kocha... mamy tylko siebie... nie obchodzimy nikogo na świecie... mamy tylko siebie...

DR GOLD: Ile masz lat?

ROBIN: Jutro skończę cztery. Dwudziestego sierpnia. I mama zabierze mnie do Bostonu, żeby mi obejrzał gołębie na magistracie...

DR GOLD: Gdzie mieszkasz?

ROBIN: W Providence, Rhode Island.

DR GOLD: Czy nie będziesz miał przyjęcia urodzinowego, na które przyjdą twoi mali przyjaciele?

ROBIN: Nie mamy przyjaciół. Jest nas tylko dwoje.

DR GOLD: Rob... Conradzie, od twoich urodzin minął tydzień. Co robisz?

ROBIN: Wciąż jestem zły na mamę.

DR GOLD: Dlaczego?

ROBIN: W dniu moich urodzin przyszedł jakiś mężczyzna. Zapukał do drzwi, kiedy wychodziliśmy, żeby pojechać do Bostonu. Mama powiedziała, że wychodzimy... i żeby wrócić wieczorem. Dał jej pieniądze i odparł, że ktoś go przysłał. Mama dała mi dziesiątaka, kazała iść na lody, a potem poczekać przed domem, dopóki mnie nie zawoła. Siedziałem, jadłem lody, a potem przyszedł taki duży chłopak i mi je zabrał. Wbiegłem do domu... Mama leża-

ła w naszym łóżku... był z nią ten mężczyzna. Jestem na nią bardzo zły. Nikt nie śpi w dzień. A to były moje urodziny. Krzyknęła na mnie... kazała się wynosić... (długie milczenie).

DR GOLD: Conradzie, jest Święto Dziękczynienia. Masz cztery lata... co robisz?

ROBIN: Mama upiekła gęś. W dużych rodzinach piecze się indyka. Ale my jesteśmy małą rodziną, tylko nas dwoje... więc mamy gęś. Ale jest do niej sos borówkowy z prawdziwymi borówkami... a mama przyrządziła gęś tak, jak robiono to w Hamburgu. Mama pamięta, chociaż była wtedy małą dziewczynką.

DR GOLD: Conradzie, czy byłeś kiedykolwiek w Hamburgu?

ROBIN: Nie. Urodziła się tam moja mama. W Hamburgu było wielu marynarzy i tak go poznała. Przywiózł ją do Ameryki i ożenił się z nią.

DR GOLD: I potem się urodziłeś? Był twoim ojcem?

ROBIN: Nie, on zginął. Nie był moim ojcem. Był tylko mężczyzną, który ożenił się z mamą. Nicpotem... tak mi mówiła. Jeździł ciężarówką i sprzedawał whiskey... to było zabronione. Pewnej nocy on i wszyscy, którzy z nim jechali, zostali zabici... zastrzeleni. Mama została samiuteńka. Mnie jeszcze wtedy nie było... ani w ogóle nikogo. Ale człowiek, do którego należały te wszystkie ciężarówki, powiedział mamie, żeby się nie przejmowała. I wysłał do niej wielu mężczyzn, żeby ją pocieszali i dawali pieniądze... a rok później Pan Bóg zesłał jej mnie.

DR GOLD: Czy twoja matka wiedziała, który mężczyzna był twoim ojcem?

ROBIN: Już mówiłem... nie mieliśmy ojca. Była tylko mama i ja. Często zmienialiśmy mieszkania, bo policjanci nie lubią, kiedy mały chłopczyk mieszka tylko z matką, bez ojca... gdyby nas złapali, zabraliby mnie mamie, a ja odeszłoby do Hamburga. Ale mama oszczędza pieniądze i któregoś dnia oboje wrócimy do Hamburga i zamieszkamy z Grossmutter... i będę miał kolegów... i już nie będę samotny. Właśnie dlatego nie mogę się przyjaźnić z chłopakami z sąsiedztwa... bo by mnie wypytywali o ojca, a potem powiedzieli policji, że go nie mam...

DR GOLD: Conradzie, jest tydzień po Święcie Dziękczynienia, noc. Co robisz?

ROBIN: Leżę w łóżku, ale mama jest w sąsiednim pokoju, z George'em. George przychodzi do nas co wieczór. Powiada, że załatwi nam paszporty i zawsze daje mamie pieniądze.

DR GOLD: Kim jest George?

ROBIN: To jeden z nich...

DR GOLD: Od Święta Dziękczynienia minęły dwa tygodnie, jest noc. Czy znów do mamy przyszedł George?

ROBIN: Nie...dziś jest ON.

DR GOLD: Kto?

ROBIN: Inny mężczyzna.

DR GOLD: Kim jest ten inny mężczyzna?

ROBIN: Nie wiem. Obudziłem się, mamy nie było w łóżku, więc pomyślałem, że jest w drugim pokoju. Byłem głodny i miałem straszną ochotę na kokosanki. Musiałem przejść przez bawialnię, żeby dostać się do kuchni. Poszedłem na paluszkach, bo pamiętałem, jak zbił mnie Charlie... mama też się złości, kiedy wstaję z łóżka...

DR GOLD: Kto był z twoją matką?

ROBIN: Nigdy dotąd go nie widziałem. Klęczał na tapczanie... pochylał się nad mamą.

DR GOLD: Co robił?

ROBIN: Trzymał ręce na szyi mamy. Stałem cichutko i patrzyłem. Potem wstał i wyszedł. Nawet nie pożegnał się z mamą. Podeszedłem do tapczanu... mama spała... a właściwie tylko udawała, że śpi, bo miała otwarte oczy. Kiedy ją pociągnąłem za ramię, zsunęła się z tapczanu i spadła na podłogę. Leżała na boku, tak śmiesznie wystawiała język i była strasznie rozczochrana. Uwielbiałem spać, przytulony do jej piersi... pod koszulą nocną były tak miękkie i ciepłe. Ale ich dotąd nie widziałem, bez koszuli wyglądały okropnie brzydko. Nienawidzę ich! A jej włosy są bardzo czarne, aż za czarne przy białej twarzy. .. i te oczy, strasznie dziwne, niby patrzą prosto na mnie, ale nic nie widzą. Boję się. Mutti... mamó... mamó! (Długa chwila ciszy).

DR GOLD: Mamy następny dzień. Gdzie jesteś?

ROBIN: W wielkim pokoju... wszyscy zadają mi pytania. A ja bez przezwyciężenia pytam o mamę. Chcą wiedzieć, jak wyglądał tamten mężczyzna. Ja chcę do mamy. Do mamy. Potem przychodzi taka gruba pani, ubrana na biało, i zabiera mnie do pokoju, gdzie jest wiele dzieci. Mówi, że odtąd będę tu mieszkał. I że ci inni chłopcy są tacy sami, jak ja... nie mają matek. Pytam, czy moja mama pojechała do Hamburga, a ona mówi, że nie. A jeden z chłopców powiada: „Twoja mama nie żyje”. „Czy moja mama poszła do aniołków?” pytam. A ta gruba pani w białym ubraniu śmieje się i mówi: „Co? Twoja mama? Żli ludzie nie idą do aniołków; dostała, na co zasłużyła! Bo, żeby prowadząc takie życie jak ona, wydać na świat dzieciaka!”

A ja... ja ją wtedy uderzyłem... uderzyłem (rozdzierający krzyk). Otacza mnie ciemność... ale wciąż tłoczą się wokół mnie jacyś ludzie. Wcale nie płaczą... mama mówiła, że jestem mężczyzną, a mężczyźni nigdy nie płaczą. Nie

będę płakać... nic nie powiem... nie będę jeść... nie będę ich słuchać. Wówczas będą musieli oddać mi mamę... To najważniejsze... Dowiedzieli się, że nie mieliśmy ojca... zabrali mnie do tego wielkiego domu... daleko od mamy. Ale nie będę o tym myśleć... nie będę ich słuchać... (bardzo długa chwila milczenia).

DR GOLD: Conradzie, jest Gwiazdka. Gdzie się znajdujesz?

ROBIN (słabym głosem): Jest ciemno... śpię... ciemno... ciemno... Z mojej ręki sterczy rurka, jest podobna do słomki... ale nie boli... nie czuję żadnego bólu... śpię... śpię... Odkąd ta niedobra czarnowłosa kobieta porzuciła mnie, żeby pojechać do Hamburga... nigdy mnie nie kochała... będę spał i przestanę o niej myśleć... była niedobra...

DR GOLD: Od tego czasu minęły dwa tygodnie, Conradzie. Gdzie jesteś?

ROBIN: Siedzę w wielkim łóżku, ogrodzonym ze wszystkich stron. Są przy mnie dwie kobiety w białych ubraniach... bardzo się cieszą, że usiadłem. Jedna z nich pyta mnie o imię. Nie mam żadnego imienia. Nie wiem, kim jestem. Przychodzi mężczyzna w białym fartuchu, zagląda mi do oczu, świecą w nie latarka. Jest miły... przynoszą mi lody...

DR GOLD: Są twoje piąte urodziny, Conradzie. Gdzie teraz jesteś?

ROBIN: Dlaczego nazywasz mnie Conradem? Nazywam się Robin Stone... Mam przyjęcie urodzinowe... Tata, mama i wszyscy przyjaciele patrzy, jak zdmuchuję świeczki;

DR GOLD: Lubisz mamę?

ROBIN: Oczywiście. Byłem bardzo chory, nie wiedziałeś? Kiedy mamusia i tatuś przyjechali po mnie do szpitala, wcale ich nie poznałem. Ale teraz poznają.

DR GOLD: Jak wygląda twoja mamusia?

ROBIN: Jest ładna, miła, ma złote włosy i nazywa się Kitty.

Doktor Gold wyłączył magnetofon. — Później wszystko jest tak, jak mówiłeś — narodziny Lisy i cała reszta.

Robin padł na oparcie krzesła. Miał przepoconą koszulę i twarz bez kropli krwi. Popatrzył na doktora Golda. — Co to wszystko znaczy?

Doktor Gold spojrzął mu prosto w oczy. — To chyba zupełnie oczywiste, nieprawdaż?

Robin zerwał się na nogi. — Kupa łgarstw!

Wyraz twarzy psychiatry zdradzał współczucie. — Wiem, co czujesz. O dziewiątej rano zadzwoniłem do redakcji wydawanej w Providence gazety „Journal”. Na moją prośbę wyszukali w archiwum numery z okolic Święta

Dziękczynienia w 1928 i znaleźli następującą wzmiankę: „W rezultacie anonimowego telefonu policjanci włamali się do mieszkania, znajdując uduszoną kobietę i czteroletniego chłopczyka, który spał, przytulony do jej piersi. Stwierdzono, że śmierć kobiety nastąpiła około siedmiu godzin wcześniej. Kobieta, oskarżana kilkakrotnie o prostytutkę, nigdy jednak nie została skazana wyrokiem sądowym. Policja sądzi, że tym, który zadzwonił na komisariat, był sam morderca, nie dysponuje jednak żadnymi przesłankami co do jego wyglądu bądź tożsamości, skoro jedyny potencjalny świadek — dziecko — nic nie potrafi powiedzieć”.

— I to wszystko? — zapytał Robin.

— Jeszcze jedna wzmianka, późniejsza o trzy dni — odrzekł doktor Gold. — „Policja usiłowała pokazać dziecku kilka zdjęć mężczyzn, którzy dopuścili się przestępstw na podłożu seksualnym, chłopiec jednak popadł w letargiczne otępienie. Przebywa obecnie w sierocińcu w Rhode Island”.

Robin podszedł do okna. — A więc nie jestem sobą. Jestem małym bękartem o imieniu Conrad. — Odwrócił się i wbił spojrzenie w doktora Golda. — Dlaczego mi to zrobiłeś? — zapytał. — Dlaczego? Czyż nie było lepiej, kiedy żyłem w ignorancji?

— Lepiej, bo omal nie zakatowałeś na śmierć nieznamym prostytutki? Lepiej, bo nie było cię stać na sensowny związek z kobietą?

— Mogłem trzymać się od kurew na dystans. Byłem zupełnie zadowolony z życia.

— Naprawdę? Poza tym powątpiewam, czy zdołałbyś trzymać się z' dala od prostytutek. Fakt, że Maggie cię odepchnęła, uruchomił w tobie coś na kształt reakcji łańcuchowej. Widok prostytutki obudził w tobie podświadomy i zapomniany gniew wobec matki — za to, że cię porzuciła, że okazała się „nieodłąką”. W twojej duszy nastąpił, jak to sam określasz, wybuch. Odegrałem w rzeczywistości, istniejący dotąd tylko w twojej wyobraźni, dramat miłości i nienawiści.

— Kogóż miałbym nienawidzić? Przecież ten dzieciak z nagrania kochał swoją matkę!

— Oczywiście, że ją kochał. Aż za mocno. W jego życiu nie było nikogo, oprócz niej. A przecież, przy całej swej młodości, instynktownie wiedział, że musi znienawidzić, aby przetrwać. Nawet jednak nienawiść bywa bolesna, wybrał zatem zapomnienie — sam wywołał w sobie amnezję. Na widok tej prostytutki coś z twojej podświadomości wyrwało się na powierzchnię — nienawiść. Kiedy poznałeś Maggie, podświadomość także doszła do głosu i powiedziała: „miłość”. Miłość, jaką odczuwałeś wobec matki. Dostrzegłeś również w Maggie piękną dziewczynę, której zacząłeś pożądać, ale na to twoja pod-

świadomość odpowiedziała buntem. To dlatego musiałeś być pijany, by móc się z Maggie kochać. Kiedy jesteś trzeźwy, twoja podświadomość jednoznacznie kojarzy Maggie z matką.

— I po tej rozmowie będę, twoim zdaniem, mógł kochać się z Maggie bez żadnych zahamowań?

— To nie jest takie proste. W końcu; oczywiście, tak. Ale dopiero wtedy, kiedy nauczysz się rozpoznawać swoje instynkty, żądze, a także to wszystko, co je motywuje. Gdy to wreszcie nastąpi, nie będziesz potrzebował czyściutkiej aseptycznej dziewczyny do miłości fizycznej i kogoś takiego, jak Maggie — do platonicznej. Będziesz mógł wreszcie w pełni kochać i przyjmować miłość.

— Archie, niedługo skończę czterdzieści jeden lat. To trochę za wiele jak na to, żeby zmieniać charakter. Chyba raczej po staremu będę się rozglądać za czymś miłym jasnowłosym, kiedy mnie przyprze. — Przygarbił się i skurczył. — Jezu, nie jestem sobą... a Kitty nie jest moją matką. Nie znam swojego ojca, nie znam nawet swojej prawdziwej matki. — Roześmiał się z przynusem. — A pomyśleć, że litowałem się nad Amandą! Ja! Najparszywszy rodzaj bękart, jaki można sobie wyobrazić!

— Nazywasz się Robin Stone. Nazwisko nie czyni człowieka. Ale żyłeś z uczuciami Conrada: wydobądź je na powierzchnię, przewietrz. Zachowaj te dobre, a te złe, ułomne, odrzuć od siebie jak najdalej.

— O których w tej chwili myślisz?

— Nienawiści dla twojej prawdziwej matki.

— Doprawdy, czarująca kobietka — odrzekł Robin. — Matka Amandy puściła się przynajmniej tylko z jednym facetem. Moja była szmata.

— Była biedną niemiecką dziewczyną, samotną i bezradną w obcym kraju. Najwyraźniej mężczyzna, za którego wyszła, pracował dla przemytnika. Kiedy zginął, szef zrobił z niej prostytutkę. I nie zapominaj, że kiedy przyszedłeś na świat, mogła się ciebie pozbyć — już na samym początku oddać do sierocińca. Ale kochała cię — próbowała dać ci dom, zaoszczędzić pieniądze na powrót do starego świata, w którym czuła się dobrze. Kochała cię, Robinie.

Robin zacisnął dłoń. — Dlaczego, do cholery, Kitty nic mi nie powiedziała? Dlaczego utrzymywała mnie w przekonaniu, że jestem jej własnym dzieckiem?

— Tragedia pogrążyła cię w szoku. Kiedy wreszcie przyszedłeś do siebie, nic nie pamiętałeś. Gdyby powiedziano ci wówczas, że zostałeś adoptowany, mogłoby to obudzić wszystkie złe wspomnienia — wspomnienia, które pragnąłeś w sobie zabić. Prawdopodobnie poradzono jej, by nic ci nie mówiła. — Dostrzegł w oczach Robina błysk. — Tylko uważaj, Robinie, zabraniam ci na-

wet przez chwilę zacząć litować się nad sobą! Jesteś wielkim szczęściarzem. Miałeś matkę, która cię kochała. I Kitty, która kochała cię dostatecznie mocno, by dochować przed tobą tajemnicy. Człowiek, obdarowany tak wielką dawką miłości, nie ma prawa przemknąć przez życie, nie dając z siebie nic.

Robin wstał. — Ja to rozumiem inaczej: nie mam prawa przemknąć przez życie, robiąc z siebie zero!

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Lisa zna całą prawdę — wnioskuję to z czegoś, co kiedyś od niej usłyszałem. I, oczywiście, zna ją Kitty. Przypuszczalnie wciąż się o mnie boi — że nastąpi regresja albo że się załamie. Czuje, że jest mi potrzebna opieka. Że jestem słaby. Wszyscy sądzą, iż powinienem postarać się o żonę i dzieci, aby jakoś zakotwiczyć się w życiu. Boże, trzydzieści pięć lat tkwiłem w formalinie. Kitty i Lisa potajemnie się nade mną litują. Ale ja nie potrzebuję żadnej litości. Nie potrzebuję żony, nie potrzebuję dziecka... nie potrzebuję nikogo! Włącznie z tobą! Kapujesz? Nie potrzebuję nikogo! I od tej chwili nikt nie będzie mi nic dawał — wszystko wezmę sobie sam!

Chwycił płaszcz i wybiegł z gabinetu.

Rozdział dwudziesty piąty

Maggie Stewart przeciągnęła się w wielkim łóżku i, słysząc rozbrzmiewający w łazience donośny baryton Adama, uśmiechnęła się z lekka. Chciała dobrze się wyspać; jutro niedziela i Adam obiecał popracować z nią nad nowym scenariuszem. Nowy scenariusz... na samą myśl o nowym scenariuszu ogarniała ją lęk, lęk, w którym właściwie żyła od chwili, gdy Karl Heinz Brandt wybrał ją do głównej roli w swoim następnym filmie. Łatwo Adamowi mówić, że nie ma się co bać pracy z Karlem Heinzem! Karl Heinz był znany ze swego sadystycznego stosunku do aktorów — potrafił poniżyć największe gwiazdy, by wyrzesać z nich to, na czym mu zależało. Odsunęła jednak tę myśl od siebie i sięgnęła po nowy numer tygodnika „Variety”. Jakoś nie miała czasu na czytanie czegokolwiek poza pismami branżowymi — te przeglądało się u fryzjera czy kosmetyczki. Kiedy ostatni raz miała w ręku zwykłą gazetę? Felietoniści z rubryk plotkarskich atakowali ją za to, że otwarcie żyje z Adamem Bergmanem w jego nadmorskim domu. Wygrzebali skądś fakt, iż była niegdyś panią Hudsonową Stewart; potępiali „miłą dziewczynę” za skandaliczne ignorowanie instytucji małżeństwa. Kiedy natomiast Karl Heinz zaangażował ją do swojego

nowego filmu, prawdziwa lawina artykułów prasowych uczyniła z Maggie jedną z najgłośniejszych aktorek chwili.

Pewien ogólnokrajowy magazyn obdarzył ją przydomkiem „Pani z wydm” i zamieścił zdjęcie, na którym w księżycową noc idzie boso plażą w Malibu u boku Adama Bergmana. Upór natomiast, z jakim odrzucała zaproszenia na wszystkie „właściwe” przyjęcia, sprawił, że zaczęło ją nawet otaczać coś na kształt legendy. Powód absencji był jednak zupełnie prozaiczny: takie imprezy napawały ją śmiertelnym lękiem. Dobrze jej się żyło z Adamem, doskonale pracowało, no i świetnie układało w łóżku. Przy czym żadne z nich nie wspominało o małżeństwie — temat po prostu nie istniał.

Kiedy przeglądając „Variety” dotarła do rubryki telewizyjnej, zapaliła papierosa i uważnie przeczytała każdą wzmiankę, a nawet przestudiowała tabelę oglądalności. Christie Lane był najpopularniejszym wykonawcą telewizyjnym! Cykl *Wydarzenie* mieścił się w górnej dwudziestce.

Ostatni znak życia od Robina miała w lutym — planował *Wydarzenie* poświęcone modzie i ów „znak życia” był po prostu napisanym na maszynie listem, w którym za udział w programie (w charakterze zaproszonej komentarki) proponowano jej pełny zwrot kosztów, apartament w Plaza i gażę w wysokości pięciu tysięcy dolarów. Wystukała na firmówce Century odpowiedź, że zwyczajowo honorarium telewizyjne panny Stewart wynosi dwadzieścia pięć tysięcy dolarów i że — niestety — filmowe zobowiązania gwiazdy uniemożliwiają chwilowo podjęcie jakichkolwiek pertraktacji w sprawie jej ewentualnego ukazania się na małym ekranie. Podpisała list „Jane Biando, sekretarka panny Stewart”.

Adam, z ręcznikiem na biodrach, wyszedł z łazienki i zaczął się czesać. Obserwowała go i mówiła sobie, że jest wielką szczęściarą; uwielbiała Adama. Ale dlaczego w takim razie wciąż podświadomie myśli o Robinie? Czy go wciąż pragnie? Tak, cholera, tak właśnie było! Może najlepiej wyjaśnił to Alfie Knight. Kochał się wprawdzie w scenografie Gavinie Moore, a jednak podczas kręcenia filmu ostro dowalał się do Maggie — później zresztą wydzwaniał nadal. Pewnego dnia oświadczył: — Maggie, kotku, ty chyba będziesz musiała po prostu mieć ze mną romans, żebyśmy mogli wrócić wreszcie do swojej prawdziwej skóry: szczęśliwego i pogodzonego ze swymi skłonnościami homoseksualisty.

— Alfie, daj spokój, przecież nie jesteś we mnie zakochany — odparła.

— Jasne, że nie jestem. Oszalałem na punkcie Gavina. To wielka miłość mojego życia... w tym sezonie. Ale, kotku, kiedy robię film, muszę autohipnozować przymusić się do pokochania partnerki, żeby na ekranie wypadło to autentycznie. Niestety, czasem wypada aż nadto sugestystycznie i po skończeniu

zdjęć zwiewam do Palm Springs, żeby zgubić bogdankę. Ale ty byłaś tak niedostępna, że stałaś się moją obsesją.

Opowiedziała to wszystko Adamowi, który wybuchł śmiechem. — Masz wobec niego zobowiązania, to dzięki Alfiemu wypadłaś w filmie tak doskonale. A obsesja to najgorszy rodzaj choroby... trzeba jej stawić czoła, bo tłąc się w człowieku, potrafi nim zawładnąć bez reszty.

— Chcesz powiedzieć, że pozwoliłbyś mi przespać się z Alfim?

— Jasne, jeśli pozwolisz mi patrzeć.

Mówił serio.

Nie do końca wierząc, że to naprawdę robi, zadzwoniła do Alfiego i przedstawiła mu propozycję Adama. Zgodził się ochoczo — przyjechał do domu nadmorskiego i kochał się z Maggie, kiedy Adam leżał na łóżku obok nich. Obłąd polegał na tym, że Maggie nie czuła najmniejszego zażenowania. Po-tem patrzyła z ciekawością, jak Alfie kocha się z Adamem.

Wszystko odbyło się najnaturalniej w świecie i zostało rozegrane na pełnym luzie. Później poszli zgodnie do kuchni, usmażyli sobie jajecznicę i pozostali najlepszymi z przyjaciół.

Być może Adam miał słuszość — Alfie wrócił do swojego chłopaka, lecz jej obsesja na punkcie Robina wciąż zżerała jak wirus. Miała zupełną pewność, że któregoś dnia znów się spotkają. On oczywiście będzie zalany w trupa — tylko w takiej sytuacji pójdą ze sobą do łóżka. A kiedy krzyknie „Mutti! Mamo!”, ona wyskoczy z łóżka i wyleje mu na głowę dzbanek zimnej wody. Niech się później spróbuje tłumaczyć urwanym filmem!

Jej rozmyślenia przerwał Adam: zrzucił z bioder ręcznik i wsunął się do łóżka. Kiedy już było po wszystkim, na wyścigi pognali ku morzu, potem wrócili do domu, znów się położyli i wreszcie Maggie zasnęła w ramionach Adama, śniąc o Robinie.

Polecieli do San Francisco na przedpremierowy pokaz filmu. Podczas projekcji kurczowo ścisnęła rękę Adama, który ze spokojem wciął prażoną kukurydzę. Poza nimi wśród widzów zasiadał również Karl Heinz w towarzystwie jakiejś podfruwajki i — w drugim końcu sali — kilku członków obsady.

Maggie oglądała film w skupieniu i gorąco ubolewała, że nie ma dość obiektywizmu, aby chłodno ocenić swoją grę. Wiedziała jednak, że na ekranie — w znacznej mierze dzięki doskonałej pracy operatora — prezentuje się fantastycznie: te jej oczy w ekscytującej oprawie i te rozwiane włosy! No i miała bombowe stroje. Adam narzekał, że jest zbyt szczupła, ale z punktu widzenia kamery to również okazywało się zaletą. Wierząc się w fotelu, oczekiwała swojej wielkiej sceny; po jej rozpoczęciu co chwilę rzucała ukradkowe spojrzenia

na siedzących w pobliżu widzów... i nie mogła uwierzyć własnym oczom, wydawali się naprawdę zafascynowani jej grą!

Potem muzyka spotężniała i ukazał się napis KONIEC; Adam chwycił Maggie za rękę i pociągnął ją w stronę wejścia. Kiedy biegli środkiem sali, szeptał jej do ucha: — Kochanie, wyrosłaś na piekielnie dobrą aktorkę. Ta finałowa scena naprawdę mnie wzięła.

Wypadli z kina jako pierwsi, a później — na drugiej stronie ulicy — poczekali na Karla Heinza i pozostałych. Maggie pozbyła się resztek niepokoju dopiero wtedy, kiedy rozpromieniony Karl Heinz wziął ją w ramiona i wyczołował.

Tydzień później spotkała się w Polo Lounge ze swoim agentem. Hy Mandel zaczął, aż kelner poda drinki, i dopiero wtedy zamasztył gestem położył na stoliku nowy kontrakt. — Udało się, malutka! Kiedy szefowie Century obejrzeli sobie ten twój ostatni kawałek, doszli do wniosku, że byłoby z ich strony głupotą zmuszać cię do pozostawiania przy starym kontrakcie, na podstawie którego dostajesz siedemdziesiąt pięć tysięcy za film. Ja im powiedziałem: „Panowie... ona wam zrobi te filmy jako aktorka niedowartościowana. I co się stanie? Ona będzie niedowartościowana, więc ona spartaczy swoją robotę. A wy zmarnujecie potencjalną gwiazdę pierwszej wielkości. Co powiedzą na to udziałowcy? Szczególnie, że ten jej film — i to jaki film, trzy i pół godziny z przerwą! — na pewno przyniesie wielkie pieniądze. Film z Maggie Stewart w roli głównej”. Potem ja ich wziąłem pod bajer. W jakim pokaziecie się świetle, zapytałem, jeśli nie potraficie z aktorki wylansowanej już przez innego reżysera stworzyć prawdziwej gwiazdy? I oni to kupili! Popatrz na nowe warunki — po dwieście pięćdziesiąt za dwa następne filmy, trzysta za trzeci plus dwadzieścia procent zysków netto!

Skinęła głową i pociągnęła łyk Krwawej Mary. Hy kontynuował z ożywieniem: — Zdjęcia do nowego filmu nie zaczną się wcześniej niż w lutym, ale chcę cię tu mieć piętnastego stycznia na próbie strojów.

— Piętnastego stycznia? To cudownie! Mamy dopiero dziesiąty grudnia!

— Właśnie. Czyli załatwiliśmy ci przyjemne wakacje.

Spojrzała na niego podejrzliwie; wybuchł śmiechem. — No więc może niezupełnie wakacje, ale wiesz, jak to w życiu bywa — nic za darmo. Otóż w Nowym Jorku szykuje się ta huczna premiera *Rozdartej* i...

— *Rozdarta*? — zmarszczyła nos. — To na takim tytule stanęto?

— Ty się nie krzyw, słodziutka. Gdyby film pozostał przy tytule *Henderson*, automatycznie stawiałoby to w centrum uwagi główną postać męską. A tak kawałek należy do ciebie.

Uśmiechnęła się. — W porządku. Więc na czym polega haczyk? Co muszę zrobić?

— Eee, nic takiego; wycieczka do Nowego Jorku, żeby wziąć udział w premierze, nie jest — ściśle rzecz biorąc — rąbaniem lasu.

— Ale zarazem oznacza wywiady, udział w programach telewizyjnych i ani minutki dla siebie.

— Znów się mylisz. Premiera jest dwudziestego szóstego grudnia i w Nowym Jorku musisz być dopiero dwudziestego drugiego.

— I harować do samej premiery?

— Tak, ale tymczasem jesteś wolna do dwudziestego drugiego. A jeśli zechcesz machnąć się wcześniej do Nowego Jorku i połączyć po kinach, firma też zwróci koszty. Albo jeśli zechcesz zostać tydzień dłużej... tak czy siak, masz wakacje. Pod jednym warunkiem: jesteś z powrotem piętnastego stycznia. Może byś pojechała już teraz? Century stawia.

Pokręciła głową. — Chyba jednak zostanę tutaj. Pogoda wciąż jest dobra, odpocznę nad morzem.

— Maggie... — Urwał. — Nie chcę, żebyś odpoczywała nad morzem... a przynajmniej u boku Adama.

Popatrzyła nań z ciekawością. — Przecież wszyscy wiedzą, że żyję z Adamem.

— No więc może byście się pobrali?

— Nie chcę.

— To dlaczego z nim żyjesz?

— Jestem samotna. Zostanę z nim, dopóki... — zamilkła.

— Dopóki nie znajdziesz odpowiedniego mężczyzny? Maggie, czy pomyślałaś choć przez chwilę, że dopóki jesteś z Adamem, nie znajdziesz nikogo innego?

— Już go znalazłam.

Nie usiłował nawet ukryć zaskoczenia.

— Poznałam go cztery lata temu — podjęła — ale...

— Jest żonaty?

Przecząco pokręciła głową. — Hy, dajmy sobie z tym spokój. Jestem zadowolona z pracy i szczęśliwa z Adamem.

— Mam sześćdziesiąt lat — powiedział powoli. — Jestem żonaty z Rhodą od trzydziestu dwóch. Kiedyśmy się pobrali, miałem małeńkie biuro przy Zachodniej Czterdziestej Szóstej, a Rhoda uczyła w szkole. Miała dwadzieścia siedem lat i była — o czym przekonałem się podczas nocy poślubnej — stu-procentową dziewicą. Wcale mnie tym nie zaskoczyła; w owych czasach po dziewczynach oczekiwano, że donoszą dziewictwo do zamęścia. Dziś dwu-

dziestosiedmioletnia dziewica uchodziłaby za wybryk natury. Dziś za wybryk natury uchodzi nawet facet, który dochowuje wierności żonie. Cóż, ja należę do takich czubków. Go z tego, że Rhoda ma dwadzieścia funtów nadwagi? Co z tego, że ja nie jestem już żaden kogut? Nie robię tych rzeczy z Rhodą od dwóch albo trzech lat, ale jest nam ze sobą dobrze. Odchowaliśmy dzieci i wnuki, wciąż mamy małżeńskie łóżko i lubimy leżąc w nim oglądać telewizję... czasem nawet trzymamy się za ręce. Ale to trzymanie się za ręce jest dziś wyrazem innej miłości. Odkąd wybiłem się jako agent, zaczęły nagle na mnie lecieć piękne dwudziestoletnie babki — ale takie same babki nawet by na mnie nie spjrzały, kiedy byłem w kwiecie wieku. Jedna była u mnie przedwczoraj... najwspanialsze ciało, jakie widziałem w życiu! Gdy się pochyliła, to piersiątko omal nie wypadły jej na biurko. Ale wiesz ty co? Każdego ranka, przy goleniu, przeglądam się w lustrze i widzę faceta; który ma za mało włosów, ale za dużo brzucha. Może, gdybym dobrał się do tej blondyneczki, spisałbym się jeszcze zupełnie przyzwoicie, może podokazywalibyśmy sobie zupełnie nie najgorzej. Ale kogo bym w ten sposób oszukiwał? Przecież ona nie poszłaby na to dlatego, że jestem taki jurny, ale dlatego, że mam układy. Więc mówię sobie: „Hy, czy warto?” I odpowiadam, że nie. Widywałem facetów w moim wieku kręcących się z panienkami, które były młodsze od ich córek... tylko że ani jeden jakoś się tym nie chełpił. Co sobota chodzili z żonami do La Rue, co niedziela — z tymi samymi żonami — do Hillcrest. Rozumiesz, do czego zmierzam? Jeśli chcą zaszaleć na boku, okay — ale starają się zachować pozory wobec żon i dzieciaków. Ty, Maggie, nie masz dzieci, ale masz widzów — a wciąż jest mnóstwo ludzi, którzy myślą tak samo jak ja, i nie zapłacą trzech dolarów za bilet, żeby zobaczyć piękną dziewczynę o duszy czystej i nieskalanej, jeśli wiedzą, że w rzeczywistości ta dziewczyna żyje na kocia łapę z jakimś facetem i ma w nosie konwenanse.

— Aż nazbyt wiele lat straciłam na próbach dostosowania się do zasad i konwenansów — odparła ponuro.

Hy wydał z siebie ciężkie westchnienie. — Powiedz mi, Maggie, co się dzisiaj dzieje z tymi młodymi? Posłuchaj: proszę tylko o to, żebyś wyszła za Adama albo zamieszkała samotnie. Sypiaj z nim sobie, uganiaj się po plaży... ale miej własne mieszkanie.

Roześmiała się. — Dobra, Hy, po powrocie z Nowego Jorku zamieszkać w hotelu, a tymczasem ty się rozejrzysz za jakimś mieszkaniem.

— Tak się składa, że przypadkowo trafiłem niedawno na coś, co mogłoby być odpowiednie. Umeblowany lokal w Melton Towers — czterysta miesięcznie, własna centralka telefoniczna, w samym środku Beverly Hills. Chodź, pojedziemy obejrzeć.

Mieszkanie idealnie odpowiadało jej potrzebom — duży salon, doskonale wyposażona kuchnia, łazienka z wszystkimi bajerami. Menedżer budynku miał już przygotowaną umowę najmu. Maggie wybuchła śmiechem, kiedy uświadomiła sobie, że Hy wybrał mieszkanie, zanim jeszcze odbyli zasadniczą rozmowę. Nazajutrz Adam pomógł jej w przeprowadzce; sam pozostał w swoim domu nadmorskim, pracując nad szkicem scenariusza do nowego filmu.

Po dwóch dniach spędzonych samotnie w mieszkaniu zaczęło ją nosić. Za tydzień Adam miał wyjechać na zdjęcia plenerowe do Arizony, perspektywy zatem nie przedstawiały się obiecująco. Zadzwoiła do Hy Mandela i oświadczyła, że jeśli wytwórnia trwa w zamiarze zafundowania jej podróży do Nowego Jorku, wyruszy niezwłocznie i weźmie udział we wszelkich działaniach promocyjnych.

Adam odwiózł ją na lotnisko, a następnie zaprosił do prominentnej poczekalni linii TWA na pożegnalnego drinka.

— Film zajmie mi trzy miesiące. Po powrocie sprowadzę się do ciebie. To przyjemne mieszkanie, a poza tym w marcu nad morzem robi się cholernie zimno.

Patrzyła na samoloty, kołujące po płycie.

— Wiesz, co mówił Hy.

Uśmiechnął się.

— Możesz mu powiedzieć, że ja też jestem sympatycznym Żydkiem. Właściwie nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy się pobrali. Może nawet coś z tego wyjdzie... przecież nie będziesz miała mi za złe, jeśli od czasu do czasu utnę sobie mały romans z jakąś inną damulką?

— Chyba takie małżeństwo nie jest szczytem moich marzeń — wycedziła.

— Och, ma być miłutkie i uporządkowane... dokładnie takie, jakie miałas w Filadelfii?

— Nie, lecz jednocześnie nie chcę być sprzętem we wspólnym gospodarstwie, czymś takim, jak mieszkanie, meble, samochód. Chcę, żebyś był o mnie zazdrosny, Adamie.

— Jeśli dobrze pamiętam, nie wstrząsała tobą dreszcz odrazy, kiedy byliśmy z Alfiem w łóżku.

— Czy nie rozumiesz, że nie byłam wówczas sobą?

Wbił w nią przenikliwe spojrzenie. — Przestań pieprzyć, Maggie. Człowiek się zmienia. Tą dziewczyną, która baraskowała z Alfiem, byłaś ty we własnej osobie. I teraz nagle zaczynasz opowiadać liryczne kawałki na temat swoich oczekiwań wobec małżeństwa. Małżeństwo w naszym środowisku jest dokładnie tym samym, co mieliśmy ze sobą dotąd.

Uznał milczenie Maggie za zgodę i sięgnął po jej dłoń.

— Weźmiemy ślub po moim powrocie z Arizony, ale proszę powiadomić już teraz.

Wyszarpnęła rękę.

— Ani mi się waż! — W jej oczach zapłonął gniew. — Nie mam zamiaru zmarnować życia tkwiąc u twojego boku i udając, że aktorstwo jest sztuką. To wyłącznie interes! Ale życie to coś więcej, niż zachłystywanie się tym interesem w każdej sekundzie i szukanie w naszym statusie „artystów” alibi dla dewiacji seksualnych! Chcę mieć męża, a nie błyskotliwego młodego reżysera, który pali trawkę i od czasu do czasu kocha się dla draki z chłopcami.

Miał zacięty wyraz twarzy.

— Tylko nie próbuj później tego odkręcić. — Strzelili palcami. — Skończyliśmy ze sobą... ot, tak.

— Może w gruncie rzeczy nigdy niczego nie zaczęliśmy.

— Cóż, powodzenia. Ale drzwi mojej chaty zawsze stoją otworem...

Na Lotnisku Kennedy'ego czekał na Maggie rzecznik prasowy wytwórni Century Pictures, noszący nazwisko Sid Goff. A także tłum fotoreporterów. W nieustającym błysku fleszy Sid powiódł Maggie, bombardowaną dziesiątkami pytań, do czekającej przed dworcem lotniczym długiej czarnej limuzyny. Kiedy przy ostatniej eksplozji lamp błyskowych wóz odjechał od krawężnika, Maggie opadła na oparcie i odrobinę się rozluźniła.

— Niech cię nie zwiedzie cała ten zrogardzasz — powiedziała pośpiesznie Sid. — Być może wcale nie trafimy jutro do gazet.

— O czym ty mówisz? — zapytała.

— Następnym rejsiem przylatuje Diana Williams — wyjaśnił. — Przypuszczalnie skupi na sobie całą uwagę gawiedzi.

— Sądziłam, że nagrywa jakiś serial — powiedziała Maggie.

— Zrezygnowano z niego i oto Diana zapalała chęcią wystąpienia w rewii na Broadwayu. Ike Ryan podpisał z nią kontrakt; próby zaczynają się w lutym.

Maggie uśmiechnęła się.

— Przestań się przejmować. Wytwórni zależy tylko na tym, żeby narobić rozgłosu wokół premiery.

— Tak ci się tylko zdaje — odparł smętnie Sid. — Jeśli zdjęcia z twojego przyjazdu nie trafią do prasy, wrzaski, dobiegające z Kalifornii, usłyszę nawet bez telefonu. Mamy kilka nagranych wejść w telewizji, no i trochę wywiadów.

— Wyrzebał z kieszeni wystukany na maszynie program pobytu Maggie w Nowym Jorku. — A zatem, jak rozumiem, możesz na koszt Century zostać do czternastego stycznia. Zarezerwowałem ci apartament w Plaza do dwudzie-

stego szóstego, więc pamiętaj, żeby poinformować recepcję, gdybyś postanowiła posiedzieć dłużej.

Przestudiowała program.

— To zupełnie niewiarygodne — powiedziała. — Nie mam nawet wolnych świąt... zaplanowałeś na nie udział w dwóch przyjęciach.

— John Maxwell jest jednym z najpoważniejszych udziałowców Century. Ma ogromny dom przy River House, który — jak znam życie — będzie nabity bogatymi facetami od piwnic po strych. Ale Maxwell uwielbia znakomitości i bardzo wyraźnie dał do zrozumienia, że pragnie cię u siebie widzieć. Natomiast ta impreza w Forum jest po prostu obowiązkowa — będzie na niej cała prasa. To przyjęcie, jakie na cześć Diany Williams wydaje Ike Ryan.

— Nie bywam na przyjęciach — odrzekła.

Sid Goff popatrzył na nią z bezgranicznym niedowierzaniem.

— Miła panno Stewart — powiedział — twój agent wyraził w twoim imieniu gotowość uczestniczenia we wszelkich działaniach promocyjnych filmu, a także oświadczył, iż zależy ci na uzyskaniu takiego rozgłosu, jaki w danych okolicznościach będzie możliwy. Film jest wprawdzie robotą Karla Heinza Brandta dla Living Arts Productions, ale Century pokrywa koszty twojego pobytu w egoistycznym zamiarze uczynienia cię swoją gwiazdą.

— Jestem tego świadoma — odparła cicho. — I zgadzam się na wszystkie wywiady i wystąpienia telewizyjne. Kontrakt jednak w żadnym punkcie nie obliżuje mnie do uczestnictwa w bankietach, wydawanych przez udziałowców wytwórni. Jeśli panu Maxwellowi tak bardzo zależy na tym, bym go zaszczyliła wizytą — proszę bardzo, moje honorarium za udział w podobnych imprezach wynosi dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Sid Goff pochylił głowę i jął wpatrywać się badawczo w czubki swoich butów. — No dobra, kupuję ten argument w sprawie Johna Maxwella. Nikt cię nie może zmusić. Ale przyjdź chociaż na przyjęcie Diany... będzie tam potworna masa dziennikarzy.

Zmiękła na widok jego zatroskanej twarzy. Miał robotę do wykonania i właściwie dlaczego mu w tym przeszkadzać? Ale niech ją diabli, jeśli powlecze się do tego Maxwella!

Mając cztery wolne dni przed pierwszymi wywiadami, zaprosiła do Nowego Jorku swoich rodziców. Ona zaopatrzyła ich w bilety na wszystkie ważniejsze spektakle teatralne i chodziła z nimi na kolację. Sid natomiast troszczył się o stoliki, limuzyny i trzymanie na dystans wielbicieli Maggie. Lekko oszołomieni świeżą sławą córki, wrócili do Filadelfii w wigilię Bożego Narodzenia.

W pierwszy dzień świąt Maggie doskwierało nieznośne uczucie osamotnienia. Miała maleńką choineczkę — dar rodziców — i przywiedłą poinse-

cję... z najlepszymi życzeniami od wytwórni. Kolędy, nieustannie nadawane przez radio, jeszcze bardziej pogłębiły jej depresję i perspektywa przyjęcia na cześć panny Williams wydała się jej raptem niemal pociągająca — przynajmniej wyrwie się na chwilę ze swego apartamentu.

Około piątej wpadł po nią Sid. — Wystarczy, że pobędziemy godzinę — oświadczył. — Potem możesz się zmyć, spotkać z przyjaciółmi i w ogóle robić, co dusza zapagnie.

— A co ty zamierzasz, Sid?

— To samo, co ty... zwinąć żagle jak najszybciej i wracać do bliskich. Teściowie wydają kolację, będą na mnie czekać.

W Forum kłębził się tłum. Przy wejściu oślepił Maggie błysk kilku fleszy; chwilę później dopadł ją rzecznik prasowy Ike'a Ryana i zmusił do wspólnego zdjęcia z Ike'iem i Dianą. Powierzchność Diany wprawiła Maggie w osłupienie — panna Williams nie miała jeszcze czterdziestki, lecz wydawała się po prostu zasuszona. Chuda, zbyt chuda. No a ta jej ostentacyjna wylewność balansowała na krawędzi hysterii. Była zbyt rozradowana, zbyt przyjazna... sok pomarańczowy, wypełniający dużą szklankę, którą trzymała w dłoni, mocno pachniał ginem. Maggie ustawiła się z nią do zdjęcia, wymieniły rytualne komplementy... Maggie jednak nie mogła pozbyć się wrażenia, że w porównaniu z nią jest młodą dziewczyną, tryskającą zdrowiem i urodą. Wszyscy czuli się w obowiązku okazać Dianie należytą uwagę, lecz jej lekko obłąkane oczy nie umiały ani na chwilę zogniskować się na rozmówcach.

Maggie mijała właśnie bar, zmierzając ku wyjściu, kiedy stanęła twarzą w twarz z wysokim ogorzałym mężczyzną, który przed chwilą wkroczył do sali. Patrzyła z niedowierzaniem, jak w jego oczach zapala się dobrze znany uśmiešek. Robin Stone gościem przyjęcia na cześć Diany Williams!

Jego zdumienie, wcale nie mniejsze niż zdumienie Maggie, natychmiast przemieniło się w szczerą radość. — Witaj, gwiazdo!

— Witaj, Robinie. — Zdobyła się na chłodny uśmiech.

— Maggie, wyglądasz prześlicznie.

Sid Goff oddalił się dyskretnie, Maggie jednak wiedziała, że marzy już o świątecznej kolacji z indykiem i rodziną. — Muszę uciekać — powiedziała. — Mam następne spotkanie.

Z jego uśmiechu przebijało zrozumienie. — Ja też jestem tu w interesach. Próbuje namówić Dianę Williams na udział w *Wydarzeniu*. To samobójczy pomysł, nawet jeśli się zgodzi, ale liczę na pomoc Ike'a, który jest moim starym kumplem. Myślę o sfilmowaniu pierwszej próby, na gołej scenie i z oświetleniem roboczym, potem próby kostiumowej, a wreszcie nowojorskiej premiery. Do tego wywiady z Dianą, Ike'iem i obsadą spektaklu... — Urwał. — Wy-

bacz, Maggie, to idiotyczny sposób komunikowania ci, iż jestem cholernie rad, że się widzimy.

Maggie roześmiała się, a potem odwróciła głowę i popatrzyła na Dianę.

— Sądziś, że ona ciągle ma to coś w sobie?

Na twarzy Robina odmalował się chłód. — Uważałem cię za ostatnią osobę skłoną do oceniania talentu wedle norm hollywoodzkich. Diana Williams jest jedyna w swoim rodzaju. Bije na głowę większość gwiazd filmowych. Wystartowała na Broadwayu jako siedemnastolatka i nie stworzyły jej grepsy operatorów ani agentów.

— Chyba naprawdę muszę już iść — powiedziała ostro.

Chwycił ją za ramię. — Trzeba przyznać, że to wspaniały początek. Jakim sposobem daliśmy się w to wrobić? — Uśmiechnął się. — Przejdźmy jednak do rzeczy istotniejszych. Kiedy moglibyśmy się spotkać?

— Nie wiem. — Nagle wyzywająco popatrzyła mu w oczy. — Premiera mojego nowego filmu jest jutro wieczorem. Może chciałbyś zobaczyć, jaki efekt dają grepsy operatorów i agentów? Zechcesz mi towarzyszyć?

— Nie lubię chodzić do kina w smokingu. Film sprawia mi przyjemność tylko wówczas, kiedy mogę gryźć prażoną kukurydzę. Może pojutrze?

— Chyba wyraziłam się jasno. Nigdy nie robię zbyt dalekosiężnych planów.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem Robin rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. — Okay, małeńka, dla ciebie jestem nawet skłonny zrezygnować z kukurydzy. O której i skąd mam cię odebrać?

— O ósmej z hotelu Plaza. Seans zaczyna się o ósmej trzydzieści, ale przedtem jest cały ten cyrk z telewizją. Niestety, moja obecność będzie wymagana.

— Żaden problem. Będę o ósmej.

Sid Goff na powrót wyłonił się z tłumu i powiódł Maggie ku wyjściu. Robin odprowadził ich wzrokiem, a potem zaczął się przebijać do Diany Williams.

Zaczęła się denerwować, kiedy do ósmej brakowało pięciu minut. Mówiła sobie, że to absurdalne, bo przede wszystkim Robin jest dżentelmenem... że na pewno nie wystawi jej do wiatru... że, wreszcie, miał przyjść o ósmej. Za trzy ósma rozważała, czyby nie zadzwonić do Sida Goffa i postawić go w stan gotowości.

Telefon zaterkotał punktualnie o ósmej: Robin czekał w holu. Po raz ostatni przejrzała się w lustrze... prawdopodobnie będzie zbulwersowany jej wyglądem — biała, naszywana perełkami suknia (wypożyczona z wytwórni)

białe futro z nerek (wypożyczone przez wytwórnię od hollywoodzkiego kucharza), długie czarne włosy (wydłużone treską; fryzjer z wytwórni sporo się napracował, aby odtworzyć taką fryzurę, jaką miała w filmie). Czysty obłęd, myślała zjeżdżając windą — ma kopę własnych włosów, ale uparli się, żeby sięgały pupy. Uczucia, że jej głowę przygniata do ziemi jakaś przemożna siła, dopełniało jeszcze brzemień olbrzymich kolczyków ze szmaragdami i brylantami (również wypożyczonych, a nadto ubezpieczonych na ogromną sumę).

Robin uśmiechnął się, kiedy wyszła z windy, a — co dziwne — lekkie skłonienie głowy, które towarzyszyło uśmiechowi, zdawało się wyrażać aprobatę. Milczeli, przebijając się przez zgromadzony u wrót hotelu tłum wielbicieli, którzy, niebacznym na zimno, wymachiwali fotosami Maggie i prosili o autografy. Kiedy wreszcie znaleźli się w bezpiecznym zaciszu limuzyny, Maggie najpierw z ulgą osunęła się na oparcie, a potem gwałtownie wyprostowała się jak struna. — Dobry Boże, wyrwę sobie włosy.

Parsknął śmiechem. — Mam dziwne wrażenie, że od wczoraj sporo urosły.

— Jest ich za dużo, prawda? — zapytała niepewnie.

— Są cudowne — odrzekł. — Posłuchaj... traktuj to wszystko jak bal kostiumowy. Bo w gruncie rzeczy to nic innego. Grasz gwiazdę filmową — nie spraw ludziskom zawodu. Jeśli już w to wdępnęłaś, idź na całość.

Tłok przed kinem był przerażający. Ich limuzyna stała w kolejce piętnaście minut, czekając, aż wysiądą obsypani klejnotami pasażerowie wozów przybyłych wcześniej. Kiedy kolejna dama w norkach okazywała się osobą szerszej nie znaną, przez gromadę gapiów przebiegał jęk zawodu. Maggie spoglądała przez szybę na drewniane barierki i policjantów, powstrzymujących tłum, na ciężarówkę z wielkim reflektorem, a wreszcie na prawdziwy czerwony dywan, rozciągnięty między krawężnikiem a wejściem do kina. Fotoreporterzy, wyraźnie skrupowani w swoich strojach wieczorowych, czatowali na znakomitości. Kiedy limuzyna Maggie stanęła wreszcie na wysokości wejścia, dziennikarze ławą ruszyli do przodu; chwilę później rozentuzjzmowany tłum przerwał kordon policjantów. Z ludzkiej gęstwy wyciągnęło się kilka rąk, żeby choć dotknąć białego futra z nerek, rozległy się wiwaty i skandowanie „Maggie, Maggie!”

Sid Goff i jeszcze jeden agent pospieżyli jej w sukurs; gorączkowo rozejrzała się za Robinem — zniknął! Czuła, że ktoś popycha ją w stronę wysokiego mężczyzny z mikrofonem... stanęła obok niego... eksplodowały flesze... światło trzymany w wyciągniętych rękach lamp telewizyjnych było oślepiające... jak nosorożec najeżdżała na nią kamera. O Boże, gdzie jest Robin?

Potem nagle schodziła z podium, prowadzono ją do holu, gdzie z tym swoim cudownym uśmiechem pełnym wyrozumiałości dla świata czekał na nią

Robin. Ujął ją pod ramię i stawili czoła odświętnemu tłumowi, wypełniającemu hol. Maggie ruszyła w stronę swojego fotela, co wszyscy premierowi goście uznali za sygnał do chaotycznego poszukiwania swoich miejsc. Światła przysłały, zabrzmiała muzyka, przez ekran zaczęły przepływać napisy czołówki.

Na początku sceny finałowej do Robina i Maggie podkradł się Sid Goff i gestem pokazał im wyjście; przygarbieni zsunęli się z miejsc i truchcikiem wybiegli z kina. Wsiadali właśnie do auta, gdy na zewnątrz zaczął się wylewać połyskliwy tłum.

Robin wziął Maggie za rękę. — Moim zdaniem sprawiłaś się znakomicie. No i w filmie grałaś cudownie. A teraz powiedz uczciwie: jesteś wreszcie wolna, czy może ten koszmarny wieczór ma jakiś dalszy ciąg?

— Uroczysty koktajl w hotelu Americana.

— Naturalnie, koktajl.

Wybuchli śmiechem. Nagle wizja spędzenia choćby kilku minut w towarzystwie Karla Heinza, odtwórcy głównej roli męskiej i jego żony, tudzież pozowania do następnych zdjęć wydała się Maggie nieznośna.

— Nie idę — oświadczyła stanowczo.

— Zuch dziewczyna. Co powiesz o Sali Dębowej w twoim hotelu?

— Nie, mam lepszy pomysł. Te kolczyki tak czy inaczej muszą iść do skarbcza, a czuję, że jeśli nie pozbędę się zaraz chociaż części fryzury, będę jutro miała upiorny ból głowy. Założmy, że wskoczę w spodnie i machniemy się do P.J.?

— Jesteś bez wątpienia najbardziej błyskotliwym żeńskim intelektem na świecie. Ale nie ty jedyna musisz pozbyć się uprząży. Wiesz co? Podrzucę cię i zostawię wóz przed hotelem — kiedy będziesz gotowa, przyjedziesz po mnie.

Dwadzieścia minut później była z powrotem w aucie, ubrana w spodnie i biały sportowy kożuszek. Założyła również ciemne okulary. Przez całą drogę do budynku, nad East River, nerwowo paliła papierosa.

Robin czekał pod domem; szybkim krokiem podszedł do limuzyny. Był bez płaszcza, miał na sobie tylko szare spodnie i biały sweter. Usiadł obok Maggie i powiedział: — Nawet P.J. nie jest dostatecznie dyskretnym miejscem. Co powiesz na Lancera?

Skinęła głową i szofer ruszył w stronę Pięćdziesiątej Czwartej Ulicy. Lancer był pusty i tylko w jednej z kabin siedziało, trzymając się za ręce i popijając piwo, dwoje młodych ludzi. Robin zamówił szkocką dla Maggie, martini dla siebie, a oprócz tego dwa duże steki.

Potem podprowadził ją do stolika na uboczu. Kiedy ich obsłużono, podniósł szklaneczkę: — Ten film bardzo ci pomoże, Maggie.

- Czy naprawdę sądzisz, że byłam dobra?
- Ujmijmy to inaczej: przekonasz krytyków, że potrafisz grać.
- To znaczy, że ty jesteś innego zdania.
- A czy to ważne?

Uśmiechnęła się. — Jestem ciekawa.

Z namysłem wydał wargi. — Maleńka, nie potrafiłabyś nawet zagrać na grzebieniu. Ale to bez znaczenia — na ekranie wypadasz bosko. Masz przed sobą wielką przyszłość.

— Czy nie wierzysz, że istnieje coś takiego, jak fluidy gwiazdorskie. Wszyscy gadają tylko o tym.

- Tak, ale może je mieć tylko geniusz albo imbecyl.
- Może spełniam wymogi.

Roześmiał się. — Nie mam na myśli geniusza z niebosiężnym ilorazem inteligencji — mówię o geniuszu instynktownym. Być może geniusz od szaleństwa oddziela zaledwie bardzo wąziutka granica i Bogu niech będą dzięki, że nie kwalifikujesz się do żadnej z tych dwóch kategorii. Diana Williams jest geniuszem i kretynką. I biedną zagubioną duszyczką. Kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że nigdy nie spotkałem szczęśliwego, dobrze przystosowanego geniusza. — Wyciągnął ramię i ujął dłoń Maggie. — Dzięki Bogu, że jesteś po prostu przepiękną dziewczyną, którą jakimś obłądnym zrządzeniem losu spotkało wielkie szczęście. Ale nie jesteś również kretynką... masz w sobie wszystko, co przychodzi do głowy mężczyźnie, marzącemu o idealnej dziewczynie.

Wstrzymując oddech, czekała na woltę, na jakąś zakamuflowaną zniewagę, która zwali ją z nóg. Robin jednak wciąż patrzył jej w oczy i miał poważną twarz.

Była pierwsza, kiedy wreszcie wyszli z Lancera.

— Masz jutro bogaty program? — zapytał Robin.

Pokręciła głową. — Od tej chwili jestem panią własnego losu.

Jego radość nie była udawana. — Jak długo możesz pozostać w mieście?

— Jeśli zechcę, do czternastego stycznia.

Limuzyna dojeżdżała do hotelu. — Ja bym tego chciał — powiedział z przekonaniem. — Czy moglibyśmy jutro zjeść razem kolację?

— Z największą przyjemnością, Robinie.

Pocałował ją lekko i odprowadził do windy. — Zadzwoń przed południem. Śpij dobrze. — Drzwi windy zasunęły się i Robin zniknął.

O jedenastej zadzwonił telefon. Nie podniosła słuchawki po pierwszym sygnale — to na pewno Robin, chciała być zupełnie przytomna, zanim zacznie z nim rozmowę.

Bezbarwny głos recepcjonisty zapytał, o której zamierza się wymeldować.

— Nie zamierzam się wymeldować — odparła gniewnie. — Chcę zostać jeszcze co najmniej dwa tygodnie. — Odłożyła słuchawkę i poprawiła poduszkę. Pości do telefonu Robina.

Chwilę później aparat zaterkotał ponownie; tym razem dzwonił wicedyrektor. Jego głos był usłużny i z troską. — Panno Stewart, pani rezerwacja kończy się dzisiaj. Prosiłiśmy, by uprzedziła nas pani, jeśli zechce przedłużyć pobyt. Nie uczyniła pani tego... Niestety, jesteśmy obłożeni w stu procentach. Gdyby tylko pani powiedziała...

Otrząsnęła się z resztek snu. Dobry Boże, zapomniała w kamień. Cóż, znajdzie sobie inny hotel. Wicedyrektor pragnął być pomocny... osobiście zajmie się sprawą. Zadzwoił piętnaście minut później. — Panno Stewart, sytuacja jest bardzo kłopotliwa. Regency, Pierre, St. Regis, Navarro, Hampshire House — wszędzie komplety gości, nie ma co marzyć o podwójnym pokoju, a co dopiero o apartamencie! Nie szukałem w podrzędniejszych hotelach, bo nie wiem, jak by się pani w nich czuła.

— Dziękuję — odparła. — Zobaczę, czy wytwórnia nie mogłaby mi czegoś załatwić.

Zadzwoiła do Sida Goffa; był podłamany, kiedy wyjaśniła mu sytuację.

— Maggie, uprzedzałem... Daj mi trochę czasu, podzwonię.

Pakowała się, kiedy zatelefonował Robin' — jemu również opowiedziała o swoich tarapatach. — Znosi się na to, że wyląduję gdzieś w Brooklynie. Sid Goff nie oddzwonił, a jeśli on nie może czegoś załatwić, sprawa jest bezнадziejna.

— Powiedz Sidowi, żeby dał sobie spokój — oświadczył Robin. — Ja się tym zajmę.

Dwadzieścia minut później zadzwonił z holu i powiedział, żeby wysłała bagaże na dół.

Przed hotelem czekała limuzyna; kiedy zajęli w niej miejsce, Robin podał szoferowi swój adres domowy. Popatrzyła nań z ciekawością.

— Nie jest to wprawdzie Regency — stwierdził Robin — ale zupełnie wygodne mieszkanko, które powinno zadowolić nawet taką gwiazdę jak ty. No i codziennie przychodzi sprzątaczką. Ja zamieszkam sobie w klubie.

— Robinie, przecież nie mogę ci tego zrobić.

— I słusznie. Ja sam to sobie zrobiłem.

Mieszkanie spodobało się jej od razu. Mimowolnie rzuciła okiem na szerokie łóżce, zastanawiając się, ile korzystało z niego rozmaitych dziewczyn.

Robin wręczył jej klucz. — Masz całkowitą niezależność. Przyjadę wieczorem zabrać cię na kolację. — Pokazał bar. — Zamiast płacić czynsz, bę-

dziesz mi się wysługiwać jako barmanka. Musisz nauczyć się przyrządzać martini, żebym był zadowolony z twoich usług. Trzy uncje wódki, kropla wermutu i żadnej cytryny. Lubię oliwki.

Posłusznie ruszyła w stronę baru.

— Maggie! — zawołał Robin ze śmiechem. — Ledwie minęło południe. Weźmiesz się do pracy wieczorem.

Przygotowała martini na siódmą, a poza tym kupiła dwa steki i trochę mrożonych szparagów. Po kolacji trzymając się za ręce oglądali telewizję. Kiedy zaczęły się wiadomości o jedenastej, Robie poszedł do kuchni i wrócił z dwiema puszkami piwa. Potem powiedział: — To teraz twój dom. Daj znać, jak będziesz miała dość mojego towarzystwa.

— Wyjdiesz, kiedy sam zechcesz — odparła.

Przytulił ją. — Wcale nie chcę wychodzić...

Gdy ją zaczął całować, pomyślała: Teraz! Powiedz mu, że nie masz nastroju, że cię wcale nie podnieca! Ale zamiast tego przywarła doń ze wszystkich sił i oddała pocałunek. Chwilę później byli już na ogromnym łożu... i czułość Robina wcale nie wynikała z wypitej wódki... a kiedy stężył z rozkoszy, nie wykrzyknął „Mamo!”... Maggie nie wylała mu na głowę dzbanka zimnej wody.

Następne dni były niewiarygodne. Przez pięć kolejnych wieczorów chodzili na kolacje, czasem — otuleni w płaszcze — odbywali długie spacerzy, raz zaliczyli w lokalnym kinie podwójny seans, ale zawsze potem kochali się i zasypiali mocno wtuleni w siebie.

Maggie wysunęła się z łóżka, popatrzyła na śpiącego Robina, wstawiła kawę, a potem, podszedłszy do okna, powędrowała spojrzeniem ku szarej wstędze East River. Nigdy nie była aż tak szczęśliwa, a przecież miała przed sobą jeszcze czternaście podobnych dni. Ale dlaczego tylko czternaście? Dlaczego to nie ma trwać wiecznie? Robin ją kochał, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Nigdy nie wracali w rozmowie do tego okropnego poranka w Miami — Maggie wyczuwała instynktownie, że temat jest zamknięty. To jednak, co działo się teraz między nimi, nie było przygodą jednej nocy. Robin czuł się dobrze w jej towarzystwie, więcej: był szczęśliwy... może zatem to ona powinna uczynić pierwszy krok? Oczywiście! Jakże mógłby ją prosić, by zrezygnowała z kariery? Musi sprawić, by zrozumiała, że jest szczęśliwa po raz pierwszy w życiu.

— W pochmurny ranek ta rzeka wygląda strasznie przynębiająco. — Wszedł do kuchni, stanął za plecami Maggie i pochyliwszy się pocałował ją w kark. — Jak się dobrze zastanowić, to nawet w słońcu jest parszywym ście-

kiem... jasność tylko podkreśla jej szpetotę. Te obrzydliwe wysepki, te holowniki...

Odwrociła się i otoczyła go ramionami.

— To piękna rzeka. Robinie, chcę za ciebie wyjść.

Odsunął ją od siebie i lekko się uśmiechnął.

— Trzeba przyznać, że Nowy Rok zaczyna się nam obiecująco.

— To się sprawdzi, Robinie, naprawdę sprawdzi.

— Może. Ale nie teraz...

— Jeśli bierzesz pod uwagę moją karierę, to wiedz, że wszystko sobie przemyślałam...

Uśmiechnął się i sięgnął po kawę.

— Usmażę jajka — dodała pośpiesznie — a tam masz sok pomarańczowy.

— Prześmiać grać żoneczkę — powiedział pogodnie, a potem z filiżanką kawy zniknął w sypialni.

Nie poszła za nim. Usiadła przy kuchennym stoliku, popijała kawę i patrzyła na rzekę. Cóż, nie powiedziała „nie”... lecz zarazem był bardzo daleki od entuzjazmu.

Dziesięć minut później wrócił do kuchni. Ze zdumieniem podniosła oczy. Był ubrany w golf, a na ramieniu trzymał płaszcz.

— Wracam za godzinę, mam coś do załatwienia. — Pochylił się i pocałował Maggie w czubek głowy. — Szczęśliwego Nowego Roku! — Potem wyprostował się i wyjaśnił: — Mam do zmontowania jedną taśmę. W samotności pracuje mi się lepiej... a najlepiej, kiedy dokoła nie ma nikogo. Jak dziś. Aha, Maggie, nie chciałbym cię do niczego zmuszać, ale czy sądzisz, że mogłabyś dziś o piątej stawić czoło noworocznemu przyjęciu z grzonym piwem?

— Z grzonym piwem?

— To taka wydumana impreza u pani Austin; wykpiłem się z tego trzy razy pod rząd. W zeszłym roku wysłałem przeprosiny, ale teraz nie mam wyjścia.

— Ależ, Robinie, odesłałam już większość swoich kreacji — pożyczonych, nawiasem mówiąc — i zostałam z kilkoma parami spodni i taką liczbą czarnych sukienek. Popatrz tylko do szafy — jest tam wszystko, co mam do dyspozycji!

— Lubię dziewczyny, które podróżują po harcercsku. Czarna sukienka będzie idealna.

— Ale to wełniana sukienka...

— Maggie — podszedł do niej i zaczął głaskać ją po twarzy. — Wszędzie i we wszystkim wyglądasz cudownie. Teraz pozmywaj naczynia i udowodnij, że uczciwie zarabiasz na chleb.

Potem wyszedł.

Było zimno, ale postanowił się przejść. Archie Gold nie miał najmniejszej ochoty ruszać się z domu, Robin jednak był natarczywy. Żywił przekonanie, że Maggie nie słyszała jego telefonu — kuchnia była w głębi mieszkania, a poza tym mówił cicho.

Do gabinetu dotarł jednocześnie z Archie.

— Robinie — powiedziała doktor Gold — nie robię takich rzeczy nawet dla swoich stałych pacjentów. Przez półtora roku nie pamiętasz o moim istnieniu, a potem nagle dzwonisz i oznajmiasz, że zaistniała sytuacja wyjątkowa.

Robin opadł na krzesło. — Potrzebuję twojej rady. Maggie Stewart jest w mieście. Zeszliśmy się. Było wspaniale... zamieszkała ze mną.

Archie rozpalili fajkę. — A zatem nie ma żadnego problemu.

— Diabła tam, nie ma! Ona chce wyjść za mnie!

— Jak większość dziewczyn.

— Nic z tego nie będzie. Posłuchaj, małżeństwo to coś więcej niż tylko biwakowanie z dziewczyną. A na pewno z taką dziewczyną jak Maggie. W ciągu pięciu minionych dni opowiedziała mi całe swoje życie — o pierwszym małżeństwie, związku z Andym Parino i z tym facetem z Kalifornii, który mieszka w domku na plaży. Niczego nie zataiła.

— A co ty na to?

— Słuchałem, bracie. I nie zamierzam otwierać przed nią duszy. Bo, po myśl, od czego miałbym zacząć? „Och, tak nawiasem mówiąc, nie nazywam się naprawdę Robin Stone!”

— To, z prawnego punktu widzenia, twoje autentyczne nazwisko.

— Jasne... ale gdzieś w głębi mojej duszy siedzi Conrad, ten biedny mały bękart. On także jest mną! A Maggie chce mieć dzieci... w ogóle wszystko. — Nagle Robin walnął kułakiem w blat biurka. — Cholera, Archie! Wszystko szło mi wspaniale, dopóki się na ciebie nie napatoczyłem... lubiłem seks, funkcjonowałem na pełnych obrotach!

— Funkcjonowałeś jak maszyna. Teraz Conrad walczy o to, by złączyć się w jedno z Robinem. Człowiek, który więził Conrada, był, w gruncie rzeczy, martwy — nic nie odczuwał. Sam to przyznałeś. Dopiero teraz bierzesz się z samym sobą za bary. Ale to dobry znak: doświadczasz emocji, konfliktów, niepokoju. To jest zupełnie normalne.

— Byłem bardziej zadowolony z dawnego stanu rzeczy. Wychodząc stąd ostatnio, powiedziałem ci, że dopilnuję, aby nazwisko Robin Stone miało na tym świecie jakąś wagę. I dotrzymam słowa. Ale nie potrzebuję Conrada! Chcę o nim zapomnieć.

— Robinie, czy nie myślałeś, żeby pojechać do Hamburga?

— Po jaką cholere?

— Znasz nazwisko matki. Sprawdź jej rodzinę... może twoje pochodzenie sprawi ci niespodziankę.

— Matka Conrada była kurwą! — wypluł z siebie te słowa.

— Ona stała się prostytutką. Żeby zapewnić Conradowi utrzymanie, Może będziesz dumny z tego, że masz w sobie Conrada!

Robin wstał. — Niech cię cholera, ty nic nie rozumiesz... Ja nie chcę mieć nic wspólnego z Conradem! Nie chcę bać się tego, że wyrządę krzywdę Maggie Stewart! Nie chcę za nią tęsknić, kiedy wróci na Wybrzeże. Nie chcę tęsknić za nikim! Nie tęskniłem dotąd... i nie będę tęsknić w przyszłości.

Doktor Gold wstał zza biurka. — Robinie, nie próbuj uciekać przed samym sobą! Czy nie widzisz, co się dzieje? Zacząłeś wreszcie dawać — łączyć seks z miłością. To nowe doświadczenie wytrąciło cię z równowagi. Rzecz najzupełniej naturalna. Ale nie uciekaj od tego. Oczywiście, będą problemy... lecz dzień, w którym będziesz mógł się zwrócić do innego człowieka i powiedzieć: „Jesteś mi potrzebny”, stanie się chwilą, gdy na koniec zaistniejesz w pełni. I tym człowiekiem jest Maggie. Robinie... nie wyrzucaj jej ze swego życia.

Lecz Robin zdążył już za sobą zatrzaskać drzwi.

Powrotną drogę do mieszkania również odbył pieszo. Miał pustkę w duszy i był zupełnie spokojny. Maggie, ubrana w czarną sukienkę, czekała na niego w salonie. Popatrzył na nią pytająco. — Która godzina?

— Wpół do piątej.

Uśmiechnął się, lecz jego oczy były zimne. — No to zrzuc ten ciuszek. Możemy pokazać się na przyjęciu dopiero za godzinę.

Zaprowadził Maggie do sypialni i zaczął ją kochać; kiedy było po wszystkim, uśmiechnął się do niej z roztargnieniem. Sprawił wrażenie człowieka dziwnie zadowolonego z siebie.

— Jeszcze tego nie wiesz, moja dziewczuszko — oświadczył pogodnie — ale Robin Stone właśnie się z tobą pokochał i wszystko poszło jak po maśle.

— Jak zawsze — odparła cicho.

— Tym razem było inaczej. — Potem dał jej klapsa w nagi pośladek. — Zbieraj się, maleńka, idziemy na to grzane piwsko.

Część trzecia



Rozdział dwudziesty szósty

Wychodząc z wanny, Judith Austin dostrzegła w lustrze swoje odbicie i przyjrzała się mu uważnie. Była wiotka jak trzcina, a jednak nieustannie się odchudzała. Mając pięćdziesiąt lat, nie mogła sobie pozwolić na nadwagę. Connie — ta miała szczęście. Stale jeździła na nartach: zimą w Alpach, latem na wodzie, i ciało miała równie jędrne jak młoda dziewczyna. Dobrze było mieć ją tutaj przez pewien czas, ale teraz, dzięki Bogu, wróciła na Święta do Włoch, do dzieci i swego księcia. Te nie kończące się przyjęcia, bankiety... Jej książe tytuł robił na wszystkich ogromne wrażenie. Stojąc przed lustrem Judith poruszyła lekko nogą. No tak, ciało na udzie zaczyna wiotczeć. Może powinna uprawiać jakiś sport? Za to Connie ma mnóstwo drobnych zmarszczek od słońca i wiatru.

Zbliżyła twarz do lustra: tylko nieliczne zmarszczenia skóry wokół oczu. Przy odpowiednim oświetleniu można by ją wziąć za kobietę trzydziesto- ośmio-, a nawet trzydziestosześcioletnią. Wciąż utrzymywała się na pierwszym miejscu listy najlepiej ubranych i wciąż zaliczano ją do czołówki najpiękniejszych kobiet Nowego Jorku. Wizyta Connie przyniosła jej nową falę popularności; w gazetach pisano o nich: „najpiękniejsze siostry-bliźniaczki na świecie”.

Ciekawe, czy Connie jest wciąż zakochana w Vittorio? — pomyślała Judith. Gdy wycierała się powoli, siedząc na taborecie, zdała sobie nagle sprawę, że w ciągu ostatnich trzech lat w jej życiu nie zdarzył się ani jeden romans; tak, właśnie minęły trzy lata, odkąd zerwała z Chuckiem.

Chuck i Judith spotkali się latem w Quogue, Chuck, zawodowy gracz w golfa, lat dwadzieścia osiem, blondyn. Wszystko zaczęło się podczas lekcji, kiedy pokazywał jej, jak trzymać krótki metalowy kijek. Stał z tyłu, objął ją

rękoma w talii, żeby nie straciła równowagi, i powiedział: — Ważny jest właściwy chwyt, pani Austin.

Spojrzała mu w oczy i stało się. Latem Gregory wyjeżdżał na całe weekendy, a Judith zastanawiała się, jak by tu przenieść Chucka do klubu w Palm Beach. Wszystko układało się świetnie do chwili, gdy zapytał: — Judith, czy nie sądzisz, że nadawałbym się do telewizji? Mógłbym być komentatorem sportowym od golfa, jak Jimmy Demaret albo Cary Middlecoff.

Poczuła się paskudnie, ale szybko odepchnęła od siebie to uczucie.

Chuck dostał pracę w Palm Beach. Judith przyjechała do niego drugiego stycznia i spędzili razem trzy cudowne tygodnie. Gregory przebywał w Nowym Jorku, więc każdej nocy Chuck wkładał się bocznym wejściem do jej posiadłości. Któregoś wieczoru wspomniał znowu o tym pomysle z telewizją; z premedytacją dała mu jakąś wymijającą odpowiedź.

Wzruszył ramionami: — Więc biorę się za turniej, a potem ruszam w trasę.

W trasę? Coś takiego otwierało nowe, interesujące możliwości. Będzie mogła od czasu do czasu wyskoczyć i spędzić z nim kilka chwil. Opowiedział jej o turnieju, w którym zamierza wziąć udział — z całą pewnością będzie musiał przez cały następny miesiąc ćwiczyć codziennie, ponieważ inaczej nigdy się nie przebiję.

— Muszę mieć dziesięć albo piętnaście tysięcy — dodał na koniec.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Dziesięć albo piętnaście tysięcy czego?

— Dolarów. Kupę szmalu kosztuje wzięcie udziału w takim turnieju. Jeśli trafię większą forszę, to ci oddam.

Taki był koniec Chucka. Po tej nocy przestała przyjmować jego telefony.

Po raz pierwszy zdarzyło się, żeby mężczyzna interesował się nią z takiego powodu. Działo się to trzy lata temu i odtąd w życiu Judith nie zdarzyło się nic ekscytującego. Został jej tylko Gregory. Kochała go wprawdzie, ale nie była w nim za kochana, a życie nabierało sensu dopiero wówczas, gdy pojawiała się w nim nowa miłość. Nigdy nie wyszłaby za Gregory'ego, gdyby nie Connie.

Piękne siostry Logan, bliźniaczki: Judith i Consuela. Córki Elisabeth i Corneliusa Loganów. Piękna para małżeńska, piękne dzieci, wspaniałe dzieciństwo. Nic im nie brakowało do szczęścia... z wyjątkiem pieniędzy. Judith nigdy nie zapomniała tej ich „biedy”. Jakimś cudem jednak Loganom udawało się zawsze mieszkać w „odpowiednim” mieszkaniu, posyłać Judith i Connie do „odpowiednich” szkół, i chociaż szeptano sobie na ucho, że Cornelius Logan stracił wszystko z powodu krachu na giełdzie, to każdy wiedział, że babka Logan jest właścicielką wielkiej fortuny. To ona zapłaciła za wystawny

bał debiutantek, a także za wielką podróż dziewcząt do Europy, kiedy skończyły dwadzieścia jeden lat. Wtedy właśnie Connie poznała Vittoria, a Judith wróciła do domu z niczym.

Kiedy Judith miała dwadzieścia sześć lat, spotkała Gregory'ego Austina. Widziała go przedtem na zdjęciu w gazecie, wiedziała, że romansował z aktorkami, kobietami z towarzystwa, debiutującymi panienkami. Miał trzydzieści sześć lat, był kawalerem i właścicielem stacji radiowej. Lubił przechwalać się tym, że nie ma żadnego konkretnego wykształcenia: — Nie skończyłem nawet ogólniaka, a na notowaniach giełdowych znam się nie gorzej niż Bernard Baruch.

Pierwszą pracę podjął jako goniec na Wall Street. Gdy nastąpił krach, zaczął spekulować papierami wartościowymi i tak zarobił swój pierwszy milion. Z zysków kupił małą stację radiową w północnej części stanu Nowy Jork. Potem, gdy kursy spadając na łeb, na szyję, sięgnęły wreszcie dna, wzmógł zakupy. W ten sposób, kiedy na koniec wróciła hossa, miał co odsprzedawać z zyskiem. Każdy większy zarobek przeznaczal na kupno nowej stacji. Gdy skończył trzydzieści lat, utworzył sieć telewizyjną IBC. Zwracał uwagę pewnością siebie i buńczucznym zachowaniem, często trafiał na pierwsze strony gazet i bardzo lubił kobiety, choć ostatnią rzeczą, jaka przychodziła mu do głowy, było małżeństwo. Dopóki nie spotkał Judith Logan. Może sprowokowała go jej obojętność, zawsze bowiem to, co nieosiągalne, uznawał za szczególnie pociągające.

Judith umówiła się z nim parę razy, bo podbił ją swym uporem, a na dodatek imponowało jej, że mogła się teraz zobaczyć w dziennikach telewizyjnych. Jeszcze bardziej połechtał jej próżność fakt, iż najbliżsi przyjaciele zaczęli nagle przejawiać chęć wydawania bankietów na cześć „tego fascynującego, rudowłosego złośliwca”. A kiedy wreszcie Consuela napisała, że widziała go w Londynie i uznała za faceta seksownego i podniecającego, Judith spojrzała na Gregory'ego zupełnie innymi oczami. Zdała sobie sprawę, że właśnie on a nie kto inny może obdarować ją królestwem. Królestwo to nie miało wprawdzie godła, lecz w niektórych kręgach logotyp IBC robił większe wrażenie niż znak rodowy. Gregory otworzył przed nią świat szaleńczych wydatków. Vittorio również miał pieniądze, ale biżuteria Connie była biżuterią „rodzinną” i miała przejść najpierw na jej dzieci, a potem na wnuki. W prezencie zaręczynowym Judith dostała od Gregory'ego pierścionek z dwudziestopięciokaratowym brylantem, w prezencie ślubnym brylantowy naszyjnik oraz pięćdziesiąt tysięcy dolarów, żeby mogła sobie otworzyć konto w banku. Relacje z ich ślubu wypełniły kolumny kroniki towarzyskiej i teatralnej wszystkich codziennych gazet.

Gregory zupełnie oniemiał, gdy odkrył, że poślubił dziewicę. W pierwszą rocznicę ślubu kupił posiadłość w Palm Beach; pod koniec drugiego roku małżeństwa podarował Judith bransoletkę z brylantów; na trzecią rocznicę do zaoferowania nie zostało mu już nic. Zwłaszcza iż Judith marzyła tylko o jednym — żeby mieć romans, jej życie seksualne z Gregorym okazało się bowiem kompletnym fiaskiem. I chociaż nie miała żadnej podstawy do porównań, czuła, że nie z każdym mężczyzną musi tak być, że czeka ją jeszcze prawdziwa przygoda miłosna. Ta wymarzona chwila nadeszła wtedy, gdy mając trzydzieści dwa lata postanowiła pojechać do Paryża i odwiedzić Connie. Wojna się skończyła, wszyscy byli w odświętnych nastrojach, a Judith nie mogła się doczekać, kiedy pokaże Connie swoje futra i biżuterię. Gregory musiał pilnować interesów i pozostał w kraju, wysłał ją więc, opatrzywszy na drogę błogosławieństwem i listem kredytowym na ogromną sumę. Podczas balu kapitańskiego poznała pewnego sławnego śpiewaka operowego, z którym, ominąwszy Paryż, pojechała wprost do Londynu. Z Connie nie widziała się wcale, a Gregory'emu nawet do głowy nie przyszło, żeby zapytać, dlaczego na koportach widnieją angielskie znaczki pocztowe.

Potem poszło już łatwo. Najpierw był włoski gwiazdor filmowy, potem, przez dwa lata, angielski dramaturg, następnie francuski dyplomata... Kochana Connie okazała się na dłuższą metę bardzo przydatna — zawsze można było skoczyć do Europy, żeby zobaczyć się z siostrą: bliźnięta, wiadomo, lubią trzymać się razem. Oczywiście, Connie nie omieszkała odebrać swego długu co do grosza — te jej wszystkie wizyty w Stanach... A przecież w ciągu ostatnich trzech lat Judith w ogóle nie „wyjeżdżała do Connie”. O tym właśnie myślała teraz. Trzy puste lata...

Skończyła się malować, wstała i ogarnęła wzrokiem swoje nagie ciało. Kiedyś, na początku, była nieszczęśliwa, ponieważ nie mogła zająć w ciąży. Próbowała usilnie do trzydziestego roku życia, brała nawet pod uwagę adopcję, lecz Gregory'emu, który skończył już czterdzieści lat, wcale na dziecku nie zależało. — Naszym dzieckiem jest sieć telewizyjna — mawiał. A z dzieckiem prawdziwym wiąże się taka odpowiedzialność... Kiedy zerknęła teraz na swój płaski brzuch, ucieszyło ją, że nie widzi rozstępów. Lecz piersi miała obwisłe, a ciało na udach zaczynało wiotczeć. Uniosła ramiona do góry. W porządku: w łóżku, na leżąc, piersi układały się jak należy, ale brzuch, brzuch zrobił się miękki, mimo że był płaski...

Podeszła do szafy i sięgnęła po fioletową, aksamitną suknię, a potem nagle zmieniła zamiar i zdecydowała się na czerwoną z lamy. Do tego złoty naszyjnik z rubinami. Po raz pierwszy od lat przy wyborze sukni ogarnęło ją uczucie radosnego podniecenia. Od chwili, gdy dotarł do niej list, w którym

Robin Stone potwierdził przyjęcie zaproszenia, nie opuszczała jej podświadoma ekscytacja.

Do tej pory nie przyznawała się nawet przed sobą, że ubiera się dla Robina. Teraz nagle pojęła to z całą mocą — zapragnęła go „od pierwszego wejrzenia”.

Tak, pragnęła Robina Stone'a. Będzie to jej ostatni, najbardziej podniecający romans. Zdawała sobie sprawę, że pierwszy krok należy do niej, że będzie musiała w wyjątkowo subtelny sposób okazać mu swoje zainteresowanie. Taki człowiek jak Robin Stone na pewno pojmie jej zamiary. Układ jest idealny, zawiera nieskończoną ilość możliwości. Robin jest stale w podróży, bez trudu będzie go mogła spotkać za granicą.

O wpół do piątej zeszła na dół, żeby dopilnować barku i przekąsek. O czwartej czterdzieści pięć w smokingowej marynarce pojawił się Gregory. Widać było, że jest zmęczony. W Palm Beach będzie mógł sobie wreszcie wypocząć. O piątej przyszedli pierwsi goście: naturalnie, senator z żoną. Dlaczego zawsze nudziarze muszą przychodzić pierwsi? Nie będzie można przerwać rozmowy, dopóki nie pojawią się następni zaproszeni. Lecz kiedy lokaj wprowadził parę małżonków w średnim wieku, Judith ozdobiła twarz czarującym uśmiechem:

— Witaj, senatorze. Nie, mój drogi, nie przyszlście za wcześnie. Jesteście po prostu bosko punktualni. Tak się cieszę, że was widzę. Przynajmniej będziemy mieli czas, żeby sobie pogwarzyć.

Dziesięć minut później przybył Danton Miller. Był sam. Chociaż raz ucieszyła się na jego widok; miała przynajmniej wymówkę, żeby uwolnić się od towarzystwa senatora. Wkrótce gong u drzwi rozdzwonił się na dobre. W ciągu następnych dwudziestu minut tłum gości wypełnił cały salon, zaczął przelewać się do biblioteki i jadalni. Bankiet wehodził na pełne obroty.

Robin Stone przyszedł o szóstej. Lekkim, szybkim krokiem szła przez pokój, wyciągnawszy ku niemu rękę: — Dotrzymał pan słowa! — Z promiennym uśmiechem dała się przedstawić Maggie, jak gdyby nie widziała jej nigdy przedtem. Potem uwolniła się od ich towarzystwa, żeby przywitać nowych gości. Przekłeta dziewczyna. Za wysoka, za piękna! Judith wyprostowała się. Odnosiła wrażenie, że przy Maggie jest niska i przysadzista. Wciąż lekkim krokiem krążyła po pokoju, witając się z gośćmi i wdając się z nimi w rozmowy... Jednocześnie przez cały ten czas nie spuszczała oka z Robina Stone'a i Maggie Stewart. O Boże, jest Christie Lane z tą swoją koszmarną żoną. Gregory uparł się, żeby ich zaprosić. Ta dziewczyna — Ethel, tak, ma na imię Ethel — rozmawia z Maggie Stewart, a Chris stoi obok jak drewniana indiańska figurka. Świetnie — Robin idzie porozmawiać z senatorem.

Nadarzała się okazja. Torując sobie drogę pomiędzy ludźmi, Judith znalazła się u boku Robina. Następnie, niby niechcący, wzięła go pod rękę i spytała: — Pan u nas pierwszy raz? Może miałby pan ochotę na małą wycieczkę?

— Wycieczkę?

— Tak. — Wyprowadziła go z pokoju do holu. — Większość gości lubi zwiedzać cudze domy, ale rzadko im się zdarza wyjść poza salon, bibliotekę czy jadalnię. — Zatrzymała się przed ciężkimi dębowymi drzwiami. — Znajdujemy się już poza granicami dozwolonymi dla gości, chciałabym jednak, by zobaczył pan prywatny gabinet Gregory'ego — jego dumę i szczęście.

— Ten dom sprawia złudne wrażenie — powiedział Robin. — W gruncie rzeczy to prawie pałac, prawda?

Zaśmiała się lekko, radośnie.

— Nie wie pan? Składa się naprawdę z dwóch domów, ale rozbijając dzielącą je ścianę, otrzymaliśmy w efekcie piętnaście dużych pokoi, zamiast trzydziestu małych.

Robin rozejrzał się z wyraźną aprobatą.

— Kapitalny pokój dla mężczyzny.

Na twarzy Judith pojawił się wyraz zadumy.

— Niestety, Gregory spędza w nim tyle czasu...

Skinął głową.

— Przypuszczam, że tu właśnie rozgryza najpoważniejsze problemy.

— Czy pan również ma zwyczaj skrywać się tak przed światem?

Uśmiechnął się.

— Skala moich problemów jest dużo mniejsza; gdy ja martwię się o jedną redakcję, Gregory ma na głowie całą sieć.

Rozłożyła ręce w geście udanej rozpacz.

— Czy jedynym tematem do rozmyślań jest dla mężczyzn biznes? Zadzroszczę wam.

Jego uśmiech był pełen rezerwy.

— Kobięcych problemów nie da się rozwiązać ani z pomocą drinka, ani głębokich rozmyślań przez jedną godzinę w ciszy gabinetu — powiedziała.

— Może one tak naprawdę nie próbują ich rozwiązywać?

— A jak pan walczy ze swoją samotnością, Robinie? — zapytała.

Spojrzała na nią ze zdziwieniem i na jedną chwilę ich oczy spotkały się. Jej spojrzenie było wyzywające, lecz zarazem podbarwione jakąś intymną zachętą.

— Bardzo kocham Gregory'ego — odezwała się, a w jej głosie zabrzmiał niski ton. — Najpierw wszystko układało się cudownie, ale potem mój mąż wziął ślub z IBC. Jest znacznie starszy niż ja... Wystarcza mu to podniecenie,

jakie czerpie z kierowania siecią telewizyjną. Wszystkie problemy znosi do domu — czuję czasami, że w ogóle go nie obchodzę. Widuję go na przyjęciach, w tłumie, na obiadach. Wiem, że mnie kocha, lecz jestem tylko cząstką jego imperium. Czuję, że jestem skazana na samotność i odosobnienie. Zwłaszcza że nie należę do kobiet, którym sprawia przyjemność gra w karty albo spotykanie się na lunchach.

— Każdy człowiek ma swój własny, niepowtarzalny rodzaj samotności — powiedział Robin.

— Ale dlaczego tak musi być? Życie jest krótkie i tak krótko trwa młodość. Zawsze wierzyłam, że liczy się tylko to, żeby nikogo nie zranić.

Bezradnie wzruszył ramionami.

— W młodości Gregory grał na giełdzie. Kiedyś powiedział: „Giełda to największy i najbardziej bombowy hazard świata”. Teraz już nie gra. Teraz najbardziej podniecają go programy telewizyjne. Ale dla mnie to nie jest życie, kobieta potrzebuje uczuć. — Patrzyła na swoje dłonie, obracając na palcu wielki pierścionek. — Może raz lub dwa udało mi się ich doświadczyć. — Spojrzała na Robina. — Gregory nic na tym nie stracił. To nie zniszczyło naszej miłości. Ofiarowałam innym uczucie, na które mój mąż nie miał ani czasu, ani ochoty. — A potem cicho dodała: — Nie wiem, dlaczego opowiadam panu to wszystko. Prawie pana nie znam. — Nagle uśmiechnęła się z zażenowaniem. — Przecież głębiej przyjaźni niekoniecznie trzeba mierzyć czasem jej trwania; jej miarą może być siła wzajemnego zrozumienia.

Wziął ją za ramię i powiedział z uśmiechem:

— Judith, jest pani cudowną kobietą, ale radzę, niechże pani będzie ostrożna z takimi zwierzeniami.

Posłała mu uwodzicielskie spojrzenie. — Nie mam zwyczaju nikomu się zwierzać. Nigdy przedtem tego nie robiłam. Nie wiem, co mi się dzisiaj stało, Robinie.

Obrócił ją dookoła i poprowadził w kierunku drzwi. — Za dużo grzanego piwa — powiedział z uśmiechem. — Wracajmy do gości. To jeden ze sposobów na samotność.

Popatrzyła mu prosto w oczy. — Ale czy jedyny?

Wziął ją pod rękę i skierował do salonu. — Przyszedłem tu z pewną młodą damą, która też może się czuć osamotniona w tym tłumie. Szczęśliwego Nowego Roku, Judith. I radzę stronić od grzanego piwa. — Zostawił ją i podszedł do Maggie Stewart.

Judith, kompletnie zszokowana, krążyła po pokojach i z przyklejonym do ust nienaturalnym uśmiechem witała się z gośćmi. Uśmiech nie schodził też z ust Maggie. Zauważyła, że Robin opuścił pokój w towarzystwie Judith Au-

stin, i że na pewien czas oboje gdzieś zniknęli. Judith była piękną kobietą, lecz widok powracającego Robina uspokoił Maggie natychmiast.

Robin władczy ruchem ujął jej ramię i uwolnił ją od towarzystwa Ethel i Christiego Lane'ów. Nagle skierował wzrok ku drzwiom. Wszyscy obecni także spojrzeli jak jeden mąż na smukłą, drobną kobietę, która właśnie wchodziła do środka. Wśród salonowych bywalców rozległ się szmer podziwu. Nawet pojawiając się w sposób najbardziej dyskretny, Diana Williams zawsze miała wejście. Stała teraz w drzwiach — niepewnie jak samotne dziecko. Gregory Austin pospiesznie ruszył ku niej i w opiekuńczym geście objął ją ramieniem. W jednej chwili otoczył ją tłum gości. Diana dawała się przedstawiać z ujmującą skromnością.

— Rany, tym razem Ike Ryan przesadził — powiedziała Ethel, obserwując całe to poruszenie. — Diana jest spalona i musi pójść z dymem.

Diana precyzyjnie się w końcu przez tłum i podeszła do Robina. Gregory Austin wciąż mocno trzymał ją za ramię.

— Robinie — odezwał się z wymówką w głosie. — Dlaczego nie uprzedziłeś, że zapraszasz pannę Williams na nasz bankiet? Gdybyśmy wiedzieli, że jest w mieście; wysłalibyśmy jej zaproszenie.

— Proponowałeś mi spotkanie u Voisina dziś wieczór — powiedziała Diana oskarżycielsko. — Skoro jednak nie wpadłeś po mnie, pomyślałam sobie, że musiałam cię źle zrozumieć i że zamierzałeś spotkać się ze mną tutaj.

— Pozwolisz, że wynagrodzę swój brak taktu, proponując ci drinka — odparł. Obydwaj, Gregory i Robin, poprowadzili ją w stronę baru, pozostawiając Maggie, Ethel i Christie Lane'a.

Ethel zaczęła rozprawiać o swym nowym mieszkaniu w Essex House.

— Właśnie wczoraj się sprowadziliśmy — powiedziała do Maggie.

— Wielkie rzeczy — odezwał się Christie. — Salon, dwie sypialnie i to wszystko trzy razy drożej niż w Astorze.

— Nie mam najmniejszej ochoty paradować po Broadwayu z dzieckiem w wózku — burknęła Ethel ze złością. — A Essex jest przynajmniej naprzeciwko parku. Dziecku wyjdzie to na zdrowie.

— Ach, nic nie wiedziałam... Gratuluję — powiedziała Maggie, udając zainteresowanie, którego wcale nie odczuwała.

Christie promieniał z dumy.

— Test ciążowy wypadł pomyślnie. Królik nie przeżył. Kiedy dowiedziałem się o tym od doktora, ogarnęła mnie dzika radość. Gotów byłem na wszystko.

— Wyjawszy przeprowadzkę z Astora — skomentowała Ethel. — Ale w końcu dał się złamać.

— Rzeczywiście. I teraz każe mi spać osobno, w drugiej sypialni. Kiedy dziecko się urodzi, urządzimy tam pokój dziecienny. Pewnie ma rację, kobieta w ciąży musi się solidnie wysypiać. No, dobrze, panienko, wy tu sobie poplotkujcie, a ja was zostawię na moment, bo widzę, że idzie Wielki Dan Miller. Muszę z nim pogadać.

Przeszedł przez pokój i położył Danowi rękę na ramieniu.

Maggie czuła się trochę nieswojo w towarzystwie Ethel. Nie znała jej, a poza tym nigdy nie czuła się zbyt dobrze, kiedy rozmowa schodziła na babiskie tematy.

— Kiedy spodziewasz się dziecka? — spytała.

— Pod koniec sierpnia albo na początku września. Okres mam spóźniony dopiero o trzy tygodnie, ale test już wypadł pozytywnie.

Zapadła kłopotliwa cisza. Wreszcie przerwała ją Maggie:

— Postąpiłaś bardzo mądrze wybierając dom w pobliżu parku. Dziecko będzie miało cudowne warunki.

— Nie sądzisz chyba, że mam zamiar zapaść korzenie w Nowym Jorku? Christie jeszcze o tym nie wie, ale w przyszłym roku będzie dojeżdżał na ten swój show z Kalifornii.

— Rozumiem. — Wcale nie rozumiała, tylko czuła, że musi cokolwiek powiedzieć.

— Przycisnę go. Słowo „dziecko” działa na niego magicznie. Powiem mu, że Central Park się nie nadaje — kapujesz, włóczędzy, te rzeczy. Jak się tylko stąd wyrwiemy, zaczynam nowe życie — wielki dom, dobre towarzystwo. Każę mu zatrudnić dobrych agentów, no i trzeba się będzie obracać wśród ludzi na poziomie, żeby dziecko miało odpowiednie towarzystwo. Mówię ci, Hollywood nie może się już doczekać Ethel Evans Lane.

— Żebyś się tylko nie rozczarowała — powiedziała Maggie, która wodząc spojrzem po sali zastanawiała się, gdzie też może być Robin.

— Jest w gabinecie, z Dianą — odezwała się Ethel.

— Słucham?

— Robin, twój chłopak... przypadł jej do gustu.

Maggie była tak zdumiona, że nie odezwała się ani słowem.

Na chwilę znów zapadła niezręczna cisza. Po chwili dołączyli do nich Dan i Christie.

— Gadaliśmy o nowym czasie emisji w przyszłym roku — powiedziała Christie. — Nie uwierzysz, kotku, ale sponsorzy ustawiają się w kolejce, żeby wziąć pod skrzydła mój program... I to na dwa najbliższe lata.

— Można ci nalać tej lepkiej cieczy? — spytał Dan, uśmiechając się do Maggie.

Z gabinetu doszedł ich głośny wybuch śmiechu. Bez wątpienia królowała tam Diana. Dan uśmiechnął się i konspiracyjnie zniżył głos. — Zauważyłem, że przyszedł z Robinem Stone'em. Czy oznacza to, że będziesz także musiała wyjść razem z nim?

— Taki jest chyba powszechny obyczaj?

— To niedobrze. Właśnie miałem zamiar zaprosić cię na kolację. Jak dłu-go zostajesz w mieście?

— Jeszcze chyba dwa tygodnie.

— Będę mógł zadzwonić?

— Cóż... — starała się myśleć szybko. Czuła, że nie powinna odmówić, z drugiej strony jednak nie miała ochoty podawać mu swego adresu. — Pozwól, że to ja zadzwonię do ciebie. Jutro jadę do rodziny, do Filadelfii. Nie wiem, na jak długo.

— Wiesz, gdzie mnie szukać?

— W IBC. — Uśmiechnęła się. — Pójdę poszukać Robina.

Zostawiła Dana i skierowali się do gabinetu, gdzie wszyscy z zaciekawieniem słuchali Diany, która właśnie opowiadała zabawną historyjkę o swych bliźniakach.

— Rany boskie, moje chłopaki osiągnęły gigantyczne rozmiary i już nie mogą udawać, że są małymi dziećmi. Naturalnie, uwielbiają Beatlesów i oczywiście noszą długie włosy. Wyglądają tak, jakby przeniesiono ich żywcem z Carnaby Street. Któregoś dnia już ich miałam przedstawić jako swoją dżiawtę, gdy nagle spojrzałam na tych dwóch rozrośniętych siedemnastolatków i powiedziałam: — Oto Słynni Dioskurowie.

Wszyscy rozeźmieli się znacznie głośniej, niż to było konieczne, i tylko Robin zachował nieruchomą twarz. Obserwował Dianę uważnie, a kiedy podała mu swą pustą szklaneczkę, skinął na kelnera, żeby ją napełnił.

Maggie uitorowała sobie drogę przez tłum, stanęła przy Robinie i wzięła go za rękę. — Już siódma — szepnęła. — Umieram z głodu.

— Na stole jest pełno przekąsek — powiedział, nie odrywając oczu od Diany.

— Chciałabym wyjść.

— Dziecinko, ja pracuję. — Poklepał się po kieszeni. — Tu mam tekst umowy. Noszę go ze sobą od dwóch tygodni. Chodzi tylko o to, żeby podpisała. Jeśli będziesz miłą dziewczynką, wezmę cię na świadka.

— Jak długo to może potrwać?

— Mam nadzieję, że załatwimy sprawę przy kolacji.

— Czy ona idzie z nami na kolację? — spytała Maggie.

— Idzie ze mną, a ty, jeśli masz ochotę, mozesz się przyłączyć.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju. Nie oglądała się za siebie, czuła jednak, że nawet za nią nie spojrzął. Spozrzęła, że Dan Miller, z płaszczem przewieszonym przez ramię, żegna się z panią Austin. Przeszła przez pokój i zbliżyła się do niego.

- Gzy zaproszenie na kolację jest wciąż aktualne?
- Oczywiście. Co sądzisz o Pavilion?
- To jedna z moich ulubionych restauracji.

Pavillon był już prawie pusty. Siedząc nad kieliszkiem brandy, Maggie zastanawiała się, co pomyśli Robin, gdy zauważy jej nieobecność. Dochodziła jedynasta. Jest już pewnie w domu i ogląda dziennik. Cała jej złość gdzieś się ulotniła i ogarnęło ją poczucie winy, że zostawiła go bez pomocy. Bo co by to właściwie zmieniło, gdyby Diana poszła z nimi na kolację? Przecież zależało mu tylko na jej podpisie! Zachowała się jak dziecko, a co gorsza, nie umiała ukryć swojej zazdrości. Nigdy się tak nie zachowała wobec żadnego mężczyzny — ani wobec Adama, ani Andy'ego. Pewnie dlatego, że nigdy jej na nich nie zależało. Może właśnie w tym krył się sekret jej powodzenia. Czy rzeczywiście? Czy trzeba zawsze udawać obojętność wobec mężczyzny, żeby go zatrzymać? Przesiedziała z Danem tę drętwą kolację tylko po to, by odegrać się na Robinie. Idiotyczna gra — należał do niej, kochała go przecież. Cóż więc robiła tutaj, w restauracji, słuchając zwierzeń jakiegoś beznadziejnego kretyna?

— Cieszę się, że nic cię nie łączy z Robinem — odezwał się niespodziewanie Dan.

Spojrzała nań ze zdziwieniem. — Dlaczego tak mówisz?

— Bo go nie lubię.

— Robin jest moim dobrym przyjacielem. — W jej głosie zabrzmiało ostrzeżenie.

Uśmiechnął się. — I tak go nie cierpię. Ale nie z powodów osobistych.

Danton Miller wcale się jej nie podobał. Szczególnie ten jego uśmiech, pełen zadowolenia. — Może się go obawiasz? — powiedziała chłodno.

— Obawiam się?

— Jeśli w grę nie wchodzi sprawa osobista, to podejrzewam, że chodzi o firmę. Pracujecie obaj w IBC, a znam się trochę na stylu pracy w telewizji. Robin wyszedł daleko poza swoje terytorium i to właśnie może być powodem rywalizacji pomiędzy wami.

Odrzucił w tył głowę i zaczął się śmiać. Kiedy znów na nią popatrzył, jego piwne oczy były wąskie jak szparki.

— Wcale się nie boję naszego Super Stone'a, a wiesz dlaczego? Ponieważ ten facet ma zbyt wiele godności, która stanie się przyczyną jego upadku.

— Sądziłam, że godność jest raczej zaletą.

— W interesach nie ma na nią miejsca. Posłuchaj, Maggie, kiedy wchodzę z kimś w zwanie, mam w nosie godność. Dlatego ja przetrwam, a on nie. Bywają chwile, że trzeba paść na twarz, bez względu na to, jakie się ma stanowisko. Ale Robin Stone nigdy się nie ugnie i dlatego nie przetrwa, a w biznesie liczy się jedno — przetrwanie.

Wzięła do ręki leżącą na stole książkę, mając nadzieję, iż będzie to dostatecznie czytelna aluzja, że ma ochotę zakończyć wieczór. Dan dostrzegł manewr i dał znak kelnerowi.

— Zanudzam cię tutaj moimi wywodami — powiedział. — Może skoczmy gdzieś jeszcze na jednego przed snem?

— Jestem bardzo zmęczona, Dan, muszę jutro rano wstąpić.

Kiedy zatrzymała taksówkę, zdradziła mu, że mieszka w hotelu Plaza. Podwoził ją i zaczekał, aż zniknie w środku. Maggie przeszła przez hol, wysliznęła się drugim wejściem na Pięćdziesiątą Ósmą Ulicę, złapała taksówkę i pojechała do Robina. Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła, że w mieszkaniu panuje mrok. Robin pewnie śpi. Stąpając na palcach, ruszyła przez salon w stronę sypialni. Mimo ciemności, dostrzegła niewyraźne kontury łóżka z wciąż rozrzuconą i pogniecioną po ich popołudniowej miłości pościelą. Było puste. Wróciła do salonu i już miała zapalić lampę, gdy spostrzegła srebrną smuzkę światła, sączącą się spod drzwi gabinetu. Pracuje nad swoją książką — pomyślała z uśmiechem. Kładła właśnie dłoń na klawiszach, gdy do jej uszu dotarły jakieś dźwięki. Poznała głos Diany. Pijanej Diany.

— Ten dywan nie jest zbyt miękki...

Usłyszała śmiech Robina. — Mówiłem, żebyś pościeliła łóżko.

— Nie lubię się pieprzyć na używanych prześcieradłach.

Potem zapadła cisza.

Ostrożnie uchyliła drzwi i przeżyła szok. Oboje, Robin i Diana, byli zupełnie nady. Robin, z ramionami pod głową, leżał wyciągnięty na rozkładanym fotelu, a Diana kłęcząc robiła mu minetę. Żadne z nich nie zauważyło wejścia Maggie, która po chwili wycofała się i cicho zamknęła za sobą drzwi. Następnie wróciła do sypialni i zapaliła światło. Z szafy wyciągnęła walizkę, lecz po chwili, zmieniwszy zamiar, rzuciła ją na podłogę. Po co zawracać sobie głowę kilkoma parami spodni i jedną sukienką? I tak nigdy więcej nie będzie miała ochoty chodzić w ubraniach, które nosiła będąc z Robinem. Spakowała więc tylko swoje kosmetyki, wzięła portfel i szybkim krokiem ruszyła do drzwi. Odwróciła się i po raz ostatni obrzuciła wzrokiem skotłowane łóżko. Łóżko, które dzieliła z Robinem zaledwie kilka godzin temu. Łóżko, które zamierzała z nim dzielić jeszcze tej, i każdej następnej nocy. To łóżko, jak sądziła, które

stanie się cząstką jej przyszłości. Ile dziewczyn już w nim spało? Ile jeszcze będzie w nim spać? Nagle zawróciła, podeszła do łóżka i w przypływie szału zaczęła szarpać prześcieradło, jakby je chciała podrzeć na strzępy. Nikt, już nigdy, nie będzie spał na tych prześcieradłach... ani w tym łóżku. Przypomniała sobie o puszcze z płynem do zapalniczek, która stała w apteczce, pędem rzuciła się do łazienki, a potem rozlała płyn po pościeli, potarła zapałkę, podpaliła pudełko, aż zajęło się jasnym płomieniem, i wreszcie cisnęła je na łóżko. Gorące, pomarańczowe języki ognia zaczęły z sykem pełzać po zmitych prześcieradłach.

Wybiegła z mieszkania, przeszła przez hol i zatrzymała się przy drzwiach wyjściowych. Spokojnym głosem odezwała się do portiera: — Dzwoniłam przed chwilą do drzwi pana Stone'a, ale nikt tam nie otwiera. Wydaje mi się, że poczułam zapach dymu, wydobywającego się z mieszkania.

Kiedy portier biegł do windy, Maggie, jak gdyby nigdy nic, wyszła na ulicę i zatrzymała się pod markizą sąsiedniego budynku, żeby obserwować stamtąd dalszy bieg wydarzeń. Widok płomieni w oknach sypialni Robina sprawił, że na jej twarzy z wolna zaczął pojawiać się uśmiech. Po paru minutach dało się słyszeć wycie syren alarmowych, a zaraz potem światło płomieni przygasało i z pociemniałych okien jęły wydobywać się kłęby gęstego dymu. Widziała, jak Robin i inni lokatorzy wybiegali na ulicę. Robin zarzucił na ramiona płaszcz deszczowy i miał na sobie jakieś spodnie; Diana, owinięta w jego zimowy płaszcz, stała bosą na zimnym chodniku, podskakując to na jednej, to na drugiej nodze. Maggie odchyliła głowę i zaczęła się śmiać. — Mam nadzieję, że przynajmniej dostanie zapalenia płuc — powiedziała głośno i ruszyła przed siebie. Minęła kilka przecznic i dopiero wtedy nastąpiła właściwa, spóźniona reakcja. Trzęsła się, zlane zimnym potem. Boże, co ona zrobiła! Mogła go przecież zabić... i to nie tylko jego, w domu mieszkali przecież inni ludzie. Omal nie zemdląca, gdy zdała sobie sprawę z grozy swojego uczynku. Pojęła nagle, że można popełnić morderstwo w przypływie wściekłości lub chwilowego szaleństwa. Nawet jej przez myśl nie przeszło, że ogień może przerzucić się do sąsiednich mieszkań. Dzięki Bogu, że do tego nie doszło!

Spostrzegłszy nadjeżdżającą taksówkę, zatrzymała ją i kazała się zawieźć na Lotnisko Kennedy'ego. Z ulgą opadła na siedzenie. Nie wiadomo, jak długo będzie musiała czekać na samolot... ale to nieważne. Taksówka mknęła ciemną, trzypasmową jezdnią w kierunku East River Drive. Przy tej właśnie ulicy mieszkali Austinowie. Rzuciła okiem na solidny dom o fasadzie z żółtego kamienia. W oknach na drugim piętrze paliło się światło. Och, jakże zazdrościła Judith, zamkniętej bezpiecznie w swojej pięknej, kamiennej twierdzy...

W tej właśnie chwili Judith Austin siedziała przed lustrem, rozpamiętując po kolei wypadki minionego wieczoru. Przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze; uśmiech z pewnością nie był naturalny, ale jak mogło być inaczej, skoro nie schodził jej z warg aż do dziewiętej trzydzieści, kiedy to przyjęcie opuścili ostatni goście. Bolała ją głowa i marzyła tylko o jednym — żeby znaleźć się w swoim pokoju. Dała się jednak namówić Gregory'emu na lekką kolację w zaciszu jego sypialni. Bez apetytu jadła zimnego indyka i przysłuchiwała się narzekaniom męża. Do diabła, ich przyjęcia stają się po prostu okazją do załatwiania interesów. W przyszłym roku sama, osobiście, sprawdzi listę gości. Jeśli za rok w ogóle urządzi się jakikolwiek bankiet.

Normalnie, zaczęłyby się z nim sprzeczać albo go uspokajać, dziś jednak zbyt głęboko pogrążona była we własnych myślach. Uwolniwszy się od towarzysztwa Gregory'ego, udała się do swej sypialni. W ubraniu rzuciła się na łóżko i znów zaczęła przypominać sobie szczegóły dzisiejszego wieczoru.

Potem, kiedy przebrana już w koszulę nocną, szykowała się do snu, wysiłkiem woli stawiła czoło brutalnej prawdzie: Robin nie dał się złapać na przynętę, którą mu podrzuciła. Nagle wszystkie mechanizmy obronne puściły i Judith zalała się łzami. Przez cały wieczór powstrzymywała się od płaczu, nie dopuszczała do siebie myśli, że dostała kosza. Nie mogła przecież pozwolić sobie na łzy przy gościach, przy Gregorym. Dopiero teraz, w ukryciu, mogła dać upust swoim uczuciom. Nie. Dość płaczu. Energicznie wytarła nos. Łzy to luksus, na który nie było ją stać. Ot, kilka kropelek rosy w teatrze, na smutnym przedstawieniu, na wieść o śmierci przyjaciela — kilka kropel, które delikatnie spłynęłyby z kącików jej oczu, nie psując makijażu. Żadnych potoków łez, szlochów. Nie może dopuścić do tego, by obudzić się rano z zapuchniętymi powiekami i workami pod oczyma. Przecież jest umówiona na lunch w Colony, a wieczorem ma być na oficjalnej kolacji.

Robin ją odrzucił. Nie, właściwie nie ją, lecz jej zawołowaną propozycję. Zawołowaną! Nikogo w życiu nie zaatakowała tak bezpośrednio. Dawniej wystarczyło jedno spojrzenie, jeden uśmiech, żeby uzyskać natychmiastową reakcję. O, Boże... tak mocno go pragnęła. Chciała, żeby wziął ją w ramiona i powiedział, że jest cudowną kobietą. Chciała pójść do łóżka z kimś, kto by sprawił, że poczułaby się znowu młoda, pełna powabu. Od miesiący Gregory nawet się do niej nie zbliżył. O Boże, być znowu młodą, mieć kochanka takiego jak Robin, przesiadywać w ciemnych barach, trzymać się za ręce, wędrować piaszczystą plażą, patrzeć na księżyc. Miłość Judith ożywiła jedynie jej umysł i serce, rozkosz cielesna pojawiała się jakby przypadkiem, niechącym. Już sam fakt, że potrafiła się zaangażować, był dla niej satysfakcjonującym przeżyciem. Och, gdyby poczuć jego obejmujące ją ramiona, jego nagie ciało

tuż przy swoim ciele, pieścić jego twarz... nie potrzebowałaby niczego więcej.

Gregory nigdy nie podniecał jej jako mężczyzna. Nawet gdy był młody i pełen wigoru, brakowało mu tej szczególnej iskry życia, potrzebnej do tego, żeby rozniecić płomień namiętności. Od samego początku nie zależało mu na seksie. Nie miał pojęcia o subtelnościach gry miłosnej. Nigdy nie wiedział, kiedy i jak się odezwać, ani razu, przez całe życie, nie pieścił jej ustami, tak jak robili to inni kochankowie. Może dała mu odczuć, że jest ponad to. Może to ona była winna. Nigdy nie poczuła przy nim nawet śladu takiego podniecenia, jakie ogarniało ją z jej przygodnymi amantami. Nie uwierzyłby, gdyby zobaczył, do jakich szaleństw i akrobacji potrafi ją popchnąć jedna jedyna szczypta romantyki. A przy tym wszystkim miała dla Gregory'ego tyle podziwu. Jej miłość do niego pełna była tego samego oddania, jakie żywiła dla rodziców. Bez niego byłaby zgubiona. Ich wspólne życie było tak ciekawe. Nigdy się z nim nie nudziła, tyle że nie łączyła ich namiętność — ani teraz, ani dawniej. Być może ten energiczny, przedsiębiorczy mężczyzna nie był w stanie okazać owej czułości, tak bardzo potrzebnej każdej kobiecie. Robin miał tyle samo siły, co Gregory, może nawet więcej, lecz była ona jakby stłumiona, uśpiona wewnątrz niego. A dzisiaj opuścił towarzystwo z tym próchnem, Dianą Williams! Jak to jest, że facet, który okazał się niedostępny dla niej, potrafi zarazem lecieć na taki zrujnowany przeżytek jak Diana, i te wszystkie gwiazdeczki bez nazwisk? To nie jest uczciwe! Robin byłby uwięzieniem jej wszystkich podbojów, kimś znacznie ważniejszym, niż ci faceci, których dotąd miewała na boku. Mając tę samą przebojowość co Gregory, był jednak piękny i podniecający... och, Boże, być kochaną przez takiego mężczyznę!

Ale odepchnął ją... może sądził, że to zbyt ryzykowne? Oczywiście, o to chodzi! Mógł się obawiać, że ewentualne dramatyczne zakończenie ich romansu odbije się ujemnie na jego karierze. Musi mu dać do zrozumienia, że bez względu na to, czy będą ze sobą miesiąc, czy rok, czy zostaną się jako przyjaciele, czy też jako wrogowie, nie będzie to miało wpływu na jego sytuację w IBC. Wstała, podeszła do lustra i znów zaczęła przyglądać się swojej twarzy. O Boże, skóra na policzkach obwisła na cal albo więcej. Doszło do tego tak niepostrzeżenie. Naciągnęła skórę na twarzy. Teraz wygląda lepiej. Nie ma na co czekać, od jutra zaczyna szukać lekarza. No i trzeba zacząć brać jakieś pigułki. Ostatni okres miała pięć miesięcy temu i nocne poty stały się nieznośnym utrapieniem. Jak tu pozwolić na to, żeby będąc w łóżku z takim mężczyzną jak Robin, obudzić się w środku nocy oczekując potem?

Narzuciła szlafrok. Dziwne, że Gregory nie przyszedł powiedzieć jej dobranoc i ostrzec ją po raz ostatni, że naprawdę zamierza skończyć z wydawa-

niem przyjęć. Pójdzie ucałować go w czoło, jeśli jeszcze nie zasnął. Kiedy podjęła decyzję, że zrobi coś ze swoją twarzą, i że nie zrezygnuje z Robina, poczuła, że ogarnia ją na nowo uczucie radosnego podniecenia. Powinna powiedzieć Gregory'emu o zamierzonej operacji plastycznej, wyjaśnić mu, że robi to wyłącznie dla zaspokojenia własnej próżności. Jej nieobecność da się łatwo wytłumaczyć. Rozgłosi, że jedzie do Rzymu, z wizytą do Connie.

Gdy znalazła się w jego sypialni, uśmiech zniknął z jej twarzy.

Gregory leżał w ubraniu, wyciągnięty w poprzek łóżka. Panika i wyrzuty sumienia chwyciły ją za gardło.

— Greg — szepnęła cicho.

— Mam wrażenie, że z tym grzańcem połknąłem i kamień — jęknął.

Odetchnęła z ulgą. — Stara śpiewka, mówisz tak co roku, a pijesz najwięcej piwa ze wszystkich. Akurat nikt cię do tego nie zmusza, możesz poprzestać na whisky. Chodź, rozbieraj się.

— Judith, jak tylko próbuję się ruszyć, przesywa mnie ból nie do zniesienia.

— Przynieść ci Alka Seltzer?

— Już wzięłem dwie.

— Słuchaj, nie możesz tak leżeć w ubraniu. Chodź, wstawaj.

Spróbował usiąść, lecz zaraz zgiął się wpół i skrzywił twarz w grymasie bólu. Był błądy jak ściana i patrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem. — Judith, to co innego.

Natychmiast znalazła się przy jego łóżku. — Gdzie cię boli?

— Tu, w brzuchu.

— To na pewno niestrawność, Greg. Zdejmij ubranie i spróbuj się rozluźnić.

Gdy się poruszył, z jego gardła wydobył się straszliwy krzyk bólu. Biegiem rzuciła się do telefonu, żeby zadzwonić po lekarza.

Zauważyła, że Gregory wcale jej nie zatrzymywał. Siedział skurczony na łóżku, kiwając się w przód i w tył.

Doktor Spineck przybył po dwudziestu minutach. Judith czekała na dole, żeby go wpuścić. — Dobrze, że jesteś.

— Dobrze, że akurat byłem wolny. Z tego co mówisz, wynika, że to nie serce.

— Normalna, ordynarna niestrawność. Tak mi przykro, że musiałam cię tu ściągać, ale po raz pierwszy ma takie objawy.

Gdy doktor go badał, czekała pod drzwiami. Kiedy ją wreszcie wezwał, Gregory siedział w ubraniu na krześle, zupełnie już uspokojony.

— Dałem mu zastrzyk przeciwbólowy z Demerolu — powiedział doktor Spineck. — Przypuszczam, że to woreczek.

— A więc nic poważnego? — Zabrzmiało to raczej jak stwierdzenie, niż pytanie.

— Trzeba będzie zrobić badania. Masz rację, to nic groźnego, ale nie należy do przyjemności.

Do szpitala pojechali samochodem doktora. Gregory'ego położono w نارóżnym pokoju, wezwano pielęgniarki i pobrano krew. Judith została wyprowadzona na korytarz, gdzie siedziała paląc papierosa za papierosem. Po pół godziny zjawił się wreszcie doktor Spineck.

— Sprawa nie jest tak prosta, jak nam się na początku wydawało. Ma kamień w przewodzie żółciowym i konieczna jest natychmiastowa operacja. Wezwałem doktora Lesgarna, będzie tu łada moment.

O pierwszej w nocy Gregory został wywieziony z pokoju na wózek operacyjny. Siostra oddziałowa przyniosła jej trochę kawy. Judith siedziała przy pustym łóżku, na którym przed chwilą leżał Gregory, i czekała. Musiała się zdrzemnąć, ponieważ w pewnej chwili poczuła, że ktoś ją budzi dotknięciem w policzek. Poderwała się, powiodła po pokoju błędnym wzrokiem, ale zaraz zdała sobie sprawę, gdzie się znajduje. Spojrzała na zegarek — dochodziła czwarta rano. Jej wzrok padł na łóżko, w którym powinien leżeć Gregory. W panice popatrzyła na doktora Spinecka. Ten uśmiechnął się.

— Z Gregorym wszystko w porządku. Leży w sali pooperacyjnej. Będzie musiał tam zostać jeszcze przez jakiś czas. Załatwiłem pielęgniarki, będą siedziały przy nim bez przerwy.

— Czy wyjdzie z tego?

Skinął głową. — Już od dawna musiał mieć te kamienie. Operacja była cięższa, niż się spodziewaliśmy. Tylko z tym wszystkim nie może prosto z łóżka wracać do pracy — przez resztę zimy musi być na zwolnieniu i wypoczywać.

— Nigdy się na to nie zgodzi — odparła Judith.

— Musi. Nie jest już taki młody. Nikt z nas zresztą nie jest. Ta operacja była dla jego organizmu szokiem. Wątpię, czy będzie w stanie przez następnych kilka miesięcy zająć się poważnie czymkolwiek.

— Ile upłynie czasu, zanim tutaj wróci?

— Nie zwozą go na dół wcześniej niż o dziesiątej, jedenastej rano. Chodź, zabiorę cię do domu.

Zbliżał się świt, kiedy wreszcie położyła się do łóżka. Biedny Gregory, tak nie znosi bezczynności. Przez całą zimę będzie musiał siedzieć w Palm Beach, a... Nagle ogarnęło ją uczucie nienawiści do samej siebie. Jak mogła

zaprztać sobie głowę Robinem? Łzy napłynęły jej do oczu. — Tak cię Kocham, Gregory — szeptała z głową wtuloną w poduszkę. — Tak bardzo. Błagam, wyzdrowiej. — Przysięgła sobie, że od tej pory nie pomyśli nawet o Robinie, lecz składając tę przysięgę, dobrze wiedziała, że jej nie dotrzyma. Gdy tak leżała samotnie w ciemnym pokoju, znów przepełniło ją uczucie wstępu, zdała sobie bowiem sprawę, że chciałaby wiedzieć, z którą z kobiet Robin spędza dziś noc.

Robin zaś leżał zupełnie sam na wąskim łóżku, w małym pokoju, w Harvard Club. Po raz pierwszy tej nocy pojawił się na jego twarzy uśmiech. Dobrze, że Maggie podłożywszy ogień, uznała przynajmniej za stosowne ostrzec portiera. Gdy zobaczył na podłodze walizkę, a na łóżku niedopalone pudełko zapalek, domyślił się, że to ona. Sytuacja zaczynała go bawić. Roześmiał się głośno na myśl, że Maggie przyłapała Dianę z jego członkiem w ustach. Najgorsze było to, że on sam pozostawał kompletnie nieczuły na pieszczoły Diany. Patrząc na sprawę od tej strony, można było tylko cieszyć się z pożaru — nigdy bowiem nie miały orgazmu przy tej zwariowanej babie, która zresztą nie miała zielonego pojęcia, jak dogodzić mężczyźnie, a jej zęby były ostre jak brzytwa. Tak, ogień pojawił się w samą porę. Dianę też otrzeźwiły płomienie i bez protestów dała się odwieźć do hotelu. Ale po co, u diabła, zaprosił ją do siebie? Umowę podpisał w restauracji, więc jeśli czuł, że musi się jej koniecznie w jakiś sposób odwdziaczyć, mógł przecież z nią pójść do jej hotelu. Archie miałby na to wytłumaczenie: że pragnął widocznie dać się złapać na gorącym uczynku i w ten sposób pozbyć się Maggie. Dobra, stało się. Będzie go to kosztowało sypialnię oraz utratę Maggie Stewart. Ściągnął lekko brwi, lecz zaraz uśmiechnął się z przymusem. Hej, Conrad, to ty straciłeś Maggie, nie ja. Jesteś skończony, gnojku, skończony.

W przypiływie nagłego impulsu, podniósł słuchawkę i kazał się połączyć z Western Union. Gdzie ona może teraz być? Dobra, wyśle telegram do Century Pictures. Jakos do niej dojdzie.

X o trzech dniach błąkania się po licznych skrytkach, telegram został doręczony Maggie w Melton Towers. Zawierał następującą treść:

COFAM WSZYSTKO! ZOSTANIESZ GWIAZDĄ.
JESTEŚ SZALONA.

ROBIN

Judith całe dni spędzała przy łóżku Gregory'ego. Dopiero teraz zauważyła, że jej mąż farbuję sobie włosy. Nie przyszłoby jej do głowy, że rudy kolor je-

go czupryny z lekka tylko przetykanej siwizną, nie jest całkiem naturalny. Nim upłynął tydzień, spostrzegła, że więcej w niej siwych niż rudych włosów, szczególnie z tyłu, na karku. Jego nie goloną twarz pokrywał teraz siwy zarost; zupełnie nieoczekiwanie, prawie z dnia na dzień, Gregory przeobraził się w starego człowieka. Zauważyła, że stan jego zdrowia uległ poprawie, gdy znów zainteresował się tym, co się dzieje na świecie. Pod koniec drugiego tygodnia zaczął sprawdzać wskaźniki oglądalności. Posłał też po fryzjera, a Judith kazał iść po zakupy lub po cokolwiek innego. Gdy wróciła o piątej, jego włosy miały z powrotem dawny, rudy odcień: zamiast szpitalnej, założył swoją własną, jedwabną pidżamę i czytał „Timesa”. Teraz znów w każdym calu był prezesem IBC, stracił jednak sporo na wadze i po raz pierwszy wyglądał na swój wiek. Nagle przeraziła ją myśl: a jaki ona, Judith, miałaby wygląd, gdyby przeszła przez podobne piekło? Od piętnastu lat Andre farbował i układał jej włosy. Na Boga, przecież mogła przez ten czas zupełnie osiwieć. A co by zostało z jej twarzy bez makijażu!

Gregory odłożył czasopismo, podniósł słuchawkę i poprosił o połączenie z IBC.

— Proszę cię, kochanie, obaj, doktor Lesgarn i doktor Spineck, powtarzają w kółko — żadnej pracy. Kiedy stąd wyjdiesz, będziesz musiał iść na urlop.

— Właśnie mam taki zamiar. Całą zimę spędzimy w Palm Beach. To będą moje pierwsze wakacje od tylu lat. — Ujął jej dłoń. — Judith, czuję taką cholerną wdzięczność dla losu za to, że to był tylko woreczek. Miewałem bóle już od jakiegoś czasu, ale zawsze przechodziły. Teraz mogę ci się przyznać — bałem się iść do lekarza. Byłem pewien, że to rak. Gdybym tylko mógł, zacząłbym krzyczeć z radości, kiedy powiedzieli, że to kamień. Tej zimy będę wreszcie z przyjemnością grał w golfa, będę się cieszył, że jestem z tobą. Dzwonię po to, żeby uporządkować moje sprawy.

Zadzwoił najpierw do Cliffa Dorne'a z wydziału prawnego. — Cliff, bądź u mnie za pół godziny, a teraz połącz mnie, proszę, z Robinem Stone'em.

Robin Stone i Cliff Dorne przyszli o piątej trzydzieści. Judith spoczywała w obszernym fotelu. — Chcesz, żebym podczas waszej rozmowy zaczekała na korytarzu? — zapytała.

— Nie, Judith, zostań — powiedział Gregory. — To poważna sprawa. Chcę, żebyś przy tym była. Robin, co ty na to, żeby objąć stanowisko dyrektora generalnego IBC?

Robin milczał, odezwał się za to Cliff. — Dyrektora w IBC? — powtórzył. — A jakie stanowisko zajmuje Dan Miller?

Gregory wzruszył ramionami. — Dan jest prezesem sieci.

— Co więc oznacza to nowe stanowisko?

— Jest to fucha, którą właśnie stworzyłem. Oznacza po prostu podział władzy na czas mojej nieobecności.

— Czy sądzisz, że Dan będzie siedział cicho, gdy się dowie, że Robin zajął równorzędną pozycję? — spytał Cliff.

— Sądzę, że tak, ponieważ zachowa władzę. Do tej pory musiał opowiadać się przede mną, a teraz będzie to robił za pośrednictwem Robina.

Cliff skinął głową. Dopiero teraz spojrzeli na Robina.

— Przykro mi, ale muszę odmówić.

— Czyś ty zwariował? — wykrzyknął Gregory.

— Trzeba być wariatem, żeby podjąć się takiej pracy. Widzę to w ten sposób — przez dwa miesiące będę na noże z Danem, po to tylko, żeby cieszyć się złą sławą stróża prawa i być chłopcem na posyłki. Kiedy ty, pięknie opalony, przyjedziesz z Palm Beach, ja będę musiał iść z powrotem na swoje miejsce — do działu informacji. W podarunku dostanę od Dana jeden z jego wrzodów i narobię sobie kupę wrogów.

— Kto powiedział, że wrócisz do dzienników? — spytał Gregory.

— Zakładam, że ta praca jest tylko na jakiś czas. Każde sztucznie stworzone stanowisko ma to do siebie.

Gregory w zamyśleniu tarł podbródek. — Może na początku miałem taki zamiar, lecz im dłużej o tym myślę, tym bardziej podoba mi się pomysł stworzenia takiego układu na stałe.

— Jestem przede wszystkim reporterem.

— Gówno prawda. Z *Wydarzenia* zrobiłeś kawałek prawdziwej rozrywki. Odszedłeś od formuły programów informacyjnych nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Gdybym cię nie znał, mógłbym podejrzewać, że zależy ci na władzy.

Robin uśmiechnął się z lekka i utkwiał w nim stalowe spojrzenie. — Skąd wiesz, a może mi właśnie zależy?

Na ustach Gregory'ego też pojawił się uśmiech. — Nie lubię być gołosłowny. Akurat z tej lekcji jestem dobrze przygotowany. — Siegnął ręką po plik papierów na nocnym stoliku. — Nie wierzysz mi? Okay. Pochodzisz z Bostonu. Któregoś dnia odziedziczysz swoją część majątku. Twój ojciec był w Bostonie jednym z najznakomitszych prawników. Twoja matka mieszka w Rzymie. Nie czuje się zbyt dobrze... przykro mi. Masz też siostrę w San Francisco, która wyszła bogato za mąż. Facet z takim pochodzeniem jak ty, lubi przykładać się do pracy. Poczucie bezpieczeństwa siedzi w nim głęboko, nie prześladuje go głód władzy. Weź na przykład mnie, wychowałem się na Dziesiątej Alei, a pewien mój kumpel z dzieciństwa poszedł na krzesło. Historyjka jak z filmu z Bogartem, ale zdarzyła się naprawdę. Niektóre chłopaki

z mojej kamienicy wyrobili się jako lekarze, prawnicy, dyplomaci. Chodzi o to, że tym chłopakom naprawdę zależało na znaczeniu. Jeśli znaleźli się wśród kryminalistów, to nie bawili się w okradanie ludzi. Brali się wyłącznie za mokrą robotę. W biznesie też — szli od razu na noże. Ja jestem drapieżcą, Robin. Dan tak samo. Ty nim nie jesteś. Nigdy w życiu nie powierzyłbym ci prowadzenia finansowych spraw sieci. Z *bliska* zawsze poważnie przekraczało budżet. Zrobił się z tego program wyłącznie prestiżowy. Dopiero odkąd u steru zasiadł Andy Parino, a Cliff ma oko na wszystko, zaczął przynosić jakieś pieniądze.

— Wcale nie jest tak dobrze — odpowiedział Robin. — Planowałem spotkanie z Andym w przyszły poniedziałek. Za dużo w tych programach nowojskiego klimatu, przydałoby się trochę europejskiego zapaszku.

— Nie będzie żadnego spotkania — uciął krótko Gregory. — Kiedy mówiłem przed chwilą o tobie i o finansach, właśnie to miałem na myśli. Program ma niezłą oglądalność i wyciągnemy z niego jeszcze trochę forsy w przyszłym sezonie. Całe szczęście, że niezłe pieniądze zarabiamy na *Wydarzeniu*, nawet pod twoim kierownictwem. — Gregory uśmiechnął się, żeby załagodzić swą zgryźliwą uwagę. — Nie po to jednak cię tu zaprosiłem, żeby ci robić wykład na temat zarządzania telewizją. Dan zna się na tym całkiem niezłe, a Cliff jeszcze lepiej. A co się tyczy Dana, to nigdy nie poparłby produkcji, która nie przyniesie zysku.

— A co z jakością? — spytał Robin.

— Ludzi nie obchodzi jakość. Mamy kilka programów na poziomie, ale one nie wytrzymują konkurencji. Wiesz, czego ludzie naprawdę chcą? Gówna. Dokładnie. Wskazuje na to wysoka oglądalność starych filmów, wyciągniętych z lamusa. Na to na razie nie idę. Jak długo się da, będę w godzinach najlepszej oglądalności dawał nowe programy. Co nie oznacza, że przestaniemy być telewizją komercyjną. Dan jest świetny w komercji. Chodzi o to, żeby połączyć twój styl i jego smykałkę — i mam w ręku wygrany los na loterii.

Robin zetknął czubki palców i przyglądał się im przez jakiś czas. Następnie podniósł wzrok. — A kto przyjdzie na moje miejsce?

— Ty kogoś zaproponuj.

— Andy Parino.

— Nie sądzę, żeby się nadawał — odparł Gregory.

— Będę miał na niego oko. Będzie się u mnie meldował.

Gregory skinął głową. — W porządku.

— A co z umową? — spytał Robin.

— Dan nie ma żadnej umowy.

— Ale ja chcę mieć.

— Na jaki okres?

— Na rok. — Uwadze Robina nie uszedł wyraz ulgi, który przemknął po twarzy Gregory'ego. — Zdaję sobie sprawę, że nic może z tego nie wyjść. Ale chcę, żebyś o jednym wiedział. Nie mam zamiaru wisieć przy telefonie i słuchać ci za partnera do rozmów, chcę naprawdę być dyrektorem IBC. Będę przychodził do ciebie z moimi własnymi pomysłami i będę ich bronił, jeśli okażą się dobre. Ale chcę mieć na to cały rok. Trudno wyrokować po sześciu miesiącach. Zobaczmy po roku — albo coś z tego wyjdzie, albo zrzekam się stanowiska i wracam do dziennika.

Gregory skinął głową. — Uczciwie stawiasz sprawę. Pasuje ci sześćdziesiąt tysięcy rocznie plus koszty?

— Śmiesznie mało.

— Dan zaczynał od pięćdziesięciu.

— Ile zarabia obecnie?

— Siedemdziesiąt pięć, plus koszty, plus akcje.

Robin pokiwał głową. — To już wygląda lepiej.

Gregory nie odzywał się przez chwilę. Potem skrzywił usta w uśmiechu.

— Podobasz mi się. Masz przebicie. Cenię cię też za to, że masz ochotę przejąć pałeczkę. W porządku, Cliff, przygotuj tekst umowy. — Wyciągnął rękę do Robina. — Życzę powodzenia, dyrektorze.

Na twarzy Robina pojawił się uśmiech.

— Pozwolę sobie złożyć na ręce prezesa rady nadzorczej życzenia udanych wakacji. — Spojrzał na Judith i mrużąc oczy, odezwał się z nutką intymności w głosie: — Niech się pani dobrze opiekuje Gregorym, pani Austin.

Wieści o nowym dyrektorze obiegły Madison Avenue z huraganową szybkością. Dan Miller był zaszokowany, lecz udawał, że on sam wymyślił to wszystko. Na konferencji prasowej, z uśmiechem na twarzy, oświadczył:

— Robin Stone nadaje się na to stanowisko. Musimy mieć na miejsce Gregory'ego kogoś, kto ostro zabierze się do pracy.

Tymczasem godzinami wpatrywał się w horyzont za oknem, zastanawiając się, co ludzie w firmie naprawdę myślą o tej aferze. Łykał proszki uspokajające, unikał „21” oraz innych lokali, w których mógłby się natknąć na dziennikarzy. Wieczorami zaszywał się w swoim mieszkaniu, a gdy dowiedział się, że Robin nagrywa program rozrywkowy z Dianą Williams, zaczął się modlić w duchu, żeby Diana, jak to miała w zwyczaju, zerwała nagranie, pozostawiając Robina z ręką w nocniku.

W styczniu obawy Dana zaczęły maleć. O tym, które programy zostaną zdjęte, zdecydowano już parę miesięcy wcześniej. Co do nowych, Gregory

wydał decyzję w listopadzie. Niektóre z nich miały jakie takie powodzenie, inne okazały się większymi hitami niż się spodziewano. Zbliżał się czas przeglądu nowych pilotów seriali przewidzianych na sezon jesienny.

W lutym uczucie zagrożenia opuściło go zupełnie. I wtedy właśnie dowiedział się o nowym biurze Robina. Robin dostał całe piętro w nadbudówce na dachu ich wysokościowca. Cała amfilada pokoi na samej górze! Dan jak burza wpadł do pokoju Cliffa Dorne'a.

Cliff próbował zbagatelizować całą sprawę.

— Sam powiedz, gdzie mieliśmy go wsadzić? Andy Parino wziął pokoje po Robinie. Tam już nie ma miejsca. A na górze Gregory trzymał pod kluczem około tysiąca stóp kwadratowych metrażu. Ciągłe powtarzał, że zrobi tam saunę i salę gimnastyczną. Tylko z braku miejsca daliśmy górę Robinowi.

— W porządku, rozumiem, tylko jak ja teraz wyglądam, kiedy on dostaje wspólne piętro z Gregorym?

Cliff westchnął.

— Dobrze, powiedz mi, gdzie mam go upchnąć, a chętnie przyznam ci rację.

— To ja powinienem dostać górę — uciął krótko Dan. — A Robina trzeba było przenieść na moje miejsce.

Cliff uśmiechnął się.

— Nie powinien tego mówić człowiek, który rozpowiada wszystkim naokoło, że Robin właściwie poszedł w odstawkę. Wsadzenie go do twojego pokoju oznaczałoby naprawdę jedno — że to ciebie wysadzono z siodła. I to na dobre.

W ten sposób Cliff zamknął mu usta. Gazety prześcigały się w plotkach na temat awansu Robina, który początkowo odmawiał jakichkolwiek komentarzy. W końcu skapitulował i w dzień objęcia swej nowej siedziby, udzielił dziennikarzom obszernego wywiadu.

Gdy stanął za biurkiem, posypał się na niego grad pytań. Odpowiadał chętnie, lecz wymijająco. Mimo jego uników, dziennikarze nie dawali za wygraną, czując, że mają w rękę dobry temat. Jako były żurnalista, Robin świetnie ich rozumiał. Ich zadanie polegało właśnie na tym, żeby wydobywać na światło dzienne ukryte sensacje.

— Porozmawiajmy lepiej o telewizji, zamiast o moim nowym stanowisku — powiedział z uśmiechem Robin.

— Co zatem może nam pan powiedzieć o telewizji? — spytał jakiś młody człowiek.

— Telewizja przypomina ośmiornicę. Nie jest to, jak dawniej, niewinny szklany ekran. Współczesna telewizja to Fabryka Miłości.

— Co ma pan na myśli?

— Telewizja to firma, która produkuje miłość i ją sprzedaje. Człowiek, który występując przed kamerą potrafi uwieść widzów, może zostać wybrany prezydentem. Są politycy, z których telewizja zrobiła gwiazdy filmowe, są znani aktorzy, z których telewizja zrobiła polityków. Telewizor zapewnia, że bez trudu znajdziesz sobie partnera, jeśli będziesz używał właściwego płynu do płukania ust. Ręczy, że nie opędzisz się przed kobietami, jeśli zastosujesz odpowiedni żel do włosów. Dzieciom wmawia, że dzięki płatkom owsianym będą wyglądały jak ich baseballowe bożyszcza. Lecz, podobnie jak wszyscy wielcy uwodziciele, ten kombajn produkujący miłość jest niewiernym łajdakiem. Obdarzony wielką siłą magnetyczną — jest jednak pozbawiony serca, zamiast którego tłuka mu się w środku wskaźniki oglądalności Nielsena. Gdy Nielsen słabnie, program pada. Oto serce i tętno dwudziestego wieku — automat produkujący miłość.

Wszystkie gazety podchwyciły temat. Dan czytał je z ponurym wyrazem twarzy. Szczególnie zabolął go fakt, że felietoniści wymyślili dla Robina przezwisko: Maszyna do Kochania. *Być może, miał na myśli samego siebie* — pisał Ronnie Wolfé. — *Znany jest skądinąd z tego, że dla pięknych dziewcząt znajduje zawsze czas. I podobnie jak urządzenie, o którym mówił, potrafi się z równą łatwością wyłączać.*

Dan cisnął gazetę na podłogę. Do cholery, to mu przyniesie jeszcze większy rozgłos. Wystarczy wspomnieć, że lecą na kogoś baby, a zaraz wszyscy zaczynają paplać o „charyzmatycznej osobowości” faceta! Sięgnął po następny proszek uspokajający i zaczął się zastanawiać, co też ten skurwysyn może teraz robić w swoim luksusowym biurze. Co nowego znowu wymyślił? Termin rozpoczęcia prób z Dianą Williams przesunięto o dwa tygodnie. Gazety doniosły, że Byron Withers — główny męski bohater rewii — wycofał się twierdząc, że z powodu Diany dostał tekst, okrojony względem pierwotnego scenariusza. Że też taki aktorzyzna po trzech filmach ma czelność szukać szczęścia na Broadwayu i jeszcze domagać się równych praw z Dianą Williams! I chociaż czyhał tylko na klęskę Robina, musiał przyznać, że Dianie nie brakuje talentu. Odłożył gazetę, mając nadzieję, że ktoś umyślnie przedstawił sprawę w fałszywym świetle i że powodem prawdziwych kłopotów z realizacją programu jest tylko i wyłącznie Diana.

Robin również zastanawiał się nad tym, czy Diana przypadkiem nie zaczyna się biesić. Może jest na prochach albo pije? Ike Ryan przysięgał, że jest w świetnej formie i nie może się doczekać rozpoczęcia prób. — Startujemy, kiedy tylko znajdziemy faceta do głównej roli — powiedziała Ike. — Nie musi nawet dobrze śpiewać, byle tylko miał odpowiednią prezencję.

Miał właśnie iść do sali projekcyjnej, kiedy zajrzała sekretarka. — Jest u mnie pan Nelson, chce się z panem zobaczyć.

Przez moment Robin patrzył na nią tępym wzrokiem, więc dodała pospiesznie. — Dip Nelson, aktor filmowy.

Twarz Robina rozjaśnił uśmiech. — Jasne, prosz.

Dip wszedł do gabinetu zamasztył krokiem, obrzucając sekretarkę promiennym uśmiechem. Zatrzepotała rżęsami z wrażenia i potykając się wy-
padła z pokoju. Robin roześmiał się. — Czterdziestolatka, a ponadto dziewica. Nigdy tego nie zapomni.

Dip wzruszył ramionami. — W tej sytuacji mogę ją nawet poklepać po pupie, kiedy będę wychodził — niech zazna przed śmiercią chociaż jednej chwili prawdziwego szczęścia. — Gwizdnął z podziwem, rozglądając się po pokoju. — Nieźle się urządziłeś, chłopie.

— Jak leci, Dip?

Przystojny, jasnowłosy mężczyzna usiadł w fotelu i przerzucił przez poręcz swe długie nogi. — Tak między nami, stary, do kitu.

— A co z twoim angażem do Sali Perskiej? Czekałem na zapowiedzi i...

Dip znów wzruszył ramionami. — Zdechł nam program. Byliśmy w trasie przez ponad rok i doiliśmy z niego, ile się dało. Nie miałem jednak odwagi pokazać go w Nowym Jorku. Przemyslałem rzecz i doszedłem do wniosku, że z Pauli jakoś mi nie wychodzi.

— Chcesz powiedzieć, żeście się rozstali?

— Co ty! Bracie, nigdy nie było lepiej. Tylko że kiedy gramy razem, nasze osobowości jakoś nie pasują do siebie. W komediowych kawałkach, widzisz, albo kiedy śpiewa solo — jest wspaniała. Ja też jestem świetny w swoich starych piosenkach i numerach tanecznych. Na moich parodiach ludzie konają ze śmiechu. Przysięgam, kiedy robię Godfrefya, to, kochany, powiadam ci: nikt nie jest w stanie dostrzec różnicy. Ted Lewis jest przekonany, że słucha samego siebie, kiedy pytam: „Wszyscy zadowoleni?” Podobno, mówił mi mój agent, Ike Ryan szuka kogoś do głównej roli w spektaklu z Dianą Williams. Wielki Dip jest stworzony do tej roli. Pamiętasz, mówiłeś, że wiele mi zawdzięczasz? Więc może mógłbyś wziąć mnie i Pauli do programu Christiego Lane'a? Byłby to za jednym zamachem występ próbny przed Ike'iem i jakie takie zahaczenie. Słyszałem, że gościom płacą po pięć kafli. Przy okazji zrobi się wokół Pauli trochę hałasu. I tak się wścieknę, kiedy usłyszy, że będę grał główną rolę obok Diany Williams zamiast obok niej, ale jeśli to wyjdzie od Christiego Lane'a, nie przyjdzie jej do głowy, że sam sobie załatwiłem tę fuchę.

— Dobra, zajmę się tym. Od kiedy możesz zaczynać?

— Od wczoraj.

Robin podniósł słuchawkę i poprosił do telefonu Jerry'ego Mossa.

— Jerry, powiedz no, co za gwiazdę macie w najbliższym programie Christiego Lane'a? Lona Rogersa? Skasujcie go. Naprawdę guzik mnie interesuje, że to Artie Rylander go wybrał — IBC zwróci mu forszę. Na ich miejsce dajcie Pauli i Dipa Nelsonów. Gdyby były jakieś sprzeciwy, powiedz, że to ja nadałem sprawę. Dobra, możesz powiedzieć, że nie cierpię Lona Rogersa i kazałem go odwołać... Do diabła, nie mówię tego poważnie. Uważam, że Lon nie jest gorszy od innych naszych śpiewaków barytonowych, ale chcę, żeby zamiast niego zaproszono Dipa i Pauli. Jasne?

Odłożył słuchawkę i spojrzął z uśmiechem na Dipa. — Załatwione.

Dip z podziwem pokiwał głową. — No, no, bracie, kawał drogi zrobiłeś do przodu od czasów, gdyśmy klepali wspólną biedę.

Następnego ranka sekretarka powiadomiła Robina, że Dan Miller czeka na niego pod gabinetem. Robin rozmawiał właśnie z Gregorem, który dzwonił z Palm Beach. — Niech czeka — polecił sekretarce.

Dan nie posiadał się ze złości. Kiedy wreszcie został wpuszczony, już w drzwiach zaczął wyrzucać z siebie słowa pełne jadu: — Nie dość, że wtrącasz się do moich spraw pod byle pozorem, to jeszcze każesz mi czekać pod drzwiami.

— Jakież to pilne sprawy sprowadzają cię do mnie osobiście? — spytał Robin z serdecznym uśmiechem.

Dan stał przed nim z zacisniętymi pięściami. — Zabierasz się teraz za obсадę? Jak śmiałeś za plecami Artiego Rylandera wsadzić do mojego najlepszego programu te dwie miernoty.

— Chciałeś powiedzieć: do najlepszego programu IBC — odrzekł Robin.

— Ciekawe, jak zamierzasz się z tego wytłumaczyć? — spytał Dan ostrzegawczo.

Robin popatrzył na niego chłodno. — Przystałem się tłumaczyć przed kimkolwiek, odkąd skończyłem pięć lat.

— Dlaczego znaleźli się w programie? — Dan zacisnął usta ze złości.

— Ponieważ akurat ja ich lubię. Są nowi. Nie pokazywali się jeszcze w telewizji. Już to wystarczy, żeby ożywić program. Mam osobiście dość oglądania w kółko tych samych hollywoodzkich nazwisk i płacenia im po pięć tysięcy tylko po to, żeby nazajutrz zobaczyć te same gęby w towarzystwie Johnny'ego Garsona, Merva Griffina albo Mike'a Douglasa. Od dziś w ogóle zabraniam angażowania twarzy, które się opatrzyły.

— Słuchaj, ty skurwysynu...

Zadzwoił aparat. Robin nacisnął guzik.

Dał się słyszeć głos sekretarki: — Potwierdziliśmy pańską rezerwację do Rzymu, panie Stone.

— Do Rzymu! — Dan wyglądała tak, jakby za chwilę miał dostać zawału serca. — Po cholere jedziesz do Rzymu?

Robin wstał. — Ponieważ moja matka jest umierająca. — Przeszedł obok Dana i zatrzymał się przy drzwiach. — Gregory dał mi zezwolenie, bym pozostał tam tak długo, jak to będzie potrzebne. Mam nadzieję, że poradzisz sobie beze mnie przez parę dni.

Kiedy wychodził, Dan tkwił nadal w bezruchu na środku pokoju, nie odrywając wzroku od pleców Robina.

Rozdział dwudziesty siódmy

Na lotnisku Robina powitał Sergio.

— Nie wysyłałem wcześniej telegramu — wyjaśnił chłopak. — Myśleliśmy, że to kolejny atak. Ale wczoraj doktor powiedział, że trzeba zawiadomić rodzinę. Czy dobrze zrobiłem?

— Bardzo dobrze, Sergio. — Zauważył, że oczy chłopca są pełne łez. Poczekał, aż znajdą się w samochodzie, i zapytał: — W jakim jest stanie?

Kątem oka dostrzegł łzę spływającą po policzku Sergia. — Wciąż nie odzyskała przytomności.

— Czy zawiadomiłeś moją siostrę? — spytał Robin.

— Tak, Lisa i Richard są w drodze. Znalazłem ich w książce adresowej Kitty. Wysłałem do nich taki sam telegram jak do ciebie.

O dziesiątej rano dotarli do kliniki. Robinowi zezwolono zaledwie rzucić okiem na woskową twarz pod namiotem tlenowym. Kitty zmarła tej samej nocy, o godzinie jedenastej trzydzieści, nie odzyskawszy przytomności. Lisa i Richard przybyli godzinę później. Lisa wpadła w histerię i trzeba jej było dać środek uspokajający. Richard, stoicki i bezradny, stał z beznamiętnym wyrazem twarzy.

Następnego ranka Robin, Sergio i Richard spotkali się z prawnikiem Kitty, żeby omówić sprawy związane z pogrzebem. Testament Kitty, który musiał być jeszcze zatwierdzony w Stanach, dzielił majątek równo między Robina i Lisę; willa we Włoszech, samochód i cała biżuteria przypadały w udziale Ser-

giowi. Lisa przeleżała w łóżku cały dzień. Następnego dnia, gdy Sergio i Robin kończyli drugą filiżankę kawy, pojawiła się w pokoju, blada i milcząca.

— Kitty życzyła sobie, żeby jej zwłoki zostały spalone — powiedziała Robin. — Załatwiliśmy wczoraj pozwolenie. Richard podpisał zgodę w twoim imieniu.

Lisa przez cały czas siedziała bez słowa. Nagle zwróciła się do Sergia:

— Czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby wypić kawę w innym pokoju? Chciałabym pomówić z bratem.

Oczy Robina zwięzły się.

— Ten dom należy do niego — powiedziała.

Ale Sergio zdążył już wyjść ze swoją kawą.

— Zachowałeś się po chamsku — rzekł Robin, ścisząc głos.

Lisa udała, że nie słyszy, i zwróciła się do męża: — Powiesz mi, czy ja mam to zrobić?

Richard zmieszał się na moment. Potem wyprostował się, a jego twarz przybrała wyraz powagi. Nabrał śmiałości i powiedział:

— Zamierzamy unieważnić testament.

— Co takiego chcecie w nim unieważnić? — zapytał ostrożnie Robin.

— Zapis matki dla Sergia. Wygramy tę sprawę.

— Co wam daje taką pewność?

Richard uśmiechnął się.

— Po wszczęciu postępowania, cały przypadający mu w udziale majątek zostanie zabezpieczony. Sergio będzie potrzebował pieniędzy na życie, a najwyraźniej jest bez grosza; za parę miesięcy wystarczy kilka tysięcy dolarów, żeby zrezygnował ze swoich praw. Rzecz jasna złożymy oświadczenie, że Kitty nie była w pełni władz umysłowych, gdy sporządziła testament, i że chłopak wymusił na niej ten zapis.

— Będę świadczył przeciwko — rzekł Robin twardo.

— Wystąpisz w obronie tego pedzia? — spytał Richard.

— Będę bronił każdego, kto potrafił okazać jej życzliwość.

— Zarządę śledztwo i udowodnię, że grał na uczuciach starej, chorej kobiety.

— Za kogo ty się uważasz, żeby cokolwiek udowadniać? Czyś ty w ogóle był tu przedtem? Czyś ty ich widział razem? A ja tak. I z tej przyczyny moje słowa będą bardziej wiarygodne niż wasze.

— Niestety nie. — W głosie Lisy zabrzmiał dziwny ton. — Tak się akurat składa, że mam w rękę dowody, które sprawiają, że twoje słowa utracą wiarygodność. A szum, który się zrobi wokół całej tej sprawy, może ci w telewizji nieźle zaszkodzić. Nie mówiąc już o życiu osobistym.

Richard rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

— Lisa, i tak wygramy tę sprawę drogą legalną. Po co wyciągać prywatne historie...

— Mogłam się tego po tobie spodziewać — rzuciła ostro Lisa. I zwracając się do Robina, powiedziała: — Kim ty zresztą jesteś w rzeczywistości? Bękartem, któremu się udało.

— Lisa! — W głosie Richarda zabrzmiało ostrzeżenie.

— A co? Dlaczego miałabym oszczędzić mu prawdy? Mam ogromną ochotę zobaczyć, jak mój wielki braciszek choć raz w życiu straci zimną krew! Dowiemy się w końcu, kto tu naprawdę jest człowiekiem z klasą. On ma tyle wspólnego ze mną, co ten pedał w drugim pokoju. — Odwróciła się do Robina. — Wzięli cię z sierocińca, gdy miałeś pięć lat.

Przerwała i czekała na jego reakcję. Lecz jedyną osobą, na której jej słowa wywarły wrażenie, był Richard. Odwrócił twarz do okna, żeby ukryć niesmak i zmieszanie.

Robin patrzył na nią wzrokiem pełnym spokoju.

— Liso, nic nie mogło mi sprawić większej satysfakcji niż świadomość, że nie jesteśmy ze sobą spokrewnieni w żaden sposób.

— Twoja matka była dziwka.

— Liso! — zaoponował Richard.

— Pozwól jej mówić dalej — powiedział Robin bez emocji.

— Przez kilka lat trzymałam to w tajemnicy. Wcześniej sama o niczym nie miałam pojęcia. Kitty wyjawiała mi wszystko, gdy zachorowała; oświadczyła, że jeśli będę miała kłopoty, mam się zwracać do ciebie o pomoc, bo jesteś silnym człowiekiem; i że kocha cię, jak własnego syna. Zaadoptowała cię straciwszy nadzieję, że kiedykolwiek zajdzie w ciążę, a bardzo pragnęła mieć dziecko. Ojciec miał znajomego specjalistę od prawa karnego, który opowiedział mu o dziecku w śpiączce, leżącym w szpitalu sierocińca w Providence. Kitty uparła się, żeby adoptować tego chłopczyka. Twoja prawdziwa matka została uduszona, o ojcu nic nie było wiadomo! A matka, moja matka otaczała cię uwielbieniem, ponieważ po dwu latach wydarzyła się rzecz niemożliwa — urodziła mnie! Nie jestem w stanie pozbawić cię prawa do dziedziczenia twojej części majątku; wszystko zostało przeprowadzone legalnie. To ojciec sporządził ten idiotyczny testament. Lecz z całą pewnością nie dopuszczę do tego, żeby przy twojej pomocy obłowił się ten pedał.

— Proszę bardzo. Spróbuj. Lubię ostrą walkę.

Zerwała się z krzesła, chlusnęła mu kawą w twarz.

— Zawsze wiedziałeś, że jesteś adoptowany! Nienawidzę cię, ty zimnokrwisty skurwysynu! — I wybiegła z pokoju.

Richard siedział zupełnie oniemiały, Robin spokojnie wycierał koszulę i twarz.

— Całe szczęście, że kawa zdążyła wystygnać — powiedział z uśmiechem.

Richard wstał. — Tak mi przykro. Na pewno nie chciała tego wszystkiego powiedzieć. Do jutra jej przejdzie. — Ruszył do drzwi. — Nie martw się, nie pozwolę wnieść sprawy do sądu.

Robin uśmiechnął się pogodnie.

— Chyba błędnie cię oceniałem, Jeżyku.

Ciało Kitty zostało spalone, a Lisa, nie pytając nawet Robina o zgodę, zabrała urnę. Następnego dnia oboje, ona i Richard, odlecieli do domu. Richardowi najwyraźniej udało się poskromić nieco gniew Lisy, gdyż nie wspominała już więcej o rewizji testamentu. Gdy drzwi zamknęły się za nimi, Robin przygotował sobie mocnego drinka. Sergio przyglądał mu się w milczeniu.

— Robinie, chciałem ci podziękować. Kiedy twoja siostra na ciebie napadła, siedziałem w pokoju obok. Trudno było nie usłyszeć, o czym rozmawialiście. Czy to prawda, że jesteś adoptowanym dzieckiem?

Robin skinął głową, a potem nieznacznie się uśmiechnął i powiedział:

— Owszem. Nie da się również ukryć, że ty doszedłeś do grubej forsy.

Chłopak kiwnął głową.

— Zostawiła mi dużo biżuterii — perły, dwudziestokaratowy szmaragd. Będę mógł wreszcie pojechać do Ameryki.

Robin gwizdnął przez zęby.

— Sergio, prawda jest taka, że trafiłeś na złotą żyłę.

— Miałem cię właśnie spytać, czy nie chciałbyś pierścionka albo naszyjnika dla swojej dziewczyny.

— Nie, zatrzymaj wszystko dla siebie. Byłeś przy niej, gdy cię potrzebowała.

Sergio przyglądał mu się z uwagą.

— Co zamierzasz teraz zrobić?

— Jedną rzecz na pewno. Spić się na umór. A do ciebie będę miał prośbę: załatw na wieczór jakieś dziewczynki — urwał nagle. — Powiedz, czy ciebie naprawdę nie interesują kobiety? Nic a nic?

Chłopiec przecząco pokręcił głową.

— Na Kitty też nie leciałem. Byłem po prostu jej dobrym przyjacielem.

— W porządku. Tej nocy zostań moim dobrym przyjacielem; chodź, idziemy na wódkę.

— Dobrze, pójdę z tobą, ale nie będę pił.

O drugiej nad ranem Robin szedł, zataczając się, po wybrukowanej koci-
mi łbami jezdni i głośno śpiewał. Miał niejasne uczucie, że przez cały czas Ser-
gio go podtrzymuje, żeby nie upadł. Kilka razy, gdyby nie on, leżałby na zie-
mi jak długi. Jeszcze nigdy w życiu nie był tak kompletnie zalany. Ostatnią
rzeczą, jaką pamiętał, było to, że zwałił się w ubraniu na łóżko; potem świad-
omość go opuściła.

Obudził się następnego ranka z pierwszym w swoim życiu kacem. Leżał
pod kołdrą rozebrany, w samych slipach. Do pokoju wszedł Sergio z filiżanką
czarnej jak smoła kawy. Robin przyjął poczęstunek i zapytał z ciekawością:

— Sergio, powiedz, kto mnie rozebrał?

- Ja.

— Jasna sprawa. Dobrze się zabawiłeś?

Sergio spojrzał na niego z głęboką urazą. — Słuchaj, wam się zdaje, że ho-
moseksualista poleci na każdego faceta. Czy gdybyś był z dziewczyną zalaną
w trupa, skorzystałbyś z okazji i przespałbyś się z nią tylko dlatego, że to ko-
bieta?

Robin uśmiechnął się przeproszająco.

— Wybacz, źle cię oceniłem. — I, żeby poprawić niemiły nastrój, spojrzał
na Sergia z żartobliwym uśmiechem. — Sergio, ja się po prostu czuję zawie-
dziony. Odnosiłem wrażenie, że ci się podobam...

Na krótką chwilę w ciemnych oczach zapłonęła iskierka nadziei, ale zaraz
zniknęła. Sergio spostrzegł uśmiech Robina. — Żartujesz sobie ze mnie, ale
tę bransoletkę, którą od ciebie dostałem, będę nosił zawsze. — Pokazał rękę.
— Wiem, że lubisz kobiety, ale ja sobie też znajdę kogoś, kto mnie pokocha.

Robin popijał kawę małymi łyżkami. Miała okropny smak, ale rozjaśnia-
ła umysł.

— Pogardzasz mną, prawda? Za to, że jestem taki.

— Nie, Sergio. Ty przynajmniej wiesz, kim jesteś i czego oczekujesz od
życia.

— Mężczy cię to, że nie wiesz, kim była twoja prawdziwa matka?

— Mężczy. Czuję się tak, jakbym trwał w stanie permanentnego zawiesz-
nia.

— Więc dowiedz się, kim ona była naprawdę.

— Słyszałeś, co powiedziała Lisa. Niestety, wszystko się zgadza. Mam
przy sobie, w portfelu, wycinek z gazety z informacją na ten temat.

— Do Niemiec nie jest daleko.

— Co masz na myśli?

— Znasz nazwisko matki, wiesz z jakiego pochodziła miasta. Może miała
krewnych, przyjaciół — mógłbyś się czegoś dowiedzieć.

— Daj spokój.

— Wystarczy ci gadanie Lisy i ten wycinek z gazety? Dobrze, jestem dzieciem, jak mnie nazwała. Ale jestem też człowiekiem. Może twoja matka była porządną kobietą? Musisz się dowiedzieć, jaka była naprawdę!

— Cholera, nie znam niemieckiego. Nigdy nie byłem w Hamburgu.

— Ja za to mówię po niemiecku i znam Hamburg jak pięć swoich palców. Robin uśmiechnął się. — Bóg obdarzył cię niejednym talentem, Sergio.

— Możemy być w Niemczech za kilka godzin. Będę ci towarzyszył.

Robin odrzucił kołdrę i wyskoczył z łóżka. — Wiesz co? Nigdy tam nie byłem i właściwie mam ochotę pojechać. Szczególnie ciekaw jestem Hamburga. Kiedyś zrzuciłem na to miasto parę bomb, więc widziałem je, niestety, tylko z lotu ptaka. Mam poza tym słabość do Niemek. Zarezerwuj bilety na samolot. Nawet jeśli niczego się nie dowiemy na temat mojej matki, to coś ciekawego zawsze się zdarzy.

Zatrzymali się w hotelu „Cztery pory roku”. W pokojach stały piękne, staroświeckie meble, na podłogach leżały perskie dywany, łóżka przykryte były ciężkimi, grubymi narzutami. Sergio pierwsze kroki skierował do telefonu i zaczął kolejno wydzwaniać do wszystkich Boechesów, którzy figurowali w książce telefonicznej. Robin zamówił butelkę wódki, usiadł przy oknie i z kieliszkiem w ręku patrzył, jak nad miastem zapada ciemność. Widział ludzi czekających na przystankach, matki z dziećmi uczeplonymi ich rąk, sklepy, które właśnie zamykano. Woda w rzece była ciemna i spokojna. Oto wrogowie, na których zrzucał bomby. Oto miasto, które Brytyjczycy nękali nalołami. Nie różniło się niczym od przeciętnego miasta w Ameryce. Nie słyszał prawie głosu Sergia, który w bezbłędnej niemczyźnie prowadził kolejne rozmowy telefoniczne. Przy ósmej głośno krzyknął z radości, szybko zapisał numer telefonu i adres.

— Udało się — powiedział, odkładając słuchawkę. — Ci Boechesowie są dalekimi kuzynami Herty. Jutro pójdziemy się z nimi zobaczyć.

— Dzwon dalej. Na świecie istnieje niejedna Herta.

Jo godzinie ustalili, że do Ameryki wyjechało pięć kobiet o nazwisku Herta Boeches. Jedna wciąż jeszcze mieszka w Milwaukee, więc ją skreślili. O innych zaginał wszelki śluch.

Sergio miał strapioną minę.

— Nie ustaliliśmy zbyt wiele, a plan wydawał się tak dobry! Naprawdę mi przykro.

— Przykro! Masz zamiar siedzieć tu i lać łzy? Pokaż mi przynajmniej Hamburg. Nie wiesz, czy mają tu jakieś dzielnice rozpusty?

Sergio roześmiał się głośno.

— Żadne miasto na świecie nie ma takiego nocnego życia jak Hamburg.

— Chyba żartujesz! Nawet Paryż?

— Paryżanie to w rzeczywistości ludzie bardzo pruderyjni. Nocne lokale w Paryżu przeznaczone są wyłącznie dla turystów. Chodź, pokażę ci prawdziwe nocne życie. Nie weźmiemy więcej niż sto dolarów i w recepcji rozmienimy na drobne. Tam, gdzie mam zamiar cię zabrać, łatwo mogą nas obrobić!

Złapali taksówkę; po niezbyt długiej jeździe Sergio powiedział taksówkarzowi, gdzie ma się zatrzymać. Wysiedli i dalej poszli już piechotą.

— To jest dzielnica St. Pauli — wyjaśnił Sergio.

Szli teraz jasno oświetloną ulicą. Światła płonęły tu jaśniej niż na Broadwayu, lecz najbardziej ze wszystkiego, uwagę Robina przykuwali przechodnie. Ludzie, tłumy ludzi, wędrujących beztrudno po wąskich uliczkach. Podobnie wyglądały przed świętami gromady kupujących na Piątej Alei, tyle że tutaj nikt się nigdzie nie spieszył. Ludzie włożyli się po ulicach zupełnie bez celu. Robin i Sergio szli w milczeniu omijając skupiska wielkich magazynów, domy aukcyjne, sklepy z meblami — cała ulica jarzyła się od neonowych lamp. Uliczni sprzedawcy, niczym amerykańscy licytatorzy, głośno zachwalali swój towar. Powodowany nagłym impulsem, Robin zatrzymał się przy kiosku z kiełbaskami.

— Proszę dwa razy Weisswurst.

Sergio spojrział z zaciekawieniem na jego talerz.

— Co to jest? Wygląda jak biały hot dog.

Robin wziął do ust kawałek białej kiełbasy i nabrał na widelec trochę dużej kapusty.

— Weisswurst. Nie jadłem tego od... — Zatrzymał się nagle, zupełnie oniemiały. — Zobaczyłem ją, Sergio! Zobaczyłem nędzny okrągły stolik i piękną ciemnowłosą dziewczynę; która stawia przed małym chłopcem talerz z taką właśnie kiełbasą. Jedzenie jest gorące i smaczne. — Robin odsunął od siebie talerz. — To w porównaniu z tamtym nie nadaje się do żarcia.

Zostawili kiosk i szli dalej w milczeniu.

— Widziałem jej twarz — mamrotał Robin. — Widziałem wszystko jak żywe. Była piękna, miała błyszczące, ciemne oczy — jak Cyganka.

— Wspaniale — rzekł Sergio.

— Nie zmienia to faktu, że była dziwką. Ale przynajmniej sobie przypomniałem. Boże, jaka ona była piękna! Trzeba to uczcić, Sergio. Nie będziemy chyba chodzić całą noc po niemieckim deptaku. Może ty wyobrażasz sobie w ten sposób nocne życie; ja mam inną wizję.

Sergio ujął go pod ramię i przeprowadził na drugą stronę ulicy. Skręcili w prawo i minęli jeszcze jedną przecznicę.

— To tutaj — powiedział Sergio. — Silbersacksstrasse.

Robin wytrzeszczył oczy, jakby znieacka przeniesiono go w nowy, nie znany mu świat. Wokół kręciło się mnóstwo dziewczyn, które zaczepiały ich bez cienia wstydu. — Amerikaner Spiel? — Jedna z nich, śmielsza niż inne, pobiegła za nimi. — Zabawimy się we trójkę? — zapytała.

Robin popatrzył na nią z uśmiechem i poszli dalej. Co parę kroków — w otwartych drzwiach, na rogu ulicy — czyhały następne. Propozycje były niezmiennie te same. W porównaniu z królowymi hamburskiej nocy, dziewczyny paradujące po Siódmej Alei oraz w Central Parku wydawały się tak niewinne, jak panienki na swym pierwszym balu. Tutejsze prostytutki — małe, ordynarne Frauleiny — zdobywały swój szlif, obsługując jurnych matrosów w pasiastych koszulkach. Przecięli jeszcze jedną ulicę i Sergio zatrzymał się przed drewnianą furtką. Na ciemnych, drewnianych deskach widniał napis: VERBOTEN! Sergio wszedł do środka; Robin, nieco zbity z tropu, ruszył za nim w milczeniu.

— Jesteśmy na Herbertstrasse — powiedział szeptem Sergio.

Robin nie wierzył własnym oczom. Po obu stronach wąskiej, brukowanej ulicy stały dwa rzędy ciasno stłoczonych małych, jednopiętrowych domków. Okna pokoi na parterze sięgały od ziemi do wysokości pierwszego piętra. W każdym, jasno oświetlonym, siedziała dziewczyna i tylko gdzieś światła były wygaszone. Sergio wskazał pokój na górze. — To znak, że ma robotę.

Ulicą, uważnie lustrując dziwki, z wolna przechadzali się mężczyźni; niektórym z nich, co mocno zdziwiło Robina, towarzyszyły kobiety. Rozpoznał znaną aktorkę filmową w ciemnych okularach i w barwnej chustce; przedstawiciel pewnej niemieckiej wytwórni filmowej „oprowadzał ją po mieście”. Robin czuł, że podobnie jak on, aktorka nie jest w stanie ochłonać ze zdumienia. Nie mógł uwierzyć, że w ogóle coś podobnego istnieje gdzieś jeszcze na świecie. Dziewczyny w oknach zdawały się nie zwracać najmniejszej uwagi na taksujących je wzrokiem mężczyzn. Miały na sobie mikroskopijne biustonosze i majteczki, które ledwo zakrywały intymne części ciała. Czekając na klientów, popijały wino z kieliszków. Ich mocno umalowane oczy patrzyły gdzieś w dal, ponad głowami gapiów. Od czasu do czasu któraś z dziewczyn odwracała się do towarzyszk z sąsiedniego okna i rzucała jakąś uwagę. Ta druga wybuchała śmiechem. Śmiechem? Jakim cudem można jeszcze było w tym świecie usłyszeć śmiech? Co czują, o czym myślą te dziewczyny? Co je może rozśmieszać?

— Najsmutniejsza jest dla nich Wigilia — powiedział cicho Sergio. — Każda z nich ma w oknie drzewko; wieczorem wręczają sobie nawzajem prezenty gwiazdkowe, a potem, o północy, płaczą.

— Skąd wiesz o tym wszystkim?

— Moja siostra tutaj pracowała — odparł cichym głosem.

— Twoja siostra?

— Urodziłem się w czasie wojny. Ojciec zginął w Tunezji. Matka robiła, co mogła, żeby nas utrzymać — mnie i moich trzech braci. Żaden z nas nie miał jeszcze dziesięciu lat. Siostra skończyła czternaście, kiedy poszła na ulicę. Zdobywała dla nas żarcie od Amerykanów. Potem przeniosła się tu, na Herbertstrasse. Umarła rok temu mając trzydzieści pięć lat. To i tak dużo, jak na dziewczynę z tej ulicy. Chodź, pokażę ci, gdzie lądują takie po trzydziestce.

Poprowadził Robina w boczną uliczkę, dosyć oddaloną od centralnej części dzielnicy. Okna domów wychodziły na ślepą ścianę. Żyły tu na wygnaniu grube, przedwcześnie postarzałe, trzydziestoletnie dziwki. Robin dostrzegł niechlujnie ubraną kobietę o włosach ufarbowanych na rudo; miała złoty ząb i zamglone, jakby nieprzytomne spojrzenie. Do jej okna pukał jakiś pijak z nosem pokrytym czerwonymi żyłkami, razem z nim stało trzech kompanów. Utworzyła okno; wywiązała się ordynarna sprzeczka. Kobieta o rudych włosach z trzaskiem zamknęła okno z powrotem. Wzruszywszy ramionami, klient zastukał w następną szybę, za którą siedziała dziewczyna o włosach koloru słomy, odziana w kimono, które zakrywało jej obwisłe sięgające talii piersi. Rozpoczęła się następna rozmowa. W końcu kobieta otworzyła drzwi i mężczyźni zniknęli w środku. Gdy wchodzili po schodach na górę, światło w oknie zgasło.

— O co poszło? — zapytał Robin.

— O cenę. Chcieli zapłacić pełną cenę za numer z jednym i dorzucić parę groszy, żeby pozostali mogli się pogapić.

Robin roześmiał się.

— Sex-party.

Sergio kiwnął głową.

— Ta druga się zgodziła, ale pod jednym warunkiem; jeśli będą się onanizować, zapłacą za czyszczenie dywanu.

Wrócili na główną ulicę. W jednym z okien Robin dostrzegł dziewczynę, przypominającą mu z wyglądu prostytutkę, którą kiedyś pobił. Na nogach miała wysokie buty, w ręku bat.

— Zachwała swoje talenty — odezwał się cicho Sergio.

Potem wrócili na Reeperbahn i weszli do dyskoteki, skąd jednak bardzo szybko zostali wyproszeni. Robin zdążył zauważyć, że są tu wyłącznie kobie-

ty: jedne tańczyły ze sobą, inne stały przy barze, trzymając się za ręce. Mężczyźni byli tutaj *verba ten*. Znaleźli się wreszcie przed kawiarnią, gdzie u wejścia stał naganiacz i obiecywał „cudowne, nagie ciała”. Robin wzruszył ramionami i wszedł do środka; Sergio podążył za nim. W kawiarni kłębił się tłum marynarzy. Obu mężczyzn usadzono przy stoliku w kącie sali. Na małej scenie stała zupełnie rozebrana dziewczyna. Kiedy znikła za kulisami, tu i ówdzie zabrzmiały oklaski. Potem rozległy się dźwięki muzyki i weszła następna — w różowej, szyfonowej sukience. Mogła mieć najwyżej dziewiętnaście lat, jej roziskrzone spojrzenie wyrażało gotowość, a uśmiech promieniał szczęśliwą naiwnością uczennicy, wybierającej się na szkolny bal. — Ta na pewno coś zaśpiewa — zawyrokował Robin. Dziewczyna obeszła estradę, śmiejąc się do marynarzy i rzucając im słowa powitania.

Najwyraźniej była ulubienicą wszystkich bywalców, bo mężczyźni podnieśli na jej widok radosną wrzawę. Potem znów dała się słyszeć muzyka i dziewczyna zaczęła striptiz. Robin patrzył z niedowierzaniem. Jej ciało było młode i pociągające, wyglądałaby znacznie naturalniej jako sekretarka w IBC, niż tutaj, gdzie stojąc na deskach sceny, wdzięczyła się do marynarzy. Nagle stanęła przed nimi zupełnie naga, obracając się wokół z radosnym uśmiechem. Ta kurewka lubiła swoją robotę. Potem przesunęła krzesło na sam środek sceny, usiadła na nim i rozłożyła szeroko nogi. Przez cały czas z jej twarzy nie zniknął promienny uśmiech. W końcu wstała i zaczęła obchodzić naokoło salę, pochylając się kolejno nad każdym stolikiem, żeby mężczyźni mogli brać do ust jej sutki. Wreszcie podeszła do ich stolika, spojrzała na Robina i Sergia, roześmiała się i potrząsając głową mrugnęła porozumiewawczo, po czym poszła dalej.

Robin rzucił parę monet na stół, wstał i ruszył do wyjścia. Sergio pobiegł za nim. Milcząc szli przed siebie.

— Ta dziewczyna... — odezwał się Robin — przecież nie miała nawet dwudziestu lat. Co może być powodem...

— Te dziewczyny to owoc wojny. Rosły w walce o chleb. Takie dzieci mają zupełnie inny system wartości. Seks nie kojarzy im się z miłością ani nawet z przyjemnością. Dla nich seks to sposób na przetrwanie.

Szli dalej, a prostytutki, jak poprzednio, zaczęły ich bez przerwy.

— Słuchaj, mam dość — powiedział Robin.

— Wstąpmy gdzieś jeszcze, zanim pójdziemy do hotelu.

Weszli do kabaretu na Grosse-Freiheit-Strasse. W wykwintnym wnętrzu nie było słycać gwaru ludzkich głosów ani dźwięków orkiestry. Elegancko ubrani goście siedzieli przy stolikach, rozmawiali ze sobą ściszonymi głosami, z dala dobiegały stłumione dźwięki skrzypiec — smyczkowe trio grało melo-

die niemieckich piosenek o miłości. W długiej sali rozlewało się przyćmione światło, ściany ozdabiała austriacka draperia. Z początku grupki mężczyzn wzbudziły czujność Robina, dopóki nie spostrzegł mieszanych par, trzymających się za ręce i słuchających muzyki.

— Tu, w Maison Bleu, jedzenie jest znakomite — powiedział Sergio.

— Ty jedz. Ja będę pił.

Sergio zamówił befsztyk i rzucił się nań z taką łapczywością, że Robin poczuł się winny — całkiem zapomniał o obiedzie. Robinowi przyniesiono butelkę czystej wódki. Pił, nie dolewając wody. Miał takie uczucie, jakby alkohol rozlewał się w jego ciele niczym gorąca, biała, aksamitna ciecz...

Smyczkowe trio zamilkło. Rozległy się dźwięki perkusji, ktoś uderzył w cymbały, a ktoś inny ochrypłym głosem zapowiedział rozpoczęcie programu. Robin przyglądał się temu wszystkiemu bez większego zainteresowania. Z pewnością był to luksusowy lokal dla ludzi z wyższych sfer. Pojawiła się francuska szansonistka — Veronique. Śpiewała dobrze, prawdziwym kontraltem. Gdy skończyła, została nagrodzona umiarkowanymi oklaskami.

Nalał sobie kieliszek wódki. Zmrużył oczy, żeby lepiej przypatrzeć się następnej dziewczynie; miała jasne włosy, lalkowatą urodę i zaśpiewała coś, co przypominało romans cygański. Ethel Merman może spać spokojnie. Gdy orkiestra zagrała tusz, powiódł po sali pijanym wzrokiem. Konferansjer wykrzyknął: — Brasilia! — i w świetle reflektorów stanęła na scenie wysmukła, ciemnowłosa dziewczyna.

Robin wyprostował się na swoim krześle. Faktycznie, zasługiwała na fanfary. Miała na sobie męską wieczorową marynarkę, a pod nią obcisły kostium. Włosy, splecione w węzeł, wetknęła pod czarny, założony na bakier kapelusz z zagiętym z jednej strony rondem. Powoli zaczęła swoje apaszowskie tango. Tańczyła z niewiarygodną klasą, musiała mieć solidne przygotowanie baletowe. Zakończyła występ szaleńczym piruetem, a gdy na koniec zerwała z głowy kapelusz, kaskada czarnych włosów spłynęła jej na ramiona. Odezwały się gromkie brawa, lecz tancerka nie opuszczała sceny. Czekala, aż umilkną ostatnie oklaski, a potem rozlegnie się znajomy rytm. Zaczęła się poruszać, kołysząc kusząco biodrami, a po chwili zrzuciła marynarkę. Następnie powoli opuszczała się na kolana i jak wąż, który zrzuca skórę, poczęła z wolna wyswobadzać się z obcisłego kostiumu, ukazując gładkie, białe ciało w srebrnym bikini.

Muzyka zagrała szybciej, zamigotały światła i Robin uległ złudzeniu, że srebrno-biała sylwetka uniosła się nagle w powietrze i rozsypała na małe kawałki. Światła przygasły. Tancerka jednym ruchem ściągnęła staniczek i majtki, potem reflektory zabłysły na nowo, wyławiając z mroku szczupłe nagie ciało i małe jędrne piersi. Potem światła zgasły jeszcze raz i dziewczyna znikła

przy gorącym aplauzie publiczności. Przedstawienie było skończone, a Robin kompletnie pijany.

— Chcę poznać Brasilię — oświadczył.

— Zajrzyjmy do restauracji Lisel, na końcu ulicy, oni tam wszyscy chodzą na śniadania. Tam ją będziesz mógł spotkać.

Robin spojrzął na zegarek: — Chyba żartujesz? Jest trzecia nad ranem. Tu już kończą i wszystko będzie zaraz zamknięte.

— W Hamburgu są restauracje otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Robin zapłacił rachunek, lecz uparł się, żeby posłać Brasilię liścik z prośbą o spotkanie w Lisel. Sergio bez protestu napisał po niemiecku karteczkę i wraz z garścią monet podał kelnerowi. Gdy kelner wrócił, odbyła się krótka rozmowa w języku niemieckim.

— Będzie czekała — wytłumaczył Sergio Robinowi. — Chodź, zmieniamy lokai.

Robin posłusznie poszedł za nim. Właścicielką Lisel okazała się mocno otyła Frau, która przywitała ich w drzwiach i zaprowadziła do podziemia, gdzie stały, przykryte obrusami w kratkę, małe stoliki. Sergio zamówił piwo, Robin wodził oczami po sali, popijając wódkę. Wysoki, przystojny mężczyzna wszedł do środka i usiadł w drugim końcu sali. Wkrótce do jego stolika przysiadło się kilku zniewieściałych mężczyzn. Przybysz nie spuszczał wzroku z Sergia, i Robin, choć pijany, był w stanie wyczuć, jak między chłopcem i nowo przybyłym nawiązuje się nie porozumienia. — Czy jesteś pewien, że to jest lokal, w którym bywa Brasilia, a nie spelunka dla pedałów?

— Każdy może tu znaleźć coś dla siebie. Poza tym to jedyne miejsce w okolicy, gdzie można zjeść śniadanie. — Sergio przez cały czas wpatrywał się w mężczyznę siedzącego w drugim kącie sali.

Robin poklepał go po ramieniu.

— Dobra, Sergy, leć do chłopców.

— Zostanę z tobą. Brasilia może nawalić. Nie chcę, żebyś siedział tu sam.

— Słuchaj, przyjacielu, obejdę się bez niańki. A o nią się nie martw, przyjdzie.

— Robinie... Czy zdajesz sobie sprawę, co to za dziewczyna?

— Spadaj, bo piękny koleś z tamtego stolika straci cierpliwość... Już pewnie sobie pomyślał, że to ze mną masz randkę. Mam cię zanieść?

W tym momencie otworzyły się drzwi, do lokalu weszła Brasilia i z wyrazem niepewności na twarzy rozejrzała się po sali. Kiedy Robin wstał i pomachał ręką, skierowała się prosto do jego stolika.

— Spadaj, chłopie — powiedział Robin do Sergia ściszącą głos.

Chłopiec zrobił bezradną minę, wstał i poszedł do stolika w drugim końcu sali. Brasilia usiadła obok Robina, a właścicielka lokalu przyniosła jej koniak.

- Znam angielski — powiedziała Brasilia niskim, gardłowym głosem.
- Nie musisz się wysilać, maleńka.

Zdażył jeszcze zauważyć, że Sergio wychodzi z owym przystojnym mężczyzną. Przed drzwiami odwrócił się, pomachał mu ręką na pożegnanie, a Robin uniósł palce na znak zwycięstwa. Dziewczyna siedziała w milczeniu, popijając koniak. Robin zamówił następną kolejkę, a potem wziął Brasiłę za rękę; odwzajemniła uścisk. Blondyn o kobiecym wyglądzie wkroczył do sali i podszedł do ich stolika. Zwrócił się do niej po francusku, Brasilia skinęła głową i mężczyzna usiadł. — To Vernon. Nie mówi po angielsku. Czeka na przyjaciela i nie chce samotnie wystawać przy barze.

Robin dał znak, żeby przyniesiono drinka dla Vernona, ale ośłupiał, gdy grubaska postawiła przed nim szklankę mleka. — Vernon nie pije — wyjaśniła Brasilia.

Do restauracji wszedł wysoki mężczyzna z twarzą o wyrazistych, jakby rzeźbionych rysach. Vernon jednym haustem opróżnił szklankę i rzucił się w jego kierunku. — Biedny Vernon — powiedziała Brasilia. — Sam nie wie, kim naprawdę chce być.

- To się rzuca w oczy — odparł Robin.

Brasilia westchnęła.

— Za dnia próbuje żyć jak mężczyzna, nocą zamienia się w kobietę. To smutne. — Potem zwróciła się do Robina: — Spodziewasz się po mnie jakichś numerów nie z tej ziemi?

- Podkręcają mnie wszystkie numery.

— Jeżeli liczysz na szaleństwa i dzikie akrobacje, lepiej idź sobie od razu. — Z jej głosu przebijało zmęczenie. — Przystojny z ciebie chłopak, poszłabym z tobą chętnie do łóżka, ale dziś mam ochotę na prawdziwie miłosną noc, piękny seks — nie na żadną ohydę. Rozumiesz?

- Jeśli o mnie chodzi, jestem za.

— Obiecujesz, że będzie właśnie tak? — Jej głos brzmiał prawie błagalnie.

- Ty tu rządzisz, maleńka.

— Przepraszam na chwilę. — Podeszła do baru i powiedziała coś do Vernona. Ten skinął głową z lekkim uśmiechem. Wróciła do stolika. — No to chodźmy.

Płacąc rachunek, zastanawiał się, co łączy Brasiłę z Vernonek. Wiele dziewczyn ma przecież powierników i przyjaciół wśród homoseksualistów.

Amanda opowiadała kiedyś, że jej koleżanka modelka mieszkała nawet z pederastą. On też się jakoś dogadywał z Sergiem.

Na ulicy czekała taksówka, lecz Brasilia potrząsnęła przecząco głową.

— Mieszkam tuż obok.

Prowadziła go ciemnymi, brukowanymi ulicami, aż zatrzymali się przed dużą kamienicą. Pchnęła drewniane drzwi i weszli na podwórze. Zapachniało mu nagle Paryżem. Na parapetach okien stały drewniane skrzynki z pelargoniami, mruczał głośno jakiś zabłąkany kot, wokół panowała atmosfera zamożnego, mieszczańskiego domu. Weszli na drugie piętro. Schyliła się, podniosła z podłogi koszyczek z bochenkiem chleba i włożyła klucz do zamka. — Zawsze zamawiam na rano chleb, ot, tak na wszelki wypadek, gdybym wypita za dużo koniaku. Jak zjem trochę chleba, to się lepiej czuję.

Małe mieszkanko urządzone było po kobiecemu. Panieński pokoiik lśnił czystością, łóżko przykryte było białą kapą z falbankami, na poduszce siedziała lalka. Na nocnym stoliku stała fotografia Brasilii, na półce nad kominkiem zdjęcie dziewcząt z rewii; rozpoznał wśród nich tę, która śpiewała — Veronique.

— Za dobra jest na otwarcie programu — skomentował Robin. — Dała-by sobie radę nawet w Nowym Jorku. — Potem objął Brasilię w pasie. — Ty też jesteś za dobra, żeby się rozbierać. Tańczysz naprawdę genialnie.

Brasilia wzruszyła ramionami. — Płacą mi za to oddzielnie, no i dzięki temu mój numer jest najważniejszy. A zresztą, co za różnica. I tak żadna z nas nigdzie nie pojedzie, choćby nie wiem jak chciała. Jeśli chociaż raz pójdzie się tu do pracy, wynajmie mieszkanie w Reeperbahn, jest za późno. Ale ja byłam kiedyś w Ameryce i występowałam w Las Vegas.

— Naprawdę? — w głosie Robina zabrzmiało zdziwienie.

— Naprawdę. I nie robiłam tego, co teraz. Występowałam w chórze. Było nas sześć. Robiliśmy tło taneczne dla jakiegoś zramolałego, amerykańskiego piosenkarza. Ledwo mógł wydobyć z siebie głos, więc wychodziłyśmy na scenę, stawały za nim i zagłuszały go ze wszystkich sił. To było dziesięć lat temu. Skończyłam wtedy osiemnaście lat i miałam nadzieję, że pójdę do szkoły baletowej. Niestety, kiedy angaż się skończył, miałam tylko na bilet powrotny. Więc wróciłam do domu.

— A gdzie jest twój dom?

— W Mediolanie. Pomieszkałam tam trochę. — Nalała mu koniaku. — Szybko zdałam sobie sprawę, że ani podawanie do stołu, ani mieszczański styl życia wcale mi nie odpowiadają. — Znów wzruszyła ramionami. — Słuchaj, czy musisz być taki sam jak inni, czy spowiedź musi być obowiązkowym punktem programu?

— Nie, do diabła. Możesz siedzieć cicho, Brasilio. Chodzi tylko o to, że jesteś młodą i piękną dziewczyną; nie rezygnuj ze swoich marzeń.

Pchnęła go na kanapę i usiadła mu na kolanach.

— Dzisiaj jedno moje marzenie zostanie spełnione. — Powiodła palcem po jego twarzy, a potem językiem połaskotała go w ucho. — Taki przystojny facet jak ty, chce się ze mną kochać.

— Bardzo chce — powiedział.

Wziął ją w ramiona i zaczął delikatnie całować. Brasilia zaś przywarła do niego całym ciałem... Potem podała mu rękę, żeby mógł wstać, i zaprowadziła go do sypialni.

Gdy tylko znaleźli się w łóżku, ruszyła do ataku. Była wszędzie — jej język jak skrzydełka motyla pieścił jego powieki, jej młode twarde piersi ocierały się o jego pierś, jej długie, czarne włosy spadały na jego twarz. Kochała się z nim, a on, leżąc na wznak, nie miał siły na nic więcej i mógł jedynie ulegle przyjmować pieczyoty. Kiedy skończyła, leżał dalej w bezruchu, wyczerpany rozkoszą. W ciemności wyciągnął rękę i pogłaskał ją po głowie. — Brasilio, nigdy nie zapomnę tej nocy. Pierwszy raz w życiu dziewczyna kochała się ze mną w taki sposób.

— Sprawilo mi to przyjemność, Robinie.

— Teraz moja kolej.

— Nie musisz...

— Mała, głupia dziewczyno. Ja chcę. — Zaczął pieścić jej ciało i twarz, a gdy wszedł w nią, zaczął poruszać się rytmicznie, starając się, by trwało to jak najdłużej. Chciał ją zaspokoić, lecz gdy wszedł w nią głębiej, jego ruchy wbrew woli stały się szybsze. Całym ciałem przywarła do niego, wyczuł jednak, że nie była jeszcze gotowa. Poruszał się dalej w tym samym tempie, miał wrażenie, że czas stanął w miejscu, czuł tętno bijące w skroniach, z całej siły powstrzymywał wytrysk. Lecz ona nadal nie umiała poddać się rozkoszy. Nigdy przedtem nie zdarzyło mu się nic podobnego. Nigdy nie wstrzymywał się tak długo, żeby sprawić przyjemność kobiecie. Zagryzł zęby i nieprzerwanie trwał dalej w rytmicznym ruchu. Musi dać jej rozkosz... A potem, w chwili orgazmu, poczuł nagłą, nieodpartą, cudowną słabość, rozchodzącą się w kroczu. Wyczerpany, zsunął się z jej ciała, mając świadomość, że nie udało mu się jej zaspokoić. Wyciągnęła rękę i pogłaskała go po policzku, a potem, przytulwszy się do niego, zaczęła całować jego brwi, nos, szyję.

— Jesteś wspaniałym kochankiem.

— Nie bujaj, mała. — Wstał i poszedł do łazienki. Podobnie jak w sypialni, pełno w niej było drobiazgów. Nie brakowało nawet bidetu. Wziął prysznic, założył slipy i wrócił do pokoju.

Wyciągnęła ku niemu rękę z zapalonym papierosem, drugą poklepała prześcieradło. Wpatrywał się w jej prześliczne ciało. Piersi sterczały pod cienką, przezroczystą koszulą nocną, którą tymczasem zdążyła założyć. Uśmiechnęła się. — Chodź, zapal.

Miał zmęczony uśmiech. — W kraju mówią, że jestem dobry w łóżku, ale dzisiaj już jestem do niczego. — Wziął od niej papierosa i zaczął się ubierać.

Wyskoczyła z łóżka i zarzuciła mu ramiona na szyję. — Zostań do jutra, proszę cię. Chcę zasnąć w twoich objęciach. A rano zrobię ci śniadanie. Jeśli będzie ładnie, możemy iść na spacer. Pokażę ci St. Pauli za dnia, a po południu możemy znowu się kochać. Było tak cudownie — błagam cię, zostań.

Zaczął wiązać krawat.

— Nie podobam ci się? — spytała.

— Bardzo mi się podobasz. — Potem sięgnął do kieszeni. — Ile ci jestem winien?

Odwróciła się i usiadła na łóżku. Podszedł do niej i poklepał ją po ramieniu. W jego głosie zabrzmiała czułość. — Daj spokój, Brasilio. Ile chcesz? Sama powiedz.

Spuściła głowę. — Nic mi nie jesteś winien.

Usiadł obok i uniósł podbródek dziewczyny. Jej twarz była zalana łzami.

— Kochanie, co się stało?

— Nie podobam ci się — powiedziała z płaczem.

— Mnie? — patrzył na nią w zdumieniu. — Nie przyszedłem tu po to, żeby ci wręczać medal za urodę, jeśli to akurat masz na myśli. Ale podobasz mi się jak diabli. Mam tylko lekkiego kaca, że nie udało się nam zestroić.

Błyskawicznie rzuciła mu się na szyję. — To była najpiękniejsza noc w moim życiu. Robinie, ty jesteś zupełnie normalny.

— Normalny?

— Kiedy cię zobaczyłam z chłopakiem, pomyślałam, że, no wiesz, lubisz tylko męskie towarzystwo. Ale ty jesteś normalnym mężczyzną i to jest wspaniałe.

— Sergio jest moim przyjacielem, dobrym przyjacielem. Nic ponadto. Kiwnęła głową. — Rozumiem. Zabrał cię tu, żebyś sobie trochę ulżył.

— Przestań robić z siebie dziwkę. Chciał mi pokazać nocne życie Hamburga i basta.

— Jak ci było ze mną w łóżku? — spytała.

— Wspaniale. Tylko szkoda, że tobie nic się nie wydarzyło.

Popatrzyła na niego z uśmiechem. — Posłuchaj, wszystko jest tutaj, w środku. — Dotknęła ręką piersi. — Przejmuje mnie rozkoszą to, że mogę trzymać cię blisko i kochać.

Musnął ręką jej włosy.

— To znaczy, że nigdy nie miewasz orgazmu?

— Już nie.

— Dlaczego?

— Czasami nie sposób odzyskać tego, co się utraciło.

Patrzyła na nią tępym wzrokiem i nagle spostrzegł na jej twarzy wyraz prze-
rażenia.

— Robinie, ty nic nie wiesz! — Wskoczyła z łóżka i uciekła do drugie-
go pokoju. Pobiegł za nią. Stała oparta o ścianę i patrzyła na niego szeroko
otwartymi oczyma. Był w nich najprawdziwszy lęk.

— Brasilio — podszedł do niej. Cofnęła się, jakby przejęta strachem, że
ją uderzy. — Brasilio, mów, o co chodzi?

— Robinie, błagam cię, idź sobie.

Rzuciła się do wieszaka i podała mu płaszcz. Cisnął go na łóżko i mocno
chwycił ją za ramiona. Trząśił się ze zdenerwowania.

— Powiedz, o co chodzi. Nikt ci nie zrobi krzywdy.

Obrzuciła jego twarz badawczym spojrzeniem swych ciemnych oczu.
Drżała na całym ciele. — Myślałam, że wiesz, jakim lokalem jest Maison Bleu.

— Nie, nie wiem. — W tym momencie tknęło go złe przeczucie.

— Vernon... ten, który otwierał rewiew i tak ci przypadł do gustu, kiedy za-
kładał perukę, zmienia imię na Veronique. Mieszka tu razem ze mną.

Puścił jej ramię. — A ty? Jak ty się naprawdę nazywasz?

— Przedtem nosiłam nazwisko Brannari — Antonio Brannari, to było
przed operacją.

— Jesteś więc...

Zaczęła cofać się w popłochu. — Teraz jestem dziewczyną! Słyszysz,
dziewczyną! — krzyknęła głośno.

— Ale kiedyś miałas kutasa — wycedził.

Pokiwała głową i wybuchnęła płaczem. — Teraz jestem dziewczyną. Nie
bądź na mnie zły, nie bij mnie! Boże, gdybyś wiedział, przez jakie piekło mu-
siałam przejść, żeby stać się kobietą. Czy możesz sobie wyobrazić, co to zna-
czy być dziewczyną uwięzioną w męskim ciele? Czuć, myśleć, kochać po ko-
biecemu? Zawsze w głębi duszy czułam się kobietą.

— A piersi?

— Są zrobione z silikonu. Oprócz tego brałam hormony. Spójrz, dotknij
mojej skóry na policzku — nigdy się nie gołę. Nogi i ręce też mam zupełnie
gładkie. Jestem kobietą.

Opadł na fotel. Transwestyta. Cholera, pieprzył się ze zbroczeniem. Nic
dziwnego, że drań nie mógł nic poczuć. Spojrzała na nieszczęsną, trzęsącą się

ze strachu istotę. — Chodź tutaj, Brasilio. Nic ci nie zrobię. Masz rację, jesteś dziewczyną.

Podbiegła do kanapy i zaczęła się do niego tulić. Odsunęła ją od siebie delikatnym ruchem. — Skoro już wiem, kim byłaś, porozmawiajmy jak mężczyzna z mężczyzną.

Odsunęła się na bezpieczną odległość.

— Te wszystkie z rewii to też mężczyźni? — Gdy potwierdziła kiwnięciem głowy, spytał: — I każda z nich przeszła podobną operację?

— Z wyjątkiem Vernona. On ciągle jeszcze się waha. Boi się, że po operacji nie będzie mógł wrócić do Francji na swój stary paszport. A przecież tak bardzo potrzebny mu ten zabieg. Kocha Ricka, tego faceta, z którym spotkał się dzisiaj w restauracji. Trzy miesiące temu truł się właśnie przez niego. Dlatego nie może pić. A Rick jest — jakby ci to wytłumaczyć? — przerzuca się z kwiatka na kwiatek. Czasami pójdzie z normalną dziewczyną, a czasami z regularnym facetem. Biedny Vernon — nie jest ani jednym, ani drugim.

— W Las Vegas też nabierałaś ludzi?

— O nie, tam byłem jeszcze tancerzem.

Robin wstał i sięgnął ręką do kieszeni. Niemieckich marek zostało mu niewiele, miał za to przy sobie sto dolarów.

— Weź, Brasilio, kup sobie nową sukienkę.

— Nie chcę.

Rzucił banknot na łóżko i ruszył do wyjścia. Kiedy zamykał za sobą drzwi, usłyszał jej łkanie. Poczul skurcz w gardle. Nie żałował tego, co się stało, lecz współczuł głęboko nieszczęśliwej istotcie, która tam została. Zbiegł szybko po schodach. Jaśniejący na horyzoncie skrawek nieba zapowiadał świt. Klienci nocnych lokali z Reeperbahn udawali się na spoczynek. Uliczkami dzielnicy rozpusty wędrowały tulące się do siebie pary, marynarze w towarzystwie strip-tizerek, mężczyźni z chłopcami, mężczyźni z dziewczynami, których wygląd wydał się nagle Robinowi podejrzanie męski. Teraz, nad ranem, marzenia i tęsknoty tych wszystkich ludzi obracały się w proch. Byli przegrani i świat gardził nimi. Brasilia też nie miała szans.

W jednej chwili jego własne problemy wydały mu się pozbawione znaczenia. Gregory Austin obawiał się Dana Millera, lecz nie czuł strachu przed Robinem. Gregory jest po prostu przekonany, że Robin nie ma szans. Zobaczymy. Nagle poczuł, że ma ochotę wziąć sprawy w swoje ręce. Zaprzagnął znaleźć się z powrotem w Nowym Jorku, spotkać się znowu z tą zwariowaną Maggie Stewart, pojechać za nią do Kalifornii. Nie — Maggie może poczekać do czasu, aż on, Robin, pokaże wszystkim, na co go naprawdę stać!

Rozdział dwudziesty ósmy

Robin znalazł się w Nowym Jorku w samą porę, żeby zdążyć na *Show Christiego Lane'a* z udziałem Dipa i Pauli. Dip prezentował się doskonale, lecz śpiewał drewnianym głosem i na scenie poruszał się jakoś nieporadnie. Pauli wyglądała beznadziejnie, ale za to miała świetny głos i krok urodzonej tancerki. Nie wierzył własnym oczom. Przestała naśladować Lenę, Garland czy Streisand — stała się wreszcie sobą. Miała własny, oryginalny styl i bezbłędne frazowanie. Zastanawiał się, kiedy zaszła w niej owa metamorfoza. Być może obijając się po nocnych lokalach u boku Dipa straciła wszelką nadzieję na sukces, zrezygnowała z marzeń i zupełnie podświadomie, zarzucawszy bezsensowną manierę, ukazała światu swoją prawdziwą naturę. Graniczyło to z cudem, bez względu na przyczyny. Nawet śmiesznie zadarty nos i wystające zęby dodawały jej teraz uroku.

Następnego dnia o jedenastej zamaszystym krokiem wszedł do jego biura Dip, rzucił się na fotel i patrzył przed siebie przekrwionymi oczyma. Potem pochylił się do przodu.

— Zabiję ją.

Na twarzy Robina zagościł wyraz niepokoju.

— Co się dzieje?

— Przed godziną dzwonił mdj agent. Ten pieprzony Ike Ryan, ze swoim zasranym gustem! Nie podobam mu się, woli Lona Rogersa, to rozlatujące się pudło!

— Powiedziałeś, że chcesz kogoś zabić? Kogo, przepraszam, miałeś na myśli?

— Pauli. Ike Ryan zaproponował jej dublerkę, w razie gdyby Diana nawaliła, i ta cholerna kretynka ma zamiar się zgodzić. Po tym wszystkim, czego ją nauczyłem, po tym, jak zrobiłem z niej aktorkę z klasą — po tym wszystkim ona godzi się na dublowanie!

— Może coś z tego wyjdzie, wpadnie chociaż trochę grosza.

— Będzie jej płacił trzysta dolarów tygodniowo. W Beverly Hills dawałem większe napiwki. A poza tym, w jakim świetle mnie to stawia? Głupia gęś... olała mnie, zostawiła na lodzie. — Wściekłość dodawała mu sił. Pode-rwał się z fotela i zaczął przemierzać pokój wzdłuż i wszerz. — Wiesz, co teraz zrobię? Pojadę do domu i spakuję manatki. Nie mam zamiaru siedzieć i czekać, aż gwiazda wróci z podpisywania swojego zasranego kontraktiku. Zobaczymy, jak długo wytrzyma beze mnie! Jej starą wypieprzam z domu, jak tylko wróce, a Pauli porachuję wszystkie kości. — Wyskoczył z pokoju.

Gdy zadzwonił telefon, myśli Robina krążyły jeszcze wokół Dipa i Pauli. Poznał w słuchawce głos Cliffa Dorne'a. W tej samej chwili sekretarka oznajmiła, że Dan Miller czeka w pokoju obok. Zanim zdążył podjąć decyzję, co ma najpierw zrobić, Dan już ruszył do ataku.

— Tym razem nie będziesz mnie trzymał godzinami na korytarzu. Znasz recenzje. Dziewczyna jest w porządku, ale Dip Nelson to największa obsuwa, jakiej byłem ostatnio świadkiem. *Show* nie podniesie się po czymś takim. Mam nadzieję, że będziesz się teraz trzymał z dala od moich programów.

Robin zignorował go i podszedł do telefonu.

— Słucham, Cliff, przepraszam, nie mogłem rozmawiać. — Dan spostrzegł, że twarz Robina zmienia się nagle. — Kiedy to się stało? W Mount Sinai? Zaraz tam będę.

Odłożył słuchawkę. Dan stał wciąż w tym samym miejscu i patrzył na niego z wściekłością. Robin jakby nagle przypomniał sobie o jego obecności.

— Gregory jest znowu w szpitalu. — Ruszył do drzwi.

— Myślałem, że siedzi w Palm Beach.

— Przywieźli go niespełna godzinę temu. Jest w Mount Sinai.

— Czy to coś poważnego?

— Nie wiedzą. Cliff powiedział, że Gregory od paru tygodni czuł się coraz gorzej. Zdaje się, że był na badaniach w Palm Beach, ale ponieważ nie ma zaufania do tamtejszego szpitala, przyjechał tutaj na obserwację.

— Chcesz, żebym ci towarzyszył?

Robin spojrział na niego, nie ukrywając zdziwienia. — Nie chcę.

Raz jeszcze Dan pozostał na środku pokoju, wpatrując się ze zdumieniem w Robina, który, nie żegnając się nawet, bez słowa zostawił go samego.

Gregory, odziany w szlafrok i jedwabną pidżamę, siedział na krześle w szpitalnym pokoju. Jego twarz, pokryta świeżą opalenizną, była ściągnięta cierpieniem. Judith wyglądała na bardzo zmęczoną, Cliff Dorne był wyraźnie zmieszany. Tylko Robin, zmusiwszy się do uśmiechu, odezwał się różnym głosem:

— Nie wyglądasz wcale na chorego.

— Robinie, to wielki stawonóg na literę R — odparł Gregory posępnie.

— Greg, przestań! — W głosie Judith brzmiało błaganie.

— Nigdy nie słyszałem, żeby ktoś leczył się tak długo po operacji woreczka żółciowego. Dobrze wiem, co mi jest. A poza tym, bez przerwy mam ból.

— Co cię boli?

— A bo ja wiem? Wszystko. Nie mogę się nawet spokojnie wysikać. Przerzuty są wszędzie, jestem tego pewien. Najgorsze, że wszyscy ukrywają

przede mną prawdę. W Palm Beach wmawiali mi, że to prostata. Judith dobrze wie, co mi dolega.

Judith błagalnie spojrzała na Robina. — W kółko mu powtarzam, że to prostata. Niczego przed nim nie ukrywam.

— Akurat! — uciął Gregory. — Zrobią mi znowu badania i powiedzą, że wyniki mam dobre. I prześcigając się w uprzejmościach i w uśmiechach, będą patrzyli, jak pomału zdycham.

— Wpędzisz mnie do grobu, jeśli nie przestaniesz wygadywać podobnych bzdur. — Był to stanowczy głos doktora Lesgarna, który właśnie wszedł do pokoju. — Posłuchaj, Gregory, przejrzałem twoje wyniki z Palm Beach. Masz prostatę, którą trzeba będzie zoperować.

— Nie mówiłem? Operację prostaty robi się, gdy jest już nowotwór.

— Nie mam ochoty dłużej tego wysłuchiwać — powiedział stanowczo doktor Lesgarn. — Proszę, żeby wszyscy stąd wyszli, a ty, Gregory, dostaniesz środek uspokajający. Miałeś męczącą podróż, chcę, żebyś podczas operacji był w dobrej formie.

— Będziesz mnie ciął? — w głosie Gregory'ego zabrzmiało przerażenie.

— Jutro będzie po wszystkim.

— A jeśli okaże się, że mam złośliwego guza?

— To wtedy porozmawiamy. Posłuchaj mnie. Rak to jeszcze nie wyrok śmierci, wielu ludzi żyje długo i szczęśliwie po operacji raka prostaty, jeżeli została w porę przeprowadzona.

— Słyszałem o takich przypadkach. Najpierw odpadają im jądra, a potem ptak. Po kawałeczku.

Doktor Lesgarn dał Judith znak, żeby opuściła pokój. Podeszła do Robina i Cliffa. Doktor Lesgarn z pomocą kawałeczka waty zaczął nacierać eterem ramię Gregory'ego. Ten odepchnął go od siebie. — Zanim zwalę się z nóg, powiedz, czy to nowotwór?

— Nie można mieć stuprocentowej pewności, zanim nie zajrzy się do środka. Jedno ci mogę powiedzieć: z takimi przypadkami miałem do czynienia nie raz i stwierdzam, że nie widzę u ciebie żadnych objawów guza złośliwego. Daję ci dziewięćdziesiąt, dziewięć i dziewięć dziesiątych szans na sto, że nie masz raka.

— A co z tą jedną dziesiątą?

Judith podbiegła do łóżka Gregory'ego i pocałowała go w policzek.

— Daj spokój! Żeby taki hazardzista jak ty lękał się przy tak doskonałych szansach! — Austin zdobył się na słaby uśmiech. Pocałowała go w czoło. — Będę tu jutro przed operacją. A teraz odpocznij, wyśpij się tak, jak kazał doktor. Kocham cię, Greg.

Wyszła spiesznie z pokoju w towarzystwie Robina i Cliffa. Kroczyli we troje w milczeniu długim szpitalnym korytarzem i Judith odezwała się dopiero wtedy, gdy stanęli przy windzie.

— Zobaczyłam w jego oczach śmierć. — Wstrząsała nią dreszcz. — Jest pewien, że umrze.

Znaleźli się na ulicy, gdzie czekał na nią długi lincoln z szoferem za kierownicą.

— Chcesz, żebym z tobą pojechał? — spytał Cliff.

— Chcę się czegoś napić — odparła.

— Nam też nie zaszkodzi — uznał Robin.

— Ja rezygnuję. Czeka mnie długa jazda do Rye, a jutro muszę tu być z samego rana.

— Zaopiekuję się panią — rzekł Robin. Wsiedli oboje do samochodu. — Znam tu pewien bar, chyba że ma pani ochotę na St. Regis, Salę Dębową w Plaza albo coś zupełnie wyjątkowego.

Opadła na siedzenie: — Wszystko jedno. Mam ochotę na jakieś spokojne miejsce.

Gdy znaleźli się w barze Lancer, rozejrzała się ciekawie dookoła. A więc to tutaj bywa Robin. Z ulgą zauważyła, że światła są przyćmione. Zaprowadził ją do bocznego stolika i zamówił dla niej szklaneczkę szkockiej, a dla siebie martini. W milczeniu patrzyła, jak pije długimi łykami, a kiedy skończył, zapytała: — Co teraz będzie?

— Jestem pewien, że Gregory stanie na nogi.

— Nie mówi pan tego tylko po to, żeby mnie pocieszyć?

— Nie. Ludzie, którym się wydaje, że umrą, umierają rzadko kiedy. Gregory za bardzo się boi, żeby miał umrzeć.

— Nie rozumiem.

— Podczas wojny, kiedy zostałem ranny, znalazłem się w szpitalu. W sali, gdzie leżałem, łóżka stały w długich, bardzo długich rzędach. Obok mnie, z prawej strony, leżał facet, który dostał odłamkiem. Czekają go pięć operacji. Za każdym razem histeryzował, że to koniec. Facet z drugiej strony czytał spokojnie gazety. Dużo się uśmiechał, a w tym samym czasie krwawił i uchodziło z niego życie. Jestem przekonany, że kiedy śmierć jest blisko, człowieka ogarnia dziwny spokój. Ostatecznie w każdej sytuacji organizm potrafi się jakoś bronić, wykazuje odporność. Na śmierć też musi być jakiś środek znieczulający.

— Pocieszył mnie pan — powiedziała Judith.

— I tak nie będzie pani z nim lekko — odezwał się cichym głosem. — Najgorsze zaczniesz dopiero potem, po operacji.

— Ma pan na myśli seks? — Wzruszyła ramionami. — Nigdy, nawet na samym początku, nie łączyła nas żadna namiętność. Gorącymi uczuciami darczył zawsze wyłącznie swoją telewizję. Wcale nie było mi z nim łatwo.

— Nie chodziło mi o panią — powiedział. — Miałem na myśli Gregory'ego. Będzie stale podejrzewał, że to rak.

— A o mnie się pan nie martwi? — spytała. — Gregory nie jest w stanie pogodzić się z żadną porażką. Pierwszy raz w życiu zetknął się z chorobą. Gdyby pan wiedział, przez jakie piekło przeszłam w ciągu tych paru miesięcy. Zachowywał się jak ostatni kaleka. Ani razu nie zagrał w golfa, bez przerwy mierzył sobie puls...

— W małżeństwie różnie bywa — raz lepiej, raz gorzej. Trzeba się umieć z tym pogodzić.

— Naprawdę pan w to wierzy? — spytała.

— Gdybym się z kimś związał, byłbym wierny tej zasadzie.

— Panu może by się udało, ale ja w tym małżeństwie nie zaznałam wiele szczęścia.

— Wybrała pani cudowny moment, by dojść do takiego wniosku.

— Niech pan na mnie nie patrzy z taką niechęcią. Dużo włożyłam w to małżeństwo.

— W to małżeństwo? Czy tak właśnie postrzegają to kobiety? A może: w nasze małżeństwo?

— Teraz usiłuje pan stworzyć wrażenie, że jest ogromnie sentymentalny.

Zamówił następną kolejkę. — Daleko mi do tego, ale zawsze sądziłem, że to kobiety mają niejakie skłonności do sentymentalizmu.

— Kiedyś byłam bardzo uczuciowa. Wyobrażałam sobie, jak cudownie będzie po ślubie. Ale on, tak naprawdę odrzucił wszystko, z czego składa się prawdziwy związek małżeński. Nie zależało mu nigdy na dzieciach; zależało mu tylko na żonie, żeby prowadziła mu dom. Zawsze lubił być szczęśliwym posiadaczem rozmaitych rzeczy: domu w mieście, willi za miastem. Na brak zajęć nie mogłam nigdy narzekać. To jest peñoetatowa harówka.

— Cóż, kierowanie siecią telewizyjną też trudno nazwać zajęciem czysto hobbistycznym.

— Dobrze o tym wiem. Zawsze miałam szacunek dla jego pracy, akceptowałam jego przyjaciół, uważałam ich za swoich bliskich znajomych. Kobiocie jednak potrzeba czegoś więcej niż tylko życia towarzyskiego lub występowania w roli doskonałej gospodyni. Mam uczucie, że wiele straciłam. Kiedy sięgnę myślą wstecz, wydaje mi się, że prowadziłam zupełnie puste życie.

— Nie ma sensu grzebać się w przeszłości. Teraz będzie pani musiała poświęcić mężowi wiele uwagi, żeby wrócił do zdrowia. Jest mu pani potrzebna.

Nie ma co wylewać łez, że Gregory traktuje panią jak rzecz, jak swoją własność. Teraz będzie pani musiała być dla niego Florencją Nightingale, Zygmuntem Freudem, najlepszym przyjacielem w życiu. Bardzo celne było to pani dzisiejsze powiedzenie o hazardzie. Ma pani dobre podejście; trzeba wiedzieć, kiedy z pacjentem należy obchodzić się twardo, a kiedy można mu ulec. Załamanie psychiczne jest trudniejsze do wyleczenia niż normalna choroba. Musi pani bardzo uważać, żeby się nie rozsypał; ponieważ prawdziwe kłopoty zaczną się dopiero wtedy, kiedy to nastąpi. Widziałem facetów, którym przydarzyło się coś takiego. Nie wyłażą ze szlafroków, grają w chińczyka w szpitalach dla nieuleczalnie chorych...

— Ale dlaczego jemu miałyby się to przytrafić? Mężczyźni znacznie słabsi niż on przechodzą śpiewająco przez operację woreczka, a nawet zabieg usunięcia prostaty. Odkąd znalazł się w szpitalu, zmienił się nie do poznania.

Robin zapalił papierosa. — Choroba czasami atakuje ostrzej właśnie silnych mężczyzn. Sama pani powiedziała, że Gregory nigdy dotąd nie chorował. Nie wie, jak sobie radzić w tej sytuacji. Owszem, był zawsze dobrze przygotowany na katastrofę w pracy, nie przychodziło mu jednak do głowy, że katastrofizm zdarzy się w jego organizmie. Stracił grunt pod nogami. Takiemu człowiekowi jak on choroba odbiera godność.

Spojrzała na niego błagalnie. — Niech mi pan pomoże, Robinie.

— Dobrze.

Ujęła go za rękę. — Będę się starała, niech mi pan wierzy. Ale nie mogę być w tym wszystkim zupełnie sama. Od tak dawna żyję zamknięta w wieży z kości słoniowej. Nie mam żadnych bliskich przyjaciół. Kobiety, z którymi się spotykam, opowiadają mi tylko o sobie. Ja się nigdy nikomu nie zwierzam, zawsze byłam ponad to. I nagle okazuje się, że nie mam się przed kim wygadać, że nie mam nawet komu opowiedzieć o tej operacji. Czuję się kompletnie osamotniona. Czy nie ma pan nic przeciwko temu, że zadzwonię któregoś dnia, żeby wypłakać się na pańskim ramieniu?

— Zawsze służę ramieniem, droga Judith — odparł z uśmiechem.

Usiadła wygodniej na krześle, wzięła szklaneczkę do ręki i powoli sącząc szkocką powiedziała: — Telewizja też przysparza mu zmartwień. Dan, na przykład, udziela bez przerwy wywiadów. Gregory dostaje wrzodów ze złości za każdym razem, kiedy je czyta. Nienawidzi, jak ktoś zbiera za niego oklaski.

— Czasem naprawdę trudno opędzić się od dziennikarzy. Ja ich unikam, jak mogę, nekają zatem Dana. Miałem jedną dużą konferencję prasową i na tym koniec.

Uśmiechnęła się. — Wyobrażam sobie, jak Dan musi cierpieć z pana powodu. Odmawiając udzielania wywiadów, stał się pan dla dziennikarzy jeszcze

bardziej intrygujący. Wciąż piszą o panu, próbują pana rozszyfrować. Nawet podoba mi się przezwisko, jakie dla pana wymyślili: Maszyna do Kochania.

Zmarszczył brwi. — Szybko im się to znudzi. Reklama to ostatnia rzecz, na której mi zależy.

— Greg wie o tym i nie zazdrości panu rozgłosu. To normalne, że się panem interesują. Dana wszyscy znają, całe życie pracował w telewizji, ale pan, mimo że znają pana trochę z ekranu, wciąż jest dla nich zagadką. Pan ich intryguje, chcą zrozumieć, na czym polega tajemnica pańskich sukcesów.

— Przesadza pani trochę z tym zainteresowaniem moją osobą. — Opróżnił kieliszek. — Jeszcze po jednym?

— Nie, dziękuję, muszę być z samego rana na nogach. Przyjedzie pan do szpitala?

Pokręcił przecząco głową. — Ktoś musi pilnować interesu. Ale bardzo proszę o telefon, kiedy tylko będą wyniki.

— Na pewno zadzwonię. Ma pan prywatną linię w IBC?

Napisał na kartce swój numer.

— Niech pan też poda numer domowy — poprosiła.

— W IBC zawsze wiedzą, gdzie mnie szukać. Mają bezpośrednie połączenie z moim domem.

— Robinie, pamięta pan o pomocnej dłoni? Gdybym w środku nocy poczuła, że muszę się przed kimś wyżalić, bo wszystko obraca się wniwecz, będę mogła zadzwonić?

Dopisał swój zastrzeżony numer telefonu i podał jej karteczkę, mówiąc:

— Jestem do pani dyspozycji.

Siedząc na łóżku przepisała oba numery do swego notesu. Umieściła je pod literą M. M znaczy miłość. Nazwiska nie zanotowała. Tak zresztą postępowała zawsze, gdy podobał się jej jakiś mężczyzna. Przeciągnęła się. Twarz miała grubo posmarowaną kremem, a na głowie siatkę, która chroniła fryzurę. Leżąc poczuła, że ogarnia ją uczucie błogiego spokoju. Po pierwsze jest pewne, że Gregory nie ma raka. Po operacji wróci na pewno do swego dawnego wcielenia. A po drugie, podczas jego rekonwalescencji postara się każdego dnia widywać z Robinem.

Operacja trwała sześć godzin. Judith potrzebowała wsparcia i dwukrotnie w tym czasie dzwoniła do Robina. W jego głosie dźwięczał niepokój; czekały go wprawdzie dwa zebrania, lecz gotów był przybyć w każdej chwili, jeśli go tylko będzie potrzebowała. W końcu ustalili, że wpadnie pod wieczór. Zapewnił ją, że wszystko skończy się pomyślnie.

O trzeciej po południu z pomyślnymi wieściami przyszedł doktor Lesgarn. Gregory był już w pokoju pooperacyjnym. Nie wykryto żadnego nowotworu.

O piątej po południu przywieziono go na wózku do pokoju. Był przytomny, lecz zwisająca z nosa rurka tlenowa i igła, wetknięta w ramię, nadawały mu wygląd człowieka ciężko chorego. Godzinę później doktor Lesgarn powiadomił go o wynikach. Gregory z szyderczym grymasem odwrócił się do ściany.

Judith podbiegła do łóżka i chwyciła go za rękę. — To prawda, Greg, przysięgam.

— Same kłamstwa! Za pięknie to wszystko wygląda. A ty, Judith, jesteś kiepską aktorką! — Wybiegła z pokoju i dygocząc oparła się o ścianę korytarza. Doktor Lesgarn stanął obok, pokiwał głową i rzekł: — Dostał zastrzyk uspokajający, ale rzeczywiście, trudno go będzie wyleczyć z tej obsesji.

Oboje zwrócili wzrok ku nadchodzącemu różnym krokiem, uśmiechniętemu Robinowi. Biło zeń takie zdrowie, że w porównaniu z nim Gregory wydał się zaledwie cieniem człowieka.

— Rozmawiałem przed godziną z doktorem — powiedział, wskazując skinieniem głowy Lesgarna. — Przekazał mi dobrą wiadomość.

— Gregory nam nie wierzy — powiedziała Judith.

Przybrał współczujący wyraz twarzy. — Cliff dał wiadomość do gazet. Napisałiśmy, że znowu wykryto u niego kamienie. Myślę, że to wystarczy dla zaspokojenia ciekawości gawiedzi.

— Ma pani za sobą długi dzień — powiedział doktor Lesgarn, zwracając się do Judith. — Powinna pani jak najszybciej wracać do domu.

Uśmiechnęła się blade.

— Marzę tylko o jednym: żeby coś zjeść i wypić. Przez cały dzień nie miałam nic w ustach.

Robin zabrał ją do Lancera. Tym razem nie kazała szoferowi na siebie czekać. Robin nie będzie miał innego wyjścia, jak odwiedzić ją do domu. Gdy znów zasiedli przy tym samym bocznym stoliku, rozejrzała się po sali. Czy on chadza wyłącznie do tej knajpki?

Najwyraźniej odgadł jej myśl, bo powiedział: — Zabrałbym panią gdzie indziej, ale, niestety już wcześniej umówiłem się tu z pewną osobą. W Lance - rze można dobrze zjeść, a jeszcze lepiej wypić.

Ostrożnie sączyła swojego drinka. Na pusty żołądek nietrudno się upić, a dzisiaj, jak żadnego innego dnia, chciała zachować całkowitą trzeźwość.

— Czy nie będę przeszkadzać?

— Ani trochę. — Nagle wstał, a Judith spostrzegła wysoką, młodą dziewczynę, zbliżającą się do ich stolika.

— Spóźniłam się. Przepraszam.
— Nic nie szkodzi. — Wskazał jej miejsce obok siebie. — To jest Ingrid. Pracuje w TWA, wiele razy lataliśmy razem.

Dziewczyna obdarzyła Robina ciepłym, porozumiewawczym uśmiechem.
— Musieliśmy pół godziny krążyć nad Lotniskiem Kennedy'ego, taki był tłok. Dlatego się spóźniłam.

Robin dał znak, żeby przyniesiono coś do picia dla Ingrid. Judith zauważyła, że kelner bez pytania postawił przed dziewczyną dżin z tonikiem. A więc bywała tu już przedtem. W jej głosie wyczuwało się lekki skandynawski akcent. Była wysoka i niebywale chuda, miała długie, gęste, blond włosy, grzywkę równo przyciętą nad brwiami i mocno umalowane oczy; na ustach nie było jednak śladu szminki. Gdy ujęła w swą szczupłą dłoń rękę Robina, Judith poczuła, że ma ochotę ją zamordować. O Boże, młodość promieniowała z niej taką siłą! Przy Ingrid, która miała na sobie zwyczajną prostą spódnicę i jedwabną białą bluzkę, wydała się sobie w swoim kostiumie od Chanel niska i pękata. Dziewczyna nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Judith mogłaby być jej matką! Od Robina też była o wiele młodsza, a jednak patrzyła na niego z nie ukrywaniem zachwytem w oczach. O Boże, ci mężczyźni! Wiek się dla nich zupełnie nie liczy. Nawet za dziesięć lat Robin bez trudu znajdzie sobie dwudziestodwuletnią dziewczynę, która będzie wpatrywać się w niego z takim samym uwielbieniem. Judith otworzyła torebkę i wyjęła z niej złotą papierosnicę. Robin natychmiast podał jej ogień — dobrze, że chociaż nie zapomniał o jej obecności. Nie, nie podda się bez walki. Nie uzna przewagi dziewczyny, która mogłaby usługiwać jej w samolocie — nie ulęknie się byle stewardesy.

Judith popatrzyła na Robina z uwagą. Jak może dopuszczać do tego, żeby pierwsza lepsza kelnereczka dzieliła z nim choćby cząstkę jego życia? Jak wielu podobnym prostym dziewczynom używał swego ciała, podczas gdy ona, Judith, była zmuszona czekać, układając plany, knując, zastawiając na niego sidła?

Robin zamówił następną kolejkę. Judith marzyła o tym, żeby coś zjeść — zaczynała już odczuwać skutki alkoholu. Wzniósł toast za zdrowie Gregory'ego. Potem zwrócił się do Ingrid i wytłumaczył jej, kim jest Gregory Austin.

— Współczuję pani — powiedziała Ingrid poważnym tonem. — Życzę pani mężowi szybkiego powrotu do zdrowia. Czy to coś poważnego?

— Zwyczajne okresowe badania, kotku. Przyleciał z Florydy, bo woli nowojorskich lekarzy.

— Czy korzystacie z naszych linii? — spytała Ingrid.

— Nie, mamy własny samolot — odparła Judith.

— O, to znakomicie. — Ingrid nie wydawała się zbytnio oszołomiona tą informacją.

— Judith, musi pani coś zrobić, żeby Gregory zainteresował się na nowo swoją pracą, nawet leżąc w szpitalu, podczas badań. — W spojrzeniu Robina malowała się powaga, gdy wymawiał słowo „badania”. — Trzeba go do tego zmusić, rozumie pani?

Skinęła głową. Ingrid popatrzyła na nich oboje.

— A ja nie rozumiem — stwierdziła. — Biedny pan Adlen, on...

— Pan Austin — poprawił Robin.

— W porządku, pan Austin. Mój ojciec miał kiedyś badania i mówił, że to było okropne. Musiał łykać kredę, robili mu rentgena. Ja uważam, że powinien wypoczywać i nie myśleć o pracy.

— Kochanie, czy uważasz, że pilot czeka, aż usłyszy od ciebie, co ma robić, gdy rozpęta się burza?

— Oczywiście, że nie. Od tego jest wieża kontrolna i nawigator.

— Więc wyobraź sobie, że ja jestem tą wieżą, a Judith nawigatorem.

— I tak wiem swoje. Powinniście zostawić biedaka w spokoju.

Judith musiała przyznać, że podoba się jej śmiałość, z jaką dziewczyna reaguje na uwagi Robina. To jasne, przecież była z nim w łóżku, zna swoją siłę. Siłę młodości.

— Chce mi się jeść — powiedziała nagle Ingrid.

Robin dał znak kelnerowi.

— Dla pani befsztyk, dla mnie podwójną wódkę. — Następnie zwrócił się do Judith: — A na co pani ma ochotę? Polecam befsztyk z sałata.

— Co weźmie pan dla siebie?

Wskazał na swój kieliszek.

— Wobec tego proszę o jeszcze jedną szkocką — powiedziała cicho.

— A befsztyk?

— Dziękuję za befsztyk.

Powoli w jego oczach zapalił się uśmiech.

— No, no, zaczyna mi się pani podobać. Trzeba niejednego ciosu, żeby powalić panią na deski. Na dźwięk gongu staje pani na powrót w ringu, gotowa do podjęcia walki. Dlatego za każdym razem zwycięstwo należy do pani.

— Za każdym? — spytała wyzywająco.

— Za każdym, moja droga.

Uniósł szklaneczkę, jakby chciał wnieść toast. Ingrid patrzyła na nich ze zdumieniem. Nagle wstała.

— Anuluj moje zamówienie. Rezygnuję z befsztyka. Mam wrażenie, że nie jestem tu teraz potrzebna.

Robin nie odwracał wzroku od szklanki.

— Rób, jak uważasz, mała.

Chwyliła płaszcz i poszła do wyjścia.

Judith udała zmiśnianie. — Robinie, może to ja powinnam wyjść? Ta dziewczyna i ty...

Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. — Nie udawaj, Judith, to nie w twoim stylu. Sama tego chciałaś, tak czy nie?

Kątem oka dostrzegła, że Ingrid zatrzymała się przy drzwiach jakby w nadziei, że Robin pójdzie za nią. Judith odczekała chwilę, aż Ingrid zniknie, a potem powiedziała: — Nie chcę nikomu robić przykrości.

— Nie będzie długo cierpiała — odparł. Odwołał zamówione danie i poprosił o rachunek. W milczeniu dopili drinki i wyszli z baru.

— Mieszkam niedaleko, na tej ulicy — powiedział i wziął ją pod rękę.

Nie tak to sobie wyobrażała: nie aż tak banalnie. Chciała, żeby było romantycznie. Musi go przekonać, że naprawdę jej na nim zależy. — Robinie, myśl o tobie już od dawna.

Nic nie odpowiedział, tylko uwolnił rękę Judith spod swego ramienia i uściśnął jej dłoń. — Wygrałaś, Judith. Nie ma sensu nazywać wszystkiego po imieniu.

Gdy znaleźli się w jego mieszkaniu, ogarnęło ją nagle uczucie niepewności, jakby była młodą dziewczyną, która po raz pierwszy znalazła się z mężczyzną sam na sam. W tejsze chwili poczuła, że pomiędzy piersiami i na czole występuje jej pot... przekłete uderzenie krwi!... drobne ostrzeżenie, że dawno minęły czasy, kiedy mogła się równać z młodą, beztroską stewardesą!

Robin napełnił jej szklaneczkę szkoocką, a sobie nalał sporą miarkę wódki. Wychylił szklaneczkę, stojąc pośrodku salonu. Judith siedziała na obszernej otomanie i czekała, aż Robin usiądzie obok niej. Zauważyła kominiek i stosik świeżo narąbanego drewna. Ach, gdyby napalił w kominku! Mogłoby siedzieć w ciemności, słuchać płyt, które zauważyła obok adapteru; ogień paliłby się jasnym płomieniem... a on wziąłby ją w ramiona i...

Podszedł do niej zniechęcony, odebrał szklaneczkę i poprowadził do sypialni. Poczowała, że ogarnia ją paniczny strach. Czy będzie musiała rozebrać się do naga w jego obecności? Ingrid, zachwycona swoją nagością i swym młodym, prężnym ciałem, pozwalała pewnie, żeby zdejmował z niej wszystko... Judith miała na sobie pas; mimo iż była tak szczupła, pas podtrzymywał obwisłą w niektórych miejscach skórę, spiętrzając ją wyżej w nieapetycznym zmarszczki.

Dał ręką znak, żeby poszła się rozebrać do łazienki, i zaczął rozwiązywać krawat. — Nie mam garderoby, idź tam — powiedział.

Potykając się ruszyła do łazienki i zamknąwszy za sobą drzwi, zaczęła się powoli rozbierać. Na drzwiach zauważyła brązowy, jedwabny szlafrok, włożyła go na siebie, przewiązała paskiem. Gdy otworzyła drzwi, zobaczyła, że Robin stoi w samych slipach i wygląda przez okno. Pokój pogrążony był w ciemności i jedynie płynące z łazienki jasne smugi oświetlały szerokie bary Robina. Nie miał na sobie ani grama zbędnego tłuszczu. Nawet nie przypuszczała, że jest tak doskonale zbudowany. Stała tuż za nim. Odwrócił się i wziął ją za rękę. Delikatnym ruchem popchnął ją w kierunku łóżka, a potem powiedział z uśmiechem: — Podobno nikt nie potrafi dorównać w miłości doświadczonej kobiecie. Udowodnij to, moja droga, oddaję się w twoje ręce, pokaż co potrafisz.

Pragnęła go tak bardzo, że — mimo oszołomienia — usłuchała bez słowa. Po paru chwilach przewrócił ją na plecy i wszedł w nią; za moment było po wszystkim. Wyciągnął się na wznak i sięgnął po papierosa.

— Wybacz, że nie stanąłem na wysokości zadania — powiedział z przeprasającym uśmiechem. — Tak się dzieje, kiedy piję.

— Było cudownie, Robinie.

— Cudownie? — popatrzył na nią zdumiony. — Jak to?

— Ponieważ byłem z tobą. Ponieważ tego pragnęłam.

Ziewnął. — Jak się obudzę, spróbuję ci dać więcej zadowolenia. — Potem pocałował ją lekko i odwrócił się plecami.

Wkrótce jego równomierny oddech uświadomił Judith, że Robin głęboko śpi. Spojrzała na niego z ukosa — a więc tak wygląda słynna „Maszyna do Kochania”. I co dalej? Pewnie myślał, że zaśnie razem z nim. Ingrid usnęłaby bez wątplenia, inne dziewczyny też. Właściwie, czemu nie? Gregory jest w szpitalu, nie trzeba się przed nikim tłumaczyć. Ale co będzie, jeśli w środku nocy obleje się potem albo zacznie chrapać? W Palm Beach Gregory skłonił ją do spania w jednym pokoju, a potem powiedział, że chrapie. Dokuczał jej wtedy z wyraźną przyjemnością — chrapanie było widocznym sygnałem zbliżającej się starości.

Leżała patrząc w sufit. Wiek psuł całą przyjemność. Trudno przeleżeć w ramionach kochanka całą noc, pocąc się i chrapiąc. A jeśli w dodatku ułoży się we śnie nie tak jak trzeba, będzie widać jej obwisłe piersi. Nagle spostrzegła, że ma na sobie brązowy, jedwabny szlafrok. Nawet się nie pofatygowała, żeby go z niej zdjąć. Ani razu nawet na nią nie spojrzął, ani razu jej nie dotknął. Po prostu wszedł w nią i zaspokoił swe pożądanie.

Wysunęła się z łóżka, poszła do łazienki i cicho się ubrała. Gdy wróciła do pokoju, Robin siedział na łóżku zupełnie trzeźwy.

— Judith, czyżbym zasnął tak szybko? Która godzina?

— Dwunasta. — W swoim eleganckim kostiumie czuła się pewnie i bezpiecznie.

— Dlaczego się ubrałaś?

— Powinłam być w domu, na wypadek gdyby dzwoniли ze szpitala.

Wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać. — Jasne. Odwiozę cię do domu. Za chwilę będę gotowy.

— Nie trzeba, Robinie. — Podeszła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję. Jeśli teraz wstanie i ubierze się, zdąży jeszcze zadzwonić do Ingrid. Jest niezbyt późno, dopiero północ. Poza tym może ją znienawidzić za to, że musi się przez nią ubierać i wychodzić z domu. — Złapię taksówkę. Proszę, wracaj do łóżka. Masz przed sobą ciężki dzień.

Objął ją i odprowadził do drzwi.

— Zobaczymy się jutro?

— Nie, wyjeżdżam na kilka dni do Filadelfii. Będziemy nagrywać program z Dianą Williams.

— Kiedy wracasz?

— Za dwa, trzy dni. To zależy.

Przytuliła się do niego. — Robinie, jeszcze mnie nie pocałowałaś.

Pocałował ją posłusznie w czubek głowy.

— Mam na myśli prawdziwy pocałunek.

Uśmiechnął się. — Nie będziemy się przecież całowali w tym przeciagu.

— Popatrzył na nią ze zdziwieniem, a potem powiedział: — Chodź do mnie.

— Wziął ją w ramiona i długo całował. — Nie możesz przecież wyjść stąd kompletnie rozczarowana, wzięwszy pod uwagę ryzyko, na które się naraziłaś.

Idąc do windy, zaczęła się zastanawiać, dlaczego czuje się tak upokorzona. Przecież go zdobyła, poszła z nim do łóżka, przecież zobaczy go znowu. Tylko następnym razem nie dopuści, żeby pił tak dużo.

Niestety, najbliższe dwa tygodnie przyniosły tak gwałtowne pogorszenie nastroju Gregory'ego, że myśl o „następnym razie” nawet nie przyszła jej do głowy. Mimo iż szybko powracał do zdrowia, jego obsesja wcale się nie cofała. Któregoś dnia wpadł doń Robin, Gregory jednak odmówił jakichkolwiek rozmów na temat IBC. Siedział w szlafroku i tępym wzrokiem wpatrywał się w okno.

Od powrotu ze szpitala nie wstawał z łóżka. Leżał całymi dniami i gapił się w sufit. Nie dawał wiary żadnym wynikom badań. Twierdził uparcie, że odczuwa bóle w karku, w biodrach. — Przerzuty są wszędzie — powtarzał w kółko jęczącym głosem.

Pewnego ranka obudził się całkowicie sparaliżowany od pasa w dół. Nie mógł ruszać nogami ani siadać. Natychmiast wezwano doktora Lesgarna. Gdy

po ukłuciu szpilką nie było żadnej reakcji, doktor zadzwonił po karetkę. Chorego poddano dokładnym badaniom. Nie był to udar, czego najbardziej obawiała się Judith. Wezwano więc lekarza psychiatrę.

Doktor Chase, znakomity specjalista, przeprowadził z Gregorym rozmowę. Następnie sprowadzono jeszcze jednego internistę. Opinia wszystkich lekarzy była jednoznaczna — nie znaleziono somatycznych przyczyn paraliżu.

Judith została powiadomiona o rezultatach lekarskich oględzin. Słuchała tego wszystkiego w niemym osłupieniu, błagając wzrokiem o wyjaśnienie.

— Przydałoby się intensywne leczenie — stwierdził psychiatra.

— To znaczy ma się leczyć w domu? — spytała.

Psychiatra pokręcił przecząco głową.

— Mam na myśli szpital psychiatryczny. Payne Whitney w Nowym Jorku albo Instytut Hartforda.

Judith zakryła twarz rękoma. — Nie! Nie chcecie go chyba wsadzić do domu wariatów? On tego nie zniesie!

Psychiatra zeszywniał. — Droga pani, większość pacjentów tych szpitali to ludzie o wielkiej inteligencji i wrażliwości. Człowiek tępy i niewrażliwy rzadko miewa załamania psychiczne.

— Nic mnie to nie obchodzi. Gregory wolałby się zabić, niż dopuścić do tego, żeby wyszło na jaw, iż jest pacjentem szpitala psychiatrycznego. Oznaczałoby to kompletną ruinę jego całego życia. Wszystkich akcjonariuszy IBC ogarnęłaby panika — nie można ryzykować.

Doktor Lesgarn zamyślił się, a potem zwrócił się do doktora Chase'a.

— A gdyby umieścić go w szpitalu w Szwajcarii? Mógłby zostać wpisany pod zmienionym nazwiskiem. Mają tam na miejscu mieszkania dla żon pacjentów. Będzie pod doskonałą opieką psychiatryczną i nikt o niczym się nie dowie. Judith oświadczy dziennikarzom, że wybierają się w długą podróż po Europie. — Spojrzał na nią i uśmiechnął się z przymusem. — Będziesz mogła wyskoczyć do Paryża lub Londynu, żeby powysyłać do przyjaciół kilka kartek pocztowych. W ten sposób cała rzecz będzie utrzymana w sekrecie.

— To doprawdy śmieszne — oburzył się doktor Chase. — Nie widzę nic poniżającego w chorobie psychicznej. Tutaj, w Stanach, są doskonałe szpitale, nie rozumiem zatem, po co ta cała konspiracja.

Doktor Lesgarn pokręcił przecząco głową. — W pełni podzielam punkt widzenia pani Austin. Rozgłos, związany z tą sprawą, może bardzo zaszkodzić IBC, która jest znana z tego, że opiera się na jednym człowieku. Jeśli udziałowcy dowiedzą się o jego chorobie, wpadną w panikę. Szwajcaria to najlepsze rozwiązanie. Tylko że — zwrócił się do Judith — będzie to oznaczało wyjazd na sześć miesięcy, może na rok.

— Biorę na siebie całe ryzyko — powiedziała stanowczo.

Doktorowi Lesgarnowi poleciła, by poczynił wszelkie niezbędne przygotowania. Następnie wróciła do domu i przeprowadziła dwie krótkie rozmowy telefoniczne: jedną z Cliffem Dornem, a drugą z Robinem. Oba poprosiła o natychmiastowe przybycie.

Zjawili się o szóstej. Żadnemu z nich Judith nie zaproponowała drinka. Przyjęła ich w gabinecie Gregory'ego i wyjaśniła, co się stało. Na koniec dodała: — Jeśli piśniece choć jedno słówko na temat tego, co zostało tu powiedziane, zaprzeczę wszystkiemu, a was obu zwolnię z pracy. Ponieważ Gregory nie jest w tej chwili w stanie podejmować jakichkolwiek decyzji, ja, jako jego żona, przejmuję pełnomocnictwo.

— Nikt nie wątpi w słuszność pani decyzji — powiedział spokojnym głosem Cliff. — Jeśli sprawa wyjdzie na jaw, notowania giełdowe spadną natychmiast o dziesięć procent. Zresztą sam jestem udziałowcem, choć mój portfel jest bardzo niewielki.

— A więc jesteśmy zgodni. — Gdy obaj potwierdzili, mówiła dalej: — Chcę, żeby pan Robin Stone objął pełne kierownictwo. Cliff, musi pan jutro poinformować o tym Dana. Ma się dowiedzieć, że Gregory wyjeżdża na czas nieokreślony, że kierowanie firmą przejmuje teraz Robin i od jego decyzji nie będzie odwołania. — Zauważyła wyraz niedowierzania w oczach Cliffa, lecz nie zareagowała.

Wstała, dając tym samym do zrozumienia, że spotkanie jest zakończone.

— Robinie, proszę zostać, chciałabym z panem pomówić.

Cliff stał przy drzwiach, wahając się, czy ma wyjść, czy zostać. — Poczekał na korytarzu — powiedział. — Zostało jeszcze do omówienia to i owo.

— Nie może poczekać do jutra? Jestem bardzo zmęczona.

— Obawiam się, że nie. Wyjeżdża pani jutro o północy, a jest kilka pilnych spraw, o których powinna pani wiedzieć.

Robin ruszył do wyjścia. — Porozmawiamy jutro, dobrze? Czy moglibyśmy zjeść razem lunch?

— Chętnie. Spotkajmy się u mnie, będę okropnie zajęta pakowaniem.

— Może być o pierwszej? — Skłonił się i wyszedł z pokoju.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, zwróciła się do Cliffa, nie kryjąc irytacji. — O jakie pilne sprawy chodzi?

— Czy Gregory wie, jakie decyzje zostały tu podjęte?

— Gregory nawet nie wie, jak ma na imię! Rozumie pan? Leży tam kompletnie sparaliżowany, nieczuły jak pień.

— Czy zdaje pani sobie sprawę z tego, co robi?

— Gregory na moim miejscu zrobiłby to samo.

— Nie sędzę. Gregory chciał, żeby Robin miał kontrolę wyłącznie nad Dantonem, pani zaś przekazała w jego ręce całą władzę i na dodatek dała mu pełną autonomię.

— Jeśli władza zostanie podzielona, nasza sieć telewizyjna rozleci się na kawałki. Danton nie znosi Robina, będzie zwalczał wszystkie jego pomysły, nie zapadnie decyzja w żadnej sprawie. Musi być jedna głowa.

— W takim razie, dlaczego nie Danton?

— Ponieważ Gregory nie ma do niego zaufania.

— Skąd pewność, że można mieć pełne zaufanie do Robina?

— Zrobiliśmy wywiad. Dziedziczy legalnie ogromny majątek. Jest milionerem. Nic nam nie grozi z jego strony.

Cliff pokręcił głową. — Od władzy trudno się odzwyczaić, a łatwo ją polubić, jeśli raz się jej zakosztuje. Niezależnie od tego, ja osobiście uważam, że Dan lepiej się nadaje na to stanowisko.

— To pijaczyna.

— W pracy nie pije. Zrobił kilka naprawdę dobrych programów, z których żyje IBC. Zna się dobrze na tej robocie. Ciekaw jestem, jak, pani zdaniem, pogodzi się z faktem, że Robin będzie jego zwierzchnikiem.

Wzruszyła obojętnie ramionami. — To już jego sprawa.

— Nie będzie w stanie tego znieść, będzie musiał zrezygnować, żeby ratować twarz.

— A łatwiej mu będzie pogodzić się z wymówieniem? — spytała.

— Gdy ktoś działa pod wpływem emocji, trudno mu myśleć logicznie. Złość jest często matką fałszywej odwagi.

— To naprawdę jego problem, nie mój — powiedziała kończąc rozmowę.

Cliff Dorne zwołał generalne zebranie na dziewiątą rano następnego dnia. O dziewiątej trzydzieści Danton Miller podał się do dymisji.

Cliff próbował odwieść go od tego zamiaru. — Nie łam się, Dan. Cała ta burza wkrótce ucichnie. Gregory wróci. Wydawało mi się, że akurat ciebie trudno pokonać.

Dan wy dobył z siebie nikłą imitację swego normalnego uśmiechu.

— Czasem trzeba się wycofać, żeby przeżyć. Nie martw się o mnie, Cliff. A tak przy okazji, kogo dacie na moje miejsce?

Cliff wzruszył ramionami. — Wypadałoby, żeby to był George Anderson, ale Robin już posłał po Sammy'ego Tebeta.

— Nie dajcie się w to wrobić! — zawołał Dan. — Sammy to dobry chłopak, ale z tej samej gliny co Robin: Harvard; dobre pochodzenie... Będzie kupował wszystkie jego pomysły.

Cliff uśmiechnął się. — Ja też muszę przeżyć. Ale moja idea przeżycia polega na tym, żeby nie dać się zepchnąć ze sceny i nie spuszczać oka z interesów. Teraz nie pora na walkę z Robinem.

Robin dobrze wiedział, że Cliff Dorne jest do niego nastawiony wrogo. Nie miał jednak najmniejszego zamiaru zabiegać o jego względy. Współpraca między nim a Sammym Tebetem układała się doskonale i zanim minął miesiąc, mało kto pamiętał, że w IBC pracował kiedyś facet o nazwisku Danton Miller. Wicedyrektorzy schowali do lamusa czarne garnitury i krawaty, dochodząc do wniosku, że najelegantsze są oksfordzkie szarości Robina.

Tymczasem Robin harował jak koń. Wieczorami oglądał programy telewizyjne, więc tylko z rzadka widywano go w Lancerze. Powoli zaczął tracić kontakt ze światem zewnętrznym. Nie liczyło się dlań nic poza IBC i konkurencją. Śledził nowe pomysły i miał do przejrzania co najmniej tuzin nowych zwiastunów.

Właśnie wybierał się na lotnisko, gdy zadzwonił Dip. Zupełnie zapomniał o jego istnieniu, rzuciwszy się w wir gorączkowej pracy.

— Jak leci, Wielka Szycho? — rozległ się w słuchawce radosny głos. — Miałem zadzwonić i pogratulować, ale zagrzebałem się po uszy w robocie. Pomagam Pauli.

Robin roześmiał się. — Ostatnio, o ile się nie mylę, groziłeś, że ją zabijesz.

— Znasz mnie, bracie, łatwo się zapalam i łatwo gasnę. I tak beze mnie nie dałaby sobie rady. Jeśli Diana Williams będzie się zaprawiać tak jak dotąd, to Pauli z palcem w nosie tuż po premierze na Broadwayu dostanie tę rolę. Może dziś wieczorem machniesz się ze mną do Filadelfii obejrzyć program?

— Właśnie lecę na Wybrzeże, Dip. Jadę na przegląd pilotów seriali, którymi w lutym zastąpimy stare rżęchy.

— Słuchaj, jak tam będziesz, rozpuść wieści, że Dip Nelson szykuje bombę.

— Naprawdę?

— Niestety, nie, ale puść taką plotkę. We wszystko tam uwierzą.

Lot był bardzo męczący. Złapał się na tym, że myśli o Judith Austin. Spędzili ostatni lunch rozmawiając wyłącznie o interesach, bez chwili przerwy. Na koniec, patrząc mu w oczy, powiedziała: — A więc na razie, ciao. — W pierwszej chwili miał ochotę zignorować ową natarczywą poufałość, którą zauważył w jej oczach, lecz nagle Judith wydała mu się strasznie bezbronna i zagubiona w swym ogromnym domu. Dzięki zupełnie dziwnemu skojarzeniu, nagle przypomniał sobie Kitty, ujął więc dłonie Judith i uściskawszy je, powiedział uśmiechając się z przymusem: — Ciao, na razie.

Cóż, Gregory wyjedzie na długo, a Judith znajdzie sobie zapewne w Europie dość dobre towarzystwo. Aby wyrzucić ją ze swych myśli, zaczął oglądać film. Po filmie obejrzał reklamy zwiastunów, które miał zamiar pokazać na Wybrzeżu. Nie mógł się już doczekać, kiedy ten cholerny samolot wyląduje, kiedy wreszcie będzie mógł rozprostować nogi i kiedy wreszcie zobaczy się z Maggie Stewart.

Gdy tylko zameldował się w hotelu Beverly Hills, natychmiast do niej zadzwonił. Zareagowała zdziwieniem, lecz zgodziła się na spotkanie o szóstej w Polo Lounge.

Jej widok uzmysłowił mu, że zapomniał zupełnie, jak niezwykłą ma urodę. Z uśmiechem przysiadła się do jego stolika.

— Nie przypuszczałam, że po tym pożarze będziesz chciał jeszcze ze mną rozmawiać.

Chwytił ją za rękę i uściśnął mocno.

— Zartujesz chyba. Uważam, że był to całkiem niezły pomysł.

— A jak się miewa Diana i jej rewia? — spytała Maggie.

— Nie mam pojęcia, widywałem się z tą panią wyłącznie w sprawach, zawodowych. Nie wiem, czyja to sprawa, że nasza ledwo zakwitła miłość obróciła się w proch. A propos, co z twoim nowym filmem?

Skrzywiła się.

— Widziałam w zeszłym tygodniu próbną kopię.

Spojrzała na nią z zaciekawieniem.

— Naprawdę, taki zły?

— Gorzej niż zły. Gdybym nie miała trzech innych kontraktów, mogłabym pożegnać się z przyszłością w tym zawodzie. Nie zrobią mu nawet przyzwoitej premiery, tylko od razu puszcza w drugorzędnych kinach.

— Każdemu może się trafić nie najlepszy film.

Pokiwała głową.

— Mam szansę wykopyrtnąć się również na kolejnym. Moim reżyserem jest Adam Bergman.

— To doskonały facet.

— Na pewno. Nawet udaje mu się czasami zrobić ze mnie prawdziwą aktorkę.

— Więc w czym problem?

— Nie dostanę tej roli, jeśli nie zostaną jego żoną.

Robin milczał.

— Nie mam zamiaru się zgodzić. Nie rób takiej miny, jakbyś czuł się winien. Już raz mu odmówiłam, jeszcze w zeszłym roku, przed świętami. — Spojrzała na niego błyszczącymi oczyma. — Choć może właśnie powinieś

mieć wyrzuty sumienia, ty draniu... przez ciebie nie wychodzi mi z żadnym mężczyzną.

Uśmiechnął się rozbrajająco.

— Daj spokój, Maggie, widziałem wielu ciekawszych gości niż ja.

— Masz zupełną rację. Ja też widziałam. To moja wina. Sam mówisz, że jestem wariatką. Poszłam zresztą do psychoanalityka i wiesz, czego dowiedziałam się na swój temat? Że jestem cholerną egoistką.

— Do psychoanalityka? A co ma wspólnego egoizm z poślubieniem Adama?

— Nie mam ochoty na hollywoodzkie życie małżeńskie, które jemu, jak się zdaje, bardzo odpowiada. Gdy mieszkaliśmy z nim razem w domku na plaży, wyprawiałam takie rzeczy, że teraz sama nie mogę w to uwierzyć. Dziwne, prawda? Kiedy się kładę na kozetkę w gabinecie, zadaję sobie pytanie: gdzie się to wszystko podziało? Gdzie jest ta Maggie z Filadelfii, która była zakochana, pełna nadziei? Przecież ta szalona wariatka to nie ja!

— Co cię skłoniło, żeby położyć się na tej kozetce?

— Pożar. Gdy zdałam sobie sprawę, że mogłam stać się przyczyną śmierci tylu ludzi, przeraziłam się.

— Sprawilem sobie nowiutkie łóżeczko z azbestowymi prześcieradłami. Zabrał ją na obiad do Dominicka, a potem wrócili do Melton Towers.

Następne trzy dni spędzili w sali projekcyjnej, a noc z Maggie w łóżku. W dzień jego wyjazdu spotkali się w Polo Lounge na drinku. Wręczyła mu maleńkie pudełeczko. — Otwórz, to prezent — powiedziała.

Utkwił wzrok w małym złotym kółeczku, spoczywającym na dnie wyłożonego aksamitnego pudełka.

— Co to jest? Wygląda jak miniaturowa rakietka tenisowa.

Wybuchnęła śmiechem.

— To jest *ankh*, taki talizman.

— Co?

— Egipski znak tau — Kleopatra też miała taki. Symbol wiecznego trwania. Twój znak, bo będziesz trwał bez końca w pamięci wszystkich dziewczyn, żadna o tobie nie zapomni. Dla mnie to symbol seksu, wiecznego seksu. — Wsunęła mu kółeczko na mały palec. — Patrz, jaki skromny, jasny i piękny. Zupełnie jak pan, panie Stone. Chcę, żebyś go nosił, chociaż wiem, że wyrzucisz to do śmieci, gdy tylko się rozstaniemy — ja jednak sobie będę wyobrażać, że nosisz tę obrączkę i każda dziewczyna pyta cię, skąd ją masz. Ciekawe, czy będziesz miał dość odwagi, żeby się przyznać.

— Nigdy nie nosiłem biżuterii, często nawet nie zakładałem zegarka — powiedział powoli. — Ale to będę nosił, przyrzekam.

— Wiesz co? Słyszałam kiedyś o czymś, co określa się mianem „miłości-nienawiści”, lecz dopiero kiedy ciebie poznałam, zrozumiałam co to znaczy.

— Przecież nie czujesz do mnie ani nienawiści, ani miłości.

— Kocham cię — powiedziała cicho. — A jednocześnie nienawidzę cię za to, że musisz cię kochać.

— Kiedy zaczynasz kręcić następny film?

— Za dziesięć dni.

— Pojedź ze mną do Nowego Jorku.

Jej oczy zabłyśły. — Naprawdę? Naprawdę chcesz, żebym z tobą pojechała?

— Mówię poważnie. Mamy samolot IBC do prywatnego użytku. Z łóżkiem na pokładzie. Możemy oblecieć cały kraj, nie schodząc na ziemię.

Milczała.

— Pojedź, Maggie. Obejrzymy wszystkie imprezy, może nawet zatrzymamy się nad morzem, jeśli będzie ciepło. Dasz radę zwiać?

— Robinie, jeżeli tylko zacznę wierzyć, że jestem ci potrzebna, cała moja kariera legnie w gruzach. Nie sądz, że mam na myśli małżeństwo; chodzi tylko o te słowa: „jestem potrzebna”. Boże, poszłabym za tobą do piekła.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem. — Czyżbym wspomniał, że potrzebuję czegoś lub kogoś? Powiedziałem tylko, żebyś pojechała ze mną do Nowego Jorku. Sądziłem, że dobrze ci zrobi zmiana klimatu.

— Jeszcze jedna luksusowa delegacja?

— Życie składa się z takich podróży, moja mała.

Poderwała się z takim impetem, że alkohol wylał się z kieliszków na stół.

— Boże, mam nadzieję, że to wreszcie koniec! Pewnie będę odpowiadała na twoje telefony, kiedy znowu się tu pojawisz, pewno pójdę z tobą do łóżka. Tylko dlatego, że jestem wariatka! Ale zobaczysz, mój psychoanalityk mnie wyleczy, i wtedy się okaże, kto komu jest potrzebny... wówczas jednak będzie za późno!

Utkwił w niej chłodne spojrzenie. — Wydaje mi się, że nic nie rozumiesz, maleńka. Ja naprawdę nikogo nie potrzebuję, za to ty potrzebujesz Adama Bergmana, bo nie ulega wątpliwości, że bez niego masz zerowe szanse na zrobienie przyzwoitego filmu.

Pochyliła się nad stołem i spojrzała mu w oczy. — Jak to mówią w mojej nowej branży, lecę na ciebie, panie Stone... Jeszcze jak na ciebie lecę!... ale w gruncie rzeczy jesteś największym gówniarzem, jakiego nosiła matka Ziemia!

Potem wstała i wyszła. Powoli dopił drinka i pojechał na lotnisko. Zatrzymał się, żeby zdjąć obrączkę i wyrzucić ją do śmietnika, talizman jednak trzy-

mał się mocna na palcu. Robin uśmiechnął się pod nosem. Może istotnie zdołała go zaobrączkować.

Gdy wrócił do Nowego Jorku, dowiedział się, iż Diana Williams zrezygnowała, a zamiast niej wystąpiła Pauli i do tego stopnia podbiła widownię, że Ike Ryan postanowił zaryzykować i pokazać ją na w Broadwayu.

Dip codziennie dojeżdżał z Filadelfii do Nowego Jorku i zasypywał Robina bieżącymi informacjami. Żeby ratować swoje *Wydarzenie* z Dianą, Robin zabrał ekipę do Filadelfii i zrobił reportaży. Po powrocie uznał, że nagranie zawiera znakomity materiał: najpierw Diana Williams na próbach, potem Diana mówiąca o swoim powrocie na scenę, potem nagłówki gazet z informacją o jej „chorobie”. W drugiej części był wywiad z Pauli — przeprowadzony w chwili przejmowania przez nią garderoby poprzedniczki — na koniec zaś jej triumfalny występ. Wszystko to mocno trąciło mydlaną operą, lecz Robin był pewien, że będzie miało dobrą oglądalność.

Rewię wystawiono w Nowym Jorku i Pauli dostała znakomite recenzje, ku jednak ogólnemu zdziwieniu nie doczekała się propozycji zagrania w filmie. Dip pienił się z gniewu i nie przyjmował do wiadomości wyjaśnień agentów, że Pauli jest stworzona na scenę i wkrótce zostanie supergwiazdą Broadwayu. Załamała się zupełnie, gdy wyszło na jaw, że do ekranizacji musicalu zaangażowano znaną aktorkę filmową.

W maju Robin zaprezentował publiczności *Wydarzenie*; zgodnie z przewidywaniami pobiło ono wszelkie rekordy oglądalności.

Lato było dla Robina łaskawe. Nowe programy sprawdzały się znakomicie. Poderwał też parę dziewcząt z musicalu Pauli. Próbował nawet z samą Pauli, lecz spotkała go zdecydowana odmowa. Nie Przejawszy się tym zbytnio, przesiadywał wieczorami u Sardiego w towarzystwie dziewcząt, które przyprowadzał mu Dip. Bywał tam z coraz większą ochotą, w miarę jednak, jak rosła jego legenda, zaczął na nowo kryć się w Lancerze. Żeby uniknąć kontaktów z agentami, dziennikarzami i gwiazdami, trzymał się również z daleka od Colony i „21”. Szybko nauczył się reagować krótkim „nie” i stanowczym uśmiechem. Przysiągł sobie, że nigdy nie straci opanowania, nigdy nie wybuchnie złością ani też nie powie nikomu: „Przemyślę to”. Odpowiadał wyłącznie krótkim „tak” albo „nie”. Wkrótce wyrobił sobie opinię zimnego drania, którego jedno skiniecie głową mogło pograżyć człowieka lub wynieść go na piedestał. Gdy z rzadka pojawiał się w „21”, zdumiewała go atmosfera strachu, jaką wywoływała jego obecność.

Jednocześnie zwrócił uwagę na zupełnie nowe zjawisko, towarzyszące jego świeżej sławie. Po raz pierwszy w życiu musiał wkładać tyle wysiłku w zdo-

bywanie dziewczyn. Pierwsze lepsze aktoreczki nie wchodziły w grę — nie mógł sobie pozwolić na „szarganie” swego nazwiska. Lubił teraz towarzystwo stewardes, lecz z żadną nie umiał długo wytrzymać. Przychodziły w swych najlepszych kreacjach, mając nadzieję, że pokażą się z nim w El Morocco albo u Voisina. Bardzo szybko orientowały się, iż życie towarzyskie Robina ograniczało się do Lancer Bar, kina i jego własnej sypialni.

Gdyby nie Dip, jego życie seksualne zamarłoby zupełnie. Dip dbał jednak o to, by kociaki napływały równym strumieniem. Praca jednak pochłaniała Robinowi większość czasu i dopóki dwa, trzy razy w tygodniu udawało mu się kogoś poderwać, nie zaprzętał sobie głowy problemem. Wciąż nosił złotą obrączkę, a gdy dziewczyny pytały o nią, odpowiadał: „to symbol wiecznego życia, wiecznej miłości. Oznacza też, że jestem zakochany we wszystkich kobietach tego świata”.

Dwa razy w tygodniu przychodziła kartka od Judith. Cliff starannie pilnował, żeby w gazetach ukazywały się regularne doniesienia na temat podróży państwa Austinów.

W przeddzień Święta Pracy Dip wdarł się do gabinetu Robina i oznajmił, że jest pewien, iż Pauli ma romans ze swoim partnerem scenicznym, odtwórcą głównej roli — Lonem Rogersem. W tym samym momencie zadzwonił Cliff Dorne z wiadomością, że rodzina Christiego Lane'a powiększyła się: Ethel wydała na świat chłopczyka ważącego dziewięć funtów.

Robin powiedział Dipowi, że to tylko takie głupie gadanie, jak zwykle na Broadwayu, a dla dziecka Christiego Lane'a wysłał srebrny kubek do soku pomarańczowego, który zamówił u Tiffany'ego. Wieczorem pospacerował samotnie po Broadwayu, a w końcu postanowił obejrzeć ten koszmarny film z Maggie Stewart w roli głównej.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Robin siedział w mieszkaniu przed telewizorem, czekając na pierwszy w nowym sezonie program Christiego Lane'a. Od kilku dni gazety napomykały, że widzów spotka ogromna niespodzianka. Robin domyślał się, że Christie zamierza pokazać światu swoje nowo narodzone dziecko.

Bez słowa podał Dipowi pustą szklaneczkę.

— Zrób mi lekką szkocką, Dip.

Gdy Dip posłusznie ruszył w stronę baru, Robin popatrzył za nim mrużąc oczy. Zdawał sobie sprawę, jak wiele plotek krąży na temat ich przyjaźni. Jerry Moss doniósł mu, że ludzie gadają o dziewczynach sprowadzanych przez Dipa. Wysłuchiwał tego z pobłażliwym uśmiechem i nie potwierdził ani też nie zaprzeczył. Prawdę mówiąc, trzymał się z Dipem głównie z litości. Czuł, iż mimo entuzjazmu z powodu sukcesów Pauli, Dip z trudem znosi swoją nową rolę „męża wielkiej gwiazdy”. Nigdy się jednak nie uskarżał.

Robin załatwił mu dwa gościnne występy w rewiach muzycznych. Za każdym razem recenzje były druzgocące. Jeden z felietonistów nie omieszkiał donieść o powiązaniach Dipa z jakąś grubą szychą z IBC. Robin nie zwracał uwagi na te plotki. Gdyby Dip miał talent, załatwiłby mu niejedną rolę. Dip, niestety, zupełnie nie nadawał się do telewizji; tu nie wystarczała już jego przystojna twarz. Nawet faceci reklamujący nowy krem do golenia byli odeń urodziwsi.

— Co się stało, że pijesz dziś szkocką? — spytał Dip podając mu drinka.

— Otwarcie sezonu. Lubię być trzeźwy, kiedy oglądam nowy program. Potem możemy skoczyć do Lancera i zalać pały.

— Byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyśmy mogli pójść do Danny's Hideaway.

— Po co ci to? — spytał Robin, regulując kolor w telewizorze.

— J. P. Morgan powiedział kiedyś jakiemuś facetowi: „Chcesz mieć dobrą rekomendację? Przejdź się ze mną po giełdzie, a ja ci położę rękę na ramieniu”.

Robin zaczął się śmiać. — Dobra, możemy skoczyć po programie.

Dip z dziecinną gorliwością rzucił się do telefonu. Robin słuchał z uśmiechem, jak Dip z drobiazgową dokładnością ustala szczegóły, dotyczące stolika. A potem, gdy na ekranie pojawiła się zapowiedź programu Christiego Lane'a, włączył dźwięk.

Nie wierzył własnym oczom. Z początku wydawało mu się, że ogląda jakąś slapstickową komedię, że za moment biały frak i krawat Christiego okażą się błazeńskim kostiumem, kryjącym tylko rekwizyty do gagów i skeczów. Już jednak przy pierwszej reklamie zorientował się, że cała rzecz utrzymana jest w tonie jak najbardziej poważnym i przed jego oczyma rozgrywa się cikliwa szmira. Był to źle zrealizowany, cukierkowy show, a na dodatek partnerka Christiego tak dosłownie potraktowała swoją rolę, że dodawała całosci ciężkiej, nieznośnej powagi.

Dip poszedł do kuchni i nalał sobie piwa. Zerkał tylko od czasu do czasu na telewizor i nie mógł zrozumieć, z jakiego powodu Robin nie może oderwać oczu od ekranu. Potem poszedł do gabinetu i na drugim odbiorniku telewizyj-

nym nastawił western. Wiedział, że Robin wybaczy mu, iż nie ma ochoty oglądać programu, do którego nie chciano go zaangażować.

Kiedy show się skończył, wrócił do salonu. Robin najwyraźniej nie zauważył jego nieobecności. Tkwił nieruchomo na środku pokoju i wpatrywał się w przestrzeń.

— No i jak, stary?

— Beznadziejne.

— Może w przyszłym tygodniu będzie lepiej.

— Nie do wiary. O tej samej porze na NBC leci świetna komedia, a na CBS mocny dreszczowiec. W drugiej połowie, jestem pewien, straciliśmy połowę publiczności. Będziemy mieli najgorszą oglądalność.

— No dobra, chodźmy do Danny'ego. Co się stało, to się nie odstanie.

— Właśnie, że się odstanie — powiedział Robin zimno. — Połączył się bezpośrednią linią telefoniczną z IBC. — Robin Stone przy aparacie. Dajcie mi Artiego Rylandera na Wybrzeżu; macie jego domowy telefon w Bretwood. — Czekaj paląc papierosa. — Nic mnie nie obchodzi, do jasnej cholery, że linia jest zajęta. Przerwijcie rozmowę i każcie się rozłączyć.

Kiedy wreszcie uzyskał połączenie, wycedził przez zaciśnięte zęby:

— Słuchaj, Rylander, wytłumacz mi, jakim cudem, do jasnej cholery, pozwoliliście na coś podobnego? Jak to nie wiedzieliście, że to niewypał?... Dobrze, ale dlaczego nikt do mnie nie zadzwonił? Gównu mnie obchodzi Victor Noel. Możliwe, że produkuje dobre teksty dla Tony'ego Newleya, Roberta Gouleta, ale przecież, na Boga, nie dla Lane'a... Co znaczy, że wyrzucił twóich tekściarzy? Dobrze wiem, że jest teraz współwłaścicielem programu, ale drugim — i to ważniejszym! — jest IBC. Czas antenowy należy do nas... Jakże znowu ballady? Artie, posłuchaj, nie ma żadnej nowej muzyki — jest tylko dobra swojska muzyka — ponieważ ludzie kupują tylko znane kawałki... Dobra, nie wciskaj mi kitu o Broadwayu. Wprawdzie w musicalach idą nowe utwory, ale po premierze są recenzje, a ludzie dostają fioła, bo te melodie są wszędzie — na płytach, w szafach grających. Nie mamy szans na coś podobnego, nasz program idzie raz w tygodniu. A poza tym Chris Lane to nie Rex Harrison. To popłuczyny dla ubogich. Widziałeś, jak wyglądał we fraku — jak wyliniały pingwin. Ma natychmiast zrobić przeróbkę i wrócić do starej formuły. Weźcie z powrotem to dziewczę, które występowało w skeczach, i tego sentymentalnego gadułę do konferansjerki. Ciekawe, który geniusz wymyślił ten rządęk baletnic? Nie dotarło do was jeszcze, że z baletu nic nie zostanie na dwudziestocalowym ekranie? Nie chcę słyszeć o dodatkowych kosztach... Mam gdzieś umowę z Victorem, bierzcie z powrotem starych tekściarzy. Co znaczy „on się nie zgodzi”? Już ja go zmuszę... Nie, nie znam

warunków umowy, ale zaraz poznam! Jutro z samego rana czekaj na mój telefon. — Rzucił słuchawkę z całym sił.

— Robinie, jeśli się nie pospieszymy, przepadnie nam stolik u Danny'ego.

Robin przemaszerował przez pokój i założył marynarkę.

— Ostatnia rzecz, która mnie w tej chwili interesuje, to kolacja u Danny'ego. — Jeszcze raz podniósł słuchawkę. — Połączcie mnie z domem Cliffa Dorne'a w Rye. — Strzepnął palcami, sygnalizując Dipowi, żeby mu przyniósł papierosa. — Cliff? Tu Robin Stone.

— Jestem. Zaczekaj chwilę, przejdę do drugiego pokoju.

Robin zapalił papierosa i czekał. Po chwili usłyszał w słuchawce głos Dorne'a: — Przepraszam cię, mamy tu małe rodzinne przyjęcie.

— No i co powiesz o programie Christiego Lane'a?

W słuchawce zapadła cisza.

— Chyba widziałeś, jaka to nędza.

— Szczerze mówiąc, nie widziałem, ponieważ...

— Chcesz powiedzieć, że nie oglądałeś programu?

— Robinie, słuchaj, są siedemdziesiąte urodziny mojej teściowej. Jest cała rodzina. Siedzimy przy stole.

— To było śmierdzące gówno — powiedział Robin.

— Jutro z samego rana obejrzą taśmę.

— Chcę się z tobą natychmiast zobaczyć w biurze.

— Co takiego?

— To co słyszysz. Ty masz klucze do szafy, gdzie leżą teksty umów?

— Robinie, czy to nie może poczekać do jutra? Przecież podejmujemy mamę!

— Nic mnie nie obchodzi... niech to będzie sobie nawet Matka Boska! Masz tu być na jednej nodze!

— Przyjechałbym, gdyby to była moja matka. Ale żona nigdy mi nie uwierzy, że naprawdę musiałem wyjść. Nie myśl, że mi tak szalenie zależy na teściowej, po prostu od trzydziestu lat trwa zawieszenie broni. Jeśli teraz wyjdę...

— Jest na twoim utrzymaniu?

— Nie, sama się utrzymuje, jest mechanikiem samochodowym. Jasne, pomagam jej! Z okazji urodzin dostała ode mnie futro z norek. Może odrobinę nierozsądna inwestycja, zważywszy na wiek teściowej, ale, jak ją znam, przeżyje te norki.

— Więc przestań mi truć o uczuciach i przyjeżdżaj!

— Obawiam się, Robinie, że będziesz z tym musiał poczekać do jutra.

— W takim razie możesz jutro w ogóle nie przychodzić.

Na chwilę zapadła cisza. Potem Cliff odezwał się lodowatym tonem:

— Dobrze, będę zaraz. Przy okazji, radzę ci, żebyś również zerknął na tekst mojej umowy. Nie jesteś ani moim pracodawcą, ani zwierzchnikiem. Jestem szefem biura obsługi prawnej w IBC, a nie chłopcem, którego można z dnia na dzień wylać z pracy.

— Jeśli się pospieszysz, jest nadzieja, że w przyszłym roku teściowa dostanie na urodziny etolę. Jeśli nie, powtarzam ci — nie masz po co jutro przychodzić. Po pierwsze — teraz ja rządę, po drugie — nie ma ludzi niezastąpionych. Nasz najlepszy program leci na łeb na szyję i trzeba działać natychmiast — nie od jutra, ale już.

— W porządku.

— I posłuchaj, jeśli ci się nie podoba, możesz jeszcze dziś opróżnić swoje biurko.

— Nie odejdę, zanim nie wróci Gregory. A wtedy powinniśmy chyba usiąść i pogadać.

— Twoja sprawa. A teraz zdmuchnij świeczki, zaśpiewaj „sto lat” i podnieś tyłek. — Odłożył słuchawkę, podszedł do okna i utkwiał spojrzeniem w światłach odbijających się w rzece.

Dip roześmiał się. — Jak w tym zdaniu, które wygłosiłem w jednej szmircie: „Jeszcze będziesz leżał u mych stóp, Nowy Jorku”.

Robin odwrócił się — O co ci chodzi?

— To takie powiedzonko, w którym właściwie zawiera się wszystko. Ale tak właśnie teraz wyglądasz — jak olbrzym, który zamierza zawładnąć Madison Avenue, obalać gmachy, niweczyć, zabijać...

— Po prostu robię to, co do mnie należy.

— A co z Danny'm?

— Nie mam czasu.

— Robinie, facet jedzie z Rye. Nie dotrze w pół godziny. Możemy wpaść na moment do Danny'ego...

— Nie chce mi się ani jeść, ani pić. Innym razem.

— Słuchaj, akurat słyszałem, że będą tam dzisiaj poważni agenci. Mamy stolik obok.

— Leć do Danny'ego sam. Możesz rozpowiedzieć naokoło, że przyjdę później. Powiedz, że jem ci z ręki — i tak każdemu to opowiadasz. A potem, tak żeby wszyscy słyszeli, każ wykręcić mój numer. Nikt nie odbierze, a ty powiedz: „W porządku, Robin, do zobaczenia”. Będziesz miał swój wielki dzień.

— Sięgnął ręką do kieszeni, wyciągnął pięćdziesięciodolarowy banknot i rzucił go na kanapę. — To na kolację. — Wstał i skierował się do drzwi.

Dip wziął pieniądze i ruszył za nim, a potem krzyknął za odjeżdżającą tak-sówką: — Jeśli dasz radę, stary, to wpadnij. Zadzwoń za godzinę.

O czwartej nad ranem Robin i Cliff skończyli analizować tekst umowy.

— Idź do domu, Cliff— powiedział słabym głosem Robin. — Nie prze-puściliśmy ani jednego zdania, ani jednego słowa. Stoimy w martwym punk-cie.

Cliff założył kapelusz i poprawił krawat.

— Dając Christiemu udział, zatrzymaliśmy sobie prawo do obsadzania ról, ale powierzyliśmy mu artystyczny nadzór nad programem.

Robin zapalił ostatniego papierosa i zgniótł puste opakowanie.

— Te paragrafy musiały ustalać jakiś geniusz. Decydujemy o obsadzie, a nie mamy nadzoru artystycznego. To się nie trzyma kupy.

— To pozostałość z czasów McCarthy'ego... Dzięki temu zapisowi tele-wizja może wyrzucić wykonawcę, który naraża na szwank dobre imię spon-sora.

Robin zamyślił się. — Więc może należy kolejno odrzucać wszystkie jego propozycje obsady i w ten sposób zmusić go, żeby wrócił do pierwotnej for-muły?

— Należałoby wtedy podać jakiś konkretny powód, udowodnić, że ucier-piał wizerunek sponsora. Z twoich słów wynika, że wszystkich zanudził, ale żadnych świętości nie szargał. Trudno więc w tym wypadku zakwestionować obsadę bez naruszania treści umowy.

Robin zgniótł papierosa. — I w ten sposób jeden z naszych najlepszych programów łąduje w śmietniku.

— Rzeczywiście tak się obsunął?

— Nie mam najmniejszych wątpliwości, jakie będą wskaźniki. — Gdy zegnał się z Cliffem, na jego twarzy malowało się ogromne zmęczenie.

O świcie znalazł się na ulicy. Wiedział już, co dalej robić. Nie warto łać łez, trzeba się pogodzić z utratą programu Christiego Lane'a.

Utrzyma go na ekranie, ale nie dłużej niż do końca czerwca. Znajdą się lepsze — komedie, filmy grozy. Zwoła na rano generalne zebranie, zrobi alarm, każe na gwałt szukać pilotów, wynajmie tekściarzy, którzy dadzą nowe materiały dla IBC.

W styczniu w głównych wiadomościach dziennika podano informację, że *Show Christiego Lane'a* schodzi z anteny z końcem czerwca. Robin starał się uspokoić Jerry'ego, obiecując nowy hit na następny sezon, a jego mocodaw-com — prawo pierwokupu.

Zdjęcie programu Lane'a narobiło wiele szumu we wszystkich agencjach; kroniki telewizyjne „Time'a” i „Tribune” pełne były plotek i domysłów. Już w dwa dni po odwołaniu, Christie dostał propozycje pracy w NBC i CBS.

Mimo złych wskaźników nie zrezygnował z tej cukierkowej wersji. Gała sprawa zrobiła mu wielką reklamę. Był teraz zapraszany wraz z Ethel na wszystkie „właściwe” imprezy. Dzięki współpracy z Cullym, Hayesem i Victorem Noelem, Ethel dostała się do paczki Alfiego. Alfie uczynił z niej swoją powierniczkę, otoczył ją uwielbieniem i pokazywał się z nią wszędzie, mając w ten sposób parawan dla swoich kolejnych miłostek z chłopcami. W konfiguracji „dwóch plus jedna” bywali zatem gdzie się tylko dało, a Christie w tym czasie oddawał się pracy nad swoim programem. Mimo korzystnych ofert ze strony NBC i CBS, wstrzymywał się z podpisywaniem kontraktów. Rola, jaką mu tam proponowano, ograniczała się do odgrywania postaci zasłużonego mistrza ceremonii. W lutym pojawił się w Nowym Jorku, żeby raz jeszcze spróbować przekonać Robina i zacząć się w IBC. Za pośrednictwem agencji Johnsona-Harrisa przekazał informację, że pragnie powrócić do starej formuły.

„Nowa” formuła była pomysłem Ethel, której zależało na tym, żeby wejść do kółka Alfiego; najbliższym przyjacielem Alfiego był właśnie Victor Noel. W ten sposób Lane'owie stali się w końcu „bywalcami”. Szczególnie Ethel „bywała” tak często, że Christie prawie w ogóle jej nie widywał. On sam miał wielką ochotę na poprzednią formułę — znacznie łatwiej było powtarzać stare piosenki, niż co tydzień uczyć się nowych.

Dowiedział się ze zdziwieniem po przyjeździe, że jego agentowi nie udało się zaaranżować spotkania z Robinem. — Raz powiedział nie — wyjaśnił agent — i na tym koniec. — Na nic prośby, tłumaczenia, błagania.

Chris próbował więc dotrzeć do Robina samodzielnie. Za każdym razem dowiadywał się, że pan Stone jest „na zebraniu”. Zadzwoił więc do Dantona Millera. Danton był zachwycony i zaproponował spotkanie w „21”.

Dochodziła czwarta po południu i lokal był prawie pusty. Usiedli przy frontowym stoliku i przez pierwszą godzinę obgadali Robina tak dokładnie, że nie została na nim sucha nitka. Chris poczuł się od razu trochę lepiej.

— Nie łam się, Chris, masz przecież propozycje od innych stacji. A teraz, stary, zobacz jak wygląda prawdziwy przegrany.

Spojrzeli obaj na Dipa Nelsona, który wolnym krokiem zmierzał w kierunku baru.

Dan uśmiechnął się. — Przychodzi tu prawie co dzień, zawsze sam.

— Dlaczego?

— A co innego zostaje facetowi, którego żona jest gwiazdą, a on sam **nie** może znaleźć roboty?

- A tobie jak leci? — spytał Chris.
- Określmy to w ten sposób: walczę o byt, a ten jasnowłosy wał przy bazie może się okazać moją ostatnią deską ratunku.
- Dip Nelson?
- Został na lodzie. A ja posiadam środki...
- Na Dipa Nelsona nie masz co liczyć. Zajmij się lepiej jego żoną.
- Jego żona nie ma w kieszeni Robina Stone'a, a Dip z niezrozumiałych dla mnie powodów — ma.
- No właśnie — Christie zamyślił się. — W Kalifornii pełno plotek na ten temat. Niektórzy mówią nawet, że to ciekawy związek. Kapujesz — pedałstwo.
- Nie moja sprawa, co robią ze sobą w sypialni; zależy mi tylko na tym, żeby wejść z tym towarem na antenę.
- Czy to oznacza, że masz ochotę wrócić do telewizji w charakterze producenta?
- Producenta i akcjonariusza. Wzięliby mnie wszędzie, bo znam się na tej robocie, ale mnie zależy tylko na IBC. Chcę być przy tym, jak nasza wielka Maszyna do Kochania rozleci się z hukiem. Będę mógł wtedy wrócić na swoje miejsce, tyle że nieco silniejszy niż przedtem.
- Christie pokiwał głową. — Ty masz przynajmniej jakieś plany na przyszłość.
- Dan roześmiał się. — Chris, to przecież tobie się powiodło — wielki dom w Kalifornii, kupa pieniędzy, a na dodatek bywasz u Alfiego. To się nazywa sukces. To jest życie.
- Życie to ma Ethel — westchnął Christie. — Osiągnęła wszystko, co zamierzała. Ja się do tego nie nadaję. Wracam do domu i co wieczór albo natykam się na Alfiego, albo muszę zasuwać na jakieś przyjęcie. Nawet Eddie i Kenny mnie opuścili. Woła Nowy Jork, robią nowy program dla CBS...
- Może z nich wyrosłeś, Chris. Ty się teraz liczysz.
- Liczę się, bo wysiaduję w towarzystwie Alfiego i przyglądam się, jak robi słodkie oczy do swoich gaszków. I jeszcze muszę go we wszystkim słuchoać. Już mi nie wolno mówić do Ethel „laleczko”, bo zaraz zaczyna się wściekać. Teraz się mówi „kitek”. Jak ci się to podoba? Obracam się w towarzystwie, gdzie faceci mówią do siebie „kitek”!!!
- Na twarzy Christiego pojawił się wymuszony uśmiech. — Faktycznie, nie powinienem mędzić. Masz rację, zarobiłem masę forsy, a oprócz tego mam syna — Christiego Lane'a Juniora. — Wyciągnął plik fotografii: na wszystkich widniało tłuście, uśmiechnięte niemowlę. — Posłuchaj, Dan, gdyby poprzestała tylko na tym, to i tak jestem do przodu. Ona dała mi dziecko i nic innego

się nie liczy. Ten dzieciak jest dla mnie wszystkim. Kapujesz, to jakby życie nabrało nagle innego kształtu. — Spojrzał na zegarek. — Powinienem lecieć do hotelu. Płaza, oczywiście. Alfie powiada, że to właściwa meta dla takiego tuza jak ja. Szkoda, że nie możesz zobaczyć apartamentu, sam Lincoln by się nie powstydził! O wpół do siódmej zwykle dzwoni Ethel, żeby mały mógł sobie pogruchać do słuchawki. Mówię ci, co za dzieciak!

Dan odprowadził wychodzącego Chrisa wzrokiem, a potem zamówił następne martini i przesłał karteczkę do Dipa, który wciąż jeszcze siedział przy barze. Przeczytawszy ją, Dip podszedł do stolika.

— Nie warto pić samotnie — powiedział Dan. — Możemy robić to we dwójkę.

— Nie widzę specjalnego powodu, żebyśmy mieli razem pić. Zrobiłeś piekło, kiedy się dowiedziałeś, że Robin wsadził mnie do programu Christiego Lane'a.

— Tylko dlatego, że szykowałem dla ciebie coś lepszego. Gdybym miał do dyspozycji jeszcze parę tygodni, nie tak by wyglądały twoje recenzje.

Dip przysiadł się do jego stolika. — Sam dobrze wiesz, że ludzie lubią się wyżywać na gwiazdorch filmowych. Zanim zdążą cię poznać, już robią z ciebie miernotę. Ale kiedy stoję i śpiewam przed prawdziwą publicznością — wtedy, stary, nikt mi nie podskoczy!

— Ja stawiam — powiedział Dan.

— Widzisz... popijam lemoniadkę, bo czekam na telefon od Robina. Jak tylko się zjawi, dajemy w gaz.

— Wciąż trzymacie ze sobą?

— I to jak! — Aby zilustrować stopień swojej zażyłości z Robinem, Dip splótł palce obu dłoni.

— Mógłby wreszcie coś dla ciebie zrobić, skoro kumplujecie się tak mocno — powiedział Dan. — A wiesz, co ludzie mówią? Że jesteś jego chłopcem na posyłki.

Oczy Dipa zabłyśły wściekłością. — Nie życzę sobie takiego gadania, rozumiesz? Robin zwraca się do mnie o poradę w każdej sprawie. Jeśli chcesz wiedzieć, to przeze mnie zdjęto program Christiego Lane'a. I wiesz co jeszcze? Robin chciał go nawet zaangażować na przyszły sezon, ale ja uznałem, że nie można mu wybaczyć parszywego sposobu, w jaki traktował mnie i Pauli, kiedy występowaliśmy gościnnie w jego programie. Jestem pamiętliwy chłopak, posiedzę, poczekam, ale kiedy przyjdzie pora, walę, bracie, na odlew.

— Słuchaj, ile potrważą jeszcze występy twojej żony?

— W Nowym Jorku — do czerwca. Potem ruszamy w trasę na cały rok. Ja też jadę. Szykują dla mnie rolę — będę grał brata.

— Zadowolisz się pierwszą lepszą rólką? — zapytał Dan.
— Chcę być z Pauli. Jestem jej potrzebny.
— Ano potrzebny... jak zeszlóroczny śnieg.
— Chcesz tu, w „21”, dostać w pysk?
— Nie, chciałem tylko, żebyś się odrobinę zastanowił.
— O co ci chodzi, stary, nie rozumiem.
— Chodzi mi o to, że co wieczór pijesz z facetem, który trzęsie ogromną siecią telewizyjną. Nikt nie ma takiej władzy, jak on. Powinieneś korzystać z okazji, póki czas. Bo facet w końcu pęknie, głowę sobie dam uciąć. Obserwuję go uważnie już od dłuższego czasu. Działa tak, jakby chciał własnoręcznie ukrećć sobie stryczek na szyję. Tam, gdzie może, robi sobie wrogów. Odnoszę wrażenie, że sprawia mu to przyjemność. Jakby chciał sprawdzić, jak daleko może się jeszcze posunąć, kogo jeszcze przyprzeć do muru. Ta cała jego bezczelność, ten upór — to jest nienormalne. Gdybyś miał choć trochę oleju w głowie, to byś spokojnie posłuchał tego, co ci mam do powiedzenia.

— Nie potrzebuję rad od przegranych facetów — odparł jadowicie Dip. Dan odpowiedział mu swoim kocim uśmiechem.

— Co dwóch przegranych, to nie jeden. Otóż mam dla ciebie propozycję: czy nie chciałbyś zostać współproducentem programu?

— Nie znam się na produkcji.

— A co robisz wieczorem? — spytał Dan.

— Mam się widzieć z Robinem.

— Mógłbyś się z tego wykrećć?

Dip uśmiechnął się. — Mogę robić, co mi się żywnie podoba.

— No to chodźmy. Jestem umówiony u Voisina z Peterem Kane'em z agencji Johnsona-Harrisa. Nie podpisałeś jeszcze kontraktu na tournée Pauli, mam nadzieję?

— Nie, czekam, aż przerobią rolę.

Dan złożył na rachunku niewyraźny podpis.

— Dobra, idziemy. Ale słuchaj, gęba na kłódkę!

— Nie jestem przyzwyczajony, żeby tak do mnie mówiono!

— Mnie wolno, ponieważ zrobię z ciebie cholernie nadzianego faceta. Wstał i ruszył do wyjścia, a Dip posłusznie pomaszerował za nim.

U Voisina Dip zasiadł przy bourbonie z wodą, a Dan i Peter Kane popijali martini.

Dan od razu skierował rozmowę na karierę Dipa, Peter Kane zaś, nie wiadomo dlaczego, zainteresował się tematem. Wszyscy doszli do zgodnego wniosku, że recenzje były złośliwe ze względu na ogólną niechęć, jaką do Robina żywili krytycy.

— Biedny chłopak, odziedziczył po Robinie wszystkich jego wrogów, ale ani jednego przyjaciela — wyjaśnił Dan.

— Ciekawe, gdzie on podział tych przyjaciół? — spytał Peter Kane. — Nie ma nawet dziewczyny na stałe. Słyszałem, że Ike Ryan pomaga mu w tych sprawach, bo podobno lubi układy trójkowe. Dip, powiedz — czy Robin nie woli przypadkiem z facetami?

— Woli z panienkami — odpowiedział Dip.

— Naprawdę sądzę, że twoja kariera rozleciała się z powodu Robina — powiedział z powagą Peter Kane. — Wszyscy naokoło wiedzą, że Robin jest twoim najlepszym kumplem, jeśli więc nie dostałeś u niego angażu, to dowód, że uważa cię za kompletne zero. Dlatego nikt się tobą nie interesuje. Zrobił ci prawdziwą krzywdę, nie obsadzając cię w jakimś dużym programie.

— Nigdy nie patrzyłem na to w ten sposób — powiedział powoli Dip. — Może istotnie macie rację.

Potem umilkł, a dwaj pozostali mężczyźni zaczęli omawiać różne audycje telewizyjne nadawane przez rozmaite stacje.

Po kolacji Peter Kane zwrócił się do Dana:

— Mam salę projekcyjną na dziewiątą, zbierajmy się.

— Przygotowaliśmy nowy program — wyjaśnił Dan stropionemu Dipowi. — Mój pomysł i produkcja, Peter go będzie reprezentował. Pilot jest już gotowy. To serial szpiegowski, możemy go kręcić za grosze. Główną rolę zagra Vic Grant. Chcę, żebyś obejrzał i ocenił.

Słowa Dana podniosły Dipa na duchu. W czasach, gdy on jako gwiazdor dyktował warunki, Vic Grant siedział w wytwórni na marnym kontrakcie. Od dwóch lat nie zagrał liczącej się roli.

Dan podpisał rachunek i wszyscy trzej udali się prosto do sali projekcyjnej, znajdującej się w biurze Johnsona-Harrisa. Dip obejrzał pilota, w którym poza strzelaniną działo się niewiele. Vic grał nieźle, lecz Dip miał pewność, że byłby o wiele lepszy — ta rola pasowała do niego jak ulał, dzięki niej znowu mógłby znaleźć się na topie!

Gdy zapaliły się światła, Dan spojrzał na niego pytająco. — No i?

— Będzie z tego doskonały serial — odparł głosem pełnym entuzjazmu.

— Chodźcie na dół. Naprzeciwko jest bar, będziemy tam mogli spokojnie porozmawiać o szczegółach — zaproponował Peter.

— Jasna sprawa, stary — powiedział Dip.

Usiedli w kącie sali. Dip zamówił bourbona i jednym haustem wychylił całą zawartość swojej szklaneczki — jeśli Dan i Peter zobaczyli w nim ostro przyprawiającego, cynicznego detektywa, nie może ich rozczarować, przyznając, że jego ulubione napitki to lemoniada i piwo.

— Chcemy za to brać po sto dwadzieścia pięć tysięcy — wyjaśnił Dan — a możemy odcinek wyprodukować za dziewięćdziesiąt, czasem nawet taniej. Dodajmy do tego dziesięć procent prowizji, a zarobimy trzydzieści tysięcy do podziału na trzy części.

— Mam rozumieć, że zamiast gaży dostanę jedną trzecią zysków? — zapytał Dip.

— Och, myślę, że moglibyśmy również załatwić ci lewą pensję — powiedzmy tysiąc tygodniowo plus wydatki biurowe.

— Na co mi, u diabła, biuro?

— Założysz firmę. Nie możesz brać forsy wyłącznie w postaci pensji, bo wszystko pożałyby podatki. Moja firma nazywa się Danmill, ty też musisz coś wymyślić dla swojej. Zresztą, jeśli chcesz, mój prawnik może się tym wszystkim zająć.

Dip nie umiał się w tym wszystkim połapać. — Zaraz, zaraz, na jakiej zasadzie mam mieć zaufanie do twojego prawnika?

— Na takiej, że wszystkie wpływy będą szły na twoją firmę i dopiero ona przekaże Danmillowi należną część.

— Gdzie będziemy kręcić? Tu, czy w Los Angeles?

— Tam, gdzie IBC uzna za stosowne. W Los Angeles mają dobre studio telewizyjne, ale ja wolałbym kręcić w Nowym Jorku, żeby nie zgubić atmosfery miasta.

— To znaczy, że IBC kupuje serial? — spytał Dip.

— Mamy taką nadzieję.

Dip radośnie pokiwał głową. — Zrobię z tej roli prawdziwe cacko.

Dan i Peter spojrzeli po sobie. Odezwał się Dan: — Bez wątpienia mógłbyś tego dokonać, ale zatrudniliśmy Vica na dwa lata. Wystąpił w pilocie pod warunkiem, że dostanie tę rolę, jeśli serial zostanie sprzedany.

— Więc czego ode mnie chcecie? — spytał Dip.

— Żebyś namówił Robina do kupna.

Dip zaczął się podnosić, lecz Dan chwycił go mocno za ramię.

— Siedź tu! Wolisz być całe życie marnym aktorzyną, czy wreszcie zarobić jakąś konkretną forszę?

Dip rzucił mu wściekłe spojrzenie. — Wiesz, że cały wieczór aż się napraszasz, żeby dostać w pysk?

Do rozmowy włączył się Peter. — Dip, powiedzmy sobie szczerze: jesteś beztalencie, przynajmniej jeśli chodzi o telewizję. Na tym gruncie nie możesz już liczyć na żadną przyjemną niespodziankę. Więc nabierz rozumu i zacznij robić prawdziwe pieniądze. Producent to fucha znacznie bardziej prestiżowa niż aktor.

— Skąd pewność, że IBC to kupi? — spytał nagle Dip.

Oczy Dana zwęziły się w szparki. — Cały czas przesiadujesz u Danny'ego i rozpowiadasz, że masz Robina w kieszeni. Najwyższa pora, żebyś to udowodnił. Namów go, niech kupi nasz program. W styczniu zejdzie z ekranu sporo seriali. Możesz go zachęcić, obiecując jedną trzecią zysków. Zapłacimy mu w takiej formie, w jakiej sobie zażyczy — w gotówce, pokrywając koszty jego podróży, ba, możemy mu nawet kupić dom na wsi.

— Urząd podatkowy nie może się w to wtrącić?

— Mamy specja od podatków. Są sposoby na to, żeby jedna trzecia wygła-
dała na legalny odpis. Jeśli będzie miał ochotę, możemy mu kupić cadillaca pod pretekstem wykorzystania wozu w paru scenach filmu. Letni dom też mu możemy załatwić na takiej samej zasadzie. Będziemy robić dekoracje — dostanie meble. Jeśli zażąda gotówki, znajdziemy milion sposobów, żeby mieć lewe wydatki. Zostaw to nam.

— Mówicie, żebym po prostu poszedł do niego i jasno wyłożył sprawę?

Dan wzruszył ramionami. — Sam wiesz najlepiej, jak z nim rozmawiać.

— Ile, według was, damy radę zarobić?

— Przy podziale na trzy części — po dziesięć tysięcy tygodniowo.

— Mnie zależy tylko na prowizji dla mojej agencji — odparł Peter. — Jeśli uda mi się z Robinem, dostanę stanowisko wiceprezesa, a o to mi wyłączenie chodzi.

Dip patrzył przed siebie. — Muszę figurować w czołówce jako producent.

Dan roześmiał się. — Każdy się połapie, że to pic.

— Mam to gdzieś. Pauli nie będzie wiedziała, widzowie też nie. Chcę, żeby moje nazwisko poszło większymi literami niż nazwisko Vica. To robi na Pauli wrażenie.

— W porządku — zgodził się Dan. — Bądź sobie producentem, a ja po-
przestanę na kierowniku produkcji.

Dip uśmiechnął się. — Chcę mieć to wszystko na piśmie, z potwierdzo-
nym przez świadków przyrzeczeniem, że dostanę jedną trzecią. Bo, w końcu, jaką mam gwarancję, że kiedy przekonam Robina, to wy, chłopaki, nie zrobicie mnie w konia.

— Przygotuję umowę jutro z samego rana — obiecał Dan.

Nazajutrz po południu Dip spotkał się z Robinem w barze Lancer. Umowę miał w kieszeni. Czekał z podjęciem tematu, dopóki Robin nie rozpocznie drugiej szklaneczki martini. Dopiero wtedy bardzo obrazowo opisał kilka scen pilota, a nawet odegrał niektóre z nich, dodając na koniec z entuzjazmem:

— Jedna trzecia wpływów dla ciebie, stary.

Robin złapał go za kłapy i przyciągnął do siebie.

— Teraz uważnie posłuchaj, palancie. Na takich właśnie interesach dorobił się Dan. Wszyscy agenci, którzy z nim powchodzili w układy, stracili u mnie robotę. Nawet się nie waży przy okazji takich śmierdzących kombinacji wymieniać mojego nazwiska!

— Więc nie ma szans, żebyś kupił ten serial? — Głos Dipa był pełen pokory.

— Nie ma, jeśli podstawą transakcji miałyby być łapówka. — Spojrzał Dipowi w oczy. — Masz przyzwoitego pilota, to mi go pokaż. Jeśli jest choć w połowie tak dobry, jak mówisz, będzie miał u mnie pierwszeństwo. A jeżeli Dan ma ochotę dawać twoje nazwisko w czołówce, to już jego sprawa.

Dip odetchnął z ulgą.

— Piekłisz się?

— Tylko wtedy, kiedy usiłujesz mnie zmusić do gry w twojej lidze. Wiesz dobrze, że bez przerwy uganiam się za serialami. Nie widzę również powodu, żebyś się nie miał zająć produkcją. Uważam, że z taką głową jak twoja, możesz robić wszystko. Danton, jak go znam, da twoje nazwisko, ale całą robotę odwali samodzielnie. Jeśli jednak przez cały czas będziesz się objażył i przyjdiesz pod koniec, żeby zebrać okłaski, odwołam wszystko, co przed chwilą o tobie powiedziałem. Przychodź na plan, ucz się, podglądaj operatorów, zwracaj uwagę na obniżanie kosztów, bo stamtąd najczęściej płyną zyski. Uważaj na muzyków, patrz, kto bierze nadgodziny. Natomiast zapomnij o dzieleniu forsy na trzy części! Dziel się fifty-fifty z Danem i odpalajcie co tam zechcecie temu gnidowatemu agentowi.

Robin obejrzał pilota razem z Dipem. Po projekcji wstał i oznajmił z entuzjazmem: — To nie tylko jest dobre, to jest bombowe! Powiedz Danowi, że kupiłem.

Kiedy się rozstali, Dip poszedł na długi spacer. Poczuł, że gardzi Robinem, tak samo, jak Danem Millerem, że nienawidzi wszystkich tych pieprzonych skurwysynów. Jak to się stało, że upadł tak nisko? Żona — wielka gwiazda — traktuje go jak śmieć. Robin i Dan mówią mu prosto w oczy, że jest nędznym aktorzyną. Gdzie się podziały piękne czasy; gdy elektryzowała samą swoją obecnością, gdy kobiety otaczały go nieustannie zgiełkliwym wianuszkiem? Teraz uciekają na jego widok. Pauli kazała mu się trzymać z dala od dziewczyn z rewii, które zresztą i tak miały już Robina po uszy. A on musiał dostarczać Robinowi towarku, żeby nie wypaść z łask. A swoją drogą ten facet traktuje babki jak zupełny świr. Och, nigdy nie zapomni tej afery z pobiciem dziwki. Dziewczyny zresztą skarżyły się, że Robin jest skapigrosz, nie zabiera ich do nocnych lokali, najwyżej do baru Lancer albo do Steak Place, potem

pokołtuje się z nimi w wyrku i na tym koniec. Jeśli zrobią coś nie tak, jazda do domu. Nawet na taksówkę nie da. Dip westchnął i ruszył w kierunku restauracji Sardiego. Miał zwyczaj wpadać tu na lunch i pod kątem swoich stręczycielskich powinności wobec Robina dokonywać przeglądu młodych, chętnych panienek. Oczywiście, Robin nigdy sam się o to nie upominał, lecz zawsze z zadowoleniem przyjmował zakamuflowane propozycje Dipa w stylu: — Nie masz pojęcia, stary, jaka mi się dzisiaj sztuka trafiła — takiej jeszcze nie widziałeś!

Jak to się mogło stać? Musi wreszcie zrobić z cym koniec. Pokaże im jeszcze klasę. Trzydzieści tysięcy tygodniowo do podziału na dwóch... Na dwóch? Jakim właściwie cudem Dan miałby się dowiedzieć, czy Robin wzięła swoją część? Nie ma siły. Dip weźmie obie części — plus pensję. Powie im, że Robin zażądał gotówki i niech się martwią razem ze swoim specem od podatków, jak to załatwić. Co tydzień będzie wkładał dziesięć kafli do depozytu bankowego; dziesięć nie opodatkowanych patyków! Wreszcie dojdzie do pieniędzy. Byłby skończonym idiotą, gdyby posłuchał rad Robina — przyglądać się operatorom, uczyć się zawodu producenta. To dobre dla takich palantów jak Dan Miller. Niech haruje za swoją gównianą trzecią część. Dwie trzecie weźmie on i zabaluje na całego. Światu da się delikatnie do zrozumienia, że Robin bierze — wtedy każda oferta będzie przechodziła przez ręce Dipa i każdy agent zaproponuje dwie trzecie — jedną dla niego, jedną dla Robina. Będzie potęgą, a Pauli niech się pocałuje w tyłek ze swoim: „Jestem zmęczona”, za każdym razem, kiedy on ma na nią ochotę. Niedługo sama przyjdzie go prosić o robotę. Nagle cały jego dobry nastrój prysnął jak bańka mydlana. Pauli! Ta kobieta, jak jakaś choroba, atakowała cały jego organizm, nie mógł się jej pozbyć. Czasami pragnął ją zabić, lecz chociaż miewał do czynienia z najlepszymi dziewczynkami, tylko ona jedna potrafiła go podkręcić. Raz nawet wziął razem z Robinem udział w małej orgietce: ich dwóch i jedna dziewczyna. Siedział i przyglądał się, jak pieprzy się z Robinem; jak mu robi minę, ale nawet to nie było go w stanie podniecić. Kiedy przyszła jego kolej, zdobył się na erekcję dopiero wówczas, gdy wyobraził sobie, że to Pauli. A przecież ta dziewczyna była naprawdę ekstra! Cóż, poczekajmy, aż na ekranie zabłyśnie nazwisko Dipa Nelsona i do tego w kolorze! Poczekajmy, aż zrobi jeden, potem drugi, a może i trzeci program. Wtedy się zobaczy, kto tu jest górą.

Pilota serialu zatytułowanego *Człowiek nazwiskiem Jones*, Robin wstawił w okienko powstałe po pierwszej ofierze styczniowych cięć. Kontrakt został dopracowany, Dan wyraził zgodę na jego brzmienie, a Dipowi pozostawało tylko czekać do września, żeby się przekonać, które programy ocaleją, a które padły martwym bykiem.

W czerwcu Pauli wyruszyła na tournée, Dip zaś został w Nowym Jorku. Odkąd dowiedziała się, że Dip będzie zarabiał dziesięć tysięcy tygodniowo (nie wspomniał jej o następnej dziesiątce) — słała regularnie z podróży długie listy i nigdy nie zapomniała dopisać na koniec, jak bardzo za nim tęskni.

We wrześniu weszły na ekran nowe pozycje. IBC natychmiast pobiło rekord oglądalności serialem wybranym przez Robina, dwa pozostałe zostały odebrane nie najlepiej, lecz ogólna propozycja repertuarowa znalazła uznanie w oczach widzów.

Nowa opera mydlana okazała się przebojem sezonu, oba teleturnieje też były na dobrym poziomie. Jeden z dwóch wątpliwych programów rozrywkowych, który się nie sprawdził, miał iść pod nóż w styczniu. Na jego miejsce Robin zamierzał dać film Dipa — w ten sposób rachunki między nimi zostaną wyrównane raz na zawsze. Zaczął myśleć o Dipie... Z początku darzył go prawdziwą sympatią. Była w nim jakaś otwartość i chwytająca za serce radość życia. Gdy jednak przyglądał się, jak Dip pozwala sobą pomiatać, w miarę upływu czasu jego szacunek zaczął maleć, by stopniowo przerodzić się w pogardę. Dip musiał wiedzieć, że Pauli go oszukuje. Na początku Robin próbował odwołać się do jego rozsądku, obudzić w nim mężczyznę: sądził, że Dip oprzytomnieje, jeśli potraktuje się go z góry, jak sługę. Spodziewał się po nim odruchu buntu, a wraz z nim przypływu odwagi. Lecz Dip poddał się również i jemu.

Im dłużej przyglądał się uległości Dipa wobec Pauli, tym mniejszą miał ochotę na związek z jakąkolwiek kobietą. Gdy kilkakrotnie próbował nawiązać coś na kształt romansu, myśli jego kierowały się zawsze w stronę Maggie i każda dziewczyna wydawała mu się nudna.

Lepiej już było ratować się rozrywkami, których od czasu do czasu dostarczał Dip. Lecz te z kolei wzbudzały w nim tak nikłe zainteresowanie, że musiał się uciekać do spotkań w trójkę. Dopiero gdy widział, jak Ike uprawia miłość z jakąś dziewczyną, sam nabierał na to ochoty. Zdał sobie w końcu sprawę, że Maggie nazbyt mocno tkwi w jego podświadomości. Gdy przyznał się do tego sam przed sobą, ogarnęła go prawdziwa złość. Nie, nie da się złapać — ani tej, ani żadnej innej! Zarządzanie siecią wypełniało mu zresztą cały czas. Przez rok nie zbliżył się nawet do swojej książki — właśnie wczoraj wieczorem starannie zapakował trzysta pożółkłych kartek do tekturowej teczki i zamknął ją w szufladzie na klucz. Zastanawiał się, kiedy wróci Gregory, i czy w ogóle wróci... Ostatnia podpisana ręką Judith kartka od Austinów przyszła z Cannes w sierpniu. Donosiła, że Gregory wraca do zdrowia i różnie bez przerwy w bakarakata.

Austinowie po cichu wślizgnęli się do miasta pod koniec września. Taki był plan Judith. Obmyśliła sobie, że najpierw urządzi się wygodnie, a dopiero potem ogłosi wszem i wobec, że są już w domu. Chciała, by powitanie odbyło się z wielką pompą; zdjęcie w prasie, na którym będzie widać, jak opuszczają okręt, odebrałoby wszystkim smak niespodzianki. Trzeba będzie wydać wielkie przyjęcie. Może nawet wynajmą salę balową w hotelu Plaza, zaproszą najlepszych gości, dziennikarzy... Gregory, wyleczony z obsesji raka, znów był sobą. Kilka razy posunął się nawet do tego, że udowodnił jej, iż nadal jest mężczyzną. Judith czuła, że zasłużyła sobie na Oscara: odegrała scenę prawdziwej namiętności i oświadczyła mu, że nie ma na świecie lepszego kochanka niż on. Nawet w czasie miodowego miesiąca nie okazywała mu tyle czułości. Postanowiła sobie, że uczyni wszystko, by powrócił do zdrowia i mógł przyjechać z powrotem do Nowego Jorku. Ich nieobecność trwała przecież półtora roku!

Nie zmarkowała jednak tego czasu. Przez pierwsze trzy miesiące spędzone w Lozannie choroba Gregory'ego uniemożliwiała jakiegokolwiek kontakty towarzyskie. Najpierw seria czterdziestu elektrowstrząsów, potem straszny okres regresji, kiedy nawet załatwiał się do łóżka. Później nastąpił powolny powrót do zdrowia. Wynajęła małe mieszkanie w pobliżu zakładu i przez ten czas, gdy zabroniono jej nawet widywać się z Gregorym, oddała się w ręce doskonałego chirurga plastycznego.

Choć na początku czuła się trochę zawiedziona, wkrótce pojęła, że lekarz dokonał cudu. Prawdę mówiąc, wyobrażała sobie, że po operacji będzie wyglądała na dwadzieścia lat, uzyskała natomiast wygląd kobiety trzydziestoosmioletniej — pięknej, zadbanej kobiety w kwiecie wieku. Rzecz jasna, kilka zmarszczek pozostało przed uszami i parę wyraźnych blizn tuż za nimi, lecz gdy zrobiła sobie nową fryzurę, włosy spadające luźno w dół miękkimi falami zakryły je całkowicie. Cesał ją sam Vidal Sassoon i wyglądała doprawdy uroczo. Gregory nie miał pojęcia o operacji. Stwierdził, że nowa fryzura przywróciła jej urodę. Uśmiechnęła się. Nie dostrzegł nawet, jak gładki był teraz owal jej twarzy, nie zauważył sterczących wysoko piersi po liftingu ani małych blizn w kroczu po podniesieniu obwisłego ciała na udach.

Gregory też odzyskał prezencję. Włosy nabrały dawnego rudego połysku, opalił się i zeszczupeł. Jednak wcale nie zamierzał wracać do pracy. Byli w domu już od tygodnia, lecz ani razu nie wybrał się do biura. Codziennie znajdował jakąś nową wymówkę. Przede wszystkim musiał się zobaczyć ze swoim krawcem — stracił dziesięć funtów i wszystkie ubrania źle na nim leżały. Potem należało skoczyć do koni. Pod koniec drugiego tygodnia dosłownie wyrzuciła go z domu i kazała iść do pracy.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, zadzwoniła do Robina. Specjalnie nie zrobiła tego przedtem. Robin musiał wiedzieć, że jest już w domu, bo Gregory wielokrotnie rozmawiał z nim przez telefon. Zapewne się dziwi, dlaczego Judith milczy tak długo.

Prywatna linia Robina uporczywie milczała. Judith poczuła zawód, lecz gdy na koniec w słuchawce rozległ się jakiś głos, nie zostawiła żadnej wiadomości. Prawdopodobnie jest na zebraniu. Dodzwoniła się dopiero o trzeciej. Odniosła wrażenie, że Robin jest zachwycony jej telefonem. Powiedziała, że cały rano spędził w towarzystwie Gregory'ego, zwrócił uwagę na jego doskonały wygląd...

— Kiedy będę mogła cię zobaczyć? — spytała.

— W każdej chwili — odparł lekkim tonem. — Kiedy tylko Gregory wyrazi chęć. Mam wielką ochotę zaprosić was oboje na obiad.

— Nie to miałam na myśli — odezwała się cicho. — Chcę się z tobą zobaczyć na osobności.

Odpowiedziało jej milczenie.

— Jesteś tam?

— Jestem...

— Kiedy możemy się spotkać?

— Jutro, o szóstej u mnie.

— Dobrze, o szóstej. Gregory'emu zostawię wiadomość, że poszłam na przyjęcie dobroczynne. Będę miała dużo czasu, bo Gregory zaraz po obiedzie ucina sobie drzemkę.

Poszła do nowego salonu piękności, który znajdował się w okolicy Wschodnich Sześćdziesiątych. Nie mogła ryzykować wizyty w swoim starym gabinecie, jeśli nie chciała, by plotki o jej bliznach za uszami lotem błyskawicy dotarły na Park Avenue. Kosmetyczki zawsze były pierwsze, jeśli chodzi o takie sprawy.

Usiadła na fotelu w nowym salonie piękności. Zapisując się, podała za miast swego nazwisko Wright. Była pewna, że nikt jej tutaj nie rozpozna. Jakim cudem zresztą? Minał rok, odkąd po raz ostatni jej fotografia ukazała się w piśmie „Woman's Wear”. Leżała teraz na plecach i modliła się w duchu, żeby kosmetyczka była delikatniejsza. Na pewno wyczuwała pod palcami grube, żółte zgrubienia jej blizn. Podły babsztyl, zazdrości jej, sam nigdy w życiu nie będzie mógł pozwolić sobie na taki luksus. Rzuciła okiem na kosmetyczkę. Była to trzydziestopięcioletnia kobieta o szerokich biodrach, z palcami wiecznie poplamionymi farbą do włosów; nosiła zniszczone buty na nogach obolałych od zbyt długiego stania. O Boże, miała już nawet zylaki. Nic dziwnego, że biedaczka odczuwa zazdrość i wściekłość w stosunku do kogoś, kto

może sobie pozwolić na zapłacenie trzech tysięcy dolarów za usunięcie kilku zbędnych zmarszczek.

Kobieta uśmiechając się zaprowadziła Judith za następne przepierzenie, gdzie miała poczekać na ułożenie włosów. I gdy Judith zajęła się przeglądaniem starego numeru „Harper's”, kosmetyczka wyszeptwała do stojącego nie opodal młodego człowieka: — Dickie, za tę plotkę słono ci zapłacą — to żona Gregory'ego Austina. Występuje pod przybranym nazwiskiem i ma komplet świeżych blizn. Uważaj ze szpilkami...

Judith z nerwowym uśmiechem paliła papierosa, śledząc uważnie ruchy młodego fryzjera, który nawijał pasma jej włosów na grube wałki. Przytąpała go na tym, że z uwagą przypatruje się jej uszom. — Miałam niedawno zwichnięcie szczęki — powiedziała obojętnym tonem:

Skinał głową. — Wiem, mój kolega z pokoju też miał. — W jego głosie zabrzmiało współczucie.

Gdy usiadła pod suszarką, poczuła się rażniej. Zaraz wróci do gabinetu i każe sobie zrobić makijaż. Miała na sobie kupioną w Paryżu, nowiutką, jedwabną bieliznę. Bogu dzięki, że pod piersiami blizny są zupełnie niewidoczne. Zabieg operacyjny sprawił jej wiele bólu, lecz warto było pocierpieć, żeby móc dzisiaj rozebrać się przed Robinem do naga. Teraz mogła spokojnie stanąć do walki ze wszystkimi stewardesami!

O piątej trzydzieści wyszła z salonu kosmetycznego. Wolała nie iść piechotą, żeby nie zrujnować sobie nowej fryzury. Czuła się świetnie. Linia Vidala była tak doskonała, że nawet Dickie nie był jej w stanie zepsuć. Dostał dziesięć dolarów napiwku. Dawno już nie czuła takiego podniecenia. Miała ochotę krzyżeć... śpiewać, lecz wypła jedynie w kawiarni filiżankę herbaty, żeby zabić resztę czasu, jaki pozostał do spotkania. O szóstej wsiadła do taksówki.

Portier obrzucił ją obojętnym spojrzeniem; wielkie, ciemne okulary doskonale kryły jej twarz. Nie ma prawa jej poznać — tyle czasu minęło, odkąd była tu po raz ostatni!

Gdy dzwoniła do drzwi, czuła, jak mocno bije jej serce. Otworzył, gestem ręki zaprosił ją do środka, po czym wrócił do przerwanej rozmowy telefonicznej. I to ma być powitanie! Rozmawiał z Kalifornią, jego głos, gdy podawał kolejne wskaźniki oglądalności, brzmiał identycznie jak głos Gregory'ego. Rozejrzała się po pokoju. Była tu jeden, jedyne raz, lecz przez cały rok żyły w jej pamięci chwile, jakie tutaj spędziła. Pamiętała każde słowo, każdy mebel w jego mieszkaniu. Poczowała się w swojej nowej bieliznie odrobinę niewygodnie. Głęboko wycięty biustonosz i maleńkie koronkowe majtki lekko ją uwierały. Warto się jednak poświęcić, żeby zobaczyć jego minę. Zamierzała

rozbierać się powoli, z namysłem. Miała na sobie nowy kostium — Valentino przeszedł sam siebie! — i jedwabną, zapinaną z przodu bluzkę. Na dodatek cudowne, sztuczne rzęsy, które wyglądały zupełnie jak prawdziwe — żadnej obawy, że mogłyby się odlepić i spaść.

Robin odłożył słuchawkę i przyszedł się przywitać. Ściskając mocno obie jej dłonie, próbował się uśmiechnąć, lecz pionowa zmarszczka nie znikwała z jego czoła.

— Kłopoty? — zapytała.

— Roddy Collins.

— Kto to taki?

Dopiero teraz szeroko się uśmiechnął.

— Widać, że długo cię nie było i dawno nie oglądałaś telewizji.

— To prawda, zresztą Gregory również sobie od niej odpoczął, dzięki tobie zresztą.

Usiadł i poczęstował ją papierosem. Znowu zmarszczył brwi.

— Chodzi o naszą nową gwiazdę — Roddy'ego Collinsa; jego serial znalazł się w pierwszej dziesiątce. To western, Roddy gra w nim rewolwerowca broniącego ładu i porządku. Piękny chłopiec, przeszło sześć stóp wzrostu, cudownie zbudowany. I właśnie w tej chwili dowiedziałem się, że to skończony homoseksualista.

Wzruszyła ramionami. Marzyła tylko o jednym — żeby wziął ją w ramiona. On tymczasem przemierzał pokój wzdłuż i wszerz, ledwo zauważając jej obecność. Myślami wciąż tkwił przy odbytej niedawno rozmowie.

— Czy prywatne sprawy aktorów muszą obchodzić wszystkich dookoła? — zapytała.

— Oczywiście, że nie, gdyby nie robili z nich spraw publicznych. Wtedy na pewno nie obchodziliby mnie, z kim taki Collins idzie do łóżka. Ale jemu wcale nie chodzi o to, żeby przespać się z jakimś innym pederastą. Przebiera się za dziewczynę i krąży po ulicach, próbując poderwać normalnego mężczyznę. Możesz sobie wyobrazić — chłop wysoki na sześć stóp i sześć cali, najnowszy bohater Ameryki, sponsorowany przez firmę produkującą jakieś rzeczy dla domu, wchodzi do baru w damskich ciuchach, żeby poderwać innego gościa?

Zaczęła się głośno śmiać.

— To wcale nie jest śmieszne, Judith. Zdaje się, że dołożył mu facet mierzący pięć stóp osiem cali, sprowadzono gliniarzy. Wmieszali się w to nasi pracownicy. Mamy trzech świadków, którzy zeznają, że chodziło o zakład. Tym razem jakoś się wywinie, ale nie można go przecież pilnować przez cały czas.

— Tak długo byłam z dala od tego wszystkiego. Wiem niestety, że teraz będzie trzeba na nowo się tym zająć, ale nie dzisiaj, nie podczas naszego pierwszego spotkania.

Spojrzał na nią, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. — Oczywiście, masz rację. Napijesz się czegoś?

— Tak, poproszę. — Boże, zrobi wszystko, żeby przełamać pierwsze lody.

Przygotował dwie szklaneczki szkockiej z lodem.

— Gregory dobrze wygląda — stwierdził, podając jej drinka. — Bardzo mnie cieszy, że chce, bym nadal kierował siecią, ale musisz coś zrobić, żeby zbudziło się w nim przynajmniej zainteresowanie firmą.

— Chcesz powiedzieć, że go nie okazuje?

— Nic a nic. Dzisiaj na zebraniu oznajmił wszem i wobec, że jest ze mnie bardzo dumny. To wszystko. Jutro ma zamiar grać w golfa, pojutrze wybiera się do stadniny.

Wzruszyła ramionami. — Teraz się należy do ciebie, Robinie.

— To prawda — odpowiedział cicho.

— Więc niech Gregory gra sobie dalej w golfa i zajmuje się końmi.

— Judith, byłem pewien, że kiedy wróci, zechce znowu wziąć wszystko w swoje ręce. Byłem nawet przygotowany na walkę — w końcu program w trzydziestu procentach wypełniają audycje, które sam wybrałem. On tymczasem nie wykazuje najmniejszego zainteresowania, a to mi się wcale nie podoba. Bardzo go lubię i chciałbym pracować razem z nim, poprzeczając się pomysłami, wdawać się w spory, gdy mnie skrytykuje. Naszej produkcji wyszłoby to tylko na dobre. A poza tym, chodzą plotki, że się stała się moją prywatną własnością — nie chciałbym, żeby odczuł to jako policzek.

Odstawiła szklaneczkę i spojrzała na niego z tajemniczą iskierką w oczach.

— Pozwól, że ja się tym zajmę. Sieć jest również moją własnością.

— Łatwo ci mówić, Judith, dopóki jesteś na marginesie tego wszystkiego. Nie udzielam wywiadów, automatycznie więc nie podobam się dziennikarzom. Jeżeli Gregory nie wejdzie ze mną w kłincz, świat o nim zapomni. Póki był na urlopie — zgoda, lecz teraz musi zakasać rękawy i wziąć się do roboty, bo inaczej prasa zgryzie go i wypluje, a wtedy rzeczywiście się zostanie w moich rękach. Jest pewien felietonista, który specjalnie się na mnie uwziął. Nie dopuściłem go do jednego programu... zapasiony bałwan i nienawistnik. Nieustannie wypisuje idiotyzmy na mój temat i międli ten mój bzdurny pseudonim, Maszyna do Kochania!

Jej oczy zwężyły się. — Czy nie mógłbyś spróbować dowieść, że nadano ci go zastrzeżenie?

Przełknął swój alkohol. — Muszę nabrać siłą, Judith. Ty pluskałaś się w Morzu Śródziemnym, a ja nie miałem czasu, żeby wyjechać na weekend choćby do Hamptons.

— Dla mnie jesteś dość silny, Robin.

Podszedł i przyciągnął ją do siebie. Jej ramiona oplótł mu szyję. I wtedy zadzwonił telefon.

— Nie odbieraj — szepnęła.

— To po linii IBC! — Delikatnie uwolnił się od jej rąk i odebrał telefon.

— Tak? Nie żartuj, Dip. A Dan to widział? Nie znam żadnego Prestona Slavitta. Ach, ten. Podobno on wygląda, jakby się nigdy nie mył. No tak, może i talent by przy okazji wymyślił... Aż takie dobre? A ile potrzebujesz na przygotowanie projekcji?... Okay, za dwadzieścia minut. — Odłożył słuchawkę.

— Wychodzisz gdzieś? — Nie mogła w to uwierzyć.

— Dip Nelson wytrzasnął jakiś bombowy pilot serialu. — Sięgnął po szklankę i opróżnił ją. — Tylko na dziś wieczór. Inne sieci mają go obejrzeć dopiero jutro.

Nic nie rozumiała.

— A kto to jest, ten Dip Nelson?

— To długa historia, skarbie. Były aktor, który stał się producentem. Kupujemy od niego i Dana Millera seriale. — Wyciągnął rękę i pomógł jej wstać z kanapy. — Lepiej, żebyś wyszła pierwsza. Wyjdę parę minut po tobie.

— Kiedy się zobaczymy?

— Zadzwonię jutro koło jedenastej — musnął jej policzek pocałunkiem; gdy odprowadzał ją do drzwi, poczuła, że myślami jest już w sali projekcyjnej.

Zjechała windą na dół i złapała taksówkę. Kiedy wchodziła do domu, Gregory kończył właśnie przygotowywać martini. Przywitał ją z nieukrywaną radością.

— Jak dobrze, że już jesteś. Zostawiłaś wiadomość, że wrócisz późno, i myślałem, że będę musiał jeść sam. Pięknie wyglądasz, jak Boga kocham.

Sięgnęła po swojego drinka, zaczęła pić, lecz myślami błądziła gdzieś daleko. Nagle uderzyło ją, że Robin Stone ani słowem nie zająknął się na temat jej wyglądu.

Gdy nie zadzwonił o pierwszej, wpadła we wściekłość. Jest pewnie umówiony na lunch, przed trzecią więc nie ma co czekać na jego telefon. A przecież obiecał, że zadzwoni o jedenastej. Może utknął gdzieś w korku ulicznym. Krążyła nerwowo po sypialni. Była umalowana i uczesana, lecz nie zdążyła się jeszcze przebrać. Miała nadzieję, że zaprosi ją na długi, spokojny lunch, podczas którego będą mogli porozmawiać, powspominać stare czasy. Nie, lepiej żeby

to była kolacja. Mogłaby zostać nawet do dziewiątej; zostawi Gregory'emu wiadomość, że coś jej wypadło w związku z balem na rzecz sierot.

Położyła się na łóżku i zaczęła układać pasjansa — pomyślała sobie, że jeżeli wyjdzie pięć kart, Robin zadzwoni do niej o czwartej, tak mimochodem, żeby zamienić parę słów. Jeżeli wyjdzie dziesięć kart — zadzwoni o trzeciej, też tylko po to, żeby pogadać. Piętnaście kart będzie oznaczać zaproszenie na drinka; dwadzieścia — zaproszenie na cały wieczór. Udany pasjans wywróży spełnienie wszystkich marzeń — doczeka się wyznania, że jest w niej zakochany do szaleństwa.

Za pierwszym razem wyszło osiem kart. Spróbowała ponownie. Piętnaście. Go za świństwo! Rozłoży karty jeszcze raz i potraktuje serio ostatni wynik pasjansa. Nie wyszła jednak ani jedna karta. Do diabła, czyżby to miało oznaczać, że nie zadzwoni wcale?

O piątej wpadła w rozpacz. Spróbowała połączyć się z Robinem jego prywatną linią. Nikt nie odpowiadał. Nie było go zatem w biurze. Gdy o szóstej wrócił Gregory, wciąż jeszcze była nie ubrana.

— Idziemy gdzieś? — spytał, widząc, że ma na twarzy makijaż.

— Dużo bym za to dała — odparła.

Zareagował bezradnym uśmiechem. — Długo nas nie było. Ludzie nie wiedzą, że już wróciliśmy.

— Masz rację. Może lepiej sama zacznę telefonować.

Westchnął. — Ja jestem zupełnie zadowolony z tego, że w spokoju możemy zjeść obiad i pooglądać telewizję.

— Jak ci się wydaje, co robiłam przez ostatnie półtora roku? — spytała cichym głosem.

Miał skruszoną minę. — Dobrze, włóż na siebie coś ładnego i pójdziemy do Colony.

— Sami?

— Sami, we dwoje — odpowiedział.

— Jak to będzie wyglądało?

— Jak obiad we dwoje.

— Będzie wyglądało na to, że nie mamy już żadnych przyjaciół.

— Może nie mamy, Judith. Większość ludzi nie ma.

— Bzdura, zawsze nas wszędzie zapraszano.

— Zapraszano. Na premiery, na przyjęcia po przedstawieniach. Potem trzeba było się rewanżować. Wypadliśmy z obiegu, Judith.

— Chcę, żeby było jak przed wyjazdem — powiedziała z naciskiem.

Wzruszył ramionami.

— Ty musisz się za to wziąć, to twoja działka.

W nocy, leżąc w łóżku, zastanawiała się, co robić, żeby wszystko wróciło do normy. Nigdy nie miała prawdziwych przyjaciółek, tylko znajome, z którymi można było wybrać się na lunch, porozmawiać o ciuchach, o dobroczynnych balach lub w najlepszym razie wysłuchać ich zwierzeń. Judith nigdy nie miała żadnej „powiernicy”. Nagle zdała sobie sprawę, że istotnie „wypadła z obiegu”, że po raz pierwszy w życiu znalazła się na bocznym torze. Do tej pory zaproszenia na bale, przyjęcia, premiery, wystawy płynęły nieprzerwanym strumieniem. Teraz zrozumiała, że całe jej życie towarzyskie kręciło się wokół pracy Gregory'ego. Producenci dostarczali biletów na broadwayowskie premiery mając nadzieję, że Gregory odwdzięczy się i znajdzie w IBC jakieś zajęcie dla nich samych lub dla ich gwiazd. Aktorzy i aktorki, pojawivszy się w mieście, natychmiast dzwonili do Gregory'ego, zapraszając Austinów na kolację. Tymczasem od ich powrotu telefon uparcie milczał. Sama była sobie winna. Wszystkie jej myśli i plany krążyły wyłącznie wokół Robina. Więc dobrze, od jutra będzie inaczej. Można na początek wyprawić skromne przyjęcie i zaprosić Dolores i Johna Tyronów. Ci zawsze byli *au courant*.

Dolores przyjęła jej zaproszenie z zachwytem. — Ach, Judith, kochanie, nie mogłam się ciebie doczekać. Wybieracie się w przyszłym tygodniu na przyjęcie do Joan Southerland?

— Prawdę powiedziawszy, z nikim się jeszcze nie widziałam, jesteś pierwszą osobą, do której dzwonię. Nie zdążyłam się jeszcze rozpakować.

— Pewnie ledwo żyjesz po tych wszystkich hulankach w Europie. Umieram z ciekawości. Widziałś się z Grace na południu Francji? Podobno wydała wspaniały bal?

— Wiem, ale byliśmy wtedy na Capri.

— Więc pewnie byliście na balu u Kordy. Musiało być bosko.

— Wszystko ci opowiem, kiedy się zobaczymy. Ale co tam u ciebie, co się dzieje u naszych wspólnych znajomych? Chcę wiedzieć wszystko.

— Musiałaś się doskonale bawić, skoro zdecydowałaś się na tak długi pobyt! Gregory ma szczęście, znalazł sobie genialnego zastępcę! Krają plotki, że wyprawia niestworzone rzeczy. Ciekawa jestem, czy to prawda...

— Jakie rzeczy?

— Wszystko, kochanie — orgie, no a poza tym... to biseks... związała się podobno z takim pięknym eks-gwiazdorem, mężem Pauli Nelson.

— Czyim mężem?

— Moja droga, widać, że długo nie było cię w kraju. Największa sensacja na Broadwayu w zeszłym sezonie. Ten Robin jest szurnięty — marzę, aby go poznać.

— Właśnie planuję małe przyjęcie, mogę go zaprosić. Może w przyszłym tygodniu?

— Kochana, jesteście zatkani przez najbliższe dziesięć dni, ale spróbujmy się umówić nieco później. Powiedzmy za dwa tygodnie. Tylko nie zapomnij o Robinie. Zadzwoni jeszcze raz i podaj mi termin, wówczas go wpiszę do kalendarzyka. Wybacz, moja droga, dzwoni drugi telefon no i przyszedł właśnie Freddy zrobić mi fryzurę. Matko Boska, która to godzina? Jestem za trzy kwadranse umówiona w La Grenouille.

Judith wykonała kilkanaście podobnych telefonów. Za każdym razem słyszała taki sam potok słów: że rozmówczyni nie posiada się z radości na wieść o jej powrocie, że jest właśnie okropnie zajęta, że nowy sezon przynosi tyle ekscytujących i ciekawych wydarzeń... Żadna z nich nie miała wątpliwości, iż Judith i Gregory nie mogą opędzić się od zaproszeń. Doszła do wniosku, że nie ma sensu wydawanie małego przyjęcia w restauracji. Postanowiła zorganizować u siebie w domu duży bankiet z obowiązkowymi strojami wieczorowymi.

Wybrała termin — pierwszy października. Zadzwoniła jeszcze raz do Dolores, która właśnie wychodziła, ale oczywiście, odszukała przedtem swój kalendarzyk. — Kochanie, tylko nie pierwszego. Akurat tego dnia jest otwarcie New Regal Club. Oczywiście też należysz? Nie? Przejrzyj pocztę. Jasne, to nie dla wszystkich, ale jestem pewna, że wysłali wam kartę zgłoszeń. Czemu by nie urządzić tego bankietu, powiedzmy, ósmego? Mam wolny wieczór — zaznaczę leciutko ołówkiem, a ty jeszcze potwierdzisz. Kochanie, muszę lecieć, pa, z pewnością spotkamy się jeszcze przedtem.

Zadzwoniła następnie do Betsy Ecklund. Ósmy października? Czyżby Judith nie wybierała się na połączony z bankietem wernisaż do Galerii Benera? Ma być księżna Windsoru. Judith powinna koniecznie przejrzeć listy, na pewno jeden z nich zawiera zaproszenie.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na stos kopert przyniesionych na tacy wraz ze śniadaniem. Kilka rachunków, biuletyn reklamowy Saksa i list od siostry. A więc to prawda, poszła w odstawkę. Do czego to podobne, żeby ona, Judith, miała się dopytywać, czy Dolores i Betsy znajdują dla niej czas! Dawniej wybierała pierwszą lepszą datę i dawała sekretarce listę gości. Nie zdarzało się, żeby ktoś odmówił. A teraz trzeba będzie uzgadniać ze wszystkimi termin przyjęć, dostosowywać się do ich życia towarzyskiego. Czy to możliwe, żeby w ciągu półtora roku nastąpiła tak radykalna zmiana?

Dochodziło wpół do pierwszej. Nie miała nic do roboty, jeszcze raz zatem, z determinacją, wykreśliła numer Robina. Po trzecim sygnale podniósł słuchawkę. Usłyszała zgiełk zmieszanych męskich głosów i wypowiedziane

oschle słowa Robina: — Przykro mi, że nie dzwoniłem, ale mam masę roboty. Czy będzie dobrze, jeśli oddzwonię jeszcze dziś po południu, czy lepiej jutro z samego rana?

Odłożyła słuchawkę. I co dalej? Była umalowana i uczesana. Musi się z nim spotkać, gdy tylko ją zobaczy, na pewno zareaguje. Wtedy, u niego w mieszkaniu, spostrzegła przecież, jak na jej widok z podziwu zabłyśły mu oczy. Wszystko przez ten przeklęty telefon!

Wpadnie do niego, niby przypadkiem! Tak, trzeba natychmiast zabrać się do dzieła. Zaraz, zaraz — o pierwszej pewnie idzie na lunch, wraca o drugiej. O tej właśnie porze będzie, niby całkiem przypadkowo, przechodzić pod gmachem IBC...

Ubiierała się bardzo starannie. Nie, nie założy dziś kapelusza, tylko beżowy płaszcz, a do tego boa z sobolowego futra. Dotarła do IBC za dziesięć druga. Weszła do budki telefonicznej i zadzwoniła do gabinetu Robina. Gdy sekretarka spytała ją o nazwisko, odparła: — Weston, dzwonię z biura Nielsena.

— Pan Stone będzie lada moment. Czy ma oddzwonić, panno Weston?

— Nie, spróbuję później — Judith odłożyła słuchawkę. Dzięki Bogu, nie wrócił jeszcze z lunchu. Tuż obok znajdowała się księgarnia: urządziła sobie przed nią punkt obserwacyjny i udawała, że przygląda się książkom na wystawie. Postanowiła stać tam do powrotu Robina; gdy tylko pojawi się na widoku, uda, że właśnie tamtędy przechodziła i wpadła na niego całkiem przypadkowo. Minęło dziesięć minut. Ile czasu można się przyglądać książkom? Wiał silny wiatr — na szczęście polakierowała sobie włosy. Zrobiło się chłodno, prawie zimno, łzy pociekły jej z oczu. Poczowała, że tusz na rzęsach zaczyna się rozmazywać. Zerknęła więc do lustra w pobliżu wejścia do księgarni i dostrzegła, że odrobinki tuszu dostały jej się do oczu. Jej dolne rzęsy były prawie niewidoczne. To jeszcze jedna przykrość związana ze starzeniem się. U naturalnych blondynek włosy ciemniały z wiekiem, ale rzęsy nigdy. Wyjęła chusteczkę i zaczęła usuwać tusz, który osadził się pod dolną powieką.

— Coś pani wpadło do oka?

Odwróciła się. Stał za nią Robin.

Gdy ujrzała w pełnym świetle dnia jego opaloną twarz, poczuła, że jej misterny plan jest żalosną farsą, zdobyła się jednak na błądy uśmiech.

— ' To tylko tusz i wiatr. Umówiłam się z kimś na lunch, ale przy tak pięknej pogodzie odprawiłam szofera. Tymczasem zrobiło się nagle chłodno, jak w zimowy dzień.

— Chcesz, żebym zatrzymał taksówkę?

— Tak, proszę. — Próbowała ukryć rozpaczliwe zmieszanie.

Podprowadził ją do krawężnika i pomachał ręką.

— Judith, chciałem zadzwonić, ale utonąłem w robocie.

— Rozumiem, tylko że...

W tym momencie nadjechała taksówka, co doprowadziło ją do prawdziwej rozpacz — kiedy człowiek się spieszy, nie ma ani jednej, a teraz ten cholerny kretyń podjeżdża z takim fasonem, jakby był na wyścigach. Robin otworzył drzwi.

— Zadzwoń, Judith. Na pewno.

Gdy tylko znalazła się w sypialni, padła z płaczem na łóżko, nie bacząc na swoje świeżo kupione sztuczne rzęsy.

O piątej zażyła jedną z tabletek nasennych Gregory'ego, zostawiając karteczkę z wiadomością, że rozboleła ją głowa. W końcu zapadła w ciężki sen; jedna wszakże męcząca myśl wciąż błąkała się jej po głowie: czy Robin domyślił się, że ich „przypadkowe” spotkanie było starannie wyreżyserowane?

I o „przypadkowe” spotkanie rzeczywiście zaniepokoiło trochę Robina. Przez całe popołudnie myśl o nim nie dawała mu spokoju. Złapał się na tym, że dokuca sekretarce, że zbył Andy'ego Parino jednym słowem, że w sposób niegrzeczny odrzucił zaproszenie Jerry'ego do Lancera. Po powrocie do domu przygotował sobie drinka i usiadł przed telewizorem, nie mógł się jednak opędzić od wspomnienia Judith, która wyglądała pod tą książką tak żałośnie. Jej naiwne kłamstwo szczerze go wzruszyło — biedactwo, nie mogła już wytrzymać, więc stanęła na ulicy mając nadzieję, że będzie tamtędy przechodziła. Co jej się stało, u diabła. Czy Kitty też przechodziła podobne katusze ze swoimi młodymi partnerami?

Wziął do ręki gazetę. Jeszcze nie zwarł, żeby się tym przejmować. Amanda również nie mogła bez niego żyć. Niejedna dziewczyna oczekiwała od niego telefonu, ale żadna z nich nie była posiadaczką ogromnej rezydencji i żoną właściciela sieci telewizyjnej... Ale to były dziewczyny, a nie pięćdziesięcioletnie panie po operacji plastycznej. Oniemiał na jej widok — gładka, naciągnięta skóra, tak samo jak u Kitty... Cholera, mnóstwo bogatych kobiet w tym wieku poprawia sobie twarz. Dlaczego miały z tego powodu współczuć właśnie Judith?

Zaczął przeglądać gazetę w nadziei, że go to uspokoi. Nagle natknął się na zdjęcie uśmiechniętej twarzy Dipa Nelsona. Tytuł brzmiał: TELEWIZJA PO OSTATNIEJ TRANSFUZJI. Wywiad utrzymany był w typowym dla Dipa tonie: „Telewizja potrzebuje świeżej krwi. Właśnie z tego powodu Robin Stone zakupił serial, który wyprodukowaliśmy do spółki z Danem Millerem. Kłopot z produkcją telewizyjną polega na tym, że zajmuje się nią zbyt wielu ludzi, którzy pojęcia nie mają, na czym polega robienie dobrych interesów”.

Robin zmiął gazetę, rzucił ją na podłogę, po czym chwycił słuchawkę i wykręcił numer Dipa.

— Zabraniam ci udzielać wywiadów — rzucił ostrym tonem. — Za dużo gadasz. Twój program ma mówić za ciebie. Jasne?

— Zgoda, stary. Chciałem ci powiedzieć, że dużo straciłeś nie kupując drugiego pilota. To pewniak.

— Powiedziałbym raczej: gówniana robota.

— Widzę, że jesteś dzisiaj w doskonałym nastroju.

Robin odłożył słuchawkę. Nalał sobie wódki. O jedenastej był już zupełnie pijany.

Następnego ranka Judith obudziła się z niewyraźnym poczuciem doznanej przykrości. Kiedy przypomniała sobie wypadki minionego popołudnia, w oczach stanęły jej łzy. Dochodziła dziewiąta. Gregory wybierał się właśnie do swojej stadniny w Westbury, miała więc przed sobą cały wolny dzień. Stąpając na palcach zajrzała do sypialni męża. Już go nie było. Miał przynajmniej powód, żeby wstać z łóżka — czekały na niego konie i golf — ona zaś nie miała do roboty nic. Otworzyła apteczkę. Te zielone pigułki... miały niezwykle silne działanie. Zażyła jeszcze jedną. Właściwie, dlaczego nie? Prześpi cały dzień. Lepsze to niż wyczekiwanie w łóżku na telefon, który nie zadzwoni i tak.

Pigułka podziała od razu. Judith nie miała nic w ustach od wczorajszego wieczoru, chciała nawet zadzwonić na służącą, by przyniosła herbatę, ale nagle poczuła, że głowa opada jej na piersi i już po chwili zapadła w głęboki sen.

Obudził ją dzwonek telefonu. Dochodził z bardzo daleka, ale gdy na chwilę otrząsnęła się ze snu, usłyszała jego czysty natarczywy dźwięk. Rzuciła się do aparatu.

...Na Boga, czwarta trzydzieści — przespała cały dzień.

— Witaj, Judith.

Był to Robin, słyszała w słuchawce jego głos, lecz nie mogła wyrwać się ze snu...

— Czy przeszkadzam?

— Nie, nie. Miałam szalony dzień. — Czemu tak w głowie jej się mąci?

— Właśnie wróciłam i ucięłam sobie małą drzemkę.

— Natychmiast się wyłączam.

— Nie, już nie śpię — miała nadzieję, że przez telefon nie słyhać, jak bardzo jest zaspana.

— Uporałem się z robotą i pomyślałem, że moglibyśmy napić się czegoś razem.

— Z dziką przyjemnością.
— Świetnie. U mnie za pół godziny?
— Za godzinę — powiedziała szybko. — Czekam na telefon w związku z balem dobroczynnym.

Z trudem podniosła się z łóżka i zadzwoniła na służącą. Filizanka mocnej czarnej kawy dobrze jej zrobi. O Boże, po co łykała tę pigułkę? ! Zadzwonił! Zapropował spotkanie!

Siedząc przed toaletką, popijała kawę. Już trzecia filizanka, a ona wciąż nie może oprzytomnieć. Miała wrażenie, że wszystko dociera do niej z bardzo daleka. Dobrze chociaż, że ręce jej się nie trzęsą i potrafi sama zrobić sobie makijaż. Włosy nie chciały się ułożyć, przypięła więc treskę. Szpilki mogą okazać się niebezpieczne, nie należy jednak wszystkiego się obawiać, może w ogóle nie pójdzie z nim do łóżka... Lecz trochę ostrożności nigdy nie zawadzi. Tym razem trzeba będzie pozostawić sprawy swemu biegowi... Zadzwonił. Chce się z nią zobaczyć. Znak, że to jeszcze nie koniec.

Zostawiła Gregory'emu karteczkę z informacją, że wzywają ją pilne sprawy dotyczące akcji dobroczynnej i że wróci późno.

Wciąż jeszcze kręciło się jej w głowie, gdy pukała do drzwi Robina. Przywitał ją w koszuli i luźno zawiązanym krawacie. Wziął ją za ręce i pociągnął do pokoju. Potem złożył na jej ustach delikatny pocałunek. Nagle, w przypływie namiętności, która ją samą zaskoczyła, objęła go ramionami i zaczęła całować głęboko i żarliwie. Trzymając się za ręce przeszli do sypialni. Poruszała się jak we śnie. Dźwięki ledwo do niej docierały, jej ruchy były powolne i płynne — nie odczuwała żadnych oporów. Powoli rozebrała się do naga. Leżąc na łóżku wyciągnął do niej ramiona i chwycił w objęcia. Seks z Robinem wydał się nagle Judith najnaturalniejszą rzeczą na świecie, a uścisk jego ramion tak znajomy, jakby się znali od bardzo dawna.

Dotarła do domu o dziewiątej trzydziści. Gregory leżał już w łóżku i oglądał telewizję. Zarzuciła mu ręce na szyję. — Kochany, tak mi przykro, że nie zdążyłam na kolację.

Uśmiechnął się i poklepał ją po ramieniu.

— Rzuciłaś się z powrotem w wir życia towarzyskiego?
— Troszeczkę. Zebranie ciągnęło się w nieskończoność, potem parę osób poszło coś wypić do „21” i zanim się obejrzałam...
— Ależ nic nie szkodzi, kochanie. Zadzwonię, żeby podano ci kolację.
— Wypiłam dwie Krwawe Mary. Idę prosto do łóżka.

Prawdę powiedziawszy, była bardzo głodna, lecz pragnęła zostać sam na sam ze swoimi myślami. Marzyła też o tym, by jak najszybciej mieć za sobą tę noc, by jutro znów spotkać się z Robinem. Na niczym innym jej nie zależało.

W okresie, który nastąpił potem, najważniejszą rzeczą w jej życiu stał się telefon. Robin dzwonił zwykle o jedenastej. Aby wykluczyć jakąkolwiek możliwość natknięcia się na Dipa albo Jerry'ego, nie chodził z nią do Lancera, tylko do knajpki o nazwie Marsh's Steak Place. Judith jednak nazywała ją w myślach „naszym miejscem”. W dniach, gdy nie mógł przybyć na spotkanie, przechadzała się nieopodal — widok restauracji upewniał ją, że wszystko zdarzyło się naprawdę. Czasami szli do jego mieszkania; wczoraj odwiozła go na lotnisko — udawał się w podróż służbową na Wybrzeże. Na spotkania przychodziła zazwyczaj w tym, co sobie przywiozła z Europy. Zbliżała się jednak czas, by pomyśleć o nowych kreacjach na zimę. Gregory chciał spędzić tę porę roku w Palm Beach. Uda, że musi leczyć sobie zęby, zając się odnawianiem domu — wynajdzie tysiąc pretekstów, żeby jak najczęściej bywać w Nowym Jorku, a dzięki temu nawet noce będzie mogła spędzać z Robinem. Doktor Spineck przepisał jej doskonałe lekarstwo i uderzenia krwi ustąpiły. Jeśli chodzi o chrapanie, postara się przy nim po prostu nie zasypiać. Jak mogłaby zresztą pozwolić sobie na sen w jego ramionach? A potem rano i wspólne śniadanie! Oczywiście, uda, że obudziła się wcześniej, by poprawić makijaż. Sprawi sobie modną torbę z krokodylej skóry, do której wszystko się zmieści...

Nie zrobiła nic, by reaktywować życie towarzyskie, które zupełnie zamarło. Odechciało się jej. Jedynym, co ją interesowało, były telefony od Robina. Czasami ogarniało ją przerażenie, gdy zdawała sobie sprawę z intensywności swoich uczuć. Czuła, że jest w nim zakochana. Niebezpieczeństwo leżało w tym, że nie mogła już wyobrazić sobie życia bez niego. Nocami oddawała się marzeniom — wyobrażała sobie bezbolesną i szybką śmierć swojego męża. Robin będzie ją pocieszał, a po upływie odpowiedniego czasu — poślubi. Małżeństwo! Usiadła na łóżku. Małżeństwo z Robinem! Boże święty. Unicestwiła Gregory'ego, dała się ponieść fantazji — to okropne, to koszmarnie! To wszystko z miłości do Robina. Kochała go tak bardzo. Była to taka miłość, o której czyta się w powieściach. Okazuje się, że coś takiego naprawdę istnieje. Błądy przy niej wszystkie jej dotychczasowe „romanse”. Nic prócz Robina nie miało już dla niej znaczenia. W jej życiu liczył się tylko on. Lecz Gregory wcale nie miał zamiaru dyskretnie zniknąć z tego świata — przeciwnie, z każdym dniem stawał się coraz silniejszy.

A może wziąć rozwód? Nie, to nie ma sensu, Robin musiały odejść z IBC. A właściwie, czemu nie? Sam przecież powiedział jej kiedyś, że zamierza napisać książkę. Tematem jej miały być losy słynnych mężów stanu: generała de Gaulle'a, Winstona Churchilla — w niecodziennym ujęciu — od upadku do powrotu na scenę polityczną. Zdaniem Robina prawdziwym zwycięzcą jest ten, który straciwszy władzę, sięga po nią drugi raz i znów wspina się na

wyżyny kariery. Nietrudno raz osiągnąć sukces, natomiast zdobyć go dwukrotnie jest przywilejem wielkich; tym właśnie różni się od zwyczajnych szczęściarzy.

Judith była bogata. Nawet gdyby nie wzięła nic od Gregory'ego, jej papiery wartościowe oraz akcje warte były ponad pół miliona. Zgodnie z raportem agencji detektywistycznej Robin też rozporządzał pokaźnym majątkiem. Mogliby pojechać na Majorkę, kupić sobie dom... Nie pozwoliłaby, żeby ktokolwiek mu przeszkadzał. Rankami spacerowaliby po plaży, żeglowali, a wieczorami spędzali czas przed kominkiem. Robin mógłby jej czytać swój rękopis.

Powoli ta myśl zaczęła zamieniać się w obsesję. Poczuli, że musi zwierzyć się z niej Robinowi. Kochał ją przecież, co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Od sześciu tygodni widywali się codziennie. Wieczory, które spędzali oddzielnie, poświęcał na oglądanie telewizji. Często wymykała się do swojej sypialni, żeby do niego zadzwonić. Nie było wieczora, żeby nie powiedziała mu przez telefon dobranoc — gdy dzwoniła, zawsze był w domu. Jaką rozkosz sprawiały jej te nocne miłosne wyznania, gdy Gregory, nieświadomy niczego, spał w sąsiednim pokoju. Robin, rzecz jasna, nie posunął się nigdy tak daleko, aby wyznać jej miłość. To nie było w jego stylu. Za to zawsze żegnał ją słowami: „Śpij dobrze, kochanie”.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła dwunasta — w Chicago jest o godzinę wcześniej. Dzwoniła do niego ubiegłej nocy do Los Angeles. Miał dzisiaj wracać, samolot będzie lądował o czwartej w Chicago, żeby nabrać paliwa.

Nagle poderwała się i wyskoczyła z łóżka. Pojedzie do Chicago i zaczeka na niego na lotnisku. Wrócą razem i w samolocie powie mu o wszystkim. Gregory'emu zostawiła wiadomość, że na cały dzień wybiera się do Darien... Całe szczęście, że Gregory zaraz po obiedzie zasypia ze zmęczenia.

Na lotnisku zjawiła się o czwartej, udała się wprost do przejścia dla VIP-ów i poprosiła, żeby wywołano jego nazwisko. Nadszedł pospiesznie, z trudem łapiąc oddech; na jej widok zupełnie oniemiał.

Rzuciła mu się w ramiona. Niech wszyscy widzą — odtąd będą zawsze razem. Podczas gdy samolot nabierał paliwa, wypili po jednym drinku. Po raz pierwszy doceniła fakt, że Robin może korzystać ze służbowego samolotu Gregory'ego. Jej niespodziewany przyjazd wyprowadził go nieco z równowagi, niemniej jednak była pewna, że sprawiła mu tym wielką radość. Nie zdradzała się z niczym, zanim nie znaleźli się w samolocie. Śmieszne, ale właśnie Robin dał jej pretekst do rozpoczęcia rozmowy:

— To cudowny i szalony pomysł, Judith, ale nie rób tego nigdy więcej. Pilot na pewno cię rozpoznał, a nie chcemy przecież sprawić Gregory'emu przykrości.

— Wcale go nie lekceważę, chcę być szybko w domu, żeby nie zaczął niczego podejrzewać. Robinie, musisz ci coś powiedzieć — zamierzam wystąpić o rozwód.

Odwrócił się w milczeniu i zaczął obserwować obłoki przepływające za oknem samolotu.

— Chcesz tego, prawda?

— Mamy siebie nawzajem, po co go ranić.

— Chcę, żebyś się ze mną ożenił.

Ujął jej dłonie.

— Judith, nie mam ochoty na małżeństwo. — Gdy spostrzegł w jej oczach łzy, dodał: — Nigdy nie chciałem się żenić — ani z tobą, ani z żadną inną kobietą.

— Robinie, zobaczysz, będzie wspaniale. Rzucisz pracę, zajmiesz się swoją książką. Będziemy razem — czeka nas cudowna przyszłość. Proszę cię, nie odmawiaj. Przemyśl to najpierw; nie żądam niczego więcej — tylko się zastanów!

Uśmiechając się wziął ją za rękę.

— Zgoda, oboje powinniśmy się zastanowić. A teraz ani słowa więcej. — Wstał i podszedł do barku, żeby przygotować dwa drinki.

— Za twoje i moje zdrowie — powiedziały, unosząc szklaneczkę.

— Twoje zdrowie, Judith. Nie myśl, że chciałem cię zranić, wierz mi. Przytuliła się do niego. — Chciałabym, żeby ten lot trwał wiecznie.

Następnego ranka nie zadzwonił. Z początku nie poczuła się zaniepokojona; usiadła w sypialni i czekała. O trzeciej trzydzieści zadzwoniła sama. Po drugim dzwonku podniósł słuchawkę.

— Wybacz, że nie dzwoniłem. Miałem jedno zebranie za drugim. Podczas mojej nieobecności nazbierało się pełno spraw.

Zaśmiała się. — Czuję, że nie jesteś sam.

— Zgadłaś.

— Kiedy będziesz wolny?

— Obawiam się, że całe popołudnie będę zajęty.

— Możemy się spotkać u ciebie o szóstej?

— Nie ma mowy. Do siódmej jestem na zebraniu, a potem oglądam jeden z naszych nowych seriali. Dziś dajemy pierwszy odcinek.

— Z najwyższą radością obejrzę go razem z tobą.

— Nie będę oglądał u siebie, tylko u jednego z naszych sponsorów. Po-tem zostaję u niego na przyjęciu. Zadzwonię później, dobrze? — Jego głos zdradzał lekkie zniecierpliwienie.

Odłożyła słuchawkę. Mimo obietnicy, nie zadzwonił. Zjadła obiad w towarzystwie Gregory'ego, który był bardzo zmęczony. Wkrótce, zażywszy proszek nasenny, zapadł w drzemkę przed telewizorem. Szedł właśnie pierwszy odcinek serialu, o którym wspominał Robin. Oglądała ze świadomością, że on robi to samo, dzięki temu miała wrażenie, że jest blisko niej. Pewnie się nudzi, na przyjęciu nie ma nic ciekawego. Znała dobrze atmosferę bankietów wydawanych przez biznesmenów...

Następnego ranka w gazetach ukazały się recenzje. IBC znów odniosła zwycięstwo. Szczególnie wysoką ocenę dał programowi „Time”, podkreślając zasługi Robina i nazywając go dawcą świeżej krwi dla sieci telewizyjnej. Tymczasem wieczorne gazety przyniosły informacje, które wprawiły ją w nastrój przygnębienia. Przyjęcie, o którym jej mówił, rzeczywiście się odbyło, miało jednak zupełnie inny charakter, niż myślała. Urządzono je w Tęczowej Sali i zaproszono wszystkie liczące się gwiazdy i całą śmietankę towarzyską. Na środkowych stronach widniały wielkie fotografie. Na jednej z nich zobaczyła Robina z gwiazdą musicalu u jednego boku oraz z modelką u drugiego. Z uśmiechem przysłuchiwał się temu, co mówiła gwiazda. Serce jej zadrżało z bólu — jego dłoń spoczywała w dłoni siedzącej obok modelki. Ten gest mówił więcej niż wszystkie słowa — byli kochankami!

Minął tydzień, lecz Robin nadal milczał. To na pewno z powodu nawału zajęć, niemożliwe, żeby robił to naumyślnie. W końcu, gdy nie mogła już wytrzymać, wykreśliła prywatny numer jego biura. Telefonistka powiadomiła ją obojętnym tonem, że nie ma już takiego numeru. Ogarnął ją dławiący strach — niemożliwe, żeby się ośmielił! Nakreśliła jego domowy numer. W słuchawce odezwał się ten sam bezosobowy głos: — Nie ma takiego numeru. Nie, nie możemy podać, jest zastrzeżony.

Złość dosłownie ją obezwładniła. Zrobił to specjalnie, żeby się jej pozbyć! Wybuchnęła płaczem, kryjąc twarz w poduszce. Przez całą noc, aż do świtu, nie zmrzyła oka. W pewnym momencie poczuła, że pragnie jego zguby. Tak, doprowadzi do tego, że Gregory wyrzuci go z pracy!

Już z samego rana natarła na Gregory'ego: — Czy nie widzisz, że zabrał sobie naszą sieć, a my zostaliśmy na lodzie? Zamiast nas, zaprasza się teraz wszędzie Robina Stone'a.

Gregory słuchał jej z zupełnie obojętną miną. W końcu odezwał się: — Judith, posłuchaj, skończyłem sześćdziesiąt dwa lata. Akcje naszej firmy nigdy jeszcze nie stały tak wysoko — za rok ubiegły zysk wyniesie sto procent. Robimy kokosy. Nie zamierzam kusić losu. Jeśli mam być szczerzy, bardzo mi odpowiada to, że mogę raz na jakiś czas wpaść do pracy, upewnić się, że wszystko jest w porządku i spokojnie wymknąć się do koni albo pograć sobie w golfa.

— Ciekawe, co ja mam ze sobą zrobić, kiedy ty wymykasz się do koni — siedzieć tu kamieniem? Wieczorem przychodzisz ledwo żywy ze zmęczenia, a ja usycham z nudów.

— Sądziłem, że wciągnęłaś się w te akcje dobroczynne. Robiłaś ostatnio wrażenie osoby bardzo szczęśliwej.

Unikała jego wzroku.

— Na ilu dobroczynnych przyjęciach można wysiedzieć? — Nie była na ani jednym. — Mam tego serdecznie dosyć. Ale nawet i to już się kończy, ludzie wcale nie są pewni, czy moje nazwisko musi koniecznie figurować na liście honorowej. Nigdzie przecież nie bywamy. Głupio się przyznać, ale nie byliśmy ostatnio zaproszeni na żadną ważną imprezę.

— Jeszcze się tym nie nasyciłaś? Wciąż te same twarze, na tych samych przyjęciach i te same kobiety odstawione tak, jakby chciały sobie nawzajem coś udowodnić.

— Ja jeszcze nie straciłam ochoty na życie towarzyskie, mnie to bawi.

— Nie znam większego nudziarstwa. A wiesz, jakoś odniosłem niedawno wrażenie, że się zmieniłaś i też masz tego wszystkiego dosyć. Muszę ci przyznać, że wspaniale wypocząłem. Mówisz, żeby Robina wyłąć, bo jego zapraszają, a nas nie. To bardzo dziecinne, Judith.

— Nie mam sześćdziesięciu dwóch lat i nie jestem impotentem.

Wstał i wyszedł z pokoju, a ona siedziała nieruchomo, dopóki po jej nosie, gładkich policzkach nie zaczęły spływać powoli łzy. Boże! — jęknęła głucho. Wyrzuciła mu straszną krzywdę. I to przez kogo? Przez Robina! Pobiegła do sypialni i rzuciła się z płaczem na łóżko. O Boże, przecież Robina już nie ma! Specjalnie dał się sfotografować z tą dziewczyną, aby jej, Judith, odebrać całą nadzieję. Nigdy więcej nie znajdzie się w jego ramionach, nigdy nie poczuje jego ciała tuż przy swoim. Zaniósła się głośnym szlochem.

Nagle poczuła, że ktoś głaszcze ją ręką po głowie; obok niej, na łóżku, siedział Gregory. — Nie płacz kochanie, nie mam ci tego za złe, przecież wiem, że nie chciałaś mnie urazić.

Usiadła i zarzuciła mu ręce na szyję. — Gregory, tak cię kocham.

— Wiem, wiem o tym. Pozwól mi tylko stanąć z powrotem na nogach. Nie mam na razie siły szarpać sobie nerwów tą pracą. Zimą chcę znowu pojechać do Palm Beach. Przysięgam — zrobię wszystko, żebyś się nie nudziła.

Skinęła głową.

— Greg, wcale nie uważam, że jesteś impotentem.

Judith raz jeszcze podjęła próbę reaktywowania ich nie istniejącego życia towarzyskiego. Spotkało ją jednak kompletne fiasko. Złość i frustracja, jakie ją potem ogarnęły, złagodziły niemalże ból po stracie Robina. Nadal jednak

czekała, wpatrując się każdego wieczora w czarną skrzynkę telefonu, wspominając cudowne chwile, gdy mogła z nim rozmawiać, szeptać mu do ucha czułe słówka. Na samo wspomnienie zalewała się łzami, tuląc twarz w poduszkę, by zagłuszyć szloch.

Jeszcze przed świętami zdecydowała się na wyjazd do Palm Beach. Nie będzie w tym roku ryzykowała bankietu z grzany piwem, wszyscy wybierają się właśnie do Acapulco, na Wyspy Bahama lub na przyjęcia wydawane przez nowe znakomitości, królujące obecnie na scenie towarzyskiej.

Gdy myślała teraz o Robinie, ogarniały ją na przemian — nienawiść i miłość. W Palm Beach, całymi dniami przesiadywała beczynnym na patio, rozkładając pasjansa, zadreńczając się fantazjami, w których Robin za każdym razem jawił się w postaci kochanka w ramionach jakiejś młodej i pięknej dziewczyny.

W życiu Robina nie pojawiła się jednak żadna kobieta. Pracował po dziesięć godzin na dobę i pilnie śledził poczynania konkurencji. Film Dipa miał wejść na ekran w lutym; nie było dnia, żeby Nelson nie złożył mu wizyty.

— Skoczmy gdzieś, stary?

Czasami Robin dawał się zaciągnąć do Lancera, czasami, gdy sam czuł, że ma dość siedzenia w czterech ścianach, dzwonił do Dipa.

— Spotkajmy się pod moim domem, mam ochotę na mały spacer.

— Słuchaj, stary, zimno jak diabli, nie chce mi się wyłazić z domu.

— Przyjdziesz?

— Dobra, daj mi dziesięć minut, żebyem mógł się ubrać.

W dniach, gdy Robin go nie potrzebował, Dip przesiadywał u Danny'ego, gdzie agenci prześcigali się wobec niego w uprzejmościach.

— Tak, zobaczymy, co się da zrobić — mawiał. — Robin Stone nie kupi niczego, nie konsultując się ze mną.

Dip rozkoszował się swoją nową pozycją. Na każdym agencie, który go kiedyś zlekceważył, odgrywał się teraz grożąc, że odetnie jego klientom dostęp do IBC. Większość z nich dawała wiarę jego słowom. Jeden z agentów określił to następująco: „Mężczyzna, który kocha, nie odmówi swemu kochankowi niczego”.

Nie do wiary, lecz plotki tego rodzaju zwalczał nie kto inny, tylko Dan Miller. Nie ukrywał rozbawienia, gdy ktoś rzucał sugestię, iż związek Dipa z Robinem ma homoseksualny charakter. — Dip zasypuje naszą Maszynę do Kochania nie pocałunkami, lecz raczej gotówką. Umie, gdy trzeba, zdrowo posmarować.

Pogłoski dotarły aż do Palm Beach. Gdy Gregory, oglądając nowy serial, dostrzegł w czołówce nazwisko Dipa Nelsona, z miejsca zatelefonował do

Cliffa Dorne'a. — Obejrzałem film, jest nawet niezły, ale co robi w czołówce nazwisko tej miernoty, tego aktorki, który z trudem potrafi zliczyć do trzech? Zaczynam się obawiać, że te plotki nie wzięły się z księżycy. W historię o pederastii nie wierzę, pachnie mi to raczej forsa.

— Przejrzałem dokładnie tekst umowy — odparł Cliff zmęczonym głosem. — Jeśli nawet Robin bierze; musieli to ukryć bardzo sprytnie. Od razu go zresztą spytałem, dlaczego kupił serial od Dipa, a on mi na to: „Cliff, gdybyś nawet ty miał coś dobrego na sprzedaż, też kupiłbym bez wahania”.

Gregory odłożył słuchawkę. Judith, siedząc obok niego na patio, przez cały czas przysłuchiwała się rozmowie.

— No i co zamierzasz zrobić? — spytała.

Wzruszył ramionami. — Na razie zamierzam zagrać w golfa.

Robin Stone parł niepohamowanie naprzód. „Life” zamieścił nie autoryzowany artykuł na jego temat. Znalazły się w nim opinie współpracowników Robina oraz dziewczyn, z którymi romansował. Jedna ze stewardes oświadczyła, że nie ma żadnej przesady w nazywaniu Robina Maszyną do Kochania; jakaś modelka wyznała, że nie spotkała nigdy tak romantycznego faceta jak on; młoda, początkująca aktoreczka określiła go mianem wielkiego zera. Zacytowano też słowa Maggie Stewart, które brzmiały: „Odmawiam wszelkich komentarzy”.

Popularność Robina rosła, lecz on zdawał się nie zwracać na to najmniejszej uwagi. Chodził z Dipem do kina, od czasu do czasu umawiał się z Jerryem w barze Lancer, niekiedy jadał samotne obiady w Steak Place. Przede wszystkim jednak oddawał się swojej pracy.

To Jerry zwrócił uwagę Robina na obawy Gregory'ego, zapytawszy go kiedyś wprost: — Jak często zasięgasz rad Gregory'ego, dokonując nowych zakupów dla telewizji?

— Nigdy — odparł Robin. — Nie ma potrzeby. Ale wiesz co? Akurat ma się odbyć przegląd pilotów seriali, które wejdą na miejsce przyszlórocznych odpadów. Zaproszę go, żeby obejrzał.

— To bardzo szlachetne z twojej strony — stwierdził Jerry.

Robin milczał, poświęcając całą uwagę kostkom lodu, które pływały w jego szklaneczce.

— Słuchaj, to on wybrał cię na to stanowisko — ciągnął Jerry. — Jeśli chcesz się utrzymać, radzę ci, przynajmniej udawaj od czasu do czasu, że cię obchodzi jego zdanie.

— Nie sądzisz, że teraz ja firmuję tę sieć? — spytał Robin cedząc powoli słowa.

— Fakt.

Na twarzy Robina pojawił się uśmiech.

— Więc niech mi ją teraz odbierze.

— Go chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że wisi mi, co sobie myśli Gregory. Nie prosiłem się o to stanowisko, ale skoro już je mam, nie zamierzam łatwo z niego zrezygnować. Niech się do mnie dobierze, niech trochę z mną powalczy.

Jerry obrzucił go ironicznym spojrzeniem. — Wiesz co? Ktoś powiedział mi kiedyś, że w gruncie rzeczy masz naturę samobójcy.

Robin roześmiał się. — Jerry, staruszkule, zabierz się raczej za swoje aberracje, a moim daj spokój.

W kwietniu repertuar telewizyjny na sezon jesienny był gotowy. Robin właśnie wychodził, gdy do biura wpadł z hałasem Dip Nelson. — Posłuchaj, Pauli kończy tournée, jutro będzie w Nowym Jorku. Mam genialny pomysł, jeszcze go z Danem nie przegadałem. Zamiast co tydzień brać do serialu nową dziewczynę, weźmy na stałe Pauli. Dobra myśl, no nie?

— Niedobra. — Robin usiadł i z rzadko u niego spotykaną wyrozumiałością zaczął tłumaczyć. — Posłuchaj Dip, formuła się sprawdza, nie ma sensu jej zmieniać, a Pauli będzie miała rolę na Broadwayu, gdzie tylko zechce. Ike marzy o tym, żeby na przyszły sezon wziąć ją do swojej rewii.

— Pauli jest stworzona do telewizji.

— Słuchaj, martw się lepiej o siebie. Każdy serial kiedyś się kończy. Rozejrzyj się za czymś nowym. Podobno Dan Miller ma jakiś fantastyczny pomysł.

Dip aż pobladł ze złości. — Mówisz poważnie? Spiskuje drań za moimi plecami, a przecież umówił się ze mną, że dzielimy się wszystkim po połowie.

— Masz to na piśmie?

— Nie, to dżentelmeński układ.

Robin roześmiał się głośno. — Wobec tego można mieć pewność, że żaden z was nie wywiąże się z niego uczciwie.

Oczy Dipa zwały się i wyglądały jak dwie szparki. — Już ja go dorwę. — Nagle, zupełnie niespodziewanie, na jego twarzy pojawił się chłopiący, figlarny uśmiech. — Może byśmy skoczyli do Danny'ego, co? Dawno nigdzie nie pokazywaliśmy się razem. Ludzie zapomną, jacy z nas kumple.

Robin przecząco pokręcił głową. — Wyjeżdżam wieczorem na Wybrzeże poszukać kogoś z nazwiskiem, kto zagrałby w pilocie Dana. Ike Ryan też ma serial do sprzedania, kupię go pod warunkiem, że sam znajdę odtwórcę głównej roli.

Z twarzy Dipa zniknął uśmiech. — Ciekawe, jakiego haka ma na ciebie Ike?

— O co ci chodzi?

Dip usiadł na brzegu biurka. — Słuchaj, stary, znam cię nie od dziś. Groza byś za to nie dał, gdybyś nie musiał. Znów pobiłeś jakąś dziwkę?

Robin chwycił go za kłapy, — Ty głupcze, nikt nie ma na mnie żadnego haka, łącznie z tobą. Gdyby serial Dana był słaby, nigdy bym go nie kupił. Spodobało mi się, że wzięłeś się do roboty, wydawało mi się, że masz nowy pomysł na życie. Jeśli Ike ma dobry film, kupuję go. Jeśli film mojego kumpla jest słaby, zdejmuję go z ekranu równie szybko jak każdy inny. Zapamiętaj to sobie.

Rozluźnił chwyt, a Dip, uśmiechając się pod nosem, poprawił krawat.

— Co cię napadło, bracie? Dip darzy cię taką miłością, że gotów dla ciebie karku nadstawić, palić i mordować. Zapamiętaj — mordować! Takich przyjaciół nie spotyka się często.

Stanąwszy w hotelu Beverly Hills, Robin natychmiast zadzwonił do Maggie.

— Jest jedenasta wieczór — odezwał się głos w słuchawce. — Nawet jeśli masz mi coś do powiedzenia, lepiej milcz.

— W Nowym Jorku jest druga nad ranem — odpowiedział. — Jeśli ja mam jeszcze siłę mówić, ty spokojnie możesz posłuchać. To sprawa służbowa. Czy możemy spotkać się jutro o dziewiątej na śniadaniu w Loggia Room?

— Zastanowię się, pod warunkiem że to będzie jedenasta.

— Między dziesiątą a jedenastą mam projekcję.

— Bardzo mi przykro, ale nie mam ochoty na taki przekładaniec.

— Maggie, to propozycja pracy.

Usłyszał ziewnięcie. — No dobra, mów.

— Już mówię. Zacznę może od tego: widziałem twój ostatni film.

Zachichotała. — Masz zupełną rację. To był mój ostatni film.

— Film był rzeczywiście beznadziejny, ale ty mi się bardzo podobałaś.

Chcę zaproponować ci rolę w nowym serialu.

— Skąd ten pomysł?

— Uważam, że się nadajesz.

— Wobec tego zadzwoń do mojego agenta. Może on zgodzi się zjeść z tobą śniadanie. Nazywa się Hy Mandel. Znajdziesz jego numer w książce telefonicznej.

Powiedziawszy to, odłożyła słuchawkę.

Przez następne dziesięć dni Robin pilnie oglądał piloty. Postanowił pocze-kać, aż Maggie trochę zmięknie. Miał wielką ochotę zobaczyć ją znowu...

Wielokrotnie zresztą podchodził do telefonu i podnosił słuchawkę, za każdym razem jednak powstrzymywał się od wykręcenia numeru. Zdawał sobie sprawę, że tym razem nie pójdzie z nią tak łatwo — Maggie nie zechce przepaść się z nim, a potem puścić wolno. Na małżeństwo zaś nie miał najmniejszej ochoty.

Nadeszła noc... Niespokojna, samotna. Poczuł, że nie ma nic gorszego niż taka noc w Los Angeles. W Nowym Jorku można przynajmniej wyjść na spacer, a tu, w Beverly Hills, jeśli człowiek wybierze się na przechadzkę, prędzej czy później wpadnie w oko patrolowi policyjnemu. Zresztą w tym mieście nikt nie chodzi na spacer. W dni powszednie już o dziesiątej wieczór życie zamiera tu zupełnie. Oczywiście, zawsze mógł poszukać sobie dziewczyny do towarzystwa. W Polo Lounge kłębiło się od ambitnych gwiazdek oraz ich agentów, którzy śmiertelnie się Robina bali, a jednak gotowi byli na wszystko, byleby zwrócić na siebie jego uwagę. Nagle ogarnęło go ogromne zmęczenie... Właściwie miał tego wszystkiego powyżej uszu. Cholera, może oddać Gregory'emu sieć i rzucić całą tę telewizję. Tylko co dalej?

Dźwięk telefonu przerwał jego rozmyślenia. Spojrzał na zegarek. Za późno na sprawy służbowe. Telefonistka z centrali oznajmiła, że będzie miał rozmowę z jakimś panem Milano. Na chwilę zawiodła go pamięć. Potem jego twarz pojaśniała. — Proszę łączyć! — zawołał z radością.

— Robin? Jakie szczęście, że się dodzwoniłem.

— Sergio, tak się cieszę. Do diabła, gdzie jesteś?

— Dziś wróciłem. Nadrabiałem zaległości prasowe. Wyczytałem, że jesteś w mieście.

— Rany boskie, mówisz zupełnie jak aktor. Ja też dowiedziałem się z gazet, że nakręciłeś film w Rzymie. Co nowego?

— Trafiła mi się niesamowita okazja, dostałem główną rolę. Od jutra zaczynamy kręcić. Jestem aktorem! Czyż to nie cudowne?

— Co teraz robisz?

— Mówię ci, zaczynam zdjęcia.

— Pytam, co robisz w tej chwili?

Na sekundę zapadło milczenie.

— Robinie, spotkałem kogoś... Przyjaciela.

— Wspaniale, Sergio. Naprawdę bardzo się cieszę.

— Jestem z nim umówiony na obiad. Znasz go? Nazywa się Alfie Knight.

— Ależ ducek! — zauważył bez ironii Robin.

— Co byś powiedział, żebyśmy jutro skoczyli na jednego? — spytał Sergio.

— Dobra, jesteście umówieni. Jutro w Polo Lounge o piątej.

— Będę na pewno — odparł Sergio.

Robin zamówił obiad i włączył telewizor. Kiedy kelner przyniósł jedzenie, szła akurat tradycyjnie mocna rozbiegówka kolejnego odcinka serialu Dipa. Zamierzał właśnie włożyć sobie do ust pierwszy kęs pieczonego ziemniaka, gdy na ekranie ukazała się w zbliżeniu twarz Pauli. Omal się nie udławił. Do cholery, przecież wyraźnie powiedział Dipowi, żeby jej nie brać do serialu! Jakim sposobem Dan się na to zgodził? Odsunął stolik i zaczął pilnie śledzić dalszy ciąg. Pauli, jako stała bohaterka serialu, kładła całą koncepcję. Bezwłocznie zamówił rozmowę z Danem.

Dan nie posiadał się ze zdumienia. — Powiedział mi, że to twoja decyzja. Tak, następny odcinek jest już gotowy. Podpisałem z nią umowę do końca sezonu.

Robin rzucił słuchawkę i kazał się połączyć z Dipem. Telefon był zajęty; pewnie zbiera gratulacje, drań jeden. Zarezerwował bilet na nocny lot. Nagle przypomniał sobie o jutrzejszym spotkaniu z Sergiem. Nie znał nawet jego telefonu; zostawił wiadomość u kierownika sali.

O ósmej rano samolot wylądował na Lotnisku Kennedy'ego i Robin udał się prosto do pracy. W biurze zwołał natychmiast zebranie z udziałem Dipa i Dana Millera. Z bezwzględną stanowczością zażądał usunięcia Pauli.

— Nie można jej robić takiego świństwa — upierał się Dip. — Daje dzisiaj wywiad do prasy. Już poinformowała dziennikarzy, że dostała tę rolę. Naprawdę, wyrządźmy jej cholerną krzywdę.

— Powtarzam, taka jest moja decyzja — rzekł stanowczo Robin.

— Jestem właścicielem programu — nie dawał za wygraną Dip.

Robin zwrócił się do Dana: — Twój głos liczy się tak samo!

Dan spojrział nań ze zdziwieniem. — Dysponuję wprawdzie **tylko jedną** trzecią, ale w tym wypadku zgadzam się z tobą w zupełności.

— Do kogo więc należy pozostała trzecia część?

Zapadło milczenie.

Dan spojrział na Robina. — Wydawało mi się, że do ciebie.

Na moment w oczach Dipa pojawił się strach. Zaraz potem twarz mu stężyła i ciało sprężyło się jak do skoku. — Mnie przypadają w udziale dwie trzecie, więc, jak to mówią, mam głos decydujący. — Wyszczerył zęby w uśmiechu. — Sądzę, że sprawa się wyjaśniła i Pauli zostaje.

Robin wstał i spojrział mu prosto w oczy. — Dip, już raz w życiu wyświadczyłeś mi wielką przysługę. Proszę cię, poświęć się jeszcze raz. Nie pokazuj mi się więcej na oczy, dobrze?

Dip złożył przesadnie ceremonialny ukłon i opuścił pokój. Czekając na reakcję Robina, Dan nerwowo zakładał nogę na nogę. Ku jego zdziwieniu Ro-

bin odezwał się chłodnym głosem: — Nie masz ruchu, nie pozbędziesz się Pauli. Życzę powodzenia.

- Na mnie jesteś wściekły?
- Uwierzyłeś, że poszedłem na taki układ, i tylko to mnie wścieka.
- Czy ta sprawa zaważy na moim nowym programie? — spytał Dan.
- A Dip maczał w tym palce?
- Nie.
- A więc nasza umowa stoi.

Po wejściu Pauli do stałej obsady oglądalność spadła na łeb, na szyję i w czerwcu Robin zdyął serial z anteny. Dip stracił robotę, lecz Pauli, ku zaskoczeniu wszystkich, dostała rolę w filmie. Dip pojechał za nią na Zachodnie Wybrzeże, a Robin tymczasem rzucił się w wir pracy, przygotowując repertuar na sezon jesienny.

Zebrań akcjonariuszy, zgodnie z decyzją Gregory'ego, miało się odbyć w listopadzie na Zachodnim Wybrzeżu i potrwać tydzień, choć zazwyczaj na jego przeprowadzenie wystarczały trzy dni. Gregory uznał, że Judith potrzebuje rozrywki.

Kiedy Gregory ujrzał na okładce „Newsweeka” wielką fotografię Robina, nagle dotarła do niego smutna prawda: dla współników bogiem był Robin, on zaś na wpół emerytowanym starcem, który do niczego już się nie nadaje. Gregory, który od dawna nie był w tak dobrej formie, postanowił odzyskać dawną władzę. Wykonał zatem kilka drobnych posunięć, lecz nie przyniosły one żadnego rezultatu. Robin, owszem, wysłuchiwał uprzejmie jego rad, kończyło się jednak tylko na słuchaniu i Robin dalej robił swoje. I, jak dotąd, zawsze dobrze na tym wychodził. Wskaźniki oglądalności rosły, wydawało się, że władzy Robina nie zagraża nikt i nic.

Gregory nie miał jednak ochoty ustępować bez walki. Spędził zupełnie przyjemne lato i nie przeszkadzało mu nawet to, że Judith narzekła na nudę. Mój Boże, przez trzydzieści lat harował jak koń, żeby ta sieć zaistniała, żeby się jakoś urządził w życiu; wystarczyło zniknąć ze sceny na półtora roku, by po powrocie nie zastać już starego świata.

Pomyślał ze współczuciem o Judith. Biedactwo, myśli pewnie, że nie zauważył jej blizn za uszami i sterczących piersi. Nie jest takim idiotą. Domyślił się, że zrobiła sobie zabieg, gdy on przechodził terapię szokową. Z jakim oddaniem zajmowała się nim w czasie choroby. To zupełnie naturalne, że teraz domaga się rozrywek. Znowu sprawił jej zawód. Trzeba przyznać, że z początku ucieszył się, iż Robin wziął całą władzę w swoje ręce. Z jaką ulgą przyjął

fakt, że ktoś zamiast niego podejmuje decyzje! Tylko dzięki temu mógł rozkoszować się wypoczynkiem, mimo ciężkich westchnień Judith podczas wspólnego oglądania telewizji. W końcu jednak Judith zmusiła go do działania.

Zaczęto się od tego, że nagle przestała wstawać z łóżka, co cztery godziny zażywała proszek nasenny. W dzień czuwała przy niej pielęgniarka, a nocą w jej pokoju spał Gregory. Gdy patrzył jak ślaniając się na nogach szuka nerwowo papierosa, ogarniał go strach, że któregoś dnia podpali się sama od niedopałka. Jeśli nie spała, kręciła się bez celu po mieszkaniu. Nie malowała się ani nie ubierała, narzucała tylko na siebie stary szlafrok. W końcu przestała gdziekolwiek wychodzić. Gdy zaproponował jej wspólny obiad w El Morocco, odmówiła twierdząc, że nie chce pokazywać się z nim sama. Wpadł więc na pomysł urządzenia tam przyjęcia w pokojach na piętrze. Propozycja wywołała nową falę niezadowolenia.

— Nikt nie przyjdzie, zobaczysz.

Całkiem zdesperowany zamówił rozmowę z doktorem Brugalovem, u którego leczył się w Szwajcarii; wyjaśnił, że Judith teraz dopiero odreagowuje napięcie wywołane jego chorobą, i poprosił o wskazanie odpowiedniego terapeuty.

Doktor Brugalov zasugerował doktora Galensa. Gdy Gregory przedstawił mu sytuację, Galens zalecił codzienne wizyty w swym gabinecie, nie Judith jednak, lecz jemu. Zrozpaczony Gregory przystał na tę dziwną propozycję. W trakcie rozmów najpierw wrócili do historii z paralizem, a potem podjęli temat pożycia małżeńskiego. Gregory opowiedział doktorowi Galensowi o szramach i bliznach, które zauważył na ciele Judith, był święcie przekonany, że nie chodziło o innego mężczyznę, zresztą seks miał dla Judith tak małe znaczenie! Zdaniem Gregory'ego zrobiła sobie tę operację, żeby nie stracić pozycji królowej pierwszych stron pisma „Woman's Wear”.

Doktor Galens z uporem jednak powracał do spraw seksu. Któregoś dnia, nie kryjąc swego zniecierpliwienia, Gregory zaczął mówić. — Po ślubie okazało się, że Judith jest jeszcze dziewicą. Nie chciałem jej wprowadzać w tajniki sztuki miłosnej, ona zresztą nie wykazywała najmniejszej chęci do żadnych eksperymentów. I tak już między nami zostało. Musiała się ostatnio nazytać jakichś podręczników... wie pan, o seksie, bo chciała ze mną uprawiać miłość francuską. Sam bym jej tego nigdy nie zaproponował — ona nie należy do tego typu kobiet. Seks z innymi dawno przestał mnie interesować. Bóg świadkiem, w czasach kawalerskich nieźle się wyszalałem. Starczy mi na całe życie. Skoro Judith wołała kochać się w normalny, zwykły sposób, przystałem na to. Zresztą tym, co naprawdę uwielbiała, był styl naszego życia, ekscytujący i...

Gregory zamilkł nagle. Do diabła! Ten strach, ten okropny, męczący strach! Wiązał się z nią i z IBC. Ona kochała życie, które jej dawał, on zaś kochał ją samą; więcej, on ją wielbił. Owszem, zdarzało mu się narzekać, głównie z powodu bankietów z grzany piwem, lecz fakt, że należała do niego, że wносиła tyle dyskretnego uroku do ich życia, napawał go dumą i szczęściem. Stały mu w pamięci wszystkie prośzone obiady, ta rozkoszna atmosfera, którą tylko ona umiała stworzyć. Rósł w nim strach, że pewnego dnia cały ten piękny świat może legnąć w gruzach. Ale dlaczego? Z powodu innego mężczyzny? Nie, to niemożliwe, dla niej seks nie miał żadnego znaczenia. Więc może z powodu pieniędzy? Też nie. Byli przecież bardzo bogaci. Choroba? Tak — tylko choroba mogła wszystko obrócić wniwecz.

Do ich domu zawitała choroba. Stracił swoją Judith, która poddała się jej destrukcyjnemu działaniu. Czy jednak on sam nie zachowywał się podobnie? Przecież udawał po powrocie, że cieszy go fakt, iż Robin zdjął z jego barków cały ciężar i odpowiedzialność. W jednej chwili wszystko stało się jasne. Zdoła postawić Judith na nogi, choć z pewnością nie będzie to łatwe. Poczul, że nie podda się bez walki.

Po pierwsze — należy natychmiast odzyskać utraconą kontrolę nad IBC. Z miejsca wziął się do dzieła. Umówił się z Robinem i oświadczył, że repertuar na najbliższy sezon ma zostać uzgodniony z nim osobiście.

Robin popatrzył na niego z tym swoim krzywym uśmiechem. — Dlaczego? — zapytał.

Gregory poczuł się nieswojo. Z trudem wytrzymał chłodny wzrok Robina.

— Robinie, postaraj się to zrozumieć. Dzięki mnie awansowałeś z pozycji reportera na stanowisko dyrektora generalnego. Wcale tego nie ukrywam: jestem z Ciebie dumny, odwaliłeś kawał dobrej roboty. Chcę nadal z Tobą pracować, uważam Cię za swojego człowieka. — Staraj się być szczerzy i pełen dobrej woli.

Robin zmierzył go zimnym spojrzeniem.

— Przede wszystkim nie jestem niczym człowiekiem — powiedział wolno, a potem nagle zaczął wyrzucać z siebie słowa: — Od bez mała dwóch lat ugania się za każdym kawałkiem taśmy, jaki został wyprodukowany w tym kraju. Trudno, żebym nagle zaczął o wszystko pytać. Jeśli masz takie oczekiwanie, proszę bardzo, poszukaj sobie innego człowieka.

Cóż, Gregory był w stanie znaleźć sobie kogoś innego, nie chciał jednak dopuścić, żeby Robina zagarnęła inna sieć. Niemniej ilekroć widział Judith, jego determinacja przybierała na sile — biedaczka, przeszła przez te wszystkie historie tylko po to, żeby teraz pogrzyźć się w niebyt towarzyski! I to wszystko przez niego. Musi odzyskać władzę.

Miał nadzieję, że podróż do Los Angeles przyniesie jakąś odmianę. Nie spodziewał się wielkiego entuzjazmu ze strony współników i doskonale pojmował, że musi się uzbroić w cierpliwość. Rzecz zakrawała na absurd, ale będzie z nadzieją oczekiwał, aż programy Robina stracą popularność, wskutek czego notowania IBC na giełdzie pójdą w dół. Musi więc grać na zwłokę i modlić się o straty. Był to jedyny sposób odzyskania sieci.

Doktor Galens uznał, iż wyprawa wyjdzie Judith na zdrowie, pod warunkiem, że nie będzie po całych dniach przesiadywać w hotelu. Gregory polecił zatem Cully'emu i Hayesowi dać do prasy wiadomość o ich przyjeździe na Wybrzeże oraz pozałatwiać zaproszenia na wszystkie ważniejsze imprezy. Na samą myśl, że musi posuwać się do takich wybiegów, ogarniał go wstyd — wówczas jednak przypominał sobie, iż chodzi wyłącznie o zdrowie Judith. Cully i Hayes nie sprawili mu zawodu: poczta przynosiła coraz to nowe zaproszenia. Judith przestała zażywać Seconal, poszła do fryzjera i zakupiła sobie na wyjazd nowe ubrania. Oby ten tydzień wyrwał ją raz na zawsze ze stanu otępienia.

Wyjazd został zaplanowany na niedzielę. W piątek Gregory zadzwonił z biura i spytał ją, o której godzinie ma ochotę wyruszyć. — Czy muszę postanowić natychmiast? — odpowiedziała pytaniem.

— Po prostu powiedz, żeby samolot był gotowy na dwunastą.

Kazał sekretarce zadzwonić do pilota i powiadomić go o zaplanowanym locie. W głosie sekretarki zabrzmiało zdziwienie. Pan Stone zabrał samolot dwie godziny temu.

— Co zabrał?

— W czasie weekendu ma być w Las Vegas, żeby złapać jakiegoś showmana, a potem leci na Wybrzeże na spotkanie zarządu. Sądziłam, że pan wie...

— Zapomniałem. — odrzekł pospiesznie Gregory.

Rozparł się w fotelu. Jak Robin śmiał?!

Wezwał Cliffa Dorne'a.

Cliff westchnął. — Gregory, posłuchaj: pytasz jakim prawem? Samolot należy do firmy, a on nią kieruje. Nie wiem, czy słyszałeś, jaką nazwę nadali temu samolotowi pismacy z Madison Avenue? „Latający Tapczan"! Robin urządził sobie tam sypialnię z łóżem, które sięga od burty do burty. Rzadko wyrusza w podróż samotnie, zawsze leci z nim jakaś dziewczyna, żeby mu w łóżku dotrzymać towarzystwa. Trudno powiedzieć, gdzie go nosi, często zupełnie tracimy go z oczu.

— Należy mu tego zabronić — powiedział Gregory.

— Niestety, podczas twojej choroby Judith powierzyła mi całą władzę. Nie zliczę już, ile razy chciałem stąd odejść. Zdawałem sobie jednak sprawę,

że byłaby to woda na jego młyn. Wsadziłby swojego człowieka do działu prawnego i byłibyśmy załatwieni.

— Już jesteśmy załatwieni — powiedział cicho Gregory.

— Nie bój się, on sam sobie kopie grób.

— Nie rozumiem.

— Dla mnie to oczywiste, jeśli się weźmie pod uwagę jego zachowanie w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Podejmuje szalone decyzje, ryzykuje w niebywały sposób — puścił, na przykład, dwa tak anachroniczne programy rozrywkowe, że po prostu musiały paść... Tak się wszystkim wydawało, tymczasem, na fali retro, odniosły niesamowity sukces. Ale noga powinie mu się wcześniej czy później.

— Robin niczym się nie różni od innych — wycedził Gregory. — Maniak władzy.

— Nie, wcale nie uważam, że chodzi mu o władzę. Zachowuje się raczej tak, jakby chciał wszystkich olśnić, lecz jednocześnie sam siebie obrzuca błotem. Szczerze powiedziawszy, ja tego człowieka nie jestem w stanie rozgryźć. Chodzą nawet słuchy, że to pederasta, zawsze jednak kręci się przy nim jakaś dziewczyna. Rozniosło się też, że producenci odpalają mu niezłe pieniądze. Próbowałem go na tym złapać; bez powodzenia. Znalazłem tylko jeden mały haczyk. Jest taki aktor — Sergio Milano. Do niedawna Robin przysyłał mu regularnie, co tydzień, trzysta dolarów. Wiem to stąd, że jego poborca podatkowy i mój to kuzyni. Sergio Milano romansuje z Alfie Knightem.

— Myślisz, że Robin to biseksualista?

— Na to wygląda. Sergio nie zrobił na razie wielkiej kariery, ale ma już za sobą kilka niezłych ról. To taki ponętny włoski chłopaczek... Przestał brać od Robina albo dlatego, że zaczął ostatnio dobrze zarabiać, albo też dlatego, że wziął go na utrzymanie Alfie Knight, jego nowy kochanek.

— Słuchaj, czy nie moglibyśmy puścić kogoś tym tropem? Nie mam pojęcia, jak się do czegoś takiego zabrać. — Gregory był wyraźnie zakłopotany.

— Już się tym zajmuję. Wynająłem człowieka, który mu będzie deptał po piętach od chwili, gdy wysiądzie z samolotu. Uważam, że mamy jakieś zobowiązania wobec naszych akcjonariuszy — facet na takim stanowisku nie może być wmieszany w sprawy moralnie dwuznaczne.

— Cliff, nie życzę sobie żadnych skandali. Co innego pozbyć się Robina, a co innego zniszczyć mu życie. Do tego drugiego nie zamierzam przykładać ręki.

Cliff uśmiechnął się.

— Gregory, ja chcę mieć tylko raport na piśmie. Możesz być pewien, że niejedno zostanie ujawnione. Potem ten raport przedstawiemy Robinowi. My-

ślisz, że mu zależy na skandalu? Ma rodzinę, siostrę w San Francisco, która obraca się w najlepszym towarzystwie. Robin dobrze wie, że głośny skandal oznacza jego koniec w telewizji. Powie mu się wtedy, że dostanie kogoś do „pomocy” i w ten sposób władza zostanie podzielona pomiędzy dwie osoby. Możesz stworzyć jeszcze jedno stanowisko kierownicze. Robin będzie nadal dyrektorem generalnym IBC, a na to nowe miejsce ściągniemy Dana Millera. Będziesz miał podział władzy i prawo ostatecznej decyzji.

Gregory skinął głową.

— Chciałbym odzyskać Dana, zawsze miałem go w garści. Tylko czy chcesz dzielić się władzą z Robinem? Przecież odszedł z pracy właśnie z tego powodu.

— Odszedł, ponieważ Robin stanął ponad nim.

— A jeżeli Robin przejdzie do konkurencji? — spytał Gregory.

— Nie ma mowy, żeby to zrobił, jeśli uzyskamy takie materiały, na jakie liczę.

— Nie możemy jednak ruszyć z tą sprawą do przodu, zanim ich nie zdołamy.

— Jestem pewien, że coś się znajdzie. Jeśli nie tym razem, to następnym. Może nawet w Nowym Jorku. Wynająłem porządną firmę, mają ludzi w każdym mieście. Na razie musimy uzbroić się w cierpliwość.

Gregory pokiwał głową na znak zgody, a potem zaczął się zastanawiać, jak przekazać Judith wiadomość, że będą lecieli zwykłym samolotem pasażerskim. Dziwne, ale przyjęła to bez protestów. — Nienawidzę tego wstrętnego samolotu, sprzedaj go.

Robin wylądował w Los Angeles w niedzielę późnym popołudniem. W hotelu czekało na niego mnóstwo pilnych wiadomości. Dzwonili agenci, kierownicy afiliowanych stacji, aktorzy i aktorki. Każdy uważał za stosowne przestać mu w prezencie butelkę jakiegoś alkoholu — jego hotelowy pokój wyglądał jak dobrze zaopatrzona knajpa. Przejrzał pospiesznie liściki: jeden z nich był od Sergia.

Nalał sobie kieliszek wódki. W Polo Lounge będą tłumy pracowników IBC, nie mówiąc już o akcjonariuszach. Należało znaleźć jakieś inne miejsce. Zadzwoił do Sergia.

— Robinie, w przyszłym miesiącu wysyłam do ciebie czek. Zwracam „stypendium”. Podpisałem rewelacyjną umowę z Century Pictures.

— Nic nie wysyłam, jeszcze fiskus zacznie coś kombinować. Okazałeś mi wiele serca, kiedy go potrzebowałem, a pieniądze, które uzyskałeś ze sprzedaży nieruchomości, i tak nie wystarczą ci do końca życia.

— Rąbnęli straszny podatek — powiedział Sergio smętnie, lecz po chwili dodał już weselszym tonem: — Dziś wieczorem Alfie wydaje **wielkie** przyjęcie. Zaczyna się o ósmej. Może być przyszedł?

— Nie lubię tego cyrku.

— To nie taka impreza, o jakiej myślisz. Na Boga, Robinie, zaczynam dopiero karierę i muszę sobie odpuścić bale z przebierankami. W umowie jest klauzula dotycząca moralności. Alfie zresztą też ją ma w swoim kontrakcie.

— Źle mnie zrozumiałeś, nawet mi coś takiego nie przyszło do głowy. Po prostu nie nadają się do tego hollywoodzkiego kabaretu. Przykro mi, stary, ale będziesz się musiał bawić beze mnie. Powiedz no jeszcze, masz u Alfiego metę?

— Nie, u niego nie ma miejsca. Mieszkam w Melton Towers. Może kiedyś kupimy do spółki dom. To moje marzenie.

— Melton Towers. Znam tam jedną dziewczynę... nazywa się Maggie Stewart.

— A tak, spotykamy się często w windzie. Piękna babka.

Po rozmowie z Sergiem Robin zadzwonił do Melton Towers; Maggie od razu podniosła słuchawkę.

— O, zjawił się Superman na swoim Latającym Tapczanie. Czytałam, czytałam...

— Maggie, muszę się z tobą zobaczyć.

— Jestem w trakcie nagrywania teleturnieju. Trzy sesje dzisiaj i dwie jutro. Bez przerwy muszę się przebierać. Ledwo już stoję na nogach od tego zgrywania się na radosną, rozświergotaną, dobrze ułożoną panienkę. Mówię ci, nie ma nic bardziej deprawującego niż granie cnotliwej panny.

— Muszę się z tobą zobaczyć — powtórzył.

— Słyszałam, nie jestem głucha.

— Dlaczego więc pleciesz te bzdury?

— Bo jestem szurnięta. A wiesz, dlaczego jestem? Ponieważ chcę się z tobą zobaczyć. To tak, jakbym napraszała się o chłostę... więc muszę mieć nie po kolei w głowie, prawda?

— Chcesz do mnie przyjść? Zamówimy obiad do pokoju. A może wolisz iść do restauracji?

— Przyjedź do mnie — powiedziała powoli. — Zmyłam makijaż, włosy mam w strąkach. W lodówce jest kilka parówek, do tego fasolka z puszki... Wystarczy na całe przyjęcie.

— Będę za chwilę.

— Spokojnie, bądź za godzinę. Muszę wziąć prysznic i doprowadzić się do porządku.

Nalał sobie wódki, usiadł przed telewizorem i zaczął się zastanawiać, czy Gregory już przyjechał. Może powinien do niego zadzwonić? Machnął ręką. Pał go diabli — najwyżej zobaczy się z nim dopiero na posiedzeniu zarządu we wtorek.

Gregory siedział w obszernym salonie, w pawilonie numer osiem hotelu Beverly Hills. Zazwyczaj zatrzymywał się gdzie indziej — w Bel Air, z dala od utartych szlaków, co pozwalało mu uniknąć spotkań z personelem sieci.

Dochodziła szósta, ale jego zegarek pokazywał dziewiątą czasu nowojorskiego. Gregory padał ze zmęczenia, lecz właśnie zadzwonił do niego Clint Murdock. Clint był emerytowanym generałem i ważną osobistością w zarządzie. Pani Murdock musiała ich zauważyć, kiedy meldowali się w hotelu, i nie trzeba było długo czekać na propozycję wspólnej kolacji. Nie miał wyjścia, generała nie można zlekceważyć. Żeby tylko ta kolacja zanadto się nie przeciągnęła! Jeśli dopisze im szczęście, o północy będą z powrotem. Ziewnął. Można by jeszcze zdrzemnąć się jakąś chwilę... Umówił się dopiero na ósmą. Judith jeszcze nic nie wie. Żona generała to straszliwa nudziara, ale przynajmniej Judith będzie miała okazję pokazać się w jakiejś nowej kreacji. Po drodze mogliby nawet wpaść na drinka do Polo Lounge. Od jutra natomiast rozpoczynał się nieprzerwany łańcuch przyjęć. Cully i Hayes uczciwie zarobili swoje pieniądze. Miał nadzieję, że Judith będzie uszczęśliwiona.

Weszła do salonu. — Prasowalnia jest już nieczynna.

— Otworzą jutro, z samego rana — odpowiedział.

Zaśmiała się. — Więc dziś wieczór muszę wystąpić w tej pidżamie ze złotej lamy. Tylko ona nie pogniotła się w walizce.

— Dziś wieczór?

Pomachała mu przed nosem kartką z zaproszeniem. — Znalazłam to w pokoju. Alfie Knight wydaje przyjęcie. Będzie cała śmietanka towarzyska.

— Judith, od jutra nie przepuścimy ani jednego bankietu, ale na dziś wieczór umówiłem się z generałem Murdockiem i jego żoną.

— Z generałem Murdockiem! Nie poszłabym z nimi na kolację nawet wówczas, gdybym nie miała do roboty nic a nic. A ty chcesz, żebym zrezygnowała dla nich z przyjęcia u Alfiego!

Wstał z fotela, zbliżył się do niej i spróbował ją objąć. — Posłuchaj Judith, generał to ważna figura. Chcę mieć w nim sojusznika na zebraniu zarządu.

Jej twarz wykrzywił pogardliwy uśmiech.

— Nie wątpię, że chcesz. I po to mam przesiedzieć kilka godzin paplając z jego żoną i słuchając, jak zacny generał prawi o swoich największych sukcesach wędkarskich? Robinowi nie przyszłoby do głowy tak się płaszczyć! On na

pewno będzie na tym przyjęciu! Wszyscy będą! — Wysunęła się spod jego ramienia i uciekła do sypialni.

Gdy chwilę potem zobaczył ją w łazience, ogarnęła go panika.

— Judith, co ty robisz?

Trzymała w ręku buteleczkę z tabletkami nasennymi.

— Zaraz wezmę dwie! Nie mam najmniejszego zamiaru bawić tych nudziarzy. Sen pozwoli mi przynajmniej zapomnieć, że tracę najlepszy bankiet w Los Angeles.

Wyrwał jej buteleczkę z rąk.

— Nie mogę odwołać spotkania z generałem. Jeśli ci tak strasznie zależy, idź sama. Usprawiedliwię cię jakoś przed Murdockami.

— Iść na przyjęcie bez męskiego towarzystwa? Absurd. — Wyciągnęła rękę. — Oddaj mi te proszki, błagam. Perspektywa wielogodzinnej niasiadówki z tymi ludźmi doprowadza mnie do szaleństwa.

— Załatwię ci kogoś do towarzystwa. — Odwrócił się raptownie i spojrzął jej w oczy. — Może właśnie Robin Stone zechciałby z tobą pójść.

Twarz Judith nawet nie drgnęła.

— Na pewno jest z kimś umówiony.

— Nic nie szkodzi. — Podszedł do telefonu. Myśl o tym, żeby prosić Robina o przysługę, była mu wstrętna, chodziło jednak o Judith. Da diabła, nie można dopuścić do tego, żeby znów po całych dniach wylegiwała się w łóżku.

Gdy Robin odebrał telefon, Gregory od razu przystąpił do rzeczy.

— Słuchaj, jakiś gwiazdor... bodaj Alfie Knight... wydaje dzisiaj przyjęcie. Judith jest oczywiście zaproszona, sądzi, że będzie wesoło, a poza tym zdążyła zapomnieć, jak się w Hollywood bawia; niestety, ja już wcześniej umówiłem się na kolację z pewnym wpływowym członkiem zarządu. Byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś zechciał dotrzymać Judith towarzystwa.

Zapadła cisza.

Obserwowała twarz Gregory'ego, chcąc cokolwiek z niej wyczytać. Złowróżbne milczenie oznaczało, że Robin się wykręca...

— Ja też tak uważam — odezwał się Gregory — ale to moja osobista prośba. Ach, rozumiem. Zastanów się, czy nie mógłbyś szybko uporać się ze spotkaniem, a potem pójść z Judith na przyjęcie. Nie sądzę, żeby taka impreza rozkręciła się na dobre przed dziewiątą czy dziesiątą. Naprawdę byłbym ci niezmiernie zobowiązany.

— Na Boga, przestań się upokarzać! — krzyknęła Judith. Wyrwała mu słuchawkę i powiedziała do mikrofonu: — Tu Judith. Zapomnij o tym, nie było takiej rozmowy! To pomysł Gregory'ego, nie mój.

— Naprawdę chcesz tam iść, Judith? — zapytał Robin.

— Myślałam, że może być sympatycznie. Chcę się trochę rozerwać... ale nie mam zamiaru zmuszać cię do czegokolwiek!

— Osobiście nie znoszę takich bankietów, ale posłuchaj, czy nie zrobi ci różnicy, jeśli zjawimy się tam nieco później — powiedzmy o dziesiątej?

— Cudownie. Zdażę się przedtem trochę zdrzemnąć.

— W porządku, zadzwonię po ciebie z recepcji.

Odłożyła słuchawkę próbując ukryć rozradowanie. Nie miał ochoty iść; robił to wyłącznie dla niej! Wciąż zatem coś do niej czuje. Umówił się pewnie z jakąś dziewczyną, a jednak dla niej, Judith, odwoła tę randkę! Podeszła do Gregory'ego i lekko musnęła go wargami.

— Ci twoi biedni najemnicy! Wciąż tańczą, jak im zagrasz.

Widząc, jak jest rozpromieniona, odczuła ulgę.

— Nie, wcale nie miał ochoty tańcować. To ty go czymś ujęłaś — ludzie zawsze poddają się twemu urokowi.

Ogarnęła ją takie wzruszenie, że zapragnęła okazać Gregory'emu trochę czułości. — Czy jesteś pewien, że nie masz nic przeciwko temu, bym podarowała sobie kolację z Murdockami?

— Oczywiście, że nie. Powiem im, że jesteś ledwo żywa po podróży. Nigdy się nie dowiedzą, że poszłaś na ten bankiet. Mam zresztą stuprocentową pewność, że Alfie ich nie zaprosił.

Pocałowała go w czoło.

— Idę sobie nasmarować twarz kremem i wziąć długą gorącą kąpiel. Po tem się chwilę zdrzemnę. Obudź mnie, kiedy będziesz wychodził.

Nuąc pod nosem jakąś melodię, puściła wodę do wanny. Zobaczy Robina. Czuła, że on też ma na to ochotę. Na pewno. Wystraszyła go tym gadaniem o małżeństwie. Teraz da mu do zrozumienia, że zgodzi się na wszystkie jego warunki. Na pewno został zaproszony na te same przyjęcia. W tym tygodniu więc będą widywać się codziennie. A po powrocie do Nowego Jorku pójda znów do Steak Place i... Boże, jakie życie może być piękne!

Robin wynajął samochód i pojechał do Maggie. Dochodziła siódma. Narobił sobie kłopotu... lecz głos Judith brzmiał tak załośnie! Gdy zaproponowała mu małżeństwo, z całą bezwzględnością zerwał z nią wszelkie kontakty. Przypuszczał, że dawno już znalazła sobie kogoś na jego miejsce. Lecz usłyszawszy w jej głosie ten ton fałszywej dumy, gdy oświadczyła, że wcale nie musi z nią iść — odniósł wrażenie, że słyszy wołanie o ratunek. Nie miał serca jej odmówić.

Wciąż jeszcze o tym myślał, jadąc Bulwarem Zachodzącego Słońca. Nie mógł zrozumieć, skąd się brała jego litość dla Judith, przecież nigdy do niko-

go nic nie czuł. Z wyjątkiem Maggie — ta dziewczyna stanowiła przedmiot jego pragnień, tyle że był to pociąg czysto fizyczny. Owszem, podziwiał ją też za odwagę; umiała się przeciwstawić. W odróżnieniu od Amandy — zawsze uległej i smutnookiej — była dla niego wyzwaniem. Maggie nie lubiła się poddawać — to właśnie cenił w niej najbardziej. Ale Judith? Co, u diabła, był jej wieniem, że postanowił skrócić swój wieczór z Maggie? Myśl ta nie dawała mu spokoju, zdołał ją jednak odepchnąć od siebie, gdy zatrzymywał samochód na niewielkim parkingu w pobliżu Melton Towers.

Maggie, mimo zmęczenia, wyglądała zadziwiająco pięknie. Zauważył, że ma pod oczami sine obwódki. Jej ciało, choć może nazbyt wiotkie, wydało mu się dziś szczególnie ponętne.

Zjedli kolację przy małym stoliku, potem pomógł jej pozmywać. Następnie zaś ona, nie kryjąc nieśmiałości, zaprowadziła go do sypialni. Zdumiewał go sposób, w jaki zdołała zeń wydobyć aż tyle czułości... później, gdy trzymał ją w ramionach, doświadczył, po raz pierwszy od bardzo dawna, uczucia całkowitego spełnienia. Ach, gdyby można było znaleźć jakieś praktyczne rozwiązanie! Zdawał sobie sprawę, że chce ją mieć przy sobie, lecz nie mógł po prostu zaproponować, żeby zamieszkała razem z nim. Gdy leżał, gładząc ręką jej włosy, po raz pierwszy zaświtała mu myśl o małżeństwie. Mogłoby im się udać, pod warunkiem jednak, że nie ograniczyłaby jego swobody, że pozwalałaby mu urywać się, kiedy tylko zechce. Dziwne, lecz nie umiał powiedzieć, z kim właściwie miałby ochotę się urywać i dokąd. Do diabła, zaraz będzie musiał wyjść, żeby zaprowadzić Judith na ten cholerny bankiet! Ukradkiem spojrzął na zegarek. Za piętnaście dziewiąta — ma jeszcze czas.

- Maggie...
- Mhm? — Poruszyła się i otarła policzkiem o jego szyję.
- Jakie masz dalsze plany, poza teleturniejami, oczywiście?
- Alfie Knight kręci film, w którym chcę wystąpić.
- Moja propozycja głównej roli w serialu jest nadal aktualna.
- Wolę ten film.
- Zrobiłaś już coś w tej sprawie? — zapytał.

Sięgnęła po papierosa. — Wysłałam notatkę do Alfiego, Hy również wsiadł mu na kark. Alfie obiecał, że da mi tę rolę, jeśli nie złapie żadnej supergwiazdy. Słyszałam, że chce zaangażować Elisabeth Taylor. Nie sądzę więc, żebym miała duże szanse.

— Może mógłbym ci pomóc. Zastanów się jednak nad tym serialem. Będziesz miała niezłą reklamę, zrobisz duże pieniądze, a Alfie nie zacznie kręcić wcześniej, niż w przyszłym roku.

Wolno odwróciła głowę. — Oznaczałoby to w praktyce, że raz na parę miesięcy wpadniesz tutaj, spotkasz się ze mną, prześpisz i podyskutujesz o mojej karierze?

— Będę przyjeżdżał naprawdę często.

— To znaczy, że będziemy mieli okazję często się pieprzyć i dużo gadać.

— Wstała z łóżka.

— Czego ty właściwie chcesz, Maggie?

Stała na środku pokoju w blasku światła padającego z łazienki. Zauważyła złość, tłącą się w jej oczach. — Czego ją chcę? Ciebie chcę! Dzisiaj było cudownie, ale jak zwykle, jutro rano znienawidzę się za to, że znowu uległam. Poczuję się jak któryś ze sprzętów w twoim hotelowym pokoju... jak twoja efektowna laleczka na Zachodnim Wybrzeżu!

Wstał i chwycił ją w ramiona.

— Do diabła, dobrze wiesz, że to nieprawda. Mógłbym mieć każdą dziewczynę w tym mieście, wystarczyłoby kiwnąć palcem. One wszystkie szukają pracy, a ja mogę im ją dać.

— Właśnie mi ją zaoferowałeś... i to nie byle co, główną rolę w serialu! Więc powinnam być gotowa na każde twoje skinienie. Boże, to wzięte żywcem z jakiejś szmiry! Powiedz, Robinie, jaka panienska czeka w Nowym Jorku, żeby po twoim telefonie pognać w te pędy do Lancera? A w Chicago? Przecież też musisz się zatrzymać, choćby po to, żeby nabrać paliwa do Latającego Tapczanu!

Odsunął Maggie od siebie i nałożył slipy. Ona też narzuciła szlafrok i zapaliła papierosa. Przyglądała mu się badawczo, gdy nakładał ubranie.

Nagle na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— Latający Tapczan — czy tak nazywają mój samolot?

— Nie czytałeś ostatniego „Undercovera”?

— Co takiego?

— Brukowiec. Twoje zdjęcie było na okładce. Nie myśl, że piszą o tobie tylko w „Newsweeku” albo w „Time’ie”! Wiele innych pism też się za ciebie bierze. Według „Undercovera”, mało cię obchodzi, z kim się kładziesz na Latającym Tapczanie; kobieta, mężczyzna — wszystko jedno, bylebyś mógł sobie popieprzyć.

Z całych sił uderzył ją w twarz. Spuściła głowę, skuliła ramiona i wybuchnęła płaczem. Potem nagle rzuciła mu się w objęcia. — Robinie, powiedz, dlaczego musimy niszczyć się nawzajem? — wyszochała.

— Wiesz, jak mi na tobie zależy, Maggie. Proszę, zagraj w tym serialu...

— Nie chcę żadnej zapłaty! — Po jej twarzy płynęły łzy. — Czy nie możesz zrozumieć, że na nikim mi tak nie zależy, jak na tobie?

— Przecież mnie masz! W większym stopniu, niż miała mnie lub ma jakkolwiek inna kobieta na świecie. Zobacz, stale noszę tę pedalską obrączkę, którą mi podarowałaś.

Milczała, zapytał więc: — Czy prawdziwa obrączka ślubna ma dla ciebie aż takie znaczenie?

— Tak.

— W porządku.

— Co w porządku?

— W porządku, ożenię się z tobą. — Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiąta piętnaście; spieszył się na spotkanie z Judith, lecz chciał najpierw dojść do porozumienia z Maggie. — Będiesz się nazywała Maggie Stone, pod warunkiem jednak, że nie ograniczysz mojej wolności. Na przykład w tej chwili... muszę wyjść.

Popatrzyła nań ze zdziwieniem. — Co takiego?

— Muszę zabrać na przyjęcie pewną panią.

Przez chwilę spoglądała na Robina, ogarnięta niedowierzaniem, a potem cofnęła się, jakby ją uderzył. — To znaczy... przyszedłeś tutaj wiedząc, że masz później randkę i że prosto z tego łóżka pójdziesz do innej kobiety?

— Mylisz się. Chodzi o panią Austin.

— Ach, w takim razie nie można się do niczego przyczepić. Starszej pani należy się atencja.

— Maggie, nie mieszajmy w to pani Austin.

— O tak, ona jest na to za dobra! — Zaczęła się śmiać. — Domagasz się wolności, a leciszy na pierwsze kiwnięcie palcem. Czy w ten właśnie sposób zostałeś szefem IBC?

— Wychodzę, Maggie, nie chcę, żebyś żałowała później swoich słów. Zadzwoń do ciebie jutro.

— Nie ma dla nas żadnego jutro. — Jej oczy płonęły gniewem.

— Maggie, wcale tak nie myślisz.

Odwróciła się; czuł, że znowu wstrząsa nią płacz. Podeszedł do niej i wziął ją w ramiona. — Maggie, naprawdę zależy mi na tobie, jak mam ci to udowodnić, na Boga? Proszę cię o rękę. Jeśli akceptujesz mnie takim, jakim jestem, w porządku. Chcę być z tobą.

— A ja chcę, żebyś mnie potrzebował — mówiła przez łzy. — Byłam kiedyś żoną mężczyzny, który potrzebował mnie wyłącznie z jednego powodu — pragnął mieć potomka. Robinie, czy nie możesz zrozumieć, że kocham cię do szaleństwa? Nie kochałam Hudsona, a przecież jego zdrady sprawiały mi ból. Twoje — mogłabym przypłacić życiem. Nie wiesz nawet, jak się starałam, żeby o tobie zapomnieć. Byłam z Andym, z Adamem, ze wszystkimi moimi part-

nerami filmowymi. Nic z tego nie wyszło. Nie chcę, żebyś się ze mną żenił z litości, lecz dlatego, że jestem ci potrzebna, dlatego, że chcesz się ze mną dzielić myślami, miłością, swoimi problemami, a nie tylko łóżkiem. Rozumiesz? Chcę, żebyś nie mógł się bez mnie obyć.

— Wygląda na to, że nie dobijemy dziś targu — powiedział, wolno cedząc słowa. A potem uśmiechnął się dziwnie. — Widzisz, małeńka, mnie nikt nie jest potrzebny.

Pokornie schyliła głowę.

— To prawda, Dan Miller tak kiedyś o tobie powiedział.

— Jest zatem bystrzejszy, niż przypuszczałem. — Ruszył do drzwi. — Bierzesz tę pracę?

— Nie.

— Wyjdiesz za mnie?

Pokręciła przecząco głową. — Nie na twoich warunkach.

Otworzył drzwi. — Będę tu jeszcze cztery, pięć dni. Gdybyś zmieniła zdanie co do jednego lub drugiego, daj mi znać.

Popatrzyła na niego oczami pełnymi łez. — Nie dzwoń do mnie nigdy więcej, błagam cię!

— Naprawdę tego chcesz?

Pokiwała głową. — Chyba że będziesz mógł uczciwie powiedzieć: jesteś mi potrzebna.

Stała nieruchomo, dopóki nie usłyszała, że zatrzasnęły się za nią drzwi od windy; wtedy upadła na łóżko i zaczęła rozpaczliwie płakać.

Robin wszedł do hotelu Beverly Hills za dziesięć dziesiątą. Pięć minut później lekkim krokiem zbiegła ze schodów Judith w mieniącym się złociście kombinezonie. Nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie, nigdy też nie wzbudzała w nim większej litości. Przed oczyma stanęła mu Maggie, uczesana w koński ogon, zeszecona czerwonymi obwódkami wokół oczu. Wiedział już, że nic i nigdy nie zdoła go skłonić do kochania się z Judith.

Idąc w jej kierunku, zdobył się na szeroki, serdeczny uśmiech.

— Zbledną przy tobie wszystkie gwiazdy — rzekł z podziwem.

— Jedyń strój, który się nie pogniół. Miałam go na sobie ze sto razy.

— Niestety, zdołałem wynająć zaledwie ramblera. Chyba nie jest dla ciebie dość elegancki — powiedział otwierając drzwiczki samochodu.

Usiadła na przednim siedzeniu i pochyliła się ku Robinowi. — Wolę być tu niż w najpiękniejszej limuzynie. — Nie odrywała wzroku od jego profilu, gdy prowadził samochód pnąc się w górę jezdnią. — Tęskniłam za tobą — powiedziała cicho.

— Tak piękna kobieta jak ty nie powinna za nikim tęsknić — odrzekł beztrąsko. — Zwracaj uwagę na nazwy ulic po swojej stronie. Alfie mieszka w Jaskółczym Zaułku, wszystkie te przecznice noszą ptasie imiona.

— Wjechaliśmy w Doheny — powiedziała Judith.

— Zgadza się, gdzieś tu zaraz ma być ostry zakręt.

Przyglądała się z uwagą tabliczkom z nazwami ulic.

— Zachowałam się jak dziecko — rzekła powoli.

— Kiedy?

— Wtedy, gdy poleciałam do Chicago, żeby się z tobą zobaczyć.

— Istotnie, była w tym szczypta szaleństwa.

— Wszystko sobie przemyślałam. Nie chcę krzywdzić Gregory'ego, jestem mu potrzebna.

— Grzeczna dziewczynka. Ty też go zresztą potrzebujesz.

— Nie, ja potrzebuję ciebie.

— Ach, jesteśmy w Jaskółczym Zaułku. To musi być tam, gdzie stoją te rollsy i bentleje.

Gdy Robin zaparkował, podjechał do nich policyjny wóz patrolowy.

— Czy pan tam idzie? — spytał policjant.

Robin skinął głową.

Policjant roześmiał się. — Sąsiedzi wzywają mnie już trzeci raz; proszę powiedzieć Alfiemu, że jestem jego wielbicielem i bynajmniej nie odmawiam mu prawa do zabawy, niech jednak, z łaski swojej, nie zapomina, że sąsiadka ma dziecko, które właśnie zaczęło ząbkować.

— Dobrze, wszystko mu przekażę. — Robin schylił się, żeby pomóc Judith wysiąść z samochodu.

Policjant przyjrzał się jej i uznał, że to zwykła śmiertelniczka, jeszcze raz rzucił okiem na Robina.

— Czy przypadkiem skądś pana nie znam? Ma pan znajomą twarz. No jasne, to pan prowadził *Z bliska*. Pan się nazywa Robin Stone, trafieł?

— W dziesiątkę.

— Same sławy tu dziś balują. Wie pan co? Pan powinien wrócić do tego programu. Świetny pan był, wcale nie gorszy niż Huntley czy Brinkley.

— Robi teraz *Wydarzenie* — odezwała się Judith tonem, w którym zabrzmiała jednocześnie duma i poczucie posiadania.

— To inna sprawa! Ale, wie pani, często ostatnio jeżdżę na nocnej zmianie i rzadko oglądam telewizję. — Poczekał chwilę, aż Robin ruszy przed siebie i powiedział, zniżając głos: — Panie Stone, niech no pan pozwoli na chwileczkę.

Robin zawahał się; Judith z uśmiechem skinęła głową.

Odwrocił się i podszedł do wozu policyjnego.

— Niech pan posłucha, panie Stone. Ta babka to nie pańska żona, od razu widać po przebiegu na liczniku.

Robin spojrział na niego chłodno, czekając na dalszy ciąg.

— Ja nie chcę się wtrącać, ja tylko ostrzegam. Jeśli to cudza małżonka...

— Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi.

— Panie, ja mam dobre oko. Kiedy rozmawialiśmy, zauważyłem, że ma pan ogon.

— Co takiego?

— Ogon, tajniaka, który pana śledzi. Nie wpadł pan w jakieś tarapaty?

— Nie bardziej niż zwykle.

— Kiedy sobie gawędziliśmy, zobaczyłem, że jakiś facet jeździ w kółko — podjechał tu na górę, wykręcił, zjechał, znowu wrócił, znowu zjechał. Teraz zaparkował, niedaleko stąd. Przy ostatniej rundce go rozpoznałem. To prywatny detektyw.

— Może depcze po piętach komuś, kto jest w środku. Bo ta pani jest tutaj ze mną na osobistą prośbę jej męża.

Policjant wzruszył ramionami. — Może istotnie obstawia któryś z innych domów, czekając, aż z okna wylezie jakiś grzeszny mąż. Ale że to kapuś, dam sobie głowę uciąć.

— Grunt, że nie łązi za mną. W każdym razie dziękuję.

Gdy weszli do środka, radość i zdumienie na twarzy Sergia wystarczyły, by nie żałował swego przyjaciela. W tłumie gości rozpoznał kilku słynnych reżyserów, kilka gwiazd i tę samą co zazwyczaj gromadę aktoreczek. Ktoś chwycił go za rękę i złożył na jego karku wilgotny pocałunek. Poznał Tinę St. Claire. Przedstawił Judith Alfiemu, Sergiowi i Tinie. Niosąc dwie szklance, poprowadził Judith w stronę kanapy. Wielki syjamski kot kilkoma susami znalazł się przy Robinie i wbił w niego ślepią. Potem głośno zamiauczał i skoczył mu prosto w ramiona.

Alfie omal nie upuścił swojej szklanceczki. — Rany boskie, to się nazywa sex appeal. Leser, nasz kot, nienawidzi wszystkich.

— Leser?! — Na dźwięk głosu Robina kot zamruczał, a Robin podrapał go za uchem. — • Skąd się tu wziął?

— Dał mi go Ike Ryan. To był kot jego żony. Ike jest bez przerwy w podróży, biedny zwierzak pół życia spędził w przechowalni. Wziąłem go, bo uwielbiam koty. Nienawidzi wszystkich, ty widocznie jesteś wyjątkiem.

— Jesteś w błędzie, my się po prostu dobrze znamy. — Pogłaskał szyję Lesera i zauważył, że na obróżce wciąż jest srebrna plakietka z imieniem kota.

Tina zbliżyła się do orkiestry i spoglądając wymownie na Robina, zaczęła kuszaco kręcić biodrami.

— Ściszcie lepiej perkusję — zwrócił się Robin do Alfiego. — Dopiero co pogadałem sobie na ten temat z policjantem.

— Och, mój rozkoszny posterunkowy. Przypuszczam, że sąsiedzkie skargi traktuje jako pretekst, żeby tu przyjeżdżać. Głowę dam, że to gej — odpowiedział Alfie.

Judith zwróciła się z uśmiechem do Robina: — Naprawdę, nie musimy tu długo siedzieć — szepnęła.

— Już znudzona? — zapytał. — A może ten tłum cię męczy?

— Żaden tłum mi niestraszny, kiedy jestem z tobą. Chociaż wolałabym, szczerze mówiąc, kameralnego drinka w twoim apartamencie.

— Odnosiłem wrażenie, że bardzo chciałaś tu przyjść.

— To prawda, ale teraz wolałabym znaleźć się z tobą sam na sam.

— Byłoby to bardzo niegrzeczne wobec Alfiego i Sergia. Sergio jest moim starym kumplem.

Gawędząc z Alfim i Sergiem, Robin sączył alkohol w niespiesznym, lecz miarowym tempie, gdy tymczasem Judith została wciągnięta do rozmowy przez grupkę aktorów. Robin zamierzał opuścić bankiet jak najpóźniej — tak późno, by upadła jakakolwiek szansa wspólnego drinka w hotelu.

Około północy goście zaczęli rozchodzić się do domów. Judith, uwolnwszy się od towarzystwa, dołączyła przy barze do Robina i powiedziała z wymuszonym uśmiechem: — Cały wieczór pozwoliłam ci spędzić z chłopcami. Teraz moja kolej. Co byś powiedział na szklaneczkę przed snem?

— Na co masz ochotę?

— Wszystko mi jedno.

— Alfie ma świetnie zaopatrzone bar. Jesteśmy w stanie spełnić każde zamówienie naszych klientów.

— Nie tutaj — powiedziała ze złością.

Alfie zbliżał się do nich swobodnym krokiem. — O co chodzi, kitek?

Robin stłumił uśmiech. Alfie był jednym z niewielu aktorów, trzymających się z dala od telewizji. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy, kim jest stojąca tuż obok pani Austin.

Judith obdarzyła go promiennym uśmiechem. — O nic, po prostu mówiłam właśnie Robinowi, że najwyższy czas się zbierać.

— Jeśli jesteś zmęczona, dziewczyno, zaraz kogoś załatwię, żeby podrzucił cię do chaty.

Zignorowała Alfiego i zwróciła się do Robina; tym razem jej głos zabrzmiał ostrzej: — Robinie, chcę iść do domu.

Uśmiechnął się szeroko. — Alfie, słyszałeś, co pani powiedziała? Kto tam jedzie w kierunku hotelu Beverly Hills?

— Johnny mieszka na North Canyon, hej, Johnny, kiedy się zwijasz?

Młody człowiek w drugim końcu pokoju dał znak, że jest gotów do drogi.

— Samochód czeka, kitek — rzucił Alfie.

— Jak śmiesz! — Odwróciła się tyłem do Alfiego. — Robinie, proszę odwieźć mnie do domu.

— W porządku, ale nie w tej chwili. Muszę dopić drinka.

Alfie wyciągnął z baru butelkę wódki i podał ją Robinowi.

— Najpierw go sobie nalej.

Judith przyglądała się, jak Robin napełnia szklaneczkę. — Robinie, chcę, żebyś to ty odwiózł mnie do hotelu! — powiedziała władczo.

— Słuchaj, kitek, jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Ja, na przykład, chciałbym ożenić się z obecnym tu Sergio Milano i mieć z nim dzieci. Niestety, nie da się tego załatwić — odezwał się Alfie.

Gdy Judith spojrzała na Robina, w jej oczach płonął gniew.

— Więc masz ochotę tu zostać z tymi degeneratami!?

— Chcę zostać z moimi przyjaciółmi. — Zostawił ją i ruszył w stronę kanapy. Alfie i Sergio poszli za nim.

Judith stała oparta o bar. Nigdy w życiu nie spotkało jej coś podobnego. Ten pogardliwy ton Alfiego... Traktowali ją jak pierwszą lepszą dziwkę z ulicy. Ja, Judith Austin, traktowano jak śmieć i nie zwracano na nią najmniejszej uwagi! Nalała sobie podwójną whisky. Usłyszała głośne tykanie zegara, wiszącego nad barem, i nagle zdała sobie sprawę, że wyszli już ostatni goście. Został tylko Robin w towarzystwie tych dwóch pederastów. Na pewno robi jej na złość, specjalnie, żeby ją upokorzyć. Zsunęła się z barowego stołka i nagle jej wzrok przykuła leżąca na podłodze błyszcząca, złota bransoletka. Podniosła ją i przeczytała wygrawerowany napis. Na jej twarzy z wolna zaczął pojawiać się uśmiech. Trzymając złoty przedmiot w dwóch palcach, jakby w obawie, że mogłaby pobrudzić sobie ręce, zbliżyła się do kanapy, na której siedzieli Robin, Alfie i Sergio.

— Teraz rozumiem, dlaczego chcieliście się mnie pozbyć — powiedziała. — Nie macie ochoty, żeby ktokolwiek przeszkadzał wam w igraszkach. O to chodzi, prawda?

Trzej mężczyźni spojrzeli na nią ze zdziwieniem. Alfie pierwszy dostrzegł bransoletkę i skoczył na równe nogi. Jego dłoń sięgnęła najpierw bezwiednie do nadgarstka drugiej ręki... Potem rzucił się niezgrabnie w kierunku Judith, która jednak zdążyła się cofnąć. — Ty suko, to moja bransoletka. Gdzie ją znalazłaś?

— Na podłodze, koło baru. — Pomachała mu przed nosem złotym łańcuszkiem. — Pewnie zapięcie się zepsuło. Interesujące cacko.

Sergio jednym skokiem znalazł się przy niej.

— Oddaj mi tę bransoletkę.

Błyskawicznym ruchem wsunęła ją za dekolt, a następnie otrzepała rękę.

— Jest w bezpiecznym miejscu, tutaj żaden z was, pedały, nie będzie miał odwagi jej poszukać!

Robin wolno wstał z kanapy. — Zdaje się, że zapomniałaś o mnie. Nie boję się twoich cyków.

— Jesteś taki sam pedał jak ci dwaj — cofnęła się o krok. — Maszyna do Kochania... tyle że nie panienek, lecz chłopaczków! Bransoletka jest tego dowodem.

— Co ma ze mną wspólnego bransoletka Alfiego?

— Sam dobrze wiesz. Z wierzchu jest imię Sergia, a pod spodem napis: od Robina Stone'a, Boże Narodzenie, Rzym 1962. Tylko że nosił ją Alfie. Czy dlatego chciałeś zostać dłużej, Robinie? Żeby wyrównać rachunki z Alfim za to, że ci odebrał kochanka?

Sergio popatrzył na Robina wzrokiem, w którym malowała się skrucha.

— To ta sama bransoletka, na którą naciągnąłem cię w Rzymie, pamiętasz? Powiedziałaś, że mogę sobie na niej wygrawerować, co mi się żywnie podoba. Kazałem wyryć twoje imię. Nosiłem ją przez cały ten czas, była i jest moją najdroższą pamiątką, lecz niedawno Alfie dał mi swoją najdroższą pamiątkę — podniósł rękę z podobną złotą bransoletką — coś, co dostał od matki, uznałem więc, że powinienem mu się zrewanżować.

Alfie przytaknął. — Cenię ją ponad wszystko, uwierz, Robinie.

Judith wybuchnęła głośnym śmiechem. — To najbardziej wzruszająca scena, jakiej ostatnio byłam świadkiem. Zaraz mi serce pęknie. Ale na mnie już pora. Wyobrażam sobie, jak się z tej bransoletki ucieszy Gregory, nie mówiąc już o rozmaitych szmatławcach, które tylko czekają na skandal. Mam nadzieję, że zdążymy z nim jeszcze przed wtorkowym zebraniem zarządu. Drogi Robinie, spójrzmy prawdzie w oczy, jesteś... jak to się mówi? — definitywnie spalony zawodowo.

— Judith, jeśli chcesz wiedzieć, swoją pracę mam gdzieś. Znalazałaś na mnie haka — w porządku, tylko nie mieszaj w to Sergia i Alfiego, bo im zniszczysz życie.

Spojrzała na niego i znów wybuchła śmiechem.

— To brzmi coraz lepiej, jak Boga kocham. — Zwróciła się do Alfiego: — Będziesz dla tych szmat równie smakowitym kąskiem, kitek. — Z gniewnie płonąącym wzrokiem ruszyła do drzwi.

Sergio skoczył za nią, Alfie chwycił Judith za ramię i powłókł na środek pokoju. Robin poderwał się na nogi, żeby ich rozdzielić, lecz Sergio go zablokował. Judith stała teraz wepchnięta za barową ladę i rozglądała się dzikim wzrokiem zwierzęcia schwytanego w pułapkę. Nagle spostrzegła błyszczącą figurkę Oskara, chwyciła ją i gdy Sergio zbliżył się do niej, uderzyła go w głowę z całych sił. Natychmiast osunął się na podłogę.

— Ty suko! — wrzasnął Alfie. — Zabiłeś go! O Boże, Sergio... — upadł na kolana i zaczął głośno szlochać nad nieruchomym ciałem.

Judith rzuciła się pędem do drzwi, lecz Alfie zerwał się na równe nogi i zdążył ją złapać.

— Nie ruszysz się stąd! — Trzasnął ją z całej siły w twarz.

Robin uniósł Sergia i ułożył go na kanapie. Usłyszał krzyk. Wiedział, że Alfie bije Judith po twarzy, ale nie szedł jej z pomocą, świadomy, iż ucierpi na tym jedynie jej godność. Całą uwagę skupił na Sergiu. Wziął trochę lodu i przyłożył mu do czoła.

— Ostrożnie! — krzyknął Alfie. — Może mieć piękną czaszkę.

Robin odwrócił się, rzucił okiem na Judith i ruszył w jej kierunku. Miała rozciętą wargę i zakrwawiony nos. Przekrzywiona treska nad twarzą wyglądała zarazem niesamowicie i komicznie. Robin próbował interweniować, lecz Alfie, pociągnawszy Judith za włosy, usunął ją z zasięgu jego rąk... Jakimś cudem sztuczny kok utrzymał się na głowie. Judith krzyczała wniebogłoso. Robinowi udało się wreszcie jednym szarpnięciem uwolnić ją z rąk Alfiego. Pod rozdartym na ramieniu kostiumem widać było przekrzywione ramiączko usztywnionego stanika. Nagle bransoletka wyslizgnęła się spod bluzki Judith i z cichym łoskotem upadła na podłogę; Alfie natychmiast rzucił się na kolana i podniósł ją; a potem, by dopełnić miary, jeszcze raz wymierzył Judith siarczysty policzek.

Robin uchwycił Judith za ramiona: przywarła do niego całym ciałem, zanosząc się od płaczu.

— Przykro mi, Judith — powiedział — ale skoro zachowujesz się jak szmata, tak też zostałaś potraktowana.

Na dźwięk dzwonka i walenia do drzwi wszyscy czworo zamarli jak jeden mąż. — Otwierać! Policja! — wołał silny męski głos.

— Jezus Maria! — zaszczołała donośnie Judith. — To koniec Grego-ry'ego. Jak ja wyglądam!?

— Ty!/? Zastanów się lepiej, co będzie ze mną! — krzyknął Alfie. — Jeśli to się rozniesie, jesteśmy z Sergiem zgubieni. Przez ciebie... ty ścierwo!

Judith przycisnęła się do Robina. — Zabierz mnie stąd, błagam cię, zabierz mnie stąd, to się nigdy więcej nie powtórzy, przysięgam!

— To się nigdy nie powtórzy! — powtórzył z ironią Alfie. — Wraca do swoich milionów, a ja do czego mam wracać? ! Oskarżają mnie o obrazę moralności. — Alfie odwrócił się i plunął jej w twarz.

Robin jedną ręką przytrzymał Judith, a drugą chwycił Alfiego za ramię.

— Alfie, pomogę ci się z tego wypłatać, ale pod jednym warunkiem: Maggie Stewart dostanie główną rolę w twoim nowym filmie.

— W jakim filmie? O czym ty mówisz? Jutro pewnie przepędzą mnie stąd na cztery wiatry!

— Judith, posłuchaj mnie teraz. — Odsunął ją od siebie i popatrzył na jej pokrytą czerwonymi plamami twarz. — Powiesz, że byłem pijany, że chciałem cię zgwałcić, rozdarłem na tobie ubranie. Powiesz, że Sergio stanął w twojej obronie, że chciałem go uderzyć, lecz on się uchylił, a ty otrzymałaś cios w szczękę. Dlatego tak wyglądasz. Potem zdołałem jeszcze rąbnąć Sergia.

— A co ja robiłem? — zapytał Alfie.

— Przyszedłeś jej z pomocą, ale też dostałeś w pysk. — Tu Robin zamachnął się z całej siły zdziesiął Alfiego, który zawył z bólu. Robin nieznacznie się uśmiechnął. — Wybacz, bracie, jeśli stajesz w obronie kobiety, musisz się liczyć z tym, że możesz oberwać. — Robin zdał sobie nagle sprawę, że walenie do drzwi ustało. Domyślił się, że próbują sforsować wejście kuchenne. — Mam nadzieję, że każdy zna swoją kwestię, bo zaraz zjawia się tutaj przedstawiciele prawa, a wówczas...

Odwrócił się i w tej właśnie chwili policjanci wkroczyli do pokoju od strony tarasu. Judith w panice rzuciła się do drzwi wejściowych, lecz kiedy je otworzyła, oblało ją jaskrawe światło fleszów, do pokoju wdarli się reporterzy. Judith podbiegła w stronę Robina, lecz na widok dziennikarzy i policjantów cofnęła się w popłochu i zatrzymała przy drzwiach. Jak przez mgłę dochodził ją głos Alfiego, który składał zeznanie.

— To jakieś straszliwe nieporozumienie. Pan Stone został dłużej, aby porozmawiać o nowej roli dla panny Maggie Stewart, która ma wystąpić w moim nowym filmie. No i wypiliśmy trochę za dużo... To znaczy Robin wypił. Naprawdę, nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Przecież, na Boga, nie próbowaliby się dobierać do pani Austin, gdyby był trzeźwy — to starsza kobieta, mogłaby być jego matką.

Spuchnięte wargi Judith wykrzywił bolesny grymas. — Ty bezczelny, maty...

— Spokojnie — odezwał się Robin. — Poprzestańmy na stwierdzeniu, że nie był to dla nas obojga najbardziej udany bankiet.

Niebawem nadjechała karetka; wszyscy zamilkli i z uwagą przyglądali się lekarzowi, pochylonemu nad Sergiem.

— Go mu jest? — spytał drżącym głosem Alfie.
— Prawdopodobnie tylko wstrząśnienie mózgu — odparł lekarz. — Pewność będziemy mieli dopiero po prześwietleniu. — Pokiwał głową. — Wy, ludzie filmu, balujecie, jak widzę, naprawdę ostro.

Policjant, którego Robin spotkał wcześniej przed domem, podszedł doń, wziął go pod ramię i spojrzął mu w oczy z takim wyrazem twarzy, jakby chciał powiedzieć: „A ja tak panu ufałem”.

Alfie został powołany na świadka; Judith, która nie złożyła skargi, także, mimo protestów, została zabrana na komisariat.

Gdyby nie obecność reporterów, byłoby to rutynowe przesłuchanie. Robin miał jednak wrażenie, że przybyli wszyscy znajdujący się akurat w mieście przedstawiciele mass mediów, nie zabrakło nawet lokalnej telewizji. Robin nie krył twarzy przed kamerami, starał się jednak za wszelką cenę uchronić przed nimi Judith. Gdy jakiś sprytny reporter wdarł się między nich i zrobił zdjęcie jej spuchniętej twarzy, rzucił się na niego, wyrwał mu aparat i cisnął na ziemię. Fotoreporterzy i kamerzyści zaczęli z miejsca dokumentować ten epizod, policjanci jednak natychmiast zaprowadzili porządek. Alfie nie zamierzał wnosić skargi.

— Przecież to ja dołożyłem mu najpierw, a Robin był w dodatku nawalony — oświadczył.

Zadzwoił lekarz z wiadomością, że Sergio miał tylko lekki wstrząs mózgu i już czuje się dobrze. Robin zapłacił grzywnę za zakłócenie porządku publicznego oraz wypisał czek dla reportera, któremu rozbił aparat. Wszyscy zostali zwolnieni.

Robin odwiózł Judith do hotelu i zaparkował samochód w bocznej uliczce.

— Wślizniemy się tylnym wejściem, żeby nie przechodzić przez główny hol — powiedział. — Odprowadzę cię do pawilonu.

— Robinie, posłuchaj...

Spojrzał na Judith: miała opuchnięte i pokrwawione wargi, a pod jednym okiem początki sińca...

— Zrób sobie zimny kompres, bo jutro nie będziesz widziała na oko.

Ostrożnie zaczęła obmacywać sobie twarz.

— Co ja powiem Gregory'emu?

— Dokładnie to samo, co powiedziałaś policji.

Wyciągnęła ręce i ujęła jego dłoń.

— Może nie uwierzysz w to, co chcę ci powiedzieć: kochałam cię, Robinie. — Łzy napłynęły jej do oczu. — A teraz jestem przyczyną twojego upadku.

— Mylisz się, moja mała, sam na siebie podpisałem wyrok; może był już najwyższy czas.

Odprowadził ją do pawilonu. W środku panowały ciemności.

— Nie chcę budzić Gregory'ego, jutro będzie dość czasu, żeby mu o wszystkim opowiedzieć.

— Śpij dobrze, Judith.

Przytuliła się do niego na krótką chwilę.

— Dlaczego musiało tak się skończyć?

— Wracaj do siebie i zostań już na zawsze, bo tam jest twoje miejsce.

Odwrócił się i odszedł. Po powrocie do hotelu zdążył jeszcze wyłączyć telefon, po czym padł na łóżko, nie zdejmując nawet ubrania.

O siódmej rano Gregory'ego obudził telefon od Cliffa Dorne'a: — Rany boskie, Gregory, omal nie zemdlałem, kiedy przeczytałem poranne gazety. Jak ona się czuje?

— Kto taki? — Gregory próbował otrząsnąć się ze snu.

— Judith.

Gregory spojrzął na zegarek, stojący na nocnym stoliku.

— O czym ty, do diabła, opowiadasz?

— Gregory, hol jest pełen reporterów, a recepcja nie chciała mnie z tobą połączyć, bo ponoć zostawiłeś takie polecenie, więc zrobiłem to na swoją odpowiedzialność. Czytałeś dzisiejsze gazety?

— Na Boga, człowieku, ledwie otworzyłem oczy. Co ty wygadujesz? Co ma Judith z tym wszystkim wspólnego?

— Robin Stone ją pobił.

Gregory położył słuchawkę i rzucił się biegiem do pokoju Judith. Spała z twarzą ukrytą w poduszce. Potrząsnął delikatnie jej ramieniem; wymamrotała coś przez sen i powoli zaczęła otwierać oczy. Patrzył na nią zupełnie oniezmiały.

— Judith... twoja twarz! Masz podbite oko! Boże, co się stało?

— Nic strasznego.

Próbowała z powrotem ukryć twarz w poduszce, przemocą jednak posadził ją na łóżku.

— Cliff czeka przy telefonie. W holu jest pełno reporterów. Podobno zostałaś opisana w gazetach. Powiedz natychmiast, co się stało?!

— Przynieś mi kawy — odrzekła, wymawiając powoli słowa. — Nic się nie stało.

Gregory wrócił do swojego pokoju i podjął słuchawkę.

— Z Judith wszystko w porządku. Przyjdź natychmiast i przynieś gazety.

Zamówił kawę, a Judith tymczasem wstała i przeszła do salonu.

— Wyglądam gorzej, niż się czuję — oświadczyła z ironicznym uśmiechem.

— Powiedz wreszcie, co się stało?

— Nie ma o czym mówić. Robin wypił strasznie dużo i w pewnym momencie rzucił się na mnie. Sergio próbował mnie bronić, a wtedy Robin zabrał się do niego. Sergio się uchylił i w rezultacie dostałam ja. Sergio zresztą też. W chwilę potem nadjechała policja. I to wszystko.

— I to wszystko? ! — zagrział Gregory. — Zobacz, jak ty wyglądasz! Dlaczego nie zadzwoniłaś po mnie albo po Cliffa Dorne'a?

Judith sączyła kawę z filiżanki. — Gregory, wyolbrzymiasz całą sprawę. Przecież policja nikogo nie zatrzymała, a odwiózł mnie nie kto inny, tylko sam Robin.

— Robin cię odwiózł?!

— Tak, zdążył wytrzeźwieć. — Usłyszała dzwonek i poderwała się z miejsca. — To na pewno Cliff, nie chcę, żeby mnie zobaczył w takim stanie. — Zniknęła w sypialni.

Cliff przyniósł mnóstwo gazet. Gregory ze zmartwiałą twarzą przyglądał się pierwszym stronom. Czarne litery nagłówków układały się w rozmaite warianty tego samego tematu: MASZYNA DO KOCHANIA ZMIENIA SIĘ W MASZYNĘ DO NISZCZENIA — OFIARĄ PADA MAŁŻONKA PREZESA SIECI lub też WIELKI STONE MA PIĘŚĆ Z GRANITU albo SZALONA NOC MASZYNY DO KOCHANIA.

W każdym artykule pisano to samo. Gregory przyjrzał się uważnie fotografiom. Wszystkie sportretowane na nich osoby wyglądały tak, jakby ledwo trzymały się na nogach; wszystkie z wyjątkiem Robina. Jego twarz zdobił nawet nieznaczny, ledwo dostrzegalny uśmiešek.

Cliff siedział z grobową miną. Dzwonek u drzwi nie przestawał dzwonić i co chwila do pokoju wbiegali gońcy z telegramami do Judith od jej nowojorskich przyjaciółek. Dochodziła już dwunasta w południe czasu miejscowego — sensacja zdążyła dotrzeć do najdalszych zakątków kraju.

Gregory nerwowo krążył po pokoju.

— Skąd się tam, do jasnej cholery, wzięli reporterzy?

— Dał im znać nasz człowiek — odrzekł ponuro Cliff. — Skąd mógł wiedzieć, że w to wszystko była wmieszana Judith? Wiesz, ten, który chodził za Robinem od czasu jego przyjazdu.

W drzwiach sypialni stanęła Judith. Umalowała sobie podbite oko i gdyby nie spuchnięte wargi, prezentowałaby się zupełnie godziwie. Na widok Cliffa Dorne'a zdołała nawet zdobyć się na słaby uśmiech.

— Przynajmniej odbyłam krótką wycieczkę krajoznawczą na tamtą stronę. A oprócz tego wszyscy przyjaciele przypomnieli sobie nagle o naszym istnieniu. Greg, nie uwierzysz, telegramy są pełne zachwyków pod moim adresem. Radzę ci, przeczytaj je... Peggy Ashton chce wydać wielki bankiet na naszą cześć. Napisała, że jestem kobietą stulecia, bo mój wielbiciel pobił się o mnie z dwoma facetami. — Twarz Judith promieniała dziecięcą radością.

— Musimy dać jakieś oświadczenie do prasy — odezwał się Cliff. — Oczywiście, Robin odchodzi. Szkoda, że musi się to odbyć w taki sposób. — Rzucił okiem na Judith, pochłoniętą lekturą telegramów. — Ale przynajmniej mamy solidne argumenty wobec zarządu.

— Robin zostaje — oświadczył Gregory.

Judith i Cliff spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

— Musimy zdementować te plotki. Zrobimy z tego wszystkiego fatalne nieporozumienie. Powiemy, że Robin wcale nie zamierzał rzucać się na Judith, która po prostu potknęła się i spadła ze schodów. Coś tam na pewno wymyślimy.

— Mowy nie ma! — Judith zerwała się na równe nogi. — Nie zamierzam robić z siebie idiotki, przysparzając mu jeszcze większego rozgłosu! Robin rzucił się na mnie i kropka! — Jak burza wypadła z pokoju.

— Ona ma rację — stwierdził Cliff. — Jeśli teraz zaprzeczymy, sprawa tylko nabierze pikanterii. Trzeba wylać Robina — a za kilka dni wszystko ucichnie.

— On zostaje! Zamów rozmowę z Dantonem Millerem i powiedz mu, że wraca na swoje stare stanowisko. Podzieli się władzę równo między nich dwóch, żadnej decyzji nie będą mogli podjąć bez mojej zgody. Od dzisiaj wszystko będzie pod moją kontrolą!

— Gregory, ty chyba zupełnie straciłeś rozum. Cały czas szukasz pretekstu, żeby go zwolnić. I pretekst sam wpadł ci w ręce.

— Pragnąłem odzyskać swoją sieć i dopiąłem celu. Sam poprosiłem Robina, żeby zabrał Judith na to przyjęcie, ponieważ ona tego chciała. Dobrze się stało, może przynajmniej nauczy się trzymać własnego podwórka. Ale nie mam zamiaru rzucać Robina wilkom na pożarcie.

— Uważam, że popełniasz wielki błąd — sprzeciwił się Cliff. — Robin jest spalony i nie weźmie go żadna szanująca się firma.

— Nie płacę ci za poglądy — warknął Gregory — lecz za porady prawne. Robin zrobił dla IBC zbyt wiele, żeby dostać kopniaka z powodu jednego głupiego wysoku. Po jakimś czasie wszystko ucichnie. Przesuniemy konferencję zarządu na pojutrze. Do tego czasu zdążę przejrzeć wszystkie dane i nie omieszkam ujawnić ich na naradzie! Niech Dan zjawi się tu jak najprędzej.

Usiądą obok mnie jak dwaj najlepsi współpracownicy, a ja walne swoją mówkę.

Obudziło go donośne pukanie. Robin uniósł głowę, rozejrzał się dookoła... leżał w ubraniu, wyciągnięty w poprzek łóżka. Wstał i niepewnym krokiem poszedł otworzyć drzwi. Do pokoju wszedł Cliff Dorne i rzucił plik gazet na stolik do kawy.

Robin wziął je do rąk. Gorzej, niż przypuszczał...

— Wracam prosto od Gregory'ego — powiedział Cliff.

Robin skinął głową. — Zapewne oczekuje mojej rezygnacji.

— Trafiłeś w sedno, chociaż, trzeba przyznać, cholernie ci współczuje. Wsadził już Dana na twoje miejsce, ale możesz zostać, dopóki nie znajdziesz sobie czegoś nowego. To ci pozwoli zachować twarz.

Robin podszedł do biurka i napisał coś na kartce papieru. — Mam nadzieję, że wystarczy coś takiego. Moja umowa wygasta jakiś czas temu... Składam rezygnację. Podpisz jako świadek. — Podał Cliffowi pióro.

Cliff uśmiechnął się.

— Nie ukrywam, że od dawna czekałem na ten moment.

— Wrócę najbliższym samolotem, pójdę od razu do biura i zabiorę rzeczy. Aha, Cliff — masz tu opracowanie dotyczące wiosennego repertuaru. Znajdziesz tam wszystko, co trzeba: wskaźniki oglądalności, plany na przyszłość, a także sprawozdanie, które miałem przedstawić na zarządzie. — Wręczył mu neseser.

— Odeślę ci teczkę do Nowego Jorku — zapewnił go Cliff.

— Nie fityguj się. W zeszłym roku dałeś mi ją w prezencie gwiazdkowym...

Robin podszedł do drzwi i otworzył je szeroko.

Gregory Austin długo przyglądał się karteczce z rezygnacją Robina. Pokręcił głową. — Powiedziałeś mi, że nie chcę, żeby odchodził?

— Napisał ją przed moim przyjściem — odparł Cliff.

Gregory wzruszył ramionami.

— W ten sposób położył kreskę na telewizji. Ta jego cholerna duma! A przecież, gdyby został i zechciał współpracować z Danem, wszystko rozeszłoby się po kościach... Może powinienem z nim porozmawiać...

— Spróbuj tylko, a nie zobaczysz mnie więcej — odezwała się niespodziewanie Judith.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią ze zdumieniem.

— Chcę, żeby zniknął z naszego życia. Mówię poważnie, Gregory.

Gregory kiwnął głową.

— W porządku. Cliff, zawiadom Dana, że wszystko załatwione. Na miejsce Robina niech przyjmie Sammy'ego Tebeta. Sammy jest całkiem niezły, choć nie dorasta Robinowi do pięt. Skądinąd wątpię, czy znajdzie się drugi taki jak on.

— Nie rozumiem, do czego potrzebny ci Sammy, skoro masz Dana? — spytała Judith.

Gregory uśmiechnął się.

— Chcę mieć dwóch, żeby sobie stale skakali do oczu.

Cliff skinął głową i wyszedł.

Robin był gotów do drogi. Już miał wychodzić, gdy nagle zawrócił, podszedł do telefonu i podniósł słuchawkę. Usłyszał głos dziewczyny z centrali: — Och, panie Stone, dzwonią do pana setki ludzi. Gazety i w ogóle... Na dole czekają dwaj faceci z „Time'a” — reporter i fotograf. Może się pan ulotnić — jest boczne wyjście na Crescent Drive...

— Stokrotne dzięki, słonko. Czy mogłabyś mnie jeszcze połączyć z Melton Towers? To bloki mieszkalne, ale mają tam centralę.

— Wiem. Znam numer. No i, panie Stone... chcę powiedzieć, że moim zdaniem jest pan wspaniały, obojętne, co tam piszą w gazetach. Trudno w dzisiejszych czasach spotkać mężczyznę, który gotów jest walczyć o swoją kobietę, to naprawdę niezwykle romantyczne. — Zaśmiała się i połączyła Robina z Melton Towers.

Po dwóch sygnałach Maggie odebrała telefon. Poznał po głosie, że wyrwał ją z głębokiego snu; przypuszczalnie zatem nie czytała jeszcze porannych gazet. — Obudź się, śpiochu, miałaś przecież jechać na nagranie!

— Dopiero o pierwszej... Robin! — W tym momencie obudziła się na dobre. — Dzwonisz dlatego, że...

— Dzwonię dlatego, że wyjeżdżam zaraz do Nowego Jorku. Mam samolot za pół godziny.

W słuchawce zaległa cisza, po czym Maggie spytała: — Dzwonisz po to, żeby mi o tym powiedzieć?

— Tak. I jeszcze... chcę, abyś wiedziała, że ja nie... — zawiesił głos.

Poczuł nagle, że nie ma po co tłumaczyć, iż wcale nie rzucał się na Judith ani jej nie uderzył. Wiedział, że Maggie zrozumie. Chodziło mu właściwie tylko o to, by nie uznała, że ucieka bez pożegnania.

— Maggie, posłuchaj, ja...

W telefonie zaległa cisza. Maggie odłożyła słuchawkę.

Rozdział trzydziesty

Grudzień 1968

Dip Nelson z nowym numerem „Variety” pod pachą wybierał się właśnie na lunch do Sardiego. Gdy wszedł do lokalu, ogarnęło go poczucie wielkiej mocy. On, Dip Nelson, był teraz producentem na Broadwayu, Robin Stone natomiast przepadł gdzieś, a jego nazwisko poszło w zapomnienie. Od czasu głośnego skandalu minął rok. Robin po prostu zniknął bez śladu. Dip Nelson zaś nie dał się skreślić: wrócił, choć nie jako aktor, lecz znany producent. Joe Katz nie miał wyjścia i musiał go zaangażować, skoro zależało mu na tym, by w jego rewii wystąpiła Pauli. Odnieśli na Broadwayu wielki sukces. Dip zatrzymywał się przy każdym stoliku i pokazywał, co piszą w „Variety” o niezwykłym sukcesie kasowym przedstawienia. I wszyscy u Sardiego nadstawiali ucha, choć znali dobrze recenzje z „Variety”, znali niekwestionowaną wielkość Pauli, i choć wiedzieli także — w przeciwieństwie do Dipa — iż romansuje ona ognisko z odtwórcą głównej roli męskiej.

Christie Lane siedział w samolocie i też przeglądał „Variety”. Nagle uśmiechnął się szeroko i wydarł jedną stronę.

— Co tam znalazłeś? — spytała Ethel.

Podsunał jej kartkę z rubryką PODRÓŻE.

L.A. do N.J.

Christie Lane

Ethel Lane

Christie Lane, Jr

Złożył stronicę i schował do portfela. — Pierwsza wzmianka o naszym małym w „Variety”...

Ethel uśmiechnęła się do dziecka, które trzymała na rękach.

— Będziemy mieli oszałamiającą premierę. Alfie i Sergio przyjdą na pewno, a wraz z nimi połowa Hollywoodu.

Christie pokiwał głową, odchylił się w fotelu i zamknął oczy. Był zelektryzowany perspektywą robienia musicallu na Broadwayu i nie przeszkadzało mu nawet to, że będzie pracować dla Ike'a Ryana. Ike jeszcze ani razu do tej pory nie miał klapy, a poza tym nie brał się za byle co. Kiedy Dip Nelson próbował się wkręcić jako współproducent, został z miejsca spławiony. Ale Dip poszedł do Joe Katza i w rezultacie Pauli odniosła wielki sukces. Trzeba Dipowi

przyznać, że wiele się nauczył od Robina Stone'a. Zabawne, Robin, facet większego formatu niż którykolwiek z nich, przepadł jak kamień w wodę. Nagle Christiemu przysłała na myśl Amanda — ostatnio wspominała ją bez emocji, oddalała się coraz bardziej. Ethel dała mu to, czego pragnął najbardziej: syna. Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

Ethel przytuliła dziecko do piersi i pocałowała je w główkę. Dziwne... zdecydowała się na nie tylko po to, żeby złapać Christiego, a teraz stało się ono najważniejszą sprawą w jej życiu; istotą, o którą troszczyła się najbardziej, na którą przelewała wszystkie te nieodwzajemnione uczucia, jakimi do tej pory obdarzała rozmaitych mężczyzn, przewijających się przez jej życie. Nie chciała jednak za bardzo go rozpieszczać, wiedziała, na co można dziecku pozwalać, a czego mu zabraniać. Jednocześnie z całego serca pragnęła uczynić jego życie najszczęśliwszym z możliwych.

Ethel czuła się doprawdy obdarowana przez los — Sergio i Alfie uznali ją za swoją powierniczkę, była pierwszą damą Hollywoodu i właściwie wszystkie jej dziecięce marzenia zostały spełnione. Może z wyjątkiem jednego — nie została żoną wielkiego gwiazdora, musiała zadowolić się Christiem. Nie brakowało jej teraz czasu na romanse i miłości, nikt jednak się nie kwapił, by wystąpić do walki o jej względy. Otaczał ją szacunek — była żoną Christiego Lane'a. Cóż, w życiu jednak nie można mieć wszystkiego...

Danton Miller przeczytał w „Variety” recenzję ze swego ostatniego programu. Nie zostawili na nim suchej nitki. Cholerny świat, dobrze idą tylko te audycje, które wybrał jeszcze Robin Stone. Robin był rzeczywiście bombowy, lecz, jak każda bomba, musiał w końcu eksplodować. Dan wbijał to do głowy Sammy'emu Tebetowi za każdym razem, gdy tamten za bardzo się stawał. Sammy też jest zdolny, ale trzeba go mieć na oku. Na drugiego takiego Robina Dan pod żadnym pozorem nie może sobie pozwolić. Spokojna głowa, Gregory już tego dopilnuje. Tak, Gregory wrócił na swoje miejsce i mocno trzyma lejcę. Teraz na przykład szykuje się na ten program rozrywkowy, który Dan zamierzał puścić od września. Dan czuł w kościach, że topór spadnie już jutro, na cotygodniowym zebraniu. Zapalił papierosa i w tym samym momencie przeszył go okropny ból. To wrzód. Wzniósł oczy do góry i przysięgł sobie, że jeśli wyjdzie cało z jutrzejszego zebrania, raz na zawsze rzuci palenie. A swoją drogą, ciekawe, czy Gregory przeczytał recenzję w „Variety”...

Gregory przerzucił „Variety”, lecz teraz miał w ręku „Women's Wear”. Na okładce widniało wielkie zdjęcie Judith. Gregory patrzył na nie z czułością. Wzdrygał się na samo wspomnienie tamtych okropnych fotografii, które za-

mieściły wszystkie gazety z Los Angeles. Co zupełnie zadziwiające, awantura na bankiecie u Alfiego przywróciła Judith, która przez tydzień paradowała z opaską na oku, jej utraconą pozycję towarzyską. Wiadomość, że Robin Stone stracił dla niej głowę, sprawiła, że stała się znów najbardziej rozchwytywaną ozdobą przyjęć! To jeszcze jeden dowód na to, jak nieodgadnione mechanizmy rządzą socjetą: Judith z powrotem znalazła się w swoim żywiole i nie było w ostatnim tygodniu wieczora, żeby nie uczestniczyła w jakimś przyjęciu lub premierze. Nagle przypomniał sobie, że o piątej ma przymiarękę u krawca. To właśnie Judith wymusiła na nim, żeby z okazji zbliżającego się dorocznego bankietu z grzaniem piwem uszył sobie aksamitny smoking. W tym roku przyjęcie będzie naprawdę huczne. Spojrzał raz jeszcze na zdjęcie i uśmiechnął się. Nigdy jeszcze uroda Judith nie była tak olśniewająca, nigdy na jej twarzy nie malowało się tyle szczęścia...

Wszyscy przeczytali „Variety”, lecz nikt nie zajął do działu recenzji literackich i nikt nie zauważył następującej wzmianki: „Robin Stone, były dyrektor generalny sieci IBC, ukończył pracę nad swą książką, która nakładem wydawnictwa Essandess ukaże się w druku późną wiosną”.

Maggie Stewart weszła po schodkach do samolotu linii BOAC, lecącego do Londynu. Ona również miała w ręku „Variety”. Bohaterką wiodącego artykułu, zapowiadanego na okładce wielkimi literami, była ona sama, tematem zaś — sensacyjne zerwanie przez nią kontraktu z Alfie Knightem.

Kiedy jednak samolot uniósł się w powietrze, Maggie nie pograżyła się w lekturze „Variety” — po raz dziesiąty, setny i tysięczny odczytywała telegram, który brzmiał:

HOTEL DORCHESTER LONDYN ANGLIA
PANNA MAGGIE STEWART
MELTON TOWERS
BEVERLY HILLS CAL
JESTEŚ MI POTRZEBNA

ROBIN